

KS. BISKUP BOUGAUD

C R E D O
DOGMATY

WYDANIE DRUGIE



NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN

C R E D O

DOGMATY

KS. BISKUP BOUGAUD

CHRYSTJANIZM I CZASY OBECNE

- KSIEGA I: WIARA I NIEWIARA
— „ — II: JEZUS CHRYSTUS
— „ — III: CREDO
— „ — IV: KOŚCIÓŁ
— „ — V: ŻYCIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

WYDANIE DRUGIE KOMPLETNE

KS. BISKUP BOUGAUD

C R E D O

DOGMATY

„Klękam na kolana moje ku Ojcu
Pana naszego Jezusa Chrystusa...
żebyście mogli dosięgnąć ze wszyst-
kimi świętymi, które jest szerokość
i długość, i wysokość i głębokość je-
go tajemnic, i poznać przewyższającą
wszelki rozum miłość Chrystusową.”

(Efez. III, 14—19.)

WYDANIE DRUGIE



NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN

Reimprimatur.

Poznań, dnia 8 lutego 1932.

† Bp. Dymek, Wikariusz Generalny.

X. Jedwabski, Kanclerz Kurji Arcyb.

(L. S.) L. D. 1779/32.



115158/3

TŁOCZONO W Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu
na papierze z własnej fabryki papieru „MALTA”.

K-60/31/125664

WSTĘP.

Dwa ważne kroki postąpiliśmy już, odkąd rozpoczęliśmy to nowe *Przedstawienie chrystjanizmu*. Najpierw w świetle pełnej oczywistości ujrzelśmy, że człowiekowi potrzebna jest religja. Skupieni sami w sobie słyszeliśmy, jak rozum, sumienie, serce, wszystkie władze umysłu mówiły: „Bóg i człowiek są istotami harmonizującymi z sobą; są to dwie szukające się miłości; religja jest wzniosłym przybytkiem, w którym się spotykają”.

Postanowiwszy szukać Boga i znaleźć Go, zapytywaliśmy siebie, jak się mamy do tego zabrać? „Człowiekowi potrzebna jest religja, mówiliśmy, ale jaka religja?” I wtedy ujrzelśmy ukazującego się człowieka, pełnego łaski i prawdy, niepodobnego do żadnego innego. Trzy lata zaledwie żył On życiem publicznym; nie napisał jednego wiersza; wszystkie Jego słowa zebrane przez uczniów pomieściłyby się na dwudziestu stronicach, a takie światło rzucił na świat, tak go do głębi poruszył i tak bosko odrodził, że niesposób nie przyznać, iż jest On więcej niż człowiekiem. A uderzającym jest, że jakkolwiek pięknem i nadzwyczajnem jest Jego dzieło, nie dorównywa jednak Sprawcy swemu. Dał On ludziom natchnienie cnót najszczytniejszych; ale te cnoty, rozwijające się w ciągu dwóch tysięcy lat, są cieniem cnót Jego. Piękność Jego duszy nie da się żadnem piórem opisać. To, co uczynił, niczem jest wobec tego, czem był. Patrząc na Niego, trzeba powtarzać: „Jeżeli życie i śmierć Sokratesa były życiem i śmiercią mędrca, to życie i śmierć Jezusa są życiem i śmiercią Boga!” A z historii tego życia i śmierci taka promienieje prawda, że zaraz dodać trzeba: „Istnie-

nie i czyny Sokratesa, o których nikt nie wątpi, są mniej dowiedzione, niż istnienie i czyny Jezusa¹⁾).

Oto pierwsze dwie nasze wycieczki, pełne wspaniałych widoków.

Teraz, jeżeli nie jesteście zbyt znużeni, chodźmy w dalszą drogę. Jezus Chrystus jest więc Bogiem; coś przeciw temu rzec można? Jest On Bogiem i człowiekiem. Jakże to i dlaczego? Cóż on przyszedł czynić na ziemi? Posłuchajmy, co mówi św. Jan Ewangelista:

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo. Oto czym jeszcze jest Jezus Chrystus: Słowem, Synem Przedwiecznym Boga, drugą osobą Trójcy Przenajświętszej.

Wszystko się przez nie stało: a bez niego nic się nie stało, co się stało. W nim był żywot, a żywot był światłością ludzi. Oto czym jeszcze jest Jezus Chrystus: Słowem, Stworzycielem i Oświecicielem dusz i światów.

A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły. Oto dlaczego przyszedł: aby na nowo rozżarzyć światło i rozproszyć ciemności, które ogarnęły Jego dzieło.

A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami, i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jako jednorodzonego od Ojca, pełnego łaski i prawdy. Oto jak przyszedł.

A więc Jezus Chrystus jest Słowem Wcielonym; zstąpił na ziemię, ażeby się złączyć z człowieczeństwem, które stworzył, podnieść je z upadku, uleczyć i ubóstwić.

W poprzednim tomie studjowaliśmy *Logikę* życia Chrystusowego; teraz dajemy boską *Teologję*.

To zdanie: Jezus Chrystus jest Bogiem, zawiera w sobie pojęcie Trójcy Przenajświętszej, stworzenia świata, upadku człowieka, Wcielenia, Odkupienia, a zatem zawiera podstawy i szczyty chrystjanizmu.

Trzecią tę książkę poświęcimy wyjaśnieniu owych głównych zagadnień. Podzielimy ją na trzy części.

¹⁾ Rousseau, Confessions du vicaire savoyard.

Najpierw jako wstęp zbadamy słynną formułę dogmatyczną, przypisywaną Apostołom, nazwaną *Credo*, w której zwięźle, a głęboko zebrane są wszystkie dogmaty, stanowiące boską teologję Słowa Wcielonego.

Potem badać będziemy każdy z tych dogmatów.

Wreszcie w zakończeniu rzucimy okiem na całość dzieła Bożego w czasie, tego dzieła, które się ciągnie przez wieczność, a które Apostoł tak dobrze określił, nazywając je tajemnicą Chrystusową, *mysterium Christi*¹⁾).

Oto plan trzeciego tomu.

Puśćmy się w drogę. Opuszczamy Galileę i śliczne brzegi jeziora. Piąć się będziemy pod górę; droga jest stroma; mgły wieszają się po szczytach; przeczuwa się ciemne i groźne czeluści. Istnieją one bezwątpienia. Ale zato gdy staniemy tam w górze, jakież cudny widok nam się odsłoni, jaka wspaniała całość! Bóg i człowiek, niebo i ziemia, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, duch i materja, doczesność i wieczność: wszystkie wyżyny i wszystkie przepaści zalane przejasnem światłem.

Idźmy więc; ale postępujmy wolno, cierpliwie, jak ludzie przywykli do chodzenia po wyżynach. Idźmy krok za krokiem. Droga będzie długa; ale nim nas olśni cudowny krajobraz, widzialny z samego szczytu, już po drodze oglądać będziemy wdzięczne widoki, a patrząc na nie, znajdziemy chwilowy, błogi odpoczynek.

¹⁾ Św. Paweł do Koloss. IV. 3.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Credo.

Tak jak wszystkie nauki Jezusa Chrystusa zostały *historycznie* zebrane w cztery Księgi, znane w starożytności pod mianem *Pamiętników apostoelskich* i pod drugim słynniejszym, które samo wkońcu się utrzymało, mianem Ewangelji — tak od początku samego też nauki zebrano *dogmatycznie* w bardzo krótkiej formule, którą zrazu nazwano *Symbolem Apostołów*, a która następnie otrzymała od zaczynającego ją słowa popularną nazwę *Credo*.

Co to jest *Credo*? skąd pochodzi? czy rzeczywiście jest dziełem Apostołów? Jakie są jego cechy? jaki los jego i przeznaczenie?

Oto pierwsze nasuwające się pytania. Są one niejako wstępem do badań dogmatycznych, które teraz nastąpią.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

O początkach i głównych cechach Credo.

I.

Jest rzeczą niewątpliwą, że *Credo* pochodzi od Apostołów. Te same powody, które nas przekonały, że przed swem rozejściem się Apostołowie spisali główne nauki Jezusa Chrystusa, Jego święte słowa, ustanawiające sakramenta i zaznaczające pierwszeństwo Piotra, zbiór przypowieści¹⁾, i teraz również skłaniają nas do wierzenia — nawet w braku wszelkich dowodów, choć ich jest dosyć — że musieli oni ułożyć i formułę wiary, przeznaczoną dla powszechnej nauki. Rzeczywiście znana jest data i pochodzenie Symbolu Nicejskiego, Symbolu św. Antoniego i Konstantynopolitańskiego; jedynie skład apostolski ginie w pomroce czasów. Św. Augustyn stawia zasadę, że to, czego nie ustanowił żaden sobór ani papież, a mimo to zawsze i wszędzie było nauczane i wierzone, ma być uważane jako pochodzące wprost od Apostołów²⁾. Co więcej, choć Skład apostolski nie był i nie mógł być spisany, a przepisy Kościoła nakazywały trzymać go w tajemnicy³⁾, to odnajdujemy go jednak zawsze, nawet w najdawniejszych czasach, i wszędzie go odczuwamy⁴⁾. Ukazuje się on we wszystkich pismach najpierwszych Ojców Kościoła, przysłonięty niejako przejrzystą zasłoną. Jakieś słowo pełne znaczenia, dyskretna wzmianka, czasem cały artykuł dosłownie przytoczony nie pozwalają mieć w tym względzie żadnych wątpliwości⁵⁾. Św. Ireneusz, Tertuljan po-

¹⁾ Chrystjanizm, t. II, R. II § 1 i R. IV. — ²⁾ August. Contr. Donatist. lib. II. — ³⁾ V. Schelstrase, de Disciplina. — ⁴⁾ O. Petau sądzi, że w pierwszym swym liście do Koryntjan (cap. VIII, 5) św. Paweł aluzję czyni do Symbolu. (Theol. dogm. de Trinit. III, 1). — ⁵⁾ Św. Ignacy, Epist. ad Trallens § 9 i 10. — Hipolit, Advers. Noet. cap. I. — Św. Cyprjan, Epist. LXX.

dają go prawie w całości¹⁾. Gdy wreszcie pokój dany jest Kościołowi, *Credo* wraz z chrystjanizmem występuje z katakumb, i głośno wtedy nazywają je Symbolem Apostołów. Św. Ambroży²⁾, św. Augustyn³⁾, św. Hieronim⁴⁾, Rufin⁵⁾, papież św. Celestyn⁶⁾, św. Leon⁷⁾ jednogłośnie twierdzą, że Apostołowie go ułożyli, a twierdzenie to nie spotyka się z żadnym zaprzeczeniem. W tym samym czasie wszystkie Kościoły, wyliczając starannie dotąd ukrywane skarby, wykazują, iż są każdy w posiadaniu jednego egzemplarza *Credo*. Otóż wszystkie te egzemplarze, pochodzące czy ze wschodnich, czy z zachodnich kościołów, są identyczne między sobą, pisane w tych samych wyrażeniach. Zaledwie parę słów jest gdzie niegdzie odmiennych, a to da się wytłumaczyć czy zmianami, łatwo mogącemi się zdarzyć przy ustnem jedynie podawaniu przez ciąg całych trzech wieków, czy przez dodatki rozmyślnie dodane przez władze biskupów, ażeby ustrzec lud od miejscowych herezji. Dowodem tego jest Kościół Rzymski, w którym przez te pierwsze wieki nie było żadnej herezji, to też i w jego *Credo* żadnego niema dodatku. A co jeszcze silniej uderza, to że te wszystkie wschodnie i zachodnie egzemplarze tak między sobą identyczne są tak samo jednobrzmiące ze Składem Apostolskim, który dziś odmawiamy. Po ośmnastu wiekach zmian i przewrotów jedno tylko zostało niezmienione — *Credo*.

Niech nam wolno będzie na dowód tego stawić przed oczy czytelnika najdawniejsze teksty Symboli, zestawione około 372 r. przez Rufina, słynnego przeciwnika św. Hieronima.

Widzimy, że różnice są nieznaczne między temi czterema niemal dosłownymi formułami. Jedna godna uwagi znajduje się w pierwszym artykule Symbolu z Akwilei. Ale Rufin uprzedza nas, że te dwa słowa: *Invisibilem et impassibilem* były obce pierwotnemu *Credo* tegoż Kościoła

¹⁾ Św. Ireneusz. *Advers. Haeres.* lib. 1. cap. X. — Tertulian, *De virgin. velandis*, cap. 1, i *Contra Prax.* cap. X. *Regula fidei una omnino est tota immobilis et irreformabilis, credendi scilicet in unicum Deum omnipotentem, mundi conditorem et Filium ejus Jesum Christum, natum ex Virgine Maria, crucifixum sub Pontio Pilato, tertia die resuscitatum a mortuis, receptum in coelis, sedentem nunc ad dexteram Patris, venturum etiam judicare vivos et mortuos, per carnis resurrectionem.* — ²⁾ Ambros. lib. I ep. 7. *Ad Simplician.* — ³⁾ August. t. III. *De fide et symb.* — ⁴⁾ Hier. *Contra Ioann. Hyerosol.* XXIII. — ⁵⁾ Rufin. *Lib. de exposit. symb.* t. V. — ⁶⁾ W sławnym liście do Nestorjusza nazywa Symbol: *Symbolum ab Apostolis traditum.* — ⁷⁾ S. Leon pap. ep. XXX. *Ad Pulcheriam.* Aug. cap. IV.

PORÓWNAWCZY OBRAZ CZTERECH PIERWSZYCH SYMBOLI

Symbol wulgarny	Symbol Rzymski	Symbol z Akwilei	Symbol Wschodni
1. Credo in unum Deum Patrem omnipotentem, creatorem coeli et terrae.	1. Credo in Deo Patre omnipotentem.	1. Credo in Deum Patrem omnipotentem, invisibilem et impassibilem.	1. Credo in unum Deum Patrem omnipotentem.
2. Et in Jesum Christum Filium ejus unicum, Dominum nostrum.	2. Et in Christo Jesu unico Filio ejus Domino nostro.	2. Et in Jesum Christum unicum Filium ejus Dominum nostrum.	2. Et in unum Dominum nostrum Jesum Christum unicum Filium ejus.
3. Qui conceptus est de Spiritu sancto, natus ex Maria Virgine.	3. Qui natus est de Spiritu sancto ex Maria Virgine.	3. Qui natus est de Spiritu sancto ex Maria Virgine.	3. Qui natus est de Spiritu sancto ex Maria Virgine.
4. Passus sub Pontio Pilato, crucifixus, mortuus et sepultus, descendit ad inferos.	4. Crucifixus sub Pontio Pilato et sepultus.	4. Crucifixus sub Pontio Pilato, et sepultus, descendit ad inferos.	4. Crucifixus sub Pontio Pilato et sepultus.
5. Tertia die resurrexit a mortuis.	5. Tertia die resurrexit a mortuis.	5. Tertia die resurrexit a mortuis.	5. Tertia die resurrexit a mortuis.
6. Ascendit ad coelos, sedet ad dexteram Dei Patris omnipotentis.	6. Ascendit ad coelos, sedet ad dexteram Patris.	6. Ascendit ad coelos, sedet ad dexteram Patris.	6. Ascendit ad coelos, sedet ad dexteram Patris.
7. Inde venturus est judicare vivos et mortuos.	7. Inde venturus est judicare vivos et mortuos.	7. Inde venturus est judicare vivos et mortuos.	7. Inde venturus est judicare vivos et mortuos.
8. Credo in Spiritum sanctum.	8. Et in Spiritu sancto.	8. Et in Spiritu sancto.	8. Et in Spiritu sancto.
9. Sanctam Ecclesiam catholicam, sanctorum communionem.	9. Sanctam Ecclesiam catholicam.	9. Sanctam Ecclesiam catholicam.	9. Sanctam Ecclesiam catholicam.
10. Remissionem peccatorum.	10. Remissionem peccatorum.	10. Remissionem peccatorum.	10. Remissionem peccatorum.
11. Carnis resurrectionem.	11. Carnis resurrectionem.	11. Carnis resurrectionem.	11. Carnis resurrectionem.
12. Vitam aeternam.	12. Vitam aeternam.	12. Vitam aeternam.	12. Vitam aeternam.

i dodane zostały dopiero po ukazaniu się herezji Sabeljusa. Światło jest tu jasne.

Przytoczyliśmy tylko te cztery teksty Symbolu, ponieważ już w 372 r. Rufin wykazał ich zgodność. Ale w późniejszych czasach odnaleziono takowych bardzo wiele i w kościele Jerozolimskim, Kartagińskim, w Ancyrze, w Rawennie i t. d., jak również Symbole używane w pierwszych wiekach w Galji, w Anglii, w Hiszpanji i t. d. Jest się wprost zdumionym, znajdując we wszystkich taką jednogłówność; jasny to dowód, że pochodzą one z jednego źródła, mającego wielką wagę dla wszystkich.

Mimowoli trzeba się zatrzymać, podziwiając wielkość tego faktu. Wszak każda doktryna dużo wymaga czasu, aby dojść do doskonałości; z początku zawsze są niepewności, wahania. Tu ich nie było. Wieczorem w dniu Zesłania Ducha Świętego, gdy jeszcze Ewangelje nie były spisane, Apostołowie rozważyli naukę daną im przez Jezusa Chrystusa, zbadali ją do głębi i bez wahania, bez niepewności zebrali ją i ułożyli w dwunastu pełnych znaczenia orzeczeniach czyli artykułach.

Czyż świat oglądał kiedykolwiek coś podobnego? Która z religij starożytnych posiadała zbiór wyznania? Która z filozofij mogłaby się nim pochwalić? Nawet sekty, odrywające się od Kościoła, nie zmieniły pierwotnego jego układu. Ów Symbol — to dzieło wielkiego Mistra, to zbiór jasny, pełny, dokładny, ściśle skreślony dla wszystkich miejsc i czasów, dla dusz wszystkich; nie naruszyły go wieki, i po ośmnastu stuleciach, po najrozmaitszych przewrotach ukazuje się nam najzupełniej taki sam, ten sam aż do najdrobniejszych wyrażań! Tylko Mistrz potężny taki początek swojemu dziełu dać może.

Podziw wzrasta, gdy się widzi charakter tych dwunastu najwyższych twierdzeń, ich śmiałość, ich nowość z Boga pochodzącą! Apostołowie zaledwie wyszli z wieczernika, chrześcijanie kryjący się w katakumbach śpiewali: Wierzę w Boga jedyne, *Credo in unum Deum*, a to na ziemi, na której wznosiło się mnóstwo świątyń, gdzie czczono niezliczone, najrozmaitsze bóstwa! Wobec szkół, w których Seneka, Porfirjusz i inni prowadzili długie, bezowocne dysputy, Apostołowie mówili o tajemniczym, ale na oczywistości opartem stworzeniu natury i człowieka przez Boga: *creatorem coeli et terrae*. Chrześcijanie ciągnieni na rusztowanie, deptańi stopami katów, czując miecz przeszywający im gardło, proroczym głosem wysła-

wiali powszechność Kościoła, a więc jego triumf pewny i wieczny: *Et in Ecclesiam catholicam*. Otoczeni zgnilizną powszechnego materializmu wyznawali głośno zmartwychwstanie ciał i żywot wiekuisty: *Carnis resurrectionem, vitam aeternam*. Cóż to za świeży, nieznany powiew! Czuje się dobrze i poznaje, że jest to owo gorące tchnienie, które Bóg obiecał zesłać stygnącej ziemi, by ją odmienić i rozgrzać na nowo. *Emitte Spiritum tuum et renovabis faciem terrae*.

I te wielkie, święte rzeczy śpiewane były w katakumbach w tych samych wyrażeniach, w jakich my je odmawiamy. Na zepsucie I wieku mieli ten sam środek leczniczy, jakim my pragniemy wzmocnić ogólną bezsilność XX stulecia — owe dwanaście artykułów *Credo*, owe święte ziarna pełne wiekuistej żywotności powtarzali oni dziewności wieków temu, tak jak my je dziś powtarzamy, odmawiając: *Credo*.

II.

Gdyby jednak tylko to było, to mówiąc o postanowieniu *Credo*, wahałoby się nazwać je *boskiem*. Wdzieliłoby się w niem nadzwyczajność, ale nadzwyczajność ludzką, coś, w czemby dopatrzeć się można genjuszu dzieśięćkroć potężniejszego od genjuszu Platona — a to jeszcze jest możliwe. Ale tu jest coś więcej jeszcze.

Jakiż jest prawdziwy charakter tych dwunastu artykułów *Credo*? Czy są to tylko śmiałe, pełne oryginalności myśli i pojęcia, jak się je spotyka u Platona, rzeczy pochodzące z głębin natury ludzkiej i zachwycające nas, gdyż są jakby najwyższym tej natury rozkwitem? Zupełnie inny jest ich charakter. Są to rzeczy wyższe lub niższe, jak kto uważa — doktryny niezrozumiałe, nieprzeniknione, nie dające się badać rozumem i do których rozumowi zamknięta jest droga i przystęp wzbroniony: Bóg jeden w trzech różnych Osobach; człowieczeństwo splamione niepopelnioną przez się winą; Bóg, stający się człowiekiem w łonie niewiasty; niewiasta, będąca zarazem matką i dziewicą; Bóg, dający się biczować, krzyżować. Bóg umierający, aby zbawić swoje stworzenie! Oto *Credo*; oto dwanaście niezrozumiałych twierdzeń!

Czyż spotkaliście się z religią, podającą za całe wyznanie, za treść swoją całą dwanaście niezrozumiałych twierdzeń? Jest to jednak fakt spełniony. Jakże to Apo-

stołowie śmieli podać je światu? jak mogli nawet je pomyśleć?

A nie tylko doszli do ich pojęcia, nie tylko ośmielili się je głosić, ale co osobliwsze: dziwne te dogmaty świat podbiły.

Może powiecie, że jeśli go podbiły, to się to stało mimo ich nadzwyczajności, wbrew niezrozumiałości. Przeciwnie! Próbowano nieraz je zgładzić, usunąć z nich to, co na pierwszy rzut oka nazbyt trwoży i niepokoi. Różni zręczni ludzie chcieli je uczynić prawie zrozumiałymi; ale rzecz dziwna, gdy tylko dogmaty owe przystosowane zostaną do pojęcia ludzkiego, tracą natychmiast swą siłę. Probiarz to nieomylny. Zechciejcie je złagodzić, sprostować to, co w nich jest zbyt dziwnego, a zaraz ich żywotność się zmniejszy. Jeżeli, dalej idąc, usuniecie z nich tajemnicę, niezrozumiałość — już w nich żywotności nic nie zostanie. Jeżeli natraficie na kuli ziemskiej na zakątek, w którym kwitnie dziewictwo, gdzie wiara i miłość rozwijają się, woń swą dokoła rozlewając, to nie badając bliżej, możecie przysiąc, że te dziwne dogmaty są tam znane, miłowane, czczone w całości, bez żadnej zmiany, bez złagodzenia, bez osłony.

Może powiecie, że jeżeli chrześcijaństwo wydał rzeczywistość tyle dowodów, jeżeli nawrócił, ucywilizował, uświęcił świat, nie zawdzięcza tego onym dogmatom, ale swej treści moralnej, która zawładnęła sumieniami, podniosła je, ukazując prawdę, piękno, dobro, prawa wiekiste, które każdy człowiek w sobie nosi. Na pierwszy rzut oka wydaje się to prawdziwym, ale doświadczenie uczy, że tak nie jest.

W jakim sposobie chrześcijaństwo podbiło świat? Czy próbował najpierw przywrócić pojęcie o jednym Bogu, o nieśmiertelności dusz, ażeby dojść następnie aż do Trójcy Przenajświętszej, aż do Wcielenia Boga? Nie; szedł on wręcz przeciwną drogą. Świat ujrzał ludzi głoszących: „Co do nas, my znamy tylko Jezusa, a Jezusa ukrzyżowanego!” i świat padł na kolana. Świat został nawrócony uderzeniem piorunu, spadającego z krzyża; i z tego dziwnego, niepojętego dogmatu doszedł następnie do jedności Boga, do nieśmiertelności duszy.

A co się działo u kolebki chrześcijaństwa, dzieje się za dni naszych wśród dzikich ludów, wśród Indian. Metodyści próbowali nawracać ich drogą racjonalną; dopóki mówili im o Wielkim Duchu, o Bogu jedynym, o nieśmier-

telnej duszy, nie słuchano ich wcale. Dzicy padli dopiero na kolana, gdy im krzyż pokazano.

I tak się zawsze dziać będzie. Więcej niż ktokolwiek przyklaskujemy tym znakomitym ludziom, którzy za dni naszych w górę podnoszą sztandar Dekalogu i którzy chcą wokoło niego skupić wszystkie schorzałe narody. Mylą się oni jednak, jeżeli sądzą, że Dziesięciorgiem Przykazań nawrócą świat. Nie Dziesięciorgo Przykazań nawróciło ziemię, ale *Credo*.

Bez *Credo* Dekalog nie ma podstawy, nie ma wagi. Brakuje mu siły, by zapanować nad duszami, by je porządzić i podnieść aż do poświęcenia.

III.

Ale jeżeli ludzie nie mogli bez pomocy Ducha Bożego stworzyć *Credo*, tem mniej byliby zdolni przechować je.

Istnieje ono od przeszło 19 stuleci, nie ukrywane w głębi świątyń, nie krępowane jak mumje, ale przeciwnie, rzucone jawnie na drogę ludzkości, powtarzane codziennie w modłach wszystkich narodów, śpiewane w kościołach, płynące z ust i z serc milionów i milionów ludzi.

A nie tylko istnieje ono mimo niestałości wszechrzeczy, ale od przeszło 19 wieków narażane jest na najcięższą walkę. Rozpoczęła się ona wieczorem w dniu Zesłania Ducha Świętego i do dziś dnia nie jest ukończona. A któż wyliczy ilość i różnorodność ataków? wszak broń umysłu posiada błyski nieprzeliczone. Wrzała więc walka to z genjuszem greckim, jak za czasów Arjusza, Nestorjusza, Eutychjusza; to z porywającą wymową wzniosłą i trywjalną zarazem, jak w epoce Lutra; to znów, jak za czasów Woltera, z zabijającym szyderstwem, z dowcipem kłującym, lub jeszcze, jak za dni naszych, z upojeniem naukowym, z przedziwnymi odkryciami, wynalazkami, źle przez naukę objaśnianymi.

Trwa to już od przeszło dziewiętnastu wieków. Dziewiętnaście wieków walki umysłowej, duchowej, najsilniejszej, prowadzonej przez najwyższe umysły. A jakiż jej wynik? czy choć jeden wyraz *Credo* zbladł, czy został zamglony? czy trzeba żeń było choć jedno słowo wykreślić? Nie; *Credo* stoi nienaruszone w swej wspaniałej jednolitości, podobne do tych granitowych obelisków przewiezionych z Egiptu do Rzymu: cztery tysiące lat nie nadwężyły ich w niczem.

Gdybyście się zbliżli przyjrzeć tej walce olbrzymiej, aby poznać lepiej jej charakter, uderzyłby was fakt niespodziany. *Credo* zwalczane jest nie w całości, nie w nowej jednolitości. Nad każdym artykułem zosobna wre bitwa — bitwa, trwająca sto, dwieście, trzysta lat. Wśród niej dają się słyszeć z jednej i drugiej strony głosy największych danego czasu umysłów. Kończy się zaś ona dopiero z chwilą, gdy przeciwnicy *Credo* broń złożą. A rzecz dziwna, w tych walkach następujących po sobie jest jakiś logiczny porządek, jak gdyby niewidzialna ręka kierowała atakami, a ten porządek to właśnie układ samego *Credo*.

Spróbujmy rozpatrzyć ten fakt, gdyż wart jest tego.

Pierwsza prawda stwierdzona Symbolem — wiara w Boga jednego, *Credo in unum Deum*, jest także najpierw zaatakowana. Walka trwa trzy wieki. Święty Justyn, Klemens Aleksandryjski, Tertuljan, Orygenes, święty Ireneusz, Arnobiusz, Laktancjusz, św. Cyprjan stają silnie przeciwko wszystkim obrońcom poganizmu. Piszą przedziwne dzieła o jedności Boga; wykazują kolejno wszystkie Jego przymioty: opatrność, świętość, sprawiedliwość, dobroć, i ostatecznie odrzucają i wniwecz obracają wszystkie zasady politeizmu i filozofii aleksandryjskiej. Po zaciętej walce pierwszy artykuł Symbolu staje silnie i na zawsze ryje w umysł i sumienie ludzkości.

Po tej pierwszej wygranej powstają Arjusz, Nestorjusz, Eutykchjusz. Cóż oni zwalczają? Drugą prawdę Symbolu: *Et in Jesum Christum*. Z całą subtelnością greckiego umysłu napadają oni na Jezusa Chrystusa, na Jego jedność istotną z Ojcem, na Jego narodzenie z Marii Dziewicy, na Jego dwojaką naturę. Ale wszystko jest bronione, wyjaśnione, zgłębione, określone. Na czele obrońców staje pokolei św. Atanazy, św. Augustyn, św. Hilary, św. Bazyli. Za ich to ogromną i przedziwną pracą drugi artykuł narówni z pierwszym zostaje nienaruszony.

Nadchodzi wiek IX; Focjusz część Wschodu pociąga do schyzmy. Teraz zaatakowany jest dalszy artykuł: *Et in Spiritum sanctum*: Duch Święty, Jego natura, życie, Jego wpływ; pochodzenie od Ojca i Syna. Wre na nowo walka równie jak poprzednie zacięta, ale jeszcze subtelniejsza. Focjusz, pobity przez Ojców Kościoła, zmniejsza swe żądania. Pragnie tylko usunięcia jednego wyrazu. „Jeden wyraz tylko zawadza, odrzucić *Filioque*, a wszystko będzie dobrze, złączymy się napowrót z wami”. Ale Kościół nic nie odrzuca, nic nie może odrzucić. Prawda nie odeń zależy; Kościół ją tylko posiada jako święty, nie-

naruszalny depozyt. Focjusz upiera się przy swoim żądaniu; odłączają go od Kościoła, uczniowie jego rozpraszają się po Wschodzie, gdzie na nich czeka oręż Mahometa i knut niewoli. I ten artykuł pozostaje w całości jak i dwa poprzednie.

Ale oto nowi, groźniejsi przeciwnicy: Luter, Kalwin, Henryk VIII. Na cóż oni napadają? Na artykuł: *Sanctam Ecclesiam catholicam*. Przeczą Kościołowi, gardzą Papieżem i odrzucają jego władzę. Wtedy do obrony powstają Bellarmin, Bossuet, Fénelon. Jakież potoki światła spływają, oświecając jedność, świętość, powszechność i apostołstwo Kościoła! Ostatnie cienie rozproszy sobór Watykański, określając nieomylność Papieża.

Czy to już wszystko? Jeszcze nie. Z wiekiem XVIII zabierają kolejno głos Wolter, Diderot, D'Alembert, Helwecjusz. W któryż punkt oni uderzą. W dwa ostatnie artykuły Symbolu: *carnis resurrectionem, vitam aeternam*. Niema żywota wiecznego, niema duszy nieśmiertelnej, niema Boga osobowego, żywego: rodzi się wstręt, ohydny materializm!

Oto gdzie doszliśmy. Po ośmnastu wiekach wielka dyskusja nad Symbolem ukończona. Ani jeden artykuł nie odpadł, *Credo* stoi nienaruszone, tworząc dziś intelektualny Kapitał ludzkości.

Ale czy wiecie, co się przygotowuje? Ponieważ walka ma trwać tak długo, jak i ludzkość sama, rozpocznie się więc nowa rozprawa nad Symbolem, wspanialsza niż tamte; już ona otwarta, już się zaczyna.

Pierwsza wypływała z wiary i prowadzona była w dziedzinie wiary. Arjusz, Nestorjusz, Eutykchjusz, Focjusz, Luter byli chrześcijanami, kapłanami, biskupami. Roztrząsano Pismo święte, badano podanie i objawienie. Była to pierwsza rozprawa, mająca poprzedzić inne; trwała przez ośmnaście wieków. Jeżeli chcecie się przekonać, ile na nią wydano geniuszu, erudycji, wymowy, zajrzyjcie do Patrologii greckiej i łacińskiej. Jest tam przeszło 300 tomów in folio¹⁾.

Rozpoczynająca się druga dyskusja będzie mieć inny charakter. Wypływać będzie z nauki i prowadzona będzie w dziedzinie nauki. Jakże piękne jest sklepienie niebios w piękną noc letnią! ale odkąd je zbadali Kopernik, Newton, Arago, Herszel, jakież nowe piękności zajaśniały na niebie przemienionem, rozszerzonym przez naukę! Tak

¹⁾ Por. Ks. Dr. Gerhard Rauscher. *Zarys Patrologii*. Poznań 1929. (Przyp. wyd.)

samo będzie z Symbolem Apostolskim. Każdy z artykułów zaatakowany przez naukę będzie ostatecznie przez nią potwierdzony. Tak po raz drugi stwierdzona niezmiennność *Credo* jeszcze silniej wycisnie na niem Boskie piętno.

IV.

Nie trzeba jednak, by widok onej niezmienności *Credo* zakrył nam inny, piękniejszy, który nazwałbym chętnie boskim jego rozkwitem. Z jednej strony *Credo* niezmienné jest jak granit — z drugiej rozwija się i rozrasta jak zdrowe nasienie. Każdy z artykułów *Credo* podobny jest ziarnu pełnemu nieskończonej żywotności. Bóg je powierza genjuszowi, miłości i wierze swych dzieci, ażeby przez nie za działaniem Ducha Świętego doszło do zupełnego swego rozwoju.

Nie wiem, czy Bóg, objawiając nam prawdę, zechciał był objawić nam ją ze wszystkimi jej następstwami, czy chciałby dać nam poznać od razu wszystkie skarby w niej zawarte. Wątpię. Prawda jest nieskończona; a więc z którejkolwiek strony na nią patrzymy, nie obejmujemy jej w całości. Codzień możemy w niej odkryć coś nowego, dotąd jeszcze nigdy niewidzianego. Świat się skończy, nim owo słońce prawdy wyda z siebie wszystkie promienie.

A zresztą dla kogóż to uczyniona została ta zasłona, pod którą ukryta jest prawda? Dla człowieka, którego cechą jest nienasyconosc. Gdy raz co ujrzy, chce jeszcze widzieć. Żądać od niego, by się zatrzymał w swych dążeniach choćby wśród prawdy, byłoby unicestwić go. Na próżno śmierć rozdierać będzie zasłonę — zupełne odsłonięcie prawdy pobudzi człowieka jeszcze zamiast go nasycić: iść on będzie wciąż dalej, nie chcąc nigdy odpoczywać. I jedna jest tylko różnica między rzeczywistą nieskończonością, jaką jest Bóg, a nieskończonością pragnienia, jaką jest człowiek: Bóg nie postępuje w nieskończoności, gdyż ją posiada, a człowiek zawsze do niej iść będzie i nigdy jej nie dosięgnie.

Ponieważ taka jest natura ludzka, potrzeba więc było, aby *Credo* mogło być przeniknione, jeśli tak rzec można; trzeba było, by pod tą powłoką niezmiennosci zawierały się niewyczerpane potoki światła, w których można się zanurzyć jak w oceanie, a żaden i najśmielszy nurek nie zgłębi ich i nie powie: „Do dna sięgnąłem samego”.

Zresztą charakter ów posiadają nie same tylko dogmaty, ale i najprostsze zasady filozofji i moralności. Rzućcie jaką zasadę w umysł genjalnego myśliciela, a wytrysnie z niej mnóstwo następstw, jakich nawet nie przeczuwaliście, a które was zachwycą. — Zasada promienieje na wsze strony i sięga wszystkiego.

Widzimy przeto, jaka jest natura dogmatu. Jest to formuła głęboka, pełna bogactw i nieobliczonych wyników; jest to słowo, pod którego osłoną trwa nieskończone życie, *verba vitae aeternae*. Rozpatrujcie się w nim, zgłębiajcie; z miłością przenikajcie przepaści danego dogmatu; niech ukryte jego piękności wytrysną przed wami, a nie starczy wam wieczności, aby skarby owe wyczerpać.

Gdyby umysł człowieka pozostawiony był samemu sobie, to w takiej pracy tysiące błędów mógłby popełnić. Ale Bóg nie poto dał *Credo*, aby je człowiek wykrzywił. Tak samo jak w pierwszych walkach kierował gorącemi rozprawami Ojców Kościoła i teologów, aby utrzymać nie-naruszalność Symbolu, tak i teraz kieruje świętymi badaniami, aby czuwać nad jego rozwojem.

Bóg mówi do chrześcijan: „Badajcie, zgłębiajcie; siłą genjuszu, miłości i wiary przenikajcie przepaści dogmatu”. Apostołom rozkazał: „Idźcie, nauczajcie wszystkiego, czego was nauczyłem”. Piotrowi zaleca: „A ty, Piotrze, potwierdzaj bracią twoją”, to znaczy: patrz głębiej niż chrześcijaństwo, niż kapłani, głębiej niż biskupi, i sądz nieomylnie.

Taki jest mechanizm Kościoła, podwójny warunek boskiego rozkwitu *Credo*.

V.

W ten sposób wsparty umysł ludzki zabrał się do zgłębiania dogmatów. Czynił to ze czcią należną, ale zarazem śmiało, gdyż wiedział, że w razie omyłki zostanie natychmiast ostrzeżony. Wszyscy podjęli się tej pracy: kapłani z kazalnicy, doktorowie z katedr uniwersyteckich, biskupi ze swych stolic. I nietylko oni, ale i ludzie świeccy, niewiasty pobożne, dziewice w klasztorach, matki chrześcijańskie i wszyscy z miłością, z czcią rozpatrywali te wielkie rzeczy, by je lepiej poznać i lepiej ukochać.

Często wśród tych ogólnych badań powstaje jakiś wielki, święty genjusz, pełen światła ziemskiego i niebieskiego, i zapuszcza przenikliwy wzrok w nietknięte dotąd

głębie dogmatu, wydobywa stamtąd wniosek dotąd niezna-ny, a ten odrazu jasnym się staje i przystępnym. Żle się wyraziłem: „dotąd niezna-ny”, po większej części wydobywa on najaw to, co oddawna tkwiło w sercach wszystkich.

Czasami odzywa się głos równie genialny, ale mniej pewny, czasem zbyt zarozumiały. — Zdaje mu się, że dostrzega w dogmacie to, czego tam niema. Ostrzegają go natychmiast. Jeżeli, jak n. p. Fénelon, pokornie błąd swój uzna, staje się większym jeszcze, wszyscy nań z podziwem i uszanowaniem spoglądają, jak na tych badaczy pustyni, którzy przy swoich cennych odkryciach o mało życia nie postradali. Ale czasem, niestety, brakuje geniuszowi pokory, jak np. Tertuljanowi lub Lamennaisowi; nie słucha ostrzeżeń, unosi się gniewem i wtedy rozpoczyna się wielka dyskusja, a ludzkość cała z niepokojem jej słucha.

Cóż przez ten czas czyni Kościół, co czyni Piotr? Patrzy, słucha, sądzi. Sądzi, czy rozwój jest prawidłowy, czy wyniki podane, jako wpływające z danego dogmatu, rzeczywiście zeń pochodzą. Omyłka w tych zawiłych badaniach ujmy nie przynosi. Nie wszyscy zdolni są wznieść się na najwyższe szczyty. Jedna tylko jest ujma, jedno zło: nie przyznać ostrzegającemu Kościołowi, że ta święta Oblubienica Jezusa Chrystusa wie lepiej i sądzi sprawiedliwiej, niż nasz słaby umysł.

Rozwój dogmatu dokonywa się jednak nietylko w ogniu walki, pod działaniem jakiejś potężnej jednostki. Rzadkie są nawet takie wypadki. Praca zazwyczaj jest głębsza, powszechniejsza, piękniejsza. Dogmat jest przedmiotem ciągłej kontemplacji dla Kościoła. Codziennie doń powraca z większą gorliwością. Jaśniej on i błyszczą w świetle wiary. Niektóre wyniki same się wysnuwają, wszędzie jednakowe, wszędzie wyraźne, i głęboko wciskają się w duszę ludzkości. Potrochu wydobywają się na usta i zamieniają w modlitwy. A taka jest powszechna jednogłośność, że wkrótce nie można im bez zuchwalstwa zaprzeczać. Jeszcze nie podlegają wierze, ale się do niej zbliżają; a dusze pobożne, zatapiając się w nich, powtarzają słowa wyrzeczone niegdyś przez Bossueta wobec nieogłoszonego wówczas dogmatu Niepokalanego Poczęcia: „Zaprawdę, mniemanie to ma dla dusz pobożnych jakąś siłę przekonywającą. Po artykułach wiary nie znam nic nad to pewniejszego”¹⁾.

¹⁾ Bossuet, Kazanie o Poczęciu Marji Dziewicy, I Część.

I cóż tu znów czyni Kościół i Piotr? Wydaje sąd najwyższy, nieomylny. Gdyby owoc był zły, zostałby odrzucony z nasieniem; jest dobry, a więc niech dojrzeje. Często Kościół dopomaga do przyspieszenia dojrzałości, usuwając przeszkody, nie dopuszczając żadnych napaści, błogosławiąc pracujących nad jego rozwojem.

W takich warunkach dąży się do ostatecznego orzeczenia. Kiedyż ono nastąpi? i czy kiedy nastąpi? Któż to wie? ani aniołowie w niebie, ani święci na ziemi, ani nawet papieże, którym została dana władza ostatecznego wyrokowania. Potrzebne do tego jest tchnienie zgóry, bezpośrednie tchnienie Ducha Świętego, unoszącego się nad Kościołem. *Factus est repente de coelo sonus, tanquam advenientis Spiritus?*¹⁾, Kościół nieomylny w orzeczeniu jest nim także i co do właściwego czasu. Nie mógłby wydać wyroku w niewłaściwym czasie. Jedną z cech jego orzeczeń, to wybór właściwej chwili. Każdy dogmat, wychodzący z Kościoła, wzbija się w niebo w oznaczonej przez Boga godzinie. Czasami współcześni nie rozumieją jego potrzeby, gdyż patrzą z nazbyt bliskiej mety lub są pochłonięci innemi chwilowemi sprawami.

Tak nad tą wspaniałą pracą ducha ludzkiego unosi się Duch Boży: *Spiritus Dei ferebatur super aquas*²⁾. Unosi się nad nią, by ją ustrzec od zboczenia, by nią kierować i wspierać. A skoro wybije godzina, Duch Boży tchnienie swe ześle, duch ludzki z Nim się połączy, i obydwaj, tworząc jedność, wydadzą wyrok: *Visum est Spiritui sancto et nobis*³⁾.

Sądzicie może, że ten wyrok położy koniec działalności dusz, rozpatrujących objawiony dogmat. Przeciwnie, pobudza je jeszcze do pracy, przynagla do niej. Jest to jakby świetlany stopień, z którego dążyć będą na nowe wyżyny.

Jako przykład weźmy jeden z artykułów *Credo*: „Wierzę w Jezusa Chrystusa... narodził się z Marji Dziewicy”. *Natus ex Maria Virgine*. Krótkie to zdanie tysiące pytań nasuwa. Czy Marja naprawdę jest Dziewicą? Czy naprawdę jest Matką? Czy jest Matką Boga? Jakim sposobem jest zarazem Dziewicą i Matką? O święci, o doktorowie, kapłani, dziewice, o matki, powiedzcie nam, co wam objawiły wasze kontemplacje! Pierwsza owa praca ciągnie się przez cztery wieki: kończy ją wielka dyskusja, po której następuje niecierpliwie oczekiwane orzeczenie, przy-

¹⁾ Act. II, 2. — ²⁾ Gen. I, 2. — ³⁾ Act. XV, 28.

jęte z uniesieniem pełnem zachwytu. Marja uznana jest przez Kościół za Matkę Boga.

Ale czy to już wszystko? Nie; stąd dalej się idzie. Jakaż była ta Dziewica, ta Matka, by mogła we wnętrzościach swoich, na rękę swoim, pod swoim sercem nosić Boga niepojęcie czystego? Czyż popełniła ona, czyż mogła popełnić jeden jedyny grzech choćby najmniejszy? Dusze święte, rozpatrujcie znowu i badajcie z wiarą, z miłością; na pomoc weźcie Pismo Święte i rozum. Druga praca trwa jedenaście wieków i wszystkim duszom daje pewność o absolutnej czystości serca Marji. Sobór Trydencki śpieszy orzec, że Marja wolna była od wszelkiej uczynkowej, choćby najlżejszej winy.

Ale jeżeli Marja była najczystsza, bez zmazy w ciągu życia całego, jakże było z Jej poczęciem? Czy miała na sobie zmazę grzechu pierworodnego? Czy taka zmaza może się godzić z przywilejem Macierzyństwa Bożego? I święte badania trwają dalej. Głębsze rozpatrywania ponawiają się nad temi słowami: *Natus ex Maria Virgine*; i wreszcie Kościół wydobywa z tej przepaści światło olśniewające: dogmat Niepokalanego Poczęcia.

Tak jak się działo z rozwojem, z boskim rozkwitem tego dogmatu przy pomocy Ducha Bożego, w świetle wiary i miłości, tak samo rzecz się miała ze wszystkimi innymi dogmatami *Credo*. Weźmy *Conceptus est de Spiritu sancto*, lub *Passus et mortuus*, a ujrzymy, ile światła wydobyły zeń wiara, miłość, boleść i genjusz.

Oto, jak się rozwija Symbol. Jezus Chrystus rozsiał na ziemi wszystkie prawdy, tak jak Bóg rozsiał na niebie wszystkie gwiazdy. Ale tak jak światło wielu z tych gwiazd potrzebowało kilku tysięcy lat, zanim się do nas; ziemi dostało, tak samo i w objawionych prawdach są promienie, są wyniki, które dopiero po wiekach całych do nas dochodzą. Przypływ tego światła rozpoczął się przed dziewiętnastu wiekami, nie skończy się zaś nigdy. Odkrycie ostatnie skutki Wcielenia! starajcie się zliczyć wszystkie skarby świętej Eucharystji, nieskończone piękności Kościoła! Symbol nie będzie nigdy do dna zbadany. Nawet żaden z jego artykułów nie będzie nigdy zupełnie wyczerpany. Za naszych czasów jest mnóstwo wyników zaledwie dostrzeżonych przez niektórych Ojców Kościoła, przez niektórych teologów; jako niewyraźne mgławice czekają one na przyjsie jakiego wielkiego genjuszu, jakiego wielkiego świętego, któryby je na światło wydobył. Są inne więcej już rozwinięte niby pączki na krzaku różanym,

są i jak kwiaty już napół otwarte. Są i owoce najzupełniej dojrzałe — te czekały, by je Sobór Watykański zerwał i dał wiernym. A teraz do tego nieprzerwanego rozwoju Symbolu dodajmy jego niezmiennność od tylu wieków, a zrozumiemy całą piękność Kościoła. Posiada on zarazem niezmiennność i życie. Wiernie i zazdrośnie strzeże otrzymanych od Boga dogmatów; dogmaty te nie są martwe; żyją i z serca Kościoła czerpią niezwalczoną moc rozrostu, która je pomału doprowadza do wspaniałego rozkwitu!

VI.

Kościół strzeże więc ciągle dogmatów jak nienaruszonych skarbów i rozwija je jak istoty żyjące. W pewnych chwilach niezmiennność *Credo* uderza silniej. Wrogowie Kościoła mówią: „To mumja zasklepiona”. W innych znowu czasach, nie przestając strzec nienaruszalności dogmatów, Kościół określa je i rozwija. Ci, którzy żyli w IV wieku, w epoce, w której w przeciągu 50 lat orzeczono na soborze Nicejskim współistność Słowa i Bóstwa Chrystusa, na soborze Efeskim Boskie macierzyństwo Marji, na soborze Konstantynopolańskim dwie natury w jednej osobie Jezusa Chrystusa i t. d., znajdowali może, iż Kościół nadużywa władzy orzekania. Tak, ale później przez 1000 lat nie użyto tej władzy. I znów może żyjący pod koniec wieków średnich znajdowali, że Kościół zbyt długo milczy. Bez wątpienia; ale nadchodził dzień, mający rzucić snop światła, dzień soboru Trydenckiego!

Połączenie tych dwóch wielkich przywilejów, ich zlanie się harmonijne tworzy właśnie niewysłowioną piękność Kościoła. Gdyby Kościół posiadał tylko pierwszy z tych przywilejów, byłby zbyt boskim; posiadając jedynie drugi, stałby się nadto ludzkim. W pierwszym wypadku podobny byłby do owych martwych religij w starożytności, nie wywierających żadnego wpływu; człowiek szedł wciąż naprzód, a one w miejscu stały. W drugim wypadku byłby jak niezliczone sekty protestanckie, które się nie rozwijają, ale zmieniając się niszczą, zamiast rozkwitać. Bóg dał Kościołowi piękność prawdziwą, po której łatwo poznać go można.

Niegdyś w pełni wieków średnich pewien wielki, święty zakonnik, chcąc wyrazić, jak pojmuje życie Kościoła, wypisał pod krzyżem, wieńczącym mury klasztoru w Kar-



tuzji, to słynne zdanie: „*Stat crux, dum volvitur orbis*. Krzyż stoi, gdy świat się porusza”.

Za dni naszych, w pełni XIX stulecia, wśród tłumów, wypełniających katedry w Paryżu, słyszałem innego świętego zakonnika, oburzającego się niejako na ową dewizę. Pełna żaru jego dusza odrzucała tamtą formułę, a na jej miejsce stawiała: *Incedit crux, dum volvitur orbis*.

Jeśli mi wolno było odezwać się po takich mistrzach, to złączyłbym te dwie dewizy, aby przez nie określić Kościół takim, jakim mi się przedstawia: stoi, lecz naprzód dąży, niezmienny, lecz wzrastający; łączy do niezmiennej, żadnem wstrząśnieniem nienaruszonej piękności wdzięk pełen żywotności, jakiej nie dosięgnie nigdy żadna nauka, żadna umiejętność: zawsze dawny, a zawsze nowy, jak Bóg, który go uczynił, i jak człowiek, który go potrzebuje.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Credo w katakumbach.

Bóg pozwolił, by za naszych czasów znaleziono niezbitą a niespodziewany dowód starożytności i niezmienności *Credo*: znaleziono go wyryty na ścianach katakumb.

Możnaby rzec, że Bóg zawsze dla ludzi dobry, dający tem więcej światła, im ciemności są większe, zachował na obecne czasy dwa nowego rodzaju argumenty: dwa miasta zagrzebane od piętnastu wieków, mające jednocześnie zmartwychwstać w wieku XIX: — pogańska Pompeja i chrześcijański Rzym katakumbowy. Pompeja, błyszcząca marmurami, malowidłami, zaludniona posągami tak sprośnemi, że choć muzea Neapolu pełne są różnych nagości, musiano pod sromotnem mianem *ogetti osceni* otworzyć specjalne muzeum, aby tam ukryć owe bezecności, które ongi w jasnym świetle stały, a na których teraz nie powinno spocząć oko chrześcijanina; Rzym podziemny, nie posiadający złota, ale zato promieniejący całą wiarą, czystością uczuć i pełny idealnych pojęć. Tamto miasto upadku, to miasto Odkupienia i Wiary.

Zstąpmy tam i odczytajmy na tych świętych ścianach każdy pokolei z artykułów *Credo*.

I.

Gdy się pierwszy raz wchodzi do katakumb, dziwne wzruszenie ogarnia duszę. Te ciemne, podziemne mieszkania, wąskie i długie korytarze, te groby, piętrzące się po obu ich stronach, wspomnienia cierpień, które przez trzysta lat napełniały krwawą kolebkę chrześcijaństwa — wszystko to wywołuje rodzaj trwogi religijnej. Ale skoro przecho-
dząc z jednej komnaty do drugiej, zatrzymamy wzrok na malowanych sklepieniach, na niezliczonych grobowych na-

pisach potrochu trwoga się rozwiewa. Jest w tych malowidłach jakaś młodość, jakieś życie, świeżość, niemal wesołość, jakaś nadzieja promienna i pogodna, której się tu nie spodziewaliśmy spotkać, a która duszę wysoko podnosi. Niema tu jednego krzyku bólu, jednej skargi, niema nawet owych słów, wyrażających słusne oburzenie lub gniew święty, jakich pełno znajdujemy w psalmach. Nie znajdziesz tu ani *Quare fremuerunt gentes*, ani *Usquequo, Domine*, ani nawet *Super flumina Babylonis*. Czujesz, że tu jest królestwo Baranka, a słodkie Jego wyobrażenie w połączeniu z wyobrażeniem gołąbka napętnia duszę pokojem, nadzieją, miłością.

Niedokładne i nieudolne kopje onych niezrównanych malowideł przyczyniły się do mniemania, że prawdziwa sztuka zupełnie obcą była katakumbom. P. Raul Rochette, obznajmiasz nas z niemi, popsuł je nam. Z takim wrażeniem zacząłem je studjować. Jakież było moje zdumienie, gdy na każdym niemal kroku spotykałem ślady prawdziwie wielkiego artyzmu! Czasami objawia się on tylko w pośpiesznym rysie, od ręki rzuconym; ale czyż to nie wystarczy, by wywołać najżywsze wrażenie? Ileż to godzin spędziłem w galerji Uffizzi we Florencji, podziwiając rysunki wykonane ołówkiem lub piórem przez Rafaela, Michała Anioła, Leonarda da Vinci! Jest tam na kawałku papieru rzucony ręką Rafaela szkic Madonny nigdy niewykończony, a do łez wzruszający. To samo odczułem w katakumbach. Wielkość stylu, zapał w wykonaniu, postacie rzucone od niechcenia, a tak udane, ta naturalność, to życie, brak wszelkiego archaizmu i sztucznego układu wprowadzały mnie w zdumienie. Nie śmiałem nikomu zwierzyć się z tego, co odczuwałem, nie śmiałem sam przed sobą tego wyznać. Często, przyjrzaawszy się rzeźbom na kolumnie Antonjusza, malowidłom domu Cezarów w Ostji, zstępowałem do katakumb: odnajdywałem tam tę samą sztukę, ten sam pendzel, ale jakby odmłodzony, ożywiony niejako wyższem tchnieniem. Zatrzymałem się z zachwytem przed ową cudną Bogarodzą na cmentarzu św. Pryscyli; Dzieciątko przypomina tam układem obraz Rafaela z muzeum Luwru; lub przed Najśw. Matką z cmentarza św. Domitylli, gdzie znów Dzieciątko zamysłone, poważne, całe w bieli i promieniach, przywodzi na myśl śliczne minjatury Fra Angelica; lub jeszcze przed oną niezrównaną sceną Zwiastowania, pendzla czysto greckiego, lub wreszcie przed Dobrym Pasterzem w krypcie Lucyny. Jeżeli to nie jest prawdziwie wielka sztuka, myślałem, to gdzież jej szukać?

Ale powtarzam, nie śmiałem nawet przed sobą wyznać tego, bojąc się, że mnie zapał zbyt unosi. Dopiero uczyniłem to jawnie, usłyszawszy sądy wydawane przez najkompetentniejszych sędziów, jak uczonego p. de Rossi¹⁾, pełnego artystycznego smaku p. Vitet²⁾, pp. Küglera³⁾, Northcote'a i Brownlowa w Anglii, p. Welckera w Niemczech: wszyscy oni głośno wypowiedzieli to, czego dotąd szeptać nie śmiałem.

Głównie w błąd wprowadza różnorodność pendzla, którą się napotyka w katakumbach: były one dla wszelkich stanów, lat, a więc i różne były malowania. Na grobach biedaków widzi się kilka niekształtnych pociągnięć ołówka; na grobach bogaczy, ale bogaczy z III, IV i V wieku, malowidła są sztywne, bez wdzięku, bez artystycznej wartości. Wszystko to wydano razem pomieszane, i dlatego starożytnie freski, niedbale i nieudolnie reprodukowane, nie zostały zauważone w onej całości, mogącej tylko zniechęcić ogół.

Wielki był czas, by p. de Rossi prawdziwą sztukę najaw wydobył. On był Krzysztofem Kolumbem katakumb; odkrył krypty nieznanne lub niedostatecznie oczyszczone i dlatego mało poznane; studjował w nich znaki chronologiczne, aby właściwą ustalić datę; dopomagały mu do tego sposoby murowania, rodzaje i odcienie farb, użycie stiuków i mozaik, odciski na ceglach, znajomość paleografji i epigrafiki, styl malowideł. Tym sposobem udało mu się oznaczyć wiek różnych katakumb; odróżnić ozdoby z III i IV wieku od ozdób wykonanych w wieku II i od najcenniejszych, sięgających czasów apostołskich. Praca ta już jest dokonana, i nie powrócę do niej, chyba dla niektórych drobnych szczegółów. Jednym z jej rezultatów jest wiadomość, że im krypta jest bardziej starożytna, tem jej styl jest czystszy, pendzel ten sam, co w freskach pompejańskich lub w domu Cezara w Ostji, tylko z domieszką czegoś śmielszego, wznioślejszego, bardziej żywotnego, nie poświęcającego nic dla rutyny, a przenikniętego uczuciem.

Na pierwszym miejscu tych drogocennych krypt, rywalizujących z tem, co sztuka rzymska z I wieku miała najpiękniejszego, umieścić trzeba cmentarz św. Pryscyli na drodze *Salara nova*, w posiadłości senatora Pudensa, współczesnego Apostołom, których był uczniem. W środ-

¹⁾ Rossi, *Roma sotterranea*. — ²⁾ Vitet, *Etudes sur l'histoire de l'art*. — ³⁾ Kügler, *Handbook of painting in Italy*. Northcote i Brownlow, *Rome souterraine*.

ku tego cmentarza znajduje się przepiękna krypta, znana pod nazwą *Kaplicy greckiej*, z powodu greckich napisów. Freski i stiuki przypominają tu najświetniejszy okres sztuki grecko-rzymskiej; dorównać im tylko mogą freski w krypcie św. Domitylli na drodze Ardeatyńskiej. Tam znajduje się owo słynne sklepienie pokryte w całości wyjątkowo pięknym malowaniem, przedstawiającym krzew winny; gałęzie jego pną się po ścianach z przedziwną swobodą i lekkością; wśród gałązek fruwać ptaszka, a małe skrzydlate amorki zrywają dojrzałe grona. Wszystko tu tchnie wdziękiem sztuki rzymskiej z I wieku. Tu i owdzie spostrzec można krajobraz w rodzaju pompejańskich; rzecz to jednak w katakumbach nader rzadka nawet w owej epoce, a w późniejszych czasach już wcale niespotykana.

Obok krypt św. Pryscylli i św. Domitylli, a może wyżej jeszcze, stawić trzeba dwa słynne *cubicula* na cmentarzu św. Lucyny, gdzie wśród pięknych stiuków widnieją najpiękniejsze freski. Czystością rysunku i wdziękiem szczegółów przypominają one śliczne arabeski z term Tytusa, które Rafael skopjował w *Stanzach* watykańskich; muszą pochodzić z tego samego czasu. „Uczony p. Welcker, tak biegły znawca starożytności, oświadczył, że muszą one pochodzić z końca I wieku”¹⁾. Zaznaczmy jeszcze cmentarz Pretexteta, którego niższe piętro oczyszczone z gruzów w 1850 r. przedstawia znamiona najodleglejszej starożytności; piękne jego freski, zachwyciwszy p. de Rossi, podały mu myśl wielkiego jego dzieła *Roma sotterranea*²⁾.

W tych to pierwotnych kryptach znaleziono owe szklane medaljony rysowane rylcem i pokryte złoconymi postaciami; są one starannie przechowane w muzeach watykańskich. „Wiadomo, jaką delikatnością i piękną rysunku odznaczają się te medaljony, wyobrażające jużto Dobrego Pasterza, jużto przedstawiające szlachetne profile Apostołów Piotra i Pawła; wiemy też, jak w tych kruchych, pomnikowych arcydziełach śmiałość, czystość linii i smak właściwy starożytnym łączą się szczęśliwie ze słodyczą chrześcijańską i czynią z nich dzieła prawdziwie oryginalne.” Tam także wśród gruzów starych krypt znaleziono ów cudny brąz, przedstawiający obydwóch Apo-

¹⁾ Gaston Boissier, *Revue des Deux Mondes*, tom LIX. — ²⁾ *Bull. di arch. crist.* 1872. „Tam w tem podziemiu, pisze p. de Rossi, ułożyłem metodę, według której kierowałem moimi pracami; żywe światło olśniło mój umysł i powziąłem plan *Roma sotterranea*”.

stołów; dzieło to jedyne w swoim rodzaju tak piękną wykonania, jak i szlachetnością typów; staje ono może jeszcze ponad najpiękniejsze szklane medaljony. Ale przede wszystkim tam właśnie, przy poszukiwaniach czynionych nad cmentarzem św. Agnieszki, odkryto głowę Zbawiciela z palonej gliny, ideał człowieczej piękności. Jest w tym czystym, delikatnym, majestatycznym profilu jakieś cudne zlanie się genjuszu greckiego i rzymskiego, a jednocześnie piętno genjuszu chrześcijańskiego charakteryzuje to szlachetne oblicze, nadając mu wyraz nadludzkiej dobroci i piękności. „Nie zapomnimy nigdy, pisze p. Perret w swym dziele *les Catacombes*, łez zachwyty, jakie widok tego arcydzieła wycisnął z oczu jednego z najznakomitszych malarzy (Ingres), gdy mu je po raz pierwszy pokazyli”¹⁾.

A jednak, jakkolwiek wielka jest moja namietność do sztuki, nie ona to ciągnęła mnie do katakumb i nie ona mnie tam zatrzymywała. Dostrzegłem tam coś innego jeszcze, coś bez porównania więcej wzruszającego. Widziałem tam *Credo* malowane na tych ścianach z najdrobniejszymi szczegółami. Prace znakomitego Bosio²⁾, Boldetti³⁾ i Bottari⁴⁾ z XVII i XVIII wieku pozwoliły już cośkolwiek z tego przeczuwać, ale były to jeszcze rzeczy niezupełne, niepewne, niewyjaśnione. Były w nich olbrzymie braki. Teraz, ale dopiero od lat niewielu, oczywistość jest zupełna. Żadna dyskusja tu już nie potrzebna. Znamy dokładnie daty powstania tego mnóstwa malowideł i wiemy, że właśnie w najdawniejszych, współczesnych Apostołom kryptach znajdują się freski nietylko najpiękniejsze, ale rzecz można, najbardziej *dogmatyczne*, gdyż jasno przedstawiają dogmaty. Kaplicę św. Pryscylli, okrytą dawnymi malowidłami najczystszej sztuki z I wieku, można nazwać *Kryptą Marji*⁵⁾ z powodu licznych obrazów, odnoszących się do życia Najświętszej Panny. Jest ich tam cztery czy pięć, którym się bliżej przyjrzymy, a szczególnie dwóm współczesnym Apostołom, których promienny blask rozjaśnia całą kryptę boskim światłem. A ona druga krypta Lucyny, rywalizująca z pierwszą tak starożytnością, jak czystością stylu, możnaby nazwać *Kryptą Chrztu i świętej Eucharystji*, tak jasno wyłożone są tu oba

¹⁾ Perret, *les Catacombes* t. VI. — ²⁾ Ant. Bosio, *Roma sotterranea* 1632. — ³⁾ Boldetti, *Osservazioni sopra i cimiteri de santi martiri et antichi cristiani di Roma*, 1720. — ⁴⁾ Bottari, *Roma sotterranea* 1720. — ⁵⁾ Dom. Maurus Wolter, opat Benedyktynów w Deubon, *Les catacombes de Rome*.

dogmaty i tak doskonale przedstawione. Któż nie wie, że słynny O. Marchi, badając kryptę św. Kaliksta, nazwał te śliczne izby *Izbami Sakramentów*, i wszyscy archeologowie nazwę tę zatrzymali. A co powiedzieć o cmentarzu św. Domitylli i jego freskach, w których po raz pierwszy widzimy Apostołów jako rybaków, siedzących i łowiących ryby wędką? „Dziwne wzruszenie ogarnia, mówi p. de Richemont, na myśl, że autorowie tych obrazów znali prawdopodobnie onych słynnych rybaków przybyłych ze Wschodu, którzy słyszeli prorocze słowa i na których one się sprawdziły. Nader ściśle badania doprowadzają do tej pewności¹⁾).

Zbliżamy się więc do tych ścian, których datę pochodzenia już znamy. Jeżeli w XVI wieku, gdy poszukiwania wydobyły na światło dzienne słynne rzeźby Apollina z Belwederu, Laokona i inne, kapłani, biskupi, papieże na kolanach podziwiali arcydzieła ludzkiego genjuszu, czyż zbyt śmiało byłoby żądać od dzisiejszych ludzi, choćby nawet chwiejnych w wierze, by na chwilę zatrzymali się przed malowidłami katakumb, zagrzebanymi od przeszło ośmnastu wieków, i by przyjrzeni się ze świętą ciekawością i zdumieniem temu odwiecznemu katolickiemu *Credo*, wyłaniającemu się z cieniów, pełnemu niespodziewanej piękności, świeżości i zycia.

II.

Czyż trzeba mówić, że pierwszy artykuł Symbolu, *Credo in unum Deum*, wypisany jest na wszystkich ścianach cmentarzy? A nietylko wykazana tam jest wiara w Boga jedyne, ale i wiara w Tróję Przenajświętszą, wiara w każdą z trzech Osób Boskich. Wszędzie na grobach znajdujemy takie wyznania: *Vivas in Deo*²⁾. *In Deo*. *Ev Θεῷ. Πίς ἐν Θεῷ*.

Potem wiara w Jezusa Chrystusa: *Augurine in Domini et Jesu Christo. Pax Domini et Christi cum Faustino Attico. Ponti vivas in Deo Christo*. Jak w tem ostatniem wyznaniu jasno jest wyrażona wiara w bóstwo Chrystusa! Nakoniec wiara w Ducha Świętego: *Vibas (vivas) in Spiritu sancto. Paulus Evochiati Spiritu sancto. Severa Spiritu sancto casta, pudica et inviolabilis semper*³⁾.

¹⁾ P. de Richemont. *Nouvelles Etudes sur les Catacombes*; dzieło to bardzo znakomite i wyczerpujące. — ²⁾ Ten i następne napisy znajdują się w dziele p. de Rossi *Roma sotterranea*. — ³⁾ Muzeum Watykańskie, napis z II wieku.

W niektórych napisach jest pewien delikatny odcień starannie przez p. de Rossi zaznaczony. Oto np. na grobie chrześcijanki Krystyny czytamy:

Χριστινα ἡ ἐν Θεῷ καὶ Χριστῷ πιστεύουσα.

Christina quae in Deo et in Christo credidit.

Jest tu dokładnie przytoczony wyjątek z *Credo*, jak było odmawiane w rzymskim kościele. W innych kościołach wschodnich i zachodnich mówiono: *Credo in unum Deum*.

W rzymskim zaś kościele, idąc za dawną przednicęską tradycją, nie kładziono słowa *unum*; wspominają o tem św. Rufin i św. Ambroży. Co więcej, zamiast *Credo in Deum* mówiono *Credo in Deo*. Tak właśnie brzmi ów napis i dlatego daje on pewny dowód starożytnego pochodzenia Symbolu¹⁾.

Niedość jednak było wyznawać wiarę w trzy Osoby Trójcy Przenajświętszej — starano się jeszcze przedstawić Ich boską jedność. Wcześniej zaczęto używać znaku mało dotąd zauważonego i mało rozpatrywanego: *trójkątu*. Chcąc zwrócić nań uwagę wiernych dodano przy nim *Α* i *Ω*, lub monogram *Ⲱ*¹⁾. W tym samym celu używano także *trójkęba*, który według naszego mniemania nie jest wcale wyobrażeniem krzyża, jak twierdzono, ale zakrytym dla niewiernych, a jasnym dla chrześcijan znakiem Trójcy Przenajświętszej.

W późniejszej epoce posunięto się dalej jeszcze i spróbowano odmalować Tróję Przenajświętszą; zdarzało się to jednak rzadko. Wspomnieć jednak należy o sarkofagu znalezionym w kościele św. Pawła za murami, gdzie widnieją trzy Osoby Boskie stwarzające Ewę²⁾, i o scenie chrztu Pana Jezusa w krypcie św. Lucyny, gdzie niebo się otwiera i Duch Święty zstępuje w postaci gołąbki³⁾.

Po artykule, w którym wyznajemy wiarę w istność Boga jedyne i troiste, *Credo in unum Deum*, Symbol stwierdza wiarę w stworzenie nieba i ziemi i w smutny upadek człowieka. Nie zatrzymamy się przy obrazach, przedstawiających stworzenie świata; jest ich mało, czyto z powodu trudności jakie ten przedmiot nasuwał malarzom, czy też że nie przedstawiał on wielkiej wagi dla chrześcijan. Inaczej rzecz się ma z upadkiem, tak szybko nastę-

¹⁾ De Rossi, *Roma sotterranea*. — ²⁾ Można widzieć 7 czy 8 takich znaków w *Spicilegium Solesmense*. — ³⁾ Muz. Later. Ten wspinał sarkofag, znajdujący się w głównej sali, zdaje się pochodzić z początku IV wieku. — ⁴⁾ *Roma sotterranea*.

pującym po stworzeniu i taki zupełny przewrót w niem sprawiającym. Jego wyobrażenie znajduje się na każdej karcie onej wielkiej Księgi, jaką są katakumby. Czasem Adam i Ewa, stojąc po dwóch stronach drzewa, wokoło którego wije się wąż, wyobrażeni są przed winą: Adam patrzy na Ewę, Ewa spogląda na owoc. To znowu przedstawieni są w chwili upadku, jak np. w pięknym malowidle cmentarza św. Domitylli. Wśród gęstych liści i wspaniałych owoców drzewa widać węża wysuwającego głowę ku Ewie; w pysku trzyma jabłko. Najczęściej Adam i Ewa przedstawieni są po spełnieniu grzechu, wstydzą się swej nagości i starają się okryć wielkimi liśćmi, które silnie przytrzymują rękami¹⁾. Wizerunki upadku są niezliczone, niektóre niezmiernie starożytne, współczesne Apostołom; są między niemi prawdziwie piękne, proste a wspaniałe. Wspomnę tu mimochodem o obrazie z cmentarza św. Januarego w Neapolu. Podobnego mu nie znajdujemy w rzymskich katakumbach. Wdzięk postawy Ewy, śliczna linja zgiętego jej kolana, szlachetny i swobodny układ Adama świadczą, że dzieło to należy do sztuki czysto greckiej²⁾.

Jeżeli pierwsi chrześcijanie pokrywali ściany katakumb wspomnieniami upadku, nie zapomnieli też o pełnej tajemnic obietnicy, danej w tejże samej chwili pierwszym naszym rodzicom, aby podnieść ich dusze zgębnione. Rzecz godna uwagi: przy każdym wyobrażeniu upadku prawie zawsze znajdujemy pogodny wizerunek *Orante* (modlącej się). Otóż owa *Orante* to nie kto inny, jak *Marja* Dziewica³⁾. Imię *Marji* nie jest wprawdzie wypisane na każdym z tych obrazów, ale nie można mieć żadnej co do tego wątpliwości. Miejsce zajęte przez nią wobec upadku, otaczające ją ornamenta, użyte przez malarza, jak gdyby się lękał, by jej nie wzięto za kogo innego; ręce nie wzniesione wgórę, ale nadół opuszczone, jak w terażniejszych posągach Niepokalanego Poczęcia; dwa wazony stojące po dwóch jej bokach, lub dwie osoby pochylone na lewo i na prawo i wskazujące ją z uszanowaniem; ta gołąbka umieszczona u jej stóp — wszystko to jasno wykazuje, że jest

¹⁾ Cment. Domitylli. — Cment. św. Marcelina i Piotra. Patrz także *Vetri ornati di figure in oro*, da Raffaello Garrucci. — ²⁾ Garrucci. — ³⁾ Garrucci, Spójrz na *Orante* umieszczoną obok Adama i Ewy. Nie jest to zwyczajna *Orante*: 1-o stoi ona w niszy jak statua; 2-o nie podnosi rąk w niebo, wyciąga je ku ludziom. Jest to *Marja* według opinii Severana i d'Aringhiego.

to owa Dziewica, o której zaraz po upadku powiedziano: *Ipsa conteret caput tuum!* Według mnie archeologowie nie dosyć zbadali ten ważny punkt. Powrócę doń jeszcze; tu chciałem tylko zaznaczyć miejsce, które dawni artyści dawali *Marji* obok nieszczęsnego drzewa, stawiając tę nową Ewę czystą, promienną, osłoniętą śnieżną szatą, obok Ewy upadłej, uciekającej, by zakryć nagość swego ciała.

III.

Śpieszno mi dojść do drugiego artykułu Symbolu: *Et in Jesum Christum, Filium ejus unicum, Dominum nostrum*. Z jakąż to niezrównaną miłością i pietyzmem musieli pierwsi chrześcijanie odmalowywać tego Chrystusa, którego w napisach zowią Bogiem Chrystusowym: *Ponti vivas in Deo Christo*, Panem Chrystusowym: *in Domino Christo*, którego miłowali tak bardzo, że z radością dla niego umierali. Rzeczywiście wyczerpali oni w tych wizerunkach nie tylko całą swą umiejętność sztuki, ale i serce całe i genjusz.

Trzeba dobrze zrozumieć, w jakim znaczeniu używamy tu wyrazów sztuka, genjusz. Nie jest to sztuka Rafaela lub Leonarda da Vinci, ale raczej coś podobnego do prac błogosławionego *Fra Angelico*, któremi przyozdabiał celki klasztoru św. Marka, aby dusze i serca braci zakonnych ku Bogu podnosić. Tu jeszcze ciemności katakumb, niemożność malowania i oglądania malowideł jak przy świetle lamp, przekonanie, że tylko na czas ograniczony są one zamknięte w onych podziemiach — to wszystko musiało na drugi plan usunąć kwestję sztuki i podporządkować ją w zupełności kwestji zbudowania dusz. Jeżeli się jednak ma żywe uczucie, jeżeli się chce przedstawić uwielbianą i umiłowaną istotę, to wtedy maluje się ją z czcią, z zapamiętaniem, z zachwytem; a jeżeli jeszcze tę cześć, tę miłość pragnie się przelać w inne dusze, to choćby się jedynie węglem rysowało, i tak w rysunku odda się ogień, przepełniający serce. Oto właśnie charakter fresk katakumbowych, a w szczególności tych, które przedstawiają Pana Jezusa. Jest ich mnóstwo pełnych życia. W rysach szybko kreślonych jest piękność tak prawdziwa i tak naturalna, a w najdawniejszych obok czystości rysunku tyle głębokiego uczucia, że nie można dać nawet słabego pojęcia o nich tym, którzy obrazów onych nie widzieli.

Zaznaczmy przed innemi i ponad inne idealną, czysto grecką postać Chrystusa jako Orfeusza, czarującego swoją lutnią dzikie zwierzęta. Wizerunek ten spotyka się tylko trzy razy i to w najdawniejszych katakumbach¹⁾. Pierwsi chrześcijanie czuli, że Chrystus przyszedł nawracać świat, czarując go, i dlatego w ten sposób Go przedstawiali; może też lękając się, by tajemnica katakumb nie została odgadnięta, nie śmieli inaczej malować Chrystusa jak pod wyobrażeniem, którego poganie nie mogliby ani zrozumieć, ani znieważyć. Jakaż wielka jest różnica między chrześcijańskim Orfeuszem z cmentarza św. Domitylli a pogańskim Orfeuszem w tymże czasie malowanym w Pompei! Sztuka tu i tam jest ta sama, takiż rysunek, ale jaki inny, nowy duch tu wszystko ożywia! Oblicze Chrystusa jest idealne, pełne niebieskiego natchnienia, usta napół otwarte, oczy piękne, łagodne i pogodne, włosy zwijają się w pierścienie. Wokoło lwy, tygrysy, węże słuchają pieśni zaczarowanych. Jest w tem moc wielka i myśl pełna znaczenia.

Nie wiem, czy nad ten obraz nie stawić jeszcze wyżej Orfeusza z cmentarza św. Kaliksta. Chrystus jest tu w szacie frygijskiej, gra na lirze. Niema wokoło Niego dzikich zwierząt: czar już podziałał; zmieniły się one w ciche owieczki, które z podniesionymi głowami zapatrzone są w Boskiego czarodzieja. Tu prawdziwa sztuka grecka zlewa się z chrześcijańskim genjuszem.

To piękne o głębokiem znaczeniu wyobrażenie Chrystusa niedługo było używane. Zastąpione zostało innem, prawie równie dawnem, a bardziej na Ewangeli opartem; powtarza się ono niezliczoną ilość razy — jest to obraz Dobrego Pasterza. Jak dać pojęcie o liczbie i o piękności tych ślicznych kompozycji, z których kilka sięga I wieku, a więc czasów apostolskich? Jezus Chrystus stoi odziany grecką chlamydą lub rzymską tuniką; na ramionach niesie zbłąkaną owieczkę; wierne owce ma u stóp swoich. Żadne słowa nie mogą wyrazić życia, świeżości, wdzięku, z jakimi odmalowane są te sceny. Warto jest przyrzeć się na cmentarzu św. Priscylli Dobremu Pasterzowi; stoi oparty na wysokiej pasterskiej lasce; nogi ma skrzyżowane, głowę z tklivością pochyla ku owieczkom. A one jak się cisną wokoło, jak nań spoglądają! Jest to tłumaczenie słów Zbawiciela: *Cognosco meas et cognoscunt me meae*.

¹⁾ Jeden znajduje się na cmentarzu św. Kaliksta. — Rossi. Garrucci. — Dwa na cmentarzu św. Domitylli. — Garrucci.

Lub na tym samym cmentarzu spojrzycie na postać Zbawiciela, młodą, wdzięczną: w jednej ręce trzyma kij, drugą spuszczoną liże mu owieczka. Gdyby malowidła te nie znajdowały się w ciemnych korytarzach, gdzie je trudno dojrzeć, podziw nad pięknymi tworam genjuszu chrześcijańskiego nie znalazłby granic.

Czasami scena w inny sposób jest oddana. Jest tam całe stado owiec, mnóstwo wiernych baranków, a wpośród nich na wzgórzu, z którego wypływają cztery rzeki, stoi jedna większa owca, głowę jej otacza aureola. Nic pod tym względem nie przewyższa wielkiego malowidła na cmentarzu św. Marcelina i Piotra. Na wzgórk, z którego płyną cztery rzeki, stoi baranek w świetlanem niebie. Po dwóch jego stronach dwie osoby pochylone wskazują nań ręką. Bezwątpienia, baranek nie posiada tu majestatu, w jaki go kiedyś oblecze Van Dyck w przepięknym obrazie w Gandawie; ale i tu nie brak jest wielkości. Osoby, stojące po bokach, dość pospolicie oddane, mają w sobie jakiś zapał, ich ręce zwrócone są ku barankowi, wzrokiem zdają się przyzywać widzów, by padłszy na kolana, cześć mu oddali — wszystko to jest porywające. Z punktu widzenia dogmatycznego jest to jedna z wielkich scen czci i uwielbienia: *Dignus est agnus qui occisus est accipere honorem et gloriam et benedictionem* (Apoc. V. 12).

Malarze katakumbowi nietylko pod figurami przedstawiali boskiego Mistra; ośmielali się czasami malować idealny Jego wizerunek; nie były to portrety, bo w pierwszych trzech wiekach nie ośmielano się ich robić, a może nie miano do nich pewnych danych, w każdym razie jednak wyobrażenia te były prawdziwie idealne. Wspomnieć należy w szczególności o Chrystusie, siedzącym między uczniami; trzech jest po prawej, a trzech po lewej Jego stronie. Obraz znajduje się na cmentarzu św. Agnieszki. Można by sądzić, że scena ta odmalowana jest przez Fra Angelico. Twarz Chrystusowa posiada niewymowną słodycz. Albo czyż może być coś wdzieczniejszego, jak Chrystus odmalowany na cmentarzu św. Domitylli; odziany jest w tunikę, szeroki kołnierz okala ramiona jego, włosy ma długie, kędzierzawe. Siedzi wśród kilku drzew na ładnie narysowanej skale; wyciąga ręce i zdaje się mówić: „Pójdźcie do mnie wszyscy”. Młodość, piękność, łaskawość zebrane są tu razem. Przytoczmy jeszcze jedną śliczną kompozycję z cmentarza św. Agnieszki. Jezus

siedzi, trzymając w lewej ręce księgę, prawą podnosi do błogosławienia. Niesposób znaleźć miłszej postaci; wdzięk młodzieńczy, włosy rozsypujące się po ramionach, piękność i szlachetność rysów, wyraz ich szczególnie — oto najpiękniejsza sztuka starożytna, odnowiona, odmłodzona nieznanem dotąd tchnieniem.

Takimże pendzlem i z równem umiłowaniem oddane są wszystkie sceny z życia Zbawiciela, gdyż ani jednej tu nie brakuje, nietylko sceny z dzieciństwa Jego, do których jeszcze wrócimy, ale wszystkie inne z Jego życia. Jezus chrzczony przez Jana¹⁾; Jezus pośrodku dwunastu Apostołów, zawsze od nich wyróżniony swoim wyniesieniem; Jezus pośród czterech ewangelistów, z małym u stóp kozykiem, w którym widać cztery zwoje Ewangelji; Jezus, uzdrawiający ślepego od urodzenia, ten obraz jest idealnie piękny; Jezus, uczący Samarytanę; Jezus, rozmnażający chleby, przemieniający wodę w wino na godach w Kanie, wskrzeszający Łazarza i t. p. Cała Ewangelja odmalowana jest na ścianach katakumb, czasem w rysunku pośpiesznym, nieumiejętnym, ale często także, przedewszystkiem w dawniejszych kryptach, z artyzmem, z podniosłością, śmiałością i życiem, które zdumiewa i zachwyca²⁾.

Wszyscy prawdopodobnie myślą, że ci malarze, tak skorzy do przedstawienia różnych rysów życia Chrystusowego, wysilać będą całą sztukę, aby odmalować Jego cierpienie, upokorzenie i śmierć? Tak jednak nie jest. Dopiero o wiele później spotykamy w katakumbach Pana Jezusa na krzyżu. Może była to znowu obawa, by obraz Chrystusa ukrzyżowanego nie został znieważony przy jakim najściu pogańskim na katakumbach. A może w gorącym uniesieniu, z jakim podejmowali najokropniejsze męki, nie chcieli w przemijającym cierpieniu przedstawić Wodza umiłowanego. Męczenników przedstawiali zawsze rozpromienionych, triumfujących; jakże byliby mogli odmalować Zbawiciela poniżonego, zranionego, umierającego? Faktem jest, że katakumbach nie zawierają ani jednego z owych

¹⁾ Nad drzwiami jednej z krypt św. Lucyny jest podobno malowidło prawie zatarte i niezmiernie dawne.

²⁾ Na przykład, na cmentarzu św. Domityli odmalowany jest Jezus Chrystus młody, z długimi, wijącymi się włosami, odziany w tunikę i palium, stoi prawą nogą na wzniesieniu i nachyla się, aby dotknąć palcami oczu ślepego; ten przykłęka na prawe kolano, obie ręce na znak prośby wznosił w górę. Śliczna ta scena pełna jest życia i wdzięku. — Garrucci, Tavoł. XXIX.

obrazów, które w następnych wiekach stały się przedmiotem usilnej pracy, a zarazem triumfem, choć czasem i rozpaczą dla mistrzów wielkiej sztuki chrześcijańskiej.

Jeżeli jednak nie śmieli lub nie chcieli przedstawiać męki Zbawiciela, to sam krzyż wszędzie stawiali, starannie go osłaniając, czyniąc go niedostrzegalnym dla pogan, a widocznym dla oczu wtajemniczonych. Czasami umieszczali go w kesonach sklepień, któremi według starożytnego zwyczaju ozdabiali *cubicula*, a ponieważ tam mógł zniknąć wśród liściastych gałęzi i deseni, chętnie umieszczali krzyż przy krzyżu¹⁾. Czasem znów poprzestawali na wyobrażeniu go w kształcie drzewa, na które z miłością spoglądają owieczki lub gołąbki. Często, niby przez fantazję artysty, drzewo rozdzieliło się na dwie olbrzymie gałęzie po prawej i lewej stronie, dając wiernym jasny obraz Krzyża. Zmęczone jelenie lub owce odpoczywają w jego cieniu. Czasami głębsze znaczenie tkwi w obrazie: gołąbka przygląda się dwom drzewom; jedno niskie, bezlistne, bez gałęzi, prawdziwie suche drzewo grzechu; drugie wysokie, zielone, pełne liści i owoców wypuszcza dwie duże gałęzie, drzewo odkupienia i zbawienia.

Wkońcu jednak zaczęli przedstawiać i sam krzyż wyraźniej; a wtedy ozdabiali go drogiemi kamieniami, złotem i srebrnymi arabeskami. Kładli go w rękę Chrystusa jako berło, jaśniejące chwałą. Dalej się już nie posunęli, i dopiero w VII wieku odnajdujemy jeden jedyny wizerunek Chrystusa na krzyżu.

Ale zato napotykamy tam kompozycje, przedstawiające zmartwychwstanie i wniebowstąpienie, czyto ściśle według historycznego opisu, co jednak rzadko się trafia, czy też pod osobą Jonasza, o którym sam Jezus powiedział: „Albowiem jako był Jonasz w brzuchu wieloryba trzy dni i trzy noce, także będzie Syn Człowieczy w sercu ziemi”. Figura ta symboliczna okrywa literalnie ściany katakumb. Znajduje się ona na grobowych płytach, na me-

¹⁾ Przykład ten odnajdujemy na plafonie jednego z dwóch najstarszych *cubiculi* cmentarza św. Lucyny. Znamy odnośną do malowania do czasów Flawjuszów. Otóż tam, pośród klasycznych ornamentów, głów, genjuszów skrzydlatych, wieńców z kwiatów i owoców podobnych tym, które odnaleziono w Pompei, trzy razy napotykamy krzyż — w środku i na zboczu sklepienia — niewidoczny dla oczu pogan. Nie można było odmalować go śmielej, a jednocześnie zreczniej go ukryć i to w I wieku. — Na cmentarzu św. Priscylli znajduje się też plafon, przedstawiający krzyż w sposób bardzo dla chrześcijan wyraźny, a bardzo zasłonięty dla niewtajemniczonych.

talowych medaljonach, na lampach, na kamieniach, na dnach szklanych kielichów, jednym słowem wszędzie. Niektóre z tych rysunków wykonane są po mistrzowsku i tak czystością stylu, jak odrobienia równają się z najpiękniejszemi postaciami Orfeusza chrześcijańskiego lub dobrego Pasterza.

Ale dosyć już o tym niewyczerpanym przedmiocie.

IV.

Pomówmy o Matce Bożej, o Najświętszej Marji Dziewicy. Godzi się Ją umieścić obok Boskiego Jej Syna, wszak w Credo mówimy: *Natus ex Maria Virgine*. Niechby protestanci, wyrzucający nam cześć Matki Jezusowej i utrzymujący, że cześć ta jest innowacją późniejszych wieków, niechby, mówię, zechcieli zstąpić z nami do katakumb. Długo sądzono, że niema tam wizerunków Marji, lub że jedynie spotyka się Ją w historycznych scenach, przedstawiających pokłon Trzech Króli. Twierdzono, że dopiero po soborze Efeskim wzrosła liczba malowideł, odnoszących się do Marji. Błędne to mniemanie pochodziło stąd, że długi czas znano zaledwie maleńką część katakumb i to jeszcze bardzo pobieżnie. Niema ani jednego z przywilejów Matki Boskiej, ani jednego z cudownych zdarzeń Jej życia, którychbyśmy nie odczytali po wiele razy na ścianach katakumb: dziewictwo, zwiastowanie, nawiedzenie, Boskie macierzyństwo, wieczna Jej czystość, Jej potęga u Boga — wszystko tam się znajduje.

I nie tylko pierwotni malarze nie pominęli niczego, co się tylko Najświętszej Panny tyczyło, ale malowali to właśnie z największym natchnieniem. W żadnych innych obrazach nie widzimy tyle pomysłowości, oryginalności, tyle instynktownego zwrotu do starożytnej sztuki klasycznej, co w tych freskach, tak słusznie zachwycających znawców, zwiedzających podziemne cmentarze.

A nadewszystko zdumiewają najdawniejsze, bo czasów apostolskich sięgające malowidła, są one najpiękniejsze.

Wejdźmy najpierw do krypty św. Priscylli, którą słusznie nazwano *kryptą Marji* dla licznych fresków, przedstawiających Najśw. Pannę. Zatrzymajmy się przed obrazem, w którym w najwyższym stopniu zlewa się duch nowy ze starożytną formą. Jest on najdawniejszy ze wszystkich, przedstawiających Zwiastowanie: pochodzi

z czasów św. Jana. Na ślicznie ozdobionem tle, w okrągłym obramowaniu utworzonym z pięciu rzędów drogich kamieni, widać dwie osoby. Na pierwszym planie siedzi na staroświeckim krześle Marja Panna, a przed nią w pewnej odległości stoi druga osoba, zdająca się przemawiać. Dziewica słucha z oczami skromnie spuszczone; prawą ręką lekko się wsparła o poręcz krzesła, lewą trochę wysunęła, jak ktoś stawiający pytanie. Druga osoba wyraźnie prosi; jedną ręką przytrzymuje palium zarzucone na tunikę, drugą wyciąga ku Dziewicy z gestem wyrażającym chęć przekonania. Oczy duże, szeroko otwarte, pełne są niebiańskiego ognia. Układ obydwóch osób, skromność jednej, powaga, z jaką druga czyni swoje przedstawienie, nawet fałdy szat, wszystko czyni najżywsze wrażenie. Nie można dość się napatrzeć tej Dziewicy pełnej godności i niewinności, czystemu wyrazowi jej oblicza, całej postaci, widocznie pod wpływem zdumienia i wzruszenia nieco pochylonej. Sztuka to prawdziwie wielka. Cztery gołąbki umieszczone w czterech rogach obrazu zdają się objaśniać słowa anioła: *Duch Święty zstąpi na cię*. Malowanie to pochodzi z końca pierwszego lub z początku drugiego wieku. Fra Angelico będzie później tak samo idealnie malował, ale nie przewyższy tego arcydzieła.

Na tym samym cmentarzu, tak słynnym i starożytnym, znajduje się inny obraz, jeszcze piękniejszy, niezrównany, przedstawiający Dziewicę-Matkę i proroka Izajasza¹⁾. Dziewica siedzi, trzymając Dzieciątka Jezus. Obok niej, okryty palium, stoi prorok Izajasz; w jednej ręce trzyma zwój pergaminowy, drugą wskazuje gwiazdę. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie ten fresk na mnie uczynił, gdym go pierwszy raz ujrzał. Wbrew przekonaniu, że w katakumbach są jedynie nieudolne malowidła, wykonane ręką biedaków, nie umiejących posługiwać się pendzlem, znalazłem tu prawdziwą, starożytną sztukę z dodatkiem młodzieńczości, życia, giętkości członków, wyrazu postaci, których znowu starożytni mistrze nie znali. Dzieciątko jest zupełnie rafałowskie. Przytula się do łona Matki, a jednocześnie zwraca główkę ku prorokowi ruchem przedziwnie zgrabnym i żywym. Ten sposób zwrócenia głowy, piękne, wyraziste oczy, mała rączka wdzięcznie oparta na piersi Marji — wszystko jest tak mistrzowskie, że gdyby te fre-

¹⁾ Ten obraz sięga końca czasów apostolskich. De Rossi twierdzi, że był malowany między 50 a 120 rokiem naszej ery „może nawet pod okiem samych apostołów”.

ski nie były głęboko zagrzebane za czasów Rafaela, możnaby przysiąc, że je oglądał, i że one niezatarte piętno w jego pamięci pozostawiły. Zresztą i twarz świętej Dziewicy może rywalizować z twarzą Dzieciątka. Przypatrzcie się temu pięknemu czołu, oczom szeroko otwartym, a tak skromnym i niewinnym, drobnym ustom i temu wyrazowi zdziwienia. Chociaż trzyma na ręku Boską Dziecinę, możnaby sądzić, że nie wierzy swojemu szczęściu; jeszcze jest taką, jak w chwili Zwiastowania, gdy mówiła: „*Quomodo fiet istud?*” Jak się to dzieje, że ten obraz tak piękny, tak dawny nie jest kopjowany, nie przyozdabia wszystkich chrześcijańskich mieszkań? Należy do tej samej grupy co Madonny Rafaela, jest dziełem wielkiej sztuki, a do tego pochodzi z czasów św. Jana¹⁾. Dobrze uczynił de Rossi, wydając kilkanaście wizerunków Najśw. Marji Panny z katakumb, że ten na pierwszym miejscu umieścił. Jest on najdawniejszy i najpiękniejszy²⁾.

Czy jednak pod temi obu względami nie mógłby walczyć o pierwszeństwo obraz Matki Dziewicy z cmentarza św. Domitylli? Najświętsza Dziewica siedzi na kurulnem krześle, przyodziana w dalmatykę, ozdobioną purpurowymi szlakami. Na głowie ma krótką zasłonę, sięgającą ramion. Prawa ręka podniesiona w górę, głowa nieco wtył przechylona, na obliczu wyraz zdumienia, podziwu, wesela i dziękczynienia. To *Magnificat*. Dzieciątko, siedzące na jej kolanach i patrzące na widza, obleczone jest w sukienkę olśniewającej białości. Przypomina minjatury błogosławionego Fra Angelico.

Do tych trzech wizerunków Marji trzeba dołączyć fresk, znajdujący się na cmentarzu św. Piotra i Marcelina, nie żeby mógł się z tamtymi równać pięknnością i dawnością, ale pewien ciekawy szczegół zaleca go uwadze chrześcijan. Dziewica, ubrana w tunikę obrzeżoną purpurą, siedzi z Boskim Dzieciątkiem na ręku. Na wszystkich podobnych wizerunkach Matka Dziewica ma głowę okrytą zasłoną. Tu niema tego. De Rossi mniema, że ponieważ wszystkie zamężne niewiasty nosiły zasłony, które im w dniu zaślubin kładziono, a tylko dziewice ich nie uży-

¹⁾ Richemont, *Nouvelles Etudes sur les catacombes*. De Richemont, przytoczywszy wszystkie dowody starożytności tego fresku, dodaje: „Łatwo dowieść, że ten obraz Świętej Dziewicy pochodzi jeszcze z apostołskich czasów” (str. 350).

²⁾ *Imagini scelte della B. Ver. Maria tratte dalle catacombe Romane*. Obrazy te w zbyt małej liczbie wydane zostały przez komisję papieską do wydawnictw litochromograficznych.

wały, tu przez brak zasłony chciano zaznaczyć nienaruszone dziewictwo Marji.

Pojęcie boskiego macierzyństwa Marji, połączonego z jej chwałebnem dziewictwem, jest w sposób tajemniczy choć jasny wyobrażone na innej karcie wielkiej księgi katakumb, na cmentarzu św. Walentego przy drodze Flamińskiej. Są tu jakby trzy oddziały. Na prawo jest scena Nawiedzenia; śliczna grupa Elżbiety i Marji, witających się uściskiem: jedna poważna wiekiem, druga młodzieńcza, obie otoczone nimbem. W środkowym obrazie jest Matka Najświętsza z Dzieciątkiem na kolanach; napis: *Sancta Dei Genitrix* biegnie prostopadłe. Wreszcie po lewej stronie odmalowana jest scena, której długo nie rozumiano, a której ważność jest pierwszorzędna¹⁾. Jest to owa apokryficzna legenda o niewieście, która nie chciała wierzyć w dziewictwo Marji po poczęciu Boskiego Dzieciątka. Poniosła karę za niewiarę, tracąc prawą rękę; udała się wtedy z prośbą do Dzieciątka, i ręka jej zwrócona została. Nie idzie tu o autentyczność tej historii. Oczywiście jest tylko, że przez to malowidło chcieli chrześcijanie wyznać wiarę w nieustanne dziewictwo Marji.

Nim opuścimy ten przedmiot, nie możemy ominąć jednego jeszcze wizerunku Marji, odmalowanego w arcosolium na cmentarzu św. Agnieszki. Pierwszy to był obraz, przedstawiający Matkę Najświętszą, który odkryto w katakumbach, i szybko stał się słynnym. Od tego czasu odkryto inne i jeszcze może nie jeden starożytniejszy zostanie odkryty. Wartość tego pierwszego zmniejszy się, ale zawsze i tak znaczną pozostanie. Dziewica cała jest okryta wielką zasłoną — szyję jej otacza kosztowny naszyjnik. Postawa Jej wskazuje modlącą się (*Orante*) z oczami i rękoma ku niebu wzniesionymi. Dziecię siedzi na jej kolanach. Jest w tym wizerunku trochę sztywności i konwencjonalności, i to stawia go o wiele niżej od fresków z cmentarzy św. Pryscylli i św. Domitylli. Długi czas sądzono, że jest to jedyne wyobrażenie Marji w katakumbach. To samo mniemał Palmer (*Early Christian Symbolism*), co dowodzi, że znał tylko część katakumb. Fresk ten pochodzi z IV wieku; co do artyzmu prześcigają go o wiele wszystkie, pochodzące z I i II stulecia.

Malarze katakumbowi przedstawiają Marję nie tylko jako Matkę; ale niemniej często i nie z mniejszą miłością

¹⁾ Odczytana została przez O. Art. Martin, *Mélanges d'archéologie*.

malowali Dziewicę w Jej promiennej czystości, odzianą szatą olśniewającą białą, z oczami i rękami wzniesionymi ku niebu lub niekiedy spuszczone ku ziemi. Byłoby mylnem uznawanie za Marię wszystkich tak licznie w katakumbach spotykanych postaci *Orante*; ale mylilibyśmy się jeszcze więcej, nigdy Jej w nich nie uznając. Jak, na przykład, nie poznać Marji w tej wdzięcznej, wysmukłej *Orante*, o greckim prawie rysunku, owiniętej długim *peplum* i dwa razy stanowiącej *pendant* do Dobrego Pasterza¹⁾. Lub na grobowym kamieniu na cmentarzu św. Kaliksta, na którym *Orante* tak samo jak Dobry Pasterz ma u stóp swoich dwie owieczki, podnoszące na nią wzrok pełen gorącej prośby; lub tam, gdzie po dwóch jej stronach umieszczone są kadzielnice, z których dym ku niej się wznosi. W kilku *cubiculach* zajmuje ona środek sklepienia, a otaczają ją osoby ze Starego Testamentu tak wielkie, że tylko Marja może stać nad nimi. Często ma na głowie koronę; czasami ręce jej zamiast w górę być wzniesionymi spuszcza się miłosiernie ku ziemi. Lub znowu dwie osoby pochylają się przed nią i ręką ją wskazują w ten sam sposób, jak to widzieliśmy przedstawione na wizerunku Chrystusa. Czasami nawet umieszczona jest między św. Piotrem a św. Pawłem z napisem *Petrus — Maria — Paulus*. Ale kończmy już o tym przedmiocie, dodając tylko, że nieraz malarz wypisał nad temi pięknymi postaciami *Orante* imię Najśw. Dziewicy *Maria*, aby nikt nie miał wątpliwości.

A więc żadnej innowacji niema w chrześcijaństwie. Dwa wielkie rodzaje obrazów Marji, znajdujące się w naszych kościołach, zdobyły także pierwotne świątynie katakumbowe: Marja przedstawiona w dziewictwie bez zmazy, odziana białą szatą z welonem na głowie, z rękami i oczami wzniesionymi w niebo lub nadół spuszczone, jak na teraźniejszych posągach Niepokalanego Poczęcia; i Marja przedstawiona w chwalebnym macierzyństwie z Boskim Syneczkiem na ręku lub na kolanach, podająca Go ku czci świata całego. A więc to, nad czem od ośmnastu wieków napróżno pracuje genjusz chrześcijański i czego przedstawić nie zdoła — owo połączenie dziewictwa z macierzyństwem — już nie dawało pokoju artystom, w głębi katakumb pracującym. Nielepiej się to udawało tym rękami skutym może nazajutrz kajdanami, tym sercom nie lękającym się ni stosów ognistych, ni dzikich bestyj, tym du-

¹⁾ Garrucci, tavol. LV.

szom pełnym Ducha Świętego, jak się nie udało później i największym genjuszom, jak się nawet nie udało ani błogosławionemu Fra Angelico, ani największemu wśród wielkich Rafaelowi. Kiedy się godziny całe stało przed ich precudnemi dziełami, aż póki łyż wzruszenia wzroku nie zamać, odchodzi się od nich, unosząc w duszy obraz Marji Dziewicy stokroć wyższy nad wszelkie malowania. Jej piękność, tak jak piękność Jej boskiego Syna, okazuje się w pełni tylko sercom, miłującym Ją głęboko.

Ale idźmy dalej; doszliśmy zaledwie do połowy Symbolu. Oglądaliśmy Tróję Przenajświętszą, stworzenie, upadek, odkupienie przez Słowo Wcielone, boską czystość i nienaruszone dziewictwo Jego Matki. Kończymy *Credo*, mówiąc z kolei o Kościele, o Głowie jego widzialnej, o sakramentach i o żywocie wiecznym, do którego one prowadzą.

V.

Malarze katakumbowi nie szczędzili wysiłków w odtwierzaniu przez różne symbole świętego katolickiego Kościoła, który pragnęli wciąż stawiać przed oczy wiernym. *Et in sanctam Ecclesiam catholicam*. Ponieważ pierwsi Ojcowie nazywali Kościół *Stolicą prawdy*, artyści malowali kamienny tron podobny do tego, na którym w katakumbach zasiadali biskupi rzymscy; nad oparciem umieszczali gołąbka, wyobrażającego Ducha Świętego, który przebywa wciąż w Kościele, a po bokach, na znak czci po winnej, malowali bogate draperje. Czasem znowu, idąc za wyrażeniem św. Pawła, który nazwał Kościół *Kolumną prawdy*, rysowali kolumnę, a u jej podstawy dwa gołąbki. W innych obrazach przedstawiano Kościół jako oblubienicę Chrystusa. Wspomnimy w szczególności o wspaniałym malowidle z cmentarza na drodze Lavicana. Artysta wystawił tu z jednej strony Jezusa pod postacią Dobrego Pasterza, z drugiej Kościół pod postacią *Orante*; po lewej jej stronie wiszą bicz zakończony węzłami i kulkami ołowianymi, któremi ją katuja; po prawej rozkwitają lilje — symbol czystości i boskiego rozwoju Kościoła. Ale obraz, pod którym chrześcijanie najchętniej wystawiali sobie Kościół, to była arka, płynąca po wodach. W arce znajduje się starzec, wyciągający ręce ku niebu; gołąbka przynosi mu w dziobku gałązkę oliwną. Wszędzie spotykamy to wyobrażenie, czyto pod formą arki, czy łodzi, czy okrętu

walczącego z falami. Czasami wizerunek więcej jest ożywiony i przybiera znaczenie wyraźniej dogmatyczne, np. statek miotany po burzliwym morzu; na statku modli się człowiek z rozkrzyżowanymi rękami, obraz to Chrystusa, nie opuszczającego nigdy swojego Kościoła. Żeby wyobrażenie było dosadniejsze, obok modlącego się męża stoi drugi, ręka niebieska dotyka jego głowy, jak gdyby na pokazanie, że kto wstąpił na boski statek, ten nie potrzebuje się lękać rozbicia; wśród fal inny człowiek z rozpaczą wyciąga dłonie; wskazuje to jasno, że poza Kościołem niema ratunku.

Naturalnie, raz wszedłszy na tę drogę, malarze katakumbowi nie zapomnieli i o Głowie Kościoła, o św. Piotrze. To też im lepiej poznaje się katakumby, im więcej ogląda się fresków starożytnych, tem więcej odkrywa się dowodów przyznawanej mu najwyższej władzy, pierwszeństwa. To pierwszeństwo wszędzie można odnaleźć, nawet na wizerunkach, na których za pierwszym wejrzeniem nic się nie dostrzegło. I tak na przykład, jedna z postaci najczęściej napotykanych to Mojżesz, uderzający w skałę i wyprowadzający z niej obfity strumień. Zrazu nic poza tem nie widziano. Ale oto w przepięknym zbiorze szklanych malowanych i złożonych przedmiotów napotykamy to samo wyobrażenie, tylko nad głową starca, uderzającego w skałę, widnieje imię *Petrus*¹⁾. Był to niejako oświecający promień; zwrócono się na nowo do badań katakumbowych fresków, i teraz niema wątpliwości, że pod postacią Mojżesza, wyprowadzającego źródło na pustyni, trzeba rozumieć św. Piotra, wyprowadzającego żywy źródło sakramentów świętych. Na cmentarzu św. Kaliksta widzimy dwóch Mojżeszów, jednego obok drugiego: pierwszy uderza w skałę, drugi, stojący za nim, wkłada sandał na nogę. Porównajcie obie postacie: ten drugi młodszy, bez brody — to prawdziwy Mojżesz; tamten zaś, który wyprowadza źródło, jest stary, z białą brodą, kępką włosów nad czołem — jest to tradycyjna postać św. Piotra. Tak samo rzecz się ma z Abrahamem; gdzie dotąd widziano jedynie ojca narodu żydowskiego, tam nie dające się zaprzeczyć znaki i napisy wskazują, że jest to Piotr, wódz nowego ludu Bożego. I to samo co do Noego w arce. Przypatrzcie się dobrze, to nie Noe, ale św. Piotr. A więc Piotr jest Noem nowej arki,

¹⁾ *Museo sacro* w Watykanie. — Dwa przepyszne szkła ze złożonymi liśćmi znalezione w katakumbach. O jednym Boldetti, o drugim de Rossi.

Abrahamem nowej ofiary, Mojżeszem nowego prawa, on tylko może uderzyć w skałę, aby z niej wyprowadzić żywe wody chrztu, pokuty i innych sakramentów. A pierwszeństwo Piotra przedstawione było nie tylko pod symbolicznymi figurami, widzimy także św. Piotra, otrzymującego z rąk Boga nowe prawo, lub znowu otoczonego innymi apostołami, a podwójny dar, jaki on sam tylko otrzymał — krzyż dźwigany na ramionach i zwój nowych praw w ręku trzymany, czynią go jedyną Głową Kościoła¹⁾.

Pierwsi chrześcijanie niewątpliwie usiłowali odtworzyć rysy św. Piotra; niebardzo im się to udało, ale przynajmniej wszędzie jest on takim samym. Czasem on jeden tylko, częściej razem ze św. Pawłem, a wtedy św. Piotr jest zawsze po prawej stronie. Mówię zawsze, gdyż za ledwie parę jest co do tego wyjątków i tłumaczą się okolicznością, że wtedy chciano oddać w szczególności cześć św. Pawłowi, a stosowano się do słów psalmu: „*Sede a dextris meis*”. „*Astitit Regina a dextris ejus*”. W tych jednak obrazach św. Piotr umieszczony jest na pierwszym planie, a św. Paweł stoi za nim. Na innym wizerunku św. Piotr siedzi na krześle *sedia*, a św. Paweł po prawej jego ręce na zwyczajnym stołku bez poręczy. Jeżeli obaj ubrani są jednakowo, to szata św. Pawła jest gładka, a u św. Piotra obrzeżona bywa szlakiem z pereł. Lub wreszcie jeżeli obydwa siedzą, to św. Piotr gestem wyraża władzę, a św. Paweł pochyla głowę na znak przyzwolenia.

Zdaje mi się, że nikt się nie znajdzie, ktoby nie odczuł wielkiej ważności dogmatycznej tych odkryć. Protestanci stawali zdumieni wobec dowodów tak nieoczekiwanych, nie pozwalających mimo swej zwięzłości na żadne zaprzeczania. Jednocześnie zaś dowody te, sięgające pierwszych czasów chrześcijaństwa, posiadają także i powagę wieków.

VI.

Obok wykazania pierwszeństwa św. Piotra i owej najwyższej władzy nowego Mojżesza, szczegółowe badania katakumb stwierdzają i drugą rzecz nader ważną. W Symbolu dwa artykuły, idące po sobie, tworzą niejako całość: „Wierzę w święty Kościół katolicki, Świętych obcowanie”, *Sanctam Ecclesiam catholicam, sanctorum communionem*,

¹⁾ *Museo sacro*. Dno puharu, przedstawiające Chrystusa między św. Piotrem i św. Pawłem. Chrystus podaje prawo Piotrowi.

jak gdyby dla wskazania, że Kościół nie tylko jest na ziemi, ale że jest to niezliczone społeczeństwo dusz ochrzczonych w Jezusie Chrystusie i związanych na wieki węzłem miłości, czy żyjących jeszcze tu na świecie, czy gdy go już opuścili. Jak mogą protestanci wyobrażać sobie, że raz zszedłszy z tego świata, nie zachowuje się o nim żadnego wspomnienia, i że stawszy się doskonalszym i potężniejszym przez ścisłe złączenie z Bogiem, nic się już nie czyni dla tych, których się przecież kochać nie przestaje; przeciwnie, kocha się ich lepiej i więcej. Jak mogą odrzucać wierzenie, że modlitwa i dobre uczynki żyjących przenikają głębie grobu i noszą zmarłym ulgę i ochłodę? Pewnem jest, że pierwsi chrześcijanie wierzyli w to silnie i dogmat o obcowaniu świętych ujawnia się w katakumbach bardzo jasno tak we wzywaniu orędownictwa świętych, jak i w modłach za umarłych.

Miano już tego dowody w dawniej znanych napisach grobowych; teraz nowe ciekawe poczyniono odkrycie. Gdy się schodzi do katakumb św. Kaliksta, zanim się wejdzie do kaplicy św. Sykstusa i Papieży, spostrzec można na starożytnych odrzwiach gipsowych mnóstwo wyrazów rytych ostrem dłótkiem, jak się to widuje i na murach Pompei. Z pomocą szkieł powiększających zbadano te napisy, nazywane *graffiti*. I cóż tam odczytano? Oto błagalne wezwania do św. Sykstusa i innych męczenników tam pochowanych.

Sancte Suste, in mente habe in orationes Aurelium Repentinum. „O święty Sykstusie, pamiętaj w modlitwach o Aureljuszu Repentinuszu.”

Graffiti, wypisywane jedne na drugich, krzyżują się, mieszają, stają się przez to prawie nieczytelne. Jednakowoż cierpliwe badania doprowadziły do odczytania aż dziewięciu wezwań do św. Sykstusa. Są też zwrócone do innych męczenników:

Martyres sancti, in mente habete Mariam. „Święci męczennicy, pamiętajcie o Marji.”

Petite pro me Eustachium. „Módlcie się za mną, Eustachiuszem.”

I nie tylko wzywają ich ogólnie, ale proszą ich o tę lub ową łaskę; czasami o łaski czysto ziemskie, o szczęśliwą podróż, o powrót do domu (byli to może jacyś pielgrzymi).

Petite... ut Verecundus cum suis bene naviget... „Módlcie się... żeby Verecundus ze swoimi dobrze odbył żeglugę.”

Czasem znowu proszą o odpoczynek, o trochę pokoju na resztę życia:

Otia petite pro Parente et pro fratribus ejus. „Proście o pokój dla Parensa i dla jego braci.”

Podobne *graffiti* znajdują się u wejścia do wszystkich kaplic. Są także nadzwyczaj żywe wzywania świętych na mnóstwie grobów.

„O mój drogi synu, żyj w Bogu i dopóki żyć będę, módl się za mną i za...” (Ten napis jest grecki).

Vincentia in X (Christo) petat pro Phoebe et pro Virginio ejus. „Wincencjo, żyj w Chrystusie i módl się za Febem i jego Wirginuszem.”

I nie tylko prosi się świętych za sobą, ale i za zmarłych. Są błagania zanoszone do Boga, by ich wspierał.

„Demetrjusz i Leoncja Sirice, ukochanej córce: *Panie Jezus, pamiętaj o naszym dziecku.*” — „O Boże, który siedzisz po prawicy Ojca, weź do świętych Twoich duszę Nektarjusza.” — „Tutaj to, o najśłodszego synu, skończyło się twoje życie. A teraz, Ojcie wszechmogący, błagam Cię, ulituj się nad jego boleściami, ulituj się nad naszym umiłowanym.” — „O Boże, daj ochłodę duszy Antonji.” — „Niech ci, co napis ten czytać będą, modlą się, aby dusza Lucyfery dobrze przyjęta była od Boga.” — *Ut quisque de fratribus legerit, roget Deum ut sancto et innocente spiritu ad Deum suscipiatur.*”

Możnaby bez końca przytaczać przykłady. A ponieważ są to napisy nie oficjalne, ale dłótkiem, gwoździem ryte, ręką niewiast, dzieci, różnych pielgrzymów, jest w nich niezaprzeczony dowód popularny.

VII.

Ale idźmy dalej; zostaje nam jeszcze ostatnia serja nader ważnych odkryć.

Wyznawszy wiarę w istnienie, w naturę, w boskość Kościoła katolickiego, *Sanctam Ecclesiam catholicam, sanctorum communionem*, wyznajemy dalej, że wierzymy w sakramenta, które do świętości prowadzą: *remissionem peccatorum*. Wszyscy zgadzają się, że przez te dwa słowa wyznajemy całość nadnaturalnych środków, mocą których otrzymujemy udział w odkupieniu, jesteśmy oczyszczeni z grzechów tak uczynkowych jak i pierworodnego i złączeni z Jezusem Chrystusem, źródłem prawdziwego żywota.

Co do tego właśnie znajdują się w katakumbach najbardziej może zdumiewające rewelacje.

W pierwotnych cmentarzach św. Domitylli i św. Pryscylli znajdujemy tylko pojedyncze, nie wiążące się ze sobą malowidła; dopiero na cmentarzu św. Kaliksta malowanym później, bo w samym końcu II lub na początku III wieku, spotykamy nagle wielką kompozycję, ciągnącą się i powtarzającą we wszystkich *cubiculach*. Tak jak papież w XVI wieku polecił Rafaelowi przyozdobić wszystkie sale Watykańskiego pałacu, tak samo papież z II wieku, wybrawszy cmentarz św. Kaliksta na swoje groby, zlecili nieznanemu malarzowi, by ozdobił wszystkie *cubicula*. Może mu sami wskazali przedmiot, który miał malować, może go nim natchnął jego genjusz i wiara. Zaledwie O. Marchi pierwsze wejście rzucił na izby tego cmentarza, zaraz je nazwał *Izbami Sakramentów*, i wszyscy archeologowie tę nazwę za nim powtórzyli. Rzeczywiście, na ścianach owych sześciu izb widnieje tylko jedna przewodnia myśl: wyjaśnienie życia chrześcijańskiego za pośrednictwem sakramentów. Oto ogólny porządek prawie wszędzie jednakowy, choć w tej lub owej izbie artysta większy nacisk kładzie na ten lub ów sakrament:

1. Najprzód św. Piotr, uderzający w skałę i wyprowadzający źródło żywej wody. Wytryska ono z nadzwyczajną siłą i obfitością, wszędzie się rozlewa, zalewając wszystko. Artysta chciał przez to wyrazić, że Jezus Chrystus, opoka prawdziwa, jak powiedział św. Paweł *Petra autem erat Christus*, jest także źródłem łask wszystkich, i że one wytryskują jedynie za pośrednictwem Piotra.

2. Obok tego pierwszego wizerunku widzimy drugi. Z wody, płynącej ze skały, rybak wyławia wędka rybę. Jest to symbol człowieka doprowadzonego do chrztu, wyłowionego niejako przez jednego z tych rybaków, do których Jezus powiedział: *Uczynię was rybitwami ludzi*. Zresztą, by żadnej pomyłki co do wyobrażenia chrztu nie było, malarz dał w dwóch czy trzech izbach jego wyjaśnienie: w potoku, wypływającym ze skały, stoi obnażony człowiek; drugi, wyższy od niego i odziany, polewa mu głowę wodą. Oto wyraźnie chrzest i to chrzest przez polanie, jak i dziś jest dopełniany.

3. W jednej z izb obok rybaka, wyciągającego rybę, widzi się podobną scenę, tylko kapłan nie zdaje się polewać wodą stojącego przed nim człowieka, ale kładzie na nim ręce; O. Garrucci mniema, że tu przedstawiony jest nie chrzest, ale raczej bierzmowanie.

4. Po chrzcie i bierzmowaniu następuje pokuta. Widzimy tu paralietyka z Ewangelji, do którego Jezus rzekł: *Ułaj, synu, odpuszczając się grzechy twoje*; odchodzi on uzdrowiony, niosąc na barkach swe łożo. Powróćmy niebawem do tej sceny; teraz przeglądamy tylko ogólny porządek tych wielkich kompozycji.

5. Następnie odmalowana jest Eucharystja; a z jakąż to rozmaitością, z jakim artyzmem. Tajemniczo a zarazem jasno wyrażone są symbole św. Eucharystji, obietnice jej, figury, jej rzeczywistość, świętość Komunii — gdyż w tych przedziwnych freskach widzimy to wszystko tak odmalowane, że i najmniejsze dziecko mogło rozpoznać ona tajemnicę, a poganie nic pojąć, niczego domyślić się nie mogli. Wkrótce zbliżymy się do przypatrzmy; teraz wskazuję tylko miejsce, które te święte obrazy zajmują w ogólnym porządku Izb św. Kaliksta.

6. Wreszcie, ponieważ owocem sakramentów, a w szczególności świętej Eucharystji jest żywot, a żywot wieczny: *Qui manducat hunc panem vivet in aeternum*, całą tę wspaniałą kompozycję kończą sceny wskrzeszenia: symboliczne wskrzeszenie Jonasza, wyrzuconego przez rybę, i rzeczywiste wskrzeszenie Łazarza, wychodzącego z grobu.

Oto *Stanze* nieznanego Rafaela z II wieku. Bez wątpienia, nie jest to taki genjusz, ani tak potężna sztuka; ale któż potrafi ocenić tę całość? Nie można oderwać się od tych wielkich kart katakumbowej księgi, którą tylko oglądać można przy świetle mdłej pochodni, trzymanej ręką zawsze się spieszącego przewodnika. Ileż tu symboli złożonych z rzeczywistością! Choć sztuka nie jest tu tak świetna, jak w kryptach z I wieku, wrażenie sprawia olbrzymie. Czuć, że to dokonywane było z natchnienia biskupów rzymskich. Wszystko się tu znajduje: Jezus Chrystus, źródło łask wszelkich, i Piotr, który jest ich szafarzem; chrzest, bierzmowanie, pokuta, święta Eucharystja i płynące z nich łaski zmartwychwstania i żywota wiecznego, a wszystko to malowane przed szesnastu wiekami pod okiem papieży i na ich rozkaz. Cóż można chcieć więcej i jak się dziwić zdumieniu, ogarniającemu nieraz protestantów wobec kart tak niespodziewanych a tak jasnych?

Ale dosyć już o ogólnym układzie wielkich i głębokich wyobrażeń sakramentów. Obiecałem dać więcej szczegółów o dwóch z nich: o pokucie i o Eucharystji. Czas zabrać się do tego.

VIII.

Jakże trudno było oddać plastycznie sakrament pokuty! Przejdźmy wszystkie muzea włoskie, francuskie, hiszpańskie; czy wśród wielkich i cudownych zbiorów dzieł natchnionych geniuszem znajdziemy gdzie odmalowany ten sakrament? Ani Rafael, ani Leonardo da Vinci, ani Michał Anioł, ani nawet Fra Angelico nie próbowali go wyobrazić. Jeden jedyny Le Poussin¹⁾, zniewolony tem, że przedsięwziął wykonać wspaniałą kompozycję Siedmiu Sakramentów, i ten odmalował, ale nie dorównał w nim samemu sobie.

Jak się dziwić, że pierwsi chrześcijanie stali zakłopotani wobec przedmiotu zbyt zarazem idealnego i zbyt rzeczywistego i z tych powodów nie nadającego się do odtworzenia? Na szczęście jest w Ewangelji ustęp, w którym Jezus Chrystus wykazuje posiadaną przez się władzę odpuszczania grzechów, i w którym, po wyroku przez Niego wydanym, następuje zupełne uzdrowienie nie tylko duszy, ale i ciała. Ten właśnie fakt oni wybrali. Czyż można było cudowniej przedstawić chrześcijanina, który upadając pod ciężarem grzechów, przychodzi do kapłana, klęka przed nim, a usłyszawszy słowa: „Idź w pokoju, odpuszczając się grzechy twoje” — wstaje zdrow i silny, jak ów paralityk, do którego te same słowa wyrzekł Pan Jezus? To też obraz ten wszędzie się znajduje, nie próbowano inaczej przedstawić cudownych skutków sakramentu pokuty, gdyż ten jasno je wyrażał; czasami jednak starano się pewnymi dodatkami podnieść jego świetność. Wspomnę w szczególności o fresku, znajdującym się na cmentarzu św. Agnieszki. Przedstawieni są tu Adam i Ewa po grzechu; zawstyżeni starają się ukryć swą nagość; pomiędzy nimi, zamiast zwykle dzielącego ich drzewa, widzimy paralityka, niosącego na ramionach swe łożo. Jest tu lekarstwo obok winy. Zresztą i ohydny potwarz pogan dowodzi, że niektórzy z nich, dostawszy się podstępnie do katakumb, widzieli tam wiernych, klękających przed kapłanami i wyznających swoje grzechy²⁾. Prócz tego na tymże cmentarzu odkryto niedawno kaplicę opatrzoną w dwanaście ka-

¹⁾ Gdy się to dzieło ukazało, wzbudziło taki zachwyt, że Włochy pragnęły posiadać jego kopję. Le Poussin, nie chcąc się powtarzać, stworzył drugie dzieło i przeszedł nim pierwsze. Obie serje znajdują się w Anglii. W pierwszej brakuje obrazu Pokuty, w drugiej nie dorównywa on pięknnością innym, jak Bierzmowaniu, Kapłaństwu i t. d. — ²⁾ Minut. Felix. Octav. IX.

miennych siedzeń; są one mniejsze niż biskupia *Cathedra* i ukryte w kątach. Niektórzy archeologowie z O. Marchi na czele utrzymują, że musiały one służyć jako konfesjonały.

Jeżeli trudno było przedstawić sakrament pokuty, o ileż trudniej to było z Eucharystją świętą, wobec tajemnicy, którą Kościół ją otaczał, nie uchylając zasłony nawet w katakumbach z obawy, by lada dzień pogan tam się nie dostali. Z tego to powodu używano tylko dwóch symboli; jeden z nich archeologowie odniedawna dopiero odcyfrowali; drugi odrazu w oczy jasno się rzuca.

Oto pierwszy: jest to *miska mleka*. Klucz do odczytania tego symbolu nie tak dawno został znaleziony w aktach męczeństwa św. Perpetui. Opowiada ona, że będąc w więzieniu miała widzenie: ujrzała wysokiego męża w sukni pasterza, z długimi, jasnymi włosami. Doił on swoje owce, a otoczony był tłumem osób w białych szatach. Spojrzał na świętą męczennicę, a przywoławszy ją, dał jej się napić tego mleka. Złożywszy ręce, przyjęła ten posiłek, a gdy go spożywała, wszystkie otaczające ją osoby wyrzekły *Amen*. Gdy się ocknęła, miała na ustach smak przedziwnie słodki.

Czy owo widzenie posłużyło za symbol? z pewnością nie; pozwoliło tylko go zrozumieć. Jeszcze przed św. Perpetuą w najdawniejszych cmentarzach odnajdujemy dobrego Pasterza trzymającego *miszkę z mlekiem* i karmiącego niem owce. Czasem naczynie z mlekiem zawieszone jest na rękę Pasterza; to znowu widzimy baranka i oparty na nim kij pasterski, na końcu którego wisi miseczek! Gdzie indziej Dobry Pasterz odmalowany jest na środku sklepienia, a w każdym z czterech rogów znajduje się otoczony nimbem baranek z *miszką mleka* na plecach. Jeszcze w innym miejscu świetlany nimb nie otacza głowy baranka, ale jest *około miski z mlekiem*. Jest w tem święte i pełne wagi znaczenie. Chętnie zapytałbym wahających się w wierze, co o tem myślą. Czyż nimb nie jest symbolem bóstwa? Czyż w pierwszych dwóch wiekach nie umieszczano go tylko i jedynie nad głową Zbawiciela, w III dopiero wieku nad głową Najśw. Panny, a w IV nad głowami świętych? A tu w II stuleciu cztery razy odmalowany jest nimb świetlany nad ową miską z mlekiem. Czyż nie dlatego, że miseczek ta zawierała takie mleko, jakim Dobry Pasterz nakarmił św. Perpetuę i karmi świętych swoich? Innej odpowiedzi na to niema. Przyjrzyjmy się jeszcze sławniejszemu freskowi na cmentarzu św. Lucyny. Miska z mlekiem stoi na ołtarzu, przy którym znajduje się kij paster-

ski; po obu stronach ołtarza są dwie owieczki. Jak wielka i święta ta scena! Jest to ołtarz, na którym ofiarowane jest Ciało i Krew Dobrego Pasterza, a potem rozdawane na pokarm wiernym stojącym obok niego. Cóż może być piękniejszego, wyraźniejszego, głębszego, bardziej uderzającego dla chrześcijan, a zarazem niezrozumiałego dla pogan, jak ten pierwszy symbol?

Czyż może być potężniejsze wyrażenie dla świętej Eucharystji, jak to naczynie z mlekiem, stojące na ołtarzu obok kija pasterskiego lub umieszczone na grzbiecie Baranka i otoczone promiennym nimbem?

Jakkolwiek głębokie i słynne jest to symboliczne wyobrażenie świętej Eucharystji, ustępuje ono pierwszeństwa drugiemu. W jakim ściśle oznaczonym czasie spostrzeżono, że litery wyrazu Ῥῆς, Ryba, tworzą po grecku początek słów: Ἰησοῦς, Χριστός, Θεοῦ Υἱός, Σωτήρ, *Jezus Chrystus, Syn Boga, Zbawiciel?* i kiedy z tego powodu zaczęto używać Ryby jako godła Chrystusowego? trudno na to odpowiedzieć. Już Meliton z Sardes mówił: Ῥῆς *Christus*. Już Tertulian pisał: *Nos pisciculi secundum Ῥῆν, nostrum Jesum Christum*. Klemens Aleksandryjski i Orygenes pisali: *Christus tropice Piscis appellatur*. Wyobrażenia ludu całego, uderzona tym symbolem, znajdowała w nim mnóstwo malowniczych podobieństw i wszędzie go przedstawiała. Od najdawniejszych czasów wszędzie go się odnajduje: na kielichach, pierścieniach, urnach, grobowcach. Chrześcijanie nosili na sobie małe wyobrażenie Ryby zrobione z kości słoniowej, marmuru lub szkła. Można oglądać pewną ilość tych drobnych przedmiotów w Watykanie w *Museo sacro*; niektóre mają w głowie dziurkę, widocznie by mogły być zawieszane na szyi. Na jednym widać napis: ΣΩΤΗΡ, *bądź naszym Zbawcą*. Najstarsze malowidła katakumbowe przedstawiają to godło. Wspomnijmy piękną scenę wyrytą na trzech starożytnych klejnotach: widać tam Rybę podtrzymującą okręt — obraz Jezusa wspierającego Kościół; lub niemniej ciekawy obraz z cmentarza św. Domitylli, na którym w scenie, przedstawiającej historję Jonasza, zamiast proroka spoczywającego w cieniu cudownego krzewu, spostrzegamy Rybę.

Ryba więc z wypływającej stąd konieczności stawała się symbolem świętej Eucharystji. Chrystus nie tylko potęgą swoją podtrzymuje Kościół, ale żywi go Ciałem i Krwią swoją. Ῥῆς, Ryba złożona w ręce pobożnych chrześcijan, przyjęta, spożyta przez nich, czyniąca ich przez to niebiańskimi. Ῥῆς, jakież to widoczne, żywe

przedstawienie Eucharystji dla wiernych, a jak niezrozumiałe dla pogan! To też malarze, posiadając taki symbol, stają się śmielszymi. Nie przeraża ich już ani tajemnicza ofiara, ani konsekracja, ani radości komunji, ani jej skutki cudowne, ani nawet wielkie słowa ustanowienia św. Eucharystji, gdyż pewni są, że jedynie wtajemniczeni zdołają to godło zrozumieć. Raz przedstawiają ołtarz, trójnog lub ołtarz ofiarny, a na nim jedną tylko Rybę. To znów przy podobnem przedstawieniu ołtarza wymalowane są dwie siedzące przed nim osoby, gotujące się do spożywania Ryby. Jest to przygotowanie do komunji świętej.

Teraz obejrzyjmy wizerunki konsekracji. Na jednym z fresków cmentarza św. Kaliksta widać ołtarz, na którym jest Ryba. Przed ołtarzem stoi kapłan przyodziany w *palium*; kładzie ręce na świętą ofiarę. „Trzeba być opornym i ślepym, mówi de Rossi, aby nie uznać w tym obrazie konsekracji.” Żeby zaś nie było co do tego żadnej wątpliwości, wymalowano naprzeciwko ofiarę Abrahama. Starzec z wyciągnionymi rękoma stoi zdumiony i pełen podziwu, obok niego znajduje się Izaak w takiejże postawie. U stóp ich leży pęk suchego drzewa, a tuż blisko symboliczny baranek. Ojciec i syn z zachwytem patrzą na prawdziwą ofiarę, której byli tylko figurą. Nie możemy wyrazić wzruszenia doznanego przed ową potężną kartą, przedstawiającą świętą Eucharystję we wzniosłej jej rzeczywistości, a jednocześnie i pod jej pierwotnym obrazem.

Na innych, wielokrotnie powtarzających się malowidłach widzimy znowu komunję świętą. Jest to uczta, do której zasiedli wierni, a przed nimi na stole jest Ryba. Ich postawa, oczy i ręce do nieba wzniesione, nie pozwalają mylić się co do religijnego charakteru biesiady. Zresztą i tu malarze okazali swoją przezorność. Ponieważ w pojęciu pierwszych chrześcijan cud na godach w Kanie był figurą przemienienia wina w Krew Pana Jezusa, a obietnica św. Eucharystji dana została po rozmnożeniu chleba na puszczy, malarze nie zapominają nigdy umieścić obok stołu kamiennych stągwi z Kany i siedmiu koszów, do których zebrano resztki rozmnożonego chleba. Czasami biesiadną salę otacza wieniec kwiatów. *Coenaculum, grande, stratum, et illic parat nobis*. Często po tak jasnem odmalowaniu Stołu Eucharystycznego usiłują oddać i rozkosze tegoż. Widać zaproszonych biesiadników rozpromienionych radością, oblizujących palce, jak gdyby chcieli dać poznać, że Chleb niebieski przewyższa smakiem wszelkie pożywienie, *omne delectamentum in se habentem*.

Ale wszystkie owe wyobrażenia błędą wobec jedyne-
go w swoim rodzaju fresku, nadzwyczaj śmiałym i jasnym
blaskiem świecącego, mimo okrywającej tajemnicę zasło-
ny. Widzieliśmy, że stawiano *miszkę mleka* otoczoną nim-
bem na grzbiecie Baranka, tu posunięto się jeszcze dalej.
Odmalowano Rybę niebiańską, żywą i na niej postawiono
kosz z chlebami; nie ze zwykłym chlebem, ale z chlebami
używaniem do ofiary; wpośród chlebów umieszczono już
nie *miszkę z mlekiem*, ale flaszczykę pełną wina. O poga-
nie, czyż potraficie zrozumieć! a wy, chrześcijanie, padnij-
cie na kolana i cześć oddawajcie!

Czegóż jeszcze do całości brakowało? W tych napół
zatartych obrazach, w napisach grobowych ziemią zasypa-
nych trzeba było odnaleźć słowa tak doskonale jasne, żeby
oświecić mogły wszystkie owe malowidła. I to dał własn-
ie słynny napis na cmentarzu przy Via Strata, w Autun.
Wyraz $\text{I}\chi\theta\varsigma$ wypisany jest na sposób wschodni, zgóry
nadół. Napis brzmi:

„O święte plemię niebieskiego $\text{I}\chi\theta\varsigma$, weź wyborny po-
silek, który ci podaje Zbawca świętych. Jedz, pij, pełen
czci religijnej, trzymając w rękach twoich $\text{I}\chi\theta\varsigma$.“

Podczas, gdy stare kościoły Galji dorzucały taki dro-
gocenny dokument do odkryć katakumb rzymskich, ko-
ścioły wschodnie dały nam inne, niemniej ważne objaśnie-
nie. Jest to napis na grobie świętego Abercjusza, biskupa
Hierapolis, we Frygji: pochodzi z II wieku. Święty sławi
w nim pokarm boski, który go w ciągu życia podtrzymy-
wał: *Ryba wielka i czysta, wzięta przez czystą Dziewicę
i podana przez nią przyjaciółom ku pożywianiu, dając im
chleb i wino wyborne*. I dodaje: *Niech ci, którzy rozumie-
ją te rzeczy, zechcą się modlić za mnie*. Każdy przyzna,
że światło tu jest olśniewające.

Zresztą te napisy nie zawierają jedynie doktryny,
o której teraz mówiliśmy; według wszystkich paleografów
znajduje się w nich także nauka o Bóstwie Jezusa Chry-
stusa, o boskich skutkach chrztu świętego, o Eucharystji,
w której Bóg daje siebie samego na pożywienie chrześcija-
nom, o łaskach, które na nich wylewa, i o modlitwach za
umarłych, których On jest świętością: jest to więc całe
Credo.

IX.

Jeszcze słowo na zakończenie. Zauważono, że w ogól-
nym układzie izb cmentarza św. Kaliksta zawsze po wi-
zerunkach, przedstawiających chrzest, pokutę i świętą

Eucharystję, następują obrazy, przypominające zmar-
twychwstanie. *Qui manducat carnem meam, vivet in aeter-
num... Et ego resuscitabo eum*. Jest to zresztą koniec
Symbolu, ostateczny cel Wcielenia i wszystkich tajemnic.
Carnis resurrectionem, vitam aeternam. Czyż trzeba mó-
wić, że to ostatnie słowo o żywocie, o żywocie wiecznym
powtarza się na wszystkich ścianach katakumb? Czyta się
to w tej słodkiej, tklivej nazwie cmentarza: *Dormitorium*;
w tych licznych napisach: *Dormit in pace*, które są przy-
pomnieniem wzruszających słów Pana Jezusa: *Lazarus,
amicus noster non est mortuus, sed dormit*. Czyta go się
w tych niezliczonych, entuzjastycznych wezwaniach: *Vi-
vas in Deo* (Rossi tav. XLI) *Vives in Deo* (Tav. XLIX) *In
Deo* (tav. XLIX). $\text{Ev } \Theta\epsilon\omega$ (XXXIX). $\text{I}\lambda\epsilon\ \epsilon\upsilon\ \Theta\epsilon\omega$. (XL.).
W krótkim czasie zmieniają się one w pewność, w twier-
dzenia pełne siły. Już nie piszą: *Vivas in Deo, Obyś żył
w Bogu*, ale *Vives in Deo, Żyjesz w Bogu*. Czyta go się
przedewszystkiem w tej atmosferze młodości, wesela, nie-
śmiertelności, która do głębi przenika katakumby, wydo-
bywa się z każdego ich kamienia.

Ale dosyć o tym przedmiocie, który wymagałby ca-
łych tomów. Zatrzymajmy się na tem pobieżnem okazaniu
pierwotnego *Credo*. Taki był Symbol w I i w II wieku;
taki jest i dzisiaj. Wszystko się odtąd zmieniło; czegóż bo
czas nie zużył, nie zmienił? Oto, co myślałem w pewien
zimowy poranek lutowy 1875 roku, siedząc na od-
łamku kolumny wśród podniosłych, choć niekształtnych
ruin Colosseum. Była to niedziela. Świst lokomotywy do-
latywał moich uszu zdziwionych, że słyszę podobne od-
głosy w takim miejscu. Robotnicy Wiktora Emanuela, nie
bacząc na odpoczynek niedzielny, w moich oczach odgrze-
bywali grunt w Colosseum. Tak, mówiłem do siebie, cóż
jest, coby się nie zmieniło od ośmnastu stuleci? i cóż jest,
co się nie zmieni? O człowieku! wszystko mija wokoło
ciebie, a ty jeszcze szybciej niż wszystko inne przeminiesz.
Jedno tylko trwa niezmiennie — to *Credo*, przez które
wszystko żyje lub odżyć może!

CZEŚĆ DRUGA.
Dogmaty Credo.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Trójca Przenajświętsza.

Przystąpmy teraz pokolei do każdego z dogmatów *Credo*.

A najpierw do tej wielkiej tajemniczej doktryny o Trójcy Przenajświętszej, tak jednocześnie głęboko filozoficznej. Gdyby ona nie była pierwszym, koniecznym i najpewniejszym wyrazem objawienia, to musiałaby być ostatniem słowem ludzkiego genjuszu, poznającego Istotę Boską. Św. Tomasz twierdzi, że tajemnica Trójcy Świętej nigdy nie byłaby mogła być odkryta siłą ludzkiego rozumu¹⁾; i nie da się to zaprzeczyć. Ale gdy raz tajemnica objawiona została, rozum łatwo ją przyjmuje, widzi jasno jej piękność i doskonałą możliwość. Wspomagany tem światłem wnika aż do głębi Istoty Bożej, tak że na myśl przychodzi, czy ludzki genjusz nie doszedłby sam potrochu do pojęcia Trójcy Przenajświętszej. Faktem jest, że owa tajemnica, zdająca się być kamieniem obrazu dla rozumu, jest jego oświeceniem. Ona to jedynie oswobodziła umysł ludzki z ohydy alternatywy: albo przypuszczenia, iż jest kilku bogów, czyli kilka nieskończoności, a to jest szaleństwo; albo mniemanie, iż Bóg jest na zawsze niezdolny dać swej myśli, swej miłości, swej nie kończącej się nigdy działalności innego przedmiotu jak skończoność. Ten to także tak wspaniały, nieprzenikniony, a mimo to jaśniający dogmat stał się punktem oparcia, z którego wielka metafizyka chrześcijańska mogła wznieść się dalej do najwyższego poznania Boga. Sam rozum ludzki nie zdołałby o własnej sile odkryć tej tajemnicy — to rzecz pewna. Ale raz ją ujrzawszy, nie może się od niej oderwać, ani bez niej się obejść.

Są na ziemi przepaści, w które nikt spojrzeć się nie ośmiela, gdyż przyprawiają one o zawrót głowy. Spójrz-

¹⁾ *Summ. I-a q. 32, a. 1.*

my w tę przepaść, ale z pokorą to czynimy i nie dziwny się, jeżeli chwilami wzrok nasz się zaćmi. Przepaść ta — to nieskończoność.

I.

Bóg jest; ale kto On jest? *Które jest imię Jego, jeśli wiesz?*¹⁾ Ale nikt go nie zna. Bóg nazwał człowieka; człowiek nazwał wszystko inne, ale co do Boga, sam On tylko mógł siebie nazwać, sam siebie dać poznać. Do władzy należy dać imię, nazwę. I gdzież zresztą człowiek mógłby znaleźć wyrażenie, aby nazwać Boga?

A zatem sam Bóg siebie nazwał. „*Jam jest, którym jest. Ego sum qui sum*”²⁾ — „Tak powiesz synom Izraelowym: *Który jest — posłał mię do was. Qui est misit me ad vos*”³⁾.

Świętego imienia: *Jehovah, który jest*, nie wolno było w zwykłym, codziennym życiu wymawiać; zastępowano je słowami *Deus, Dominus, Adonai*. Niema innej nazwy równie głębokiej; znaczy ona: Istota sama, *ipsum esse*. Był sam w sobie. Istota jedna, wiekuista, nieskończona, Istota istniejąca sama przez się.

Biorąc to imię, Bóg nazwał siebie najprostszym i najwznioślejszym sposobem. Dawał się poznać jako Bóg. Przez to imię opowiadał nieskończoną swoją istność, swoją tajemniczą jedność, najzupełniejszą niezależność i pełnię wszelkich doskonałości swojej istoty. *Jam jest, którym jest, Jehovah!* Cała treść bóstwa zawarta jest w tem Imieniu; ale jest w niem sama jedna tylko, jeżeli się tak wyrazić można. Przez cztery tysiące lat naród żydowski ze drżeniem na kolana padał przed tą nieograniczoną jednością, przed tą nieprzystępną i nie dającą się opisać ani poznać Istotą Boga: *Jam jest, którym jest, Jehovah!*

W miarę jak zbliża się czas Wcielenia Słowa, cudowne tajniki Boskiego żywota ukazują się jak światło błyskawic. Powoli zasłona się rozchyła; błyski coraz częściej po sobie następują i coraz to są silniejsze. W niezmierniej światłości objawiają się pokolei trzy Osoby Trójcy Przenajświętszej. Już na pierwszej stronie Księgi Rodzaju, gdy jest mowa o stworzeniu człowieka, dziwnie użyta jest liczba pojedyncza i mnoga: „I rzekł Bóg: *Uczyńmy człowieka na wyobrazenie i na podobieństwo*

¹⁾ Prov. XXX, 4. — ²⁾ Exod. III, 14. — ³⁾ Id., ibid.

*nasze... I stworzył*¹⁾). Potem Abraham ujrzał w dolinie Mambre niejako cień Trójcy Przenajświętszej²⁾). Prorocy powstają, a we wszystkich ich hymnach mowa jest to o Ojcu³⁾, to o Słowie⁴⁾, to o Duchu Św.⁵⁾. Aż wreszcie ukazują się Jezus Chrystus i rozdziera wszystkie zasłony, mówiąc: „*Idźcie, nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego*”⁶⁾. I św. Jan pisze: „*Trzej są, którzy świadczą na niebie: Ojciec, Słowo i Duch Święty, a ci trzej jedno są*”⁷⁾. A w Credo wyznajemy: „*Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego... I w Jezusa Chrystusa Syna Jego jedynego... I w Ducha Świętego*”.

II.

Taka jest wiara katolicka. Uczy najpierw, że Bóg jest Jestestwem jedynym, nieskończonym, wiecznym, bezmiarom światła i wszechdoskonałości.

Następnie uczy, że w tem Jestestwie są trzy różne Osoby; każda z nich zna siebie i zna drugie dwie, zupełnie, doskonale jest od nich różna; tak że w samem Jestestwie nieskończonym tworzą społeczność.

Nakoniec uczy, że te trzy Osoby, chociaż najzupełniej różne między sobą, wszystkie mają jedną substancję, że pełność Bóstwa jest w każdej z nich, że więc są jedynym Bogiem.

Posłuchajmy, jak wielki teolog św. Atanazy jasno i ściśle to wyłożył w Symbolu przyjętym przez Kościół i używanym w nabożeństwach:

„Oto, mówi on, czego żąda wiara katolicka: byśmy czcili *Jednego Boga* w Trójcy, a *Trójcę* w jednym Bogu: *Ut unum Deum in Trinitate et Trinitatem in unitate veneretur*;

„*starannie unikając* pomieszania Osób i dzielenia Istoty.

„Inna bowiem jest Osoba Ojca, inna Syna, inna Ducha Świętego.

„A jednak Ojciec, Syn i Duch Święty mają to samo Bóstwo, jednaką chwałę, i majestat współwiekuisty.

„Wieczny jest Ojciec, wieczny jest Syn, wieczny jest Duch Święty;

„A jednakowoż nie trzech wiecznych, ale jeden wieczny.

¹⁾ Gen. I, 26. — ²⁾ Gen. XVIII. — ³⁾ Malach. II, 10. Ps. II, 7—12; LXXXVIII, 27. — ⁴⁾ Ps. LII, 9; CVI, 20. — ⁵⁾ Ps. XXXII, 6; CIII, 29; LI, 12. Sap. VII, 7. Is. LIX, 21. — ⁶⁾ Mat. XXVIII, 19. — ⁷⁾ Joan. VII, 8.

„Wszechmocny jest Ojciec, wszechmocny jest Syn, wszechmocny Duch Święty; a nie trzech wszechmocnych, ale jeden wszechmocny.”

W ten sposób, wymieniwszy wszystkie przymioty Bóstwa i wykazawszy, że każda z Osób posiada je w pełni, w zakończeniu dodaje:

„Ojciec jest Bogiem, Syn jest Bogiem, Duch Święty jest Bogiem, a jednak niema trzech Bogów, ale jeden Bóg tylko.

„A tak wiara katolicka każe nam wierzyć, że każda Osoba z osobna, *singillatim*, jest Bogiem, zabrania nam mówić, że jest trzech Bogów.”

Święty doktor z prawdziwą dokładnością i jasnością wyklada w dalszym ciągu boskie formuły: mówił o najistotniejszej równości trzech Osób, teraz mówić będzie o Ich różności ze względu na stosunek każdej z Nich do drugich:

„Ojciec przez nikogo nie jest uczyniony, ani stworzony, ani zrodzony;

„Syn tylko przez Ojca jest, nie uczyniony, ani stworzony, ale zrodzony; *genitus a solo Patre*.

„Duch Święty jest z Ojca i Syna, nie uczyniony, ani stworzony, ani zrodzony, ale pochodzi od Ojca i Syna: *procedens*.

„A więc jest jeden Ojciec, nie trzech Ojców; jeden Syn, nie trzech Synów, jeden Duch Święty, nie trzech.

„A w tej Trójcy niema nic wcześniejszego lub późniejszego, większego lub mniejszego; ale te trzy Osoby są jednakowo przedwieczne i we wszystkim sobie równe.

„I tak, jak już powiedziano, trzeba czcić Jedność w Trójcy, a Tróję w Jedności.”

Oto jest wiara katolicka i jej prawdziwa, ważna formuła: Jedna substancja nieograniczona, nierozdzielna, rozwijająca się w trzech Osobach najzupełniej różnych, które jednak wszystkie trzy mają jedną istność, a więc nie są trzema bogami, ale tylko jednym Bogiem.

III.

Jak postąpił rozum ludzki wobec formuł tak ścisłych, ale tak głęboko ciemnych, a ciemnych nie przez brak światła, ani, jak to wykazemy, przez jakoweś sprzeczności, ale przez wielkie swoje skupienie? Czy je odrzucił? Nie. Ludzkość wyznała: „Jezus Chrystus nauczył nas tajemnicy Trójcy Świętej; Jezus Chrystus jest Bogiem, a więc tajemnica ta jest prawdziwą.” Oto pierwsze orzeczenie rozumu.

Skłoniwszy głowę przed słowami nieskończonej Mądrości, ludzkość podniosła ją, aby przyjrzeć się tej tajemnicy. Jak wszystkie dogmaty, tak i ten jest światłem zbyt olśniewającym, zbyt wielkim, a więc badano go ostrożnie i nie samo ognisko, ale raczej promieniowanie jego. I zamiast znaleźć w nim niemożliwości, sprzeczności, ludzkość dostrzegła tam cudowną harmonję; ujrzała rzeczy, które przeczuwała, które odgadywał Platon, Arystoteles, Pitagoras, które pod osłoną ukazywały się na kartach Ksiąg świętych. I ludzkość, w miarę dalszego zapuszczania się w niezgłębianą przepaść, nabierała śmiałości i wreszcie bez obawy cała się w niej pogрузyła i wydobyła stamtąd potoki światła.

Idźmy śladem genjuszu katolickiego i badajmy z czcią tajemnicę Trójcy Przenajświętszej.

Rozum ludzki wyszedł z założenia, że każda istota działa i że działalność jej wzrasta w miarę jej doskonałości. Od minerału o najmniejszej znanej działalności przejdźmy do rośliny, do zwierzęcia, do człowieka, a wśród ludzi do człowieka genialnego, potem do anioła, który jest jako czysty płomień, a wreszcie do Boga, u którego wszystko jest czynem: wszędzie i zawsze działalność wzrasta razem z doskonałością. Bóg jest samem działaniem, czynem. W Nim działalność nie ma granic.

Każda działalność jest płodna; działać, a nic nie produkować — to nędza. Więc Bóg, będąc nieskończeniem czynnym, jest i nieskończeniem płodnym.

A cóż może wydawać płodna istota? albo rzeczy przewyższające ją, albo jej równe, albo niższe od niej samej.

Produkować rzeczy wyższe od nas jest niemożliwością, skutek przeszedłby przyczynę.

Można produkować rzeczy niższe od siebie, ale to wystarcza jedynie istotom pospolitym. Któryż artysta nie marzy o dokonaniu dzieła, w które przelałby całą swoją duszę, na które patrząc, wołanoby: — Oto, on! on sam!

Faktem jest, że najwyższem pragnieniem czynnej istoty jest wydanie istoty sobie równej. Człowiek to czyni. Rozkazuje sercu swojemu i stwarza istotę podobną do niego, równą mu; jest to jego ciało, jego krew, jego duch, jego postać; to on sam. I człowiek, pełen godności ojcostwa, przedstawia tę nową istotę Bogu i ludziom. Ale co mówię, człowiek? i robak ziemny ma tę siłę, i roślina, i owad drobnouchny. Wszyscy ją mają. Czyż jeden tylko Bóg byłby jej pozbawiony? czyż można Mu zaprzeczyć mocy wydania równej Mu istoty? Wszeczpoteżny Artysta

nie mógłby stworzyć godnego siebie arcydzieła? Czyż dlatego, że jest nieskończony, ma na wieki poprzestać na tworzeniu niegodnych siebie, o całą nieskończoność niższych od Niego istot? To być nie może! A przeto, choć nie wiem, jak się to stanie, twierdzę, że moc twórcza Boga wtedy dopiero zaspokojona zostanie, gdy Bóg zrodzi istotę Jemu podobną, Jemu równą!

Zresztą, czyż zewnętrzna działalność, do której chcieliby ograniczyć Boga, nie każe z konieczności przypuszczać i działalności wewnętrznej? Malarz ukończył wspaniały obraz; dzieło stoi przed nim, zda się gorące od jego zapachu. Ale zanim je artysta nazewnątrz urzeczywistnił, czyż nie oglądał go już w samym sobie? Czyż w jego duszy nie jaśniał ten obraz może lata całe? czy przypatrując mu się wewnętrznym wzrokiem, nie uczuwał on dreszczy uniesienia i upodobania? Czyż byłby się zabrał do dzieła, nie odczuwając tego podwójnego wewnętrznego drgnienia umysłu i serca? Oczywiście nie. Tak samo ma się i z Bożem działaniem; trzeba przypuścić, że wewnętrzna działalność poprzedziła czyn zewnętrzny.

Na początku więc — a nie chcemy wykazywać, nie chcemy przekonywać rozumowo, ale tylko spróbujemy odgadnąć tajemnicę — na początku przed wszelkiem działaniem powstała w Bogu myśl, będąca wyrazem tego, co On widział. A cóż Bóg widział? Poza Nim nic nie było jak tylko możliwość. Widział więc możliwość; ale przedtem, myślę, że Bóg widział rzeczywistość, to jest *Siebie samego*, ponieważ On był tylko. Widział się jako źródło wszelkiej możliwości, jako wzór jedyny, jako pierwszą i jedyną przyczynę wszystkiego. Widział swoją piękność, swoją dobroć, swoją potęgę. Widział przepaść, jaką On sam jest: przepaść gotową przepełnić się nad obfitością. Oto co widział Bóg.

A czym było to spojrzenie, którem wszystko obejmował, czym była w nim ta myśl jedyna? Są różne rodzaje myśli. Są myśli lotne, niknące jak błędne ogniki; są myśli, mrące zaraz po powstaniu. Są także myśli żywe, pełne ducha. Są myśli tak potężne, że się stają nieśmiertelnymi; nie są one zwykłą pracą ducha, ale same są duchem i życiem, *Spiritus et vita*. Są myśli, w które człowiek, ale człowiek prawdziwie wielki, kładzie więcej niż rozum swój; on im daje swoją duszę, a nawet coś z własnej fizjonomji, tak że go się w nich odrazu poznaje i woła: „To myśl Bossueta! to myśl Pascala!”

A teraz przedstawmy sobie umysł tysiąckrotnie większy od umysłu największego z ludzi; wyobraźmy sobie umysł nieskończenie wielki i spróbujmy pojąć, jaka będzie myśl jego. Czy to będzie błędny ogień? czy myśl, zamierająca zaraz po narodzeniu, której napróżno się szuka i nigdy już nie odnajduje? Myśl istoty nieskończonej będzie myślą nieskończoną, wiekuiastą, niezmienną, nienaruszoną, wiecznie trwającą. Myśl ta będzie prawdziwie żyjącym duchem: *Spiritus et Vita*.

Tak, w owej godzinie, poprzedzającej wszelkie czasy, w onej chwili niewysłowionej, w której, jeśli śmiem się tak wyrazić, Bóg spojrział, natychmiast powziął myśl, jak On żywą, jak On nieskończoną, w którą wlał samego siebie. Ponieważ zaś najwyższym szczeblem żyjących istot jest osobowość, jest samopoznanie — wszelka istota, nie mająca samopoznania, jest istotą niższego rzędu — myśl owa nie tylko była żyjąca, ale życie w niej rozwinięte było aż do pocucia samej siebie, aż do osobowości. Mówiła: *Ja*, tak jak i umysł, który ją powziął, mówił: *Ja*. Jeden mówił: *Tyś jest Synem moim, Jam ciebie dziś zrodził¹⁾*. Drugi odpowiadał: *Tyś jest Ojcem moim, Ty mnie dziś zrodziłeś*. Dziś, nie wczoraj, nie jutro, nie przedtem, nie potem, ale dziś, to jest zawsze w teraźniejszości, gdyż nie można wyobrazić sobie chwili, w którejby duch nieskończony o nieskończonej działalności był bez myśli. Duch nieskończony musi mieć i myśl nieskończoną, a ta myśl nieskończona, wieczna, świadoma siebie zawsze jest w nim.

Ale to nie wszystko. Oto jest Ich dwóch w jedności; czy będzie trzeci? a jeżeli będzie, to w jaki sposób się ukaże? Spróbujmy znowu nie wykazać, nie pojąć, ale odgadnąć.

Czyż myśl wielka, piękna nie wywołuje drgnienia miłości? Czytamy książkę i nagle w pewnej chwili światło się jawi, serce bije, gotowe się oddać. Oto, czego doznał Bóg. Ujrzał Syna swojego, swoje Słowo, swą drgającą życiem, niewypowiedzianie piękną Myśl i uniósł się zachwytem. I Syn ujrzał Ojca, a zachwycony Jego doskonałością, także uniesiony został ku Niemu. Jak się te dwa uniesienia spotkały? Jak z tego boskiego zetknięcia zrodziła się nieskończona miłość, pochodząca od jednego i drugiego, różna od jednego i drugiego? nie usiłuję na to odpowiedzieć. Co tylko jest pewnem, to że ta Miłość jest z konieczności nieskończona, wiekuiasta, niewyczer-

¹⁾ Ps. II, 7.

pana i podniesiona także aż do osobowości. Jest to Duch Święty, żyjące *tchnienie* Ojca ku Synowi i Syna ku Ojcu. Tak jak Syn jest myślą uosobioną Boga, tak Duch Święty jest uosobioną miłością Boga i na Nim kończy się rozwój życia boskiego.

I są trzy w jedności. Może się kto zapyta, dlaczego są tylko trzy Osoby? Odpowiem: w istocie rozumnej, w duchu są trzy rzeczy koniecznie i koniecznie niema ich więcej niż trzy: 1-o Ten duch jest, a więc jest w nim energja, moc, która go czyni rzeczywistością, czyni, że on jest. 2-o On myśli; w przeciwnym razie nie byłby istotą rozumną. 3-o On kocha. Moc, rozum, miłość oto trzy pierwotne, konieczne, nie dające się odrzucić właściwości istot duchowych. Jest ich trzy; wszystkie inne w nich się mieszczą lub są niemi z innego punktu widzenia. I tak dobroć, miłosierdzie są inną formą miłości, rozsądek to inna forma rozumu i t. p. Gdy te trzy przymioty ducha posunie się do nieskończoności, będzie nieskończona Potęga, nieskończona Mądrość, nieskończona Miłość, czyli trzy nieskończone, świadome siebie Osoby: Ojciec, Syn i Duch Święty.

Z tego to szeregu twierdzeń logicznych, jedno z drugich koniecznie wpływających, teologowie wywnioskowali, że choć wprawdzie rozum ludzki nie mógł być odkryć tajemnicy Trójcy Przenajświętszej, to raz mając jej dogmatyczną formułę, może wykazać ściśle jej rzeczywistość. Bo wszystko, cośmy dopiero mówili, tak wyraźnie z Boga się wywodzi, że trzeba to albo przyjąć, albo też zaprzeczyć istnieniu Boga, a zarazem istnieniu wszelkiej rozumnej istoty, wszelkiego ducha.

Posłuchajmy słów Bossueta: „Gdybym był (jak Bóg) naturą, której żaden wypadek naruszyć nie może w jej istnieniu i w której wszystko musi być najistotniejsze, potęgą moja, mądrość moja i miłość byłyby czemś najistotniejszym, żywym i byłbym trzema osobami, trwającami w jednej naturze¹⁾).

Oto wynik ośmnastowiekowej pracy filozoficznej i metafizycznej. A ponieważ tyle genjuszów czerpało z niej zasoby umysłowe, rzeczą jest pewną i najzupełniej oczywistą, że niezależnie od wiary, która nas jej uczy, uważana jedynie jako zdobycz genjuszu, stanowi ona część umysłowego kapitału ludzkości.

¹⁾ Bossuet. *Elévations sur les mystères*.

IV.

Ale tu otwiera się przepaść pod naszymi stopami. Bóg, Istota nieskończona, jest z konieczności jeden; bo nie może być dwóch nieskończoności; jedna ograniczałaby drugą i wtedy wspólnieby się niszczyły. Jednak widzieliśmy, że Ojciec zrodził Syna, tak jak On nieskończonego, i że od Ojca i od Syna pochodzi równie nieskończony Duch Święty. A więc Bóg jest razem jeden i trojaki, a to wydaje się sprzecznością.

Rozpatrzmy to zbliska, a ujrzymy, że niema tu żadnej trudności, i że różność Osób nie tylko nie jest zaprzeczeniem jedności Boga, ale jest jej koniecznym warunkiem.

Oczywiście trudność nie leży w tem, że Bóg jest jeden; jest to właśnie najjaśniejsze światło. Niema też trudności w pojęciu, że są w Bogu trzy Osoby. Każdy duch posiada trzy niezbędne właściwości, jak to dopiero mówiłem: Moc, Mądrość i Miłość. Posunięte do nieskończoności te potrójne niezbędne przymioty staną się oddzielnymi osobistościami, a więc będą trzema Osobami nieskończonemi, zupełnie z konieczności różnemi między sobą.

Gdzież więc jest tajemnica? we współistnieniu jedności z wielością. Trzy Osoby nieskończone tworzą jedną nieskończoność. Oto tajemnica.

Ażeby rozwiązać tę trudność, nie mówię o wytłumaczeniu tajemnicy, ale o metafizycznej jej możliwości — trzeba wokoło nas poszukać jakiejś istoty, w której moglibyśmy znaleźć wielość w jedności i jedność w wielości.

Wybermy, co najwięcej jest widocznem: przestrzeń.

Przestrzeń stanowią trzy doskonale od siebie różne, a nierozdzielnie złączone ze sobą kierunki: długość, szerokość i wysokość. Długość nie jest szerokością, jak ta znowu nie jest wysokością; a przecież długość, szerokość i wysokość zupełnie różne tworzą jedną przestrzeń.

Teraz przypuśćmy, że przestrzeń ożyła, że stała się duchem. Każdy z jej kierunków będzie siebie świadomy. Długość czuć się będzie zupełnie różną od szerokości i wysokości, a jednocześnie czuć się będzie jedną przestrzenią. To samo będzie z szerokością i z wysokością; wszystkie trzy mieć będą doskonałą świadomość o wzajemnej różności i bezwzględnej jedności; czuć się będą *jednem* w istnieniu, a *trzema* w kierunkach.

Idźmy dalej; weźmy ciało stałe. Czy trzy jego rozmiary przeszkadzają jego jedności? przeciwnie, są one

jego podstawą; czyż można sobie bez nich wystawić jakiegokolwiek ciała stałego?

A więc czem te trzy rozmiary są dla ciała, tem trzy wielkie przedmioty — potęga, mądrość i miłość są dla duszy. Są to jej niezbędne rozmiary. Nie psują w niej jedności i prostoty, tak samo jak jedności i prostoty ciała stałego nie psują trzy jego rozmiary: długość, szerokość, wysokość; bez nich ciało by nie istniało.

Dodajmy jeszcze słowo. Czy nieprawda, że w żyjących organizmach największa doskonałość odpowiada największej potędze, ożywiającej jednostkę i łączącej się z najwyższą różnością jej organów? a jeżeli organa nie są różne, jeśli są niewyraźne, nie oddzielone jedne od drugich, to albo jednostka nie żyje, albo jest tak niedołężna, że nic nie działa. Z tego wypływa, że w Bogu, życiu absolutnem, doskonałość zależy na absolutnej jedności złączonej z absolutną oddzielną. Absolutna zaś oddzielną to oddzielną Osób.

W starożytności nazywano to: *Adumbratio quaedam Trinitatis*. „Daleki cień Trójcy Przenajświętszej.”

„Daleki cień” — gdyż aby te wszystkie porównania były dokładne, trzeba by, żeby np. w przestrzeni lub w stałym ciele długość, mając doskonałą świadomość, że jest zupełnie różna od szerokości i wysokości, miała jednocześnie świadomość, że nie tylko jest jednym w przestrzeni, ale że sama jest przestrzenią.

Tak rzeczywiście dzieje się z niewysłowioną jednością trzech Osób w Trójcy Przenajświętszej. Całe bóstwo jest w Ojcu, całe bóstwo jest w Synu, całe bóstwo jest w Duchu Świętym. Bóstwo jest niepodzielne, jest całkowite w każdej z Osób ze wszystkimi wiekuistymi przymiotami: każda Osoba ma świadomość, że jest Bogiem, a zarazem że jest tą lub tamtą Osobą wyraźną w Bogu.

Ojciec wie, że jest Bogiem wiekuistym, nieograniczonym, mądrym, wszechmocnym, a jednocześnie wie, że jest Ojcem. Syn wie, że jest Bogiem wiekuistym, nieograniczonym, mądrym, wszechmocnym, a jednocześnie wie, że jest Synem. I tak samo Duch Święty.

A raczej Bóg wie, że jest Bogiem; ma świadomość tego, że jest Bogiem, a do tego w Ojcu wie, że jest Ojcem, w Synu, że jest Synem, w Duchu Świętym, że jest Duchem Świętym. Jednym słowem, Bóg czuje się jednym i troistym: jednym w naturze, troistym w swej osobowości.

Przyjrzyjmy się rodzinie: ojcu, matce, dziecku. Są to trzy osoby. Dlaczego? bo każda z nich ma świadomość

samej siebie, świadomość, że jest zupełnie różna, oddzielna od drugich dwóch. A dlaczegoż nie są one jedną i tą samą istotą? Bo każda z nich ma podobną istność, ale nie ma tejże samej istności. W każdej z nich jest ludzka natura, ale natura ludzka nie jest cała w ojcu, nie jest cała w matce, nie jest cała w dziecku. Oddzielną jest zupełna, jedność jest tylko moralna. Przeciwnie, w Bogu jedność równa się oddzielną. Jedność jest nieskończona, oddzielną również. Są trzy Osoby rozdzielone, różne różnością, o jakiej pojęcia nie mamy, skoro jest ona nieskończona. Ale jednocześnie jedność jest taka, że nic na ziemi nie może nam dać cienia wyobrażenia, skoro i ona jest nieskończona. Współistnienie tej jedności i tej troistości przechodzi również pojęcie nasze. Trzy Osoby Boskie nie stoją, jeśli się tak wyrazić można, obok siebie i zewnętrznie jedna względem drugiej; są One wewnętrznie jedna drugiej i przenikają się nawzajem. Bóg jest cały w każdej z Osób. Co więcej, każda Osoba jest cała w drugich. Ojciec cały jest w Synu i cały w Duchu Świętym; Syn jest cały w Ojcu i cały w Duchu Świętym, i tak samo Duch Święty. Trzy Osoby mimo swej różności, mocą swej współistności wciąż się przenikają; każda z Nich posiada istność drugich i w ten sposób tworzą jedyne życie Boga.

Dalej wzrok nie sięga, ale nigdzie nie dostrzega sprzeczności. Widzi jasno, że w Bogu są trzy Osoby, nie widzi tylko, jak One żyją jedna w drugiej. Trzeba by coś analogicznego dopatrzeć w naturze, a nic takiego niema.

Może jednakowoż, badając jeszcze głębiej duszę ludzką, gdzie moc, rozum i miłość są zarazem tak różne, a tak w jedno złączone, gdzie rozum jest w miłości, a miłość w rozumie, lepiejby się zrozumiało różność w jedności trzech Osób Boskich; nigdy jednak nie ogarnęłoby się jej w całości. Można rozumieć, że Bóg jest w Trójcy, ale wykazać tego nie można. Tajemnica trwać zawsze będzie.

Ale dosyć już metafizyki; badajmy teraz historję.

V.

Zanim Cuvier, odnalazłszy w pokładach geologicznych jakieś nieznanne szczątki, odtworzył z nich mocą swego genjuszu przedpotopowe zwierzę, do którego one należały, szczątki podobne wszędzie się znajdowały, ale nie

zwracano na nie uwagi; nie badano ich. Dziś namiętnie ich poszukują. Dowodzą one prawdziwości odkryć Cuviera łatwością, z jaką dadzą się przystosować do całości kształtu stworzenia.

Coś podobnego stało się z tajemnicą Trójcy Przenajświętszej: dopóki jej nie znano, mnóstwo rzeczy ciemnych, niezrozumiałych leżało uśpionych w dziełach filozofów, w świętych księgach narodów. Dziś one zabłyśły. Czy są to błyski genjuszu, czy szczątki tradycji — wszystko nam jedno, w każdym razie są to okruczności odwiecznej prawdy. Św. Justyn, św. Klemens Aleksandryjski, Orygenes, św. Augustyn dali początek temu muzeum, w które składano szczątki podania, dotyczącego się Przenajświętszej Trójcy. Od owego czasu muzeum to tak się powiększyło, tak szczęśliwie wypadły poszukiwania czynione w Egipcie, w Indjach, w Chinach, że teraz utrzymują, iż Kościół ze starożytności zapożyczył tajemnicę Trójcy Świętej, tak wysmiewaną przez filozofów i ogłoszoną za niemożliwą, za przeciwną rozumowi.

Faktem jest, że studjując dzieła starożytnych filozofów, księgi święte różnych narodów, odnajduje się tam osobliwsze rzeczy. Gdy na przykład Arystoteles pisze: „Co myśli Bóg? On myśli sam siebie. Jego myśl jest myślą myśli”, i dodaje: „Bóg jest początkiem, pierwszą siłą; miłością ruch wszystkiemu nadaje”; gdy nacisk kładzie na liczbę *trzy*, wszędzie ją widzi i mówi: „Odnajdując tę liczbę w naturze, dla której jest ona prawem, przystosowujemy ją i w czci oddawanej naszym bogom¹⁾”. Czyż to nie są błyski genjuszu, któremu brakowało tylko Objawienia, aby mógł dojść do ostatecznego kresu?

Platon wyraża się jeszcze dobitniej. Na pytanie, co trzeba sądzić o naturze Boga, odpowiada: „Mówić do ciebie będę zagadkami, aby ten, ktoby mój list przypadkiem czytał, nie mógł go zrozumieć. Wielki król stoi pośród wszechrzeczy, a wszystkie rzeczy przez niego były uczynione, ponieważ On jest sprawcą wszelkiego dobra; co do drugich rzeczy, te zbierają się koło drugiego króla, a trzecie koło trzeciego²⁾”.

I jeszcze: „Pierwsze dobro jest Bóg; rozum jest synem tego pierwszego dobra, które go zrodziło podobnym

¹⁾ Methaph. XII, 7, 8. — ²⁾ Epist. II, Op. t. VIII, p. 403. „Co do mnie, mówi Klemens Aleksandryjski, nie mogę tych słów zrozumieć, jak tylko o Trójcy Przenajświętszej.” (Strom. lib. V.).

sobie; a dusza świata jest kresem między Ojcem i Synem³⁾”.

„Czytałem, mówi św. Augustyn, księgi Platona i widziałem z nich, że na początku było Słowo, że Słowo było u Boga i że Bogiem było Słowo; że wszystko się przez nie stało, a bez Niego nic się nie stało. A choć te rzeczy nie są powiedziane temi samymi wyrazami, uderzająca jest tożsamość znaczenia, poparta bardzo licznymi dowodami⁴⁾”.

Tego samego zdania był d'Aguesseau: „Tajemnica Trójcy Świętej uważana za najbardziej niezrozumiałą wśród wszystkich, jest jednak chyba najwznioślejszą i najwięcej do niej się zbliża najrozumniejsza z filozofii starożytnych, filozofia Platona. Jednego tam już tylko kroku brakuje, aby dojść do dogmatu⁵⁾”.

Teorje Pitagorasa o liczbach, a w szczególności o liczbie trzech, tak są głębokie i religijne, że i one, choć inną drogą, dochodzą prawie „do dogmatu”.

Podobne rzeczy odnajdują się w najstarożytniejszych podaniach. Czemże jest, naprzykład, ów grecki napis umieszczony na cyrku w Rzymie:

Μῆγας Θεός, Θεογένετος, Παμπεριής.

Wielki Bóg, Zrodzony od Boga i Najjaśniejszy.

A w Egipcie słynna wyrocznia Serapisa: „Najpierw Bóg, potem Słowo, potem Duch; trzech Bogów zrodzonych razem iłączonych w jednego”.

W Indjach ów ustęp z Oupnekkat: „*Sat* (Prawda) jest imię Boga; a Bóg jest *Frabat*, to jest trzech tworzących jednego⁶⁾”.

W Tybecie: „Boga nazywają tam to *Koncikocich*: Bóg jeden; to *Konciuksum*: Bóg — trzy. Posługują się rodzajem różańca, na którym wymawiają słowa *Om*, *Ha*, *Hum*. Gdy się ich zapytać o wytłumaczenie, odpowiadają, że *Om*, znaczy rozum lub ramię, czyli moc; *Ha* znaczy słowo; *Hum* jest to serce albo miłość, a te trzy wyrazy znaczą Bóg⁷⁾”.

W Chinach znów te nadzwyczajne słowa Lao — tseu: „Wie się zazwyczaj, że *trzy* są *trzy*; ale jest się nieświadomym, że *trzy* są *jednym*”.

¹⁾ Tego, którego my nazywamy Ojcem, mówi Theodoret, Platon nazywa najwyższym dobrem; nasze Słowo jest u niego rozumem, a duszą świata nazywa on tę moc, która wszystko ożywia i którą my nazywamy Duchem Świętym” (Theodoret, Therapeut., lib. II). —

²⁾ Wyzn., ks. VII, roz. IX. — ³⁾ Dzieła d'Aguesseau, t. XVI 144 (Lettres sur divers sujets). — ⁴⁾ Journal de la Société asiatique, t. III, — ⁵⁾ Bonnetty, Annales de philosophie chrétienne, t. XIV.

I dalej: „Ród Boski zaczyna się od pierwszej osoby; ta pierwsza, *rozważając siebie*, rodzi drugą; pierwsza i druga, *miłując się wzajemnie*, dają tchnienie trzeciej; te trzy osoby wszystko wyprowadziły z nicości”¹⁾).

W księdze Tin-Chu-Pien czytamy wzmiankę o tym ustępie, a następnie te słowa: „Korzeniem i początkiem wszystkiego jest Jedność. Jedność sama z siebie jest tem, czem jest, i swego bytu nie otrzymuje od nikogo innego. Jedność rodzi koniecznie drugiego, pierwszy i drugi, *łącząc się jeden z drugim*, wydają trzeciego. A ci trzej tworzą wszystkie istoty”²⁾).

Moglibyśmy przytoczyć mnóstwo innych ustępów, ale poco? Czemże jest to wszystko? czy przeczuciami genjuszu, czy szczątkami pierwotnego objawienia lub może śladami odwiecznej nauki, powierzonej ludowi żydowskiemu, a która przedostała się do wszystkich tych ludów? Może wszystko to razem; ale cóż to znaczy? Wczoraj przeciwnicy chrześcijaństwa utrzymywali, że dogmat o Trójcy Przenajświętszej jest niedorzecznym, sprzecznym, nie wytrzymującym krytyki. Dziś mówią, że jest to najwznioślejszy wysiłek rozumu ludzkiego, i zdaje im się, że wprowadzają nas w wielkie zakłopotanie wyciąganiem najaw tych wszelkich tekstów. Przeciwnie, oddają nam oni wielką usługę. Chrześcijaństwo nigdy się nie miało za naukę zawieszoną niejako w powietrzu, będącą bez podstaw, bez korzeni. Został objawiony, to niewątpliwe, ale ponieważ jest prawdą, więc harmonizuje ze wszystkim. We wszystkich duszach jest ukryty chrześcijaństwo. Gdyby się te dusze rozwijały w światłości, doszłyby wszystkie do Boga. Tak samo powszechny chrześcijaństwo jest rozsiany wśród wszystkich ludów; ale to wszystko jest niepewne, ciemne, niezupełne, nie dające się odczytać, dopóki nie zostanie oświecone słońcem czystej prawdy. Tak się tu dzieje, jak z pismem kreślonym sympatycznym atramentem — jest ono niewidzialne, dopóki się od ognia nie rozróżni.

VI.

Nietylko jednak w podaniach narodów i w błyskach genjuszu ludzkiego odnaleźć można przeczucia i ślady tajemnicy Trójcy Przenajświętszej. Jeżeli to właśnie jest

¹⁾ Bonnety, Annales de philosophie chrétienne, t. XIV. —

²⁾ Ibid. t. XV. Zdaje mi się, że ten prawdziwy i niezmiennie bogaty zbiór nie zajmuje w apologetycznych badaniach należnego mu miejsca.

naturą Boga, to ją się wszędzie odnajdzie. Czyż mówca, pisarz, poeta, artysta mógłby stworzyć dzieło, w którymby się go nie odnajdywało? To też Trójca widoczna jest we wszystkich dziełach Boga, i niema istoty czyto cielesnej, czy duchowej, któraby nie miała na sobie żywego Jej piętna.

Rozejrzyjmy się po świecie; cóż wszędzie ujrzymy? Najpierw jedność, a jedność tem głębszą, im staniemy na wyższym szczeblu stworzeń. Czemżeby jednak była ta jedność, gdyby była sama, gdyby różnorodność nie miarkowała jej monotonii? Piękność, czar, wspaniałość natury tworzy właśnie pewne złączenie jedności z mnogością.

Przyjrzyjmy się jeszcze bliżej, a przekonamy się, że ta różnorodność, ta mnogość układa się prawie zawsze w Trójcę.

Jakież, na przykład, dzieło Bóg najprzód uczynił? — przestrzeń. A z czego się składa przestrzeń w jedności swojego zakresu? Z trzech wymiarów: długości, szerokości, wysokości.

Uczyniwszy przestrzeń, Bóg uczynił czas — drugi ogrom, przerażający dla umysłu. A z czego składa się czas? Z trzech okresów: z przeszłości, z teraźniejszości, z przyszłości. Wczoraj, dziś i jutro.

Na te dwie krzyżujące się linie Bóg rzucił świat. Według jakiego planu? zawsze takiego samego: jedność w trójcy. Wspaniała całość o trzech częściach: duch czysty, materja sama i duch złączony z materją.

Możnaby takie przykłady bez końca przytaczać i za każdym pociągnięciem pióra nowe widoki oświetlać. Trójca bowiem jest ostatecznym wyrazem w porządku metafizycznym, materialnym, moralnym, socjalnym. Jest ona powszechnym prawem istot ożywionych i nieożywionych, ducha czy materji, a w takim razie jakże się dziwić, że jest ona prawem Boga? Trójca, nazwana dogmatem w języku wiary, mogłaby w języku filozoficznym nazywać się prawem powszechnym Bytu lub, jak mówił Bichat, trójnożną podstawą życia we wszystkich sferach, od Boga począwszy aż do człowieka, od człowieka do rośliny, a nawet do minerału.

I jeszcze więcej: jest to prawo Boga, jest to Jego niepojęte Istnienie; a ponieważ Bóg stworzył człowieka i wszystko na swój obraz i na swoje podobieństwo, nie

można krokiem stąpić w badaniu naukowym dzieła stworzenia, by nie odnaleźć mniej lub więcej wyraźnego śladu godnej czci i uwielbienia Trójcy Przenajświętszej.

VII.

Podczas gdy umysł różnemi drogami dochodzi do odgadnięcia czegośkolwiek z metafizycznej możliwości Trójcy Przenajświętszej, serce, które ma dowody nieznane rozumowi, dochodzi inną, bardzo świetlaną drogą do odgadnięcia Jej rzeczywistości. Oto, jak się do tego zabiera.

Bóg jest nieskończoną doskonałością, a więc jest miłością nieograniczoną, gdyż bez miłości niema w rozumnych istotach ani piękności, ani wielkości, ani szczęścia. Ale jeżeli Bóg jest miłością, nieskończoną miłością, trzeba, by w Nim była wielość osób zdolnych wzbudzić miłość, przyjmując ją i oddając nawzajem. W przeciwnym razie ta rzekoma miłość byłaby tylko czystym samolubstwem.

Nie można bowiem zmienić natury rzeczy. Kochać to oddać siebie, to porzucić siebie a poświęcić się drugiemu, aż do uczynienia z siebie ofiary. Nie żeby miłość pragnęła zaofiarowania się, jak to niektórzy sądzą: miłość pragnie uszczęśliwienia się. Ale skoro odda już wszystko co ma, wciąż marzy o nowych darach i napotyka wkrótce nieubłaganą granicę, ostry kres, którego bez cierpienia przestąpić nie może; a wtedy miłość, zamiast cofnąć się, dalszem oddawaniem siebie z rozkoszą ból podejmuje. To jeszcze nie wszystko. Dając, miłość pragnie też otrzymywać; chce wzajemności. I z tego zobopólnego daru, bez którego miłość jest tylko nieszczęśliwa, powstaje zlanie się dwóch istot w jednym uczuciu, zlanie tak ściśle i tak gorące, że gdyby to nie przechodziło ludzkiej siły, uczyniłoby z nich jedno jestestwo. Oto miłość idealna. Zaczyna się we wzajemnym zachwycie, a dokonywa w podwójnym oddaniu się bez zastrzeżeń, bez ograniczeń, dochodzącem aż do ofiarowania swego jestestwa, jeżeli nie w rzeczywistości, to choć w marzeniu, w pragnieniu.

A teraz wyobraźmy sobie Boga samotnego w milczącej wiekuistej otchłani; przypuśćmy, że jest w Nim jedna tylko boska Osoba; jakże pojmemy w Nim miłość? Skąd powstanie zachwyt, to źródło miłości? Komu uczyniony zostanie dar z siebie, który jest zasługą miłości? Jak dokona się zlanie, które jest jej szczęściem? Wieczność więc cała przejdzie Bogu na podziwianiu siebie, na zachwyce-

niu się sobą, na miłowaniu samego siebie. Pięknież to zajęcie! Jakże się to dzieje, że ja stworzony na obraz Jego i podobieństwo nie mogę miłować, aby nie uczuć zaraz potrzeby rzucenia siebie, oddania się drugiemu? W tem właśnie jest wielkość, gdy przeciwnie w miłowaniu siebie jest poniżenie, wstyd, bezpożyteczność. Jeżeli więc Bóg jest takim, nie mogę Go naśladować bez poniżenia się. Ale nie; Bóg nie jest samotny w swem niebie, nie jest ograniczony do miłowania smutną miłością samego tylko siebie. *Tres sunt qui testimonium dant in coelo, Pater, Verbum, et Spiritus sanctus, et hi tres unum sunt.* Są trzej i są Jednym. To miłość idealna. Syn stoi zawsze przed Ojcem jako przedmiot nieograniczonego zachwytu; Ojciec Go widzi i wieczności Mu nie starczy na nasycenie się Jego pięknnością. Tak samo rzecz się ma z Synem, tak samo z Duchem Świętym. Każda z Osób jest dla dwóch drugich przedmiotem niewyczerpanego zachwytu. Po zachwycie następuje dar. Ojciec daje Synowi wszystko, co ma, myśli swoje, uczucia, piękność swoją i życie swe. Daje mu to, co człowiek w swych szalonych porywach dać pragnie; daje Mu swoje Jestestwo, cały jest w Synu. Syn tak samo cały jest w Ojcu. Obydwaj zarówno cali są w Duchu Świętym, a Duch Święty cały jest w Ojcu i cały w Synu. Są trzej najzupełniej, najdokładniej, nieskończenie różni. A jednocześnie są Jednym, najzupełniej, najdokładniej Jednym. To jest szczęście doskonałe. Bo cóż Bogu brakuje? Czyż nie posiada wszystkiego, czego my pragniemy, co niedołącznie urzeczywistniamy, a czego nawet niedołączne urzeczywistnienie wprawia człowieka w zachwyt? Najpierw jest to uniesienie, ale uniesienie nieskończone, wieczne, zawsze jednakowe, nigdy się nie zmniejszające, nigdy niczem nieprzyćmione. Potem oddanie się, ale bezgraniczne, bez tej smutnej rozkoszy cierpienia lub umiærania, gdy już więcej oddać się nie można. Wreszcie całkowite zjednoczenie się posunięte aż do zlania w jedno jedyne jestestwo. Oto niepojęte a najwznioślejsze życie Przenajświętszej Trójcy.

Kościół, stanąwszy na tym najwyższym szczyśle kontemplacji tajemnicy Trójcy, powtarza w kornem uwielbieniu: *O beata Trinitas! O beata Trinitas!*

Nie pytajmy się już teraz, co Bóg czynił w ciągu wieków wiekuistych, zanim stworzył świat. Pytajmy raczej, co Go skłoniło do stworzenia go. Filozofja racjonalistyczna bardzo jest zakłopotana wobec tej wieczności, którą

Bóg miał spędzić na wpatrywaniu się w samego siebie. Mniema, że wyjdzie z trudności, przypuszczając, iż Bóg stwarzał cały szereg następujących po sobie światów. Ale najpierw te stworzone światy nie zdołają nigdy wypełnić wieczności, a przytem czemże są one dla niezmierzonej boskiej miłości? — brak tu wszelkiej proporcji. Jedynie Kościół zdaje sobie sprawę nietylko z dzieła stworzenia, jak to zobaczymy, ale i z poprzedzającej je wieczności. Widzi Boga w nieograniczonym szczęściu wewnętrznego Jego życia i powtarza: *O beata Trinitas!*

VIII.

Kończę to wszystko osobistym moim wspomnieniem. Wiele lat temu przybyłem do Paryża. Byłem młody, pełen zapału, pragnący słuchać o Bogu i o duszach. Pobiegłem do kościoła Najśw. Panny Marii; tam wówczas z kazalnicy przemawiał O. de Ravignan. Mówił o Trójcy Przenajświętszej. Nie pamiętam już, jak on ten przedmiot opracował; jeden tylko szczegół utkwiał w moim umyśle, jeden obraz niezatarte w nim się wyrzył. Kaznodzieja ukazał nam celkę starego zakonnika z XIII wieku, owego wzniosłego geniusza, św. Tomasza, zwanego Doktorem Anielskim. Do tej celki wprowadził jednego z młodych ludzi niespokojnych, wątpiących, jakich jest tylu dzisiaj. I wtedy między młodym niedowiarkiem a starym Doktorem zawiązała się następująca rozmowa:

— Jakto — mówił niewierzący młodzieniec — ty wierzysz w tajemnicę Trójcy?

— Tak — odpowiadał święty — wierzą w nią i gotów jestem życie moje za tę wiarę oddać.

— Ależ to fanatyzm.

— Spokojny jestem zupełnie i skupiony.

— Rozum oświecony nie może dopuścić takiej wiary: trzech stanowiący Jedność!

— Życie poświęciłem nauce, a jednocześnie modlitwie; długie lata rozmyślań nad Boską i ludzką nauką jeszcze mnie nierozdzielnie przywiązały do wiary w Przenajświętszą Tróję, gdyż Bóg ją objawił. Nie mówimy, że trzech są jednym; wyznajemy Tróję w Osobach, a Jedność w naturze. Sprzeczność byłaby tylko wtedy, gdybyśmy mówili o jedności natury i troistości natury, a tego nie mówimy.

— Nie napotykasz więc co do tego żadnych trudności, żadnych sprzeczności?

— Zdaje mi się, że przedstawiłem je o wiele silniej, niż ty to czynisz; sam się możesz o tem przekonać. Odpowiedź znajdziesz na wszystkie, nie można zresztą stawiać zarzutów przeciwko istotnym słowom Boga.

— A może jakaś ukryta namiętność zasłania ci powód tego gorącego przywiązania do wiary?

— Nie widzę, jaka namiętność mogłaby zapanować w moim sercu. Ambicja? Z radością wyrzekłem się szczytów świeckich i kościelnych, a w tem wyrzeczeniu się miałem nawet co ofiarować Bogu. Skąpstwo? Zostałem ubogim dla miłości Jezusa Chrystusa, nie posiadam nic na tej ziemi i niczego nie pragnę. Rozkosze? Anioł święty pewnego dnia opasał biodra moje. Nie, namiętności nie mogły dać mi wiary; one tylko utratę wiary sprowadzają.

— A może wiara twoja jest tylko pozorna?

— Jest ona głęboka i najszczerza, jest duszą mojej duszy, życiem mego życia i to już od bardzo dawna.

— Wierzysz więc szczerze?

— Tak.

— Rozważyłeś wszystko za i przeciw?

— Tak.

— Nie dostrzegłeś żadnej sprzeczności?

— Żadnej. Nie może jej być w niepojętej dla nas tajemnicy: nieznanego nie można zaprzeczać, ani objaśniać.

— Czyż wiara w tajemnicę może cię zadowolnić i przynieść jakowąś pociechę?

— Tak, gdyż widzę w niej samego Boga, objawiającego się mojemu rozumowi i mojemu sercu; a poddając się Jego słowom, stwierdzonym czynami najzupełniej pewnie, radośnie jednoczę się z wewnętrznym działaniem Jego łaski, skłaniającem mię do wierzenia w boską tajemnicę i do umiłowania jej; Kościół swoją nieomylną powagą ręczy mi za jej prawdziwość.

W ten sposób wylewała się piękna dusza O. de Ravignan; a widząc odmalowaną jego słowami świętą postać Anielskiego Doktora, jego czystość, oderwanie się od ziemskich rzeczy, wzgardę próżnych szczytów świata, spokój prawdziwy, serce głęboko miłujące — zapominano, o kim czcigodny kaznodzieja mówił; w każdym bowiem z tych rysów można było jego samego poznawać!

ROZDZIAŁ DRUGI.

Stworzenie świata.

Ogólne pochodzenie światów.

Z jednej tajemnicy zapuszczamy się w drugą. Po Bogu świat. Obok tej przepaści nieskończonego piękna, dobroci, mądrości, miłości życia, którą nazywamy Bogiem, widzimy drugą, przepaść także, pełną piękna, ład, harmonii, nazwaną światem. Jakim sposobem ta druga przepaść pochodzi od pierwszej? Jak istnieje wobec tamtej? Z jakiego powodu i dla jakiego celu Bóg stworzył świat? Ile ciemności jest w tych pytaniach, ale i jaką światłość z nich wydobyć można! Ile tajemnic, wśród których błędził starożytny genjusz, przed którymi rozum skłania się bezsilny! Ale i jakie niewymowne piękności, których rozpamiętywanie wprawiło w zachwyt świętych, filozofów, poetów, artystów, wszystkie wielkie dusze i wszystkie głęboko czujące serca!

Z weselem zabieramy się do tego studjum. Dopuszczamy nam ono więcej, niż sądzimy, do zupełnego pojęcia wielkiego dogmatu Wcielenia.

I.

Opowiadanie Genezy rozpoczyna się temi wielkimi słowami: *In principio creavit Deus coelum et terram*. „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.”

Skład zaś Apostolski: *Credo in Deum, Patrem omnipotentem, Creatorem coeli et terrae*. „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi.”

Oto słowo, otwierające oba testamenty. Jest to słowo objawione, z pewnością zgóry dane. Bo cóż to jest stworzyć? Czy kto to wie? Ani dziś, ani jutro, ani nigdy nikt tego powiedzieć nie potrafi.

Zważmy, że księgi święte nie uczą, że Bóg świat urządził, że urobił wprzód już istniejącą materję; skądby się wzięła taka materja? odkądby istniała? Naturalnie odwiecznie. A więc byłaby wiekiustą w swem trwaniu. Ale będąc pod jednym względem nieskończoną, musiałaby nią być pod wszystkimi innymi: i w wielkości, i w mądrości, w życiu i w miłości. W takim razie byłyby dwie nieskończoności, a to jest niedorzeczne i niemożliwe. Świat starożytny mniej jasno zapatrywał się na te rzeczy, i wielki Platon wśród nich się zabłąkał. Ale odkąd mamy dzieła wielkich chrześcijańskich metafizyków, jak św. Augustyna, św. Tomasza, Leibniza i innych, niema już co nad tem rozprawiać. Już to jest dokładnie wiadome, i nie zmienia tego żadne nadzwyczajne rozumowania przeciwników.

Księgi święte nie mówią również, by Bóg zrodził świat, to jest, by go wydobył z własnego swego Jestestwa. Jestestwo Boga jest niepodzielne; niema w nim części; w przeciwnym razie ulegałoby zniszczeniu. Tam, gdzie ono jest, jest całe. Całe w Ojcu, całe w Synu, całe w Duchu Świętym. Gdyby więc Bóg wydobył świat ze swego jestestwa, całe to jestestwo byłoby w świecie; stąd wypływałoby, że świat jest nieskończony. A czyż świat jest nieskończony? Jest on wielki, przygniata umysł nasz swemi rozmiarami; Bóg naznaczył go cechą wielkiego Robotnika; ale czyż potrzeba czegoś więcej, jak właśnie owej cechy, by dowieść, że świat nie jest nieskończony?

Świat więc nie był ani urządzony przez Boga, ani nie został wydobyty z Bożego jestestwa. Został stworzony. Ale cóż to jest stworzyć? Powtarzam, że nikt tego nie wie. Stworzyć to uczynić z niczego coś, czego przedtem nie było. *Dixit et facta sunt* — „Rzekł i uczynione są.” Oto Stworzenie. Ale w jaki sposób? Tajemnica. Jak wobec jednej Istoty mogły stanąć inne? Jak wobec boskiego *Ja* mogło stanąć, mogło istnieć ludzkie *ja*, ta osobistość skończona? Jak z chwilą gdy były istoty, nie zostały one natychmiast pociągnięte w nieskończoną otchłań, w niej nie zginęły, nie zostały, jak drobne kropelki wody, które ocean w siebie wchłania, jak iskierki, które giną w ognisku? Tajemnica, wszystko tajemnica. Nie widzimy, żeby człowiek, który w głębi swojej natury posiada odbłaski, słabe naśladownictwa Bożych działań, tę moc stwarzania posiadał. Może on urabiać, doskonalić, przerabiać materję; nigdy nie stwarza. Może zapomocą swych myśli, zapomocą barw swego pędzla w zachwycenie świat wpra-

wić, zdumiewać go pięknem dzieł swoich; może iść dalej jeszcze, bo czemuż są wszystkie obrazy i wszystkie rzeźby obok tego dziecka rozumnego, czującego, które człowiek wydobyl z własnego jestestwa i postawił przed Bogiem i przed ludźmi pełen dumy ojcostwa? Tak, człowiek może to wszystko czynić, ale stworzyć nie zostało mu danem. A jednakowoż przeczuwając, że to właśnie jest dowodem najwyższej potęgi, dąży on namiętnie do stworzenia. I wśród nazw, dawanych genjuszom, niema silniejszej, jak nazwa twórcy. Próżne to jednak słowo. Stwarzać to niepodzielna dziedzina Boga.

Nawet niewiadomo, jak o tem mówić, tak to działanie otoczone jest tajemniczą grozą! Na każdym kroku można otrzeć się o herezję, o potworność. Czy powiemy, że Bóg wydobyl świat z nicości? Pospolite to wyrażenie, ale nieudolne, bo cóż to jest nicość? Czy powiemy, że Bóg stwarzając świat, poza sobą go umieścił? Niedokładne wyrażenie, bo cóż może być poza Bogiem? Czyż spróbujemy powiedzieć, że Bóg świat w sobie umieścił? Strzeżmy się: zbliżamy się do panteizmu. O Boże, cóż więc mówić, co czynić? Pokornie i z prostotą powtarzać objawione słowo: *In principio creavit Deus coelum et terram*. „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.” A jak to zrobił? — *Dixit et facta sunt*. „Rzekł i uczynione są, i są, których nie było.”

To właśnie daje wzniosłą i nadzwyczajną cechę pierwszemu słowu ksiąg świętych. Człowiek nic nie stwarza, on może jedynie urządzić, uczynić; dlatego to niektórzy filozofowie widzieli w Bogu tylko *urządzającego działacza*. Człowiek z własnego jestestwa rodzi żyjącą istotę; oto, dlaczego inni pojęli Stworzenie jako rodzaj *emanacji*, wydobycia świata przez Boga z Niego samego. Mojżesz tylko wstępuje wyżej i prawdziwe słowo wypowiada: „Bóg stworzył!” A w tysiące lat potem, gdy wszystkie wysiłki genjuszów ludzkich, jak Platona, Arystotelesa, doprowadziły jedynie do wykazania niemożliwości stworzenia, i kiedy rzecz sama zdawała się ostatecznie osądzoną, Kościół w Symbolu powtarza to samo wielkie słowo: Bóg stworzył! Nagła Kościół, by wytłumaczyć to słowo, pyta ją go: Cóż to jest stworzyć? Kościół odpowiada: Nie wiem; stworzyć to nie jest urządzić. Stworzyć to nie jest zrodzić. Stworzyć — to stworzyć. Czy pojmujemy całą śmiałość podobnego twierdzenia? czy czujemy, na jak niewzruszonej opoce trzeba się opierać, by trwać niezmiennie przy niem?

Zresztą niema tu wyboru: trzeba albo uznać stworzenie, albo stoczyć się do jednej z dwóch przepaści, o których mówić będziemy.

Pierwszą jest materializm: „Nie wiecie, jak pogodzić współistnienie świata i Boga, mówi materializm; nic prostszego — niema Boga”. A ująwszy trochę pyłu, dodaje: „Oto początek wszystkiego. Wszystko z tego powstało za pomocą przemian w ciągu wielu wieków: najpierw minerały, potem rośliny, zwierzęta, wreszcie człowiek. Oto, co wykazuje nauka”.

Doktryna ta ma za punkt wyjścia łatwowierność, a za cel spodlenie, znikczemnienie.

Nie, tysiącokrotnie nie; nauka nie wykazuje, że wszechświat i człowiek pochodzą od pyłku, który niewiadomo, skąd się wziął, i niewiadomo, jak został ożywiony. Nauka, przeciwnie, zupełnie co innego wykazuje. Wszystkie umiejętności: astronomja, biologja, fizyka, chemja, matematyka dowodzą, że wszechświat miał początek, i że duch nie pochodzi od materji¹⁾.

Ale gdyby prawdą było, że dzisiejsza nauka tego uczy, pogardziłbym taką nauką! Rzekłbym jej: „Jesteś mądrością jednodniową, marnem, chwilowem widziadłem. Ja w sobie noszę coś lepszego od ciebie, czuję w sobie ogień święty, płonący we mnie, czuję boskie tchnienie, które mnie ożywia!” Tak nikczemną doktrynę można wyznawać jedynie w chwili jakiegoś szału, gdy się jest bardzo młodym, lub używać jej w starości dla zyskania marnej popularności; ale to trwać długo nie może. Wkrótce zjawia się zniechęcenie i wyrzuty sumienia; wiara w Boga się budzi i dusza zawstydzona wraca do Niego, opamiętana.

Przypuśćmy zresztą, że prawda jest w materializmie; jakież wtedy będą podstawy prawa i moralności? Czyż w materji może być jaka moralność? Usunięcie Boga: cóż się zostanie? prawo silniejszego. A wtedy cóż się stanie z jednostkami? Co się stanie nawet z narodami? Wszędzie rozpanoszyłyby się niezliczone wojska, zaopatrzone w mordercze pociski; brutalnie zabierałyby całe prowincje, nie bacząc na nienawiść ich mieszkańców, i ciężką stopą wyciskałyby na polach walki, zhańbionych ich zwycięstwem, ową ohydłą dewizę: Siła przed prawem!

Drugą przepaścią jest panteizm. Pochodzi on ze Wschodu. Na Zachodzie, tam gdzie człowiek ziemię użył swoją ciężką pracą, można o Bogu zapominać lub Jego

¹⁾ Chryścjanizm i czasy obecne, tom I, rozdz. VIII.

istnieniu zaprzeczać. Ale jak Go zapoznać wśród tej natury wybujałej, pod olśniewającym niebem Wschodu? w owych krainach słonecznych? Jakże maleńkim czuje się tam człowiek! Bóg jest wszystkim. Istoty są tylko prostym wyobrażeniem Jego myśli. Światy są marzeniami Boga. Jak we śnie widzimy istoty, zdające się mieć życie a rozwiewające się za naszym przebudzeniem, tak samo i w Bożych marzeniach. Tylko te wyobrażenia są w Nim potężniejsze i trwają dłużej, oblekają się w ciało, bawią czas jakiś Jego myśl, aż się na zawsze rozwiewają w nieprzenikniętych głębinach jednego prawdziwego istnienia Bożego. Oto panteizm.

Materjalizm powstał ze znikczemnienia, panteizm z pychy. Ale do czego on prowadzi? Człowiek jest więc tylko przesuwającym się obrazem w Bożej myśli; obrazem przemijającym, ale boskim, tej samej natury jak Duch, który go począł, i równie jak On doskonały, nie ulegający skażeniu. A w takim razie czego się krępować? Kradzież, bluźnierstwo, cudzołóstwo, cóż to znaczy? Bóg sam temu winien!

Niema błędów bardziej sprzecznych ze sobą, jak materjalizm i panteizm. Pochodzą one z dwóch ostatecznych krańców: jeden jest zaprzeczeniem drugiego. Materjalizm wpatrzony w proch mówi: „Wszystko jest materją, ciałem”. A panteizm ze swej strony woła: „Wszystko jest Bogiem”.

II.

Przejdźmy do drugiego pytania: jak myśl stworzenia powstała w Bogu? Gdyby był sam, wielki, smutny samotnik w niezgłębionej wieczności, toby można to jeszcze zrozumieć. Ale widzieliśmy, że tak nie jest. Jakże więc myśl stworzenia mogła powstać w Bogu, wśród tej niewyczerpanej miłości, łączącej trzy Osoby Trójcy Przenajświętszej i wypływającej z niej nieskończonej szczęśliwości?

Nie wiemy, co to jest stworzyć, ale wiemy, jak się stwarza. Stwarza się w szczęściu, w miłości. A jeżeli dzieło jest bosko piękne, to bądźmy pewni, że stwarzająca je miłość posunięta była do ekstazy. Poeta mówi: „Czuję, że westchnienie mej duszy gorącej mogłoby światy stworzyć żarem swego wzlotu.” Oto, jak się stwarza. Wszelkie wielkie dzieło powstaje z zachwyty. Jeżeli jednakowoż arcydzieła genjuszu są nieraz łzami oblewane, to dla-

tego że ciężar zachwyty druzgocze ciało, a szczęście rozsądza śmiertelne serca, stworzone doń, ale niezdolne całej jego pełni pomieścić.

I nie tylko stwarza się w szczęściu, ale jeszcze stwarza się, by drugim ze swego szczęścia udzielić. Smutek onieamia, pcha do samotności. Szczęście, przeciwnie, rozszerza serce; gdy się jest szczęśliwym, jest się wylanym; nie pozostaje się zamkniętym w swym domu, ale szuka się krewnych, przyjaciół i mówi się do nich: „Cieszcie się ze mną, *congratulamini mihi*.” Mamy wrażenie, że się szczęście nasze powiększy, skoro je z drugimi podzielimy.

Jeżeli się nie ma przyjaciół, powierników, to się ich tworzy; wywołuje się ich nawet wśród martwej natury; chciałoby się ożywić głązy, skały, potoki, ażeby z niemi o swem szczęściu mówić.

I nie jest to czcza poezja, ale wzniosła rzeczywistość. Wszystko naokoło się ożywia, człowiek szczęśliwy czuje się zdolnym stwarzać światy całe.

Takie jest serce ludzkie, słabe wyobrażenie serca Bożego! Taka jest geneza arcydzieł ludzkich, cienia onego arcydzieła Stworzenia. Gdy potok nieskończonej szczęśliwości wniknął z Ojca w Syna, z Ojca i z Syna w Ducha Świętego, Bóg ujrzał, że to szczęście jest udzielające się; że może rozlać nazewnątrz ten ocean szczęśliwości. Ujrzał, że może stwarzać istoty Jemu podobne, które tego szczęścia używać będą i choć nie ogarną całej jego pełni, choć małą cząstkę, drobną iskierkę zeń tylko dojrzą, już tego widoku starczy im do wiekuistego zachwyty. Jak nie zzwolić dobrowolnie, miłośnie na urzeczywistnienie takiej myśli? Jak powstrzymać wylewającą się nazewnątrz miłość i nie dać jej wszystkiego ogarnąć, aby wszystko uszczęśliwić?

To była geneza stworzenia. Przy tem to żywem światle stapiają się i harmonizują różne, sprzeczne napozór systemy teologów. Według jednych, Bóg stworzył nas przez swą dobroć. Widział nicość, to coś bez nazwy i bez kształtu, niezdolne ani znać, ani kochać — i z dobroci, z miłości wyciągnął doń swą rękę. Według drugich, należących do wyższej szkoły (ale szkoła pierwszych jest więcej miłującą), Bóg wszystko uczynił dla siebie, dla swej chwały. W obu tych systemach jest prawda, i trzeba je złączyć, aby otrzymać zupełne światło. W tym zachwycie szczęścia i miłości, z którego wyszliśmy, Bóg widział siebie i nas widział. Widział swą chwałę i pragnął dać ją poznać,

i widział biedne stworzenia, pragnące poznać tę chwałę. Te dwa powody, zlawszy się razem, zniewoliły Go do stwarzania. Przyszłe istoty nie mogły w niczem powiększyć Jego chwały i Jego szczęśliwości, przez to więc samo miłość stwarzająca zachowała całą swą najwyższą piękność — bezinteresowność; bo cóż może być piękniejszego jak uszczęśliwiać tych, którzy nie dla nas uczynić nie mogą?

III.

Jak dobrze z tem wzniosłem pochodzeniem godzą się cechy stworzenia, ukazywane wierze przez naukę!

Z początku w uniesieniu, spowodowanem pierwszemi odkryciami geologii i astronomji, niektórzy uczeni mniemali, że ukazując ogrom stworzenia, to co nazywali jego „nieskończonością“, postawią religji trudność nie do rozwiązania. Ale skoro dzieło stworzenia zrodziła nieskończona miłość, to gdzież tu jest jaka trudność lub sprzeczność?

Uczeni owi mówili, że geologja potrzebowała miliardów lat na długie serje olbrzymich zmian, przez które nasza kula ziemską przejść musiała, zanim mogła zostać zamieszkaną; dodają, że według astronomji nie tylko wiele innych światów poprzedziło istnienie naszego i że one także przygotowywały się przez miliony wieków, ale jeszcze że były światy, których istnienie już się skończyło, gwiazdy zagasły, bez życia, a to znów każe przypuszczać miljarady miljarady wieków; stąd wniosek, że stworzenie jest niejako przedwiecznem i że jego początek ginie w niepojętej odległości. Czyż to ma zachwiać moją wiarę? — przeciwnie, drgnie ona jeszcze żywiej. I nie sprawdzając tych przypuszczeń, mówię: To musi być prawda. Miłość stwarzała, a stwarzała, aby szczęśliwych uczynić; a więc święty pośpiech, święta, pełna miłości niecierpliwość musiały Boga naglić. Gdyby było metafizycznie możliwem, żeby dzieło stworzenia nie miało początku, nie byłoby go miało. Nigdy Ojciec nie byłby pozostawał bez dzieci.

Otwieram księgi święte, i uderzają mię dwa wyrażenia: *In principio erat Verbum*. „Na początku było Słowo.“ I znowu: *In principio creavit Deus coelum et terram*. „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.“ Na początku, przed wszelkim początkiem Bóg widzi swego Syna, a z Ojca i z Syna pochodzi Duch Święty. To pierwsza fala życia,

na początku, przed wszelkim początkiem, ponad wszelkim początkiem, jest ona nieskończoną i wypełnia wszystko. A potem natychmiast, *in principio*, na początku, fala ta się rozlewa. Pochód doczesny stworzeń następuje po wiekustym pochodzie trzech Osób Boskich. Gdy się pomyśli o powodzie, z którego powstał, to trzeba przypuścić, że się rozpoczął, gdy tylko to było możebne. Cóż mogło wpłynąć na oczekiwanie, na opóźnianie daru życia, który dać można było? Stworzenie nie jest przedwieczne; nie ma się prawa mówić, że trwanie jego jest nieskończone; ale jego początek ginie w nieprzeniknionej odległości.

Co się powiedziało o początku, to samo mówi się o końcu. Nauka twierdzi, że są na niebie gwiazdy zagasłe, zamarłe; że są inne, rodzące się, i jeszcze inne, gotujące się do przyjęcia mieszkańców; że o miliony mil są globy olbrzymie, kuliste, które w obecnej chwili przechodzą owe przemiany, jakie przechodziła nasza ziemia, i które może za miliard wieków zamieszkałemi zostaną. I pytam się, dlaczegóżby Bóg stwarzać przestał? dlaczegóżby wciąż nie wydawał nowych dzieci? Wieki średnie wyobrażały sobie, że dzieło stworzenia odrazu dokonanem było; że Bóg wszystko jednocześnie stworzył i wrócił następnie do swego wiekuistego spoczynku. Pojęcie to ciasne, sprzeciwiające się rozumowi, nauka zadaje mu kłam. Stworzenie następowało kolejno, trwa ciągle. Ze światami tak się dzieje jak z duszami: codzien nowe się rodzą.

Wiek XVII, choć trochę więcej posunięty w nauce o wszechświecie, nie widział jednak nic poza naszą małą ziemią i długie prowadził rozprawy nad planem, którego Bóg się trzymał przy stworzeniu. Wychodzono z zasady, że w Bożej myśli były różne rodzaje możliwych światów, i że każdy z nich, doskonale w sobie zupełny, mógł być urzeczywistniony z wykluczeniem drugich i z nich jeden Bóg wybrał. „Ale, mówił Malebranche, wszelki wybór każe domyślić się stanowczo określonego powodu, i trzeba go znaleźć w mądrości Boga. Otóż mądrość Boga składa się z konieczności ku najdoskonalszemu planowi, gdyż w przeciwnym razie działałaby z niedostatecznych powodów. A więc świat, na który padł wybór Boga, jest możliwie najdoskonalszy.“ — „Dobrze, odpowiadał Fénelon i Bossuet, ale ten świat, według waszego mniemania najdoskonalszy, jest w każdym razie ograniczoną doskonałością. A więc między nim a Bogiem jest nieskoń-

czony przedział. Otóż, jak możecie zaprzeczyć Bogu możliwości pomyślenia czegoś doskonalszego i tegoż urzeczywistnienia?..."

Dyskusja zawarta w tych kresach trwałaby wiecznie. Ale dlaczego Bóg miałby powziąć jeden tylko plan? Cóż sądzonoby o malarzu, który wymalowałby jeden jedyny obraz, co o muzyku, któryby grał zawsze jedną tylko melodię? Jałowość, brak myśli, mówionoby słusznie. Dlaczego, przeciwnie, nie mógłby urzeczywistnić w ciągu wszystkich wieków i przez wieczność całą wszystkich możliwych światów. Jak z płonącego ogniska wydobywają się wciąż iskry, tak wciąż z gorejącego miłością serca Bożego tryskają i wciąż tryskać będą stworzenia, zdolne Go znać, kochać i uczestniczyć w nieskończonym Jego szczęściu.

IV.

Niektórzy uczeni, wykazawszy to, co nazywają „nieskończonością świata co do czasu”, a czem myśleli, że wierzących w kłopot wprowadzą, osądzili, że jeszcze więcej zachwieją wiarę, głosząc, iż świat jest „nieskończony co do przestrzeni”. Ale zamiast się zachwiać i zaniepokoić widokiem tych nowych naukowych odkryć, uniesieni zostaliśmy radością i zachwytem, gdyż patrzyliśmy na nie z wyżyn, do których nas podniosła wiara w twórczą miłość Boga.

Trzeba przyznać, że wątpliwa budowa naukowa średnich wieków rozpadła się w kawałki. Astronomja ze wspaniałym prawem ciążenia gwiazd, ze zdumiewającym wynalazkiem teleskopów, udoskonalonych przez Herszla i lorda Rose, zburzyła ów gmach dziecinny. Ziemi odebrane zostało fałszywie jej przyznawane środkowe miejsce we wszechświecie, a za jednym zamachem słońce odzyskało właściwy swój wygląd i stanowisko. W wiekach średnich sądzono, że jest ono mniej więcej tak duże, jak półwysep Peloponeski; teraz dowiedziano się, że ogrom jego jest półtora miliona razy większy od ziemi, a wydaje się tak małe z powodu ogromnej odległości od ziemi wynoszącej więcej niż trzydzieści milionów mil. Co więcej, przekonano się, że wokoło tegoż słońca krążą razem z ziemią jej siostry planety i temże samem światłem są oblane: gorejący Merkury, Wenus, Mars o czerwonych blaskach, olbrzymi Jowisz, Saturn z pierścieniem, Uranus, Neptun,

wszystkie one ciążą ku słońcu i wokoło niego się obracają w promieniu, liczącym miliard sto czterdzieści siedm milionów mil.

Wydaje się to bezmiernem, a jednakowoż cóż to jest? Dowiedziano się, iż cały system słoneczny stanowi częstkę drogi mlecznej, zajmując w jej środku miejsce zaledwie dostrzegalne. Obrachowano ilość gwiazd w drodze mlecznej; ileż ich być może? ośmnaście milionów. Podobna jest ona do niezmiernej wstęgi, tak długiej, że promień światła, wydobywający się w jednym jej końcu, przebywając 77 tysięcy mil na sekundę, osiągnąłby drugiego jej końca po 15 tysiącach lat!

Ale czemuż jest sama droga mleczna w bezgranicznej przestrzeni? Na naszym widzialnym horyzoncie, przeciętym drogą mleczną, zapisano 75 milionów gwiazd i codzień nowe odkrywają. Te gwiazdy, które widzimy wyraźnie, które można zbadać i opisać, nie są największym dziwem. W rozdzielaającej je przestrzeni, tam gdzie słabe nasze oko widzi jedynie ciemne głębiny, teleskop pozwala dostrzec drobny pył złoty. Są to gwiazdy, których już zliczyć niepodobna. A w miarę doskonalenia siły teleskopów wszystkie strefy nieba pokrywają się drobnym, złotym piaskiem; niema już miejsca na ciemności, a oko, nie mogąc przebić tego gwiazdzistego nagromadzenia, ma przed sobą jedynie jakąś świetlaną tkaninę.

Zrachujmyż, jeżeli zdołamy, te gwiazdy. Ilość ich jest przygnębiająca dla umysłu. A cóż dopiero gdy dodamy do tego ogromne odległości, leżące między gwiazdami, i ciężar tych ciał potężnych, i szybkość, z jaką krążą w przestrzeni! Poszybujmy z promieniem światła, który przebywa 77 tysięcy mil na sekundę, to jest cztery miliony sześćset dwadzieścia tysięcy mil na minutę, to jest sześćset miliardów mil przez dzień; ileż czasu potrzeba nam będzie, byśmy się dostali do gwiazdy położonej w najbliższym sąsiedztwie naszego słonecznego systemu, do Alfę z Centaura? Oto trzy lata i ośm miesięcy. Coprawda jest ona oddalona od nas o ośm trylionów sześćset miliardów mil! a jest ona *najbliższa*. A do Syrjusa? dwadzieścia dwa lata; gwiazda ta jest oddalona od ziemi o 52 tryliony 174 tysiące milionów mil. Odpocząwszy chwilę na owej gwiazdzie, o wiele świetniejszej od naszego słońca, a szesnaście milionów razy większej niż ziemia, dalej wyruszamy wciąż z tą zawrotną szybkością 77 tysięcy mil na sekundę, 6 miliardów mil przez dzień. Jak

prędko dostaniemy się do gromadki Plejad? za pięćset lat. A do tych ostatnich mgławic zawieszonych w bezbrzeżnych przepaściach, z których znów każdy złoty pyłek jest światem całym? wyrachował to Humboldt; są takie, do których dostalibyśmy się dopiero po dwu milionach lat. Dwa miliony lat przy szybkości 77 tysięcy mil na sekundę!

A cóż jest poza temi mgławicami dostrzegalnymi przy pomocy teleskopu? Inne mgławice, inne drogi mleczne, inne ugrupowania gwiazd, do których dzisiejszy teleskop nie sięga, które może jutrzejszy dojrzy; a za nimi są znowu inne i jeszcze inne i tak bez końca. Rozum z niechęcią odrzuca myśl próżnej przestrzeni, w którejby nic nie było. Dzieło stworzenia napęnia więc tak samo wszystkie przestrzenie, jak i wszystkie czasy.

Jakże daleko odbieglśmy od starego nieba wieków średnich, od owych dwunastu sfer, mieszczących się jedna w drugiej! Ale o ileż dzieło stworzenia odsłonięte przez naukę jest prawdziwsze, naturalniejsze, mniej sztuczne, o ile zgodniejsze z zapałem ksiąg świętych, opowiadających o ogromie niebios, o ile więcej harmonizuje ono ze wzniosłymi pojęciami Kościoła o Bogu! Stwarza Bóg, którego właściwym przymiotem jest wspaniałość! To miłość nieograniczona, która chce uszczęśliwiać, chce rozlewać, udzielać swojej szczęśliwości! Cóż więc mogłoby w tem razić moją wiarę? Ach, tylko małość stworzenia, nigdy wielkość i wzniosłość tego dzieła. Gdyby Bóg mógł je nieskończonem uczynić, byłoby niem. Serce daje bez miary.

V.

Ale nauka idzie jeszcze dalej. Zliczywszy i zważywszy gwiazdy, zaczyna teraz badać składające je żywioły, i tu właśnie niektórzy uczeni mniemali, że zadadzą kłam dogmatowi katolickiemu. Doszli do przekonania, że wszystkie gwiazdy są uczynione zupełnie tak samo jak ziemia: te same żywioły, te same metale, to samo następstwo pór roku, taki sam plan pod każdym względem, a więc, dodają, czemuż nie miałoby tam być mieszkańców? Dobrze, gdzież tu jednak jest jaka sprzeczność z dogmatem katolickim? Jeżeli Bóg stworzył wszystko z miłości i ażeby udzielić swego szczęścia całemu stworzeniu, to i charakter stworzenia musi temu odpowiadać;

a więc musi być w niem rozum, miłość, uczucie, zdolność oświecenia i zachwytu. Duch w dziele stworzenia nie wprowadza mnie w kłopot, duch widzący, wierzący, miłujący, wielbiący. Materja tylko mnie niepokoi.

Rzecz dziwna, możnaby sądzić, że wielkie wynalazki idą po sobie według opatrnościowego jakiegoś planu; nie występują pojedynczo, zosobna. Gdy wynaleziono teleskop, rozszerzający świat z jednej strony, wynaleziono jednocześnie mikroskop, który go powiększa z drugiej. A oto wynaleziono i trzeci nadzwyczaj cudowny przyrząd, który doreszty niebo odsłania. Jest to spektroskop. Nie będę go opisywać; niech wystarczy wiedzieć, że spektroskop, rozkładający światło gwiazd, zmusza je, by nam objawiło naturę środowiska, które przebywało, a zatem skład chemiczny gwiazd, z których płynie. Genjusz naukowy uzbrojony tem narzędziem nabiera śmiałości. Każda gwiazda została zbadana, przewiercona, jeżeli się tak wyrazić można; kazano jej zdać sprawę z tego, co w sobie zawiera. Niektóre tak zdołano przybliżyć, że zdjęto z nich mapy. Na niektórych globach zauważono dokładnie zmierzch ranny i wieczorny; na innych śniegi, zjawiające się jesienią, a znikające z wiosną; jeszcze na innych dostrzeżono morza, jeziora, lądy; poznano otaczającą je atmosferę; ujrano chmury, deszcze, i można prawie wiedzieć, jaka pogoda jest tego a tego dnia na niektórych planetach. Wreszcie zebrano dowody tak silne i pozytywne życia, istniejącego nie tylko na naszej kuli ziemskiej, że wkrótce tak samo nie będzie można temu zaprzeczyć, jak za czasów Galileusza nie można było zaprzeczyć obrotu ziemi. Oto, co mówi nauka; a ja powtarzam, że nic w tem niema takiego, coby nas w kłopot wprowadzić mogło; przeciwnie, jest tu cudowne, a całkiem niespodziewane potwierdzenie najpiękniejszych intuicji naszej wiary.

Gdyby Kościół uczył, że człowiek jest jedyną rozumną istotą, jaką Bóg stworzył, to bezwątpienia moglibyśmy być zaniepokojeni coraz to nowymi odkryciami lub przeczciami nauki. Ale Kościół wręcz przeciwnie uczy. Uczy, że człowiek nie tylko nie został sam i pierwszy stworzony, ale że go poprzedziły wspaniałe i niezliczone rozumne stworzenia. Ukazuje nam, że gdy ziemia się narodziła, *śpiewali wszyscy synowie Boży*¹⁾, podobnie jak się

¹⁾ Job XXXVIII, 7. „Cum me laudarent simul astra matutina, et jubilarent omnes Filii Dei.

to dzieje w rodzinie, gdy na świat przychodzi maleńki braciszek. Gromadzi pleonazmy na pleonazmy, aby nam opowiedzieć piękność i mnogość tych starszych braci, są ich miliony milionów, miliardów¹⁾, podzielonych na serje, na odrębne chóry. Może wszyscy ci nasi starsi bracia, niejednakowi co do piękności, stworzeni zostali odrazu, odrazu wszystkich wydało pełne miłości serce Boga, a może stworzenie ich szło kolejno, stopniowo, oddzielane milionami lat, podobnie jak w różnych okresach natury. Kościół pozwala nam sięgnąć wzrokiem na stworzenie tych istot tyle od nas odmiennych. Ukazuje nam ich wolność i próbę; w wielu, w bardzo wielu ukazuje zło, rodzące się przez nadużycie wolności i wypływające stąd, jak i na naszej smutnej ziemi, straszne moralne przewroty.

Dziwna nastąpiła przemiana rzeczy. Był czas, gdy apologetyka chrześcijańska była zmuszona dowodzić istnienia duchów wyższych nad człowieka. Czyniła to: 1) przez wyraźną naukę o Objawieniu; 2) przez ukazanie jednozgodnej wiary wszystkich narodów; 3) przez wyciąganie wniosków; nie można się bowiem dziwić, że jest szereg istot wyższych od nas, skoro jest długi szereg istot od nas niższych. Wprawdzie nie widzimy tych istot wyższych, ale ileż to jest takich wśród niższych, których się nie widziało, nie znało przez lat tysiące, a wieleż jest takich, których się dziś jeszcze nie zna, których się może nie dojrzy; niemniej istnieją one; 4) przez poznanie prawdziwej natury Boga, który nie mógł stworzyć *bezmiernej ilości istot* materialnych, a *bardzo ograniczoną* liczbę istot rozumnych. Jest to dowodzenie św. Tomasza, a posuwał je tak daleko, że w jego mniemaniu nie mogło być żadnej proporcji pod względem liczby między tem dwójakiem dziełem stworzenia; liczba istot rozumnych musi przechodzić liczbę istot materialnych w sposób, nie dający się porównać: *incomparabiliter*²⁾. Rozważmy to słowo i przypomnijmy sobie, ile żyłatek znajduje się w kropelce wody. Jakże to! kropla wody pełna jest istot, a gwiazdy pozostałyby pustemi!

Prawda, że teraźniejsza nauka nie chce nic słyszeć o aniołach, nie chce niemi zapełnić odkrytych przez siebie światów: jej potrzeba istot nam podobnych; byłaby jednak w kłopotcie, gdyby jej się spytano o powód takiego wymagania. Z drugiej strony, teologja uczy, że te istoty wyższe

¹⁾ Apoc. V, 11. — Paul. ad Hebr. XII, 22. — ²⁾ Thom. I p., quaest. 50

i dawniejsze od człowieka są czystymi duchami, nie mogłyby więc wyobrazić sobie, w jaki sposób mogłyby zamieszkiwać gwiazdy, mieć je jako miejsce pobytu. Ale wszystko można pogodzić i objaśnić zapomocą jednego z najpiękniejszych praw stworzenia, tego, które już w starożytności odgadywano i sformułowano w tem twierdzeniu: „Natura nic nie czyni w przeskokach”. Wykazaliśmy już w pierwszym tomie tej pracy, jak od atomu aż do człowieka jest ciągły w górę postęp. Jest mnóstwo istot utworzonych przedziwnie jakby nato tylko, by przejścia nie były zbyt nagłe, tony nie odcinały się zbyt ostro, istot, łączących niejako jedno królestwo z drugim, harmonijnie, powolnie prowadzonych ze stopnia na stopień coraz wyższy. Otóż i od człowieka do anioła jest bardzo daleko; jakąż to przestrzeń dzieli istotę wcieloną od czystego ducha! Gdyby mi więc powiedziano, że między człowiekiem a aniołem Bóg stworzył pośrednie istoty, nie byłbym tem bynajmniej zdziwiony, ale raczej przyklasnąłbym takiemu przypuszczeniu. I nauka, zdaje się, chce coś podobnego w obecnej chwili wykazać.

Nietylko mówi, że gwiazdy są zamieszkałe, ale je pokazuje jako mieszkania coraz to więcej udoskonalone, a tamtejsze warunki atmosferyczne, chemiczne, geograficzne zdają się wymagać coraz to doskonalszych organów. Są takie, gdzie światło nigdy nie zamierzcza; gdzie blask tysiąca zórz razem zebranych podtrzymuje nieprzerwany dzień. Jakież istoty mogą zamieszkiwać takie strefy? Oczywiście istoty o wiele od nas wyższe, których duch potężniejszy nie potrzebuje spoczynku nocy. Jednem słowem, widzimy wciąż niby wyższe piętra, a jak od atomu do człowieka niema gwałtownego przeskoku, niema żadnej przerwy, podobnie jest może z coraz doskonalszemi stworzeniami od człowieka do anioła, do archanioła, do serafina i tak wszystko stworzenie wznosi się po wspaniałych szczeblach aż do Boga!

Jeżeli więc sprawdzą się te przeczucia naukowe, za co nikt zgóry ręczyć nie może, nietylko nie naruszają naszej wiary, ale przystosują się do niej przedziwnie i znajdują w niej miejsce zdawna oznaczone. Powtarzam, że ciemnem w dziele stworzenia nie jest duch, skoro go Bóg stworzył, aby mu dać szczęście; ciemnem wydaje mi się ciało, materja martwa, ciężka, bez ruchu, bez głosu, bez serca. Co ona tu robi w świątyni światła i miłości, skoro nie może widzieć, ani wielbić, ani miłować? Chyba, że

została stworzona dla dusz, aby im służyć za chwilowe mieszkanie w przestrzeni. I jak się zdaje, dzisiejsza nauka chce także tego dowieść, a dogmat katolicki nie sprzeciwi jej się bynajmniej, przykłaśnie jej raczej. Co do mnie, nigdy nie wierzyłem, by te niezliczone światy były puste i zawieszane jak wspaniałe lampy w miejscach, gdzie nikt ich nie widzi, nikt nie podziwia. Jakże lubię w piękną noc letnią, tysiącami światła błyszczącą, podnieść wzrok ku sklepieniu nieba. Każda gwiazda wydaje mi się być kadzielnicą, z której wonny dym w górę się wznosi. Słyszę, zda się, szept modlitw i widzę z każdego globu płynące ku Bogu cześć, dziękczynienie i uwielbienie. Przekonamy się wkrótce, że nowe te odkrycia bynajmniej nie będą przeszkodą nauce Kościoła o dogmatach Wcielenia i Odkupienia, ale je potwierdzą, odsłaniając nowe, cudowne widoki.

VI.

Dzieło stworzenia powstało z miłości, a zatem z konieczności ma ono inną jeszcze cechę. Uczynione jest dla szczęścia, pragnie go, szuka i chce je posiadać za jaką bądź cenę, a jednocześnie, nie mogąc go spotkać wśród rzeczy stworzonych, musi w tem najwyższem pragnieniu dążyć do Tego, z którego wyszło.

Nie wiem, czym są istoty rozsypane po niezliczonych stopniach wszechświata; ale jedno wiem i widzę. Wszystkie odczuwają piękno, dobro, cnotę, poświęcenie, miłość. Jest to powszechne, wiekuiste, bezwzględne. Wszystkie modlitwą, czcią, uwielbieniem, dziękczynieniem wnoszą się do Boga, źródła tych świętych uczuć. Wszystkie żyją i wszystkie spragnione są szczęścia. A im są wyższe, czystsze, więcej oswobodzone od słabości i ciemności ziemskich, tem mniej szukają tego szczęścia wśród rzeczy stworzonych. Jest w nich też sama potrzeba szczęśliwości, ale w świetle sto razy wspanialszem i silniejszym. I jeżeli szukaliby oni szczęścia, jak my w stworzeniach, jeżeli podlegaliby podobnym jak my złudzeniom, to tak samo, jak my, nie mogliby znaleźć zadowolenia. Bóg, który ich uczynił dla siebie, nazaczył ich serca tak jak i nasze tą niemożnością.

Może kto powie, że nas charakteryzuje nietylko trudność znalezienia szczęścia na ziemi, ale i lży nasze. Życie całe, to tylko gorzka boleść.

To prawda; ale nie trzeba według ziemi sądzić o całym niezmiernym dziele stworzenia; ani nawet według obecnego stanu ludzkości wnioskować, jaka ona była zaraz po wyjściu z rąk Stwórcy. W wielkiej flocie gwiazd ziemia jest statkiem rozbitym. Straszna katastrofa, którą wkrótce rozpatrywać będziemy, zupełny przewrót na niej uczyniła. Pójdziemy w górę rzeki łoż, aż do jej źródła, a przekonamy się, że nie płynęła ona w raju ziemskim. Podobne nieszczęście mogło się przytrafić i innym stworzeniom. Ale jakkolwiek się stało, twierdzić musimy, że wszystkie stworzone zostały w szczęśliwości i dla szczęśliwości; wszystkie zrodziła Miłość. Ojciec daje życie synowi dla szczęścia; gdyby matka mogła swobodnie wybierać, to za nic nie zgodziłaby się dać swemu dziecku życia łoż, jakie wszyscy wiemy! Wniosek stąd łatwy i jasny, gdyż Bóg jest lepszy niż my.

Zresztą, a to jest najważniejsze, żadna z tych katastrof nie przeszkodzi tym, co zechcą, by się ów dramat szczęśliwie dla nich zakończył. Dla nich wkońcu będzie to, co było na początku: miłość, prawda, piękno, dobro, wieczny zachwyt w szczęśliwości wiekuistej. Wszystko w szczęściu się zawrze.

VII.

Z tem ostatniem słowem dochodzimy do kończącego wszystko pytania:

Dokąd dąży świat?

Nietylko poezja zadaje to pytanie; nauka o to samo się pyta. Ani na niebie, ani na ziemi nic nie pozostaje w spoczynku. Wszystko czegoś szuka, za czemś goni, niepokoi się, gdzieś dąży; ale gdzie?

Trzy tylko są możliwe cele: albo świat dąży do nicości, albo do Boga, albo też toczy się w jakimś kole błędnem, z którego niema żadnego wyjścia.

Czy świat idzie do nicości? Sama ta myśl wstrętem przejmuję; sprzeczna jest ze wszystkim, a nawet z nauką. Nauka twierdzi, że nic nie ginie, że wszystko się zmienia, przeistacza, ale nawet atom jeden nie zginie. Czas może zniszczyć te wspaniałe mieszkania, Bóg je na nowo postawi, zatarte ich formy w ogniu odnowi. Święty Piotr to mówi¹⁾. I tu znowu wiara zgodnie idzie z nauką.

¹⁾ II Petr. III, 7.

A jeżeli żaden atom nie ginie, jakże dusze ginąć mogą? Spoglądam na to ognisko miłości, w którym się poczęły, i mówię: to być nie może. Każda istota, która tworzy, poeta, malarz, filozof, ojciec, przedewszystkiem ojciec tworzy na wieczność. Spróbujcie powiedzieć to matce, że nacieszywszy się jakimś czasem swem dzieckiem, pozwoli mu zginąć marnie. A tak właśnie sądzi się o Bogu, o najwyższym, najwznioślejszym artyście, o Ojcu wszechmogącym: *Patrem omnipotentem*; to niedorzeczność. Wszechświat może się zmieniać, przeistaczać, ale nie zginie. Nie dąży do nicości.

Czyż więc świat kręci się wciąż w tem samem umiejscowionem kole? Wiem, że ta hipoteza podoba się dzisiaj. Uczuwając wstręt do nicości, nie chcąc Boga, marzy się o wiekuistym krażeniu; nie znajdując nic lepszego, wraca się do metempsychozy. Ale system ów zawsze się będzie rozbijał o to pragnienie szczęścia, o którym dopiero co mówiliśmy, i o niemożebność zaspokojenia go. Przenieśmy człowieka na inny glob, każmy mu iść z gwiazdy na gwiazdę, czy będzie szczęśliwy? Nie, jeżeli te światy, te gwiazdy dawać mu będą jedynie rzeczy kończące się. Iść będzie z gwiazdy na gwiazdę, od słońca do słońca, wciąż szukając tego, czego do jego szczęścia brakuje, i nigdzie go nie znajdując: dla zaspokojenia jego pragnienia potrzeba mu nieskończoności. Prawdziwej szczęśliwości nigdy i nigdzie w doczesności nie znajdziemy. Ujrzymy ją dopiero w dniu, gdy dzieło stworzenia wróci w głębinę nieskończonej miłości.

Oto dzieło stworzenia, jego powód, cechy i cel. Na początku miłość, prawda, piękno, najwyższe dobro. Oto punkt wyjścia, i to będzie także kres ostateczny.

Nie mówmy, że to zbyt piękne, bo czyż piękno nie jest cechą prawdy? Strońmy od wszelkiej brzydoty. Bóg nie jest pospolitym artystą. Dzieło, wychodzące z rąk Jego i z Jego serca, musi nosić na sobie charakter piękna. Uwielbiamy, miłujemy; a jeśli chcemy lepiej zrozumieć nieskończoną cenę wiary, objawiającej nam owe tajemnice, to przeciwstawmy jej sofistyczne pojęcie świata:

Na początku nic.

Na końcu nicość.

A co w środku?

ROZDZIAŁ III.

O powstaniu naszej ziemi.

Dzieło dni sześciu.

Zstąpmy teraz z tych wyżyn i skierujmy wzrok na naszą ziemię, na tę ziemię gdzie się urodziliśmy, gdzie od sześciu tysięcy lat rozgrywa się wielki i tragiczny dramat ludzkości.

Bo zresztą cóż my na pewno wiemy o gwiazdach, przesuwających się nad naszymi głowami? Dlaczegoż Bóg miałby nas o nich pouczać? Ale mamy naszą ziemię. Mamy o jej początkach dwa różne, dziwnie pięknie zgadzające się ze sobą opowiadania. Pierwsze spisane przed czterema tysiącami lat przez pasterza owiec Mojżesza. Drugie rozpoczęte zaledwie sześćdziesiąt lat temu i jeszcze nie ukończone; pracują nad niem uczeni całego świata.

To drugie opowiadanie — dzieło ludzkiego genjuszu — jest już dosyć posunięte, aby mogło służyć za dowód boskiego pochodzenia pierwszego.

Gdyby odrzucić hipotezę boskiego natchnienia, opowiadanie Genezy nie dałoby się wytłumaczyć. Bo skąd się wzięło? Z podania? ale z jakiego podania, skoro tu idzie o wypadki zaszłe przed ukazaniem się człowieka na ziemi. „*Gdzieżeś był, gdym zakładał fundamenty ziemi?*” pyta Bóg Joba. Czyż w Genezie możnaby tylko widzieć jakieś filozoficzne pojęcie, jakieś przeczucie pierwszorzędnego umysłu? Ale pomijając, że to pojęcie stworzenia było zupełnie nieznane w starożytności, jakież, choćby najbardziej niedościgniony, genjusz mógłby odgadnąć tajemnicę kolejnych epok, które teraz dopiero geologia zaczęła odczytywać. A przytem są w tem opo-

¹⁾ Job. XXXVIII, 4.

wiadaniu tak olśniewające błyski boskości, że wszelka wątpliwość jest niemożliwa.

Ale jeżeli jest jasne, że pochodzi ono z wyższego natchnienia, to trzeba dobrze zrozumieć jego charakter. Z dobrocią i mądrością Boga godziło się bezwątpienia objawienie nam tajemnicy naszego pochodzenia, gdyż poznając niebiańską jego piękność, musimy zrozumieć i świętość naszego celu. Ale w jakiejże to formie miał nam Bóg objawić powstanie naszego świata? Czy byłoby wystarczająco proste oświadczenie, że człowiek stworzony został przez Boga? czy byłoby to wystarczająco w szczególności ludowi żydowskiemu, tak bardzo skłaniającemu się ku rzeczom zmysłowym, i to w epoce, gdy cała ludzkość ze czcią padła przed siłami natury? Z pewnością nie byłoby to dostatecznym. Prosta formuła teologiczna nie byłaby opanowała wyobraźni, oczarowanej widokiem całego stworzenia; nie miałyby dość mocy, by tę wyobraźnię wnieść aż do Stwórcy. Z drugiej strony, czy byłoby godnym Boga, by o naszym pochodzeniu uczył nas w sposób, przypominający wykład profesora uniwersytetu? Przypuśćmy, żeby nam wyłożył kurs astronomii, geologii, fizyki; w takim razie Bóg wchodziłby niejako w naszą dziedzinę; usunąłby naukę, usunął swobodne poszukiwania i badania ludzkie. Formuła dogmatyczna nie była dostateczna; formuła naukowa była zbyt prosta. Cóż więc pozostawało?

Gdy Bóg ukazywał prorokom następujące po sobie wielkie mocarstwa, które miały przygotować świat do przyjścia Jezusa Chrystusa, czyż wykladał im historię asyryjską, perską, grecką lub rzymską? Nie, Bóg działał kunsztowniej, a zarazem pozostawia więcej swobody człowiekowi. Stawiał im przed oczy wspaniałe obrazy: posąg ulany z czterech kruszców, ze złota, symbolu monarchii babilońskiej, której wielkość zawsze zdumiewać będzie wyobraźnię; ze srebra, obrazu monarchii Cyrusa, mniej potężnej, mniej trwałej niż babilońska, a jednak świetnej; ze spiżu, metalu wojny, ale i sztuki, pięknego godła greckiego genjuszu; wreszcie z żelaza, kruszącego wszystko, obrazu Rzymu. A potem prorok ujrzał, jak malleńki kamyczek, oderwawszy się ze szczytu góry, uderzył w posąg, w proch go obrócił, a sam wzrastając, zamienił się w olbrzymią górę¹⁾. Innym razem widział prorok

¹⁾ Dan. II, 29—36.

cztery straszliwe bestje, walczące ze sobą: skrzydlatego lwa, symbol potęgi babilońskiej; niedźwiedzia o powolnych ruchach, godło majestatu i siły perskiej; skaczącego lamparta o czterech głowach, który przedstawiał monarchję Aleksandra, tak szybko zbudowaną i równie szybko rozdzieloną na cztery państwa; wreszcie potwora, nie mającego równego sobie w historii, druzgocącego i miażdżącego wszystko stalowymi zębami, obraz cesarstwa rzymskiego, któremu nic się oprzeć nie mogło. A po tem wszystkim, jakby na zakończenie tych straszliwych zjawisk, zstępowała z nieba słodka postać Syna Człowieczego, pełna prawdy i łaskowości¹⁾.

Oto, jak Bóg przemawiał do ludzi, gdy im chciał przyszłość objawić. Były to przejrzyste obrazy, oświetlające historję, nie krępujące swobody; olbrzymie ramy, wypełniające się potrochu wypadkami i narodami, nie domysłającymi się nawet, jakie posłannictwo spełniają. Dopiero gdy dzieło zupełnie ukończone zostało, jakaś ręka, czyto św. Augustyna, czy Bossueta, zdzierała zasłonę, ukazując światu przedziwną zgodność prorocstwa i historii.

Coś podobnego znajdujemy i na pierwszej karcie księgi Rodzaju. Nie jest to naukowe objawienie tajemnicy stworzenia, ani nawet uczone jej wyjaśnienie. Jest to sześć wielkich obrazów, które Bóg kolejno stawiał przed oczy Mojżesza, a w których ukazał mu główne sceny stworzenia. Przypomnijmy sobie, że Bóg rozkazał raz Mojżeszowi wstąpić na górę i pozostawać tam przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, i wtedy pokazał mu arkę i rzekł do niego: *Patrzaj, a uczyni na kształt, któryć na górze ukazany jest*²⁾. Któż wie, czy nie w tym samym czasie i nie tym samym sposobem ukazał mu Bóg wielką budowę świata, której arka była streszczeniem.

Ale jakkolwiek Mojżesz boskim sposobem oświecony został, to jednak patrząc na kolejno występujące obrazy stworzenia, nie dostrzegł w nich wszystkich niezliczonych szczegółów. Na podobieństwo człowieka, przypatrującego się wspaniałemu obrazowi, zapisywał on w krótkich słowach to, co go więcej w każdej scenie uderzało, to, co zrobiło na nim potężniejsze wrażenie. Drugorzędne rzeczy opuszczał, i może w tem właśnie znajdziemy wytłumaczenie niektórych trudności, o których niżej mówić będziemy. W zawartości jego opowiadania i użyciu pewnych szcze-

¹⁾ Dan. VII. — ²⁾ Exod. XXV, 40.

gólnych wystowień czujemy, że umysł jego oświecony był światłem nieziemskim. Nie znajduje on wyrażenia na oddanie tego, co widzi; opowiada o rzeczach tak, jak mu się one przedstawiają, nie pojmując ich może, ale nie dziwiąc się im, ani kłopotując zdumieniem, w jakie świat wprawia. Czy wiedział, że trzeba będzie czekać cztery tysiące lat, zanim z łona ziemi wydobyte zostanie jasne potwierdzenie jego wzniosłych, dziwnych opowiadań?

Dziś stwierdzenie ono jest prawie dokonane. Będzie ukończone, gdy z jednej strony egzegeza biblijna w prawdziwym świetle postawi tę pierwszą kartkę ksiąg świętych, i gdy z drugiej nauka, wyzbywszy się przesady, ukończy swoje dzieło.

Tymczasem, co do mnie, nie znam nic jaśniejszego dla rozumu, dla serca, dla dobrej woli, dla pokornej nauki, nic wspanialej objawiającego wielkość Boga, nad dzieło dni sześciu w jednoczesnym oświeceniu opowiadania Mojżeszowego i odkryć dzisiejszej nauki.

Spróbujmy zapuścić się w to studjum, nie cofając się przed żadną trudnością.

I.

Gen. I, 1. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię.“

To pierwszy obraz przesuwający się przed oczyma Mojżesza. Widzi twórcze działanie, które dało początek wszystkiemu. Przedtem nic nie było; teraz jest niebo i ziemia, lub przynajmniej, jak mówi św. Augustyn, to, co posłużyło do ich utworzenia¹⁾. „Nie trzeba sądzić, mówi ze swej strony Buffon, że na początku Bóg stworzył niebo i ziemię tak, jak są teraz, skoro bezpośrednio dalej jest powiedziane, że ziemia była niekształtna i że słońce, księżyc i gwiazdy zabłyśły dopiero na niebie w czwartym dniu stworzenia. Tekst stałby się sprzeczny sam z sobą, gdyby go w ten sposób rozumiano, że Bóg stworzył odrazu niebo i ziemię takimi, jak są dzisiaj. I rzeczywiście, Bóg je dopiero następnie uczynił takimi, jak są, dając kształt materji i umieszczając słońce, księżyc i gwiazdy

¹⁾ August. *Contra advers. legis et proph.* I, 10. „Sive ergo prius nomine coeli et terrae materies informis significata est.“ (*De Gen. cont. Man.*, I, 7, 11). „Coelum et terra potuit dici materia, unde nondum erat factum coelum et terra, sed tamen non erat aliunde faciendum“. Cf. *de Actis cont. Man.* I, 17.

na niebie. Żeby więc jasno zrozumieć te pierwsze słowa, trzeba koniecznie dodać wyraz, który wszystko pogodzi, i czytać: „Na początku stworzył Bóg *materję* nieba i ziemi¹⁾“. To znaczy, że stworzył tę ogromną mgławicę, z której urobił świat, jak mówią Laplace, Herszel, Arago, i z której przez różne związki chemiczne przewidziane przez Boga i za Jego wolą wyszły wszystkie ciała niebieskie.

W jaki epokę nastąpił ten pierwszy czyn twórczy? Jaka przestrzeń czasu oddziela go od chwili, gdy się zjawił człowiek? Trudno na to odpowiedzieć. Niektórzy teologowie wyobrażali sobie, że niebios uczynione zostały dla ziemi tak, jak ziemia dla człowieka, a uważając, że istnienie tego ostatniego datuje się od sześciu do siedmiu tysięcy lat, mniemają, że tę datę mogą podać za chwilę stworzenia. Ale Mojżesz tego nie mówi, a nauka wręcz się temu sprzeciwia; głębsze zaś wniknięcie teologii pokazuje, że nauka ma słuszość i że wcale nie zaprzecza Mojżeszowi.

Najpierw astronomja w żaden sposób nie może się zgodzić na to, by wszechświat istniał dopiero od 6 tysięcy lat. Herszel dowodził, że światło niektórych gwiazd mogło dojść do nas dopiero po dwóch milionach lat. Twierdzenie to wydawało się zuchwałe, ale dziś się przekonano, że dalekie jest jeszcze od rzeczywistości²⁾. A więc stworzenie owych gwiazd musi sięgać choćby tych milionów lat³⁾.

Geologja doprowadza do takichże wyników. Rozcięta skorupa ziemi, jak się rozcina skórkę pomarańczy, i znalazła tam dowody nie dającej się obliczyć długowieczności. Oto, co odkryła:

1. Najpierw w najniższych pokładach, do jakich się można było dostać, w głębokości dwunastu kilometrów znaleziono metale ogniem stopione, olbrzymie odłamy granitu, czerwonego piaskowca, porfiru, gnejsu pomieszanego z piaskiem i gliną, których powstania niesposób oznaczyć.

¹⁾ Buffon, *Historja naturalna*. Tom III. *Epoki natury*. Nigdy lepiej nie zrozumiałem genjuszu Buffona, jak przy czytaniu tego tłumaczenia pierwszych zdań Genezy. Jest to intuicja, bo wtedy jeszcze ani fizyka, ani geologja nie poczyniły ostatecznych odkryć. A gdy się przyszedł pomyśli, że karty te były współczesne Voltaire'owi, Helvetiusowi, Holbachowi, podziw wzrasta jeszcze. — ²⁾ Kurtz, *Biblia i astronomja*. — ³⁾ Pozzi, *Ziemia i opowiadanie biblijne*.

2. Na tym najgłębszym pokładzie, pod którym napotykanoby jedynie żarzący się ogień, znaleziono torfowiska i pokłady węgla kamiennego. W niektórych krajach, jak w Anglii, w Ameryce, w północnej Francji, w głębokości trzech tysięcy sześciuset metrów jest ośmdziesiąt do stu warstw wyraźnych węgla, leżących jedne nad drugimi, a poprzedzielanych pokładami gliny na kilka stóp grubymi. Każda z tych warstw przedstawia las, który rósł w tem miejscu, rozwijał się i usechł, powoli pokryła go urodzajna ziemia, poczem znów las wyrósł i zginął po raz drugi; potem powstał trzeci i t. d. Otóż warstw takich jest w niektórych miejscowościach do stu. Ileż one przedstawiają wieków! A nie zapominajmy, że formacja węglowa to tylko jedna z licznych formacji geologicznych, przez które przeszła nasza ziemia, i że nie trwała ona najdłużej.

3. Na tych warstwach węglowych znajdują się pokłady kredy, które gdzie indziej dochodzą do tysiąca stóp grubości. Wiemy, że kreda to wielkie cementarzysto świąta wymoczków tak drobnych, że miliony ich pomieściłoby się na ostrzu scyzoryka. Wyobraźnia pojąć nie może, ilu pokoleń tych żyłatek potrzeba było, aby swemi szczątkami krzemiennymi utworzyły takie masy kredowe. Olbrzymie Andy, niebotyczne Kordyljery są tylko grobami wymoczków.

4. Ale to nie wszystko. Nad pokładami kredy natrafiamy znowu na warstwę roślinną. Otóż ta warstwa głęboka, zwolna się układająca, pełna jest stojących pni drzew otoczonych gliną: świerków iglastych, leszczyn z ich orzechami, dębów i cisów, buków i olchy, a wśród tych pogrzebanych lasów napotyka się liczne bardzo szczątki słoni, nosorożców, mastodontów, mamutów, całe szeregi stworzeń, żyjących na innych zniszczonych już wówczas pokładach.

Biorąc za podstawę działania czas, jaki dziś wystarcza do utworzenia materji ziemskiej, wyrachowano, że potrzeba było niemniej jak pięć do sześciu milionów lat dla formacji tych seryj warstw ziemskich od najgłębszej granitowej aż do zwierchniej warstwy napływowej. Bezwątpienia, podstawa całego tego dowodzenia jest krucha, bo któż może na pewno twierdzić, że rzeczy dawniej tym samym trybem się układały jak dzisiaj? Ale choćbyśmy bardzo wiele z tej długowieczności odjęli, zawsze jeszcze pozostanie ona niezmierną.

Nie trzeba więc zaprzeczać wielkiej starożytności ziemi, ale nie trzeba też sądzić, by się to sprzeciwiało opowiadaniu Biblii. Prawda, że Biblia niedaleką stosunkowo epokę naznacza na stworzenie człowieka, ale Mojżesz nie określa czasu samego początku kuli ziemskiej. Rozpoczyna opowiadanie wspaniałem słowem, odsuwającem ów początek w nieznaną odległość: *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię*. I dodaje: *A ziemia była pusta i próżna, i ciemności były nad głębokością: a Duch Boży unaszał się nad wodami*. Jak długo trwał ten okres? nie wiemy, ale mógł być bardzo długi. „Czyż te wyrażenia, mówi Buffon (ziemia była, ciemności były, Duch Boży unaszał się), nie wykazują użyciem czasu przeszłego niedokonanego, że przez długi przeciąg czasu ziemia była niekształtna, i że ciemności okrywały głębiny? Gdyby stan ten był trwał tylko dzień jeden lub nawet gdyby nie był trwał długo, to święty pisarz byłby się inaczej wyraził lub nawet żadnej o tem wzmianki nie byłby uczynił¹⁾).

Dużo czasu upłynęło między drugim wierszem: *Ziemia była pusta* a 26-tym, gdy Bóg mówi: *Uczyńmy człowieka na wyobrażenie i na podobieństwo nasze*. Jakiegoż czasu było potrzeba, by ziemia przestała być *пустą i próżną*, by się ustaliła, okryła kwiatami, żywiła zwierzęta i gotową była na przyjęcie człowieka? Bezwątpienia, Bóg mógł to wszystko w jednej uczynić godzinie. Ale Biblia mówi, a nauka jasno widzi, że tak nie było. Bóg sześć razy powracał do dzieła. Stworzenie postępowało kolejno następującymi falami. Było sześć wielkich okresów twórczej czynności. Nauka i Biblia zgadzają się na to. A teraz, jakież było trwanie każdego z tych okresów? tego nikt nie wie. Prawda, że Mojżesz posługuje się wyrazem *dzień*; ale u starożytnych używano ogólnie tego wyrazu nie dla oznaczenia dni o dwudziestu czterech godzinach, ale dla wskazania nieokreślonych mniej lub więcej długich epok²⁾. Mówi on też o poranku i wieczorze tych dni stworzenia, ale ponieważ trzy z owych dni istniały wprzód, nim nastąpił wschód i zachód słońca, a zatem nim był prawdziwy poranek i prawdziwy wieczór, widać jasno, że nie idzie tu o zwykłe dni.

¹⁾ Buffon, *Histoire naturelle* t. III. — ²⁾ „U ludów wschodnich, mówi Bailly, wyraz *dzień* ma pierwotne znaczenie zupełnie to samo, co chaldejskie wyrażenie *Sara, Przewrót, révolution*.” (*Histoire de l'astronomie indienne*).

To też na długo przed tem, nim geologia zaczęła rozczytywać się w Księdze stworzenia, już Klemens Aleksandryjski, Orygenes, św. Augustyn, św. Jan Złotousty, św. Atanazy i wielu innych z genialną intuicją orzekli: „Sześć dni stworzenia nie są sześcioma dniami o dwudziestu czterech godzinach. Jest to sześć epok długich, nieokreślonych, trwanie ich niewiadomo czy było jednakowe, ale było niezmierne. Dowodem tego są wyrażenia Pisma świętego, charakterystyczne wyrazy: dzień, zaranek, wieczór, stosowane przez Mojżesza do trzech pierwszych epok, gdy słońca jeszcze nie było, a zatem nie mogło być ranka, ani wieczora.” To są tak oczywiste dowody, tak jasno występują z opowiadania Mojżeszowego, że później, w wiekach średnich, doktorowie nie wahali się tak jak pierwsi Ojcowie głośno uczyć, że nie idzie tu o zwykłe dni, ale o nieokreślone epoki¹⁾. Wszystko to nie

¹⁾ Św. Augustyn oświadcza, że trudno jest powiedzieć, co to są te sześć dni (*De Civit. Dei*, lib. XI, c. VI. *De Genes. ad litter.* lib. IV, c. I); że nie jesteśmy zmuszeni wierzyć, by to były dni podobne do naszych (*Id.*, cap. XXVI i c. XXXIII); że nawet tekst święty temu się sprzeciwia (*Id.* lib. I, cap. X, XI, XII i lib. IV, cap. XXVII); i że trzeba je uważać za długie epoki, których początek oznaczony jest przez poranek, a koniec przez wieczór: „Restat ergo ut intelligamus, in ipsa quidem mora temporis ipsas distinctiones operum sic appellatas, *vesperam propter transactionem consummati operis et mane propter inchoationem futuri operis*, de similitudine scilicet humanorum operum, quia plerumque a mane incipiunt et ad vespertum desinunt.” (*De Genes. cont. Man.* I, 14, 20).

Klemens Aleksandryjski tak samo myśli. (*Stromat.* lib. VI).

Orygenes. „Qui igitur sanae mentis existimaverit primam et secundam et tertiam diem, et vespertam, et mane, sine sole, luna et stellis, et eam quae veluti prima erat, diem sine coelo fuisse?” (*De Principiis*, lib. IV ed. Mign., vol. XI).

Św. Atanazy nie pozwala uważać sześciu dni za dni zwyczajne (*Orat. II, cont. Arian.*, Nr. 63).

Św. Jan Złotousty, tak samo. (*In cap. I, Genes. Homil.* Edit. Migne, t. LIII).

Czcigodny Beda. „Czemże jest wieczór, jeżeli nie dokończeniem każdej pracy, a poranek rozpoczęciem następnej?” (*De sex dierum Creat. De I die*).

Św. Tomasz, I q. 74, 2, mówi, że są dwa mniemania: albo dni o dwudziestu czterech godzinach, albo długie epoki, ale że to nie ma żadnego znaczenia dla dogmatu.

Św. Hildegarda. „Sześć dni są sześcioma działaniami; początek i ukończenie jednego dzieła tworzy dzień.” (*Epist. ad collos*).

Bossuet. „Bóg, uczyniwszy najpierw jakby tło świata, zechciał je następnie ozdobić przez sześć różnych działań, które spodobało Mu się nazwać sześciu dniami.” (*Elévat sur les myst.*).

Możnaby więc jeszcze przytoczyć orzeczeń i wykazać, że w ciągu wieków mniemanie to wciąż było głoszone przez największe umysły.

pozwała czynić zarzutu opowiadaniu Mojżesza co do stwierdzonej starożytności ziemi.

Idę jeszcze dalej i mówię, że starożytność naszej kuli ziemskiej, te kolejne epoki jej tworzenia się nietylko nie są sprzeczne z wiarą, ale zupełnie zgadzają się z Boskiem działaniem. Człowiek się śpieszy; Bóg się nie śpieszy. Daje życie nasieniu, ale trzeba stu lat, nim się ono stanie rozłożystym dębem. Stawia zasadę i nakazuje, by czas powoli tylko wysnuwał z niej wnioski. Cóż było pilniejszego nad Odkupienie? Zdawaćby się mogło, że powinno być odrazu po winie nastąpić. Bóg natychmiast daje jego obietnicę, i Adam wyobraża sobie, że je ujrzy przed śmiercią. Abraham znowu otrzymuje zapewnienie Odkupienia i raduje się, myśląc, że dzień ten już nadchodzi. Dawid głosi jego przyjście i wyciąga niejako ramiona, by objąć niemi Tego, który będzie zarazem jego synem i jego Bogiem. Malachjasz przychodzi, a choć jeszcze 400 lat ma upłynąć, on woła: „*Oto idzie*”. W ten to sposób dochodzi się do Jezusa Chrystusa, stopniowo, przechodząc przez te sześć epok, tak genialnie określonych przez Bossueta, przez te sześć mocarstw, o których tak świetnie mówił; cała ta praca starożytnego świata była przygotowaniem na przyjęcie Zbawiciela. I w dziele stworzenia jest coś podobnego. W tych przewrotach geologicznych, tak wielkie zamieszanie sprawiających na ziemi, a kończących się jej upiększeniem, w tych olbrzymich lasach paproci, które oczyściwszy powietrze, układają się we wnętrzu ziemi, aby stać się kiedyś jej bogactwem; w tych mastodontach, tych potwornych mamutach, przeznaczonych, zda się, aby postawić w jasnym świetle piękność i królewskość człowieka, jednym słowem, we wszystkim daje się uczuwać praca ziemi, szukającej swego króla i gotującej się na jego przyjęcie. Cóż znaczy, że potrzeba nato miljonów stuleci? I któż dziwić się może, iż Bóg nie śpieszył się z przysłaniem człowieka na ziemię, skoro, jak to zobaczymy, nie śpieszył się z przysłaniem jej Chrystusa?

II.

Gen. I, 2. — „A ziemia była pusta i próżna: i ciemności były nad głębokością: a Duch Boży unaszał się nad wodami.”

Oto drugie widzenie Mojżesza. Ogarnąwszy w pierwszym całość pierwotnego stworzenia, teraz zatrzymuje

wzrok na ziemi, widzi wprowadzaną w ruch materję, która ją utworzyć.

Jaki był początek naszego systemu słonecznego według Laplace'a, Cuviera, Herszla, Arago, Ampère'a? Było to pierwotne ogromne nagromadzenie gazu¹⁾. Potrochu przez koncentrowanie materji utworzył się środek, który czasem stał się trwałem jądrem. W pewnej chwili jądro to przez jakiś zewnętrzny impuls zostało wprowadzone w ruch rotacyjny, i zacząwszy się obracać koło siebie, pociągnęło w tenże ruch wszystkie otaczające je materje gazowe. Ale w tym ruchu obrotowym, chwytającym całą masę, skutkiem silniejszego nazewnątrz działania siły odśrodkowej niż całej siły dośrodkowej, musiało nastąpić oderwanie się cząstek zewnętrznych od całej masy. Jest to nieuniknione. Wtedy części oddzielone, zachowując raz otrzymany ruch i kręcąc się koło siebie, musiały stać się odrębnymi kulami. Nasze planety są więc takimi odłamkami, kolejno odrywaniem od środkowej masy i układającymi się stopniowo około tego środka według kolejnej epoki swego oderwania.

Oto, co mówi nauka, i co zdaje się było przedmiotem drugiego widzenia Mojżeszowego. Najpierw oglądał bezmierną mgławicę; teraz przypatruje się cząstce, która od niej oderwana utworzy ziemię. Jest to jeszcze kula gazowa z jądrem pośrodku, posiadająca ruch obrotowy. Mojżesz to widzi, ale jak to opowie? Gdzie znajdzie wyrażenie na określenie zbioru gazu? Żydzi nie znali jeszcze tego, co my gazem nazywamy, a zatem język hebrajski nie posiadał słowa na jego nazwę. Jakże więc przedstawić taki stan rzeczy? „Ziemia, mówi Mojżesz, była *inanis et vacua*.” Rozważmy te słowa: *Inanis*, próżna, bez ciała, nieustalona, bez konsystencji. *Inanes umbras*, mówi Wirgiljusz. A nie tylko *inanis*, ale i *vacua*. Pusta zwierzchu i nic nie mająca w środku. Próżna, lotna, nienamacalna — oto stan ziemi, jaki Mojżesz oglądał. W Septancie ziemia jest „ἀόρατος”, niewidzialna, gdyż była „ἀκατασκευαστος”, niezłożona; żywioły, mające ją utworzyć, nie były jeszcze

¹⁾ Wszystkie tegoczesne teorie, opierające się na niewątpliwych danych, dostarczanych nam przez astronomję, fizykę, geologję, przyjmują za rzecz pewną, że ziemia pierwotnie była w stanie gazu, t. j., że wszystkie dziś składające ją pierwiastki były rozproszone jako lotna para w przestrzeni o wiele większej niż ta, którą dzisiaj zajmują. (Cuvier, *Discours sur les révolutions du globe*. Ampère, *Revue des Deux Mondes*, 1-er juillet 1838).

zgromadzone w sposób, mogący wzrok uderzyć. Tekst samarytański brzmi: „Ziemia była nienamacalna”¹⁾.

Pusta, próżna, lotna, niezłożona, nienamacalna! czyż można było lepiej przedstawić stan gazowy ziemi w języku, nie mającym wyrazu gaz?

Mojżesz widzi zarazem, że cały ten zbiór ciał lotnych był ciemny, mglisty: *Et tenebrae erant super faciem abyssi*; i widzi także ruch obrotowy i przypisuje go właściwej przyczynie: Bogu, który sam mógł go nadać materji. *Et spiritus Dei ferebatur super aquas*.

Super aquas. Nad wodami! Nie było jeszcze ziemi, jakże mogły być wody? Uwagę tę czyni św. Augustyn. Ten wielki człowiek, wnikający we wszystko, pyta się, jak Mojżesz może nazywać wodą to coś nienamacalnego, niewidzialnego, mglistego, co jedynie wówczas istniało; *cum adhuc neque aqua distincta atque formata, neque terra erat, neque aliquid aliud*; „skoro wtedy, mówi on, woda nie istniała właściwie, gdyż tak jak i ziemia, nie była jeszcze utworzona”. I odpowiada sam sobie, że Mojżesz wziął tę nazwę, gdyż nie posiadał innej, aby oddać to, co widział. *Quoniam moventi et operanti artificii subjecta esset, propter hoc ipsum quod cedit operanti, aqua etiam nominata est*; „ponieważ to, co widział, było giętkie w rękach Stwórcy i tak jak woda podatne do wszelkich zmian, dlatego nazwał je wodą”²⁾. Czyż ta intuicja św. Augustyna nie jest wspaniała?

A zatem nie było ani ziemi, ani wody, ale coś *niestałego, nienamacalnego, mglistego*, co dopiero miało zgęstnieć, stać się ciałem. Ażeby mogło nastąpić zgęszczenie, potrzebny był ruch. „Ponieważ ruch nie jest tej samej treści co materja, mówią encyklopedyści z XVIII wieku, z konieczności więc musiała go materja skądś otrzymać; nie mogła go otrzymać z nicości, gdyż nicość działać nie może. Inna więc przyczyna nadała ruch materji, przyczyna ta nie może być ani materja, ani ciałem; jest ona tem, co nazywamy duchem”³⁾. To właśnie mówi Mojżesz: *Et spiritus Dei ferebatur super aquas*. Bóg oddziaływał na mgławicę jako *tchnienie*. Laplace w zapale naukowym powiedział: „Posiadam w ręku wszystkie pierwiastki na

¹⁾ Tekst samarytański przedstawia ziemię w owej chwili „w stanie pierwotnych atomów, podzielonych aż do nienamacalności”. (De Genoude, *Traduction de la Bible*, 1-er vol.). — ²⁾ De Gen. ad litt. lib. cap. I. — ³⁾ Encyklopedia z XVIII wieku, przy wyrazie *Matérialisme*.

utworzenie świata; ale musi ktoś dać pchnięcie¹⁾. Oto jest ów *Ktoś: Et spiritus Dei ferebatur super aquas.*

Nim uznano piękność naukową słowa hebrajskiego użytego przez Mojżesza, zauważono poprzednio piękność jego literacką. Nie jest to jednak tchnienie przemijające, jest to niedostrzegalne poruszenie skrzydeł, miłosne drżenie ptaka nad swemi piskletami. Bóg unosił się pełen życia, płodności nad temi niedołącznemi pierwiastkami, nad tą masą ciemną, bez piękna, bez światła, bez życia, bez ładu, rozproszoną wśród bezmiernej przestrzeni. Przygotował w cichości wszystkie cuda stworzenia.

Takie jest drugie widzenie Mojżesza, drugi obraz stawiony mu przed oczy: pojawienie się ruchu, powstanie Bożego tchnienia, które poruszając całą masę, zacznie ją organizować. Stara Biblja i młoda nauka w przedziwnej tu pozostają zgodzie.

III.

Gen. I, 3, 4. — „*I rzekł Bóg: niech się stanie światłość: i światłość się stała. — I ujrzał Bóg światłość, że była dobra.*” Longin znajdował te słowa wzniosłemi, to niedosyć: one są boskimi. Żaden człowiek nie byłby tego nigdy powiedział. Od tysięcy lat słowo to niepokoi wiarę; staje się powodem buntu dla rozumu. Jakto! światło było najpierw stworzone! Pierwiej niż ziemia, którą ma oświecać! nacóż więc? Stworzone przed słońcem, z którego promienieje! czyż to możebne? Słońce wystąpi dopiero w dniu czwartym, po kwiatach, drzewach, owocach, którym daje życie! To przewrót wszystkiego. Św. Augustyn nie wie, jak z tego wybrnąć; ucieka się do mistycznego znaczenia²⁾. Bossuet tłumaczy to z wyżyn: „Jeżeli Bóg ukazał skutek przed przyczyną, to dla stwierdzenia, że jest Panem”³⁾. Voltaire nie zadowolnia się tem i szydzi wraz z Diderotem, d'Alembertem i encyklopedystami.

¹⁾ Laplace, *Exposition du système du monde*. To co przytoczyliśmy tutaj, znaleźć można na wszystkich kartach tego wspaniałego dzieła: „Ażeby wytłumaczyć ruch obrotowy i posuwający się ziemi, wystarczy przypuszczenie, że otrzymała ona pierwotnie impuls, którego kierunek bliskim był jej środka ciężkości... Dla takiegoż powodu i słońce obracające się koło siebie, musiało otrzymać impuls...” A dalej mówiąc o cechach tych ruchów: „Możnaby się nie skończoną ilość razy założyć, że to nie jest rzecz przypadku”. — ²⁾ August., *De Civit. Dei*, lib. XI, cap. VII. — ³⁾ *Elévations sur les mystères*, III-e semaine, 5-e élv.

A oto dzisiejsza nauka stanowczo, wbrew wszystkim, przyznaje słusność Mojżeszowi!

Wykazuje: po 1-e, że światło musiało koniecznie być stworzone najpierw, przed słońcem, przed ziemią, gdyż ta masa płynów przeznaczonych, by połączeniami swemi utworzyć kulę ziemską, nie mogła zgęszczać się, układać chemicznie dla utworzenia stałego ciała, nie wydając natychmiast światła; tak że na samym początku, gdy materja ze stanu lotnego przechodziła w płynny, a następnie w stały, najpierw musiała koniecznie wydać światło.

Nauka wykazuje po 2-ie, że światło może istnieć niezależnie od słońca, które je wydaje w sposób najświetniejszy, ale nie jedyny. Są inne światła, np. elektryczne, które może w sile dorównać, a nawet przewyższyć światło słoneczne; albo światło zórz północnych, wspaniale ono wciąż jaśniało wśród tych związków chemicznych, które w eterze wywoływały ruchy świetlane¹⁾.

Wykazuje po 3-cie, że na naszej kuli rzeczywiście było przed słońcem potężne światło; a oto, jak tego dowodzi: Badając kopalnie węgla, szczątki pierwotnego świata, znalazła tam olbrzymie drzewa, które nie mogłyby dosięgnąć tych rozmiarów nawet między zwrotnikami, jedynie przy świetle słonecznem; a te same drzewa, w takichże olbrzymich rozmiarach, z taką samą bujnością, przewyższającą dzisiejszą roślinność podzwrotnikową, znaleziono wszędzie, na wszystkich punktach kuli ziemskiej, nawet w najzimniejszych okolicach, nawet pod lodami biegunów. Z tego powodu uczeni orzekli: Pewnem jest, że pierwotnie na ziemi za czasów owych starożytnych lasów było inne światło niż naszego słońca, światło, wydające więcej ciepła i nie mające zmian dnia i nocy, lata i zimy, światło jednakowo rozlane po całej powierzchni naszej kuli. Botanicy potwierdzili zdanie fizyków. Badali pierwotne drzewa, stwierdzili, że rosły one w gorącej atmosferze, ale w *ciemności*, i że do żadnego z nich nie przedarł się promień słoneczny. Czyż nie uznamy tu odrazu boskiego piętna w opowiadaniu Mojżeszowem?

Dopóki świat młody żył jak dziecię uczuciem i wyobraźnią, podziwiał poetyczną piękność owego słowa: *Fiat lux!* i siłę, która kazała wytrysnąć światłu wśród ciemności. Długo to wystarczało, by wywoływać okrzyki uwielbienia. Później, starzejąc się, świat stał się pozytywnym;

¹⁾ Humboldt, *Cosmos*, t. I.

chciał wszystko do samego jądra zbadać i zabrał się do naukowego analizowania onego słowa; odnalazł tam rysy tak nieludzkiego odgadnięcia prawdy, że musiał się unieść i uwielbić.

IV.

Gen. I. 6. — „*I rzekł Bóg: Niech się stanie utwierdzenie między wodami, a niech przedzieli wody od wód*“.

W dniu pierwszym widzieliśmy *chemiczne* przygotowania naszej ziemi; w drugim dniu poznamy przygotowania *atmosferyczne*.

Działaniem Ducha Bożego siły natury, jak: elektryczność, magnetyzm, ciepło, przyciąganie, zostały ujęte, w ruch wprowadzone i chemicznie złączone. Mgławica, mająca się stać kulą ziemską, przeszła ze stanu lotnego w stan rozżarzenia. Nie był to już obłok nienamacalny, ale rozpalona masa stopionych metali, płonących gazów, wrzącej lawy. Gęsta para wciąż się stamtąd unosiła do pewnej wysokości, a ostygnąwszy w niezmierniej przestrzeni, opadała na tworzącą się kulę. Tam znowu się rozgrzewała, wznosiła w górę i znowu opadała. Było to błędne koło, nie pozwalające ukazać się życiu. Żaden człowiek, ptak żaden nie byłby mógł wyżyć w owej rozpalonej atmosferze. Brakowało powietrza; nie było można oddychać.

Czegóż więc potrzeba było? Trzeba było, żeby opary, wznoszące się z powierzchni wrzącej kuli, nie ciągnęły się przy samej ziemi, by się podniosły do wyżyn, z których nie przeszkadzałyby już rozwijać się życiu, by tam w górze zostały utrzymane, i by niezmierna przestrzeń między niemi a powierzchnią ziemi została napełniona powietrzem zdatnem do oddychania.

I rzekł Bóg: niech się stanie utworzenie między wodami, a niech przedzieli wody od wód (między wodami, oblewającymi kulę ziemską, a wodami, wznoszącymi się jako opary). Przestrzeń, a raczej *utwierdzenie: firmamentum*, nie próżnia, ale przestrzeń trwała, ustalona, stawiająca opór, która mogłaby utrzymać obłoki: *fiat firmamentum*.

Wolno w tem wyrażeniu widzieć jedynie intuicję najgodniejszego podziwu genjuszu. Co do mnie, widzę w niem jawne okazanie się bóstwa. Bo odkądże to zrozumiano

owo wyrażenie? Dopiero od czasu Galileusza. Do owej pory Ojcowie Kościoła, egzegeci trudzili umysły, aby zrozumieć to *firmamentum*, to coś stałego, trwałego, utwierdzonego, stanowiącego zaporę między wodami ziemskimi a górnymi — chmurami. Trudna zagadka rozwiązana dopiero została w XVI wieku. Pierwszy Galileusz zrozumiał, co przed czterema tysiącami lat Biblia nazwała *wagą wiatrów*¹⁾. Wykazał stanowczemi doświadczeniami, że powietrze, otaczające kulę ziemską na 15 mil wysoko, jest ważkie; że jest cięższe niż para wodna, i że ogrzana woda, zamieniona w parę, wznosi się w górne warstwy powietrza, tak jak korek wrzucony do wody wznosi się na jej powierzchnię, i że pozostaje tam zawieszoną wysoko nad naszymi głowami. A zatem są dwie równoległe warstwy wody: jedna znajduje się na ziemi pod nazwą mórz, rzek, jezior, strumieni, źródeł, druga pod nazwą chmur krąży w górze za powiewem wiatru! A między temi dwiema warstwami, ażeby się one nie zmieszały, jest *utwierdzenie; firmamentum*, coś stałego, stawiającego opór, co nazywamy powietrzem.

Mojesz nie tylko poznał powietrze, jego ciężar, jego wielkie i wspaniałe działanie, ale pierwszy i jedyny widział to, co zaledwie dziś poznajemy, a mianowicie własności owych chmur, szybujących nad naszymi głowami. Starożytni uważali je za leciuchną pianę. Arago obliczył, że siła, użyta corocznie na wytwarzanie i utrzymanie chmur, równa się pracy, którą podjęłyby wszystkie złączone narody ziemi i dokonały jej w dwieście tysięcy lat; są to bowiem olbrzymie, zawieszone w górze morza. Wielkie rzeki, zanim płynąć zaczęły na powierzchni ziemi, toczyły się nad naszymi głowami.

A w jak cudowny sposób te straszliwe masy wód opadają na ziemię! Gdyby przytem nie była zachowana stosowna miara, to spadając zgniotłyby one nasze domy, powyrwały z korzeniami wszystkie lasy! Ale powietrze tworzy jakby sito, przez które woda, kroplami spadając, odświeża tylko ziemię. I jeszcze jeden dziw: tu i owdzie znajdują się na ziemi olbrzymie, wysoko położone amfiteatry, jak np. w Alpach, w Pireneach, na kilkadziesiąt mil ciągnące się lodowce. Z południa nadpływają rozgrzane obłoki, tam odrazu chwytają je zimno, ustala i kry-

¹⁾ Job. XXVIII, 25.

stalizuje. Warstwy układają się na warstwach; są to składki wód przeznaczone na zraszanie ziemi. Gdy właściwy czas nadejdzie, powstaje wiatr południowy, tchnieniem ciepłym budzi z uspienia zamrażające wody, pomaga im odtajać, i z wierzchołków lodowców spływają wielkie rzeki jak Rodan, Dunaj i inne, nie licząc tysięcy strumieni.

Co teraz powiedzieć o samem powietrzu, o przedziwnym jego składzie, o jego harmonji nie tylko już z ludzką pierśią, ale i z ludzką duszą? Co jest lepsze: światło, czy powietrze? Jak wszystko się rozwesela, gdy się światło ukaże! Jak się wszystko rozwija, gdy ma wolny dostęp powietrza! Powietrze składa się z dwóch pierwiastków, które nie przypadkowo zostały połączone. Dobroczynna i umiejętna ręka zmierzyła je i zważyła, gdyż jednego z tych gazów potrzeba było pięć razy mniej niż drugiego. Gdyby powietrze było rzadsze, zginęlibyśmy zaduszeni; gdyby było gęściejsze, płuca nasze zbytby się rozpały, wszyscy na zapalenie płuc by umierali.

Jeszcze jednak niedosyć tego: powietrze wnika w nasze płuca, niosąc nam życie, ale dając je nam, samo obumiera; wychodzi z płuc zepsute oddechem, zmienione w kwas węglowy; nie może już służyć człowiekowi do oddychania, zabiłoby go. Któż oswobodzi powietrze z tej trucizny? Roślina; olbrzymi świat roślinny, ścielący się jak dywan pod naszymi stopami, dający cień naszym głowom, czeka na kwas węglowy, którym człowiek oddychać nie może, wzdycha za nim, chwytą go, oczyszczają zeń powietrze, żyje nim, przemieniając go w różę, lilję, liście i owoce.

Ale dosyć; możnaby bez końca rozważać te cuda. Pozostawmy to godne podziwu dzieło stworzenia dnia drugiego, a przyjrzyjmy się dniu trzeciemu. Po przygotowaniach *chemicznych* i *atmosferycznych* śliczny świat drzew i kwiatów kołacze do wrót życia.

V.

Gen. I, 9, 10, 11. — „Potem rzekł Bóg: Niech się zbiorą wody, które są pod niebem, na jedno miejsce: a niech się ukaże sucha: I stało się tak. I nazwał Bóg suchą Ziemią: a zebranie wód przezwiał Morzem. I widział Bóg, że było dobre. I rzekł: Niech zrodzi ziemia ziele zielone i dające nasienie: i drzewo rodzajne, owoc czyniące według

rodzaju swego, którego by nasienie było w samem sobie na ziemi. I stało się tak”.

Oto trzeci okres. Dzieła dwóch pierwszych były wspańskie; te będą jeszcze wspanialsze. Dzieło stworzenia ciągle wzrasta. Bóg, jak wielki artysta, coraz piękniejszą tworzy rzecz.

Trzeci okres przedstawia pokolei trzy dziwy.

Najpierw skorupa ziemi ustala się i podnosi nad wody. Tworzyła się ona pomału, przez wieki całe, pod działaniem różnych związków chemicznych; ale bezprzestannie wydobywające się z niej opary potrochu się skraplały i utworzyły bezbrzeżne morze, otaczające ją ze wszystkich stron na kilka mil głębokości; zaledwie tu i owdzie wznosiły się olbrzymie szczyty, które dziś jeszcze tak w Europie, jak w Azji i w Ameryce stoją nagie; nie nosząc żadnego śladu życia czy roślinnego, czy zwierzęcego — pomniki to owego czasu, gdy żadna istota organiczna nie zamieszkiwała naszej ziemi¹⁾.

Teraz, pod działaniem trawiącego ją wewnętrznego ognia, skorupa podnosi się, wydobywa się gwałtownie z głębi wód, przedstawiając wspaniałe widoki ze swymi dolinami, górami, wulkanami, rzekami żarzącej się lawy, straszliwymi trzęsieniami ziemi i ciągłymi zorzami północnymi. Podnosząc się zaś, spycha na zawsze w przepaści masy wód, oblewające od wieków całą kulę.

To są dwa pierwsze obrazy, które Mojżesz zkołował, a które dzisiejsza geologia przyjmuje: zjawienie się lądów i zebranie się w głębinach wód. Dawniej gorąca sprzeczka trwała między uczonymi: jedni utrzymywali, że wszystko powstało z ognia, drudzy mówili: „Nie; woda wszystko wydała”. Biblia bardziej świadoma, niż oni, mówi: Wszystko pochodzi z połączonego działania wody i ognia. I dzisiejsza nauka przyznaje słuszność Biblii.

Jakkolwiek wielkie są te dwa cuda, jednak to, co bezpośrednio po nich nastąpiło, było jeszcze cudowniejsze. Zaledwie lądy uniosły się ponad wody, a oto zaraz stroją się w zieleń. Drzewa, olbrzymie lasy je okrywają. Biblia mówi, a nauka, opierając się na odkrytych pokładach węglowych, przyznaje, że w samej rzeczy zaraz po powstaniu pierwszych warstw ziemi nastąpił okres nadzwyczajnej, olbrzymiej roślinności. Ta flora węglowa nie jest zbyt urozmaicona, ale co tam za siła! Mchy, dziś nieledwie mi-

¹⁾ Cuvier, *Discours sur les révolutions du globe*.

kroskopijne, sięgają stu stóp wysokości; paprocie mają metr średnicy; niektóre trawy dochodzą wzrostu naszych dębów! Cała ta potężna roślinność nurza się w kwasie węglowym, który wtedy otaczał ziemię, pochłania go, a żywiąc się nim obficie, przybiera kolosalne rozmiary i jednocześnie uzdrawotnia ziemię i czyni ją zdatną, by się stała miejscem pobytu dla zwierząt i dla ludzi.

Ale rzecz szczególna, w tej rozbudowanej roślinności nie spotyka się ani jednego kwiatu o żywych, jaskrawych barwach. Cóż stąd za wniosek? Oto słońce nie działało jeszcze na naszą ziemię. Ten wielki malarz nie przesunął jeszcze swojego pędzla po całej naturze. Roślinność jest zielona, blada, potężna, olbrzymia, rozciąga się równo i jednakowo po całym globie. Niema jeszcze ani strefy gorącej, ani stref zimnych. Nie istnieje różnorodność klimatów.

Może gdzie w głębi wód, u podstawy olbrzymich paproci pojawiły się ślady zwierzęcego życia: jakieś polipy, wytrwale pracujące, mięczaki, czołgające się w szlamie; głównym jednak rysem obrazu jest wspaniała, przedziwna roślinność, którą dopiero co opisaliśmy. Wszystko inne niknie w oczach Mojżesza wobec tego niezrównanego widoku.

„W żadnej innej epoce, mówi uczony Hugo Miller, świat nie widział podobnej flory. Młodość ziemi objawiała się ciemnymi, gęstymi lasami olbrzymich jodeł i araukaryj, drzewiastych paproci, sigilaryj i lepidodendronów. Gdzie się tylko ukazał łąd, od dzisiejszych zamarzniętych pod biegunem stepów melwilewskich aż do nieurodzajnych, spalonych równin australskich, wszędzie bujna i obfita trawa okrywała grunt bagnisty, wilgotny i rozgrzany. Odległym planetom ziemia nasza musiała się wydawać przez otaczające ją obłoki jako punkt jasnozielony¹⁾).

Choćby w głębokości wód znajdowały się wtedy jakie mięczaki i polipy, to epokę ową musiała historia przedstawiać jako epokę, w której ukazało się i rozwinęło królestwo roślinne!

Geologja nie tylko stwierdziła ukazanie się olbrzymiej roślinności w czasie przez Mojżesza wskazanym, ale badała te drzewa, te ogromne paprocie. Cóż w nich znalazła? Wszystkie cechy roślin, rosnących w cieniu; żadnej cechy drzew, rosnących w świetle słonecznym. „Za-

¹⁾ Hugues Miller, *Testimony of the Rocks*.

uważono, mówi Pozzi, że przy braku słonecznych promieni roślinność występuje bujniej, szybciej się rozwija, ale roślina zamiast nabrać tęgłości pozostaje miękka, gąbczasta. Widzimy, że tkanka roślin w cieniu rosnących, zasłoniętych od bezpośrednio padających promieni słońca, jest wiotka i rzadka, podczas gdy rośliny tegoż samego gatunku, ale rosnące na otwartym miejscu są jędrne i ściśle, choć mniej wysokie i wolniej rosną¹⁾). Oto, co stwierdziła geologja; uczy nas, że szczątki roślin z epoki węglowej przedstawiają właśnie cechę bujności, tkanka ich jest miękka i porowata, co dowodzi, że w czasie ich rośnięcia ziemia była w nieustannym cieniu, wilgoci i gorącu; szczątki zaś roślin w następnej epoce mniej bujne, o tkance drzewiastej i ściśle skupionej wykazują, że wtedy słońce już je oświecało²⁾).

To samo mówi Ebrard. Wykazawszy, że pierwsze życie, które się na ziemi pojawiło, było roślinne, dodaje: „Zauważmy jeszcze ten znamienity szczegół, że wszystkie rodzaje roślin z owej epoki są takie same we wszystkich strefach ziemi. Można stąd wywnioskować, że w czasie formacji węglowej nie istniały różnice klimatu; ziemia nie otrzymywała ciepła od słońca, ale ogrzana była własnym ciepłem; w próżnych zaś pokładach, jak jurajskie i triasowe, znać już ślady różnych klimatów. I tak ukazanie się słońca, oznaczone przez Biblię na dzień czwarty stworzenia, w tymże samym porządku wykazane jest przez nauki przyrodnicze, między formacją węglową (dzień trzeci) a formacją kredową, jurajską (dzień piąty)³⁾).

Gdzież znajdziemy przedziwniejszą zgodność między opowiadaniem Genezy a nauką? Ale, pytam znów, kimże był Mojżesz? Jakże mógł oglądać, zaraz po utworzeniu się skorupy ziemskiej, ów wspaniały rozwój natury roślinnej? Czyż tylko jego własny genjusz mu to pokazał? Ale jakież genjusz mógł w owym czasie czytać w zamkniętym jeszcze wnętrzu ziemi? „Mojżesz, mówi Ampère, posiada naukowe wiadomości równie głębokie jak dzisiejsze, albo był natchniony⁴⁾).

Ale idźmy dalej. Dopiero doszliśmy do trzeciego dnia stworzenia; dużo jeszcze cudów pozostaje nam do oglądania.

¹⁾ Pozzi, *Le Terre et le récit biblique*. — ²⁾ Idem. — ³⁾ Ebrard, cytowany przez Reuscha, *La Bible et la Nature*. — ⁴⁾ Ampère, *Théorie de la terre*.

VI.

Gen. I, 14, 19. — „*I rzekł Bóg: Niech się staną światła na utwierdzeniu nieba, a niech dzielą dzień od nocy: i niech będą na znaki i czasy, i dni i lata. I stał się wieczór i zaranek, dzień czwarty.*”

Ile rzeczy byłoby do powiedzenia o tych dwóch światłach tak odmiennie pięknych, o szybkości, obfitości ich promieni, o blasku, który wszystkiemu nadają! A z innego znowu punktu widzenia, jakież cudowny ten doskonały i wspaniały zegar, który służy *na znaki i czasy i dni i lata!* Księżyc kwadrami swemi stanowi tygodnie i miesiące; słońce daje nam pory roku i lata, a jednocześnie przez codzienny obrót ziemi mamy ciągłą zmianę sklepienia niebieskiego nad głowami, mamy doby i godziny. Czyż możnaby utrzymywać, że taki zegarek sam się zrobił? czyż więc mógłby być dziełem przypadku ten olbrzymi zegar z dwiema wspaniałemi wskazówkami dnia i nocy, które nigdy się nie opóźniają ani przyspieszają! Nawet Voltaire w chwilach jaśniejszych nie wątpił o tem.

Ale umysł mój czem innem jest zdumiony: oto opowiadaniem Mojżesza. Jest w niem cud naukowej intuicji. Skąd Mojżeszowi myśl przyszła, by powstanie słońca oznaczyć w dniu czwartym? Co go do tego ośmieliło? Czy przeczuwał, że w 4 tysiące lat po nim bezbożny uczony Laplace przyzna słusność jego twierdzeniu?

Ten bezbożny, bezreligijny, wydalony przez Napoleona za swą bezbożność z Instytutu, szydzący z Biblii, zajmujący się nią tylko dlatego, by z uciechą wykazywać, iż jest ona zbiorem bajek, odkrywa zapomocą rachunku, że słońce utworzone zostało po ziemi.

Apologeci chrześcijańscy utrzymywali przed Laplacem, że słońce oddawna istniało, ale że podnoszące się z ziemi opary nie dozwalały go dojrzeć, i według mnie, wyjaśnienie to byłoby wystarczające. Ale Laplace idzie dalej i mówi: Nie, ziemia nie została stworzona po słońcu; słońce po ziemi zostało utworzone.

Czyż nie widać tu boskiego pochodzenia Biblii? Uczony bezbożnik w Paryżu, w cztery tysiące lat po śmierci Mojżesza, patrząc nań z pogardą, mówi jednak: Gdzie ty to znalazłeś? masz słusność co do tego punktu.

Według tego uczonego, za którym poszli inni, ziemia należała do słonecznej mgławicy; w pewnej chwili jakaś

częstka onej mgławicy oderwała się i powoli utworzyła naszą kulę. Wiele części tak się odrywało od niej, dając początek innym planetom, aż dopóki atmosfera słoneczna nie zgęstniała dotyla, aby słońce doprowadzić do obecnego stanu.

Łatwo pojąć, że ziemia, będąc o wiele mniejszą od słońca, potrzebowała o wiele mniej czasu, aby dojść do stanu opisanego w dniu trzecim stworzenia, niż potrzeba było atmosferze słonecznej do skupienia się w dzisiejszych granicach; a więc ziemia pierwiej była utworzona niż słońce.

Tak samo rzecz się ma z utworzeniem księżyca, który powstał z oderwanej części ziemskiej mgławicy¹⁾.

A teraz pytam ludzi dobrej woli, czy to wszystko nie jest cudowne? Gdyby w tych rzeczach nie wypadło być bardzo ostrożnym, dodałbym jeszcze jeden szczegół z tegoż źródła zaczerpnięty. Mojżesz nie nazywa słońca *światłością*, ale *narzędziem, organem światła*, nie mówi *Hor*, ale *Mahor*. Wyraz ten tak właściwie oddaje to, co następnie stwierdziły naukowe obliczenia, że aż na myśl przychodzi, czy Mojżesz, posługując się nim, rozumiał całą jego doniosłość, czy nie był podobnym do proroków, którzy spisywane objawienia widzieli przysłonięte ciemnym obłokiem.

Wielkie są cuda w boskiem przygotowaniu mieszkania dla człowieka i bosko są one objawione. Potrochu lądy okryły się zielenią, i dla wykończenia ozdoby ziemi słońce zajaśniało nad lasami, łąkami, strumieniami, a pod jego pierwszym promieniem, więcej niż sto tysięcy gatunków kwiatów rozchyliło barwne kielichy. O, jak piękną musiała być ziemia w tem pierwszym oświeceniu słonecznem! Jednak życie, owa najwyższa piękność, jeszcze się nie było zjawiło. Raj ten był niezamieszkałą pustynią. Wielki Artysta rozpoczynał dopiero swoje arcydzieło.

VII.

Gen. I, 20, 21, 22. — „*Rzekł też Bóg: Niech wywiodą wody płaz dusze żywiącej i ptactwo nad ziemię pod utwierdzeniem nieba. I stworzył Bóg wieloryby wielkie i wszelką duszę żyjącą i ruszającą się, którą wywiodł*

¹⁾ Meignan, *Le monde et l'homme primitif*. — Waterkein, *La science et la foi sur l'oeuvre de la création*.

wody według rodzaju ich: i wszelkie ptactwo według rodzaju jego. I błogosławił im mówiąc: Roście i mnożcie się.“

Bóg, ozdobiwszy ziemię, zaczął ją teraz ożywiać i oto pierwsi jej mieszkańcy: ryby pływające w wodach i ptaki latające w powietrzu. Nie będę mówić o uroku, jaki nadają te stworzenia naturze. Czemże byłoby powietrze bez śpiewu słowika, bez brzęczenia pszczoł? a czem byłby ocean i rzeki i strumienie nasze bez tej dziwnej, ruchliwej i pożytecznej rzeszy, która w nich żyje?

Zdziwienie ogarnia na pierwszy rzut oka, że Mojżesz w jednymże okresie połączył dwie klasy istot tak różnych jak ryby i ptaki, a do następnej epoki usunął stworzenie zwierząt lądowych. Jaki powód nim kierował? Dlaczego odrazu nie mówi o stworzeniach lądowych, wodnych i powietrznych? Ale historia naturalna i geologia stwierdzają teraz jasno to, co dotąd zdawało się być zbyt śmiałym i niezrozumiałym.

Nietylko ptaki i ryby mnożą się tym samym sposobem, z jajek, nietylko jedne utrzymują się w wodzie, a drugie w powietrzu zapomocą przyrządów dość do siebie podobnych, ale jeszcze historia naturalna stwierdza, że kulki ich krwi są także same, a w niczem nie przypominają krwi zwierząt stworzonych w dniu szóstym. I zawsze wracamy do słów Ampère'a: „Albo Mojżesz posiadał naukę równie głęboką jak uczeni naszych czasów, albo był zgóry natchniony“.

Świadectwo geologii jest jeszcze bardziej stanowcze. Ponad pokładami węglowemi, o których wyżej mówiliśmy i gdzie się znajdują szczątki bambusów, palm, olbrzymich paproci, zaczynają się pokłady wapienia nazwane formacją jurajską, gdyż one to tworzą łańcuchy gór Jura, Szwajcarskich i Sabaudzkich. Cóż cechuje owe pokłady? Dwie rzeczy: 1-o olbrzymie potwory morskie; 2-o ogromne ptaki, czyli zwierzęta jajorodne, skrzydlate lub bez skrzydeł, bujające w powietrzu lub pływające w wodzie. Dużo szczątków ryb i morskich płazów znajdujemy w pokładach owej formacji, a rzecz godna uwagi, nie napotyka się tam wcale zwierząt lądowych, ani koni, ani jeleni, ani lwów, ani słoni. To dowodzi, że te warstwy są późniejsze niż ryby, gdyż oczywiście ryby nie wcisnęły się same w skały jurajskie, ale przeciwnie warstwy one gromadziły się w wodach w tym czasie, gdy żyły owe morskie potwory, i dlatego w odłamach skał jurajskich spotykamy szczątki ryb skamieniałych; z drugiej strony

dowodzi to, że te pokłady są wcześniejsze niż ukazanie się zwierząt lądowych, gdyż ich śladu nigdzie nie znajdujemy w tych powoli tworzących się skałach.

Posłuchajmy, co mówi znakomity geolog Hugo Miller: „Drugí okres geologiczny ma tak samo jak pierwszy swoje trawy i rośliny, ale były one o wiele mniej bujne i mniej godne uwagi jak w poprzedniej epoce i nie stanowiły już głównej cechy, charakteryzującej okres, do którego należały. Wielkimi istotami w tej epoce, przewyższającymi wszelkie tak dawniejsze jak i późniejsze stworzenia, były ogromne potwory morskie i olbrzymie ptaki, których ślady łap znajdujemy odcisnięte na skałach. Było to królestwo zwierząt jajorodnych, skrzydlatych lub bez skrzydeł. Potężne zwierzęta dość podobne do naszych wielorybów, ale należące jednak do gromady płazów, ichtjozaury, plezjozaury i cetjozaury musiały się poruszać w głębokościach mórz; jaszczurki i krokodyle, jak teleozaury, megalozaurowie, zwierzęta przenoszące nieraz wysokością, a szczególnie objętością, dzisiejszego słonia, zamieszkały niziny i masami całymi pluskały się w ówczesnych rzekach; wiemy także, że odcisnięte ślady łap z tej samej epoki są co najmniej dwa razy większe od kopyt konia lub wielbłąda. Jest więc rzeczą jasną, kończy on, że druga epoka geologiczna była przede wszystkim epoką ogromnych płazów morskich i licznych ptaków, dochodzących do olbrzymich rozmiarów¹⁾“.

Posłuchajmy teraz, co mówi Cuvier: „Idąc w górę od głazów, wśród których znajdują się jedynie odciski roślin, dochodzi się do różnych pokładów wapienia, zwanego jurajskim wapieniem. Tam klasa płazów dochodzi do najwyższego rozwoju“. — „Ponad łupkiem, mówi znów gdzie indziej, znajduje się wapień jurajski. Zawiera kości, ale tylko płazów. Wśród tych to niezliczonych jajorodnych czworonogów, wśród krokodyli, żółwi, płazów latających, ogromnych plezjozaurów ukazały się pierwsze drobne zwierzęta ssące (morskie); mimo to odkrywa się, że długo jeszcze klasa płazów panowała wyłącznie²⁾“.

Cuvier nic nie wspomina o ptakach, o których Mojżesz opowiada, że w tej samej epoce się ukazały. Za jego czasów nie znano jeszcze dokładnie tej kwestji, która dziś jest zupełnie wyjaśniona. Znalezione mnóstwo od-

¹⁾ Testimony of the Rocks. — ²⁾ Discours sur les révolutions du globe.

ciśniętych śladów łap ptasich w pokładach wapienia. Znalezione nawet łapy i pióra, np. w kamieniołomach w Solenhofen, należących do owej epoki; w innych miejscowościach natrafiono na liczne kości ptaków; w Meudon pod Paryżem, a także w Montmartre znaleziono piszczele i kości udowe wielkich ptaków, które wzrostem równać się musiały strusiowi. W Anglii znaleziono kości ptaka z gromady czaplowatych, ale większego jak czapla, w Ameryce szczątki licznych gatunków ptaków drapieżnych, jak i dzisiejszych domowych i t. p. A wszystkie te rodzaje należą do tegoż czasu co płazy i zagrzebane są w tych samych pokładach. Tak że teraz najmniejszej niema wątpliwości co do pojawienia się ptaków w tejże epoce¹⁾.

Czegóż chcieć więcej i jakież może być oczywistsze i jaśniejsze poświadczenie opowiadania Mojżeszowego? Ale jeszcze bardziej niespodziewane jest to, o czym teraz mówić będziemy.

VIII.

Gen. I, 24, 25. — „Rzekł też Bóg: Niech zrodzi ziemia duszę żyjącą według rodzaju swego: bydło, i płaz, i bestje ziemne według rodzajów swoich. I stało się tak. I uczynił Bóg bestje ziemne... I widział Bóg, że było dobre.”

Oto, według Mojżesza, dzieło dnia szóstego. Posłuchajmy teraz geologii. Nad pokładami jurajskimi znajdują się pokłady później utworzone, np. gipsu, kredy, dochodzące często do ogromnej grubości, jak pod Paryżem, w Normandji, w Anglii, w Polsce, na Pomorzu. Zbadawszy je, natrafiono tam po raz pierwszy na zwierzęta lądowe: konia, wołu, niedźwiedzia, lwa, słonia; nie widziano ich nigdzie w niższych warstwach; prócz nich znaleziono tam nieznane ogromne zwierzęta: mamuty, mastodonty, które Cuvier pierwszy opisał.

„Trzeciorzędna epoka, mówi Hugo Miller, posiadała także osobliwszą klasę stworzeń. Flora jej nie zdaje się być inną niż obecna; płazy mają tam już rolę podrzędną; zato lądowe zwierzęta były wtedy więcej rozwinięte niż kiedykolwiek, tak co do wielkości jak co do ilości. Mamuty i mastodonty, nosorożce i hipopotamy, ogromne dinozaurowe i megaterjomy dorównywały objętością największym z dzisiejszych ssących, a liczbą o wiele je przewyż-

¹⁾ Pozzi.

szały. Szczątki jednego rodzaju słoni (*elephas primigenius*) są tak mnogie w lodowatych płaszczyszach Syberji, że słusznie nazwano je *kopalniami kości słoniowej*; od stu lat wydobywają ją tam ciągle. *Prawdziwie*, ta trzeciorzędna epoka, trzecia i ostatnia z geologicznych epok, była *przedewszystkiem wiekiem wielkich dzikich zwierząt*, według ich rozlicznych gatunków, jako też i różnych rodzajów dzisiejszych zwierząt domowych¹⁾.

Cuvier mówi tak samo: „*Mimo najściślejszych badań nie mogłem odkryć żadnego wyraźnego śladu lądowych ssących zwierząt przed pokładami ułożonemi na pierwotnym wapieniu. Przeciwnie*, skoro tylko dochodzimy do warstw leżących nad pierwotnym wapieniem, *kości zwierząt lądowych okazują się w wielkiej ilości*. I jak słusznie mniemamy, że muszle i ryby nie istniały w czasie tworzenia się pierwszorzędnych pokładów, tak samo sądzić trzeba, że czworonogi jajorodne powstały jednocześnie z rybami, ale że *lądowe czworonogi zjawiły się dopiero o wiele później*”²⁾.

To mówi geologja, a jakże jasno i niespodzianie stwierdziły jej przedziwne odkrycia wielkie rysy opowiadania Mojżeszowego!

IX.

Mówię: wielkie rysy, i sądzę, że powinienem zatrzymać się chwilę nad tem wyrażeniem.

Nie trzeba bowiem ukrywać, że napotykamy jeszcze pewne trudności w szczegółach. A oto największa i najważniejsza z dzisiejszych:

Mojżesz naznacza zjawienie się życia roślinnego na dzień trzeci stworzenia; życie zaś zwierzęce dopiero się zaczyna według niego w dniu piątym. Otóż badając pokłady węglowe, szczątki pierwotnych lasów z trzeciego dnia, te pokłady gładów pełne palm i paproci, znaleziono w nich muszle, mięczaki, odcisknięte ślady drobnych rybek. Skąd się to tam wzięło? Czyż cała nasza teoria nie rozbija się o ten trudny do odparcia zarzut?

Nie, gdyż można nań odpowiedzieć:

1-o Widzieliśmy, że opowiadanie Mojżesza nie jest wcale naukowym i wykończonym wykładem o początkach

¹⁾ *Testimony of the Rocks*. — ²⁾ *Discours sur les révolutions du globe*.

świata. Są to tylko wielkie obrazy, które Bóg pokolei stawiał przed oczy swojego proroka i w których mu ukazywał charakterystyczne cechy każdej epoki. Otóż z tego ogólnego punktu widzenia zgodność Biblii i nauki jest zupełna.

2-o Zdaje się, że Mojżesz, zapisując jako główny rys dnia piątego rozwój życia zwierzęcego, wiedział, że już były poprzednio jakby próby tegoż w najniższej jego formie. Godnym uwagi jest sposób, w jakim się wyraża o dziele piątego dnia: „I stworzył Bóg wieloryby wielkie i wszelką duszę żyjącą i ruszającą się, którą wywiodły wody, quam produxerant aquae”. Można by mniemać, że znał już Mojżesz te pierwsze okazy, ale że zaniedbał o nich wspomnieć, mówiąc o dniu trzecim, teraz wiąże je z całem dziełem stworzenia zwierząt i ukazuje wyraźnie te niższego rodzaju twory, które już dawniej w mule ziemnym pełzały.

3-o Zdaje się nam, że w warstwach węglowych odnaleźliśmy szczątki lasów z trzeciego dnia. Ale czy to jest zupełnie pewne? Czy nie jest możliwe, że pierwsze lasy, te co poprzedziły życie zwierzęce, całkiem zniknęły, że zostały spalone, spopielone? I geologia zaczyna tak sądzić. „Wcale nie jest pewnem, pisze Bischof, że niższe pokłady skał, zwane pod nazwą azoicznych lub bez skałmieniałości, należą bez wyjątku do epoki, w której roślinność nie istniała jeszcze na ziemi. W ciemnobłękitnej lub popielatej łupkowej glinie, nie zawierającej żadnych skałmieniałości, a której barwa jest niekiedy zupełnie czarna, barwa ta pochodzić może od zwęglonych materij, znajdujących się w całej masie. Jeżeli więc wszelki węgiel tworzy się przez rozkład kwasu węglowego, formacja łupku gliniastego musiała być poprzedzona przez *królestwo roślinne*“¹⁾. Vogt idzie jeszcze dalej: mniema, że wszystkie łupki i gnejsy, nazwane metamorficznymi, większa część granitów, porfirów i diorytów należą do skał pierwotnie złożonych i zawierają *szczątki roślinne*“²⁾.

4-o W każdym razie, mówi Burmeister, zwierzęta przed roślinami istnieć nie mogły, choćby dla tej przyczyny, że zwierzęta potrzebują roślin do utrzymania swego życia. Prawda, że wiele z nich żywi się mięsem innych zwierząt; ale koniecznie dochodzi się do zwierząt, żywiących się roślinami, tak że nic nie wchodzi w substancję zwierzęcą, co nie istniałoby poprzednio w jakiegokolwiek

¹⁾ Bischof, *Manuel*. — ²⁾ Vogt, *Ausland*.

formie, w stanie materji organicznej. Stąd wynika, że w pierwotnej epoce żaden organizm zwierzęcy nie mógł żyć przed istnieniem organizmów roślinnych¹⁾.

Widzimy zatem, że nawet co do tego trudnego punktu nauka zbliża się do zupełnego potwierdzenia Biblii. W każdym razie można być pewnym, że owa trudność tak samo zostanie rozwiązana jak tyle innych. Nauka nie widzi jeszcze jasno wszystkich szczegółów kolejnego następstwa królestwa roślinnego i zwierzęcego. Niechże ukończy swoje badania. W tylu już rzeczach światło Pisma świętego poprzedziło jej orzeczenia, że spokojnie można i tu oczekiwać zgody.

Tymczasem od owej młodej nauki, tak często się mylącej, której zamarłe systemy układają się jedne na drugich na podobieństwo geologicznych pokładów, należy się poszanowanie dla starej Biblii; iluż to już od niej rzeczy się nauczyła! Nauka pokolei musiała uznać za Biblią:

1-o Że ziemia jest kulista²⁾ (czemu długo zaprzeczała);

2-o Że ziemia zawieszona jest w próżni³⁾ (o czem długo nic nie wiedziała);

3-o Że światło istniało i dawało życie roślinom przed ukazaniem się słońca (z czego długo szydziła, a co dzisiaj uznaje za prawdę);

4-o Że światło ukazało się przed słońcem (co było przeciwne wszelkiemu prawdopodobieństwu, a co niemniej jest pewne);

5-o Że pod skorupą ziemską znajduje się wewnętrzny ogień⁴⁾, a jednak ta skorupa długo okryta była wodami i z wód się wyłoniła (dwojaka teza; za jedną obstarują neptuniści, za drugą plutoniści);

6-o Że ziemię otacza warstwa powietrza i że powietrze jest ciężkie⁵⁾, pierwszy spostrzegł to Galileusz w trzy tysiące lat po Mojżeszu;

7-o Że zadaniem powietrza jest ogromna praca rozdzielania wód, w górze będących, od tych, co są na ziemi; wciąga je jako parę wgórę i spuszcza nadół kroplami;

8-o Że gwiazdy na niebie są niezliczone, jak piasek w morzu; choć starożytni uczeni liczyli ich tylko tysiąc;

9-o Że życie organiczne miało jakby trzy coraz to wyższe rozwoje: 1) rozwój życia roślinnego; 2) rozwój

¹⁾ Burmeister, *Gesch. der Schöpfung*. — ²⁾ Izajasz XL, 22. — ³⁾ Job, XXVI, 7. — ⁴⁾ Job, XXVIII, 5. — ⁵⁾ Job, XXVIII, 25.

życia zwierzęcego (wielkie płazy i wielkie ptaki); 3) drugi rozwój życia zwierzęcego (czworonogi ssące), wydawało się to dziwnem, nauka jednak to przyjmuje.

Oto, czegośmy się już z Biblii nauczyli. Ale pytam znowu, kim był ten, który pisał to wszystko przed czterema tysiącami lat? Usunmy boskie natchnienie i zmierzmy jego genjusz, jego olśniewającą intuicję! Ale jak można usunąć tu wpływ Boży? Jest on widoczny we wszystkim, co Mojżesz mówi, jak i w tem, co zamilcza. Jest w tej przedziwnej niedbałości, z jaką prawie nieświadomie rzuca słowa, które uderzają jak błyskawica. Jest w tej dziwnej zwiezłości, przypominającej język Ewangelistów, zdumiewa ona, niecierpliwilaby niemal, gdyby nie zmuszała do uwielbiania. Jest w tym pogodnym spokoju, z jakim podaje bez objaśnień, bez komentarzy boskie swe opowiadanie, narażając je na śmiech, na zarzuty, na wzgardę uczonych i nieuczonych. Powiedziałem wyżej, że nie byłoby godnem Boga wykładać nam kursa geologiczne, ale jakże godnem było Boga, a pożytecznem dla naszych dusz rozświetlenie kilku wzniosłemi rysami pierwszych początków wszechświata; rzucenie na to ciemne tło kilku promiennych słów, które wyprzedzają wszelką naukę i które ją przeżyją. Słowa to w swoim rodzaju jedyne, zawierające wszelkie światło i wielką rozmaitość według spoglądających nań oczu: światło poezji dla ludów młodych; światło filozofii i metafizyki dla wieków rozwagi; światło umiejętności dla epoki nauki; podobne są one do tych drogich kamieni lub pereł prawdziwych, rzucających blaski w cieniu, ale niemniej iskrzących się w promieniach słońca!

X.

Gen. I. 26, 27. — „*I rzekł Bóg: Uczyńmy człowieka na wyobrażenie i na podobieństwo nasze... I stworzył Bóg człowieka na wyobrażenie swoje... II. 2. I dokonał Bóg dzieło swoje, które uczynił; i odpoczął w dzień siódmy.*”

Oto wreszcie dokonane dzieło stworzenia. Pochodzi ono od Boga; wznosi się ciągle, wzrasta, doskonalą się. Dokąd idzie? Do człowieka. Bóg jest jego początkiem; na człowieku się ono kończy. Te olbrzymie przewroty, z których zamiast zniszczenia wynika większa piękność ziemi i doskonalsza jej harmonja; ten wspaniały rozwój życia roślinnego, które oczyściwszy powietrze, pograża się we

wnętrzu ziemi, aby w następstwie stać się jej bogactwem, to stopniowe rozwijanie się życia zwierzęcego, zdające się mieć na celu udelikatnienie materji, aby mogła się stać doskonałem narzędziem wolnej duszy; cały ten długi poemat, który studjowaliśmy wiersz po wierszu, zdaje się mieć jeden cel tylko: człowieka. Zjawia się on nareszcie ostatni, jak pan, który czekał, by pałac był gotów.

W następnym rozdziale rozpatrywać będziemy ukazanie się tego króla stworzenia i, jak mówi Bossuet, „chwalebne osobliwości jego narodu”. Ten rozdział zakończymy, rzucając wzrok na całość mieszkania, które mu Bóg przygotował.

Oto jest ziemia, jaką ją uczyniły przygotowania, trwające miliony lat! Porównana z innemi niebieskimi ciałami jest ona mała, ale jakże śliczna! Płynie w przestrzeni jak statek. Ma ruch podwójny. Najpierw w dwudziestu czterech godzinach obraca się koło siebie z taką szybkością, że przy równiku więcej niż sześć mil na minutę ubiega, 376 mil na godzinę, 9,000 mil na dobę. Następnie, kręcąc się koło siebie, opisuje niezmierny okrąg wokoło słońca. Szybkość tego drugiego ruchu wynosi 7 mil na sekundę, 420 mil na minutę, 27,500 mil na godzinę, 660,000 mil na dobę. Ktoby ją tak ujrzał pędzącą w przestrzeni z szybkością sześćdziesiąt razy większą niż armatni pocisk, trwogą byłby przejęty; a cóż dopiero gdyby mógł okiem objąć całą tę masę, mającą do 9,000 mil obwodu! Gdy się widzi zbliżka przebiegający pociąg pośpieszny, mimowoli dreszcz chwyta, a jednakowoż nie przebiega on więcej niż 20 mil na godzinę. Podróżni, siedzący w wagonach, nie zdają sobie sprawy z tej szybkości, rozmawiają, czytają, tak samo i człowiek zamieszkujący ruchomą swą kulę; ta jest jedyna różnica, że nie czuje on najmniejszego kołysania, gdyż ziemia doskonale jest zbudowana. A przecież to nie tylko 660,000 mil przebiega ziemia w ciągu doby. Ponieważ słońce, około którego ona krąży, nie stoi w miejscu, ale posuwa się w kierunku konstelacji Herkulesa, to jego posuwanie sprawia, że ziemia musi o 172,000 mil więcej na dzień ubiec, co dodane do 660,000 mil obrotu koło słońca, czyni razem blisko milion mil do przebycia dziennie dla naszej małej planety. Tak wiruje koło słońca i przez nie wdał unoszona nie przeszła ona dwukrotnie, odkąd istnieje, przez to samo miejsce i nigdy nie znajdzie się tu, gdzie jest w obecnej chwili. W dzień jeden znajduje się o sto tysięcy mil od miejsca, w którym była wczoraj, po roku

o setki milionów mil, po upływie wieku o dziesiątki miliardów mil. I tak wciąż dalej. Czyż to wszystko nie jest cudowne?

Ale całej piękności ziemi nie stanowi zgodny jej bieg ze słońcem, ani jej obrót wokół dającego jej życie ogniska. Piękna jest sama w sobie, swym kształtem, swymi linjami czystymi, ożywionymi i upiększonymi jeszcze wspinałą grą światła i cienia.

Piękna jest w pysznej swej szacie z zieleni. Więcej niż dwieście tysięcy gatunków drzew gromadzi się w jej lasach; więcej niż trzysta tysięcy gatunków kwiatów stanowi pokrywający ją dywan.

Piękna jest śpiewem swych ptasząt, brzęczeniem pszczoł i owadów, ruchem i życiem wielkich zwierząt, towarzyszy pracy człowieka, jego sług pojętnych, chciałem rzec, przyjaciół.

A pod tą wesołą powierzchnią ileż piękności, ile skarbów kryje się w jej głębi! Najniżej skały pierwotne, granity, marmury osiadłe przed milionami lat — niewyczerpane to kamieniołomy dla architektury, dla sztuki. Wyżej — niezmiernie pokłady węgla, lignitu, niezbędnych do rozwoju przemysłu, torfu koniecznego dla ognisk biedaków. Jeszcze wyżej warstwy jurajskie, pokłady kredowe, wapienne, służące do budowy naszych domów. A we wszystkich kierunkach, wyrzucone siłą ognia wewnętrznego, ciągną się żyły kruszców: złota, srebra, żelaza, po które nie byłibyśmy mogli zstąpić tak głęboko, a które ogień kierowany ręką Opatrzności udostępnił nam. Ażeby zaś nic nie brakowało do zupełnej piękności ziemi, przez te różne warstwy tworzą się ogromne zbiorniki wody, która wytryskuje źródłami, wodospadami, rozlewa się w jeziora, wypływa jako strumienie i rzeki, nadając wszystkiemu świeżość, urodzajność i czar. A wreszcie ogarnia lądy, bezbrzeżne morze ze swymi wyspami i zatokami, przypływem i odpływem, ze swym szumem potężnym, z niezliczonym mnóstwem pożytecznych, ładnych, dziwnych stworzeń, zamieszkujących jego przepaści.

Takie jest mieszkanie człowieka, i któż mógłby nie uznać dobroci ojcowskiej, która je nam zgotowała.

Ponieważ jednak ta ziemia, choć tak cudna, nie miała być wiekiustym mieszkaniem człowieka, ale schronieniem na dzień jeden, w ciągu którego miał się on uświęcić, wielbiąc i miłując Boga, więc by nie była ku temu przeszkodą, Bóg ją uczynił jakoby świątynią. Otoczył ją religijną

atmosferą; wrył na niej swe Imię, wszędzie wycisnął swój obraz. A urządził wszystko tak wzniosłe, a zarazem tyle miłości wlał w to dzieło, że czy patrzymy na wielkie rysy stworzenia, na niebo iskrzące się nocą gwiazdami, na bezmiar Oceanu, na śnieżne szczyty najwyższych gór, czy też przyglądamy się najmniejszym szczegółom: przylaszczce, rosnącej w cieniu krzewów, gniazdku słowika zawieszonego wśród cienkich gałązek czujemy się uniesieni aż do Boga. Dzieło stworzenia jest zbiorem przejrzystych rzeczy; gdy się na nie patrzy, widzi się przez nie Boga jak przez zasłonę.

To po wsze czasy skłaniało myślicieli, poetów, świętych, dusze, głęboko miłujące Boga, do szukania Go w samotności, do słuchania głosu Jego wśród szumu wichrów, wśród szmeru fal. Cóż to jest owa harmonja sfer, której przysłuchiwał się Pitagoras? Czem jest owo echo, w którym lubował się Sokrates? Czem są te szlachetne, wzniosłe natchnienia, które powstają, gdy się jest sam na sam z naturą, a które tak dobrze nazwano genjuszem samotności? Czemże jest ten głos, o którym mówi św. Paweł: *Nihil sine voce*, a który brzmi w każdej istocie? Czem są łzy, znajdujące się we wszystkich rzeczach, jak mówi Wirgiljusz? Czyż możemy sądzić, że Bóg bez przyczyny otoczył nas temi cudami? I dlaczegoż wlałby między nas a naturę tyle harmonji, tyle wzajemnej miłości człowieka i ziemi, jeżeli nie poto, byśmy ją miłując, badając, słuchając jej pieśni, jej szmerów, jej ciszy smętnej czy pogodnej, dochodzili do odnalezienia Jego samego pod tą przezroczystą zasłoną, którą się otoczył, do miłowania Go, do oddawania Mu czci naszej?

A czy wiecie, co Bóg uczynił, by Jego obraz, odbijający się w całym stworzeniu, silniej uderzał naszą duszę? Wrył tam i nasz obraz. Dawszy naturze nieco swego podobieństwa, dał jej następnie nieco podobieństwa ludzkiego, a urobiwszy to wszystko ręką artysty i sercem ojca, dodał ostatni rys piękności przeznaczonej dla nas ziemi.

W naturze, tak jak w organach, odnajdujemy słabe naśladownictwo głosu ludzkiego, jakieś sympatyczne struny, znajdujące oddźwięk w najgłębszych tajnikach naszej istoty.

O, jak natura podobna jest do nas! Ta ruchliwość i niestałość wszechrzeczy; słońce wschodzące co rano, a gasnące wieczorem; kwiaty zaledwie rozwinięte a już schnące; jesień tak szybko następująca po krótkim lecie,

uścielająca ziemię żółkniałymi liśćmi, napelniająca ją je-
kiem wiatru; zima stająca przed nami jak lodowate widmo
grobu — wszystko to tajemnie harmonizuje z naszą duszą.
Co natura wypowiada mknącymi chmurami, spływającymi
wodami, mijającymi wiosnami, to samo, tylko z większą
gorączką, powtarzają nasze troski i zawody. A ta smutna
harmonja, udzielona nam z góry, jasno pokazuje, że nie
zostaliśmy stworzeni, by pozostawać na ziemi, ale by
szybko przejść przez nią i dojść do Boga.

Weź więc, człowieku, w posiadanie piękne i miłe dzie-
dzictwo swoje; ale nie zapominaj nigdy nauk, które masz
od niej odebrać!

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Stworzenie człowieka.

Powróćmy teraz z całą możliwą uwagą do kwestji
stworzenia człowieka. Starajmy się skupić umysł, gdyż
sam Bóg, zanim stworzył człowieka, zda się namyslać, na-
radzać.

Oto najpierw słowa Biblii:

Gen. I. 26, 27, 28. — „*I rzekł Bóg: Uczyńmy człowieka
na wyobrażenie i podobieństwo nasze; a niech przełożony
będzie rybom morskim, i ptactwu powietrznemu, i bestjom,
i wszystkim ziemi... I stworzył Bóg człowieka na wyobra-
żenie swoje: na wyobrażenie Boże stworzył go: mężczyznę
i białogłową stworzył je. I błogosławił im Bóg i rzekł:
Roście i mnożcie się.*”

Jakież to słowa! ile w nich prostoty, a zarazem ile
wzniosłości! Każdy wyraz promienieje, każdy oświeca
najgłębsze tajniki wszystkich zagadnień, niepokojących
myśl ludzką. Przystąpmy najpierw do tych zagadnień;
nie cofajmy się przed żadną trudnością.

I.

Gen. I. 26. — *I rzekł Bóg: Uczyńmy człowieka.* Oto
pierwsze słowo. W jakiej epoce zostało wypowiedziane?
w jakiej ściśle oznaczonej chwili zjawił się człowiek na
ziemi? Trudno na to dać odpowiedź. Ale i tu Biblia,
która nam już tyle wykazała rzeczy, uczy nas jeszcze
trzech, i te prawdziwa nauka uznała nareszcie.

1-o Człowiek jest najpóźniejszą istotą w stworzeniu.
Samo wnioskowanie wystarcza do stwierdzenia tego, gdyż
długi ów i wspaniały poemat, jaki nauka potrochu odczy-
tuje, nosi cechę wszystkich wielkich rzeczy — wzrastającą
piękność. Od minerałów do roślin, od roślin do zwierząt,

od zwierząt do człowieka jest tak widoczny postęp, że nikt go nigdy nie zaprzeczał, a prowadzi on do tego wyniku: człowiek jest najdoskonalszym ze stworzeń, ale i ostatniem.

Nauka to uznaje. Szczątki ludzkie znalazła jedynie na wierzchniej warstwie ziemskiej skorupy, nigdy w jej wnętrzu. Człowiek jest z czwartorzędnej epoki geologicznej; a choćby, opierając się na mało licznych i niepewnych faktach, chciano utrzymywać, że należał już do epoki trzeciorzędnej, zawsze pewnem jest, że jeżeli tam się ukazuje, to jedynie na samej jej powierzchni, w warstwach najwyższej położonych, nigdy w głębszych. Nie znajdujemy go w pokładach jurajskich, ani kredowych z drugorzędnej epoki, gdzie jedynie napotykać można wielkie płazy, ryby i ptaki, tem mniej śladów jego niema w pokładach węglowych, obfitujących w rośliny¹⁾.

2-o Człowiek, według świadectwa tak Biblii jak nauki, jest nie tylko najpóźniejszą ze wszystkich istot, ale jest i ostatnią; na nim kończy się dzieło stworzenia. Stworzywszy człowieka, Bóg odpoczął, mówi Pismo święte; przestał dalej stwarzać; nauka i to stwierdziła. Po człowieku niema późniejszego stworzenia ani na polu życia roślinnego, ani na polu życia zwierzęcego. Za przykładem Boga i natura odpoczywa.

3-o Wreszcie, czemu nauka długo zaprzeczała, co dziś stwierdza, a co Biblia zawsze bardzo jasno mówiła to, że człowiek został stworzony w szóstym dniu, w tym samym czasie, co i wielkie lądowe zwierzęta. Jest on współczesny mamutom i mastodontom. Ukazuje się w końcu epoki, gdy te olbrzymie czworonogi zaczęły się pogrążyć w łożyska szlamu lub lodu, gdzie dziś odnajdujemy ich kości zmieszane z kośćmi ludzkiemi. Nie wiem, dlaczego Cuvier nie chciał się zgodzić na ową współczesność, wykazaną dziś przez naukę; Biblia z taką pewnością o tem poucza! W jednym dniu umieszcza stworzenie zwierząt ssących i człowieka. I podczas gdy między innemi stworzeniami następuje wieczór, to jest powrót ciemności, jakaś katastrofa, jakaś przerwa w ciągłości, tu między stworzeniem ssących olbrzymów i człowieka niema tego wcale. Są stworzeni współcześnie, żyją razem. Dobrze to były zresztą te mastodonty, te mamuty podobne do naszych hi-

¹⁾ Léonhard, *Geologie*.

popotamów, słoni, które ręka dziecka prowadzi; również były wielkie i tak samo łagodne.

Ale jeżeli dziś nauka uznaje za Biblią, że człowiek jest ostatniem zakończeniem wielkiego dzieła stworzenia, nie chce przyznać, by on był tak niedawnym, jak tego uczy Biblia. Według Pisma świętego człowiek istnieje dopiero od 6—7 tysięcy lat. Otóż temu zaprzecza nauka. Wczoraj zaprzeczała w imię historii, dziś w imię geologii. Zatrzymajmy się na chwilę i, nim dalej pójdziemy, postarajmy się ten spór wyświecić.

II.

Najpierw uważajmy, że Biblia nigdzie nie mówi, jaka jest prawdziwa data zjawienia się człowieka na ziemi. Można ją tylko przypuszczalnie określić drogą rachunku, idąc od Jezusa Chrystusa pokoleniami wstecz aż do Adama. Praca to niepewna, czysto ludzka, a więc łatwo podlega omyłkom. Czyż można mieć pewność, że w genealogjach przez Biblię podanych niema jakich przerw? Przeciwnie, wiemy nawet i to z samej Biblii, że przerwy istnieją. I tak: ktoś, podany przez św. Mateusza lub św. Łukasza za ojca którego z patriarchów, jest tegoż dziadem lub pradziadem. Co zaś do spisu patriarchów z przed potopu, czyż można twierdzić: że Mojżesz w całości go podał, że nie wymienia jedynie głównych, znakomitszych przodków? Faktem jest, że posiadamy sto czterdzieści systemów chronologicznych, i że różnice między nimi są znaczne. Śpieszmy jednak dodać, że jakkolwiek system przyjmemy, zawsze taki sam wynik otrzymamy, jaki właśnie i z Biblii widnieje, a mianowicie, że ukazanie się człowieka na ziemi nie może być dawniejsze niż 6, 7 lub 8 tysięcy lat.

Przeciwko temu powstaje nauka, a raczej pewien odłam tegoczesnej nauki. W XVIII wieku, skutkiem roztupowania się różnemi historycznemi poszukiwaniami, mniemano, że natrafiono na dowody wielkiej starożytności, o którą tak samo całe narody jak i pojedyncze rodziny zazdrośnie dbają. Volney nie wahał się podawać założenia szkół kapłanów egipskich na 13,000 lat przed narodzeniem Jezusa Chrystusa. Co do królów Egiptu, Indyj, Chaldei, to lista ich ginie według Dupuisa w bajecznie odległych czasach. Dziś śmieją się z tych fantastycznych genealogij.

„Uznane zostało, mówi Klaproth, że tablice astronomiczne Indusów, ułożone zostały w siódmym wieku naszej ery¹⁾. Odczytawszy słynne znaki zodiaku w Denderah, znaleziono wśród nich napis hieroglificzny z imieniem cesarza Tyberjusza²⁾. Owa historia Egiptu, ginąca w pomroce wieków, w rzeczywistości sięga do 2,700 lat przed Jezusem Chrystusem³⁾; historia Chaldei do 2,234 lat⁴⁾, chińska do 2,200 lat⁵⁾; poza tem są ciemności. A więc do tego punktu historia w zupełności potwierdza opowiadanie Genezy i jeszcze raz wykazuje chrześcijanom, że niektóre naukowe twierdzenia są jakby chmury, chwilowo zasłaniające światło słoneczne; nazajutrz nikt o nich nie pamięta.

Czemże jednak jest owa starożytność genealogii egipskich w porównaniu z tą, o jakiej teraz śnią geologowie. Nie chodzi tu już o 10 lub o 20 tysięcy lat; znaleziono czaszki ludzkie, które sięgają 250,000 lat istnienia. Fulhrott przypuszcza, że człowiek zamieszkuje naszą planetę od dwóch do trzechset tysięcy lat. Sir C. Lyell obliczył, że wielkie wzburzenia, które wydobyły północną Europę z głębi mórz, miały miejsce 200,000 lat temu, i mniema, że człowiek był współczesny tym wstrząśnieniom. Dr. Dowler, biorąc za podstawę obliczeń słoje rocznego przyrostu drzew, pod którymi w Luizjanie znaleziono ludzkie szkielety, twierdzi, że leżał on tam 57,500 lat. Na niektórych obrobionych krzemieniach ułożyły się warstwy ziemi, których nagromadzenie wymagałoby tysięcy wieków. Najumiarkowańsi rachują co najmniej 50,000 lat istnienia człowieka na ziemi.

Odpowiedzmy najpierw ogólnikowo, że nic z tego nie jest dowiedzione. Hipotezy na hipotezach; wyobraźnia bujająca po szerokim nieznanym polu; opowieści ułożone przez półuczonych w jedynym celu zachwiania wiary w Biblię; oto powód prawie wszystkich prac, mających wykazać starożytność człowieka.

Tym zaś, którzy poważniej się na to zapatrują, powiedzmy, że mylną postępują drogą, i że wszystkie ich teorie, wydające im się mocno ugruntowanymi, rozbijają się o parę szkopułów.

¹⁾ Biot. *Journal des savants*. De Humboldt, *Cosmos*, Cuvier, *Discours sur les révolutions du globe*. — ²⁾ Champollion. *Discours de Wiseman sur les rapports de la religion et de la science*. — ³⁾ Marcel de Serres, *De la Cosmographie de Moïse*. — ⁴⁾ Heeren, *Ideen über Politik etc.* — ⁵⁾ Barthélemy Saint-Hilaire, *Journal des savants*. Müller, *History of anc. sansc. lit.*

1. Jeżeli człowiek istnieje od 200,000 lat, wytłumaczcie, dlaczego ślady swego życia pozostawia dopiero od sześciu tysięcy lat? Od 6,000 lat żyje, mówi, działa, myśli, swą utrwala w kamieniu, w marmurze, w bronzie. Choćby nie wiem jakie przewroty spotykały ziemię, to ślady przejścia człowieka zostałyby niezmazane. Przeciwnie, przed tą epoką, przez 200,000 lat nic on nie robi, nic nie tworzy, nic po sobie nie zostawia, zupełnie nic, albo co najwyżej krzemienie grubo obrobione. Czyż to możliwe? tembardziej, że przewroty ziemi, które się przytrafiły od czasu jego ukazania, dotykały jedynie powierzchni kuli ziemskiej, gromadziły się składy lodowców, pokłady mułu, a te pokrywają, otaczają, ale nie niszczą. I nietylko człowiek nie pozostawia z owych czasów żadnego pomnika, ale i nie unosi stamtąd żadnego wspomnienia. *Istnieje od dwóchset tysięcy lat*; niech i tak będzie, ale *pamięta dopiero od sześciu tysięcy lat*, to jest od epoki, na którą Mojżesz naznacza jego powstanie. To rzecz główna.

2. Mówią: Tych dwustu tysięcy lat człowiek potrzebował na wydobyć się ze zwierzęcości, na podniesienie się do stopnia człowieka cywilizowanego. Najpierw używał tylko kamienia, krzemienia ociosanego niezgrabnie; to epoka kamienna. Potem posługiwał się bronzem; to wiek bronzu. Wreszcie zaczął używać żelaza i tu doszedłszy poznał cywilizację.

Powtarzam znowu, czyste to hipotezy. Człowiek nie zaczął żyć w stanie dzikości. Doświadczenie uczy, że dziki nie podnosi się, ale zniża, zstępuje aż do tych ostatecznych granic zezwierzęcenia, gdzie wszystko wznioślejsze zamiera. Żeby się mógł podnieść, trzeba, by mu na pomoc przyszła jakaś wyższa rasa, a jeszcze niezawsze jej się uda go podnieść¹⁾. Ludzie, obrabiający kamień, nie byli pierwotnymi ludźmi; byli to ludzie zwyrodniali, dzikie pokolenia odbiegłe od wielkiego, jasnego ogniska Wschodu. Pozostawały w tem zdziczeniu, dopóki nie nadciągnęły inne pokolenia, nie zajęły ich pól, darząc ich bronzem, żelazem, różnemi sztukami wzamian za ich służebnictwo. Później przyszły jeszcze wyższe pokolenia i zapanowały, ucząc obsiewać rolę. I w ten sposób we wnętrzu ziemi piętrzyły się krzemienie, toporki kamienne, siekiery żelazne, ozdoby z bronzu, jeżeli wszakże stanowiły one rzeczywiście różne epoki i nie istniały wszystkie

¹⁾ Benjamin Constant, *De la religion*.

jednocześnie. Otóż na to wszystko nie potrzeba było 200,000 lat. Kilka wieków, a może niekiedy kilkadziesiąt lat wystarczy. „Przypuśćmy, mówi Pozzi, że geologowie przyszłości, badając jeziora Ameryki i Australji, znajdą broń i strzały krajowców obok broni palnej ludów europejskich, które tamtych zwyciężyły i usunęły; czyż słusznie mogliby wnioskować, że niezliczone wieki upłynęły między dwiema epokami przedstawionemi przez te szczątki?”¹⁾).

Zresztą, jak nie pomiarkowano, że nie można było obrobić krzemiennych toporów, nie mając poprzednio doskonalszych narzędzi? jak nie spostrzeżono, że na kartach Biblii, gdzie przy opisie budowy arki żelazo i bronz tak wielką odgrywają rolę, jest też mowa o kamiennych nożach, mających służyć do obrzezania? Rzekome kolejne następstwo wieków kamienia, bronzu i żelaza jest taką samą omyłką, jaką był zodiac z Denderah. Wymyślił je w 1837 r. Duńczyk Thomson²⁾; lekkomyślnie i arbitralnie teoria ta została przyjęta, a okazy trzech epok wprowadzono uroczyście do muzeum w St. Germain; dziś prawdziwa nauka odrzuca to. Przed kilku laty dykcja centralnego romańsko-germańskiego muzeum w Moguncji w pierwszym tomie wielkiego swego dzieła posłużyła się tą klasyfikacją, ale już w drugim tomie ją usunęła, przepaszając, że się tak złudzić dała³⁾.

3. I jeszcze mówią: „Te krzemienie, te kości ludzkie pomieszane są ze szkieletami mamutów, mastodontów i mnóstwa innych zwierząt, które zniknęły. Ileż to wieków potrzeba na wyniszczenie tych gatunków?” Ile wieków? tego nie wiemy. Być może, że trzeba bardzo wiele albo też bardzo mało czasu na zniknięcie jakiegoś gatunku; to zależy od okoliczności. Przeszło czterdzieści rodzajów zwierząt zaginęło od czasu Egipcjan. Niema i takich, które były za czasów Cezara, mianowicie ginie żubr tak dokładnie opisany w Komentarzach i zagał jeleń o rogach olbrzymich, który dla delikatnego mięsa sprowadzany był z Anglii na stoły bogatych patrycjuszów rzymskich. Uczni cytują zwierzęta, których dziś niema, a które istniały jeszcze na początku zeszłego stulecia. Czas nic nie ma do tego, wszystko zależy od okoliczności. Człowiek czynny i przemysłny, zwierzęta, jak lew, tygrys, mogły

¹⁾ Pozzi, *Le terre et le récit biblique*. — ²⁾ Thomson, *Leitfaden zur nordischen Alterthumskunde*. — ³⁾ Reusch, *La Bible et la nature*.

ujść cało przed temi powodziami, namuleniami lub gromadzącami się lodowcami, pod któremi zaginęły mamuty ciężkie, nie mogące szybko uchodzić; nie miały dość energii, ruchliwości, a za wiele tłuszczu.

4. Dodają jeszcze ostatni zarzut: „Gdzież to odnajdujemy szczątki pierwotnych ludzi pomieszane z obrabianymi krzemieniami i z kośćmi najdawniejszych zwierząt ssących? Pod warstwami ziemi, układającymi się zwolna, nieraz przez tysiące wieków. A więc któż może obliczyć, jak dawno człowiek istnieje?”

By ten zarzut miał jakąkolwiek wartość, trzeba by sprawdzić trzy rzeczy: najpierw, czy znaleziony przedmiot jest rzeczywiście wyrobem przemysłu ludzkiego? po drugie, czy warstwa ziemi, pod którą został znaleziony, nie tknięta była tak przez człowieka jak i przez żywioły? po trzecie, jaki jest wiek tych warstw ziemnych? Oto, co mówi Desmoulins¹⁾: „Oświadczam w moim i p. Gourges imieniu, że od 35 lat odkąd badamy krzemienne narzędzia, nigdyśmy ich nie znaleźli w pokładach, któreby już nie były poprzednio poruszane ręką ludzką”²⁾.

Co więcej, zarzut ten jak i drugi, opierający się na podnoszeniu się niektórych brzegów, na wywyższeniu się tam morskich, na tworzeniu się torfowisk, mają wadliwe podstawy. Dziś może potrzebaby tysięcy wieków, aby otrzymać te leżące jedne na drugich warstwy, choć i teraz tak podnoszenie się jak i obniżenie gruntu nigdzie nie objawia się jednakowym sposobem. Ale wtedy, w owych zamierzchłych czasach, któż może wiedzieć, jak się to działo? jak szybko podniosła się lub opadała powierzchnia ziemi? jakie mogły być gwałtowne oziębienia, jakie rozliczne katastrofy, przewroty? Czyż można z tego, co jest, wnioskować o tem, co było? „Niejedna warstwa ziemi gruba na cztery stopy, mówi Wagner, mogła zostać utworzona w tyłuż minutach, ilu wieków na to żąda Morlot.” Stoimy wśród samych hipotez, a prawdziwa wiedza nie może wśród nich pozostać. Niech zwróci się w ściślejszy zakres rzeczy jasno wykazanych, a wtedy znikną zarzuty i jeszcze raz będzie stwierdzone, że nauka wszędzie świadczy o prawdzie Pisma świętego, a tu w szczególności wykazuje, że Biblia i geologowie na ten sam dzień naznaczają pojawienie się człowieka na ziemi.

¹⁾ *Sur les animaux disparus dans les derniers siècles*, Quenstedt. — ²⁾ Desmoulins, *La question diluviale et le silex ouvré*.

III.

Ale pozostawmy już te zarzuty, przy których ci tylko upierać się będą, którzy chcą się upierać, i podejmijmy dalszy ciąg tekstu: *I rzekł Bóg: Uczyńmy człowieka na wyobrazenie i na podobieństwo nasze: a niech położony będzie rybom morskim i ptactwu powietrznemu i bestjom i wszelkiej ziemi.* (Gen. I. 26.)

Czuć w tych słowach godność i wielkość tego, który ma przyjść, a poznać też można, dlaczego przychodzi on na ostatku. Ziemia dla niego jest uczyniona, musiała więc być gotowa na jego przyjęcie. To też zaledwie się on zjawia, a już go ona uznaje i wita. Uspokaja się, wszystkie poprzednie wstrząśnienia ustają; już niema kataklizmów, niema tych wzburzeń, które mogłyby zaniepokoić tego, który jest zarazem synem ziemi i jej panem.

Jest jej synem, z jej wnętrzości utworzonym. Adam znaczy: ziemia czerwona. Z ziemi powstał, jest ziemią jak ona. Zwiedzałem niegdyś wielką fabrykę, dzieło ludzkiego geniuszu, gdzie z ziemi robiono perełki. Jak tę ziemię przygotowano! w wielu wodach ją płókano; przesiewano ją; następnie używano ognia, by ją oczyścić tak, żeby ta czarna, pospolita, ciężka, nieprzezroczysta ziemia zamieniła się w błyszczącą, przejrzystą, odbijającą światło perełkę.

Oto znaczenie wszystkich geologicznych przewrotów, które rozpatrywaliśmy. Celem ich było oczyszczanie, uduchowanie niejako materji, aby mogła służyć jako pojętne narzędzie duchowi, jako organ mogący odczuć miłość.

I jeszcze trzeba było, by po tyłuwiekowych przygotowaniach Bóg sam ręką jej dotknął. Wszystkie poprzednie opisy stworzenia zaczynały się słowem: *I rzekł Bóg. I rzekł Bóg.* Jest to niby zwrotka, powtarzająca się na początku każdej strofy. A co rzekł Bóg? *Niech zrodzi ziemia ziele zielone! Niech zrodzi ziemia duszę żyjącą według rodzaju swego, bydło i płaz i bestje ziemne!* Dostrzec tu można jakby w boskiej syntezie dwa wielkie systemy, dzielące myślący świat. Jedni twierdzą, że wszystko wyszło z ziemi zapomocą niezliczonych kombinacji. Mylą się: potrzeba do tego było: *I rzekł Bóg.* Drudzy twierdzą, że wszystko wytrysło z nicości na rozkaz Boga. I ci się mylą: trzeba tu było urodzajnego łona ziemi. *Niech ziemia zrodzi ziele... zwierzęta!*

A teraz ma przyjść człowiek. Ton się zmienia; jest i tu: *I rzekł Bóg.* To boska strona działania. Ale już niema: *Niech ziemia zrodzi!*

A jednak i tu bez ziemi się nie obejdzie. Bóg, jak wielki artysta mający zdziałać coś wielkiego, namyśla się, naradza sam z sobą. Zatrzymuje wzrok na idealnym wzorze, który jest w Nim, potem schyla się i w święte ręce bierze garść ziemi. Cóż mniej jest podobnego do bezwładnego prochu, jak ciało ludzkie tak piękne, żywe, pełne wdzięku? Nauka zbadała je szczegółowo i coś w niem znalazła? Wapno, siarkę, fosfor, potaż, sodę, azot, to jest te same pierwiastki, które zawiera garść prochu ziemnego bez żadnej innej domieszki.

Bóg wziął więc ten proch i zaczął go urabiać. Czy nie widzieliście, jak znakomity rzeźbiarz urabia odłam marmuru? Rozgrzewa go, ożywia; po wiekach jeszcze marmur ten zdaje się być gorący od tchnienia swojego twórcy, który mu dał swą duszę; są rzeźby wspaniałe, którym, zda się, jedynie mowy brakuje.

Tu i tego nie brakuje. Pod miłosnem dotknięciem największego Artysty materia uduchowia się. Wszystkie piękności, rozlane w różnych królestwach natury, skupiają się w ciele człowieka, ideale kształtów stworzonych. Wszystkie życia rozproszone w różnych istotach, te życia wielkie, potężne, tak bogate, że każde z nich tworzy typ całego rodzaju, tu się gromadzą i, nie mieszając się, tworzą całość harmonijną. Człowiek ma być jak kamienie, ma soki jak rośliny; instynkt, ruch i życie jak zwierzęta; ma w oczach i na ustach coś, czego dotąd nie było, jakąś iskrę niebiańską, która w niczem nie jest podobna do poprzednich stworzeń. Po tysiącletnich próbach oto narreszcze jest materialna piękność najidealniejsza, najzupełniejsza.

Jakżeby ziemia nie kochała człowieka? To jej kwiat najszlachetniejszy. A z drugiej strony jakżeby człowiek nie kochał ziemi? Jest on uduchowioną ziemią.

Gdy człowiek cierpi, gdy jest smutny, jak ziemia tkliwą dla niego się staje! owiewa go swą wonią, otacza cieniem, samotnością, milczeniem, ciszą, by go pocieszyć lub uleczyć. Piaski ciepłe wokoło niego gromadzi, by go ożywić, zanurza go w swych oceanach, by mu siłę dodać; daje mu wrzące źródła, by go niejako odnowić gorącem swojego łona. On jest jej synem, z niej zrodzonym, jest jej miłością, jej dumą. Owo starożytne podanie, mal-

jące nam walki człowieka, syna ziemi, nie zawiera żadnej przesady: za każdym razem, gdy człowiek zwyciężony przez silniejszego nieprzyjaciela chwia się i upadając dotyka ramieniem ziemi, zaraz od tego dotknięcia nabiera na nowo siły i życia.

Ale człowiek, będący synem ziemi, jest zarazem jej królem. Rządzi nią, panuje nad nią; lecz panuje dlatego tylko, że ma w sobie pierwiastek, którego ona nie ma. *I wróci się proch do ziemi swej, z której był, a duch wróci się do Boga, który go dał¹⁾.*

Duch! oto czego ziemia nie miała; oto nowy żywioł, przez który dzieło stworzenia ogromny krok naprzód postąpiło. Skąd on pochodzi? gdzie jest jego źródło? Pismo święte posługuje się tu majestatycznym wyrażeniem, którego znaczenia nie trzeba przesadzać, ale też i obrażać go nie należy. Bóg *natchnął w oblicze jego dech żywota²⁾*. A więc ziemia, z której powstaje ciało człowieka, i łono Boga, z którego pochodzi jego dusza. Obraz to tylko, ale jak wspaniały i jak wiele daje do myślenia!

Zbadano ciało ludzkie i wiadomo, z czego się składa; ale jak zanalizowano ducha? Jest on większy niż wszystkie bezmierne przestrzenie; w jednej chwili zapełnia je swą myślą. Jest większy niż wszystkie wieki; goni poza nie, i sama wieczność nie zdoła, zda się, zużyć jego istnienia. Żywi się jakimś niewidzialnym pokarmem, gardząc wszystkim innym.

Widziano zwierzęta, oddające życie w obronie swych dzieci. Człowiek wyżej idzie. Umiera on za prawdę, której nie widzi, za cnotę, która mu nic nie daje, raniąc go tylko nieraz boleśnią; umiera za honor.

I nie tylko swe życie oddaje, ale dla prawdy poświęca nawet najbardziej ukochaną żonę; dla honoru poświęca własne swe dzieci.

Wszystko widzialne — poświęca niewidzialnemu. I przez to dowodzi, że jest nie tylko synem widzialnej ziemi, ale i królem jej i panem, skoro pod swe stopy rzuca co ziemskie, co przemijające, a sięga wiekuistego, nieśkończonego.

Oto dwa pierwiastki, tworzące człowieka. Przez jeden z nich łączy w swem ciele wszystkie niższe królestwa natury. Wszystko jest w nim zebrane, zharmonizo-

¹⁾ Eccles. XII, 7. — ²⁾ Gen. II, 7.

wane, tak że pod tym względem jest on niejako streszczeniem wszelkiego materialnego stworzenia. Przez drugi łączy w swej duszy to, co stanowi chwałę wyższych hierarchij stworzeń: myśl i miłość. Gdzie jest inna podobna mu istota? Jeżeli niżej spojrzę, widzę tylko czystą materję; jeżeli ponad niego wzrok wzniosę, widzę tylko czystego ducha. On jest węzłem. Dwa światy są w nim. Dlaczego? Wkrótce o tem mówić będziemy; ale tu można już zapytać, czy dlatego, by pograżył świat wyższy w niższym? by zagrzebał myśl, wolę, miłość w instynkcie i zwierzęcości. Czy nie dlatego raczej, by podniósł aż do Boga świat niższy w nim będący?

Tak, i to jest prawdziwa wielkość człowieka. Gdy się modlić będzie, wszystkie w nim zawarte światy będą się modlić; gdy będzie wielbić Boga, te światy w nim i z nim cześć oddawać będą. Wzniesie się nad wszystkie rzeczy widzialne aż do Boga, i całe stworzenie z nim się wzniesie. Człowiek będzie nie tylko królem stworzenia, ale i jego kapłanem.

IV.

„I Bóg rzekł: Uczyńmy człowieka na wyobrazenie i na podobieństwo... I stworzył Bóg człowieka na wyobrazenie swoje... Mężczyznę i białogłową stworzył je... i rzekł: Roście i mnożcie się“¹⁾.

Jakież to nadzwyczajne słowa! Wiedzieliśmy już, że człowiek uczyniony został na wyobrazenie Boga.

„Jest to Trójca stworzona, mówi Bossuet, uczyniona na podobieństwo Trójcy niestworzonej.“

Uczyńmy człowieka na wyobrazenie nasze. Dajmy mu moc, mówi Ojciec; dajmy mu rozum, mówi Syn; dajmy mu miłość, mówi Duch Święty. A wszystkie trzy Osoby razem: Uczyńmy go na wyobrazenie nasze; dajmy mu moc, rozum, miłość.

Nie wrócimy do tych dostatecznie już omówionych rzeczy; inny nas teraz widok pociągnie, inne, również cudowne wyobrazenie Trójcy Przenajświętszej.

W Bogu trzy dopiero co wymienione władze, Moc, Rozum i Miłość, są nie tylko połączone, stopione razem w jedności Bożej substancji. Gdyby tylko tak było, wy-

¹⁾ Gen. I, 26, 27, 28.

starczyłby ich obraz odcisnięty na duszy człowieka. Ale one tworzą trzy wyraźne Osoby. Oto dlaczego, stworzywszy człowieka, stopiwszy w jedno moc, rozum i miłość, Bóg rzekł: *Niedobrze być człowiekowi samemu*¹⁾. Podzieliłmy go na trzy osoby. *I stworzył Bóg człowieka na wyobrażenie swoje. Mężczyznę i białogłową stworzył je... I rzekł: Roście i mnożcie się.* To jest. Bądźcie troje: mąż, niewiasta i dziecko; jak w niebie trzy Osoby stanowią jedno, tak niech będzie i na ziemi w łonie ludzkiej trójcy. Niech będą jednym, jak My jednym jesteśmy!

Pismo święte mówi dalej: *Przypuścił tedy Pan Bóg twardy sen na Adama*²⁾. Nie był to zwykły sen, pochodzący z wyczerpania natury; był to ów tajemniczy i boski sen, nazywany zachwyceniem, w którym dusza uniesiona ponad siebie i zatopiona w Bogu pozwala niejako drzemać niższymi swym władzom i zamyka oczy, aby lepiej oglądać Boga. Taki był sen Adama. Pograżony w zachwycie widział działającego Boga. A Bóg rękę włożył w bok Adama; potężnie i miłośnie sięgnął tam, gdzie bije serce, i z tego gorejącego ogniska wydobył to, z czego utworzył drugą osobę, różną od Adama a współistotną: niewiastę, jasny obraz męża. Jak Słowo jest chwałą Boga Ojca, tak niewiasta jest chwałą człowieka. I także w kontemplacji tego żywego swego obrazu człowiek wydaje ostatni wyraz swej miłości, dziecko.

Bezbożność może szydzić z tych słów: Bóg wyjął jedno żebro z niego... *I zbudował Pan Bóg z żebra białogłową*³⁾. Według nas są one poprostu wzniosłe. Gdy chodziło o utworzenie ciała człowieka, Bóg wziął trochę ziemi i urobił ją w swoich najświętszych rękach. O, jak łatwo pojąć, że teraz potrzeba było czegoś gorętszego, żywszego, czulszego, bardziej ludzkiego. Panie, dobrze uczyniłeś, sięgając aż tam, do serca człowieka, do przybytku miłości, aby stamtąd wydobyć żywioł, który Ci posłuży do utworzenia jego towarzyszkę! Przez to człowiek podobniejszym Tobie będzie, gdyż stanie się początkiem wszystkiego na ziemi, a towarzyszką jego, będąc jego połową, stanie mu się tem droższą.

Adam widział to wszystko w swoim zachwyceniu. Myśl jego pomału zstąpiła od nieskończonej, stwarzającej Istoty do uroczej istoty stworzonej. Odnajdywał w niej siebie piękniejszego i śpiewał: *To teraz kość z kości mojej*

¹⁾ Gen. II, 18. — ²⁾ Gen. II, 21. — ³⁾ Gen. II, 21, 22.

*i ciało z ciała mego; tę będę zwać Mężyną, bo z męża wzięta jest. Przełoż opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej i będą dwoje w jednym cieles*¹⁾.

Człowiek był jeden; Bóg wziął z niego część, by utworzyć dwoje; następnie z dwojga stwarza trzecie, a tych troje, złączonych w rodzinie, tworzy znowu tylko jedno. „A trzej są, mówi św. Jan, *którzy świadczą na niebie: Ojciec, Słowo i Duch Święty: a ci trzej jedno są*”²⁾. Tak samo troje jest dających świadectwo na ziemi: ojciec, matka, dziecko, a ci troje tworzą jedno.

Ileż pięknych rzeczy byłoby do powiedzenia o tych trzech osobach, o ich jedności, ich odrębności, o tej harmonii ustopniowanej na wyobrażenie Trójcy Przenajświętszej! Stąd to właśnie pochodzą wszystkie święte prawa małżeństwa: jedność, nierozdzielność, wierność. „Czy nie czytaliście, mówi Pan Jezus, *iż Ten, który stworzył człowieka od początku, mężczyznę i niewiastę stworzył je, i rzekł: Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i przyłączy się ku żonie swej i będą dwoje w jednym cieles? A tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Co tedy Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza*”³⁾. Tem powiedzeniem Chrystus, tłumacz prawa wiekuistego, potępia zarazem rozwód i wielożenstwo i przywraca małżeństwu godność i pewność; wszędzie bowiem, gdzie panuje wielożenstwo, niewiasta staje się ofiarą męża; wszędzie, gdzie panuje rozwód, dzieci stają się ofiarami rodziców.

Stąd też wypływa święta bezinteresowność małżeństwa, jego podniosłość i miłość i religijna cześć, jaką mąż winien otaczać swoją towarzyszkę, skoro ta wzniosła i słodka istota stworzona została dla niego, ale tak jak on, przez też same słowa, a wydobyta została nie z jego stóp jako istota niższa, ale z jego serca jako równa mu towarzysza.

I stąd przedewszystkiem wypływa boski cel małżeństwa, rozpoczęcie na ziemi związku tak świętego, aby dla swej świętości godnym był trwać dalej w niebie.

Oto, co rozpatrywać później będziemy. Tymczasem zapytajmy się umysłów poważnych, ludzi dojrzałych, czy ta doktryna nie jest nowym dowodem prawdziwości opowiadania Mojżeszowego? doktryna tak wielka i głęboka,

¹⁾ Gen. II, 23, 24. — ²⁾ Św. Jan, list I, roz. V, 7. — ³⁾ Mat., XIX, 4—6.

wypisana w krótkich słowach na początku najstarszej ze wszystkich ksiąg, powtarzana przez cztery tysiące lat, nie słabnąca, nie niknąca, ta sama zawsze, pomimo wszelkich przewrotów, a której mądrość, pełność, jasność, prostota, siła, czystość, żywotność, wśród ogólnej głębokiej nieświadomości wzbudzają zarazem podziw i uwielbienie.

V.

Przejdźmy do jednego z największych zarzutów, które nauka stawia opowiadaniu Mojżeszowemu.

Biblia uczy, że wszyscy ludzie pochodzą od jednego *jedynego* stadła, od jednego mężczyzny i jednej niewiasty, i że od nich pochodzą wszystkie ludy, jakkolwiek jest barwa ich skóry lub kształt ich czaszki.

Zdaje nam się, że współczesna nauka nie powinna w tym względzie stawiać żadnych zarzutów, bo cóż to ona dziś utrzymuje, na co zużywa całą swoją działalność? Na wykazanie, że wszyscy ludzie pochodzą już nie od jednej pary ludzkiej, ale od jednego tworu, od jednej komórki, od jednego jajka wylęgłego na słońcu. A nie tylko wszyscy ludzie, ale wszystkie zwierzęta, wszystkie rośliny, wszystko narodziło się z jednej i z tej samej komórki. Gdzież więc leży trudność, by wszyscy ludzie pochodzili od jednej tylko pary? A jeżeli różność barwy skóry i kształtu czaszki jest uważana jako przeszkoda, by wszyscy ludzie mieli jednego tylko ojca i jedną matkę, to tem bardziej jakżeż mogą pochodzić z jednej komórki, i co się stanie z doktryną o *nieskończonej zmienności* gatunków? Ale tegoczesna nauka nie jest tak bezinteresowna, tak bezstronna, za jakaby uchodzić pragnęła. Skoro idzie o wykazanie, że wszyscy ludzie pochodzą od Adama i Ewy, jak wielkiem jej się to wydaje niepodobieństwem, ale jak łatwo jej jest wykazać, że wszyscy pochodzą z jednej komórki! Przyjmuje przemianę gatunków lub ją odrzuca, według potrzeby swej namiętnej nawiąski ku religii.

Ale przystąpmy do prawdziwych dowodów jedności rodzaju i wyłożmy je poprostu i w krótkości.

1. Mieszańcem, metysem, nazywa się, tak w porządku roślinnym jak zwierzęcym, wszelka istota, zawdzięczająca swoje narodzenie dwom istotom, należącym do dwóch odmiennych ras czy gatunków. Prawem powszechnem

jest, że metys jest bezpłodny. Wszelka istota, roślina czy zwierzę, powstała z połączenia dwóch różnych soków czy dwojakiej różnej krwi, nie jest zdolna do dania życia, albo jeżeli da życie, to jedynie istotom, które się już nie rozrodzą. Studja w tej kwestji zostały przeprowadzone przez takich uczonych, jak: Jussieu, Candolle, Geoffroy Saint-Hilaire, Buffon, Cuvier, Flourens, Quatrefages, i to tak ściśle, że już co do tego niema najmniejszej wątpliwości. Gdyby więc na ziemi było kilka ras ludzi, wszelka istota, pochodząca ze związku dwóch takich ras, byłaby niepłodna. A tak nie jest. Z połączenia białego człowieka z murzynką jest mulat, a ten bardzo szybko się rozradza. Z połączenia rasy czarnej z rasą czerwonoskórą są długie pokolenia kreolów, których trwałość i płodność stanowią jeden z najsilniejszych argumentów biologicznych na korzyść jedności rodzaju ludzkiego. Spójrzmy na dzieci urodzone z Europejczyków i krajowców wysp Filipińskich: piękniejsze są niż dzieci ras niemieszanych. Jednem słowem, na całej powierzchni ziemi związek mężczyzny i niewiasty otrzymuje za Bożem błogosławieństwem wieki trwającą siłę płodności, i to jakkolwiek byłaby barwa ich skóry, kształt ich czaszki, różność typu. Dowód to niezaprzeczony jedności rodzaju ludzkiego. Jest to opinia Buffona¹⁾, Cuviera²⁾, Flourensa³⁾, Humboldta⁴⁾, Blumenbacha⁵⁾, Wagnera⁶⁾, Burdacha⁷⁾, Pricharda⁸⁾, Campera⁹⁾, Wisemana¹⁰⁾. Nawet Burmeister to przyznaje: „Wszystkie narody na ziemi należą do jednego i tego samego gatunku w znaczeniu przyrodniczym i historycznym, a różnice między nimi mogą być uważane jako odmiany”¹¹⁾.

2. Do tego pierwszego dowodu, opartego na płodnym związku wszystkich ras ludzkich, można dodać drugi: tożsamość budowy anatomicznej człowieka we wszystkich strefach. Wszędzie taka sama przeciętnie długość życia, taka sama temperatura ciała, taka sama szybkość pulsu, taki sam okres ciąży, takie same epoki wyrzynania się zę-

¹⁾ Buffon, Discours sur les variétés de l'espèce humaine. —

²⁾ Cuvier, Le règne animal. — ³⁾ Flourens, Histoire des travaux de Cuvier. — ⁴⁾ Humboldt, Cosmos. — ⁵⁾ Blumenbach, De generis humani Varietate nativa. — ⁶⁾ Wagner, Geschichte der Umwelt. — ⁷⁾ Burdach, Anthropologie. — ⁸⁾ Prichard, Naturgeschichte des Menschengeschlechts i t. d. — ⁹⁾ Camper, Dissertation sur les différences que présentent les traits du visage chez les hommes de différents pays. — ¹⁰⁾ Wiseman, Discours sur les rapports de la religion et de la science. — ¹¹⁾ Burmeister, Geschichte der Schoepfung.

bów¹⁾. Wszyscy ludzie mają podobny wzrost średni, podstawę prostą, opartą na budowie stopy²⁾, tę samą przedziwną doskonałość ręki, tego rodzaju kompasu, każącego przypuszczać działanie nieskończenie wielkiego geometry, jak się wyraża Blainville³⁾.

3. Do tożsamości anatomicznej budowy trzeba dodać dziwniejszą jeszcze tożsamość duszy. Wszędzie te same władze umysłowe i te same namiętności, wszędzie rozum, wolna wola, sumienie, pojęcie złego i dobrego. Można bezwątpienia zaćmić te władze; ale wskażmy lud choćby najbardziej zezwierzęcony, u którego nie byłoby pojęcia zła i dobra, choć często mylnego w szczegółach. A także dar słowa nie istniejący gdzie indziej. Doświadczenie wykazuje, że różnice, które się znachodzą we władzach duszy, są przypadkowe, wynikają z przyczyn zewnętrznych. Pod względem intelektualnym Europejczyk może stać się niższy od murzyna, ale naodwrot, murzyn może się wznieść do równego poziomu umysłowego z Europejczykiem.

Wszędzie także ta sama łatwość do złego, jednako-wa trudność do dobrego, to samo upodobanie owocu zakazanego, ta sama skłonność do pychy, do pożądlivosti, do buntu. A przytem ta sama potrzeba Boga, modlitwy, uwielbienia, oddawania czci religijnej prywatnie i publicznie; przynajmniej każdy i najniższy stojący lud można do tego podnieść. Oczywisty to dowód, że wszystkie ludy ziemi należą do jednego rodzaju. „Stwierdzając, mówi Humboldt, jedność rodzaju ludzkiego, głośno odrzucamy klasyfikację ras niższych i wyższych. Są ludy zdolniejsze do przyjęcia moralności, ogłady, uszlachetnienia przez cywilizację, ale niema jednych szlachetniejszych niż drugie.”

4. Skoro wykazana została tożsamość budowy anatomicznej, tożsamość władz intelektualnych, moralnych, religijnych, powinowactwa krwi, można zapytać, jakie pozostają zarzuty? Dwa: barwa skóry i kształt czaszki.

Wszyscy ludzie nie mają skóry tego samego koloru. Są biali (Europejczycy); brunatni (Malajczycy); żółci (Mongolowie), czerwoni (Indjanie amerykańscy); czarni (Etiopczycy). Czyż jednak różnice te są tak ważne? Skoro człowiek ma tę samą budowę anatomiczną, to samo

¹⁾ Schubert, Geschichte der Natur. — ²⁾ Burmeister, Geologische Bilder. — ³⁾ Gratiolet, De l'homme.

życie, taką samą duszę, czyż istotnie dzielić się może na odrębne rodzaje z powodu inaczej zabarwionej skóry? Czy wśród rasy europejskiej nie trafiają się ludzie o cerze żółtej lub oliwkowej, choć ani jednej kropli obcej krwi w nich niema? Gdy Europejczyk przeniesie się do Egiptu, do Abisynji, skóra jego zmienia się wkrótce. Posłuchajmy, co o tem mówią wielcy podróżnicy. „Skoro przybyłem do Ghadames, mówi Richardson, miałem cerę różową; teraz stałem się żółty, jak ludzie, wśród których przebywam.” Langsdorf zastał na Markizach Europejczyków, którzy się stali tak bronzowi, jak krajowcy. „W Egipcie, mówi Pruner, Europejczycy przybierają barwę skóry brunatną; w Abisynji bronzową, a prawie miedzianą w Gwinei.”

Oto, co się dziś przytrafia i to od pierwszych zaraz przesiedlonych pokoleń; cóż mówić o pierwotnych epokach, gdy zewnętrzne żywioły potężniejsze wywierały na człowieka działanie, o jakim nie możemy mieć pojęcia.

Zresztą za dni naszych zbadano, co stanowi różnicę zabarwienia skóry. Pochodzi ona od cząsteczek materji węglowej, gromadzącej się w komórkach błony podskórnej. Czasami owe cząsteczki węglowe układają się jako drobne plamy na ciele Europejczyka, nazywamy to piegami, pieprzykami. U innych ras zajmują one całą skórę; a zatem i w zabarwieniu skóry jest tylko różnica mniejszego ich rozszerzenia się u Europejczyków, a większego u murzynów. Tak u jednych jak u drugich jest to nagromadzenie węgla czy w jednym tylko miejscu, czy też na całej powierzchni. Ale daleko tu jeszcze do zupełnej różnicy rodzaju. „Pieprzyki, mówi Quatrefages, nie są czem innem jak punktami, w których błona podskórna jest tak zabarwiona jak u murzyna”¹⁾.

Przejdźmy teraz do kształtu czaszki. Wszak czaszka wszędzie jest taka sama: dwoje oczu, jeden nos, jedno usta, dwoje uszu, a pod osłoną kostną zwoje mózgu; w czem leży różnica? W tem, co nazywamy kątem twarzowym. W twarzy widzianej z profilu przeciąga się linja od połowy ucha do podstawy nosa; potem drugą od najwydatniejszej części czoła do końca wyższej szczęki; przecięcie tych dwóch linii utworzy kąt. W miarę jak ten kąt jest bardziej otwarty, twarz jaśnieje większą pięknoscia i wykazuje wyższą inteligencję. Głowa murzyna

¹⁾ Quatrefages, Unité de l'espèce humaine.

przedstawia kąt o 75 stopniach, Indjanina o 77, Europejczyka o 80. Grecy w cudnych posągach rozszerzali go aż do 90 stopni. Na całej powierzchni ziemi kąt twarzowy u człowieka waha się między 75 a 80 stopniami. U zwierząt nigdy nie sięga wyżej 65, a bywa też ścieśniony do 30 stopni. Czyż możemy naprawdę uważać za zupełną odrębność rodzaju tę różnicę kąta twarzowego od 75 do 80 stopni? Czyż się u nas nie spotyka ludzi, mało co prawda inteligentnych, ale należących do tej co i my rasy, których kąt twarzowy ma tylko 75 stopni jak u murzyna? i czyż znowu niema innych bardzo inteligentnych, których kąt ów nie dosięga 80 stopni? Czyż zresztą kąt twarzowy jest zupełnie pewną miarą inteligencji? Według Wagnera, czaszka Dupuytrena pod względem rozwoju zajmuje 194 miejsce wśród 900, które ten uczony zbadał. W którym rzędzie umieszczonoby czaszkę Sokratesa?

Już potrochu zarzucają ów podział ludzkości na odrębne rodzaje. Cuvier uznawał ich trzy; Retzius cztery; Blumenbach pięć; Prichard siedem; Bory de Saint-Vincent piętnaście; Morton dwadzieścia dwa. Przeciwnie Jan Muller uznaje już tylko jedną rasę z niezliczonymi odmianami. Takie jest zdanie Herdera: „Niema ani czterech, ani pięciu ras, ani wogóle odrębnych zupełnie odmian ludzi. Barwy skóry stapiają się jedne z drugimi, aby tworzyć światłocienie w wielkim obrazie, obejmującym cały świat¹⁾”. A oto słowa Humboldta: „Dopóki trzymano się krańcowych różnic, można było brać rozmaite rasy ludzkie za tyleż odrębnych rodzajów. Ale liczne stopnie pośrednie tak co do barwy skóry jak i co do budowy czaszki, które ostatnimi czasy przy pomocy geografii zostały wykazane, głośno świadczą o jedności rodzaju ludzkiego²⁾”.

5. Pozostaje zarzut różnorodności języków. Gdyby nawet nauce udało się wykazać, że są języki nie dające się sprowadzić do wspólnego typu, to i tak nie byłibyśmy tem zakłopotani. Czyż bowiem Biblia nie uczy, że sam Bóg zniszczył pierwotną jedność mowy u stóp wieży Babel? Ale zresztą nauka daleka jest od takiej konkluzji i tu ustępuje także. Przez długi czas upierała się przy absolutnej różności języków; dziś zaczyna coraz więcej uznawać możliwość jednego pierwotnego języka. Posłuchajmy

¹⁾ Herder, Ideen zur Philosophie der Gesch. der Menschheit. —

²⁾ Humboldt, Cosmos.

Potta, ucznia Hegla: „Studja nad językami nie sprzeciwiają się wcale mniemaniu, że wszystkie narody pochodzą od jednej pary ludzi.” I dalej: „W miarę jak postępuje porównywanie różnych języków, wiele narzeczy, uważanych za zupełnie odosobnione oraz bez związku z innymi, teraz może być wciągniętych do ważniejszych grup, a i liczba tych ostatnich będzie się czasem zmniejszała¹⁾”. Humboldt mówi: „Chociaż niektóre języki wydają się zrazu zupełnie odosobnione i jakiegokolwiek są ich odmiany, mają jednak wszystkie pewne między sobą podobieństwa, a ich powinowactwo tem wyraźniej się ujawni, im dokładniejsza będzie historia filozofii narodów i lingwistyka²⁾”. „Zdaje się, mówi Steinthal, że porównawcza nauka języków potwierdza coraz silniej mniemanie, że wszystkie te języki, mające tyle podobieństw między sobą, pochodzą od jednego macierzystego, którym mówiono w czasach przedhistorycznych³⁾”.

Oto, dokąd doszliśmy. W miarę jak wzrasta prawdziwa nauka, występują coraz silniejsze dowody jedności rodzaju ludzkiego, a wszelkie zarzuty znikają. Jak przy tych poważnych badaniach nędznym wydaje się pewien odłam nauki tegoczesnej! Cóż piękniejszego jak jedność rasy ludzkiej i wypływające stąd powszechne braterstwo. Gdyby Biblia uczyła, że ludzkość powstała z kilku różnych ras, jakżeby z niej szydzono, jakby ją oskarżano, że sprzyja tyranji, że niewolnictwo uprawnia, jakby się wyśmiewano z tych drobnych różnic, pochodzących od barwy skóry lub kształtu czaszki! I wykazywanoby z naciskiem tożsamość budowy anatomicznej, podobieństwo władz umysłowych, moralnych, potrzebę religji, ową nieskończoną płodność, owo wyraźne powinowactwo krwi! Ale Biblia uczy, iż wszyscy pochodzimy od jednego ojca, że jesteśmy braćmi, i to wystarcza, by odrzucono doktrynę tak oczywiście prawdziwą, tak harmonizującą z najgłębszymi naszymi uczuciami, twórczynię i podporę godności osobistej, równości, cywilizacji, tę piękną doktrynę, wykazującą jedność krwi i, co za tem idzie, jedność ducha i miłości. Ale odwróćmy się od tej nauki wstrętnej i bratobójczej, wstydzającej się powinowactwa z murzynem, a z uniesieniem przyjmującej pokrewieństwo z małpą, i zatrzymajmy wzrok na człowieku takim, jak go nam

¹⁾ Pott, Die Ungleichheit der menschlichen Rassen. — ²⁾ Cytowane przez Klaprotha, Asia polyglotta. — ³⁾ Steinthal, Ueber den Ursprung der Sprache, etc.

Biblia ukazuje, gdy wyszedł z rąk Boga: pięknym, młodym, świętym, miłującym swoją towarzyszkę miłością, jakiej już ziemia nie ujrzy nigdy, i dzierżącym z nią panowanie nad naturą dlatego, by wszystko z sobą podnieść do Boga.

VI.

Jakkolwiek wielkie było stworzenie człowieka, był to według zamiarów nieskończonej miłości tylko początek jego; *initium aliquod creaturae*¹⁾). Boga nie zadowalniało, że obsypał Adama wszelkimi darami, że go uczynił najszlachetniejszym ze stworzeń. Chciał jeszcze go wywyższyć, udzielić mu swej boskiej substancji, cudem miłości zaszczerpić na tej naturalnej wielkości wielkość nieskończoną i zakończyć stworzenie człowieka dobrodziejstwem, zaćmiewającym wszystkie inne.

Widzieliśmy naturalne dary człowieka: jego inteligencję, wolną wolę, miłość, niczem niezaćmioną szczęśliwość, po której miała nastąpić szczęśliwość bez końca. Bóg, uczyniwszy tyle, mógł na tem poprzestać. Los ten był dość wielki, by ludzkość cała przez wieki wieków zań dzięki składała.

Ale co wystarczało człowiekowi, nie wystarczało Bogu. Czyżby nie można jeszcze powiększyć tych wszystkich darów: inteligencji, miłości, naturalnej wielkości, królewskiej godności, wypływających bez miary z serca Bożego? Choć umysł człowieka jest jasny i sięga do Boga samego, to tam doszedłszy, cóż widzi? Jedyne zewnętrzną stronę Boga, jeżeli można tak się wyrazić; działanie Jego nazewną, niektóre rysy Jego potęgi, mądrości, dobroci. Dla czegoż mu nie dopomóc, by dalej wzrokiem sięgnął? Wynaleziono teleskop, który słabe, niedołężne oko ludzkie przenosi tam, gdzie w *naturalny sposób* nie mogłoby się dostać. Czyż w skarbach nieskończonej dobroci nie znalazłby się sposób ujęcia inteligencji ludzkiej i przeniesienia jej tam, dokąd o własnych siłach nie mogłaby podążyć? Bóg zna siebie nieskończoną świadomością, a więc widzi rzeczy, których żadna istota stworzona, pozostawiona samej sobie, nie ujrzy nigdy. Czyż nie możnaby wtajemniczyć człowieka w tę najwznioślejszą świadomość tak, żeby przez nienależący mu się dar rozum jego został nie-

jako zaszczerpiiony Bożym rozumem i mógł mieć udział w Jego światłości?

Po drugie, Bóg tak samo miłuje siebie, jak zna siebie. Czy nie byłoby możliwem rozszerzyć, w boski sposób powiększyć serce człowieka, uczynić je zdolnem do odczuwania miłości, jaką Bóg siebie miłuje?

Wreszcie, człowiek przeznaczony jest do szczęścia. Gdy pozostanie wierny Bogu, będzie na zawsze używał świata, który Bóg dla niego stworzył, i wszelkich naturalnych szczęśliwości w nim zawartych. I tu znowu czemuż nie iść dalej? Zamiast tej wielkiej, ale skończonej, ograniczonej szczęśliwości, czemuż mu nie dać udziału w nieskończonem szczęściu samego Boga, w świętych uniesieniach Trójcy Przenajświętszej?

Ażeby zaś człowiek mógł znieść te światła, te uczucia niewspółmierne z jego naturą, czyż nie możnaby go uszlachetnić niejako życiem Boskiem, wlać w niego to życie i dać mu, sposobem przechodzącym wszelkie pojęcie, współudział w samej naturze Boskiej?

Tak, czyż nie możnaby tego uczynić? czy to naprawdę jest niemożliwe? Ale jeżeli tak jest, to skąd wypływa niemożliwość? Czy ze strony Boga? Nie, bezwątpienia nie. Bóg jest miłością nieskończoną, a gdy się raz to słowo wymówi, to obok niego słowo niemożliwość jest bez znaczenia. Skoro człowiek zostaje ojcem, czyż poprzestaje na daniu dziecku tylko najniezbędniejszych rzeczy? Nie; on mu daje wszystko, co posiada: swe nazwisko, swe mienie, swoją cześć, swoją własną istotę; chciałby dać jeszcze więcej; czułby się szczęśliwym, gdyby mógł zatonać, zniknąć w chwale swego syna. Tu znajdujemy pochodzenie i wyjaśnienie życia nadnaturalnego. Wszystko, co Bóg dać może, aż do swej natury, dał nam przez wylew miłości, która raz rozpoczynawszy szafować darami, nie chciała się już zatrzymać.

Jeżeli więc ze strony Boga nie było żadnej trudności do tego wspaniałego wylewu na nas życia nadnaturalnego, to czyż mogła znaleźć się jaka ze strony człowieka? Skądże mogłaby się taka przeszkoda zjawić? Chodziło o powiększenie światła rozumu. Czyż człowiek może być temu przeciwny? Chodziło o powiększenie miłości. Czyż serce ludzkie nie jest jej spragnione? Chodziło o podniesienie, o ubóstwienie niejako jego natury. Czyż to nie wiekuiste pożądanie człowieka? Zawsze będzie on usiłował przywłaszczyć sobie ogień niebieski, ogień genjuszu, boski ogień

¹⁾ Jac. I, 18.

miłości. Szaleństwem byłoby sądzić, że człowiek nie dba o powiększenie, o rozszerzenie, o ubóstwienie władz swoich, że tego nie pragnie!

Żadna ze zdolności, z władz człowieka nie jest z natury zupełna; każda może być powiększona. A od kogoż otrzyma to powiększenie, jeżeli nie od Boga? Ogrodnik szczepi roślinę, by ją uszlachetnić na drugiej podobnej jej roślinie; tylko podobne do siebie krzewy mogą być ze sobą szczepione. Bóg i człowiek mają podobną naturę, i człowiek czuje, że może być przez Boga uszlachetniony. Bóg uprzedził pragnienie człowieka. W chwili gdy miało powstać życie naturalne, życie nadnaturalne je opanowało. Podobnie jak w Chrystusie, w chwili gdy z połączenia duszy z ciałem miała powstać ludzka osoba, Słowo zstąpiło, opanowało ją i podniosło do godności Osoby Boskiej; i człowiek nigdy nie żył życiem tylko naturalnem; przyszedł na świat wśród wspaniałości życia nadnaturalnego.

Poeci w przedziwnych wierszach przedstawiają nam pierwszego człowieka, stojącego pod cudnem nieba sklepieniem; drzewa rzucają nań cień i otaczają go swą wonią, słońce jaśnieje nad jego głową; Adam spogląda wkoło, zda się zapytywać, skąd tyle cudów się wzięło, i nagle pada na kolana, wznosi oczy w górę i ręce składa w niemem dziękczynieniu.

Obraz to próżny, niedokładny, a nawet zgoła nieprawdziwy! Adam narodził się w światłości i miłości; nie potrzebował oczu podnosić, ani pytać się swego rozumu. Bóg był w nim, a on był w Bogu; niewymowne zjednoczenie miłości łączyło go z Bogiem. I wtedy to z serca człowieka wyszedł pierwszy najczystszy akt miłości, najgorętszy, najofiarniejszy, najszlachetniejszy, najpokorniejszy, najpiękniejszy, jaki Bóg usłyszał kiedykolwiek, z wyjątkiem dwóch tylko: aktu Marji Dziewicy bez zmazy w chwili, gdy się narodziła niepokalana, przeznaczona na Matkę Boga, i drugiego niezrównanego, jaki z łona swej boskiej Matki rzuciło Słowo uczynione człowiekiem: *Ecce venio ut faciam, Deus, voluntatem tuam!*

Ale poza temi dwoma aktami nic nie daje pojęcia, czego doznał dopiero co stworzony Adam z umysłem oświeconym Boskim światłem i sercem pałającym ogniem Jego miłości; ani św. Franciszek Salezy, mówiący: „Miarą miłowania Boga jest miłować Go bez miary”; ani św. Teresa, wołająca: „Albo cierpieć, albo umrzeć!” ani św. Katarzyna, jeszcze niemal wyżej sięgająca: „Cierpieć, zawsze

cierpieć, nigdy nie umierać!” ani tylu świętych, słynnych z seraficznych uniesień, nie może się równać z Adamem. Ewa, godna jego towarzysza, przejęta była takim samem uczuciem. I w ten sposób żyli oni w czarownej samotności Raju: Adam, najpiękniejszy ze wszystkich ludzi, mających być jego synami, Ewa, śliczniejsza od wszystkich swych córek¹⁾. Szczęśliwi, gdyby byli zrozumieli prawdziwą wielkość swego przeznaczenia, i gdyby strzegąc swej niewinności, oszczędzili byli sobie i swemu potomstwu tak straszliwych nieszczęść!

¹⁾ Milton, Raj utracony.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Ostatni rys piękności świata.

Takie więc było stworzenie człowieka i świata. Oto jest ów cudownie piękny poemat, którego wiersz każdy starczyłby do pogrążenia w zachwyt. Sam Bóg, dokonawszy go, nie mógł nań bez radości spoglądać, i opis wielkiego dzieła kończy się słowami: „I widział Bóg wszystkie rzeczy, które był uczynił: i były bardzo dobre.“ *Vidit Deus cuncta quae fecerat, et erant valde bona.*

Ale tu mimowoli powstaje w duszy pewna wątpliwość. Czyż Boga radością przejmowało to, cośmy opisywali? Jakto: drzewa, kwiaty, góry, morza, słońca, czyż to dosyć dla Niego? Czy Bóg może mieć upodobanie w aniołach, w duszach, w tych mdłych światełkach rozumu, w tych bladych cieniach miłości? Czyż Nieskończony zadowolni się temi niedołężnymi uwielbieniami, dziękczynieniami, pochwałami? I gdy mówił, że to jest bardzo dobre, czy oko Jego nie dostrzegało poza ograniczoną pięknnością wyższej, prawdziwie Jego godnej piękności?

Wielu teologów to przypuszcza. Stworzenie ukazuje im się odrazu, jeszcze przed upadkiem, oblane boskim światłem Wcielenia. Według nich zstąpienie Słowa Wcielonego w dzieło stworzenia, zstąpienie zgóry przez Boga zarządzone, objaśnia jedynie to dzieło i uzupełnia jedynie jego pięknność, jedność i doskonałość.

Jest to i nasze mniemanie; przekonani jesteśmy, że dopiero z tej wyżyny można objąć w całej wspaniałości przedziwny poemat stworzenia. Spróbujmy to wykazać.

I.

Teologowie, o których wspomnieliśmy, zatrzymują się najpierw nad pierwszą cechą dzieła wyszłego z rąk wielkiego Artysty, a mianowicie nad pięknnością. Pięknność ta

jest niezrównana; jednak i najgenialniejszy poeta i najbardziej entuzjastyczny malarz przyznają, że jest ona ograniczona. Oczywiście może być jeszcze powiększona. Dlaczegoż Bóg nie miałby jej rozszerzyć do ostatecznych granic? Czyż to nie dążenie każdego artysty dać swemu dziełu całą możliwą pięknność? Czyż i sam Bóg, stwarzając światy, urządzając wszystko, nie trzymał się niejako tej reguły i w miarę jak stwarzał, coraz większe piękności następowały po sobie? Najpierw świat minerałów, niezmierny co do ilości, urozmaicony barwami i kształtem. Następnie świat roślinny, dorzucający do pierwszego nowe cuda: soki, wzrost, zapach, owoc. Potem zwierzęta, dające, ruch, życie, śpiew. I nareszcie człowiek, wobec którego błędnie wszystko, bo on przynosi ze sobą trzy najwznioślejsze rzeczy: rozum, wolę i miłość. Ale dlaczego powiedzieliśmy *nareszcie*? Czy to naprawdę jest już ostatnie słowo? Czy nie można iść już dalej? Stwarzając człowieka, Bóg dał w harmonii światów dźwięk rozumny i siebie świadomy; stwarzając aniołów, kazał zabrzmieć nucie czystej miłości; dlaczegoż nie miałby wydać jeszcze piękniejszego tonu, który byłby zupełnie Jego godnym, tonu nieskończonego? Jakto! najwyższy Artysta zatrzymałby się, nie wyczerpawszy swej możności? łatwiej miałby się zadowolnić niż ziemscy artyści?

Zastanówmy się, skąd pochodzi pięknność stworzeń. Nie pochodzi ona z Bożego genjuszu, jeśli się tak wyrazić można, ale płynie z Jego serca. Stworzenia są piękne dlatego, że Bóg jest w nich i o ile Bóg jest w nich. W serji stworzeń jest stopniowanie, pięknność wzrastająca, gdyż za każdym stopniem Bóg dawał coraz więcej; pięknność jest tem większa, im większe jest zjednoczenie z Bogiem. Bóg, według słów św. Grzegorza Wielkiego, dotyka wszystkiego, ale dotyka niejednakowo. *Deus omnia tangit, nec tamen omnia aequaliter tangit*¹⁾. Dotyka istot mniej lub więcej miłośnie. Są dotknięcia, mówi św. Doktor, które dają jedynie byt, bez życia; istoty te opiewają byt Boga. Są dotknięcia, które z istnieniem dają życie, czucie; istoty owe, wyższe od pierwszych, piękniejszym sposobem wielbią Boga, głosząc Jego życie, Jego niewyczerpaną płodność. Są dotknięcia, pełne boskiej wspaniałości, które do bytu, do życia, do czucia dodają myśl, wolę i miłość. Te najdoskonalsze ze wszystkich istot opiewają nieskończoną

¹⁾ In *Ezech.*, Homil. VIII, nr. 16.

miłość. Wreszcie w ich liczbie są takie, które Bóg jeszcze wyżej podnosi, przypuszczając je do swej przyjaźni, do poufałości, do tak cudownej z Nim łączności, że wpadają one w zachwyt, ekstazę. Jeżeli więc Bóg jest tak dobry, dlaczegoż nie posunąłby się jeszcze dalej? Złączywszy się ze swym stworzeniem miłością, zjednoczeniem w zachwycie, w ekstazie, czemużby nie uczynił jednego jeszcze kroku i nie doszedł aż do osobnego połączenia? Czyż Bóg nie może tego uczynić, a skoro może, to dlaczegożby nie uczynił? Jakimże cudem byłoby wtedy dzieło stworzenia, jak prawdziwie stałoby się godnem Boga! Skoro wszystkie stworzenia w człowieku dopiero znajdują mowę, by nią wielbić swojego Stworzyciela, to gdyby ta mowa w Bogu-Człowieku czerpała nieskończoną piękność, jakże przez to stałaby się wzniosłą!

Ale nietylko piękność stworzenia domagać się zdawała Wcielenia jako swego uwieńczenia, jeszcze tego więcej potrzebowała jedność dzieła stworzenia. Widzieliśmy, jak postępował Bóg stwarzając. Na niepojętą i nieograniczoną linię, ciągnącą się od nicości do nieskończoności, rzuca najpierw czyste duchy, później ciała: dwojaką serję istot coraz wyższych i coraz niższych. Potem łączy je obie w jednym, w człowieku, który staje się zatem węzłem obydwóch, środkiem jedności wszechświata. Stajemy pełni zdumienia przed dziełem tak wspinałem a tak prostem! Ale wkrótce budzi się wątpliwość. Czyż naprawdę człowiek jest środkiem jedności wszechświata? czyż to nawet możliwe? Można pojąć, że unosi on ze sobą ku Bogu wszystkie niższe od siebie natury, ale jakże mógłby stanąć pośród aniołów, pośród cherubinów i serafinów, jak zdołałby ich porwać ze sobą ku Bogu? Oczywiście jest to niemożliwe. Musi *Ktoś od niego wyższy* pochwycić jednocześnie coraz to w górę rozwijające się serje istot duchowych i coraz to zniżające się serje istot materialnych. Ale skąd przyjdzie ten wyższy? Przypuśćmy że, aby wszystko doprowadzić do zjednoczenia, spodoba się Słowu zstąpić do niezliczonych seryj istot; gdzież zstąpi? czy stanie wśród któregośkolwiek rzędu duchów? Nie, gdyż w takim razie materia pozostałaby na stronie. Czy w którymkolwiek rzędzie materialnych? Nie, gdyż wtedy czyste duchy nie mogłyby być pochwycone. A zatem gdzież? Tam, gdzie jest węzeł; tam, gdzie duch i materia są złączone. Stając się człowiekiem, obejmie oboje; i niebo i ziemię w jedność

połączy. Jak piękna jest owa harmonja, którą później w szczegółach rozpatrywać będziemy, i jak łatwo pojąć, że zachwyciła ona słodkie i wzniosłe dusze, o których zaraz mówić będziemy!

Jest jeszcze jednak jeden ważniejszy do Wcielenia powód. Naco Bóg stworzył istoty? — Aby je kochać i być od nich kochanym. Całe stworzenie wytrysło jak potok z serca, przepełnionego miłością i pragnącego miłości. Otóż, gdyby światy zaludnione były jedynie istotami skończonemi, ograniczonemi, niezdolnemi kochać Boga tak, jak On na to zasługuje, to nie można pojąć celu całego dzieła. Ale jeżeli ogrom stworzenia obłany zostanie światłością Wcielenia, to wtedy wszystkie rozumne istoty będą wywyższone przez zjednoczenie ze Słowem Wcielonym, a serca ich uderzą z Niem razem w nieskończoną miłości. O, jak cudna harmonja, jaki wzniosły hymn uwielbienia i wdzięczności wzniesie się wówczas ku Niebu! Uznajemy, że wszystko to Słowo Wcielone uczyniło po spełnionej przez człowieka winie; dlaczegoż nie miałyby tego bez tej winy uczynić? Zstąpiło, by wszystko oczyścić, a gdyby świat był zachował pierwotną świeżość niewinności, dlaczegoż nie miałyby Słowo zstąpić, by wszystko podnieść do chwały, do ubóstwienia? Rozum nie znajduje tu żadnych przeszkód, a serce z radością się godzi na tę możliwość. Tak błogo myśleć, że Bóg, stwarzając światy, jednocześnie postanowił dać im całą możliwą piękność, nie odmawiając im żadnego daru, nawet daru nieskończoności!

II.

Wielka liczba teologów, opierając się na tych zasadach, sądzi, że druga Osoba Trójcy Przenajświętszej byłaby się stała człowiekiem, choćby Adam nie był zgrzeszył. Według nich, Wcielenie wynikało z samego faktu stworzenia. Twierdzą oni, że w żaden sposób stworzenie nie miało być dziełem ściśle ograniczonym, niezdolnem Bogu oddać miłości i uwielbienia, jakie Mu się należa; Bóg postanowił z niem się złączyć, aby je godnem siebie uczynić. Upadek i grzech Adama nadały później Wcieleniu cechę potężnego lekarstwa, zastosowanego przeciwko wielkiemu złu; ale to jedynie wprowadziło zmianę co do formy Wcielenia: Wcielenie w boleści zamiast Wcielenia w chwałę; Golgota w miejsce Taboru.

Była to myśl Alberta Wielkiego¹⁾, Ruperta²⁾, Honorjusza z Autun³⁾, Aleksandra z Hales⁴⁾, błogost. Dionizego Kartuza⁵⁾, Duns Szkota i całej wielkiej szkoły, której nadał imię⁶⁾; Suareza⁷⁾, św. Franciszka Salezego⁸⁾, Oliera⁹⁾, O. d'Argentana¹⁰⁾, d'Abelly¹¹⁾ i wielu innych. Posłuchajmy św. Franciszka Salezego. Piękna ta doktryna zbyt dobrze odpowiadała jego miłującemu, szlachetnemu sercu, by jej nie umieścić w swym traktacie o *Miłości Boga*.

„Bóg wiedział przedwiecznie, że może uczynić niezliczoną ilość stworzeń różnej doskonałości i przymiotów, którym będzie się mógł udzielać; a uważając, że wśród rozmaitych rodzajów udzielania się niema doskonalszego nad połączenie się z jakąś stworzoną naturą w taki sposób, żeby natura owa była niejako wszczepiona i zawarta w Bóstwie tak, ażeby z Niem tworzyła jedną osobę, Jego niezmierna dobroć, sama z siebie pragnąca udzielić się, postanowiła to uczynić. A jak przedwieczne jest istotne udzielanie się w Bogu, przez które Ojciec udziela swego całego i niepodzielnego Bóstwa zrodzonemu przez siebie Synowi, a Ojciec i Syn udzielają własne, jedyne Bóstwo pochodzącemu od Nich Duchowi Świętemu, tak by i ta najwyższa słodycz udzielona została doskonale stworzeniu, by ta natura stworzona i Bóstwo, zachowując każde

¹⁾ Alberti Magni, in 3. *Sent. d. 20, a. 4.* „An si homo non peccasset, Filius Dei incarnatus fuisset? Quantum possum opinari, credo quod Filius Dei factus fuisset homo, etiamsi nunquam fuisset peccatum. Credo hoc magis concordare pietati fidei.” — ²⁾ Ruperti. *De Gloria et honore Filii et hominis, lib. XIV. De Gloria sanctissimae Trinitatis, XIII, 20.* — ³⁾ Honorii August. *De Angel. et Homini, cap. II.* — ⁴⁾ Alexandri Halens. *Summa, p. 3. q. 3, n. 13.* „Et si non fuisset natura humana lapsa, adhuc esset convenientia ad Incarnationem.” — ⁵⁾ B. Dionys. Carth., 3, *Sent. d. 1, q. 2.* — ⁶⁾ Duns Scot Com. in lib. 3. *Sent. d. 7, q. 3, et d. 19, q. I.* — ⁷⁾ Suarez. *De Incarnatio, III a pars. quaest. 1, art. 4, disp. 5, s. 2, et passim.* — ⁸⁾ Św. Franciszek Salezy, *Traktat o miłości Boga, ks. II, roz. IV.* — ⁹⁾ *Życie wewnętrzne Najświętszej Dziewicy, I, str. 55.* — ¹⁰⁾ D'Argentana, *Wielkości Jezusa Chrystusa, 5-ta Konferencja, art. 5—10.* O. d'Argentana bardzo dobrze wyjaśnia mnóstwo tekstów Ojców Kościoła, których nadużyto dla wykazania, że gdyby Adam nie był zgrzeszył, Słowo nie byłoby się wcieliło. „Gdy Kościół śpiewa: O szczęśliwa wino, któraś takiego i tak potężnego zasłużyła mieć Odkupiciela! O zapewne potrzebny grzechu Adamowi! — chce przez to wyrazić, że przez grzech Adama mamy Boga Odkupiciela cierpiącego i śmiertelnego; bez tego grzechu mielibyśmy Boga Człowieka nieśmiertelnego i niecierpiącego.” — ¹¹⁾ Abelly, *Medulla Theol. de Incarnat., cap. I, sect. 7.*

z nich swoje właściwości, były jednak ściśle ze sobą związane i tworzyły jedną osobę¹⁾.

Oto pierwsza myśl dzieła stworzenia: taki wylew dóbr i darów, że już przed upadkiem Stwórcy i stworzenie mieli się łączyć w jednej osobie.

Święty biskup dodaje: „Otóż wśród wszystkich stworzeń, które ta najwyższa Wszechmoc wydać mogła, uważała za dobre wybrać święte człowieczeństwo Pana naszego. Potem najwyższa Opatrzność, wybrawszy je do tego szczęścia, postanowiła nie zatrzymywać swej dobroci na jedynej osobie ukochanego Syna, ale rozlać ją na wiele innych stworzeń; a z ogromu nieprzeliczonej ilości rzeczy, jakie mogła wydać, postanowiła stworzyć Aniołów i ludzi, jakby dla towarzystwa tego Syna i uczestniczenia w Jego łaskach i Jego chwale i czczeni i chwaleń Go na wieki²⁾).

„A więc, ciągnie on dalej, wszystko zostało uczynione dla Boga-Człowieka, który dlatego nazwany jest pierwotnym wśród wszelkiego stworzenia. Winną latorośl sady się dla owocu, a zatem owoc jest zgóry najpierw upragniony i pożądany, chociaż liście i kwiaty poprzedzają jego ukazanie się. Tak też i wielki Zbawiciel pierwszym był w myśli Bożej i w przedwiecznym zamiarze, jaki Boska Opatrzność miała, wydając stworzenia; i w widoku tego upragnionego owocu zasadzona została winnica wszechświata i następstwo wielu pokoleń, które nakształt liści i kwiatów miały go poprzedzić jako jego zwiastuny, jako stosowne przygotowanie do wydania tego grona winnego, które święta Oblubienica tak wychwała w Pieśni i tego napoju, który raduje Boga i ludzi³⁾).

W tych przedziwnych słowach odnajdujemy doktrynę wszystkich wielkich świętych, o których wyżej wspominaliśmy. Jest to jedna z najpiękniejszych doktryn, które kiedykolwiek głoszone były, i w samej swej piękności nosi potężną cechę prawdopodobieństwa.

III.

Trzeba jednak strzec się wszelkiej przesady. Nie trzeba brać piękności za konieczność i dlatego, że to jest piękne, mówić: a więc to było nieodzowne. Łatwo się tu

¹⁾ Św. Franc. Salezy. *Traktat o miłości Boga, ks. II, roz. IV.* — ²⁾ Id., *ibid.* — ³⁾ Id., *ibid.*

potknąć, jak o mało nie potknął się Leibnitz, jak upadł Malebranche, ten wzniosły, kapryśny, czarujący umysł. Kapryśny — to prawda, ale jak czarujący i wzniosły! czysta inteligencja, złączona z ciałem, poruszająca się swobodnie i wzlatująca w „tę szczęśliwą sferę napełnioną rzeczywistymi pięknosciami”¹⁾. Zapuszczał firanki u swego okna, gdyż słońce przeszkadzało mu w kontemplacji. Usuwał ze swej biblioteki wszystkich poetów, choć sam był poetą, a nawet historyków i podróżników, gdyż jak mówił, umysł ich obciążony zanadto obrazami i wspomnieniami, nie jest zdolny wzniesć się aż do czystej Prawdy. Zamknięty w półmroku swej pracowni siedział godziny całe bez ruchu z przymkniętymi oczami, z rękoma założonemi na piersiach, błędząc duchem po nieskończonych przestrzeniach. Wielu było unoszonych ekstazą świętą; on wpadał w ekstazę metafizyki. Wierzył jedynie w Boga i w duszę; reszta nie obchodziła go wcale. Czy uznawał on na pewno istnienie ciała? w każdym razie uznawał je tylko jako obrazy Boga, jako kanały Jego działalności, ale kanały tak wąskie, obrazy tak ledwo dostrzegalne, że w rzeczywistości sam Bóg wprost dotyka duszy. „To Bóg, mówił on, oświeca nas tem zewsząd otaczającym nas światłem, On uwesela nas ogrzewającym ogniem, On z nami rozmawia, gdy sądzimy, że rozmawiamy jedni z drugimi”²⁾.

I jak Bóg wprost dotyka duszy, tak znów dusza wprost wznosi się do Boga. Nie widzi ciał samych w sobie, widzi je przez ich wyobrażenia, a ponieważ te wyobrażenia tkwią w Bogu, w Słowie, wszystko więc widzi w Bogu. To była jego filozofja.

Przejęty wielkością i majestatem Boga, doszedł do pytania, jak i dlaczego Bóg stworzył światy? Bóg nieskończony może jedynie działać dla nieskończonej chwały, musi mieć na widoku coś, coby było Jego godnem, jakąś istotę, któraby mogła oddawać Mu cześć, równając się Jego majestatowi. A czemże są stworzenia w porównaniu z Bogiem, jakież uwielbienia mogą Mu oddawać? Uwielbienia ograniczone, nie dostosowane do nieskończoności; gdyż stosunek skończonego do nieskończoności wyraża się przez zero. A zatem dzieło stworzenia było tylko możliwe pod warunkiem Wcielenia; bez Niego świat nie jest godnym Boga.

¹⁾ *Entretiens sur la métaphysique*. I-er Entret. — ²⁾ Malebranche, *Conversations chrétiennes*.

Cały genjusz, którym go Bóg obdarzył, cała piękność stylu, wspaniałość poezji, potęga umysłu, wynurzenia się pełne miłości, namaszczenie religijne, wszystkie zdolności tego niezrównanego rozumu używane były przez lat dwadzieścia na rozwijanie tej tezy. Traktat o *Naturze i Łasce*, w którym ją dokładniej przedstawia, jest rodzajem poematu, ułożonego w strofy i pieśni. Są tam wielkie piękności.

Przytoczmy choć parę strof.

1.

Ponieważ Bóg nie może działać, jak tylko dla swojej chwały, a nie może jej znaleźć gdzie indziej jak w sobie samym, nie mógł przeto mieć innego zamiaru, stwarzając świat, jak założenie swego Kościoła.

2.

Jezus Chrystus, będąc Głową Kościoła, jest początkiem dróg Pańskich. On jest pierworodnym ze wszystkich stworzeń; a choć narodził się wśród ludzi w pełni czasów, On jest przeciw ich wzorem w przedwiecznych zamiarach swego Ojca. Na Jego to obraz wszyscy ludzie zostali utworzeni, tak samo ci, którzy poprzedzili Jego doczesne narodzenie, jak i my. Jednem słowem w Nim to wszystko istnieje, gdyż On tylko sam może sprawić, by dzieło Boga było doskonale godnem swego Sprawcy.

3.

Musi być jakiś stosunek między światem a działaniem, przez które świat został wydany. Otóż działanie, przez które świat został wyprowadzony z nicości, jest działaniem Boga; cena jego jest nieskończona, a świat, jakkolwiek byłby doskonały, nie jest nieskończenie miłujący i nie może oddać Bogu czci Jego godnej. Więc odłączcie Jezusa Chrystusa od reszty stworzeń, a ujrzenie, czy ten, który działa tylko dla swojej chwały i którego mądrość granic nie ma, poweźmie zamiar wydania czegokolwiek nazewnątrz siebie. Ale jeżeli złączycie Jezusa Chrystusa z Jego Kościołem, a Kościół z resztą świata, wzniesiecie wtedy na chwałę Bożą świątynię tak świętą

i wielką, że może się zdziwicie, iż jej fundamenty tak późno założone zostały.

I w dalszym ciągu z tą samą podniosłością, z tą samą świetnością stylu i myśli bada Malebranche początki, rozmiary, piękność zewnętrzną i wewnętrzną owej świątyni. Każdy z tych ustępów jest podobny do owych pięknych stopni z białego marmuru, wiodących do greckich gmachów.

Przytoczmy jeszcze urywek.

4.

Bóg, miłujący się z konieczności swej Istoty i chcący otrzymać nieskończoną chwałę, cześć najdoskonalszą, Jego godną, radzi się swej Mądrości co do wypełnienia swoich pragnień. Ta boska Mądrość przepełniona miłością dla Tego, od którego przedwiecznie, niewymownym sposobem pochodzi, nie dostrzegając nic we wszystkich możebnych stworzeniach, co godnym byłoby majestatu Ojca, sama się ofiaruje, ażeby na Jego cześć ustanowić wieczną religję i jako najwyższy kapłan złożyć mu ofiarę, która przez godność Jego osoby stałaby się zdolną zadowolić Go. Przedstawia Mu nieskończoną ilość planów świątyni, którą chce wznieść na Jego chwałę a jednocześnie i wszystkie możliwe sposoby ich wykonania. Plan największy, najwspanialszy, najślusznieszy, najlepiej dający się pojąć jest ten, którego wszystkie części mają najwięcej związku z Osobą, stanowiącą całą jego świętość i chwałę.

Dostrzec w tem można ogólny plan i główne cechy całości. Znalazło się jednak w tem dziele jedno zbyt techniczne słowo: wyraz *konieczny*, użyty zamiast wyrazu *odpowiedni*. Ale takie jedno wyrażenie, użyte przez umysł taki, jak Malebranche, prowadzi zbyt daleko. Bossuet się zatrzymał i w wymownym liście wykazywał grożącą przepaść¹⁾. Fénelon spróbował swego młodego, ale świetnego już pióra²⁾. Arnauld układał ciężkie swoje dzieła³⁾. Ale

¹⁾ Bossuet, *Listy* CXXXIX, a także LXXX i CV i notaty jego, które dołożył do pracy Fénelona, zbijającej system Malebranche'a. — ²⁾ Fénelon, *Réfutation du système de P. Malebranche*. — ³⁾ *Réflexions philosophiques et théol. sur le traité de la nature et de la grâce*.

naprzekór takim przeciwnikom tłum się zapalał. Mniej czuły na ostateczne wyniki systemu, niż na piękność planu, na świetność stylu Malebranche'a, na ową prawdziwą gorącość duszy równie miłującej, jak szlachetnej i podniosłej, przyklaskiwał mu z zapalem, stanowiącym jedno z najpoetyczniejszych wydarzeń w literaturze XVII wieku. „Malebranche! godny podziwu w życiu, w myśli, w stylu! Ideał zachwycający, w którym złane są harmonijnie wszystkie skarby, jakie posiada moralna natura. Surowość obyczajów, zapal, miłość, prostota, czystość. Któż jest większy, kto wznioślejszy, kto słodszy nad Malebranche'a!” Tak go sądziły tłumy.

Wprawdzie wychodzono właśnie ze sfery rozpaczliwie smutnych, ciemnych i wstrętnych systemów. Posłuchajmy Nicole'a: „Świat cały jest miejscem mąk, gdzie oczyma wiary można dojrzeć jedynie straszliwe skutki sprawiedliwości Bożej, i jeżelibyśmy to chcieli przez jakie podobieństwo przedstawić, wyobraźmy sobie obszerną przestrzeń pełną narzędzi okrucieństwa ludzkiego; po jednej stronie stoją tam kaci, po drugiej rozwścieczeni zbrodniarze. Ale wiara jeszcze straszliwszy widok stawia nam przed oczy, ukazując szatanów rozproszonych po całym świecie; tysiącami sposobami dręczą oni i trapią wszystkich ludzi, pogrążają ich *prawie wszystkich* najpierw w występki, a następnie w śmierć¹⁾.”

Naprzeciw tych ponurych obrazów umieścimy system Malebranche'a, ten harmonijny, wspaniały gmach; ten piękny świat uczyniony dla Jezusa Chrystusa, pełen Jego chwały, oświecony i oblany Jego miłością. Łatwo wtedy zrozumiemy ówczesny zapal. Wydobyto się z ciemnego podziemia, by wyjść na światło — było to wyzwolenie umysłów.

A teraz z całego tego systemu usuńmy jeden wyraz. Zamiast rzec: Było niemożliwym, by Bóg stworzył świat bez Wcielenia Słowa, gdyż świat dałby Mu jedynie chwałę Jego niegodną, powiedzmy, że Bóg, stworzywszy świat bez przymusu, z miłości, zechciał także bez przymusu, z miłości, podnieść go do takiej chwały, żeby go aż złączyć ze sobą w jedność osoby; powiedzmy, że Bóg to już zamierzył przed stworzeniem, że stwarzając ludzi, czynił ich na wyobrażenie Syna Swojego, w którym jedynie ma upodobanie. Idźmy jeszcze dalej i powiedzmy, że nigdy

¹⁾ *De la crainte de Dieu*, ch. V.

nie byłby Bóg stworzył świata, nie mając na myśli Wciele-
lenia. A jeżeli tak mówiąc dodamy, że Bóg działał swo-
bodnie, z wolnej woli, przez popęd serca, będziemy mogli
zachować całą piękność systemu Malebranche'a. Co mó-
wić? Nie przekraczając granic wiary katolickiej, dojrzy-
my dzieło stworzenia w piękniejszych, szerszych, jaśnie-
jszych jeszcze zarysach, niż te, które zakreslił ten wielki
filozof. Będzie to ta sama świątynia, tylko stojący w po-
środku świata Baranek, który według systemu Malebran-
che'a umieszczony tam został z konieczności samej Bo-
skiej natury, tu jest dobrowolnym darem miłującego
serca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Grzech pierworodny. — Fakt.

Gdy się badało tak, jak to uczyniliśmy, ten piękny
poemat stworzenia; gdy się dostrzegało jaśniejącą wszę-
dzie potęgę, mądrość, miłość, harmonję, wspaniałość;
gdy się widziało Stwórcę, dającego bez rachuby swe dary
— to zatrzymując następnie wzrok na człowieku takim,
jaki jest dzisiaj, dziwnego doznaje się zawodu. Jakto!
i to jest król stworzenia, syn nieskończonej Miłości?

Boskim, bezwątpienia, jest poemat stworzenia; har-
monja jego jest przedziwna. Ale rzecz szczególna, są tu
jakieś fałszywe tony! a te fałszywe dźwięki, raniące już
nie ucho, ale rozdzierające duszę, gromadzą się wszystkie
w tym, którego Bóg zdaje się ze szczególniejszem stara-
niem stworzył: w człowieku.

Pierwsza nuta fałszywa — to boleść. Jak wytłuma-
czyć boleść pośród świata stworzonego przez miłość?
Czyż Bóg może dać życie istocie nato, by cierpieła? Czyż
człowiek, ukazujący się na ziemi tylko poto, aby płakać,
otrzymał naprawdę początek z łona nieskończonej szczę-
śliwości? Czyż ten, którego boleść dopiero podnosi i któ-
rego łzy uszlachetniają, jest naprawdę uczyniony na wy-
obrażenie Boga?

Drugą nutą fałszywą jest śmierć. Niedawno widzia-
łem umierającą olśniewająco piękną dziewczeczkę, dziecko
jeszcze prawie, o dziwnie rozwiniętym umyśle, o sercu
pełnem ofiarności. Poco taki kwiat ścinać? Piękność nie
niszczy piękności.

Trzecia nuta fałszywa — to zło. Człowiek ma doń
upodobanie, czasami namiętność. Czy to możliwe? Ta
istota, skłonna do złego, czyniąca dobro jedynie z trudem,
w pocie czoła, miałyby być obrazem świętego i czystego
Boga przedwiecznego?

Cały świat starożytny przeczuwał tu jakąś tajem-
nicę; domyślał się niewyjaśnionego skrzywienia pierwot-

nego planu przez jakąś nieznaną winę: a więc i w myśli starożytnych jedynie wina mogła wytłumaczyć cechę przekleństwa i kary, ciążyącej na człowieku, kary, której ponurość tak dziwną tworzy sprzeczność z pogodną współnością dzieła stworzenia.

Doktryna o pierwotnej winie, snująca się w pamięci ludów, niepewna, niewyraźna, często sprzeczna, dopiero w nauce chrześcijaństwa stanęła w pełnym świetle. Wszystkie zasłony nie zostały jeszcze zdjęte; ale przynajmniej wiemy, że piękny ten ład, który opisaliśmy, ten wzniosły plan, zrodzony z miłości i w miłość obfitujący, zniszczony został winą człowieka.

Przystąpmy do tej kwestji, mającej osobiście w dzisiejszych czasach pierwszorzędą wagę. Czy prąd życia, krążący w ludzkości, jest czysty, czy też został skalany? Czy człowiek rodzi się złym, czy dobrym? Wszystko zależy od przeczącej lub potakującej odpowiedzi. Wszystko: wychowanie, wola, władza, religja zmienia znaczenie w miarę wyrzeczonego *tak* lub *nie*. I dlatego popadliśmy w takie przewroty, że od przeszło stu lat mylnie tę kwestję rozsądza. Tegocześnie społeczeństwo mylną idzie drogą.

I.

Gdy się jest chorym i zasięga się rady lekarza, to ten po pierwszych pytaniach o własną konstytucję chorego zapyta go o jego rodziców, z jakiej choroby umarli, lub jeżeli żyją, jakie dolegliwości odczuwają, jakie cierpienia im dokuczają. A czasem, sięgając do dziadów i pradziadów chorego, zdaje się, chciałby z tych ubiegłych pokoleń poznać, jaka krew w żyłach pacjenta płynie. Znakomity dr. Dupuytren mawiał: „Krew to wielkie zagadnienie!”

I gdyby krew przejmowała tylko choroby ciała, jużby to dziwnem było; coś tajemniczego jest w tej krwi, płynącej w naszych żyłach, którą otrzymaliśmy przenikniętą do pewnego stopnia chorobami i cierpieniami naszych rodziców, i którą przekazujemy naszym dzieciom, przejętą własnymi naszymi dolegliwościami. Ale oto coś bardziej jeszcze tajemniczego i dziwnego. Krew nie tylko nosi w sobie choroby ciała, ale niewymownym sposobem tkwią w niej cierpienia duszy, smutki, dolegliwości, słabości

duszy. Gdy, na przykład matka, nosząc dziecko w swem łonie, dużo łez wylała, jeżeli zamiast nosić w radości i szczęściu nosiła je w smutku, często potem w fizjognomji tego dziecka, w jego naturze można odnaleźć coś z tych bólów matki. I nie jest wcale nieprawdopodobnem mniemanie, że świetne, ale pełne melancholji pokolenie z początku XIX wieku, o zranionem sercu i łzawych oczach, pozostawiające w spuściznie jedynie arcydzieła napiętnowane bezbrzeżnym smutkiem, otrzymało stąd ten charakter, że przychodziło na świat wśród wstrząśnień wielkiej Rewolucji, wśród klęsk i trwogi.

I krew przenika się nie tylko smutkami duszy, ale i błędami i nieładem duszy, jej winami, a także i zasługami i pięknymi czynami duszy. Komuż nie zdarzyło się spotkać dzieci, które od kolebki już okazują straszliwe ku złemu skłonności? a badając to zjawisko zbliska, odkrywa się często przyczynę przedwczesnego zepsucia w ojcu, w matce, w dziadku. I przeciwnie, któż nie widział młodzieńców, w których żyłach krew czysta płynie, krew szlachetna, pełna życia, młodzieńców, którzy już fizjognomją swoją świadczą, że należą do rasy uszlachetnionej cnotą?

Oto dlaczego dawniej, kiedy poważniej zastanawiano się nad życiem niż za naszych dni, w zawieraniem małżeństwie nie szukano jedynie połączenia dwóch osób, tem mniej dwóch posagów — zważano głównie na połączenie krwi. Nim ojciec oddał córkę, wywiadywał się poprzednio starannie, czy w żyłach młodzieńca, pragnącego ją poślubić, płynie krew, którą przynajmniej parę ostatnich pokoleń uszlachetniło cnotą i honorem. Krew bowiem stanowi rasę, krew tworzy rodzinę, i w głęboko pojętem małżeństwie najgłówniejszym posagiem jest dobra krew.

Skoro to jest pewne, zatem patrząc na ludzkość, możemy spytać: Jakaż to krew w niej płynie? I bez długich badań, na pierwszy rzut oka odpowiemy: Krew, płynąca w żyłach ludzkości, jest krwią zepsutą. Bo i gdzież to dąży ludzkość zostawiona samej sobie, ku dobremu, czy ku złemu?

Są w niej, bezwątpienia, porywy ku dobremu, szlachetne wzloty ku cnotie. Człowiek, mimo swego upadku, pozostał wielkim, podobnym do zburzonej świątyni, w ruinach swoich jeszcze przechowującej coś z majestatu Boga, który tam cześć odbierał. Ale dokąd idzie ludzkość, pozostawiona samej sobie, swojej naturalnej skłonności?

Niestety, wszelka wątpliwość tu niemożliwa: dąży ona ku złemu!

Czy to można zrozumieć? Człowiek, który wyszedł z rąk Boga, z serca Bożego, z onego źródła wszelkiej czystości, pozostawiony sobie samemu, swojej naturalnej skłonności, stacza się odrazu ku złemu! Jakież to dziwne.

A fakt to pewny, najzupełniej pewny, poświadczony tysiącrotnie i tysiącami sposobów przez filozofów, lekarzy, ojców rodzin i wszystkich prawdziwych badaczy. Gdyby jednak kto nie był jeszcze dostatecznie przekonany, to powiedzmy mu: „Masz trzydzieści lat, czterdzieści lat; znasz życie. Czyż nigdy nie uczułeś w sobie tej tajemniczej, ale silnej skłonności, która niekiedy pcha człowieka ku złemu?” Spytajmy najlepszej z matek, jednej z tych czystych, miłujących istot, które chrześcijaństwo przygotowuje, czy nie zauważyła, że w jej dzieciątku, czystym jeszcze, które od niej wraz z życiem wziąć mogło jedynie niebiańskie uczucia, nie okazuje się już od kolebki owa tajemnicza skłonność do złego, do buntu, do gniewu, do niesprawiedliwości, do pychy?

Biada rodzicom, biada ojcom i matkom, nieświadomym tych rzeczy lub niemi gardzącym! Krew zepsuta, nie powstrzymywana, nie przemieniana w żyłach ich dzieci, spadnie kiedyś na ich głowy potokiem bólu lub hańby! Biada społeczeństwu, biada rządowi, które przy zakładaniu swych podwalin nie biorą w rachubę doktryny o krwi zepsutej! Sądząc niedorzecznie, że wszystkie dusze są zdrowe, rozwiązują pęta z wszystkich języków, broń dają we wszystkie ręce, znoszą wszelkie tamy i dziwią się następnie, gdy straszne katastrofy niemi miotają. Społeczeństwu grożą wielkie niebezpieczeństwa, ale najgroźniejsze pochodzą nie z zewnątrz; wypływają one z głębin grzechu pierworodnego.

Badajmy dalej; jak lekarz sondujemy ranę. Nietylko krew w naszych żyłach jest zepsuta; pozostawiona sobie, kieruje się ku złemu, ale jest to także krew zbuntowana, zbuntowana przeciwko duszy. Kieruje się ku złemu wbrew duszy i naprzekór duszy. Pojąłby jeszcze można, że dusza, raz ku złemu uwiedziona, pociąga jako władczyni całą naturę za sobą. Ale tak nie jest. Zepsuta natura pierwsza się wzrusza, zła krew najpierw się burzy i rzuca ku złemu bez udziału duszy, wbrew duszy. Rozdźwięk jest tu zupełny; a tak widocznym jest to dziwne zjawisko, tak powszechnem i odwiecznem, że wszyscy od

sześciu tysięcy lat wykazują je, używając do tego niemal jednakowych wyrażań.

Przypomnijmy sobie tę niezrównaną scenę z greckiej tragedji. Ukazuje się niewiasta błada, niespokojna, z oczami bezsennością zmęczonemi. Dość ją ujrzeć, by poznać, że stoczyła dopiero co silną i bolesną walkę. To starożytna Fedra Eurypidesa; posłuchajmy jej skargi:

„Często w długich, bezsennych nocach rozmyślałam nad źródłami występków ludzkich. *Widzimy dobro, a czynimy zło*; znamy cnotę, *a oddajemy się występkom*. Życie posiane jest wielu podwodnemi skałami, ku którym *pociąga nas niebezpieczna skłonność*¹⁾. Jakież to obraz duszy! ale jaki rozdźwięk wyjawia!

Zmieńmy teraz scenę, miejsce, klimat, język. Oto, jak się odzywa Owidjusz, wylewając nieśmiertelne łzy nad nędzami ludzkości: *Video meliora proboque, Deteriora sequor! Widzę dobro i przyklaskuję mu, a jednakowoż czynię zło!* Taka sama to skarga jak Fedry i prawie jednemi wyrażona słowami.

A oto trzeci krzyk bólu, w żaden sposób nie mogący być uważany za echo tamtych. Wydał go człowiek znakomity genjuszem, znakomitszy jeszcze wielkością charakteru i energją woli: apostoł Paweł święty.

„Albowiem tego, co czynię, nie rozumiem: *Quod enim operor, non intelligo*. Gdyż nie czynię tego dobrego, które chcę; *non enim quod volo bonum, hoc ago*. Ale zło, którego nienawidzę, to czynię. *Sed quod odi malum, illud facio*“²⁾. Kończy zaś tym bolesnym jękiem: *Nieszczęsny ja człowiek, któż mię wybawi od tego ciała śmierci? „Infelix ego homo! Quis me liberabit de corpore mortis ejus!”*³⁾.

Oto, jakie jest serce ludzkie, oto natura prawdziwie przedstawiona. Tak; mamy przed sobą dobro, piękno, podniosły ideał cnoty i na jego widok uniesieni bywamy zachwytem: *video meliora, proboque*. Ale choć wzniosłe są uderzenia naszego serca, jakże są one bezsilne! Nie czynimy dobrego, lub jeżeli je spełniamy, to z trudem, z wysiłkiem, w pocie czoła. Potrzeba nam, jak paralitykowi, tysiącznej pomocy ze strony religji, sumienia, społeczeństwa, abyśmy mogli podnieść się choć trochę. A gdy czasami jaki człowiek dojdzie do tego szczytu, na którym

¹⁾ Eurypides, tragedia *Hippolit.* — ²⁾ Św. Paweł do Rzym. VII, 15. — ³⁾ Id. VII, 24.

wszyscy stanąć powinniśmy, to sama cześć, jaką mu oddajemy, dowodzi, jak bezsilni jesteśmy w pełnieniu dobrego.

Podczas, gdy niedołężni podziwiamy promienne szczyty cnoty, tuż obok nas, pod naszymi stopami znajduje się ciemna, haniebną przepaść, która mimo swej ohydy ciągnie nas ku sobie, przyzywa, przynęca, choć nigdy nie może nam zasłonić wzniesłego, niezapomnianego ideału dobra; i tak zachwyceni i uwodzeni, pełni wyrzutów sumienia i pełni radości zstępujemy w nędzę moralną, staczamy się w tę okropną otchłań, gdzie dusza pełna wstydu kosztuje hańbiącego ją szczęścia.

Oto druga cecha krwi, płynącej w naszych żyłach: jest ona nietylko zepsuta, ale i zbuntowana.

Na zakończenie trzeba wykazać trzecią jej cechę, jeszcze smutniejszą. Gdy trucizna do żył się dostanie, a nie zwalcza się jej wcale lub zwalcza słabo, niedostatecznie, to rozejdzie się ona, wciśnie się wszędzie, przegryzie wszystkie organa, i wkrótce niema ratunku. Tak samo będzie z zepsutą krwią człowieka, jeżeli nie użyje religii jako środka przeciwdziałającego.

Jeżeli jaki młodzieniec nie urodził się w rodzinie, która wlewać weń będzie kropla po kropli naukę dobrą, jeżeli tkliwa czujność matki, rozumna surowość ojca nie usuną go od złego, wkrótce popadnie on w najsmutniejszą błędność i na zawsze pozostanie w tej otchłani, jeżeli nie ucieknie się do Boga o pomoc. Napróżno lata przechodzić będą nad jego głową; włosy jego siwizna przyprószy, zmysły jego stępieją, wszystko w nim potrochu zamierać będzie prócz opłakanej jego słabości. Ta, przeciwnie, wzrastać będzie z latami. Gangrena rozszerzy się, u jednych ukryta pod pozorną, powierzchowną moralnością, u drugich niczem niepowściągnięta i jawnie nazewnątrz występująca. Z początku była to tylko skłonność, teraz zmieniła się w namietność, to jest w uczucie tak gwałtowne, że zaledwie oprzeć mu się można.

To samo da się powiedzieć o całych społeczeństwach. Każde społeczeństwo stoczone bywa przez grzech pierwotny. W dniu, kiedy wypędzi ono Boga, religię, sumienie, gangrena się objawia, zarazek nazewnątrz występuje.

To właśnie spotkało cesarstwo Rzymskie. Niszczzone, pożerane przez zło, upadło się służalczą, dzieciobójstwem, hańbą niewiast, mordowaniem ubogich, dopuszczało się występków i zbrodni, które, gdyby nie pojawienie się

chrześcijaństwa, byłyby doprowadziły całe społeczeństwo do ostatecznej zguby.

Chrześcijaństwo bez zaprzeczenia nie mało uzdrowiło ludzkość, przynosząc jej przeciw-truciznę. Ale gangrena pozostała, i dziś nawet po dziewiętnastu wiekach cywilizacji chrześcijańskiej, gdy tylko boskie lekarstwo zostanie usunięte lub sparaliżowane jego działanie, zarazek trujący występuje w sposób przerażający. Weźmy wiek XVIII, szydzący z Boga, z Jezusa Chrystusa, z religii, a oto zaraz następuje rok 93 z gilotyną i terorem. W XIX wieku usiłowania skierowane do wydarcia Boga z duszy ludu francuskiego doprowadziły do Komuny pełnej rozpusty, bluźnierstw i mordów.

Nigdy takich bezceństw nie zdołamy wyjaśnić twierdzeniem, że człowiek ma wolną wolę czynić źle czy dobrze; jest tu jeszcze coś innego: oto krew zepsuta w żyłach ludzkich ku złemu się skłania, a gdy nie jest powstrzymana, to się rzuca w zło.

II.

A teraz zbadajmy główne potrójne poruszenie tej zepsutej krwi: najpierw uderza ona do głowy i przyprowadza człowieka do bezrozumnych uniesień; następnie spływa, jeżeli tak rzecz można, do wnętrza i pogrąża człowieka w ohydnych pożądliwościach; a że w tym podwójnym ruchu, z góry nadół, napotyka Boga, Jego prawo, Jego świętą wolę, wre cała i wybucha straszliwym buntem. Oto potrójne uderzenia upadłego serca ludzkiego, potrójne wrzenie tego, co nazywamy krwią zepsutą.

To wyraźnie mówi św. Jan: *Omne quod est in mundo concupiscentia carnis est, et concupiscentia oculorum et superbia vitae*. Obserwacja filozoficzna i psychologiczna tak samo mówi.

Dowiedzione jest, że rodzimy się z pychą. Wyżej, jeszcze wyżej, coraz wyżej, nigdy się nie zatrzymując — oto głębi naszych pragnień. „Wolałbym być pierwszym w małej wiosce, mawiał Cezar, niż drugim w Rzymie.” Zawsze pierwszym, nigdy drugim, krew zepsuta to sprawa! Bo czyż to sprawiedliwe? czy to nawet możliwe? Sprawiedliwość domaga się, by pierwsze miejsce należało do najcnotliwszego, najzdolniejszego, najstarszego, mającego najwięcej doświadczenia i najwięcej różnych zasług. Ale któż większy jest od nas i godniejszy w oczach pychy?

„Rodzimy się niesprawiedliwymi, mówi Pascal, gdyż każdy do siebie wszystko kieruje. Jest to wbrew wszelkiemu porządkowi. Ktokolwiek nie nienawidzi w sobie tego instynktu, pchającego do wywyższania się ponad wszystkich, jest bardzo zaślepiony, gdyż nic nie jest bardziej przeciwne sprawiedliwości i prawdzie. Fałszem jest, byśmy na to najwyższe miejsce zasługiwali, a dojść doń jest niemożliwie i niesprawiedliwie, skoro wszyscy tego samego żądają. Jest to więc oczywista niesprawiedliwość, a w niej się rodzimy.” Oczywiście, a tak gwałtowna, że przez nią ludzie zatrują sobie życie, burzą społeczeństwo, niekiedy ruiny wokoło siebie gromadzą. Ale co to obchodzi pychę, byle ona stanęła nad wszystkimi!

Gdy krew zepsuta uderza do głowy i popycha człowieka ku dążeniom tak oczywiście bezrozumnym, spływa ona jednocześnie do jego wnętrza, i choć to jest tak hańbiące, pogrąża go w najohydniejszych pożądliwościach. „O czymże to rozmawia młodzież, mówi Bossuet, w tym wieku, gdy skromność zdaje się wstyd przynosi? Czego żałują starcy, opłakujący minione lata? Co, gdyby mogli, pragnęliby oni przywrócić wraz ze swoją młodością, jeżeli nie zmysłowe rozkosze?” Ale jakie rozkosze? „Któż ośmieliłby się o nich mówić lub myśleć, skoro mówić o nich nie można bez wstydu, a myśleć, choćby dla zganienia ich, jest niebezpieczne? I jeszcze raz, któż ośmieli się mówić o tej sromotnej i głębokiej ranie naszej natury, która jest powodem tak strasznego nierządu wśród rodzaju ludzkiego? Biada ziemi, biada ziemi i jeszcze raz biada ziemi, skąd się bez przestanku wydobywa tak gęsty dym, wznoszą się tak czarne opary namiętności, że zasłaniają nam niebo i światłość¹⁾).

A czy człowiek miłuje owe ciemne namiętności? Do szału, do zapamiętania, do stracenia dla nich mienia, zdrowia, czci, do narażania przyszłości swych dzieci; do zapomnienia o wszystkim, wżgardzenia wszystkim, byle je zadowolnić, aż do powiedzenia: Minuta rozkoszy, a potem śmierć choćby na zawsze. O straszliwa przewrotności, o naturo ludzka do tego stopnia spaczona i skierowana w stronę wręcz celowi swemu przeciwną!

Skoro w tym podwójnym ruchu pychy i pożądliwości zepsuta krew napotyka tamę, prawo Boże — zaczyna wręczyć bunt. Horacy wyraził to słynnym słowem: „*Gens*

¹⁾ Bossuet, *Traktat o pożądliwości*, roz. V.

humana ruit per vetitum nefas”. Rzuca się z wściekłością: *ruit*.

Ta podwójna rana upadłego człowieka jest powszechna i wieczysta. Odnaleziono ją nawet u dzikich ludów Oceanji; można ją zauważyć i u najczystszych dusz. Tylko u nich znajduje się ona w stanie upokarzającego instynktu, pokusy, która je czyni czujniejszymi, ale jest także. Ojcowie, matki mogą ją badać w maleńkich swych dzieciach, w kołysce niemal. Złowroga to zapowiedź groźnych pożarów, które ich kiedyś zatrwożą.

III.

Jakkolwiek dziwna jest skłonność naszej natury do złego, krew tak oczywiście zepsuta i jej ruch potrójny, to jednak inna jeszcze tu rzecz bardziej zdumiewa. Wróćmy do wyżej użytego wyrażenia: *wewnętrzny rozdzwiek człowieka*, i zastanówmy się nad niem, gdyż jest ono prawdziwe. Wszystkie istoty są w sobie harmonijne; podziwiać w nich można stosunek uzdolnienia do ich celu, a każda przyczynia się do piękności wszechświata. Jeden jest tylko wyjątek — człowiek. Człowiek jest istotą dysharmonijną.

Do tego wyniku dochodziły jedne po drugich wszystkie genjusze starożytnego świata. Nie mogli zrozumieć dziwnych warunków bytu człowieka na ziemi. „Człowiek, mówi Plinusz, jest jedynym wśród zwierząt, którego natura wydaje nagim na nagą ziemię; od pierwszej chwili skazuje go na łzy i krzyki... Przypatrzcie się tej istocie płaczącej, z nogami i rękami skrępowanymi: to ten, który ma wszystkiemu rozkazywać. Rozpoczyna życie mękami, a to za popełnienie jednej jedynej winy: że się urodził. Tyle niebezpieczeństw, tyle chorób, tyle obaw, tyle trosk i śmierć wzywana tak często, że niema w duszy naszej częstszego życzenia. Natura jeden tylko piękny dar ofiarowała człowiekowi: dar krótkiego życia¹⁾).

Cyceron z niemniejszym smutkiem maluje ciężki byt człowieka na ziemi. „Natura obchodzi się z człowiekiem jak macocha, nie jak matka. Ciało nagie, wątłe i niekształtne; dusza miotana troskami, przygnieciona niepokojem, niechętna do pracy, goniąca za nierządem, a mimo to,

¹⁾ Plin., *Natur. his.*, lib. VIII.

w tych gruzach zagrzebana, odnajduje się jakaś nieznana iskra Boża¹⁾).

Skąd mógł nam się dostać dar takiego życia? Wszyscy starożytni ludzie genialni przypuszczają tu jakieś skrzywienie. Posłuchajmy jeszcze słów Cicerona, które są odbiciem całej starożytności. „Plagi i błędy życia ludzkiego skłoniły dawnych kapłanów i nauczycieli, mających objaśniać boskie tajemnice, do orzeczenia, że rodzimy się w stanie takiej niedoli dla odpokutowania za jakiś wielki występki popełniony w poprzednim życiu; i zdaje mi się, że może oni dostrzegli coś z prawdy w tym względzie: *Aliquid vidisse videantur*”²⁾).

Jeszcze powrócimy do tego zdumiewającego wyrażenia Cicerona. Głębokie badania ruin naszej natury, tak daleko już posunięte przez pogańskich myślicieli, podjęte na nowo zostały z większym jeszcze powodzeniem przez wielkich metafizyków chrześcijańskich: św. Augustyna, św. Tomasza, Bossueta, Pascala, Malebranche'a i innych. Nietylko zrozumieć nie mogli śmierci i bólesci, nie dających się wytłumaczyć pod rządami Boga dobrego; nietylko zaznaczyli jeszcze bardziej niezrozumiałe pod rządami Boga świętego skłonności do złego, a wstręt do dobrego, ale nawiczej ich uderzyło coś skrzywionego w całości, coś źle spojonego; jakaś dysharmonja zupełnie niepojęta wśród ogólnej, powszechnej harmonji. Wynioskowali stąd i dowiedli, że jakaś niezręczna czy występna ręka dotknęła dzieła wielkiego Artysty i zepsuła je. „Są to, mówi Bossuet, jak gdyby szczątki gmachu ongi bardzo wspaniałego i regularnego, teraz wywróconego i leżącego na ziemi, ale zachowującego jeszcze w gruzach ślady dawnej swej wielkości jak i umiejętności architekta, który go zbudował. Skądże się bierze tak dziwne nieustosunkowanie? i skąd się biorą części tak źle dobrane? Czyż trzeba mówić? Czyż te rudery na tak wspaniałych fundamentach niedosyć głośno świadczą, że dzieło to nie jest w całości? Przypatrzcie się temu gmachowi; ujrzyście w nim ślady rąk Boga; ale nie jednakowa całość wkrótce nam pokaże, co grzech przymieszał doń swojego”³⁾).

Pascal pogłębił ten podwójny punkt widzenia. Starał się odnaleźć, co jest dziełem ręki Boga, a „co grzech przymieszał swojego”; i z intuicją geniusza oświeconego wiarą, przenikając do najgłębszych tajników natury ludzkiej, na-

¹⁾ Cicero, *De Republ.*, lib. II. — ²⁾ Cicero, *Fragmentum Hortensii*. — ³⁾ Bossuet, Kazanie I na Zielone Świątki. O śmierci.

писаł te karty nieco smutne, lecz tak prawdziwe i tak podniosłe wymowne. Nic nie uszło jego uwagi: ani sprzeczność tego stanu cierpienia z potrzebą szczęścia, znajdująca się w człowieku, ani dziwniejsza jeszcze sprzeczność, zachodząca między potrzebą prawdy a ciemnościami i błędami, które są nierozłącznym uposażeniem ludzkości: „Bo gdyby człowiek nie był nigdy się zepsuł, cieszyłby się w spokoju prawdą i szczęśliwością; a gdyby był zawsze zepsuty, nie miałby wcale pojęcia ani o prawdzie, ani o szczęśliwości. Ale nieszczęśliwi, tem nieszczęśliwsi, że jest pewna w nas wielkość, mamy pojęcie szczęścia, a dojść do niego nie możemy! Odczuwamy obraz prawdy, a posiadamy jedynie kłamstwo! Niezdolni jesteśmy w równej mierze do zupełnej świadomości jak i do zupełnej nieświadomości: jasnym więc jest, że staliśmy na stopniu doskonałości, z którego na nieszczęście spadliśmy!”

I dalej ta druga sprzeczność między rozumem a namietnościami.

„Wewnętrzna wojna człowieka między rozumem a namietnościami.

„Gdybyż miał rozum bez namietności...

„Gdybyż miał namietności bez rozumu...

„Ale mając jedno i drugie, nie może nie być w ciągłej walce, bo nie może pozostawać w pokoju z jednym, jak tylko, tocząc wojnę z drugim.

„Zawsze jest więc w sobie rozdzielony i spreczny sam ze sobą”¹⁾).

Pascal kolejno dotyka wszystkich sprzeczności człowieka: jego nędzy, jego ciągłej tęsknoty, niechęci spoczynku, bezrozumnych rozrywek, jego ciemności, jego nieświadomości, tej nadaremnej przed samym sobą ucieczki; a przytem jednocześnie jego potrzeby ładu i spokoju, jego porywów ku prawdzie, którą zdaje mu się, że już chwytą, a ona wciąż mu się usuwa. Do głębi przenika człowieka, przekonywa go o jego nicości, o jego sprzeczności, o nierozumianiem jego rozdziewięku. Całość kończy się temi słynnymi słowami: „Jakaż to mara jest człowiek? cóż to za rzecz niesłychana, co za potwór, jaki chaos, jaki zbiór przeciwieństw, jaki dziw! Sędzia wszystkiego, głupi robak ziemny, depozytariusz prawdy, stek błędów i niepewności! chwała i wyrzutek wszechświata! któż zdoła rozplątać to zagmatwanie?”

¹⁾ Pascal, II, 79.

I jeszcze te słowa gorzkie: „Jeżeli się chwalić będzie, poniżę go; jeśli się poniży, wysławiać go będę i zawsze z nim sprzeczać się będę, aż dopóki nie zrozumie, że jest niezrozumiałym potworem!”

IV.

Przystąpmy teraz do jądra kwestji; bo to niedosyć stwierdzić chorobę, trzeba jeszcze poznać jej przyczynę. Skąd pochodzi zło, które tak jawnie jest w świecie? Kto nam dał złe zrównoważoną naturę, słabą od strony dobra, a gwałtownie skłaniającą się ku złemu, w ciągłej z samą sobą rozterce?

Czyż dawcą tego jest Bóg? ależ Boga cechuje przede wszystkim miłość dobra, a nienawiść zła; nie mógł zatem wlać w nas *trudności* ku dobremu, a *łatwości* ku złemu. Prócz tego Bóg jest najwyższą doskonałością. Może bezwątpienia stwarzać istoty różnie ustopniowanej doskonałości i uczynił to, idąc od atomu do gwiazd, od gwiazd do człowieka. Ale czego uczynić nie może, to dzieła sprzecznego, nieharmonijnego, którego części pojedyncze walczyłyby ze sobą. Ale co byłoby najdziwniejsze to, że stworzywszy w harmonji wszystkie istoty, owady, rośliny, ciała niebieskie, jedynie człowieka pozostawiłby w rozdźwięku. To też Pismo Święte mówi: *Fecit Dominus hominem rectum*: Bóg uczynił człowieka prawego¹⁾. I jeżeli zbadamy podania ludów, to przekonamy się, że wszystkie, dochodząc do zamierzchłych, przedhistorycznych czasów, widzą jako punkt świetlany ukazującego się człowieka w stanie niewinności i sprawiedliwości. Tak więc prosta droga prawdy, czy też kręta droga błędu do jednego doprowadza świadectwa: człowiek uczyniony był w prawości.

Jeżeli zło nie pochodzi od Boga, czyż wypływa ono ze społeczeństwa? Tak twierdzono, cały wiek XVIII rozbrzmiewał tem zgubnem zdaniem Roussa: „Człowiek jest dobry, społeczeństwo go znieprawia”. Rousseau nie mógł nie widzieć zła, nie mógł też przypuścić, by Bóg był jego sprawcą. Widząc więc zgangrenowane społeczeństwo, a pozbawionym będąc prawdziwego światła, któreby mu dało wyjaśnienie zła, mówił: „Człowiek rodzi się czystym,

¹⁾ Eccles. VII, 30.

gdyż od Boga pochodzi; ale po pierwszej chwili swego życia wpada w ohydny stek, nazywany społeczeństwem ludzkim, gdzie uczy się jedynie pychy, miłości własnej i pogardy drugich; wpada w środowisko waszych intryg, waszych niesprawiedliwości, waszego zepsucia i tam zrazu zdumiony, oburzony, staje się wkrótce waszą ofiarą i waszym współnikiem, postępuje jak wy i psuje się do szpiku kości”. I dalej: „Człowiek rodzi się dobrym; wasze prawa, wasze instytucje społeczne znieprawiają go. Uciekajcie od nich, chronicie się na wieś, w głąbie lasów; tam jest pierwotna czystość.” — „Jakto? odpowiedział wiek XVIII, uciekać na pustynię? a dlaczego? jeżeli instytucje są złe, zmienimy je; jeżeli społeczeństwo psuje, zniszczmy społeczeństwo.”

Nie będziemy zbijać tej doktryny. Prawdziwem potępieniem złej doktryny to ruiny, które ona stwarza, a nigdy straszniejszych świat nie widział. A zresztą któż to tworzy społeczeństwo? kto mu daje prawa? czy nie człowiek? Człowiek żył pod wszelkimi prawami, pod wszelkimi rządami, we wszelkich środowiskach, wśród różnych form cywilizacji i wszędzie odnajdujemy go takim samym: zepsutym, występny. A więc zmieniajcie społeczeństwo, jak zechcecie; budujcie je na nowo według nowych praw; użyjcie całego doświadczenia, które mogą dać upłynione wieki, a po tygodniu namietności ludzkie wszystko znowu zepsują; zepsuły one monarchję; zepsuły rzeczypospolite; zepsuły wolność; zepsuły władzę; zepsuły cywilizację; żeby mogły, zepsułyby i Boga! Oto, jakie jest serce człowieka! Nie, nie, zepsucie nie leży w prawach, w instytucjach, w formach społeczeństwa, w rzeczach zewnętrznych, lub jeżeli tam jest, to tylko przypadkowo. Ono jest w głębi serca ludzkiego, w tem potrojmym jego biciu, o jakim mówiliśmy: w unoszeniu się pychą, w niskich pożądliwościach i w nieokiełznanem uczuciu buntu i nieposłuszeństwa.

Skoro więc ta choroba nie pochodzi ani od Boga, ani od organizacji społecznej, oczywiście się staje, że pochodzi od człowieka. Ale jakim sposobem? Czy człowiek psuje się indywidualnie, nadużywając swojej woli? Nie; gdyż w takim razie byłyby wyjątki; spotykałyby się jednostki, które zachowałyby pierwotną doskonałość; znachodziłoby się rasy, które nie byłyby upadły, jeno żyły w zakątkach ziemi zachowanych od rozbicia i przechowywałyby krew czystą. Takie mniemanie panowało w XVIII

stuleciu. „Wróćcie do stanu dzikiego; tam znajdzie się czystość.” Udawano się więc w dziewicze lasy Ameryki, badano je. Chateaubriand wiozł stamtąd Atalę... Nie była to bynajmniej czystość.

Wszędzie szukano; przetrząsano wszystkie nieznanedotąd wyspy Oceanji, i cóż tam znaleziono? Wszędzie tę samą naturę, tę samą zepsutą krew w żyłach człowieka, to samo wrzenie pychy, pożądliwości i buntu; i jeżeliby potrzeba nowego dowodu jedności rodzaju ludzkiego, to uderzającą jest i jawną jedność namiętności.

I nietylko niema czystej rasy; ale w każdym człowieku niema nawet chwili, która poprzedziłaby zepsucie. Nawet w maleńkich dzieciach, zaledwie mówić zaczynających, już można dostrzec ruch zepsutej krwi, skłonność ku złemu. Broussais¹⁾ mówi w tym względzie tak samo jak św. Augustyn²⁾, Le Play staje się echem św. Tomasza. „Najprostsza z piastunek narówni z najprzezorniejszą matką może w każdej chwili zauważyć, jak dążenie ku złemu jest w dziecku przeważającym”³⁾.

To znieprawienie u dzieci jest tak wczesne; kto uważnie je śledzi, odnajduje tak blisko kolebki pierwsze jego ukazanie się, że dawni filozofowie, nie mogąc dostrzec pierwszego zarodku, orzekli, że to wrodzone zepsucie musi mieć swe źródło przed narodzeniem człowieka, w jakimś poprzednim życiu, o którym nie mamy wspomnienia; i że jeżeli tu jesteśmy karani i skłaniamy się ku złemu, jest to następstwem i karą win, które popełniliśmy w innym świecie, zanim się na tym urodziliśmy.

Dziś wracają do tej hipotezy; rozpaczliwy to wysiłek, by obejść grzech pierworodny i wytłumaczyć „nałogi, których początek nie może być odszukany w samym dziecku, skoro ono nic jeszcze uczynić nie jest w stanie, ani w rodzicach, boć oni nie są stwórcami, ani w Bogu, z rąk którego żadna ułomność wyjść nie może⁴⁾. Czyż można wyobrazić sobie bardziej oburzającą doktrynę? Gdy zbrodniarz wstępuje do celi więziennej, towarzyszy mu wspomnienie zbrodni, a może i wyrzuty sumienia, które dopomogą mu do zniesienia zadosyćczyniącej kary. Ale przypuśćmy, że w chwili przestępowania progu więziennego jakaś czarodziejska moc pozbawia go pamięci, cóż wtedy znaczy to więzienie, ten chleb czarny, to usunięcie z pośród społec-

zeństwa, ta ciężka, galernicza praca? Wszystko to staje się wstrętne, niemoralne, niegodne. Człowiek zupełnie pamięci pozbawiony jest innym człowiekiem, niema już tożsamości. To też Cycon, powiedziawszy: „Te plagi dały do myślenia, że dlatego tylko rodzimy się w stanie takiej nędzy, by odpokutować za jakąś wielką zbrodnię popełnioną w poprzednim życiu”, dodaje zaraz: „Zdaje się, że co do tego dojrżeli oni cośkolwiek prawdy. *Aliquid vidisse videantur.*” Owo cośkolwiek, jakie dostrzegli, jest, że zepsucie tkwiące w człowieku poprzedza rozbudzenie się jego rozumu, że zaledwie zjawia się w kolebce, a już w nim widzieć można i zepsucie i karę. Oto co widzieli starożytni: *Aliquid vidisse videantur.* Ale nie dojrżeli, że wielka zbrodnia popełniona w poprzednim żywocie nie była spełniona przez każdego człowieka *osobiście*, ale jedynie przez ojca ludzkości. Tego nie wiedział Cycon, ale wiedział Plato, głębszy myśliciel, ciekawie badający tradycje ludzkości. „Natura i zdolności człowieka, mówi on, zostały przemienione i popsute w wodzu ludzkości i to od samego jego narodzenia¹⁾).

V.

Nazwaliśmy zdanie Roussa: „Człowiek rodzi się dobrym, społeczeństwo go znieprawia”, zdaniem zgubnem. Musimy doń powrócić, aby jednocześnie oddać hołd Le Play'owi za jego rozum, przenikliwość, odwagę, a zarazem w przytoczonych poniżej słowach powitać zapowiedź lepszej przyszłości.

Ośmieliwszy się najpierw w ostatnim swem dziele²⁾ zatytułować pierwszy rozdział: *Fałszywe dogmaty 1789 r. źródło naszych rewolucyj*, pisze: „Najcięższym i najniebezpieczniejszym ze wszystkich błędów, które zatruiły wiek XVIII, prawdziwą matką naszych przewrotów jest fałszywa zasada wprowadzona w praktykę przez nowatorów 1789 r., głosząca wrodzoną doskonałość człowieka. Według adeptów tej nowej nauki dziecko z natury ma być skłonne ku dobremu, i wystarczyłoby iść za swymi skłonnościami, aby stać się dobrym i cnotliwym. Społeczeństwo złożone z ludzi „natury” używałoby bez trudu pokoju i szczęścia tych z samych siebie wynikających owoców wszelkiego wolnego społeczeństwa. A więc ludzie przenik-

¹⁾ Broussais, *De la folie*. — ²⁾ Św. Augustyn, *Wyznania*. —

³⁾ *Le programme des unions*. — ⁴⁾ Jan Reynaud, *Ziemia i niebo*.

¹⁾ Plato, *Timaeus*. — ²⁾ Le Play, *Reforma w Europie* i t. d.

nięci tym błędem zło przypisują jedynie instytucjom przymusowym, które od najdawniejszych wieków sprzeciwiają się naturalnym skłonnościom ludzkości i bezustanku je zmieniają."

Le Play dodaje: „Trudno pojąć, że ojcowie nasi roznamiętniali się do tego fałszywego zrozumienia ludzkiej natury, stając w zupełnej sprzeczności z doświadczeniem wszechwiekowym. Najprostsza piastunka jak i najprzezorniejsza matka może w każdej chwili zauważyć, jak *dążenie ku złemu jest w dziecku przeważającym*. Wielcy myśliciele, osobiście studjujący wiek dziecięcy, doszli do tego samego wyniku. Wreszcie wszyscy mistrze, którzy wychowali znakomitych mężów, dokonali tego, powściągając z nieprzerwaną troskliwością występne skłonności swych wychowańców".

A oto niebezpieczeństwa tej fałszywej idei, przedziwnie wykazane przez Le Play'a: „Gdy wbrew rozumowi i oczywistości wrodzona doskonałość uznana jest jako fakt, logika wyprowadza zeń jak z nieczystego źródła kilka fałszywych dogmatów, one to przygotowały rewolucję francuską i doprowadziły Francję do obecnego poniżenia. Gdyby rzeczywiście jednostki rodziły się w stanie doskonałym, dopuszczaliby się zamachu przeciwko naturalnemu porządkowi; krępując ich wolną wolę, gwałciliby sprawiedliwość, tolerując nierówność stanów, i wszędzie, gdzie owe dwa nadużycia byłyby prawem uświęcone, wszyscy ludzie prawego serca, wszyscy dobrzy obywatele mieliby nie tylko prawo, ale obowiązek przeciwko nim powstawać.

Wiara we wrodzoną doskonałość dziecka szybko umniejszała moralne siły naszej rasy. Francja, przodująca Europie aż do 1789 r., straciła dzięki tej doktrynie swoje stanowisko. Fałszywe dogmaty nie przestały zgubnie oddziaływać; paraliżowały wszystkie wysiłki rozumu i w 1871 r. uczyniły Francję najnieszczęśliwszym z narodów."

VI.

Człowiek więc nie rodzi się dobrym; rodzi się zepsutym, skłonny do zła. Stwierdzą to wszyscy prawdziwi obserwatorzy, mówią to samo podania wszystkich ludów. Zakończmy ten rozdział, wybierając z niezliczo-

nych tradycji parę faktów niepojętych choć powszechnych, starodawnych, wieki trwających, a które bez dogmatu katolickiego dałyby się wytłumaczyć jedynie szaleństwem, jeżeliby szaleństwo mogło być powszechnem, ogólnem i wieki trwającym.

1. Wiadomem jest wszędzie, że człowiek jest winny, że skutkiem tego Bóg jest na niego rozgniewany. Stąd wypływa ta bojaźń ludzi na samą myśl o Bogu, stąd te rytualne zadośćuczynienia, których pełno znajdujemy we wszystkich religjach: wciąż ponawiane ofiary zadośćuczynienia, dokonywane zapomocą wody, ognia lub krwi. Ludzkość, czując się winną, nie wiedziała, jakiego ma użyć środka, by przebłagać zagniewanego Niebiosy i powstrzymać kary, których słuszość uznawała.

2. Nietylko jest wiadomem, że człowiek jest winny, ale że ta wina jest w nim od samego początku, że poprzedza ona wszelki jego czyn, wszelką osobistą winę. To też wszędzie oczyszczają dziecię po jego przyjściu na świat. Cóż można dać za pojęcie większej niewinności jak nowonarodzone dzieciątko? Jaka w niem czystość; przynosi z sobą radość matce; niczego jeszcze nie zdradziło, nic nie zbezcześciło! Mimo to musi ono być oczyszczone wodą, czasem ogniem, niekiedy krwią. A uważajmy, że nie chodzi tu o fizyczne oczyszczenie; jest to oczyszczanie religijne, uroczyste, dokonywane przez kapłanów przy nakładaniu rąk, odmawianiu modłów, śpiewie hymnów i wymawianiu pełnych znaczenia słów, stwierdzających zepsucie naszej natury przez jakiś pierwszy grzech. A biada dzieciom, które umierają przed oczyszczeniem! Zamknięte dla nich Pola Elizejskie! Wirgiljusz ukazuje nam je płaczące i jęczące przy wejściu do tych Pól. *Vagitus ingens*. Skądże te łzy, te bolesne skargi, to usunięcie od wiekuistych rozkoszy? Poczemu te religijne oczyszczenia? Któż mógł na całej powierzchni ziemi ustanowić zwyczaje tak dziwne, tak sprzeczne skłonnościom i właściwościom serca, jeżeli nie przekonanie, iż człowiek rodzi się w grzechu?

3. Ale oto coś jeszcze dziwniejszego. Oczyszczeniwsz dziecko, kłatwą obrzuca się matkę; uważa się ją, z powodu porodu, za niegodną obcowania z bogami i z ludźmi. Cóż świętszego jest nad macierzyństwo? Cóż może dać bardziej czystą radość, co napełnić słusznieszą dumą, niż wydanie na świat dziecka? A jednakowoż trzeba i matkę oczyścić; trzeba ją usunąć ze społeczeń-

stwa na dni czterdzieści. Czyż to więc zbrodnia stać się matką? Powiększa jeszcze zdumienie to, że macierzyństwo jest ogólnie czcią otaczane; niema nad nie wspanialszej korony. Przyznajmy, że poza dogmatem katolickim takie zwyczaje powszechne, ciągłe, wieki trwające, są zupełnie niezrozumiałe.

4. Jeszcze bardziej niezrozumiałem jest, co następuje: „Powszechne uczucie, będące samem jądrem skromności, zawsze z dziełem ciała łączyło tajemnicze pojęcie zmaży. Uczucie to nie dałoby się wytłumaczyć, gdyby się nie wiązało z mglistym wspomnieniem pierwotnego zepsucia¹⁾”. Do tego to uczucia dołącza się niewytłumaczony obrządek obrzezania, praktykowany u tylu narodów starożytnych, a w ostatnich wiekach odnaleziony przez podróżników na archipelagu oceanu Spokojnego, w Meksyku i Ameryce Północnej.

5. Cóż jeszcze dodać, by zdumienie do najwyższego stopnia doprowadzić? Nietylko ludzkość wie, że jesteśmy winni, że nasi ojcowie w nieprawości nam dali życie, że nasze matki poczęły nas w grzechu, nietylko wie, że grzech z pokolenia na pokolenie przechodzi, ale wie także, że ojciec z krwią swoją daje dziecku zmazę pierworodną. Wie, że grzech psuje naturę, zanim skala osobę, że jest on we krwi, że z krwią się przenosi, że krew jest zepsuta, że zatem powinna być wylana, wzgardzona, wyrzucona z żył człowieka, gdzie niegodną jest płynąć, gdzie jest w ciągłej bezczęści, gdzie Bóg z obrzydzeniem ją widzi. Czyni więc ludzkość, co uczyniłby Bóg, gdyby Jego dobroć nie powstrzymała Jego sprawiedliwości — rozlewa tę krew w nadziei, że tem Boga ułagodzi, wierząc nawet, że wylana krew będzie mogła stać się narzędziem oczyszczającym. To też wszędzie ją rozlewają. Bossuet o tem napisał: *Krwawe ofiary i krew wszędzie używana*.

Oto są fakta starodawne, powszechne, nie dające się odeprzeć. Niechże nam kto teraz wytłumaczy te fakta, te podania! Trafiają się czasem chorzy na imaginację. Czyż cały ród ludzki stałby się winnym przez imaginację? i jak mógł tę niewytłumaczoną dziwną winę złożyć na swoich przodków? Zazwyczaj czci się pamięć ojca swego, aureolą świętości otacza się głowę swej matki, chętnie się myśli o przodkach, ginących nietylko w pomroce czasu, ale przedewszystkiem obłanych czcią bez

żadnej skazy. Wszystkie narody w ten sposób postępują względem swych założycieli; wyjątek stanowią pierwsi rodzice ludzkości. Tych z czci odarto.

I zauważmy, że żadne podanie, żadna religja nie oskarża Boga; a to przecież jest rzeczą zwykłą; chętnie na Boga zwała się wszelkie nieszczęście. Tu nie. Wszędzie głoszą, że Bóg był dobry, wspaniałomyślny, szczodry. Nasi pierwsi rodzice przez swoją słabość stracili nas z tronu w przepaść cierpień. Wszystko to jest niezrozumiałe poza nauką o grzechu pierworodnym.

Przystąpmy więc do tej wielkiej doktryny, a dowiedziawszy się, czym jest grzech pierworodny jako fakt uznany przez fizjologję, psychologję, medycynę, historję, zobaczmy, czym on jest jako dogmat głoszony przez Kościół katolicki.

¹⁾ Gerbet, Dogme gén.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Grzech pierworodny jako dogmat.

Najpierw podajmy dokładną formułę katolickiego dogmatu.

Kościół uczy, że pierwszy ojciec rodzaju ludzkiego, przestąpiwszy zakaz Boga, upadł z wysokiego stanu sprawiedliwości i świętości, w jakim został stworzony, i z powodu uczynionej Bogu tą winą zniewagi zasłużył na Jego gniew i podległ śmierci, którą mu Bóg był zagroził¹⁾.

Kościół dodaje, że to przestępstwo nietylko Adamowi szkodę przyniosło, ale i całej jego rasie; że utracił najpierw dla siebie, a w następstwie i dla nas dary nadprzyrodzone, któremi był obsypany, i że splamiony swoim nieposłuszeństwem przekazał dzieciom nietylko cierpienia i śmierć czyli karę za grzech, ale i sam grzech, który jest śmiercią duszy²⁾.

Nakoniec Kościół uczy, że grzech tak przekazany jest nieodłączny i właściwy każdemu człowiekowi, dopóki nie zostanie zgładzony przez zastosowanie zasług Jezusa Chrystusa³⁾.

¹⁾ Concil. Trident., sess. V, can. I. „Si quis non confitetur primum hominem Adam, cum mandatum Dei in paradiso fuisset transgressus, statim sanctitatem et iustitiam in qua constitutus fuerat, amisisse, incurrisseque per offensam praevaricationis huiusmodi iram et indignationem Dei, atque ideo mortem, quam antea illi comminatus fuerat Deus et cum morte captivitatem sub ejus potestate qui mortis deinde habuit imperium, hoc est diaboli, totumque Adam per illam praevaricationis offensam, secundum corpus et animam in deterius commutatum fuisse, anathema sit.”

²⁾ Concil. Trident., sess. V, can. II. „Si quis Adae praevaricationem sibi soli, et non ejus propagini asserit nocuisse, et acceptam a Deo sanctitatem et iustitiam quam perdidit, sibi soli et non nobis etiam perdidisse, aut inquinatum illum per inobedientiae peccatum, mortem et poenas corporis tantum in omne genus humanum transfudisse, non autem peccatum, quod est mors animae; anathema sit.”

³⁾ Concil. Trident., sess. V, can. III. „Si quis hoc Adae peccatum, quod origine unum est, et propagatione, non imitatione, trans-

Taki jest dogmat katolicki sformułowany przez sobór Trydencki. Rozpatrując go nie w świeckiej przeróbce, bez owych śmiesznych lub wstrętnych naleciałości, jakiegoś lekkomyślność, nieświadomość lub zła wiara dorzucają, ale nie odstępując w niczem od nauki Kościoła, którą tu podaliśmy, uczuwa się wielki niepokój. Mimo wolnie zadajemy sobie pytanie, czy niema tu czegoś obrażającego świętości i sprawiedliwości Boga. Ale gdy idąc dalej, rozróżnimy potrochu, co tu należy do wiary a co nie, gdy uważać będziemy, by nie przekreślić ani myśli, ani wyrażen Kościoła, wtedy z tej zawsze ciemnej i tajemniczej głęбини wytrysnie wielkie światło, oświecające najskrytsze zakątki natury ludzkiej. Pascal powiedział: „Bez tej tajemnicy, najniezrozumialszej ze wszystkich, będziemy niezrozumiałymi sami sobie. Węzeł naszego bytu zadzierzga się w tej przepaści tak, że człowiek bardziej niepojęty jest bez tej tajemnicy, niż owa tajemnica niepojęta jest dla człowieka¹⁾.”

I dogmat ten nietylko oświeca najskrytsze zakątki natury ludzkiej, ale w jasnym, niespodziewanem a najpiękniejszym świetle ukazuje nam samą Boską naturę. Tam gdzie jedynie spodziewano się ujrzeć sprawiedliwość i gniew Boga, dostrzega się Jego dobroć, Jego miłość, Jego przezorność w zapobieżeniu winie, w udostępnieniu przebaczenia; a gdy ta wina została popełniona, wtedy nawet w koniecznej za nią karze jaśniej miłość przebacząca i powracająca winnego do czci.

Oto, co teraz mamy studjować. Iść będziemy stopniowo, krok za krokiem. Postaramy się nie ominąć ani jednego ogniwa w łańcuchu, aby czytelnik mógł sobie urobić dokładne pojęcie o tym dogmacie tak, jak go nam Kościół podaje.

I.

Trzeba wyjść z zasady, że było koniecznością, by wszystkie rozumne istoty, a więc i człowiek, wystawione były przed wejściem do nieba na próbę, a zatem musiały być obdarzone od pierwszej chwili istnienia wolną wolą czynienia źle lub dobrze.

fusum omnibus inest unicuique proprium, vel per humanae naturae vires, vel per aliud remedium asserit tolli quam per meritum... J. C..., anathema sit.” — ¹⁾ Pascal, *Myśli*.

Mówią: Poco wolna wola, poco ten dar nieszczęsny, którego człowiek miał tak prędko nadużyć?

Odpowiadamy: A poco istnienie? poco wielkość? poco cnota? poco miłość? Wszak wszystkie te wielkie rzeczy istnieją jedynie dzięki wolnej woli, a blasku nabierają dopiero przez próbę.

A najpierw, czy zupełnie jest pewnem, że Bóg chciałby stworzyć jaką istotę bez wolnej woli? Nie stworzył takiej — to rzecz pewna. Cóż może sprawić, by istota trwała wobec Boga, by wobec tego ogniska nieskończonego żywota mogła ostać się drobna iskierka i nie być przezeń pochłonięta? Tylko wolna wola to sprawia, tylko możliwość powiedzenia: tak lub nie; tylko możność rzuca się z miłością na łono Boga lub ucieczka od Niego o mil tysiące. Wolna wola tworzy osobistość, i dlatego wiem, że jestem istotą wyodrębnioną od Boga, że mogę Mu się opierać.

Jakże nas zresztą Bóg stworzył? Na swoje wyobrażenie. A jaka jest charakterystyczna cecha Boga? To, co teologowie nazywają *asceitas*, to jest wzniosły byt istoty, która sobie samej tylko zawdzięcza istnienie. *Ens a se*. Otóż Bóg chciał, byśmy z wolnej woli zostali tem, czem On jest ze swej natury. Przez tę wolną wolę człowiek stwarza sam siebie; z bezkształtnego gładu, jakim jest jego natura, wydobywa ukryty tam boski posąg; a stworzywszy go wolną wolą, objawia go w próbie.

Wolna wola gromadzi skarby w duszy; próba stawia je przed oczy wszystkich. Ot, ten przechodzień, idący ulicą, jest wielkim człowiekiem, ledwie patrzymy na niego, bo żadna próba nie odkryła nam bogactw, jakie wola nagromadziła w jego duszy. A ten drugi, wydający się wielkim, straci może odrazu w godzinie prób wielkość nieślusnie przywłaszczoną i nisko w oczach naszych upadnie.

A jeżeli tak się rzecz ma z wielkością, z godnością, z siłą duszy, z mocą charakteru, jeżeli to wszystko blasku nabiera dopiero w próbie, to co powiedzieć o cnocie? Czemże byłaby cnota bez wolnej woli? gdzie się ona objawia, jeżeli nie w próbie? Znana jest odpowiedź Nieba na skargę św. Pawła: *Virtus in infirmitate perficitur*¹⁾. Jeżeli więc dążymy do cnoty lub chwały, nie pragniemy szczęścia, ale prosimy raczej o chrzest niedoli. Na jakkolwiek wysokim szczeblu stanie człowiek, zawsze jeszcze czegoś brakować mu będzie, dopóki nieszczęście nie dotknie

¹⁾ Św. Paweł, II Kor. XIII, 9.

jego czoła, nie uwieńczy jego sławy, ukazując, że dusza jego większa jest niż jego dola.

Skoro więc tak jest, człowiek słusznie wystawiony bywa na próbę, aby dobrem użyciem woli stworzył sobie własną wartość, by stał się przez to podobnym do Boga i by podniósł do nieba cień tego czegoś jednego, nieudzielającego się, właściwego tylko Bogu przywileju, jakim jest to, co nazywają *asceitas*. Stworzywszy człowieka własnymi rękami, Bóg przez swą miłość i czułość zatarł niejako ten swój czyn, pozostawiając człowiekowi zaszczyt stworzenia samego siebie. Ale to wszystko jest dopiero wstępem do prawdziwej odpowiedzi.

Dlaczego Bóg nas stworzył? Czy dlatego, byśmy się stali wielkimi? Nie. Czy, abyśmy nabyli cnoty a przez nią i Niebo? Nie, stanowczo nie. A więc dlaczego? Bóg stworzył nas, by nas kochać i byśmy Jego kochali. I do tego potrzebna nam była wolna wola. Czyż można kochać automaty? Czyż kochamy zimne posagi, na które patrzymy, a które nas nie widzą? Czy wolna wola nie jest niezbędna do miłowania? czyż nie jest kwiatem miłości, jej czarem cudnym, upajającym? Możliwość wyrzeczenia: nie — nadaje właśnie tyle uroku sercu, gdy mówi: tak.

Może się kto spyta: Czyż święci w niebie nie miłują? Odpowiemy: Tak; ale miłość, jaką pałają, nie powstała w niebie. Rozżarzali ją tu na ziemi całym szeregiem aktów wolnej woli, dopóki ich Bóg nie powołał do świętych, wiekuistych rozkoszy. Tu, w tej dolinie próby i wolnej woli, wśród ostrych cierni hodujemy kwiat miłości i unosimy go do nieba, gdzie na zawsze zachowa przedziwną woń nadaną mu przez wolną wolę.

Oto niektóre z powodów, dla których Bóg, obsypawszy tyłu darami człowieka, wystawił go na próbę. Tym, którzy mówią: Poco wolna wola? odpowiedzieć trzeba: Poco istnienie? poco wielkość? cnota? zasługa? poco miłość? wszystkie te wielkie rzeczy istnieją jedynie przez wolną wolę, a blasku nabierają wśród próby.

II.

Nasuwa się drugie pytanie: Na czem polegała czy miała polegać owa próba?

Miała polegać na jakiegokolwiek rzeczy, która zniewoliłaby Adama do wyrażenia swojej miłości i do okazania Bogu, że Go nad wszystko przekłada.

W Pieśni nad Pieśniami Oblubieniec mówi: „Zraniłaś serce moje, siostró moja, oblubienico... jednym włosem szyi twojej”. *Vulnerasti cor meum, soror mea, sponsa, in uno crine colli tui*¹⁾).

Tak, są okoliczności, w których wystarczy spojrzenie, słowo, znaki, *in uno crine colli tui*, aby miłością zranić serce, porwać je i zachwycić.

A są też okoliczności, w których dość jednego spojrzenia, by złamać serce, ciężko je rozkrwawić, by między dwiema duszami roztworzyć nieprzebytą przepaść. Z tego widać, że chcąc sądzić o jakiej próbie, nie trzeba zważać na materialną jej stronę.

Bóg udarował Adama. W tej bezmiernej, wspaniałej całości natury, nad którą otrzymał panowanie, był tylko jeden punkt *ciemny*, aby przezeń człowiek upokorzył rozum swój przed Bogiem: jeden punkt *zawarowany*, aby przezeń człowiek poświęcił Bogu swoją wolę i żeby przez tę podwójną ofiarę rozumu i woli okazał, że miłuje Boga ze wszystkiej myśli swojej, z całego serca swego i że Go nad wszystko przekłada.

Oto niezbędna, wiekuista próba. Była ona zastosowana i do aniołów, i nasza dzisiejsza tę samą ma cechę. Chodzi, jak za rajszych czasów, o to, czy Boga nad wszystko kochamy. I my także mamy jeden punkt *ciemny*, to *Credo*, jeden punkt *zawarowany*, to *Dekalog*, abyśmy upokarzając rozum nasz przez wiarę i poddając wolę naszą przez posłuszeństwo, dowiedli Bogu tą podwójną ofiarą, że Go nad wszystko miłujemy. Między Bogiem a człowiekiem nie może być wielu rzeczy, jest tylko: miłość. Mało zależy na sposobie, w jaki mamy ją okazać.

Jeżeli jądro próby pozostaje z konieczności i wiekuście tem samem, inaczej dzieje się z formą. Różni się ona według czasu i okoliczności. Inna była ona dla chrześcijan w XVIII wieku; inna w XVI, inna za czasów męczenników i Nerona. Każdy człowiek rodzi się wśród pewnych warunków właściwych danej epoce i ukrywających pod zmieniającą się formą wiekuistą, ważną próbę. Ponieważ nigdy formy niezmienniej próby nie są takie same, nic dziwnego, że nie możemy dziś zrozumieć tej, która stanowiła próbę Adama, a musiała odpowiadać ówczesnemu stanowi człowieka i świata.

W środku tego ogrodu rozkosznego oddanego Adamowi rośło drzewo, którego nie było wolno dotykać. Dla-

¹⁾ Cant. VI, 9.

czego? Bóg mu tego nie powiedział; była to próba jego rozumu. Miał wierzyć, że co do tego punktu, jak i co do wszystkiego, Bóg lepiej i więcej niż on wiedział. Jakkolwiek owoce tego drzewa wydawać mu się mogły piękne i dobre, nie wolno mu było ich kosztować. To była znowu próba jego woli. I w tej podwójnej ofierze okazywał Bóg, że Go kocha z całego serca, z całej myśli, ze wszystkich sił i że Go nad wszystko przekłada.

Czyż słusznie lekkomyślność światowa twierdzi, że cały porządek świata opieramy na jabłku Adama? Opieramy go na wierze w słowo Boga i na posłuszeństwie Jego świętej woli. W pierwotnych tych czasach Bóg granicę położył panowaniu człowieka. Powiedział doń: „Nie będziesz dotykał tego drzewa”, jak później, gdy rodzina była utworzona, rzekł: „Nie będziesz dotykał żony bliźniego twego”, i jak rzekł, gdy już była własność i społeczeństwo: „Nie będziesz dotykał drzewa twego bliźniego, domu jego, życia jego”. W owej chwili Adam był sam wobec Boga; nie było ani rodziny, ani własności, ani społeczeństwa, ani ludzkości. Nie istniał potężny Dekalog, stanowiący prawa i określający obowiązki. Był tylko Bóg i człowiek, a między Bogiem i człowiekiem wznosiło się tajemnicze drzewo, na którym spoczywał majestat i panowanie Boga. Wznosiło się w pośrodku raju ziemskiego, jak wznosi się sztandar narodowy na granicy państwa. Wszak to także drzewo, odłam drzewa z poczerńiałą szmatą, ale wyobraża ono wolność i panowanie owego państwa, jego narodowość, jego cześć. Kto ze swoich go zdradzi, godzien jest śmierci! Kto obcy go dotknie, naraża się na gniew i zemstę mieszkańców owego kraju!

Oto czym było drzewo w raju ziemskim; było symbolem najwyższej władzy Boga. Powstrzymując się od dotykania go, człowiek spełniał czyn posłuszeństwa, gdyż Bóg mu tego zakazał. Spełniał akt wiary, gdyż Bóg, dając mu zakaz, nie wyjawiał mu powodu; a może nie było innego jak zniewolenie człowieka do posłuszeństwa. Spełniał akt nadziei i miłości, mówiąc sobie, że gdyby tam były skarby piękności, dobroci głębokiej, ukrytej wiedzy, to Bógby mu je dał, skoroby to za stosowne uznał. Jak sztandar narodowy przedstawia niejako całą ojczyznę, tak cała ówczesna religia zawarta była w owym drzewie próby. Był to niby ołtarz, na którym człowiek w miłości ofiarował siebie Bogu, tak go kochającemu.

III.

Czyż zresztą wiemy na pewno, na czym zasadzał się grzech pierworodny? Odczytajmy piękne słowa wielkiego apologety, M-gra Gerbet: „Jeżeli opowiadanie Mojżesza nie mówi nam wszystkiego, co pragnęlibyśmy wiedzieć o wielkim, nieszczęsnym wypadku, który stanowi niejako przedmowę do długiej księgi ludzkich boleści; jeżeli okoliczności najwyraźniej nawet przedstawione zdają się czasami potrzebować wyjaśnień, w cieniu przez świętego historyka pozostawionych, to ta cecha zarazem namacalna i tajemnicza, ta mieszanina ciemności i światła, ten rodzaj światłocienia nadawał się przedziwnie do przedstawienia pierwszej tajemnicy występków. Dobrze i zbawiennie jest dla nas wiedzieć, że natura nasza została zepsuta w samym źródle swoim; ale prawdopodobnie byłoby dla nas bardzo niebezpiecznie ujrzeć jasno dno tej przepaści. Grzech pierworodny, nie wywołany żadną do złego skłonnością, różni się właściwym mu charakterem od późniejszych win popełnianych pod wpływem występnych popędów, które, rodząc się, przynosimy ze sobą. Gdybyśmy znali dokładnie istotę tego nadzwyczajnego zaburzenia, które już nie może się ponowić, dowiedzielibyśmy się we względzie przewrotności takich rzeczy, jakich lepiej nam jest nie wiedzieć. Posiedlibyśmy obszerniejszą i głębszą wiedzę złego, niż na to pozwala nasz stan obecny. Zepsucie ludzkiej natury w jej rodzicu mogło spowodować takie tej natury osłabienie, że człowiek nie zniósłby już pełnego zrozumienia tego, co to zepsucie zrodziło¹⁾).

Ale choć nie wiemy właściwie, na czym polegał grzech pierworodny, znamy doskonale straszliwe jego cechy i możemy śledzić w tym smutnym dramacie zmniejszającą się miłość aż do chwili, gdy zginie ona wśród buntu.

Wszystko zaczęło się przez pychę. Miłość napęlała duszę pokorą, ufnością, zdaniem się na słowo tego, którego się miłuje; nie krytykuje się tego słowa, ani się pozwala drugiemu je krytykować; z oburzeniem powstaje się na każdego, kto mu zaprzecza lub je podejrzewa. A oto na pierwsze odezwanie się kusiciela Ewa zupełnie się inaczej zachowuje. *Czemu wam Bóg przykazał, żebyście nie jedli z każdego drzewa rajskiego?* Powinna była wzdygnąć się z oburzenia. Czemu? nie wiem. Nie masz

¹⁾ Gerbet, *Vues sur le dogme catholique de la pénitence*,

prawa o to mnie pytać. On jest moim Panem i moim Bogiem. Jestem Mu posłuszna i kocham Go.

Zamiast użyć takich słów, kładących koniec pokusie, Ewa wchodzi w rozmowę z kusicielem. Tak młoda, nieświadoma, niewinna zaczyna dysputować z umysłem, przewyższającym jej umysł. Głęboka zręczność jest w zadaniu jej pytaniu. Ona tego nie widzi. Odpowiada prosto i niewinnie na pytanie, w którym niema ani prostoty, ani niewinności. *„Z owocu drzew, które są w raju, żywimy. Ale z owocu drzewa, które jest w środku raju, rozkazał nam Bóg, abyśmy nie jedli i nie dotykali się go, byśmy snąc nie pomarli.“*

Cały upadek jest w związku w tem wyrażeniu *snąc*, użytym w miejsce stałej pewności słowa Bożego. Kusiciel korzysta z tego i żywo odpowiada: *„Żadną miarą nie umrzecie śmiercią.“* A zaprzeczywszy prawdziwości zakazu, spotwarza Tego, który go dał: *„Bo wie Bóg, iż któregokolwiek dnia będziecie jeść z niego, otworzą się oczy wasze; i będziecie jako bogowie, wiedząc dobre i złe.“*

Te słowa przewrót sprawiają w pierwszej niewieście; budzą w niej ciekawość i pożądanie. Stać się więcej niż panującą! Być boginią! Znać zło i dobro. Roztwiera szeroko oczy i przypatruje się owocom. O, Ewo, nie kochasz już, bo gdybyś kochała, nie zdradzałaś, choćbyś nawet tron posiadać miała!

Ale to dopiero krok pierwszy. Miłość nie tylko wlewa w duszę zaufanie do umiłowanego, ale także i pogardę dla wszystkiego, co nim nie jest. Czemże są najczarowniejsze nawet rzeczy! Jakże się niemi gardzi, gdy się miłuje! Taki był stan Ewy aż do owej smutnej chwili. Nigdy oczu nie podniosła na owoc zakazany; przechodziła około świętego drzewa z uszanowaniem, z oczami spuszczone. Nigdy nie przypatrywała się jego owocom. O Ewo, sam już wzrok, który na nich zatrzymujesz, świadczy, że już nie kochasz! *Bonum ad vscendum, et pulchrum oculis, aspectuque delectabile¹⁾*. Biblja, używając tylu przymiotników, zdaje się ukazywać nam Ewę, ogładającą owoc ze wszystkich stron, jak gdyby chciała się ona upewnić, że pod pięknym kształtem, pod ślicznym, wytwornym pozorem zawiera on tajemnicę wiedzy, o której jej wspominano. I cóż się teraz stanie? O Ewo, jeżeli nie wierzysz już w miłość Twego Boga, to pomyśl o Jego gniewie, o Jego groźbach! Ale skoro się wzgar-

¹⁾ Genes. III, 6.

dziło miłością, coś powstrzymać może? Ewa wyciąga rękę i chwytą zakazany owoc. Co rozpoczęła pycha, co zmysłowość popchnęła, kończy się w buncie.

Najgłębszym jednak rysem tej sceny to opis upadku Adama. Aż do tej chwili Adam się nie ukazywał. Teraz czy sam nadszedł, czy zjawił się przywołany przez Ewę, stanął przy niej, a ona podaje mu owoc. Biblia nie wtajemniczyła nas w niespokojne uczucia pierwszego człowieka. Czy miał te same złudzenia, co jego towarzyszą, to samo uniesienie pychy, to samo poruszenie zmysłowości? Wielu mniema, że upadł on przez słabość. Wąż zniknął; Ewa sama z nim była; nie widział ani owocu, ani jego piękności; widział jedynie swoją towarzyszkę, towarzyszkę upadłą, i upadł, aby nie rozłączyć się z tą, którą kochał.

A teraz coś się stało? jaki koniec był tej winy? Biblia mówi, że oczy ich się otworzyły, i że spostrzegli, że są nadzy. Nie widzieli tego do tej chwili, a raczej widzieli bez wstydu. Dlaczegoż teraz nie mogą znieść tego widoku? Wszystko tu tylko zaznaczone, nic nie wykończone; tajemnicza zasłona odkrywa wszystko, podobna do owego płaszcza, który miłość synowska zarzuciła na ojcowską nagość.

Taki był pierwszy grzech. Wszyscy, uważnie studiujący opis jego w Biblii, muszą podziwiać nie tylko wielkość tej sceny, ale i fizjologiczną jej głębokość. Jest to upadek wiekuisty i powszechny. Rozpatrz się, synu Adama, we wspomnieniach występnego twojego sumienia, a znajdziesz w nich jakiś żywy i łatwo dający się poznać odbłask winy twojego ojca: ta sama mieszanina pychy, pożądliwości i buntu, ten sam wpływ zewnętrznej pokusy, ta sama Ewa uwodzicielka, ta sama słabość dla twojej towarzyszki, a po spełnionej winie ta sama próżnia, to samo obrzydzenie! I ty także, córko Ewy, jakżeś podobna do twojej matki! Ta sama lekkomyślność, ta sama płochość, to samo upodobanie do owocu zakazanego, ta sama zuchwałość! I w obojgu ta sama potrzeba łaski Boga i Odkupienia!

IV.

Przystąpmy teraz do wielkiej kwestji. Gdyby Kościół nauczał tylko, że Adam i Ewa zostali ukarani za nieposłuszeństwo Bogu, rozum uważałby to za zupełnie słuszne; gdyby nawet Kościół dodawał, że zostali oni ukarani

w swych dzieciach, jeszczeby to rozum pojął. Ale Kościół o wiele dalej się posuwa. Uczy, że Adam przekazał swojemu potomstwu nie tylko karę, ale i grzech swój; że ten grzech Adama jest grzechem własnym każdego człowieka, i że według energicznego wyrażenia świętego Pawła wszyscy ludzie zgrzeszyli w Adamie. Cóż na to powiedzieć? czyż nie jest to jawna niesprawiedliwość, moralne okrucieństwo, na które żaden człowiek nigdy się nie zgodzi?

Ażeby rozwiązać tę trudność, trzeba zdać sobie dokładnie sprawę z planu, według którego dokonane zostało stworzenie Adama i jego rasy. Jedność upadku odpowiada jedności bytu, a obie dadzą się tylko wytłumaczyć zapomocą jasnego poznania planu stworzenia. Natężmy uwagę.

Już we wnętrzu niebios była pierwsza próba. Świat cały, może dziewięć światów, niezliczone mnóstwo dziewiciu chórów anielskich poddane zostało tej próbie. Tam, czy z powodu światła i doskonałości darów, czy z powodu osobowej próby i braku zewnętrznej pokusy, czy dla innych nieznanых nam powodów, żadne przebaczenie nie zostało udzielone, żadne odkupienie nie mogło mieć miejsca. Każdy duch czysty przez jeden jedyny akt uroczysty dokonał swego szczęścia lub nieszczęścia.

Teraz, gdy Bóg miał przejść do nowych stworzeń, postanowił budować je według nowego planu, pozostawiającego więcej miejsca dla Jego dobroci. Rzecby można, że Pan Bóg, widząc niczem nie dający się naprawić upadek aniołów, chciał zgóry przedsięwziąć ostrożności, by złagodzić winę i zostawić sobie możliwość przebaczenia, jeżeli ta wina popełniona była.

W tym celu uszczuplił inteligencję i przygasił wielkie światła, podnoszące winę aniołów do stopnia, na którym nie mogło być przebaczenia. Przytem złączył ducha czystego z ciałem, ażeby ono było ciężarem, upokarzającym ducha, i nie dozwalało mu nadymać się pychą, a zarazem jakoby i zasłoną, która pozwalając łatwiej zbłądzić, pozostawiała możliwość błędzenia w dobrej wierze, a co za tem idzie, i możliwość przebaczenia. Wreszcie dozwolił Bóg upadłemu aniołowi kusić człowieka, ażeby w owej właśnie pokusie znaleźć powód do mniejszej surowości.

Było tu już wiele łagodzących okoliczności przygotowanych przez nieskończoną miłość; ale oto najgłówniejsza. W niebieskich hierarchjach wszyscy aniołowie

wprost i bezpośrednio zostali stworzeni ręką Boga. Tam według słów Pana Jezusa: *neque nubent neque nubentur*¹⁾). Wielkie nazwy ojca, matki, dziecka są nieznane. Każdy anioł jest nietylko odrębną osobistością, ale każdy tworzy rodzaj odrębny. Jest sam tej natury. Tysięcy róż potrzeba na urzeczywistnienie typu róż; świat skończy się prawdopodobnie, zanim ludzie zdołają dopełnić typu człowieka; tu przeciwnie wystarczył jeden jedyny anioł, by dopełnić wzniosłego typu anioła. Stąd wypływa, że próba każdego anioła musiała być koniecznie osobistą, a jeżeli upadek miałby miejsce, to nie mógłby się odbić na nikim, skoro nikogo z tego samego rodzaju nie było. Z tego też powodu, a także z nieograniczoności darów upadek ten nie mógł być niczem wytłumaczony; bo gdzie znaleźć wymówkę? w nieświadomości, w uwiedzeniu, we wpływie drugich? Nie, skoro anioł sam znajdował się w pełni światła, przez nikogo nie był kuszony i jasno wiedział, co czyni.

To wszystko Bóg postanowił zmienić, aby stwarzając istotę słabszą, przygotować jej los mniej groźny. Zamiast wprost i bezpośrednio stworzyć wszystkich ludzi, stworzył tylko jednego i wszystkich w nim umieścił. I podobnie, zamiast poddawać ludzi tylu próbom, ile było jednostek, poddał ich wszystkich jednej próbie w osobie tego, który ich wszystkich w sobie zawiera. Wobec tej próby Adam nie będzie jednym z ludzi, będzie on *Człowiekiem*. Mieć będzie w sobie cały rodzaj. W gruncie rzeczy takie samo tu prawo jak w świecie anielskim, skoro tam także każdy rodzaj miał swoją próbę; tylko w świecie anielskim jeden osobnik tworzy cały rodzaj: tu będzie ich miljarady. Ale wszyscy razem tworzyć będą *jeden* rodzaj, poddany *jednej* próbie w osobie *tego*, w którym będą *wszyscy*.

Na pierwszy rzut oka plan ten wydaje się dla nas niekorzystny. Ale skoro się w nim dobrze rozpatrzymy, ujrzymy, że jest wręcz przeciwnie. I tak:

1. Jeżeli człowiek, zawierający w sobie cały rodzaj ludzki, z próby wyjdzie zwycięsko, cały rodzaj będzie uratowany. A ponieważ Bóg dał bardzo łatwą próbę, tysiące więc było prawdopodobieństw zbawienia powszechnego.

2. Przypuściwszy jednak, że upadłby, to właśnie dla skłonienia Boga do miłosierdzia byłoby to ważnym względem, że choć wszyscy ludzie solidarni byli w winie Ada-

¹⁾ Mat. XII, 30.

ma, swojego wodza, to jednakowoż tej winy nie popełnili aktem własnej woli. A więc dlaczegoż nie podjąć na nowo dzieła i nie pozwolić upadłej masowo ludzkości, by się osobiście podniosła? I oto stajemy wobec osobistej próby, przez którą przeszli aniołowie, a z pod której Dobroć nieskończona chciała nas usunąć.

3. Prawda, że skutkiem upadku każda jednostka osłabiona została, ale to jedna korzyść więcej. Zdaje się rzeczywiście, że Adam za wiele jeszcze darów otrzymał. Napróżno twórcza miłość chciała się ograniczyć, za wiele jeszcze dała. Trzeba było sprowadzić człowieka bliżej do jego nicestwa, jego wrodzonej nędzy, aby go łatwiej utrzymać w pokorze i móc go potem bezkarnie obdarzać większą miłością.

Taki był boski plan próby, której został poddany nasz rodzaj. Wszystko zawarte w *Jednym*, żeby zbawienie mogło być prawie pewnem, a przebaczenie w razie upadku łatwiejszem. W czemże tu sprawiedliwość jest naruszona? Czy przeciwnie, nie przejawia się tu ze strony Boga miłość i najczulsza dobroć? Wszystko tu jest godne tego urządzenia, które nazwalimy porządkiem nieskończonej miłości.

V.

Może kto powie: Jeżeli rzeczy tak się miały, to nieśłusznie jest mówić, żeśmy zgrzeszyli. Wyraz grzech jest tu niewłaściwy.

Bezwątpienia nie zgrzeszyliśmy, jak dziś grzeszymy. Grzech nasz nie był grzechem osobistym, aktem naszej woli. Dowodem tego jest, że Kościół, zmazując go w sakramencie chrztu, nie żąda skruchy od nikogo, nawet od dorosłych. A jeżeli jaki człowiek schodzi z tego świata z jedną plamą grzechu pierwotnego, jak na przykład dzieci, nie jest skazany na karę należną za grzech uczynkowy, osobisty. Kościół nigdy inaczej nie uczył, mimo przeciwnych zdań niektórych teologów.

Jakże więc zgrzeszyliśmy?

Zgrzeszyliśmy w *Adamie*: *In quo omnes peccaverunt*¹⁾). Nie w *sobie*, ale w *nim*. Miał on w sobie całą rasę, jako ojciec posiadał w swych żyłach wszystko życie, które miało się rozlać po ziemi. Upadł: cały rodzaj z nim

¹⁾ Rzym. I, 12.

razem je stracił. Splamił swoje życie, a przez to i wszelkie życie, które zeń powstać miało, na podobieństwo zatrutego źródła, którego wody, sączące się o dziesięć mil dalej, jeszcze są zatrute¹⁾.

Dobrze! ale dokąd się to rozciąga? jak daleko sięga udzielanie się zepsutej natury Adama osłabionej rasie ludzkiej? Tu jest trudność. Kościół, stwierdzający tak silnie fakt tego udzielania, tego przekazania grzechu Adamowego jego potomstwu, nie mówi, w jaki się to dzieje sposób, ani jak daleko sięga. Zostawia swoim doktorom badanie tego trudnego zagadnienia. Otóż z psychologicznych i fizjologicznych badań, prowadzonych przez całe wieki, wynikły dwa wielkie systemy, zdające się być ostatniem słowem. Jeden z nich możnaby nazwać *minimum*, drugi *maximum* grzechu pierworodnego. Wyłożymy je tu pokolei; czytelnik niech wybiera.

VI.

Chcąc pozostać katolikiem, trzeba przynajmniej uznać to, co nazywamy *minimum* grzechu pierworodnego.

Według tego systemu, wykładanego publicznie w Rzymie, grzech pierworodny *w nas* jest pozbawieniem *gwałtownem*, *drogą upadku* przedziwnych darów, jakimi Bóg obsypał naturę ludzką, a które jej się nie należały. Adam za karę ogołocony z nich i osłabiony daje życie dzieciom sobie podobnym; grzech ich cały polega na nieposiadaniu już owych wzniosłych darów, które posiadał ich ojciec i które Bóg w swojej dobroci im przeznaczał.

Wyłożymy jasno, aby zrozumiałem się stało, jak pozbawienie darów nadnaturalnych może stanowić grzech.

Sobór Trydencki nazwał grzech przekazany przez Adama jego potomstwu „śmiercią duszy”. A czemu jest śmierć? Nie jest to poprostu *nieobecność* życia, ale *gwałtowne jego przerwanie*, *pozbawienie go wbrew naturze*.

¹⁾ W pismach Ojców Kościoła bezprzestanku znajdują się takie objaśnienia: „Fecit Adam et in illo fuimus omnes. Perit Adam et in illo omnes perierunt.” (S. Amb., in Luc., lib. VIII, n. 234). — „Omnes enim fuimus in illo uno (Adam), quando omnes fuimus ille unus, qui lapsus est...” (S. August., *de Civ. Dei*, lib. XIII, c. 14.) — „Omnes homines, qui nascuntur ex Adam, possunt considerari ut unus homo, in quantum conveniunt in natura quam a primo parente accipiunt... Sicut etiam Porphyrius dicit quod participatione speciei plures homines sunt unus homo...” (S. Thom. 1, 2, q. LXXXI, a. 1).

Trup nie dlatego przeraża, że *nie ma* życia, ale że *go już* nie ma. Gdyby Bóg stworzył człowieka bez daru życia, byłby mógł być piękny jak Zeus Fidjasza, jak Wenus Praxytelesa; ale ponieważ Bóg, stworzywszy ten piękny posąg, uczynił go piękniejszym jeszcze, dając mu spojrzenie, mowę, ruch, życie, nie może on zatem utracić tego bez obudzenia w nas odrazy.

I to jest wierny obraz grzechu pierworodnego. Gdyby Adam był stworzony w stanie czystej natury, gdyby był obdarzony tylko wymaganiami przez nią darami: inteligencją, wolną wolą, miłością, byłby pięknym nawet bez łaski uświęcającej. Brak wyższych darów nie mógłby być nawet zauważony, bo nie przeczuwanoby ich istnienia. Ale skoro Bóg chciał w swojej dobroci podnieść człowieka do wyższego stanu, do życia, które nazywamy nadnaturalnem, bo wznosi się ono ponad wszystkie wymagania natury; skoro chciał, by tej wrodzonej świętości towarzyszyły przedziwne dary, jak doskonałe poddanie ciała duchowi, oświecenie duszy wiedzą wrodzoną, nie nabytą, wyjęcie z pod cierpienia i nieśmiertelność; skoro zarządził, by dary były zawsze w Adamie i jego potomkach, by stanowiły całość ich natury, oczywiście jest, że Adam i jego rasa mogli się tylko podobać Bogu, ozdobieni ową łaską poświęcającą i wszystkimi towarzyszącymi jej boskimi darami.

Stracić je znaczyło poniżyć się, upaść, stać się brzydkimi w oczach Boga; dusza stawała się przez to martwą jak ciało, gdy je dusza opuści.

Otóż teologowie, o których wspominamy, mówią, że taki był skutek grzechu Adamowego. Stracił łaskę poświęcającą, a ponieważ tylko dzięki tej łasce poświęcającej Bóg udzielił człowiekowi tych wszystkich darów, o których mówiliśmy, więc i one razem z łaską się rozwały. Widzieliśmy, że nie należały się one ludzkiej naturze; były dodatkami nieskończonej miłości. Bóg mógł bez nich stworzyć człowieka. Tracąc je, człowiek nie stracił nic, co należało do jego natury; został tylko ograniczony do stanu, w jakim Bóg mógł być go stworzyć, z tą jednak różnicą, że ustanie darów, które choć nie należące się zostały złączone z naturą ludzką w samej chwili stworzenia, spowodowało wstrząśnienie i zachwiało równowagę w tej naturze. Podobnie jak w gmachu, z którego zerwanoby kopułę, mury i filary, podtrzymujące ją, rysują się i chwieją.

Oto grzech pierworodny. Nie jest to tylko *brak* życia nadnaturalnego i darów nadprzyrodzonych, któremi Bóg tak szczerze szafował; jest to *pozbawienie gwałtowne i przeciwne naturze*, bolesne ogołocenie spowodowane upadkiem.

Weźmy jakiś przykład. Przypatrzmy się tym żołnierzom, którzy ubrani w grube mundury pracują, posłuszni rozkazom. Wśród nich jest jeden napozór do drugich podobny, ale jakże różny w rzeczywistości! Wczoraj jeszcze był oficerem; ale za jakieś przewinienie ukarano go, pozbawiono stopnia, zdjęto mu epolety, krzyż; doprowadzono do stanu, w jakim go widzimy. Taki też jest grzech pierworodny. Nie jest to *być w stanie*, w jakim jesteśmy; jest to *upadek w ten stan*.

Dajmy drugie jeszcze dokładniejsze porównanie. Oto gromadka dzieci biednych, w łachmanach, ale mimo to pełnych życia, młodości, wesela. Wśród nich jest jedno, którego ojciec był możnym panem, księciem krwi. Za bunt skazany został na śmierć; pozbawiony tytułów i imienia, pozostawił synowi jako jedyną spuściznę ubóstwo i hańbę. Napozór dziecko jest takie samo jak jego towarzysze, a jakaż jednak różnica! ubóstwo ich jest tylko ubóstwem; jego zaś ubóstwo jest upadkiem i karą; to też na jego czole zawisł cień.

Mogłaby gdzieś w świecie planetarnym znajdować się rasa zupełnie nam podobna; tak jak my podległa boleści, śmierci, pozostająca w nieświadomości, mogąca błędzić, ale w której nic z tego wszystkiego nie byłoby nieładem, gdyż w takim stanie Pan Bóg ją stworzył. Ale my, zrodzeni w wyższej sferze, nie możemy bez upadku znaleźć się w stanie niższym. Ten upadek jest właśnie grzechem pierworodnym: niema innego.

W Adamie upadek był czynem; w nas jest stanem. Adam sam się ogołocił i to jest jego grzech. Nasz grzech jest, że się rodzimy podobni do Adama, to jest ogołoceni jak on, a zatem brzydcy w oczach Boga, jesteśmy przedmiotem Jego gniewu i obrzydzenia nie przez wolę naszą, ale z naszej natury. *Natura filii irae*¹⁾.

Może kto powie: Jest to nieszczęście, ale nie grzech. Odpowiadamy: Jest to nieładem według wielkiego systemu teologicznego rodzić się w tym stanie, być pozbawionym łaski poświęcającej, którą się mieć powinno. Jest to nie-

¹⁾ Galat. IV, 8.

ładem rodzić się pozbawionym życia boskiego, do jakiego było się stworzonym. Jest to rodzić się nieżywym.

Oto, jak uczą publicznie w Rzymie; nigdy to nauczanie nie podlegało żadnej cenzurze i nie może, zdaje się, razić najdrażliwszego umysłu.

Mojem zdaniem kryje się w tem wada systemu.

Ukazuje on w ludzkości następstwa i kary za winę; ale nie widać tu dostatecznie samej winy, samego grzechu Adama, o którym Kościół mówi, że jest grzechem własnym każdego z nas. Nie widać tu także dość wyraźnie głębokiej rany zadanej ludzkości, ani tej gwałtownej skłonności do złego, która po wsze czasy stanowi hańbę i niebezpieczeństwo. A i Odkupienie niedość jaśnieje w tym systemie. Jest on powierzchowny.

Ale powtarzamy: nigdy nie był on krytykowany; wielcy teologowie go przyjmują; można przy nim pozostać; będzie się w dobrem towarzystwie.

VII.

Przystąpmy teraz do tego, co nazywamy *maximum* grzechu pierworodnego. Tu według naszego zdania znajduje się prawdziwa doktryna, tajemnicza, ale wzniosła, nieprzenikniona i nieprzystępna, ale rzucająca światło na wszystkie strony.

Widzieliśmy, że Bóg stworzył naszą rasę pod prawem ojcostwa. Otóż w zakrytych to głębinach tego dostojnego prawa znajduje się według nas wytłumaczenie grzechu pierworodnego. Cóż to jest ojcostwo? Powtarzamy, że aniołowie go nie znają; stworzeni zostali w stanie indywidualnym. Niezliczone hierarchie niebieskie nie domyślają się, jaka jest chwała i szczęśliwość ojcostwa. Panuje ono tylko na ziemi; zajmuje tu nietylko pierwsze miejsce, ale jest jedynym prawem. Cóż tworzy rodzinę, szkołę, społeczeństwo, ojczyznę, ludzkość, religję? Zawsze ojcostwo. Kapłani, królowie, urzędnicy, żołnierze są ojcami, i im więcej są ojcami, tem lepiej spełniają swoje posłannictwo.

Na czymże polega to najwyższe, jedyne prawo rasy ludzkiej? Jaka jest treść jego? Dopiero powiedzieliśmy, że nie jest znane w niebie. Nie znają go aniołowie, ale panuje ono w łonie Trójcy Przenajświętszej, i może jedno ze znaczeń słów Boga: *Uczyńmy człowieka na wyobrażenie i na podobieństwo nasze*, jest właśnie tem prawem. Niech

człowiek będzie ojcem w czasie, jak Ja nim jestem w wieczności.

A przeto, człowiecze, jeżeli chcesz wiedzieć, czym jest ojcostwo, przyjrzyj się w niebie jego boskiemu wzorowi. Tam, w łonie Trójcy Przenajświętszej, Ojciec rodzi Syna. A jakaż jest cecha tego Syna? Podobny jest do Ojca swojego. Czy to wystarczające określenie? Nie, podobny jest do Niego najdoskonalej. To jeszcze niedosyć, jest Jego wyobrażeniem zupełnym, równym Mu, współistotnym. Ojciec cały jest w Synu, daje Mu wszystko, co ma, nawet substancję swoją, a z nią i wszystkie swoje przymioty; oto istota ojcostwa w niebie. Na ten wzór utworzone zostało ojcostwo Adama. Nic też nigdy nie da pojęcia, jaka była pełnia i siła ojcostwa w chwili zgotowanej próby. To, co dziś człowiek posiada, jest zaledwie cieniem tamtego. Przyjrzyjmy mu się jednakowoż; różni się ono wprawdzie co do siły, ale może z jego pomocą dostrzeżemy cośkolwiek z niezmiennego, powszechnego, nie dającego się objąć ojcostwa Adama.

Cóż dzisiaj, w tak odmiennym świecie próby osobistej, daje ojciec swojemu dziecku?

1. Najpierw daje mu swoją krew; nie jakąś krew nieokreśloną, ale swoją własną, krążącą w jego żyłach. Według składu chemicznego być może, że wszystkie kuleczki krwi są jednakowe; ale nie jest tak z wyższego punktu widzenia. Krew w żyłach człowieka ożywia się; nabiera przyzwyczajęń, skłonności. Bywa krew czysta, szlachetna, wylewana tylko w dobrej sprawie, i jest krew podła, pełna haniebných domieszek. Tej krwi szlachetnej lub podłej, takiej, jak ją urobiły dwudziesto lub trzydziestoletnie szlachetne usiłowania lub nędzne poniżenia, ojciec udziela synowi. A że krew stanowi rasę, jest to więc pierwsza, straszliwa odpowiedzialność.

2. Cóż więcej daje ojciec synowi, dawszy mu krew swoją? Chciałem powiedzieć, że mu daje swoją duszę; byłoby to niedokładne określenie; ale prawdą jest, że dusza ojca odżywa niewysłowionym sposobem w synu. Jest w tem głęboka tajemnica, ale jest to niemniej jasny, niezaprzeczony fakt. Jest coś z duszy ojca w synu. Syn wcale nie jest istotą rdzennie, absolutnie różną od ojca; jest to powtórzenie ojca. W jaki sposób? do jakiego stopnia? gdzie są tego granice? Nawet nie próbujemy odpowiedzieć na to. Od pierwszych dni widać w synu podobieństwa, pochodzące wyraźnie od ojca. Są inne bardziej

ukryte, zasłonięte, które ukażą się dopiero później w piętnastym, dwudziestym roku życia; są nawet takie, które dopiero wystąpią w samym jego końcu. Tak i to dziewczę wiotkie, delikatne, tak różne od matki, w miarę lat dziwnego z matką nabiera podobieństwa. A nie tylko zewnętrzne, bez żadnej wagi rysy ukazują się stopniowo; cnoty, przymioty, wady, skłonności, przyzwyczajenia, rzeczy długo utajone, może opanowane młodą żywotnością, wydobywają się, występują, czyniąc mnie codziennie doskonalej podobnym do ojca mego. W miarę lat uzupełniam to podobieństwo, doskonale odrębny od ojca, ale i doskonale doń podobny. Jestem ciałem jego, jestem krwią jego; mam coś z jego duszy, mam jego przymioty i mam jego wady. Nie rozbieram tego, zbyt to głębokie; nie widzę tego, zbyt to ukryte, ale czuję to doskonale. Wiem, co jest we mnie z ojca mego, i wiem dokładnie, co jest z mojej matki. Doskonały rozdział uczynić tu mogę; ze mnie samego jest bardzo niewiele. Jestem złożony ze skłonności, z cnót, z przymiotów, z wad, z przyzwyczajęń ojca mego i matki; a tak to jest złączone, zmieszane, splątane silnie i głęboko, że oko moje do dna sięgnąć nie może. I nie zaprzeczalbym, gdyby mi powiedziano, że w tych załamkach, w tych zadzierzgnięciach, przez które istota mego ojca jest we mnie, są rzeczy jeszcze bardziej zakryte, widoczne tylko dla oka, przenikającego serce i najgłębsze tajniki natury ludzkiej. Trzeba o pochodzeniu człowieka powiedzieć to, co Pismo Święte mówi o pochodzeniu Słowa: *Generationem ejus quis enarrabit!*¹⁾. Świat starożytny zasłonę rzucił na tę tajemnicę; trzeba ją pozostawić. Jest to tajemnica Boża.

3. I ojciec nie tylko daje synowi krew swoją i udziela mu czegoś ze swej duszy, ale co jeszcze dziwniejsze, ową cząstkę duszy daje mu z krwią właśnie. Krew przenosi przymioty, wady, nałogi, żywe skłonności, które z duszy ojca przechodzą do duszy syna i urabiają ją na podobieństwo tamtej. Aby dać poznać, że młodzieniec od ojca i matki otrzymał bogaty skarb przymiotów, mówimy, że z dobrej krwi pochodzi. Była o tem mowa w poprzednim rozdziale; nie będziemy się tu powtarzać.

Tak więc mają się rzeczy nawet dziś, przy panowaniu próby osobistej, wobec ojcostwa zamkniętego w tak ścieśnionych granicach. Jak w łonie Przenajświętszej Trójcy

¹⁾ Izaj. LIII, 8.

Ojciec cały jest w Synu, tak samo tu na ziemi, w rodzinie, w zmniejszonych rozmiarach ojciec jest w synu. Cóż to więc musiało być w dniach próby ogólnoludzkiej, gdy ojcostwo w Adamie było w całej pełni i sile?

To powiedziawszy, stawiamy dwa pytania:

1. Czy dziś, nawet pod tak różnym panowaniem próby osobistej, niema takich okoliczności, wśród których grzech nie tylko plami osobę, ale nadwiera naturę i mąci ją czasem do gruntu?

2. Czy tak nadwierzona, uszkodzona natura może w pewnej mierze przechodzić z ojca na dzieci? jakim sposobem i do jakich granic?

Co do pierwszego pytania: gdyby grzech plamił tylko osobę, to tajemnica pochodzenia grzechu pierwotnego byłaby nie do rozwiązania, gdyż oczywiście jest, że ojciec osoby swej nie przekazuje dzieciom. Ale czyż grzech sięga dotąd tylko? czyż nie jest prawdą, że splamiwszy duszę, często naturę uszkadza? że ją upadla, poniża, że czasami stopniowo gasi w niej wszystkie władze? Weźmy, na przykład, pychę. Czyż w pewnym stopniu pycha nie mąci zdrowego sądu? czy nie spotyka się osób upojonych sobą, wierzących we własną nieomyślność, zdolnych przez to samo popełniać najpotworniejsze winy? A czy tak samo pycha nie niszczy do pewnego stopnia serca, nie czyni je oschłym, samolubnym, niesprawiedliwym aż do okrucieństwa? Weźmy rozwiązłość. Któż potrafi opowiedzieć sprawiane przez nią zniszczenie? Rozum się osłabia, pamięć zanika, wola traci siłę, wszelki zapał, entuzjazm, tkliwość, szlachetność znikają; jest to śmierć. Weźmy zmysłowość, pijaństwo: to już nie człowiek, to bydlę.

Owe rany duszy odnajdują się i w ciele. Każdy grzech jest jakby uderzeniem sztyletu, dotykającego materialnej strony naszej istoty. Gmach tak doskonały, który jest mieszkaniem naszej duszy, nie upadnie od pierwszego ciosu. Broni się, naprawia uszkodzenia, ale nie może opierać się do nieskończoności. Gdy uderzenia się ponawiają, lub choć nie częste, są silne; zaczyna się ruina gmachu. Włosy wypadają przed czasem, oczy wgłęb wpadają, postać się pochyla, krew ubożeje lub rozpala się, przychodzą suchoty, albo przygotowuje się apopleksja: *Plus occidit gula quam gladius*. Lekarze wiedzą o tem i wielu z nich głosi to silniej niż Biblia.

Nie trzeba sobie wyobrażać, by dopiero długi szereg uderzeń szkodził naturze i przewrót w niej sprawiał;

wszystko zależy od siły uderzenia. Bywają dwudziestoletni młodzieńcy, u których ohydne dzieło już jest dokonane. W lat parę, w dni niewiele wszystko zniszczyli, nawet ciało. I oto niezdolni są być już ludźmi, niezdolni stać się ojcami, lub jeżeli nimi zostaną, to by przekazać swym dzieciom życie rachityczne, wsączyć w ich żyły zarazek, który będzie karą ojców w dzieciach.

Skoro tak się dzieje, czyż i Adam jednym aktem nie mógł nie tylko splamić swojej osoby, ale i zepsuć naturę? wszystko zależy od siły tego aktu. A gdzież i kiedy podobny czyn nastąpił? Widzieliśmy, że niema co tu zważać na przedmiot, ale na okoliczności czynu. Tyle światła przepełniało jego umysł, cudowne dary podnosiły jego wolę, posłuszeństwo było tak łatwe, a odpowiedzialność tak zupełna i straszna! Jaktó! on wie, że przez nieposłuszeństwo przyprowadzi o zgubę całe swoje potomstwo; czuje, że jest przedstawicielem całego rodzaju ludzkiego, że jest człowiekiem powołanym do zbawienia wszystkich swoich dzieci przez najłatwiejszy akt posłuszeństwa, i nie jest posłuszny! Nie; nigdy nie było podobnego grzechu! Żeby móc osądzić, jaka była zmaza duszy i jak bardzo natura ludzka została zraniona i zmacona, trzeba by znać dokładnie ohydny siłę czynu Adama.

Teraz zwróćmy się do drugiego pytania. Gdy człowiek przez grzech nie tylko zmazał duszę swoją, ale uszkodził, osłabił, poniżył swoją naturę, czy stan taki przekazuje swoim dzieciom? Czy z tak upadłej natury nic nie przechodzi na potomstwo?

Pewna sofistyczna nauka twierdzi, że w przyszść mającym niedługo kataklizmie naszej kuli ziemskiej powstanie, jak i my powstałiśmy w ostatnim przewrocie ziemi, nowa rasa, wyższa od naszej¹⁾. Smutne to mrzonki, w głębi których jednak można dostrzec pewną część prawdy! Od ojców rodzin zależy nie stworzenie rasy nad ludzką wyższej, ale wywyższenie swojej rasy ponad to, czem jest dzisiaj; z pokolenia w pokolenie pracować winni nad podniesieniem poziomu fizycznego, umysłowego i moralnego naszego rodzaju.

Ale cóż to jednocześnie głosi inna, już nie sofistyczna, jeno wstrętna nauka? Oto, że byłoby możliwe przez dobór doprowadzić do zniknięcia rasy ludzkiej, a rozmnożenia rasy zbydlęconej. Tak; kto wie, czy łącząc męczyzn

¹⁾ Quinet, *O Stworzeniu*.

bez wiary, bez obyczajów, bez praw, z niewiastami bez serca i bez wstydu, nie doszłoby się do istot coraz bardziej zezwierzęconych? Podobno próba już zaczęta; tak potężną rzeczą w oczach wszystkich jest ojcostwo i tak zdolną przekazać całą swoją naturę!

Ale nie sięgając tak daleko, czyż poza temi przesadnemi twierdzeniami nie jest ogólnie uznana możność przekazania, przynajmniej częściowego, natury? Nawet ci, którzy temu słowami zaprzeczają, stwierdzają to uczynkami. Dlaczegoż ojciec, wydający córkę za mąż, tak starannie wywiadyuje się o jej rękę? Jeszcze możnaby zrozumieć, gdyby zajmowała go kwestja chorób fizycznych, choć i dziedziczenie tych słabości wielką jest tajemnicą. Ale cóż mogą obchodzić go moralne skazy rodziców? czyż syn nie jest zupełnie, rdzennie różną osobistością od ojca? I gdybyż tu chodziło jedynie o upewnienie się, czy zła sława nie pada na nazwisko; ale nie; rzeczby można, że się on obawia, by przewrotne skłonności ojca lub dziada nie odbiły się kiedyś na jego wnukach! Zastanówmy się tylko: złe skłonności ojca lub *nieistniejącego już* dziada mogłyby się odezwać w dziecięciu, które *jeszcze nie istnieje!* Nic innego niema w nauce o grzechu pierworodnym i do tykalnie można się przekonać o jego przechodzeniu.

Dajmy już pokój tej bardzo tajemniczej kwestji. Grzech pierworodny złowrogiem światłem oświeca wszystkie sprzeczności naszej natury, ale sam wymyka się przed naszym wzrokiem jak wulkany, których światło widzimy, ale samego ich ogniska nie możemy dostrzec. Ginie on w drugiej, równie mało oświeconej tajemnicy: tajemnicy pochodzenia ludzkiego. Jest on następstwem planu naszego stworzenia pod prawem ojcostwa. Głęboka jedność rasy ludzkiej tłumaczy udzielenie się wszystkim grzechu, popełnionemu przez ojca tej rasy. Jedność upadku, a także, dzięki Bogu, jedność Odkupienia, gdyż jest jedność rodzaju.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Następstwa grzechu pierworodnego.

Nowy plan upadłego świata.

Znajdą się może czytelnicy, mówiący: „Dostrzegamy wielki ład w przechodzeniu grzechu pierworodnego; ale czy ten ład jest sprawiedliwy? czy jest miłosierny, godny dzieła stworzenia światów, nazwanego dziełem dobroci i miłości?”

Odpowiemy: Tak. Jest sprawiedliwy i miłosierny, bo 1-o, skoro próba była konieczna, dobroć i miłość nieskończona postanowiły najpierw próbę *zbiorową*, ażeby zbawienie było łatwiejsze, a gdyby wina nastąpiła, można ją było łatwiej przebaczyć; bo 2-o, skoro tylko grzech został popełniony, dobroć i miłość zjawily się, aby rozbroić sprawiedliwość, podnieść upadłego człowieka i z gruzów zniszczonego stworzenia odrobić świat jeszcze piękniejszy.

Bunt i niewdzięczność się pojawiły. Wobec niewdzięczności dwie tylko drogi są możliwe: albo ukarać niewdzięcznika i na zawsze go odrzucić, albo go zwyciężyć, obsypując dobrodziejstwami.

Tę drugą drogę wybrał Bóg: ujrzał upadłego człowieka, ujrzał we wnętrznościach jego pokolenie istot, które nie zgrzeszyły osobiście, które mogłyby Go kochać, i uzalił się nad niemi i tam, na zwaliskach upadłego świata, postanowił odbudować swoje dzieło według nowego planu.

Będziemy studjować ten nowy świat, nasz świat. Bóg znowu podjął człowieka; pielęgnuje go jak chorego, chce go uleczyć, aby móc go wprowadzić do utraconej chwały. Jakim jest ten nowy plan świata? Jakie zmiany musiały być z konieczności zaprowadzone w pierwotnym planie po ukazaniu się grzechu? Jak zostały one przyjęte i prze-

mienione przez nieskończoną miłość? Oto zagadnienia, które trzeba rozwiązać, gdyż bez tego nie możemy zrozumieć ani dogmatu katolickiego, ani moralności.

I.

Pierwszą zmianą, jaką Bóg na skutek grzechu w pierwotnym planie stworzenia zaprowadził, jest zmiana charakteru próby. Próba pozostaje; nie może jej nie być, ale zmienia formę. Widzieliśmy, że według pierwszego planu cała rasa ludzka była niejako zawarta w Adamie i w nim poddana jednej jedynej *zbiorowej* próbie. Teraz próba ta staje się *indywidualną, osobistą*. To, co Adam dla nas stracił, albo cośmy w nim stracili, każdy z nas będzie w możności odzyskać. Próba na nowo się zaczyna, ale teraz każdy ją dla siebie przebywa.

Próba nietylko jest *osobistą*, ale zamiast być jedyną, stanie się ona *rozliczną i powtarzającą się*. Dusze zbyt są teraz słabe, by można od nich żądać stanowienia jednym czynem o całej wieczności. Będą setki, tysiące, dziesiątki tysięcy czynów i nieskończona łatwość powstania po każdym upadku. Czas będzie dany duszom i pełność światła. Nie będzie to już wieczna wiosna, zbyt czarująca. Będzie pokolei wiosna, lato, jesień, zima z wymownymi na każdą porę objawieniami. Tak samo i życie nie będzie już jedynym punktem, rozwojem duszy w trzydziestym roku. Będzie niedołęstwo wieku dziecięcego, złudzenia lat chłopców, ogniste namiętności młodości, które pozwolą wybaczyć winy; a potem boleści, zawody, przesady, które uczynią przestępstwa mniej pociągającymi, i wreszcie niemoce starości, czyniące winy mniej licznymi. W miarę posuwania się i środki pomocnicze będą coraz to liczniejsze: wielkie sakramenta, obrzędy pełne boskiej siły, wzmacniać będą człowieka na każdym etapie życia. Wreszcie, z powodu jego słabości nie będzie win nieprzebaczalnych, ani jednego grzechu, którego by nie można naprawić. Anioł przebaczenia, prawdziwy anioł-stróż, towarzyszyć będzie każdemu człowiekowi i miłosiernie ścierać będzie ślady jego kroków, pozostawiających zmazę za sobą. Przypuśćmy jednak, że znalazł się człowiek, opierający się temu wszystkiemu, gardzący światłem, odrzucający łaski, i dla takiego jeszcze pozostaje ratunek. Wszystko może naprawić jednym łatwym aktem: oto na łożu śmierci niech powie światu: „Idź

precz!”, niech następnie zawoła do zbliżającego się Boga: „Żałuję z całego serca i miłuję Cię ponad wszystko!”

O, dobroci Boga! O serce, przepełnione miłością i spragnione miłości, jak wyraźnie tu się objawiasz!

To jest główna zmiana, jaką nieskończona miłość wprowadziła do pierwotnego planu. Ażeby złagodzić następstwa upadku, miłość stworzyła świat nowy, świat próby osobistej, powtarzającej się i rozlicznej; świat winy odpuszczalnej i grzechu, mogącego zyskać przebaczenie.

II.

Ale jest to dopiero pierwsza zmiana, wywołana upadkiem, a zaprowadzona w pierwotnym planie stworzenia przez miłość Bożą. Jest i druga bardzo bolesna, ale przedziwna; miłość jeszcze z większym blaskiem w niej się ujawnia.

Jest rzeczą pewną, że w pierwotnym planie człowiek, król świata, byłby się uświęcał wśród radosnego używania wszystkich darów Bożych, wśród królewskiego panowania nad całym światem, z wyjątkiem jednego, jedyne przedmiotu, którego musi słuchać. Świętość dawałaby światu cudny widok: piękności podwyższonej niewinnością, związku szczęścia i cnoty.

Jakkolwiek Bóg jest nieskończenie dobry, to jednak musiał ukazać inny jeszcze ze swoich przymiotów, skoro bunt się pojawił: musiał okazać sprawiedliwość. Sprawiedliwość jest to wstręt do złego; a miecz jej — to kara za zło. Bóg nie potrzebuje nawet sam tu działać. Kara sama z siebie przychodzi; wypływa koniecznie z winy, jak wynik wypływa z zasady. Jeżeli więc Bóg zezwolił na darrowanie człowiekowi kary wiecznej, na jaką zasługiwała obraza, wyrządzona Jego nieskończonemu Majestatowi, nie mogła nie nastąpić przynajmniej kara doczesna, gdyż grzech nieukarany jest nowym nieładem. Tylko ponieważ karę naznaczać miała nieskończona dobroć, była wszelka pewność, że boska harmonja zachowaną zostanie. Weźmy więc w dalszym ciągu opowiadanie Genezy, a słuchając skazującego nas wyroku, podziwiamy miłość, przemieniającą karę i z narzędzia, mającego nas zdruzgotać, czyniącą jeden z najpotężniejszych środków ku odrodzeniu ludzkości.

Gen. III, 17. — *Adamowi zaś rzekł Bóg: Iżeś jadt z drzewa, z którego ci bym cię kazał, abyś nie jadt: przeklęta będzie ziemia w dziele twojem... Ciernie i osty rodzić ci będzie... W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba.*

Oto pierwsze prawo upadłego świata. Grzech był aktem pychy, grzesznym rozszerzeniem panowania udzielonego człowiekowi; karą za grzech będzie umniejszenie tego panowania. Człowiek nie będzie już wielkim królem natury, a choć nie stanie się jej niewolnikiem, to w pracy swojej na każdym kroku czuć będzie jej opór.

Praca bezwątpienia istniała i w ziemskim raju, ale tam miała inną cechę. Była to niejako praca człowieka bogatego, który z zamiłowania hoduje kwiaty, a krzyżując różne odmiany, ozdabia swoją siedzibę i wzbogaca całość stworzenia; praca artysty, urabiającego garść ziemi, wlewającego w nią swoje natchnienie i życie; praca poety, marzyciela, czującego harmonję światów i używającego jej słów i głosu swojego.

I dlatego, badając najgłębsze nasze uczucia, przekonamy się, że nie mamy dla pracy tego nieprzewyższonego wstrętu, który uczuwamy względem boleści i śmierci. Kochamy pracę, czujemy, że ona zawsze była prawem dla naszej pomysłowej, czynnej, przemysłowej natury. Wstręt w nas budzi jedynie praca przymusowa, ciężka, ten nowy rodzaj pracy, o której Bóg powiedział: „*Ziemia ciernie i osty rodzić ci będzie... w pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba*”.

Rzeczywiście, ziemia pozostawiona samej sobie rodzi dziś tylko ciernie i osty. Nawet wtedy jest ona cudownie piękna, gdyż człowiek nie mógł z niej Boga usunąć. Te ciernie i kolce spletała ona z niesłychanym artyzmem; gromadziła piaski pod stopy niepracującego człowieka i majestatycznie pokrywała niemi ruiny. Ale przestaje być żyzna, skoro tylko nie jest skrapiana świętym potem pracy. Od sześciu tysięcy lat ją uprawiamy; jeszcze nie całą ją obsialiśmy. Żywi ona trochę więcej niż miliard ludzi; gdyby była dobrze cała uprawiona, wyżywiłaby trzynastę miliardów. Nie umieliśmy nawet zachować naszych zdobyczy. Zarzuciliśmy cudne ogrody: Afrykę, która była śpichlerzem cesarstwa rzymskiego; Grecję, z której starożytni uczynili gaj laurów i granatów; Wschód, prawie cały. Gdy tylko pług nasz się zatrzyma, gdy pot nasz płynąć przestaje, ziemia powraca do ostów i cierni, pod którymi węże

pełzają, a pustynie jej i nieuprawne stępy zapełniają się dzikimi zwierzętami.

Ale zato jakież cuda tam, gdzie pracujemy! Lasy sadzone, bagniska osuszane, rzeki ujęte w tamy, powietrze oczyszczone, klimat zmieniony i człowiek duchem wzrastający! Bo oto boskie prawo pracy: uprawiając ziemię, uprawiamy naszą duszę. Wyrzucając z korzeniami ciernie i osty, wyrzucamy z serca, z umysłu naszego sromotne nieużytki, uśpione, trujące pierwiastki, wstrętne pożądliwości. Rzecz można, że ziemia to tylko ciąg dalszy naszego ciała. Ten sam bunt jest tu i tam; ujarzmiając jedno, ujarzmiamy i drugie. Faktem jest, że w miarę, jak przy usilnej naszej pracy ziemia się użyźnia i upiększa, jednocześnie i krew nasza się oczyszcza, pierś się rozszerza, mięśnie wzmacniają, wysychają niskie, niezdrowe części naszej natury, części jej zbuntowane uspokajają się, zatrute opary zepsutej krwi się rozwiewają, i zaczyna się odrodzenie człowieka. Ludy pracowite były zawsze ludami czystymi, a ludy czyste zawsze były pracowitymi. Po sześciu tysiącach lat doświadczenia wiemy, że wielkość, piękność, cnota, siła, szlachetność wzrastają w człowieku w miarę jego pracy.

III.

A jednak jakkolwiek potężna i odradzająca była praca, nie mogła ona powściągnąć zbuntowanej natury człowieka, a tem mniej ją przemienić. Trzeba tu było potężniejszego czynnika, głębiej przenikającego w ciało i sięgającego aż do żył, by w nich odszukać krwi skażonej.

I Bóg rzekł do Adama: *Ziele będziesz jadt ziemi... w boleści, w pracach jeść z niej będziesz po wszystkie dni żywota twego.*

Do niewiasty też rzekł: *Rozmnożę nędze twoje i poczęcie twoje. Z boleścią rodzić będziesz dziatki.*

Oto po raz pierwszy pojawia się na ziemi wielkie imię boleści! Zamiast pracy szczęśliwej, praca w boleści! Rodzenie w boleści zamiast owego błogosławionego zachwyty, podczas którego Ewa wyszła z serca i boku Adama! I to jest drugie prawo nowego świata.

Grzech bowiem był nie tylko aktem pychy, ale i pożądliwości. W każdym wynoszeniu się naszej duszy jest, przez nieuniknioną reakcję, poddanie się jej pod jarzmo zmysłów. Dla przywrócenia więc ładu trzeba było, by się zjawiała boleść.

wstrętnem narzędziem do całkowitego odrodzenia człowieka!

Śmierć przetapia niejako ciało, zmazane grzechem; do ostatniej kropli wyszukuje zepsutej krwi w jego żyłach; nie osłabia jej nieczystych wyziewów, ale je gasi. Unicestwia, niszczy wszystko, aż do ostatnich fibrów, bo wszystko jest zepsute. Zachowuje jedynie pierwiastki proste, nieżyjące, z których Bóg kiedyś utworzy na nowo ciało człowieka, ciało czyste i uwielbione. Dlaczegoż to cmentarz jest miejscem świętem, dlaczego ziemia jego nazywa się *świętą ziemią*? Nie dlatego tylko, że w niej spoczywa ciało człowieka, ale dlatego, że się tam ono rozkłada, że tam za pokutę staje się prochem, a stając się prochem, oczyszcza się i przygotowuje do uwielbienia. Cmentarz nie jest tylko miejscem spoczynku; to jest pracownia, gdzie przez zniszczenie dawnego przygotowuje się nowy gmach.

Jeżeli taka jest praca śmierci nad upadłym ciałem człowieka, cóż dopiero powiedzieć o pracy jej nad duszą? Tu już nic nie burzy; wszystko powiększa, wszystko podnosi do wzniosłych rozmiarów. Dusza, rozłączając się najpierw z rzeczami stworzonymi, następnie z własnym ciałem, zadosyć tem czyni za rozłączenie swoje z Bogiem; ofiaruje Bogu zadosyćczynienie, równające się grzechowi, zadosyćczynienie w pewnej mierze nieskończone, gdyż dalej posunąć go już nie może. Głosi panowanie Boga nad wszystkimi rzeczami i, rozłączając się z ciałem, cześć oddaje Jego wiecznej istności; uznaje Jego sprawiedliwość, przystając na ono rozłączenie, a jeżeli do tej przepaści upokorzenia, ofiary i cierpienia, nazwanej konaniem, zstępuje z poddaniem, z posłuszeństwem, wtedy miłość ku Bogu posuwa do najdalszych granic. O boska piękności śmierci, gdy dusza godna jest przyjąć jej naukę! Upadek jest naprawiony; próba ukończona; zaczęła się w pracy, ciągnęła w boleści, kończy się w śmierci. A jak za każdym krokiem człowiek się podnosił, jeżeli tylko chciał! Wielki jest w pracy; wzniosły w boleści; niemal boski w śmierci. Skoro tam dojdzie, dusza odrzuca ciało, niby zbrukana, zniszczoną szatę, a czekając na nową, która jej ma być zgotowana, śpieszy ukryć swą nagość na łonie Boga.

Oto plan nowego świata; oto jego prawa, w których objawiają się mądrość, potęga, dobroć, miłość nieskończona. Tam, gdzie wieczna kara zdawała się niezbędną.

wystarczy oto śmierć doczesna. Tam, gdzie ruiny były tak zupełne, że żadne odbudowanie możliwem się nie zdawało, zaczyna się stawianie gmachu piękniejszego. Zanieczyszczone złoto przejdzie przez trzy ognie i wyjdzie bardziej błyszczące, cenniejsze. Adam musiał się zdumieć, słysząc te słowa, a z ócz jego polały się łzy, które już nigdy nie miały przestać płynąć.

V.

Jakkolwiek wielkiem było to objawienie miłości nieskończonej, niespodziane wystąpienie miłosierdzia i litości, był to dopiero sam początek. Z ust Boga miało paść słowo, które głębiej rozbrzmiewać będzie w sercu upadłej ludzkości i po łzach żalu wycisnie łzy wdzięczności, uwielbienia i miłości.

Zgniółłszy, spiorunowawszy niewiastę, Bóg teraz ją podnosi, objawiając jedno z najwznioślejszych postanowień swego serca. Zwracając się do węza, mówi: „*Położę nieprzyjaźń między tobą a między niewiastą i między nasieniem twem a nasieniem jej: ona zetrze głowę twoją*”.

A więc będzie odwet. Ten, który do upadku doprowadził niewiastę, zostanie przez nią zdeptany. Wnętrzałości niewiasty nie zawierają jedynie przeklętej rasy. Z mnóstwa istot, które z niej wyjdą, będzie jedna czysta, jasna, potężna, błogosławione nasienie, przez które cała ludzkość pomszczona zostanie. Cóż rzec na to? jakież to widoki otwierają się przed nami?

Przypomnijmy sobie pierwotny plan stworzenia, wielki zamiar Boga zstąpienia wśród istot, połączenia się z nimi w jedność osoby, a po obdarowaniu ich blaskiem wszelkiej piękności stworzonej zakończenia tych cudów wylewem światła i piękności nieskończonych. Jak byłoby się dokonało to zstąpienie? Bezwątpienia w szczęśliwości i chwale. Słowo byłoby się ukazało na ziemi, jak na Taborze, by gromadzić około siebie wszystkie stworzenia i wstąpić z ziemi do nieba.

Ale teraz, gdy ziemia bunt podniosła, cóż się stanie z tym planem? Jakto, Bóg miałby zstąpić tu, na ten świat skażony? miałby połączyć się z upadłą, zmazaną grzechem naturą? To się wydaje niemożliwem!

A jednak, jeżeli Bóg tego nie uczyni, cóż będzie z ludzkością? Jak potrafi w takiej bezsilności znieść szla-

chetnie, wspaniałomyślnie ciężką karę? Czyż kara doczesna, zamiast odrodzić ludzkość, stanie się tylko straszną bramą, wiodącą do kary wiecznej? I gdyby jeszcze chodziło tylko o Adama i Ewę! Ale w nich są niezliczone pokolenia istot, które osobiście nie popełniły grzechu Adamowego, czyż i te narówni z nim będą ukarane? Bóg wzruszył się litością; miłość znów się odezwała, i na gruzach upadłego świata postanowił Wcielenie.

Wcielenie już nie w chwale, jak przy pierwotnym planie było zamierzone, ale coś o wiele jeszcze piękniejszego: Wcielenie w boleści.

Człowiek skazany został na pracę: Słowo Boga stanie się człowiekiem i będzie z nami i jak my pracować, aby nauczyć nas święcie i szlachetnie pracować.

Człowiek skazany został na boleść; Słowo stworzy dla siebie możliwość cierpienia i wychyli do dna czarę wszelkiej boleści, aby nas podnieść i dać nam odwagę do jej znoszenia.

Człowiek skazany jest na śmierć, i Słowo przedwieczne, niezmiennie, dla złagodzenia nam tej kary, znajdzie sposób, by umrzeć najhulajniesz, najsromotniejszą i najokrutniejszą śmiercią.

Biorąc na siebie naszą karę, przemieni ją. Tak jak w dniach niewinności byłby zstąpił wśród naszych radości, naszych hymnów uwielbienia i dziękczynienia, aby im udzielić nieskończonej wartości, tak teraz zstąpi do naszych smutków i tęsknot, do naszych cierpień i trwóg kłopotów, aby im nadać nieskończoną cenę!

O, jak wielka jest dobroć Boga w naszych nieszczęściach! Jak niegdyś w raju ziemskim wznosiło się tajemnicze drzewo, u którego stóp zniszczone zostało przeznaczenie rodzaju ludzkiego, tak odtąd wśród świata wznosić się będzie dostojniejsze jeszcze drzewo, wokoło którego rozgrywać się będą z powodzeniem losy ludzkości. Jak Adam zbliżył się do drzewa próby, niosąc w sobie całą swoją rasę w strasliwej, powszechnej odpowiedzialności, tak Jezus Chrystus wstąpi na drzewo zbawienia, niosąc w sobie wszystkie dusze w niewymownej piękności powszechnego odkupienia. Adam, dotykając przez pychę drzewa próby, zmącił swoją naturę i zanieczyścił krew ludzkości pychą, pożądliwością i buntem; Jezus Chrystus, rozciągnąwszy się na krzyżu, przez pokorę przywróci równowagę i przez krew, oczyszczoną w jego żyłach i wylaną za nasze grzechy, obdaruje nas pokorą, posłuszeń-

stwem i ofiarnością. Adam mniej nas zubożył, niż nas wzbogacił Jezus Chrystus, mniej nas nagiął ku ziemi, niż nas Jezus podniósł ku niebu. Skoro się widzi jedną tylko stronę obrazu, pokusa przychodzi przeklinać Adama i bluźnić Bogu, że pozwolił, by cała ludzkość ginęła w tym jednym; ale gdy się patrzy na całość, na ten rodzaj ludzki, wychodzący z rąk Boga, obsypany wszystkimi Jego darami, zawarty następnie w Adamie i przez jego winę w tak łatwej próbie upadający, ale zaraz podniesiony w Jezusie Chrystusie i przez Jego Wcielenie ubóstwiony niejako i obdarzony większymi dobrami, niżby miał w stanie niewinności, o, wtedy łzy napływają do oczu i trzeba wielbić Boga, którego miłości żadna niewdzięczność pokonać nie zdoła!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Idea Wcielenia.

Doszlśmy do największej z tajemnic, do największej i najprostszej, do najciemniejszej z pozoru, a najjaśniejszej w rzeczywistości, do tej, która cudownym swym blaskiem rozświetliła niebo i ziemię.

Był zatem Bóg w niebie i był człowiek na ziemi, a między Bogiem a człowiekiem była przepaść, którą grzech z każdym dniem pogłębiał.

A potem, w określonej chwili, aby przepaść nie stała się nie do przebycia, aby Stwórca i stworzenie mogli się połączyć w miłości, zjawił się Bóg-Człowiek.

Oto Wcielenie; oto tajemnica Syna Bożego, który się stał człowiekiem, aby się zjednoczyć z umiłowaną przez siebie ludzkością i podnieść ją do Boga.

Nie będziemy teraz roztrząsać, czy tak jest, ani nawet, czy to jest możliwe; przyjrzyjmy się tylko samej idei Wcielenia i wyznajmy, że jest ona wzniosła.

Jest to najpotężniejsza idea religijna, jaka kiedykolwiek istniała. Jest tak głęboko ludzka, że wszystkie narody ją przeczuwały, jej pragnęły; ale jednocześnie jest tak śmiała, że żaden lud nie odważył się wznieść do zawrotnej wyżyny zupełnego zrozumienia onej tajemnicy. Nawet po objawieniu jej człowiekowi, co więcej, nawet po jej urzeczywistnieniu, jeden tylko Kościół katolicki nie ugiął się pod wielkością tej nauki. Wszystkie sekty, wszystkie herezje niepokojone były chwałą tej nadmiernej miłości i jedne po drugich zstępowały z Taboru, gdzie się widzi Boga i człowieka, złączonych w jednej osobie.

Zacznijmy to studjować. W każdym wielkim dziele są trzy rzeczy do rozważania:

Sama idea, która je zrodziła;
Możliwość jej urzeczywistnienia;
Wreszcie piękność wykonania.

Wszystko to rozpatrzmy pokolei. Nie zajmujemy się ani możliwością, ani historycznem urzeczywistnieniem Wcielenia; przyjrzyjmy się jedynie samej *Idei*. Jest ona niewymownie wzniosła i posiada pociąg nieprzeparty.

I.

Skoro się studjuje naturę człowieka, to wśród wielu uczuć, objawiających nam jego niebiańskie pochodzenie, napotykamy jedno głębsze i dziwnie piękne: potrzebę Boga. Naprózno grzech pierworodny poniżył naszą naturę, nie zdołał zniszczyć tego boskiego uczucia; gdyby to był uczynił, już odkupienie nie byłoby możliwe. Można nawet powiedzieć, że grzech powiększył to uczucie. Człowiek niegdyś wznosił się do Boga tylko przez swoje radości; dziś dąży ku Niemu przez smutki swoje, zawody, cierpienia; a gdzież ich niema, odkąd jest grzech? Czarna zasłona rozciągnęła się nad wszystkimi stworzonymi rzeczami. Idziemy ku nim radośnie, a one raniąc nas i zawodząc, zwracają ku Bogu.

Może kto powie: prawdą jest, że człowiek potrzebuje Boga; ale jakież związki istnieje między owem nieprzepartem dążeniem natury ludzkiej a tajemnicą Wcielenia? Czyż dusza, potrzebująca Boga, nie może Go wszędzie znaleźć?

Bóg, bezwątpienia, jest wszędzie, napełnia całą naturę miłością swoją i harmonją. Ale ludzkość nigdy nie zadowolniła się takim Bogiem; nie wystarczał On jej. Jest tak daleko, taki niewidzialny! Mówimy: jest wszędzie. Tak; ale nigdzie z Nim rozmawiać nie można. A dusza nasza, a ludzkość potrzebowała, żądała zawsze i nadewszystko Boga, któryby mówił.

Jakiż to Bóg, który nie mówi? Zaledwie urodzi się dzieciątko, a już matka doń przemawia, budzi je pieściami i śpiewem; a Bóg, który mnie stworzył, ten Bóg nie mówiłby do mnie nigdy, ani w dzieciństwie mojem, ani wśród niebezpieczeństw, ani gdy jestem smutny, ani gdy stworzonym rzeczom nakazuje milczenie, gdyż mi już wcale nie wystarczają! Nigdy, nigdy Bóg nie mówiłby do ludzkości, będącej Jego córką i tak bardzo Go potrzebującej! ależ to nedorzecznosc!

Wiemy, że w obecnych czasach twierdzą, iż sprzeciwiałoby się godności Boga, gdyby przemawiał. Wymysłono Boga niemego, Boga głuchego, Boga dumnego, Boga

zamkniętego w sobie, jak człowiek pyszny. Ale to jest Bóg niektórych tylko ludzi, także pysznych, nie przemawiających do Boga, nie modlących się do Niego, gdyż ubliżałoby ich godności paść przed Nim na kolana. Ten Bóg nie będzie nigdy Bogiem ludzkości.

W samej rzeczy, w jak dalekieby sięgnąć czasy, zawsze i wszędzie, tak u pogan, jak u żydów, spotyka się tę wielką potrzebę Boga, któryby mówił. Napróżno grzech pierworodny wycisnął na ludzkości piętno jakiejś trwogi; napróżno z głębi tego lęku wznosiły się czasem takie słowa: „*Non loquatur nobis, Dominus, Niech Pan do nas nie mówi*”¹⁾. Wkrótce prawdziwa natura brała górę. „Mów, Panie, wołano do Niego, mów; niech głos Twój brzmi w uszach naszych. *Sonet vox tua in auribus nostris*.” Błagano: „Obyś rozdarł niebios a i zstąpił! *Utinam dirumperes coelos et venires*!”²⁾. Z radością przytwierdzano sobie: „Oto przyjdzie, mówić będzie!” I to trwało cztery tysiące lat, aż dopóki pewnego dnia nie zabrzmiał nad jeziorem Genezareth głos: „Usłyszeliśmy, *quod audivimus*”; zawisliśmy zachwyceni u Jego ust, gdyż mówił, jak żaden człowiek tego nie czynił, i znaleźliśmy zaspokojenie tego najpierwszego pragnienia ludzkości: posiadania Boga, któryby mówił.

Obok tego pragnienia, które we Wcieleniu miało być zupełnie zaspokojone, zauważyć można i drugie jeszcze u ludów, poprzedzających przyjście Zbawiciela. Wzdychali nietylko za głosem Boga, ale pragnęli go widzieć; i nietrudno powodu tego się dopatrzeć. Gdy ktoś do nas przemówił, koniecznie, nieprzepracie, pragniemy go widzieć. Dlaczego? aby go lepiej poznać. Czyż, wymieniając jedynie listy, można się poznać dokładnie? Napróżno twierdzimy, że jaki styl, taki człowiek. Któż potrafi całą swą duszę zawrzeć w słowach? Czyż trzeba przypominać trudności, bóle pisarzy, poetów, mówców, nie mogących oddać uczuć duszy nieśmiertelnej w słowach bezsilnych, będących mizernem zaledwie ich echem?

Niechże przyjdzie ta upragniona dusza, niech błysnie w uśmiechu, niech się ukaże na obliczu; jeden jej promień, z ocz padający, więcej mi powie niż tysiące listów. Ludzkość pragnęła więc widzieć Boga, aby z jego oblicza otrzymać głębsze jeszcze objawienie.

I jeszcze z innego powodu pragnęła tego. Niestety, trudno nam kochać nawet tych, których widzimy. Istoty,

¹⁾ Ex. XX, 19. — ²⁾ Is. LXIV, 1.

nawet najbardziej nas zachwycające blaskiem swych zalet, ledwie na krótko przywiązują do siebie serca nasze! Jakżeż to będzie z Bogiem, którego nie widzimy? Wciąż Go szukając, nigdzie nie znajdując, nie dostrzegając nawet Jego cienia, jakże zdołamy uczuć dla Niego głęboko wstrząsającą miłość?

Gdy dołączymy do tego ową trwogę, spowodowaną grzechem pierworodnym, zrozumimy wołanie ludzkości: „O Panie, ukaż nam oblicze Twoje!” Ściagała Go nieprzerwanymi błaganiami, jak kogoś, co rozgniewany odchodzi: „Obróć się, a ukaż nam oblicze Twoje, a zbawionymi będziemy!”

I nietylko Żydzi tak Go błagali; niemniej namiętnie odzywali się i poganie. Przywoływali Boga z wnętrza ziemi, z łona mórz, z wysokości niebios. Wołali: „Przyjdź, stań się człowiekiem, stań się kamieniem, ale nie zostawiaj nas dłużej samymi”. Tak byli pewni wysłuchania, że gdy tylko ukazywał się kto ze światłem genjuszu na czole, w blasku niezwykłej piękności, już go witali okrzykiem: Oto Bóg! *Deus! ecce Deus! Incessu patuit dea!*

Wschód posunął się jeszcze dalej. W jego religjach, w jego historii wcielenia następują po wcieleniach, Bóg wciąż ukazuje się na ziemi. Ale niestety! wcielenia te były tylko marami, niezdolnymi zadowolnić wciąż wzrastających pragnień ludzkości.

Jeżeli więc Bóg chciał odpowiedzieć najgorętszemu wzdychaniu serca ludzkiego, musiał się zjawić na ziemi, ukazać nam to boskie oblicze, które Adam oglądał i na widok którego w miłości się stapał. I to się nareszcie stało. „Widzieliśmy Go!” woła św. Jan Apostoł, „*quod vidimus*”. Oglądaliśmy boską Jego piękność i, patrząc nań, uczuliśmy znikającą trwogę i powracającą miłość.

Czy to wszystko? O nie! Słodki i wielki Apostoł, służący nam tu za przewodnika, wskazuje trzecie, dziwniejsze jeszcze pożądanie serca ludzkiego, niemniej bosko zaspokojone. Nietylko chciano słyszeć Boga, nietylko widzieć Go, ale jeszcze chciano Go się dotknąć. Kogóż to można dotykać się na tym świecie? Zaledwie paru istot najbliższych, najdroższych naszemu sercu. A nawet i do tych niewielu, do swego ojca, do matki nie śmiemy się już zbliżyć, jeśli ich obraziliśmy, jeśli gniew na ich twarzy ujrzemy. Wtedy oni pierwsi przyjąć muszą, wyciągnąć ręce, nadstawić usta do pocałunku. I ludzkość dlatego pragnęła dotknąć Boga swojemi rękami. Jeszcze żywo w pamięci

miała Jego zagniewane wejrzenie w chwili, gdy człowieka z raju ziemskiego wypędzał; jeszcze w uszach jej brzmiała Jego groźby; a choć Bóg przez swych proroków zapewniał, że zawsze jest dobry i pełen miłosierdzia, że zawsze kocha człowieka, ludzkość nie mogła się uspokoić. Czuła, że drżać przestanie dopiero w chwili, gdy Bóg pozwoli jej rzucić się w Jego objęcia, głowę oprzeć na Jego sercu.

Posłuchajmy głosu umiłowanego Apostoła, głosu pełnego radosnego triumfu: „Nietylko widzieliśmy Go, słyszeliśmy Go, ale dotykaliśmy Go rękami naszymi, *quod manus nostrae contrectaverunt de Verbo vitae*.” I tak, dotykając Go, zrozumieliśmy w tej ścisłej poufałości, że znowu stał się On naszym przyjacielem.

Czyż zatem Wcielenie nie wydobywało się z głębin samejże ludzkości? Spadła ona z wysokiego tronu, poniżona, nędzna, nie mogła bez Boga się obejść i namiennie Go przywoływała. A potrzebowała Boga, którego by mogła słyszeć, widzieć, dotykać, z którym mogłaby się ściśle w miłości jednoczyć, a więc potrzebowała Boga Wcielenego.

Cóż więc mówią niektórzy, że Wcielenie jest dziwnym dogmatem? Wszystkie ludy oczekiwały tego, marzyły o tem, przeczuwały, spodziewały się, pragnęły tego tak gorąco, że gdyby człowiek miał możność stwarzania, byłby to uczynił!

Pierwsza to część wielkiej pieśni proroka: „*Aperiatur terra et germinet Salvatore!*” Niech się otworzy ziemia i zrodzi Zbawiciela!¹⁾

I ziemia się otworzyła; wielkie owo pragnienie rozdarła ją głęboko!

Nadszedł dzień, gdy te westchnienia ludzkości padły w serce Dziewicy najczystszej, pałającej ku Bogu miłością, przewyższającą wszystkie miłości. Tam nabrały siły, która wzruszyła Niebiosą. I przez tę Dziewicę, swą córkę, ludzkość sprowadziła Boga na ziemię. W niej i przez nią urzeczywistniło się słowo proroka: *Aperiatur terra et germinet Salvatore!*

Jakże z tych wyzyna widziane pewne zarzuty wydają się małostkowymi. Nie będziemy ich teraz rozpatrywać. Ludzkość nie zatrzymała się nad nimi; rzekła: „Uczyniona jestem dla Boga, dni moje w nędzy się wloką, dopóki Go nie ukocham; nie mogę Go kochać, jeżeli Go nie usłyszę, nie dotknę. Niech więc przyjdzie! Niech się ukaże!

¹⁾ Is. XLV, 8

Niech ujrzę cudne oblicze Jego, niech się niem serce moje zachwyci! Niech mi On pozwoli stopy swe ucałować, niech poda ręce swe, abym je łzami oblała, niech da głowie mojej zmęczonej spocząć na Jego sercu! Niech to uczyni, a umiuję Go”. Bóg to uczynił, i ludzkość Go ukochała. Cóż na to można odpowiedzieć?

Jak Bóg był kochany przed Wcieleniem, a jak jest kochany po Wcieleniu? Czyż nie stąd to, nie od Jego stóp, łzami oblewanych i pocałunkami okrywanych, czyż nie z Jego serca wyszły wszystkie dziewice, wszyscy apostołowie, wszyscy męczennicy, wszystkie owe dusze, gardzące ziemią a wznoszące się wysoko, aż do Boga!

Pierwszy to rzut oka na tę tajemnicę. Teraz jeszcze piękniejszy widok nam się odsłoni. Rozejrzyjmy się w nim; druga to część śpiewu Proroka: *Rorate, coeli, desuper, et nubes pluant Justum!*

II.

Ludzkość wzdychała do Wcielenia, pragnęła go tak gorąco, że gdyby mogła, byłaby je stworzyła, ale Bóg jeszcze więcej go pragnął. Dlaczego? Bo Bóg kocha nas miłością, o jakiej nigdy pojęcia mieć nie będziemy.

Chcąc przedstawić sobie wielkość tej miłości, trzeba wspomnieć na owo tajemnicze prawo ojcostwa: miłość zstępuje. Od dzieciństwa miłowani byliśmy przez rodziców naszych tak, jak ich nigdy kochać nie będziemy. A dziś, stawszy się ojcami, obdarzamy nasze dzieci miłością, jakiej nam oni nigdy nie oddadzą. A gdy lata szronem głowę nam ubielą, gdy patrzeć będziemy na śpiące w kołysce nie nasze już dziecko, ale na dziecko naszych dzieci, uczujemy płonąca miłość, niemal namiętność ku tej małej istotce. Otaczamy ją szalonym przywiązaniem, którego ona, uniesiona wirem życia, nigdy nam nie zwróci! Oto obraz miłości Boga ku nam! Kocha nas jak ojciec, z siłą, o jakiej pojęcia nie mamy.

Gdy się kocha, coż wtedy staje się potrzebą serca? Oto dać siebie w całej rozciągłości miłości, wynaleźć dar, w którymby tę miłość w zupełności wyczerpać można było. To jest wytłumaczenie tajemnicy Wcielenia; innego niema.

Ażeby przekonać człowieka, chociażby najbardziej zdumionego wielkością tej tajemnicy, wystarczy skłonić go, by uznał dwie rzeczy: 1-o że Bóg jest miłością; 2-o że

Bóg jest miłością wszechmocną. Skoro kto zgodzi się na te dwa pewniki, skoro przyzwoli, by mu te dwa słońca ukazać, tyle z nich światła wyciągnie, że wszelkie, najgrubsze ciemności będą musiały zniknąć.

Nieraz już wykazywaliśmy, że Bóg jest miłością, samą miłością. Św. Jan mówi: *Deus charitas est*¹⁾; nie potrzebujemy do tego wracać. Już przez miłość stwarza; stworzył niebo, ziemię, gwiazdy; ale czemu było to wszystko? Urobił człowieka własnymi rękoma; przyozdobił go wszelkimi darami natury i łaski. Niedosyć na tem. Przypuścił niektórych ludzi do ścisłego połączenia się z Nim sercem, podniósł ich do zachwyty miłości; chciał jeszcze dalej się posunąć. Wyżej ponad tem jest zjednoczenie osobowe, zjednoczenie hipostatyczne, to niewysłowione zjednoczenie, które z dwóch osób czyni jedną tylko. Bóg chciał dojść aż do tego. Czyż to może wydawać się dziwnem? Nie rozważajmy jeszcze, czy to zjednoczenie jest lub nie jest możliwe. Przypuśćmy, że jest możliwe: czyż nie pojmujemy, że Bóg go pragnął? Właściwością miłości jest udzielanie siebie; właściwością nieskończonej miłości, jest udzielanie się bez końca.

Ale aby ujrzyć całą potęgę tej myśli, trzeba dodać, że Bóg jest miłością wszechmocną. Te dwa wyrazy, złożone ze sobą, zachwycają, przygotowują nasz umysł do czegoś nadzwyczajnego.

I my jesteśmy miłością, ale miłością bezsilną. Mamy wzniosłe marzenia, ale są to tylko marzenia. Nie udaje nam się urzeczywistnić pragnień naszego serca. W smutny i tkliwy sposób wypowiedział to Pascal: „Największą ułomnością człowieka jest, że może tak mało uczynić dla tych, których kocha!”

A jednakowoż, czegoż to nie zdziałała ta bezsilna miłość? Oto, co mówi autor *O Naśladowaniu*: „*Amor magna operatur*, miłość czyni wielkie rzeczy. Miłość jest śmiała, odważna, niezwyciężona! Miłość łamie wszelkie przeszkody, miłość dokonywa rzeczy niemożliwych!” Cały ten rozdział V, księgi III *O Naśladowaniu* jest cudowny. A jaki wspaniały komentarz daje doń Bossuet: „Czegoż to nie każe czynić miłość chwały duszom odważnym; miłość bogactw duszom najpospolitszym; wreszcie wszystkim wszystko to, co nosi nazwę miłości! Nic nie waży niebezpieczeństwa, prace, trudy; oto cuda, do jakich zdolny jest człowiek. Jeżeli człowiek, będący słabością, kusi się

o niemożliwe, czyż Bóg dla zadowolenia swojej miłości, nie uczyni nic nadzwyczajnego? We wszystkich tajemnicach jako jedyną przyczynę stawiamy: Bóg tak ukochał świat! Jest to nauka Mistra i dobrze ją pojął ukochany uczeń. Za jego czasów pewien herezjarcha Cerynt nie chciał wierzyć, aby Bóg mógł stać się człowiekiem; cóż mu na to odpowiada ten Apostoł-Dziewica, ten prorok Nowego Testamentu, ten orzeł, ten doskonały teolog, ten święty starzec, nie mający już sił, jak tylko, aby mówić o miłości; cóż on odpowiada temu herezjarsze? jaki symbol, jakie nowe wyznanie wiary przeciwstawi rodzącej się herezji? Posłuchajcie i podziwiajcie. „Wierzmy, mówi on, i wyznajemy miłość, jaką Bóg ma dla nas. *Et nos credidimus charitati quam habet Deus in nobis*¹⁾. To jest cała wiara chrześcijanina; to jest streszczenie i przyczyna symbolu. Bóg umiłował. Wszystko tem wypowiadamy”²⁾.

Tak; Bóg umiłował; wszystko się tem wyraża; wszelkie zarzuty stają się już niemożliwe. Bo i jakie mogą być zarzuty? Że Bóg łączy się z ludzkością; że ma duszę i ciało jak nasze; że to ciało wziął z łona niewiasty! Jakto! Bóg narodził się, jak my! Bóg cierpieć, jak my, będzie! Bóg umrze, jak my! ależ to są niemożliwości! Tak; ale miłość czyni niemożliwe rzeczy.

Ależ to jest nadmiar, to szaleństwo! Tak; ale miłość popełnia szaleństwa.

Ależ to niegodne Boga! „Nie przeczę temu”, mówi Tertuljan³⁾, ale dusze najwyższe, najdumniejsze, skoro kochają, unizają się, upokarzają, zbyt szczęśliwe, jeśli za tę cenę zdołają uratować tych, których kochają.

A raczej nie, odpowiada św. Augustyn; skoro miłość się pojawia, niema już niegodności.

Ta niewiasta, ta matka, wybiegająca z domu napół odziana, aby ratować dziecko swoje, narażone na niebezpieczeństwo, jest szanowną, godną szacunku, a ten, ktoby z niej szydził, jest godnym pogardy nędznikiem!

Ten stary ojciec, król Priam, klęczący u stóp Achillea, całujący ręce jego skrwawione i mówiący: „Osądź wielkość mego nieszczęścia, skoro całuję rękę, która zabiła mego syna!” — on się nie upadła, nie poniża; on się wywyższa, gdyż kocha. I gdyby się znalazł ktoś, coby wyśmiewał... Ale nie; nigdy się nie znajdzie dość na to podła, wstrętna istota.

¹⁾ Joan. IV, 16. — ²⁾ Bossuet, *Mowa na pogrzebie Anny Gonzagi*. — ³⁾ Tertull., *De carn. Christ.* VII.

¹⁾ I Joan. IV, 16.

Oto, jak miłość postępuje; oto czyny, które mogą dać pojęcie o tajemnicy Wcielenia. Przytoczyliśmy przed chwilą słowa Bossueta; posłuchajmy teraz innego, zupełnie różnego głosu człowieka światowego, filozofa, niedowiarka, ale potężnego umysłem. Szydzi zlekka z filozofów: „Potrzeba im co najmniej, mówi on, Boga rozsądnego; tak że mniej hojni są dla Boga, niż dla człowieka gdyż zgadzają się, że człowiek może się wzniesć ponad prosty rozsądek. Bez wątpienia, chwali się człowieka mówiąc, iż jest on rozsądny; wszyscy jednak rozumiemy, że niewiele się przez to wyraża. Być rozsądnym to rzecz najpospolitsza, podczas gdy być bohaterskim nie jest właściwością każdego człowieka. Czynić dobrze swoim nieprzyjaciółom, kochać ich — to przewyższa rozsądek. Wiele innych reguł i to najpiękniejszych, najzdolniejszych podnieść człowieka, byłyby niemożliwymi do pełnienia, gdyby człowiek nie potrafił nic uczynić, coby się nie wznosiło nad rozsądek. Dlaczegoż więc i Bóg nie mógłby uczynić czegoś, coby przechodziło rozsądek? Można by z Hamanem odpowiedzieć tym pocziwcom, chcącym gwałtem mieć rozsądnego Boga, że skoro nie mogli wzniesć się do uważania Boga jako geniuszu, to nie warto dowiadywać się, co oni uważają za rozsądne lub nierozsądne. Gdy idzie o jakiś wielki czyn, czyż go się obniża, mówiąc, iż przechodzi on ludzkie pojęcie? Dlaczegoż mówiąc w ten sam sposób o Bogu, obniżaloby się tajemnice chrześcijańskie? Są czyny i dzieła nawet czysto ludzkie, których nikt nie rozumie. A przecież Bóg nieskończenie bardziej przewyższa człowieka, niż człowiek jeden drugiego przewyższyć może swymi uczuciami¹⁾).

Godne uwagi są te słowa. Tam to rzeczywiście, w tej naturze Boga, przewyższającej nieskończenie wszelką naturę ludzką, przewyższającej ją w geniuszu, w dobroci, w tkliwości, w miłości, trzeba szukać ostatecznej przyczyny tajemnicy Wcielenia. Bóg stworzył człowieka z miłości i zamiast tem się zadowolić, jakby się zadowolniło pospolite serce, On pragnął coraz więcej czynić, pełnić rzeczy niemożliwe, ażeby na wieki zachwycić człowieka widokiem zjednoczenia, o jakim ten nie mógł mieć nigdy pojęcia.

Oto drugie wejrzenie na tajemnicę Wcielenia, druga część pieśni proroka, piękniejsza jeszcze, niż pierwsza: *Rorate, coeli, desuper, et nubes pluant Justum.*

¹⁾ Schelling, *Philosophie de la révélation.*

III.

A więc ta godna uwielbienia Istota, Bóg i człowiek razem, którą nazywamy zarazem Panem naszym Jezusem Chrystusem, jest wynikiem podwójnej miłości: miłości Boga dla człowieka i miłości człowieka dla Boga. Jest zlanie się dwóch wspaniałych potoków. Miłość nieba ku ziemi i miłość ziemi ku niebu Go zrodziły. A zatem jest On najwyższem pięknem, jakie kiedykolwiek było.

Aby jednak zrozumieć ową niewymowną piękność, trzeba by jeszcze pogłębić samą ideę, zanalizować ją bardziej szczegółowo, aby możliwe światło stamtąd wydobyć. Spróbujmy to uczynić.

W Jezusie Chrystusie są trzy tajemnice, tworzące jedną, trzy tajemnice nierozdzielnie ze sobą połączone, z których nic nie można odjąć bez uczynienia ich zupełnie niezrozumiałymi.

Pierwsza z nich Wcielenie, to jest wzięcie przez Słowo natury ludzkiej na siebie.

Druga, Odkupienie, to jest skruszenie tej natury i wyłanie tej Krwi Boskiej.

Trzecia, Eucharystja, czyli tajemnica odradzającej się ludzkości przez spożywanie tego Ciała i picie tej Krwi.

Oto Jezus Chrystus w całości; gdyż Jezus Chrystus wziął tę Krew tylko nato, by ją wylać, a wylał ją dlatego, by ją w nasze żyły wprowadzić i przez to nas odrodzić.

Te trzy tajemnice, stanowiące Boga-Człowieka, odpowiadają trzem wielkim cechom miłości w sercu człowieka, a więc i w sercu Boga. Bo nigdy dość nie można powtarzać, że niema dwóch miłości: innej w Bogu, a innej w człowieku. Miłość, zawarta w sercu Boga, i miłość w sercu człowieka to jedna i ta sama, z tą różnicą, że w Bogu jest ona nieskończona. Jeżeli więc chcemy się dowiedzieć, co się dzieje w sercu Bożem, posłuchajmy uderzeń naszego serca i to uczucie rozszerzmy do nieskończoności.

A w naszym sercu są trzy przedziwnie piękne uderzenia miłości. Pierwszem jest potrzeba pozostawania z tymi, których kochamy. Dlatego cierpimy, opuszczając ich, płaczemy przy odjeździe, z niecierpliwością oczekujemy powrotu; czasem popełniamy szaleństwa, by skrócić czas i dzielącą przestrzeń. Stworzyliśmy koleje żelazne, tele-

grafy nie tylko dla handlowych korzyści, ale przede wszystkim dla dogodzenia uczuciom serca, abyśmy mogli częściej, dłużej przebywać z naszymi ukochanymi. Skoro więc my, istoty skończone, samolubne, zamknięte w sobie, uczuwamy potrzebę rzeczywistej obecności tych, których kochamy, dlaczegożby jej nie uczuwał Bóg, będący miłością nieskończoną? Uczuł ją też i to z siłą, o jakiej pojęcia nawet nie mamy. I z tego to uczucia wynika pierwsza tajemnica Boga-Człowieka: *Et Verbum caro factum est et habitavit in nobis*.

Drugie uderzenie serca ludzkiego, druga cecha miłości bolesna, powiedzmy raczej szczęśliwa, szczęśliwsza, niż pierwsza, to pragnienie cierpienia za tych, których kochamy, poniżenia się dla nich, jeśli są małuczkimi; umniejszenia ich prac i trudów nawet za cenę krwi naszej, a jeżeli umniejszyć ich nie można, przynajmniej dzielenia ich z nimi, aby im przez to okazać swą miłość. To tkwi w każdym sercu, godnem miłować, a zatem i w sercu Boga. Jak się to dzieć może? jak Bóg może odczuwać pragnienie cierpienia za tych, których kocha? Nie wiemy. Ale gdyby Bóg tego nie czuł, jakże my moglibyśmy to odczuwać? skąd przyszłaby nam taka wielkość? Gdyż stanowczo jest to wielkość i to jedna z najwznioślejszych. A zresztą, co tu dyskutować; Bóg uczuł to szlachetne, wzniosłe pragnienie, aby cierpieć za tych, których ukochał, aby stać się równie jak oni małym, równie jak oni ubogim, mniejszym, uboższym jeszcze. To też dlatego po Betleem nastąpił ogród Oliwny, po Getsemani — Kalwarja.

Nakoniec jest w naszym sercu trzecie uderzenie, niejako trzeci pierwiastek miłości: ożywiać tych, których kochamy, wynosić ich, wywyższać. Któryż ojciec, zużywający całe życie w ciężkiej pracy, nie zadrżał radością na myśl: Syn mój większy będzie niż ja. Któryż młodzieniec, wchodzący w życie, czując, że dosięga sławy, zaszczytów, chwały, nie wyznał z radością: Połowa tej chwały należy się ojcu mojemu; z wszystkiego tego uwiję wieniec i włożę go na głowę mojej starej matce.

A gdyby zaszła potrzeba dać własną krew dla wrócenia do życia tych, których kochamy, któżby się dać jej zawahał? Pewna matka, karmiąca swe dziecko, czując, że mleka zaczyna jej brakować, wołała: Gdybyż ono chciało ssąć krew moją! To uczucie człowieka można nazwać boskiem.

Znana jest ogólnie skreślona przez Dantego opowieść o Ugolinie, mniejsza o to, czy jest ona prawdziwie historyczną, czy też wielki genjusz we własnym tylko natchnieniu ją znalazł. Ugolin z czterema synami zamknięty w więzieniu skazany został na śmierć głodową. Przez trzy dni siedział nieruchomy, obrócony do ściany, by nie patrzeć na męczarnie synów; ale czwartego dnia cierpienie stało się silniejszym nad jego wolę; konwulsje, śmierć zapowiadające, zaczynają nim wstrząsać. Wtedy, o przedziwna piękności serca ludzkiego! dwoje jego dzieci podnosi się, czołga ku niemu, a wyciągając rączki proszą, by ich ciałem głód swój zaspokoili. Jeżeli więc człowiek zdolny jest do takich uczuć, jeżeli, patrząc na umierających i męczących się tych, których kocha, gotów jest oddać ciało swoje, krew swoją, czyż można się dziwić, że Jezus Chrystus mówi do apostołów: „Bierzcie i jedzcie! to jest Ciało moje! pijcie, to jest Krew moja!”

To jest tajemnica Wcielenia; Bóg-Człowiek jest rozkwitem nieskończonej miłości; jest to Bóg, idący za głosem swojego serca i doznający radości, jakiej my nędzni nigdy nie zaznamy — radości zaspokoienia najgorętszego pragnienia.

I dlatego religja Jezusa Chrystusa zostanie na wieki religją ludzkości. Chwilowo, w przystępie samolubstwa, można o niej zapomnieć, nie rozumieć jej nawet. Ale przychodzi dzień, gdy serce się odzywa, gdy gotowość poświęcenia się wraca, gdy się cierpi, że ukochanym nic prócz łez swoich dać nie można; jeżeli wtedy przypadkiem wzrok nasz padnie na wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela, wzruszenie nas ogarnie i słowa się cisną: „Och! wszak Jezus Chrystus uczynił to tylko, co ja tak bardzo uczynić pragnę!”

IV.

Widzimy teraz, czym jest Wcielenie i jak ono powstało. Ziemia zniszczona, smutna, upadła, nie mogąca dłużej bez Boga się obejść, coraz goręcej Go pragnąc, westchnieniami swymi i pożądaniem ściągnęła do siebie Człowieka-Boga.

Niebo, miłosiernie i tkliwie skłaniające się ku ziemi, jednym tchnieniem miłości wydało Boga-Człowieka.

Co tylko jest boskiego w sercu człowieka, znajduje się w *Człowieku-Bogu*. Co jest ludzkiego w sercu Boga, znajduje się w *Bogu-Człowieku*.

W Nim i przez Niego niebo i ziemia, rozdzielone przestrzenią, rozłączone przez grzech, połączyły się w uścisku.

I nie tylko się połączyły, ale kochają się, a kochają *nieskończenie*.

Tak; od czasu Wcielenia człowiek kocha Boga nieskończenie. Dziękczynienia, uwielbienia, cześć i miłość, wydobywające się z jego serca, nie czołgają się już bezsilnie po ziemi; podnoszą się i w *Bogu-Człowieku* czerpią moc i wzlot nieskończony. A także, od czasu Wcielenia, Bóg kocha człowieka *nieskończenie*. Dla Jezusa Chrystusa i udzielonej mu piękności Bóg kocha człowieka już nie przez dobroć, przez miłosierdzie, kocha go nawet nie miłością ojca ku dziecku, ale tą samą miłością, którą kocha Słowo swoje, miłością nieskończoną.

Od czasu Wcielenia jest w Niebie miłość nieskończona ku ziemi, a na ziemi miłość nieskończona ku niebu. A Jezus Chrystus jest przyczyną i wynikiem tych dwóch miłości.

Jest rozkwitem miłości Boga dla człowieka i miłości człowieka dla Boga.

O, niewysłowiona piękności tajemnic chrześcijańskich! Błądzić można im jedynie, gdy ich się nie zna; można je znajdować dziwnymi, gdy się je ogląda powierzchownie; ale skoro się zbadało ich głębiny zakryte, gdy się ujrzało, jak one naturalnie wypływają z serca Boga i z serca ludzkiego, aby to ostatnie podnieść do wyżyn tamtego i złączyć je razem ściśle, wtedy łzy napływają do oczu, a usta milkną w uwielbieniu bez granic!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

O możliwości i rzeczywistości Wcielenia.

Niedosyć jest stwierdzić wzniosłość jakiejś idei; trzeba jeszcze zobaczyć, jak ona urzeczywistniona została. Najpierw dlatego, że dzieło nie jest doskonałe, jeżeli wykonanie nie odpowiada wielkości pojęcia; następnie, że często genjusz przy wykonaniu występuje z większym jeszcze blaskiem. Sama myśl jest wspaniała, ale ileż piękności może być w szczegółach! ile życia! ile olśniewającego ognia!

To właśnie okazuje się w tajemnicy Wcielenia. Miłość, powziąwszy tę myśl, przeszła samą siebie w jej urzeczywistnieniu.

Ale zanim przystąpimy do studjum o wykonaniu Wcielenia, musimy rozwiązać zarzut, który mógłby niepokoić pewne umysły i nie dozwolić im w pełni cieszyć się wspaniałością tego widoku. Czy Wcielenie jest możliwe? czy to nie jest marzenie? Jakto, zjednoczenie osobowe Boga i człowieka! skończoność i nieskończoność współistniejąca w jednej istocie! Toż to samo, co chcieć zjednoczyć ogień z suchem drzewem!

Oto, jaki jest zarzut; poświęćmy ten rozdział na jego rozświetlenie. Niech nam wolno będzie użyć trochę metafizyki i psychologii; postaramy się jednak być, o ile można, jasnymi.

I.

Najpierw rozejrzyjmy się w kwestji: „Czy nieskończoność może się złączyć ze skończonością?” Zaraz przekonamy się, że niema tu żadnej trudności, i że kwestja źle jest postawiona.

Gdyby Nieskończoność nie mogła się łączyć ze skończonością, nie byłoby tej ostatniej, bo i na czymżeby się oparła? Byłby to niby posąg w powietrzu.

Wszędzie Nieskończoność złączona jest ze skończonym. To jest znaczenie słów św. Pawła: *In ipso vivimus, movemur et sumus*¹⁾.

Jeżeli mamy sam byt, *in ipso sumus*, Nieskończoność jest podporą bytu.

Jeżeli mamy byt i ruch, *in ipso movemur*, Nieskończoność jest zasadą ruchu, koniecznym jego motorem. Już Arystoteles powiedział: Gdyby nie było nieskończonej przyczyny, nie byłoby skończonego ruchu.

Jeżeli mamy życie, *in ipso vivimus*, Nieskończoność jest jego podniętą.

To nie jest teologia, to nie jest objawiona wiara, to jest elementarna filozofia.

Nieskończoność wszędzie podtrzymuje skończoność; bez niej ta ostatnia rozwiązałaby się. Wszędzie, pod wszelkimi kształtami czynna, rzeczywista Nieskończoność złączona jest ze skończonym.

Temu nie można zaprzeczyć.

Idźmy wyżej; wstąpmy w sferę rozumu, wolnej woli i miłości. Czy rozum skończony może się łączyć z Nieskończonością? To samo znaczyłoby pytać się, czy rozum może myśleć; bo skoro myśli, to przez mnóstwo rzeczy przemijających, ruchomych spotka się nieodzownie z niezmiennym, wiekuistym, absolutnym. A czymże jest owo niezmiennie, jeśli nie Nieskończonością? „Jeżeli badam, mówi Bossuet, gdzie i w czym istnieją te wieczne i niezmiennie prawdy, muszę uznać, że jest Istota, w której prawda jest wieczyście trwająca... W Niej to, sposobem dla mnie niezrozumiałym, w Niej widzę te prawdy przedwieczne.” Fénelon mówi tak samo. Z powodu jednej z owych myśli wiekuistych i niezmiennych, myśli o nieskończoności, pisze on to zdanie: „Trzeba więc stąd na pewno wnioskować, że to Istota nieskończenie doskonała staje natychmiast przede mną, gdy o Niej myślę, i jest właśnie onem pojęciem, jakie mam o Niej”. A zatem istota myśląca, w chwili gdy dostrzega prawdę niezmienną, łączy się z nieskończonością. Stąd wypływa, że

¹⁾ Dz. Ap. XVII, 28.

w sferze wyższej nad byt i ruch, w sferze życia intelektualnego, skończone łączy się z Nieskończonością.

To samo da się powiedzieć o sercu. Pytać się, czy serce może się łączyć z Nieskończonością — to pytać, czy może ono kochać dobro. Gdyż tak jak prawda, dobro jest rzeczą niezmienną, niezłączoną. Dobro jest wieczne, nie podlegające zmianom; dobro to Nieskończoność. Serce, miłujące dobro, miłuje Nieskończoność, a zatem łączy się z Nieskończonością. Bo miłość to samo jest, co zjednoczenie.

Z pięknem ma się rzecz tak samo, ale już powtarzać się nie będziemy.

A więc wszelka istota rozumna, wszelka wolna wola, każde prawe serce, czysta wyobraźnia jest w stanie czynnego jednoczenia się z Nieskończonością.

A trzeba zauważyć, że to zjednoczenie nie we wszystkich jest jednakowe. U niektórych dochodzi do genjuszu; bo cóż to jest genjusz, jeśli nie potężniejszy wzlot jakiegoś umysłu ku Nieskończoności? U innych dochodzi do świętości, to jest do heroicznego, swobodnego zjednoczenia woli z Nieskończonością. Jeszcze u innych dosięga ekstazy. Ekstaza jest takim złączeniem stworzonego z Niestworzonym, że władze istoty stworzonej są na chwilę w zawieszeniu. Ekstaza najwięcej się zbliża do Wcielenia. Jeszcze są tu dwie różne osoby, Bóg i człowiek, ale człowiek zatopiony, zaprzepaszczonego w Bogu. Stąd do Wcielenia krok tylko jeden, ale krok ten, to przepaść.

Czy można ten krok przestąpić? oto pytanie. Chodzi o dowiedzenie się, czy to zjednoczenie skończonego z Nieskończonym, ta w niektórych przedziwna łączność mogłaby w uprzywilejowanej istocie dojść aż do osobowego zjednoczenia?

Cóż to jest osobowe zjednoczenie? Gdzie jest węzeł, który zadzierzgnięty około paru różnych natur tak potężnie je wiąże, iż z tych różnych substancji tworzy jedną tylko osobę? Tu leży główna trudność. Rozwiązać ją byłoby ciężko, gdybyśmy sami nie byli osobą. Na szczęście człowiek jest także wcieleniem; jest to duch złączony z ciałem w jedność osoby. Wejźmy sami w siebie; starajmy się wyczuć, gdzie w dwoistości naszej natury znajduje się węzeł naszej jedynej osobowości, a przez to przygotujemy się, aby dojrzeć cokolwiek z tajemnicy boskiej osoby Jezusa Chrystusa.

II.

W najogólniejszym pojęciu Wcielenie jest wzięciem na siebie istoty niższej przez istotę wyższą. Naprzykład, duch czysty, wnikając w ciało, ogarnia je, ogołaca z jego własnej indywidualności, czyni je swoim, i tych dwoje tak połączonych stanowią nową istotę: człowieka. Przedtem było ich dwoje; tak jedno jak drugie mogli mieć być różny. Dusza miała rozum, wolę, mogła być osobistością. Ciało żywe, organiczne mogło być także jednostką. Ale w pewnej chwili złączył się z nim duch i wtedy ciało straciło swoją indywidualność. Niech się na to nie skarży; nie będzie zwierzęciem, będzie człowiekiem.

Wcielenie w ogólności jest więc zjednoczeniem dwóch istot, wyższej i niższej, przez wnikięcie najściślejsze i zobopólne, które nie zatracając żadnej z nich, czyni z obydwóch jedną tylko osobistość.

A teraz czy takie zjednoczenie posunięte aż do osobowości jest możliwe między Bogiem a człowiekiem? Czy tak, jak dusza, ujawszy ciało, podnosi je ku sobie w jedność osoby, Bóg mógłby ująć człowieka i złączyć go ze sobą w jedność osoby?

Czemużby nie? Zdawałoby się mogło, że z tych różnych złączeń największą trudność przedstawia zjednoczenie Boga z człowiekiem; ale wcale to nie jest pewne. Dusza o wiele bliższa jest Bogu, niż swojego ciała. Bóg jest duchem, dusza jest duchem; podobna jest do Niego, choć nie jest Mu równa. Związek możliwy jest między podobnymi istotami. Ale gdzież jest punkt zetknięcia między ciałem naszym a duszą? Duch jest prosty, czynny, niepodzielny, nie podlegający zniszczeniu. Ciało jest bezwładne, ograniczone, dające się dzielić, ulegające zepsuciu. Jakże je połączyć? Trudno pojąć, że duch czysty łączy się z tem ciałem w jedność osoby i udziela mu swej myśli, swej woli, swej miłości!

O Boże, jakaż to tajemnica stworzenia człowieka, czyli wcielenie duszy! Była zatem chwila, gdy na niebie i ziemi były tylko istoty duchowe i istoty materialne, dusze i ciała, aniołowie i zwierzęta. A potem przyszedł dzień, gdy Bóg wziął jedno z tych ciał i jedną z tych dusz i połączył je tajemniczą jednością, najściślejszą ze wszystkich — jednością osoby. Duch wziął na siebie materję, podniósł ją, połączył ze sobą. Przed chwilą było ich dwoje odrębnych, a oto są jednym; są żyjącym człowiekiem.

To co opowiada boska historia, stwierdza dotykalnie wiedza. Jest chwila, w której ciało człowieka zamknięte w łonie matki istnieje jako zaledwie dostrzegalny, ograniczony punkcik. Nauka, badając go zapomocą mikroskopu, dostrzega już w nim całą organizację, która się potrochu rozwinie; ale niema tam jeszcze życia. Potem nadchodzi chwila, gdy zarodek poruszony jest niby jakimś prądem elektrycznym. Matka wzruszona uczuła życie. To przyjęcie duszy; duch ujmuje nieożywiony dotąd zarodek, łączy się z nim i podnosi do godności jednej ze sobą osoby. Przed chwilą materja była osobno, duch osobno, i gdyby węzeł boski ich nie spoił, pozostaliby dwojgiem różnych istot: aniołem i zwierzęciem. A teraz zbadajmy, gdzie kończy się anioł, gdzie zaczyna się zwierzę? Nie odnajdziemy tego; są już tylko jednym; połączeni są bezwątpienia węzłem, ale gdzie się on znajduje? Nikt na to jeszcze nie potrafił odpowiedzieć.

To samo, co widzimy w ludzkim wcieleniu, odnajduje się w boskim Wcieleniu. Przed narodzeniem Chrystusa, Bóg i człowiek byli także dwojgiem. W łonie Ojca było Słowo, Bóg doskonały, Osoba żyjąca z pełną siebie świadomością. Na ziemi w niepokalanem łonie Marii Dziewicy było ciało pożądające życia, już stworzone, nie ożywione jeszcze. I w chwili, gdy ludzka dusza Jezusa Chrystusa miała wziąć to ciało, jak się to z nami wszystkimi dzieje, i podnieść je do godności ludzkiej osoby, sama z tem ciałem ujęta została przez Słowo i wyniesiona do nieskończonej godności osobowego z Niem połączenia. Nie istniała sama w sobie, choć posiadała wszystko, czego nato potrzeba; istniała w Słowie. Słowo, ujawszy ją, ogołociło ją z jej ja, a raczej przeszkodziło temu ja, mającemu się narodzić, aby jej dać boskie Ja w uwielbionej Osobie Słowa. Bóg i człowiek mogli pozostać dwiema różnymi osobami. Są jedną. Ale któż zdoła powiedzieć, gdzie kończy się człowiek, gdzie się Bóg zaczyna? Któż odkryje punkt złączenia, węzeł tajemniczy zadzierzgnięty wokoło dwóch tak przeciwnych natur, natury ludzkiej i natury boskiej, i łączy je tak ściśle, że w tem nadzwyczajnem zjednoczeniu jest jedna tylko Osoba, Chrystus, Bóg-Człowiek.

Idźmy dalej. Trzeba jeszcze lepiej temu się przyjrzeć, a chcąc otrzymać całe możliwe co do tej tajemnicy światło, trzeba zstąpić do ostatecznych głębin ludzkiego wcielenia.

III.

Mam ciało, mam duszę. Czuję, jak są najzupełniej różne, ale czuję też, że są ściśle związane. Są tacy, którzy utrzymują, że mam tylko ciało; czuję nawet, że jest ona bardziej żywą. Są wprawdzie chwile, gdy ciało przewagę nad duszą bierze; ale są inne, w których wiem, że dusza podnosi ciało. Przewyższa je, większa jest od niego: sięga wyżej i dalej. Ona myśli, a w jakikolwiek sposób chce zbadać myśl, nic w niej materialnego nie znajduje. Myśl moja jest niepodzielna, nie ma granic, nie ulega zniszczeniu; jest wolna, działająca sama z siebie, jest doskonale, zupełnie bezmaterialna. Otóż gdzie jest wytwór bezmaterialny, musi też być i źródło bezmaterialne. A więc jestem jednocześnie duszą i ciałem; jedno i drugie są we mnie doskonale różne.

Czuając ich absolutną różność, czuję niemniej wzajemne ich przenikanie; może jeszcze wyraźniej czuję ich połączenie, niż ich odrębność. Spotykają się we mnie harmonijnie; krzyżują się w pewnym punkcie, którego nie potrafię wskazać. A wiedza widzi to, co ja czuję. W umyśle moim nie powstanie jedna myśl, jedno marzenie, w sercu mojem nie obudzi się żadne wzruszenie, żadne uczucie, żeby nie pozostawiły śladów na którymś z moich organów. Pokazano mi kiedyś mózg dziecięcia, które żyło zaledwie dni kilka. Była to powierzchnia gładka, miękka, bladoniebieskawa z różowymi żyłkami, niby czysta karta, na której dopiero pisać miano. Potem widziałem mózg młodego studenta. Już inaczej wyglądał; był stały; mocno zarysowany, wzbogacony mnóstwem rozlicznych fałdów i zagięć. Widziałem mózg innych ludzi czterdziesto, pięćdziesięcioletnich, był on tysiącami znakami pokreślony, dziwne miał na sobie zagłębienia, brózdki. Byłem wzruszony tym widokiem, bo oto dostrzegałem pracę myśli. Dotykałem niemal dziwnego połączenia duszy z ciałem. Każda myśl ducha pozostawia ślad na mózgu. Ale też zato i każda cząsteczka mózgu, tej substancji tak delikatnej, tak czułej, którą Bóg opancerzył pięknem czołem, każda cząsteczka oddziałuje na myśl. Niech się tam dostanie kropelka wody, niech nastąpi najłżejsze zadrażnienie, a już umysł jest sparaliżowany lub rozstrojony, już dziwaczne.

A to samo, co powiedziałem o mózgu, można dostrzec, choć trudniej, i w sercu. Dusza moja nie powe-

mie żadnego uczucia, przywiązania, żeby się ono natychmiast nie odbiło tam, w mojej piersi. Najbieglejszemu muzykowi nie odpowiedzą tak tony instrumentu, jak serce moje odpowiada mojej duszy. Uderza ono szybciej lub wolniej, silniej lub spokojniej, pełniej lub czystiej, wedle natury pociągów, miłości, zapałów, napełniających moją duszę. Gdyby anioł położył rękę na moim sercu, poznałby moje życie; po jego uderzeniach wyczułby różne stopnie czystości, tkliwości, bezinteresowności, zapomnienia o sobie, miłości czystej lub grzesznej namiętności, które kolejno podnosiły, rozszerzały, to znowu poniżały, bezczęściły moją duszę.

To samo dzieje się i z innymi organami ludzkimi. Są one z natury materialne, ale związane z duszą nabrały jakiegoś uduchowienia. Drgają z nią, myślą, kochają z nią, żyjąc życiem tysiąckrotnie wyższym niż to, jakim żyłyby bez niej.

Jest to niezupełny, ale prawdziwy obraz współistnienia dwóch natur w Jezusie Chrystusie, ich tajemniczego połączenia, ich zupełnej odrębności, wywyższania natury ludzkiej przez naturę boską.

Spójrzmy na Jezusa Chrystusa. Jest On wprawdzie człowiekiem. Ma, jak my, umysł, wyobraźnię, tkliwość, wolę, serce, a także ciało podobne naszemu. W Nim natura ludzka jest zupełna, bez żadnych braków, przerw. Żaden człowiek nie był bardziej niż On człowiekiem. A jednocześnie jest Bogiem, prawdziwym Bogiem w zupełności i doskonałości. Jeden rzut oka wystarczy, by się o tem upewnić, jak wystarczy jedno wejrzenie, by dostrzec w człowieku umysł i serce. „Jezus się rodzi, mówi Bossuet, ale się rodzi z Dziewicy. Posiła się, ale kiedy Mu się podoba; obchodzi się nawet bez pokarmu śmiertelnego, i za wszystko wystarczy Mu wola Jego Ojca. Śpi, ale w czasie snu swego nie dopuszcza, by łódź została wyrócona i zatopiona. Chodzi, a gdy rozkaże, woda pod Jego stopami staje się stałą. Umiera; ale umierając w trwożę wprawia całą naturę. I patrzcie, tak wszędzie właściwe miejsce zajmuje, że tam, gdzie występuje jako człowiek, pokazuje nam jasno, iż jest Bogiem; gdzie oświadcza, że jest Bogiem, pokazuje także, że jest człowiekiem. Tak mądre jest zastosowanie, tak roztropne rozmiernienie, czyli że wszystko tak jest urządzone, iż Bóstwo w całości się okazuje i słabość w całości, i to jest cudowne¹⁾).

¹⁾ Bossuet, *Pierwsze kazanie o Narodzeniu Zbawiciela*.

Ale co jeszcze jest cudowniejsze od współistnienia tych dwóch natur i ich widocznej odrębności, to ich tajemnicze zjednoczenie. Nie stoją one obok siebie; każda z nich nie ma swego własnego działania. Nie mieszając się, pozostając odrębnymi, działają razem w sposób niewymowny. „Jezus Chrystus, mówi św. Dionizy Areopagita, nie czynił rzeczy Boskich jak Bóg, ani rzeczy ludzkich jak człowiek. Ale będąc Bogiem i człowiekiem miał, żyjąc wśród nas, pewien sposób działania zupełnie nowy, który można nazwać teandrycznym, to jest bosko-ludzkim”¹⁾.

Tak jak w człowieku ciało jest wywyższone ponad siebie i niejako uduchowione przez połączenie z duszą, tak w Jezusie Chrystusie ciało i dusza są, rzecz można, ubóstwione. Jest tam dusza ludzka, są tam uczynki ludzkie, ale dusza je spełnia w inny, boski sposób. A przytem spełnia też takie, które zupełnie wychodzą poza zakres jej natury. Któż mógłby przypuścić, że mózg, owa masa miękka, będzie współdziałał, nieledwie pomagał myśli? Tak w zjednoczeniu ze słowem dusza ludzka została podniesiona do współdziałania w czynach, nie należących już do ludzkiego zakresu, w czynach będących działaniem Bóstwa.

Bossuet, mówiąc o tem, przytaczał papieża Hormisdasa „uniesionego zachwytem wobec tego niebiańskiego urzędu.” Moznaby też przytoczyć Orygenes, św. Justyna, św. Augustyna, św. Jana Złotoustego, św. Leona, wszystkich Ojców Kościoła, wszelkich wielkich teologów, wszystkich komentatorów Ewangelji. Wszyscy zachwyceni byli tym podwójnym charakterem Jezusa Chrystusa, zarazem Boga i człowieka, spełniającego wszystkie czyny Boga i wszystkie czyny człowieka i tak cudownie łączącego te działania, że trzeba było stworzyć nowy wyraz *teandryczny*, ażeby nim oddać to życie bosko-ludzkie i ludzko-boskie.

IV.

Prowadźmy dalej to porównawcze studjum wcielenia ludzkiego i Wcielenia Boskiego, tak zalecane przez Kościół, tak bardzo zgłębione przez Doktorów, i które jeśli nie tłumaczy tajemnicy, służy przynajmniej do wykazania jej możliwości.

¹⁾ Św. Dionizy, *Ep. ad Caium*.

Są więc we mnie dwie natury: natura duchowa i natura materialna, tajemniczo połączone, ale doskonale odrębne. Rzecz jednak dziwna; w tym nieznanym punkcie, w którym moje dwie natury spotykają się i niejako krzyżują, zdaje mi się niekiedy, że jest jeszcze coś trzeciego, ktoś, co mówi: *moje ciało* i mówi także *moja dusza*; ktoś, co do duszy mojej jak do kogoś drugiego przemawia: „Czemuś smutna, duszo moja, i czemu mnie trwożysz? Miej nadzieję w Bogu”¹⁾, a do ciała się odzywa: „Któż mię wybawi od tego ciała śmierci?”²⁾

Kimże jest ten trzeci? Jest to *Ja*. *Ja* — to nie jest ciało; *Ja* — to nie jest dusza. *Ja* — to dusza złączona z ciałem; to żywa świadomość zjednoczenia moich dwóch natur. A gdzie przebywa to *Ja*? Z pewnością w duszy, gdyż jest zasada, że jeśli dwie nierówne sobie istoty są połączone, *Ja* przebywa w istocie wyższej.

Ale trzeba to dobrze zrozumieć: nie przebywa w duszy, o ile jest ona ogniskiem działania, o ile sama działa lub zniewala do działania ciała; ale jest w duszy, o ile ona przywłaszcza sobie te różne czyny i czuje się nieodpowiedzialną. To właśnie nazywamy Osobą. Jeden wyraz charakteryzuje Osobę, nie *działanie*, nie *kierownictwo*, nawet nie *wpływ*, ale *Odpowiedzialność*.

Skoro więc w człowieku jest podwójna sfera działania duchowego i materialnego, za które osoba ludzka jest odpowiedzialna, czy byłoby możliwe, aby wyższy żywioł tu się wmieszał, a zostawiając człowiekowi jego działanie (bez tego bowiem nie możnaby pojąć człowieka), uczynił się za nie odpowiedzialnym i wziął na siebie różne czyny tej wybranej istoty, mówiąc: Czyny tej istoty są mojemu; ja za nie odpowiadam?

Tu rozum się miesza i oświadcza, że nic nie wie. Ale wiara przychodzi mu w pomoc, zapewniając, że to jest możliwe, że się to stało. Zapewnia, że w Panu naszym Jezusie Chrystusie są dwa ogniska działania: jedno ognisko czynów ludzkich, gdyż jest On człowiekiem, i ognisko czynów boskich, gdyż jest Bogiem, ale że jest jedno tylko środowisko odpowiedzialności i zasługi, czyli że jest jedno tylko *Ja*, jedna tylko *Osoba*.

Zapewnia, że owo *Ja* przebywa w uwielbionej Osobie Słowa, według wyżej zaznaczonej zasady, że gdy dwie nierównej wartości istoty są ze sobą zjednoczone, to śro-

¹⁾ Ps. XLII, 5. — ²⁾ Św. Paweł do Rzym. VII, 24.

dek odpowiedzialności i przynależności znajduje się w wyższej.

Tak więc człowieczeństwo Jezusa Chrystusa zachowuje swoje ognisko czynności duchowych i materialnych; ale odpowiedzialność za nie, z natury rzeczy mająca należeć do świętej Jego duszy, przeniesiona tu została na Słowo.

Z drugiej strony Słowo zachowuje odrębne ognisko czynności boskich.

Stąd wynika jedyna indywidualność złożona z dwóch natur: z natury ludzkiej, spełniającej czyny ludzkie; z natury boskiej, dokonywającej czynów boskich; ale obie pozostają w jednym środowisku atrybucji i odpowiedzialności, to jest zostają w jednej Osobie.

Oto jest treść tajemnicy Wcielenia, strona najmniejsza tego dogmatu: ciemna, bo tylko niedokładnie wiemy, co to jest Osoba, bo zresztą tę ciemność, która nas zastanawia w Jezusie Chrystusie, sami w sobie także nosimy, i tu nas ona nie dziwi.

Cóż, na przykład, mówią, gdy się dziecko narodzi? Czy mówią, że się dusza tego dziecka narodziła? ciało tego dziecka się urodziło? Nie; mówią: Urodził się. Kto? On, indywiduum powstałe ze zjednoczenia duszy z ciałem, Osoba. Tak samo, gdy mówimy: On myśli. On płacze. On głodny. Kto myśli? czy dusza jego? kto głód cierpi? czy ciało jego? Nie; myśli, płacze, głód cierpi, kocha ten, komu są przypisywane wszystkie te czyny duchowe i cielesne, jednostka, Osoba, Ja.

W Jezusie Chrystusie jest jedna tylko Osoba; Osoba Syna Bożego; jest jedno Ja, a jest w Słowie. Wszystkie zatem działania Jezusa Chrystusa duchowe i cielesne, boskie i ludzkie należą do Słowa, do Syna Bożego. Rodzi się; umiera; myśli; cierpi. Kto? czy dusza Jezusa Chrystusa? czy ciało Jego? czy Jego bóstwo? Nie; Osoba Jezusa Chrystusa, to jest Słowo, które jest Bogiem. Prawdą zatem jest mówić: Bóg się narodził; Bóg umarł, tak jak mówimy: człowiek umarł, choć jego dusza jest nieśmiertelna; człowiek myśli, choć jego ciało nie myśli. Czyny jego duszy i jego ciała odnieść wszystkie trzeba do jego osoby. W Jezusie Chrystusie czyny dwojakiej Jego natury boskiej i ludzkiej, należą do Jego Osoby, która jest Osobą Słowa Przedwiecznego, Syna Bożego.

Ale jakże można powiedzieć, że Bóg się narodził? czyż Osoba Słowa zaczęła istnieć?

Nie; Osoba Słowa jest wieczna. Ale nadszedł dzień, gdy Ten, który był, a był przed wszystkimi wiekami, wziął naturę ludzką, przyjął na siebie człowieczeństwo utworzone w łonie Marji Dziewicy, i owo przyjęcie nazywamy narodziem. Nie narodził się jako Bóg. Gdybyśmy tak mówili, nie byłaby to tajemnica; byłaby to niedorzeczność. Narodził się jako człowiek, to znaczy, że w owym dniu do swego przedwiecznie istniejącego Bóstwa przyłączył człowieczeństwo utworzone w łonie Marji.

Tak narodził się Chrystus. A teraz, jak dokonała się Jego śmierć? Jak nasza, przez rozłączenie ciała i duszy. Tylko tak ciało jak dusza, rozdzielając się ze sobą, nie rozdzieliły się ze Słowem. Przecięty został jeno węzeł, łączący duszę z ciałem; drugi, cudowniejszy węzeł łączący ciało ze Słowem i duszę ze Słowem; ten węzeł nazywany hipostatycznym, pozostał nietknięty. Stąd wynika, że nawet w grobie ciało Chrystusa pozostało uwielbione, gdyż zawsze złączone było z Osobą Syna Bożego.

Można z tego wynioskować, jaką wartość miały najmniejsze uczynki Chrystusa: jedna łza Jego oczu, jedno westchnienie Jego serca, jeden akt uwielbienia i miłości. Miały one wartość nieskończoną, ponieważ Słowo uczyniło je swojemi, i wzięło za nie odpowiedzialność. Z tego też widzieć można, jakimi darami ozdobione być musiało święte człowieczeństwo Zbawiciela, jaka łaska wszechmocna i nadobfita dana była Jego wolnej woli, ażeby zawsze pełnił takie czyny, za które odpowiedzialność mogło na siebie przyjąć Słowo!

V.

Nie potrzeba ostrzegać czytelnika, że przez poprzeczające uwagi nie myślimy ani umniejszyć, ani wytłumaczyć tajemnicy. Jeżeli ludzkie Wcielenie wymyka się przed wzrokiem umysłu, o ileż więcej Wcielenie Boskie. Ale trzeba zauważyć, że tajemnicą w człowieku nie jest ani obecność ciała, ani obecność duszy, ani nawet to przenikanie duszy przez ciało, przeciwnie, dla wszelkiej zdrowej filozofji te trzy punkta są najzupełniej jasne. Tajemnicą jest owo *jak*, ów węzeł, łączący to wszystko w harmonijną jedność. Tak samo jest i w Jezusie Chrystusie; i tu tajemnicą nie jest ani obecność człowieczeństwa w Chrystusie, ani obecność bóstwa, ani nawet przenikanie bóstwa

w człowieczeństwo. Wszystko to jasnym blaskiem jest oblane. Ciemnym, nieprzeniknionym we Wcieleniu boskim tak, jak i we wcieleniu ludzkim jest węzeł łączący. Tu zaczynają się ciemności, jakich nie przeniknie żadne oko.

Nie będziemy dłużej nad tem się zatrzymywać. Ale na zakończenie tego rozdziału zwrócimy uwagę na przedziwną analogję, która wielkie światło rzuca na wszystko, co dotąd powiedzieliśmy.

W tem osobiwem zlanu się w jedno ciała i duszy, co nazywamy człowiekiem, tak są widoczne odrębne substancje i wzajemne ich przenikanie, że wszystkie systemy filozofów, zajmujących się wyjaśnieniem człowieka od samego początku świata, rozpadają się na dwa główne. Jedni tak są uderzeni zewnętrzną, materialną powłoką człowieka, że widzą jedynie ciało; drudzy tak są olśnieni wewnętrznym płomieniem, że widzą tylko duszę. Jedni uderzeni są przede wszystkim zjawiskami uczucia, odnoszą do tego nie pewną część naszych uczuć, co jest bardzo dopuszczalne, ale wszystkie nasze idee; posuwają się aż do twierdzenia, że w naszym umyśle, nawet w sumieniu naszym niema ani jednego zjawiska, które nie dałoby się z tego początku wyprowadzić; stawiają jako bezsporny pewnik, że uczucie jest jedyną przyczyną działalności: uważają duszę jako czystą bierność, jako prosty wynik zebranych naszych uczuć, jako abstrakcyjne pojęcie i po niej jakim oporze, gdy dusza opiera się temu, dochodzą stopniowo do zupełnego materializmu. System ów istnieje od tysięcy lat, wciąż chwieje się i upada pod ciężarem zarzutów, ale się odradza, zmienia z pozoru, zawsze jednak w gruncie ten sam, zawsze streszczający się w tem określeniu, potępiającem go: człowiek jest tylko ciałem.

Ale rzecz godna uwagi, równie jak on dawny, tak samo upadający pod ciężarem nieprzepartych zarzutów, zawsze się odradzający, drugi system mówi: Człowiek jest tylko duszą. Idealizm uznał w człowieku coś innego jak uczucie, ujrzał wolną wolę, osobowość ludzką, identyczność swego ja i tysiące innych faktów, których niesposób zawrzeć w granicach uczucia; wcisnął się do samej świątyni duszy, gdzie zjawiska są nie tylko piękniejsze, szersze zakresują koła, ale także rzecz można, są bardziej rzeczywiste niż zjawiska ciała; idealizm zapoznaje więc te ostatnie, usuwa je na stronę, aby swobodniej rozpatrywać tamte, a potem już i tem się nie zadowalnia; jeżeli jest nie-

śmiały, to nie rachuje się ze zjawiskami ciała, jeżeli jest absolutny, to im śmiało zaprzecza, i słusznie odrzuciwszy materializm, to jest wyłączenie istnienia materji, dochodzi do wierzenia w istnienie tylko ducha. Przed chwilą materializm mówił do człowieka: Jesteś jedynie ciałem! teraz idealizm doń mówi: Jesteś tylko duszą!

Na szczęście obok tych dwóch systemów absolutnych i fałszywych jest trzeci niemniej stary jak tamten, niemniej trwały, ale rozumniejszy i głębszy; jest to spirytualizm. Spirytualizm jest systemem zjednoczenia ciała i duszy, wzajemnego ich przenikania, przejawiania się duszy przez ciało. Spirytualizm mówi do materializmu: Mylisz się; człowiek ma duszę nieśmiertelną; biorę na świadectwo idealizm. A potem zwracając się do tego ostatniego: I ty się mylisz, mówi, człowiek ma ciało, odwołuję się do świadectwa materializmu. Bierze od materializmu naukę o materji, o anatomji, fizjologii, jego głębokie śledzenia uczucia; u idealizmu zapożycza badania nad zdolnością poznania, nad jednością i identycznością swego ja; i połączwszy w jedno te snopy światła, do obydwóch się odzywa: Czy wiecie, czego dowodzicie? Wy, materialści, dowodzicie przedziwnie, że człowiek ma ciało; a wy, idealści, cudownie dowiedliście, że człowiek ma duszę. Złączeni w jedno stanowicie potężny dowód, nie dający niczem się odeprzeć, że człowiek jest duszą połączoną z ciałem, duchem, który przejawia się poprzez materję.

Otóż to wahanie się myśli wobec wcielenia ludzkiego jest zupełnie podobne do wahań myśli, rozpatrującej Wcielenie Boskie. Tam także są dwa systemy: jeden widzi w Jezusie Chrystusie tylko człowieka, drugi tylko Boga. Ten powstał najpierw, jak gdyby wrażenie bóstwa silniej oddziaływało na współczesnych Jezusa niż wrażenie Jego człowieczeństwa. W ich oczach Chrystus był tylko Bogiem. Nie miał ani ciała ludzkiego, ani duszy ludzkiej; był tam tylko pozór i kształt człowieka. To właśnie twierdzili Szymon Czarnoksiężnik, Menander, Saturnin, Walentyń, Bazylijusz, Marcjon, Tacjan; olśnieni światłością bóstwa Jezusa Chrystusa nie chcieli widzieć Jego człowieczeństwa i głosili, iż jest tylko Bogiem.

A prawie jednocześnie ukazali się inni: Cerynt, Ebionusz, Artemon, Paweł z Samosaty; uderzeni cierpieniami, bólami, męką i śmiercią Chrystusa, a przez to przekonani o Jego człowieczeństwie, nie wiedząc, jak je z bóstwem pogodzić, oświadczyli, że był On tylko człowiekiem. Nie

zaprzeczała, a jest to godne uwagi, by bóstwo w Nim było, ale było tylko chwilowo, od chrztu Jego, i wróciło do Nieba w przeddzień Jego męki; tak że przez pierwsze trzydzieści lat, a więc podczas upokorzeń Żłóbka i Nazaretu i podczas ostatnich dni Jego życia, to jest w czasie boleści Kalwarji Jezus Chrystus był tylko człowiekiem. A jeszcze i przez ową krótką chwilę, przez którą bóstwo w Nim pozostawało, było tam tylko jak przyjaciel w sercu przyjaciela, jak Bóg w przybytku świątyni.

Naprzeciw tych dwóch systemów absolutnych, wierzących jeden w bóstwo, drugi w człowieczeństwo Chrystusa, powstawał św. Jan i pisał swoją Ewangelię, zaczynając się od tych potężnych słów „*Et Verbum caro factum est.*” Św. Paweł napełniał swoje listy takimi słowami: „*Humanitas et benignitas apparuit Salvatoris nostri Dei*”¹⁾. Lub jeszcze: „Który będąc w postaci Bożej, nie poczytał tego za drapiestwo, że był równym Bogu; ale wyniszczył samego siebie, przyjąwszy postać, stawszy się podobny ludziom”²⁾. Ojcowie Kościoła powstawali i pisali traktaty, jedni o bóstwie Chrystusa, drudzy o Jego człowieczeństwie. Pascal mówi, że z równą trudnością przychodziło im przekonać o człowieczeństwie Jezusa Chrystusa tych, którzy temu zaprzeczali, jak i wykazać Jego bóstwo. Pozory były jednakowo wielkie.

To, co się działo w trzech pierwszych wiekach, powtórzyło się z większym rozgłosem w IV i V stuleciu, w owych chwilach, gdy niezmiernie światło chrystjanizmu budziło wszystkie umysły, gdy wolność chrześcijańska rozluźniała więzy despotyzmu i dopuszczała do genialnych walk umysłowych. Naturalnie toczyły się one około Jezusa Chrystusa, i natychmiast ukazały się ponownie w potężniejszych rozmiarach dwa systemy teologiczne, odpowiadające filozoficznemu idealizmowi i materializmowi.

Arjusz widział w Jezusie tylko człowieczeństwo; było w Nim i Słowo, ale Słowo, nie będące tej samej co Ojciec natury, niższe od Ojca, a zatem nie będące Bogiem. Jezus według niego był człowiekiem uprzywilejowanym; przewyższał wszystkich piękną moralną, potęgą, świętością, zjednoczeniem z Bogiem, ale ostatecznie był to tylko człowiek. To samo mówił i Nestorjusz; zwyciężony potężną logiką św. Atanazego, św. Hilarego, św. Epifanjsza musiał uznać, że Słowo jest równe Ojcu, że jest tej samej

¹⁾ Św. Paweł do Tytusa, III, 4 — ²⁾ Św. Paweł do Filip. II, 6.

istoty, *współistotne* Ojcu, jak określił sobór Nicejski, że zatem jest Bogiem, ale zaprzeczał, by człowieczeństwo Jezusa było w jedności osoby złączone ze Słowem. Boska osoba Słowa i ludzka osoba Jezusa przebywały obok siebie, jak dwóch przyjaciół; stąd dochodził do zuchwałego wyniku, że Niepokalana Dziewica, będąc matką jedynie ludzkiej osoby, nie może być nazywana Matką Boga. To był pierwszy system; Jezus Chrystus nie był Bogiem, był człowiekiem wyższym, świętszym, niepokalanym przyjacielem Boga, ściślej niż ktokolwiek złączony ze Słowem, ale ostatecznie był tylko człowiekiem.

A jak gdyby jeden z tych systemów nie mógł się ukazać, by zaraz i drugi się nie pojawił, po Arjusz naprzeciw Nestorjusza stanął Eutykhusz, oświadczając, że Jezus Chrystus był jedynie Bogiem. Słowo wzięło wprawdzie naturę ludzką, ale ujawszy ją, pochłonięło niejako, zachowując tylko jej pozór. Z duszą Jezusa, z Jego rozumem, wolą, z ciałem Jego stało się jak z kroplą miodu, która wrzucona w ocean w nim się rozpuszcza, lub jak z suchą gałązką objętą płomieniem. Wszystko zostało pochłonięte, pozostał tylko pozór. Chrystus rzeczywiście był tylko Bogiem.

A tym dwóm absolutnym i fałszywym systemom odpowiadał Kościół. Na soborze Nicejskim mówił do Arjusza: Nie, Chrystus, nie jest jedynie człowiekiem; jest i Bogiem. A zwracając się do Eutykhusza, dodawał: Nie, Jezus Chrystus nie jest tylko Bogiem, jest także człowiekiem. Jest Bogiem—Człowiekiem. W błąd was wprowadza tajemnica i niewysłowione zjednoczenie bóstwa i człowieczeństwa.

I znów to samo powtórzyło się przy powstaniu protestantyzmu. Z jednej strony anabaptyści, kwakrzy i mnóstwo innych sekt, widząc w Jezusie tylko Boga, przypuszczali, że zamiast rzeczywistego ciała, prawdziwego człowieczeństwa, miał On jakąś niebiańską powłokę, której ani nazwać, ani określić nie umieli; z drugiej zaś strony stanął niezliczony tłum zuchwałych racjonalistów, widzących w Jezusie Chrystusie tylko człowieka.

I tak zawsze będzie; tak samo jak dotąd odradzać się będzie nieśmiertelna walka idealizmu, dopuszczającego w człowieku tylko ducha, i materializmu, widzącego w nim tylko ciało. Ale też i rodzaj ludzki nigdy nie dopuści, by którakolwiek z tych niemoralnych i fałszywych ostateczności górę wzięła; i zawsze trwać będzie i zwyciężać piękna

filozofja spirytualistyczna, utrzymująca rzeczywistość tak duszy jak ciała, ich tajemnicze, cudowne zjednoczenie i osobliwą piękność przejawiania się duszy przez ciało. Tak samo też przy jakimkolwiek budzeniu się dawnych walk około Chrystusa zawsze głos Kościoła da się słyszeć, usuwając obydwie systemy z ich szalonymi i zgubnymi następstwami, ukazując światu niezrównaną postać Jezusa Chrystusa, prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka, i pozwoli nam dojrzeć, według słów św. Pawła, przedziwną piękność Boga Zbawiciela przez zasłonę Jego człowieczeństwa. *Humanitas et benignitas apparuit Salvatoris nostri Dei.*

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Piękność Wcielenia.

Przystąpmy teraz do kwestji, którą zapowiedzieliśmy na początku poprzedniego rozdziału.

Jeżeli sama myśl o Bogu—Człowieku, zstępującym na ziemię, aby złączyć Stwórcę ze stworzeniem, aby to stworzenie podnieść, uleczyć, ubóstwić, jeżeli już sama ta myśl jest pełna niewysłowionej piękności, jakież uczucia nami zawładną, skoro zobaczymy, z jaką wspaniałością została ona urzeczywistniona?

Tysiącami sposobami można było plan ów wykonać. Można go było przeprowadzić miernie, małostkowo; i tak byłby to uczynił człowiek, który nawet w największych swych pomysłach małym pozostaje. Ale właściwością Boga jest wspaniałość. Myśl Wcielenia, wielką samą przez się, Bóg urzeczywistnił wspaniale; a ponieważ wielkość wybranego planu mogła nas być swym ciężarem przygnieść, Bóg użył do jej wykonania przedziwnej delikatności.

Z radością rozpoczynamy to piękne badanie. Stoimy wobec Artysty, nie ograniczającego swojego mistrzostwa.

I.

Najpierw ze wszystkimi teologami zgódźmy się na zasadę, że Bóg tysiącami sposobów mógł odkupić upadłego człowieka. Ale śpieszmy dodać, że nie było stosowniejszego, lepiej dostrajającego się do naszej natury jak Wcielenie. Dlaczego? bo człowiek jest istotą wcieloną; skoro więc taka jest jego natura, tylko to, co mu się przedstawia pod formą Wcielenia, jest dostępne dla jego umysłu i zgodne z jego sercem.

Przed nami, w przedwiecznych głębinach były inne stworzenia, inne światy czystych duchów. W jaki sposób Bóg im się udzielał? Nie wiemy. Musiało to być w for-

mie duchowej, jak ich natura. Być też może, iż obok nas w bezmiernej przestrzeni są tysiączne gwiazdy zamieszkałe. W jaki sposób Bóg wchodzi z niemi w stosunki? Jeszcze mniej o tem wiemy. Święty Tomasz uczy, że każda z Osób Trójcy Przenajświętszej posiada niezliczoną ilość sposobów, aby się jednoczyć ze stworzeniem; może więc każdy ze światów stworzony był podług planu jednego z tych zjednoczeń, czyli, innemi słowy, każdy ze światów został urządzony w przewidywanym sposobie, jakiego Bóg użyje, aby go odkupić lub chwałą udarować.

Nasz świat, to świat Wcielenia. Wszystko tu jest wcielone: umysł, serce, mowa, sztuka, poezja, muzyka. Cóż jest bardziej nad myśl duchowego? a jednak, gdy tylko chcemy ją dokładniej objąć, a szczególnie drugim ją objawić, to ją oblekamy w cielesną szatę. A im ta szata jest przejrzystsza, bardziej przystosowana do idei, tem lepiej przenika do duszy. Wielcy pisarze potężnie myśli swe wcielają.

To samo da się powiedzieć o malarstwie, rzeźbie, muzyce. Czemże jest piękny posąg? Jest to myśl wcielona, duch ukryty w marmurze. Są cudne posągi, którym nie duszy, lecz mowy brakuje.

I dlatego to kształt ludzki, a przedewszystkiem twarz człowieka jest ideałem stworzonych kształtów. Materja jest tu jakby uduchowiona. W oczach, na ustach, przez łyż lub uśmiechy przegląda dusza.

I nie tylko tak jesteśmy utworzeni, że aby nas wzruszyć, musi dusza przejawiać się przez materję; gdy się głębiej studjuje naturę ludzką, dostrzega się większy jeszcze dziw. Czegóż to szukamy w rzeczach boskich nawet najwyższych? szukamy czegoś ludzkiego, aby się niemi mogło zaspokoić nasze serce. Pragniemy znaleźć coś boskiego. Ach! jak wszystko co ludzkie dobrze się zgadza z moją duszą! zachwycam się, upajam! Ale za prędko przemija! Czy nie możnaby domieszać doń trochę nieskończoności? A przytem te rzeczy są zbyt powierzchowne, niedość głębokie; możemy je przeniknąć za jednym spojrzeniem. I jeszcze jedna słaba strona jest w tych miłych, czarujących rzeczach ludzkich: to, co kochamy, chcielibyśmy nie tylko kochać długo, kochać zawsze, chcielibyśmy to czcić i wielbić. Odstąpcie ode mnie nędzne rzeczy ludzkie, ziemskie, niskie, nie możecie wystarczyć duszy mojej; jej potrzeba wiekuistego, boskiego!

Jeżeli zmęczeni przemijającymi rzeczami zwrócimy się do nieskończonych, jakżeż i one doskonale z duszą naszą

się zgadzają! Uspokajają nas, wzmacniają, pocieszają, zachwycają! Ale, Boże mój! jakżeż one daleko są od nas, gdzieś ponad obłokami, niedostępne, eteryczne! O zbliżcie się rzeczy boskie! nie widzę, nie czuję was dostatecznie; stańcie się trochę ludzkiemi. Nam potrzeba dotykającego, ludzkiego!

A więc dla wzruszenia nas, dla zupełnego zadowolenia nie wystarczy, by duch przejawiał się przez materję; trzeba jeszcze jakiegoś zmieszania, jakiegoś niewymownego zlania się boskiego z ludzkim. Czy Słowo zostało wcielone, aby zadowolnić naszą naturę? czy też ta natura tak tajemniczo została przygotowana, aby zrozumieć Słowo Wcielone? Spójrzmy na Nie. Cóż tam dostrzeżemy? Jest więc człowiek, którego mogę kochać aż do ekstazy, aż do ekstazy, którego nogi mogę objąć i całować, do którego serca mogę się przytulić, nie lękając się nigdy nadmiaru miłości, skoro człowiek ten jest Bogiem! I jest też Bóg, do którego iść mogę w mych smutkach, który nie ginie w niemożliwych odległościach, wśród nieprzeniknionej, olśniewającej światłości; ale który przedziwnie jest dostępny, gdyż jest Człowiekiem!

Wszystko, co jest we mnie czystego i tkliwego, smutnego i skłonnego do zachwyty, ludzkiego i boskiego, wszystko to znajduje odpocznienie i zaspokojenie w Bogu-Człowieku.

II.

Ale to jest dopiero pierwszy stopień zstąpienia Syna Bożego, a także pierwszy stopień piękności Słowa Wcielonego. Jakże On weźmie ludzką naturę? Czy ją ogołoci z nędzy i słabości, które w niej grzech nagromadził? Czy może weźmie ją taką, jaką była przed upadkiem, niecierpieliwą, nieśmiertelną, chwalebną? Mógł tak bezwątpiennie uczynić. Nigdy człowiek w najśmielszych przewidywaniach, w najświętszych swoich pragnieniach nie dopuszczał myśli o Bogu, rodzącym się w ubóstwie, żyjącym w cierpieniu. A jednak trudno przyszedłoby Go inaczej zrozumieć. Bo gdyby Słowo nie było wzięło nędzy upadłej naszej natury, możnaby sądzić, że nią pogardza, a pogarda taka dokonałaby ostatecznego między nami a Bogiem rozdziału. Jego chwalebne ciało nie byłoby naszym ciałem. Wątpilibyśmy nawet o rzeczywistości Jego duszy ludzkiej. Bogaci, wielcy mogliby jeszcze obwołać Go swoim Bogiem; ale co byliby czynili maluczcy, ubodzy, ci wszyscy,

k którzy potrzebują pociechy? Ze strony ziemi takie Wcielenie byłoby mierne.

Ale o ileż mierniejsze byłoby ze strony nieba! Bóg byłby zatem wziął naturę ludzką, ale byłby z niej usunął nędzę, ubóstwo, cierpienie, aby się cieszyć jedynie zbytkiem i chwałą! Nie byłoby to Jego godne! Któż są na ziemi ludzie, odziewający się w złoto i srebro? Głupcy. Gdy wielkość jest w duszy, nie ujawnia się jej nazewnątrz jakby na pokaz. Sprawy zewnętrzne to drobne sprawy, załatwiane przez małych ludzi. O, jak dobrze uczynił Zbawiciel, biorąc naturę taką, jaką ją grzech uczynił, nędzną, upadłą, upokorzoną, cierpiącą; zstępując z tego drugiego szczebla, rozpromienił oblicze swoje drugim, wyższym stopniem piękności.

Rzecz dziwna, stworzeni jesteśmy dla szczęścia, a nie lubimy ludzi szczęśliwych; za ledwo jedno spojrzenie im poświęcamy! Przeciwnie, miłujemy tych, którzy cierpią, pochylamy się przed nimi z uszanowaniem. A jeżeli doznają tych samych co my cierpień, jeżeli z nami boją, jakże stąd wielka rodzi się sympatja! Potężnym węzłem jest wspólność cierpienia, silniejszym, trwalszym niż radość wspólna. Spójnia to mocna między duszami być zmiażdżonym jednym ciosem, stać przy sobie w czasie uderzenia piorunu jednej burzy! Ale przypuśćmy, że ten, kto cierpi, nie zasługuje na cierpienie, że do boleści dołączył niewinność, że do upokorzenia wprowadził majestat, że wydał siebie za niewdzięcznych, czyż nie stanąłby wtedy na takich szczytach piękności moralnej, poza któremi nic więcej nie ma? A to jest właśnie charakter Wcielenia. Złączmy wszystkie te rysy razem, posuńmy do nieskończoności, a ujrzymy cudowną postać Zbawiciela i oblicze Jego, na którym boleść piętno swe wyrzyła.

III.

Czy to już wszystko? O, nie! W jaki sposób Jezus Chrystus weźmie na siebie tę naturę cierpieliwą, słabą, a nam drogą? Czy ją dla siebie stworzy? czy stanie na ziemi jako trzydziestoletni mąż, jak niegdyś Adam w raju ziemskim? I to już byłoby z Jego strony czynem nieskończonej miłości! Ale w takim razie Jezus rozdzielony byłby od nas swoim pochodzeniem, substancją, życiem, żaden węzeł, żadne pokrewieństwo nie łączyłoby Go z nami. Aby rzeczywiście był z rasy Adama, aby prawdziwie w ży-

łach swoich miał krew ludzkości, musiał ją wziąć z łona jednej z córek Adamowych, i będąc Bogiem, zgodzić się na wejście na świat pełną upokorzeń drogą niemowlęstwa. Tu rozum się miesza, z przerażeniem pytając, czy w tem ponizeniu nie zatonił nawet majestat Boży. Ale nie trwóżmy się. Wielki to Mistrz działania, i z tego trzeciego ponizienia, głębszego niż poprzednie, wytrysnie trzeci, niewymownie słodki promień piękności.

Każdy, kto wie, jak nisko upadła grzeszna ludzkość, jak straszliwie bała się Boga i jaką przeszkodę do jej podniesienia stanowiła ta bojaźń; każdy, kto wie, że pierwszym warunkiem odrodzenia ludzkości było usunięcie bojaźni, a wprowadzenie w jej miejsce miłości — ten w niemowlęctwie Syna Bożego znajdzie tyle tkliwości i niewysłowionej delikatności, że jedynie na kolanach będzie mógł ową tajemnicę rozpatrywać. Widzi się tu wszystkie pomysły, rzecz można, podstęp miłości. To Dzieciątko tak pokorne, a tak dostojne, wyciągające rączki do lekającej się ludzkości, ta stajenka, ten żłobek, ta słoma, na której najuboższa matka nie chciałaby swego dziecka położyć; ci pastuszkowie powołani pierwsi przed bogatymi, a także i ci bogaci, dla których Ono się rodzi, a którzy się tego nie domyślają nawet, i ci aniołowie, śpiewający w górze hymny chwały i pokoju — wszystko to jest niewymownie cudowne. Uczuć się tu daje zaspokojona sprawiedliwość, rozbrojony gniew, zakryty majestat, wielkość osłonięta, ujawniająca się tkliwość, zwyciężająca miłość i wszystko, co najwyższa dobroć obmyśliła.

A jakby tego jeszcze nie wystarczało do odpędzania wszelkiej trwogi, do zachwycania i uniesienia ludzkości, Bóg daje temu najśłodszemu Dzieciątku Matkę, a jaką Matkę! Ludzkość ją zrodziła i przez nią, przez najczystsza, najpiękniejszą z córek Ewy ludzkość daje życie Bożskiemu Dzieciątku. Jakże moglibyśmy drzeć jeszcze przed Niem? Dziecię to jest Synem córki ludzkości. Ona do nas należy, a przez nią i Jej Syn. O dobroci nieskończona! Któż mówił, że Bóg zagniewany jest na nas? kto opowiedział o Jego twarzy surowej, o aniołach, stojących z ognistymi mieczami w bramie raju? Jeżeli tam byli kiedyś, to ich już niema. Usunięto ich stamtąd; raj znowu jest otwarty. Widzę tam już nie sprawiedliwość, nie gniew, nawet nie majestat; ale widzę dobroć, słodycz, miłość pod jej najśliczniejszą postacią; pod postacią małego Dzieciątka, które pragnęłoby się upieścić, ucałować. A w bramie tego nowego raju, nie z mieczem dla oddalenia nas, ale z pociąg-

jącym nas uśmiechem stoi niewiasta, dziewica, matka, córka ludzkości i siostra nasza, miłująca nas i mogąca nas doprowadzić do Boskiego Dzieciątka, którego jest Matką. Powiedzieliśmy wyżej, że Bóg jest wielkim Mistrzem, umiającym łączyć w niewymowny sposób sprzeczne ze sobą rzeczy; nigdy to mistrzostwo nie ujawniło się cudowniej, jak przy Żłobku!

IV.

Pozostawało ostatnie zagadnienie: w jaki sposób Słowo Wcielone opuści ten świat? Trzeba było, by nań przeszło drogą niemowlęctwa, gdyż inaczej Syn Boży nie należałby do ludzkości; ale cóż za potrzeba, by zeń schodził drogą śmierci? Odkupienie nasze nie wymagało tego, gdyż jedno Jego westchnienie było wystarczające. Z drugiej zaś strony, godność Jego zdawała się na to nie pozwalać. Śmierć to brama grzesznika. Grzech utworzył to przejście ciemne i hańbiące dla człowieka winnego. Człowiek niewinny miał zgótowane inne: wniebowzięcie chwalebne, uniesienie duszy przemienionej cnotą, wznoszącej się w niebo i unoszącej ze sobą swoje ciało. Dlaczegożby Słowo Wcielone nie zeszło z tego świata przez tę bramę triumfalną? Dnia jednego na górze, podczas gdy się modlił, twarz Jego zajaśniała jako słońce, a szaty stały się jak śnieg białe. Ujrzano Go uniesionego ponad ziemią. Zaczynało się wniebowstąpienie, i gdyby nie był powściągnięty tej mocy boskiej, byłoby w owej chwili nastąpiło.

Ale co w takim razie byłoby się stało z ludzkością na śmierć skazaną? Czy byłaby uwierzyła we Wcielenie zakończone sposobem nie człowieczym? Czy byłaby miłowała aż do śmierci Boga, który nie miał odwagi umierać jak my? Panie mój, nie wahaj się; a przejściem przez haniebną i bolesną bramę śmierci otocz ostatnim promieniem piękności Twą boską postać!

Gdy tak jaśniał w oczach swych apostołów, ukazali się dwaj mężowie i rozmawiali z Nim. Byli to Mojżesz i Eljasz, którzy, jak mówi Ewangelista „opowiadali Jego zejście, które wykonać miał”. Eljasz opuścił świat na wozie ognistym triumfalną drogą wniebowzięcia. Mojżesz zeszedł drogą śmierci jak sen słodkiej; zasnął w uścisku Pana. Obaj czegoś więcej mieli się nauczyć od Słowa Wcielonego. Eljasz miał się dowiedzieć, że piękniejszym nad wniebowzięcie na ognistym wozie jest wyrzeczenie się wniebo-

wstąpienia i przełożenie nad nie śmierci. Mojżesz miał się dowiedzieć, że nad słodkie zaśnięcie w Panu bardziej boską jest śmierć haniebną na krzyżu! Bardziej boskiem jest poświęcić trzydzieści lat życia na czynienie dobrego, a zbierać za to same niewdzięczności! być przybitym gwoździemi do szubienicy przez tych, których się ukochało! wyzwać najgwałtowniejszą nienawiść, by się zmierzyła z naszą miłością! jest to nareszcie umrzeć znieważonym, wzgardzonym, wyszydzonym, a jednak szczęśliwym i zlewać potoki błogosławieństwa na swoich zabójców.

Teraz ludzkość się poddała; uwierzyła w boskość Wcielenia takim naznaczonym piętnem. Poznała swojego Boga wśród mąk konania, wśród śmierci, u wrót grobu!

V.

W taki to sposób Słowo stało się człowiekiem. Nic Go nie zdołało powstrzymać: ani poniżenie natury ludzkiej, ani ułomności natury upadłej, ani upokorzenia niemowlęctwa, ani cierpienia życia, ani nawet boleści śmierci. Żaden stopień nie wydał mu się zbyt niskim, zbyt podłym, zbyt Jego niegodnym. Zstąpił do samego dna. A że zstępował z miłości, a miłość wszystko przemienia, każdemu z Jego poniżeń odpowiadał coraz to większy blask piękności na Jego obliczu, coraz to silniejszy powab, uderzający z uwielbionej postaci naszego Zbawiciela, będącego wiekuistym przedmiotem zachwytu dla ludzkości.

Ponieważ zaś zstępował On dla nas, żaden z promieni nie otoczył Jego czoła, by jednocześnie i na nas się nie odbił. Podwyższenie człowieka dorównywało poniżeniu Boga.

Św. Augustyn używa porównania dla odmalowania tego podwójnego cudu. Porównywa Słowo Wcielone do owych mądrych wierzchowców, znajdujących się w pustyniach Afryki, które pochylają się, przyklękują, aby łatwiej można było ich dosiąść, potem powstają i unoszą jeźdźców ze sobą. Tak uczyniło Słowo; zstąpiło z nieba w ziemskie błoto; potem powstając, uniosło nas z sobą do nieba. Bogu uczynionemu człowiekiem odpowiada człowiek uczyniony Bogiem.

Przedziwnem jest, że dla podniesienia człowieka posłużył się Bóg ciałem, tem ciałem upadłym, zepsutem, poniżonym i poniżającym. Zdawało się ono niezdadnym do niczego; Bóg zeń uczynił stopień, dopomagający duszom do podniesienia się ku Niemu.

Ciało jest ciemne, ciężkie; oslepia człowieka. Bóg śmiały w swych zamiarach weźmie to ciężkie ciało, uczyni je przejrzystym; każe przez tę wrodzoną nieprzejrzystość przeświecać nie tylko światłom umysłu, ale i wszystkim ogniom Bóstwa. Ognisko tak będzie potężne, że nawet blask niebios zblednie wobec jasności, jaką promienieć będzie Ciało wzięte przez Słowo.

Ciało psuje się i podległe jest zepsuciu, straszliwie uwodzi. Bóg weźmie to upadłe ciało i uczyni zeń źródło wszelkiej pokory i czystości. Z tego wroga miłości, z tego burzyciela serca uczyni ognisko miłości niebiańskiej. *Bierzcie, a jedzcie: to jest ciało moje. Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam: jeśli byście nie jedli ciała Syna Człowieczego, nie będziecie mieć żywota w sobie.*

W poniżeniu swoim i zepsuciu ciało jeszcze jest czarujące i pociągające. Upadły człowiek widział je i kochał jedynie; uwielbiał je. Trzeba było więc dać ciało, które mógłby czcić bez niebezpieczeństwa; ręce i nogi, które mógłby okrywać pocałunkami; serce, na którym mógłby oprzeć głowę. Dopiero czcząc Ciało Słowa Wcielonego, ludzkość przestała wielbić ciało upadłego człowieka.

Wkońcu to wstrętne ciało upadła człowieka, poniża go, sprowadza do rzędu bydła. Bóg weźmie to nikczemne, upadające ciało; zawrze w niem pierwiastek siły, wielkości, nieskończonej wyższości. Przez nie podniesie nas nad aniołów, prawie do wysokości Boga.

To jest druga wzniosła strona Wcielenia. Nie można nad takimi rzeczami prędko przechodzić, zatrzymajmy się trochę, by je w ich właściwym świetle zobaczyć.

VI.

Najpierw ciało z natury jest nieprzejrzyste, zaciemnia człowieka; a o ileż gorzej było od czasu grzechu pierwotnego. Już nic przez nie widzieć nie było można. Zmysły oslepiały człowieka upadłego w zmysłowość. Jeżeli więc Bóg chciał nas podnieść, musiał nam światło powrócić, a na to były tylko dwa sposoby. Albo dzieło stworzenia trzeba było uczynić jeszcze jaśniejszym, aby przez nie jak przez świetlisty glob dostrzec można było wielkie przymioty Boga; albo też zostawiwszy je jakim było, rozpalic obok drugie, żywsze światło, zastosowane do przyciemnionego naszego wzroku. I to dokonane zostało we Wcieleniu.

Olier w jednym ze swoich pism powiedział, że po upadku Bóg zamknął księgę stworzenia, a na jej miejsce otworzył drugą, tysiąc razy piękniejszą księgę Wcielenia. Nie jest to zupełnie dokładny punkt widzenia. Nawet po upadku dzieło stworzenia zachowało swoją promienną piękność; tylko ludziom brakuje często oczu, aby ją dostrzec, i serca, aby ją odczuć. Stworzenie jest księgą wyższych umysłów i serc czystych. Gdy złączymy wzniosłość duszy z czystością serca, już nie będziemy mogli bez pewnego zachwyty rozglądać dzieła stworzenia. Jednak nawet i dla tych wyjątkowych natur Wcielenie jest jeszcze piękniejsze. Wszystko, co nam opowiadało dzieło Stworzenia, mówi też i Wcielenie, ale w sposób bardziej przenikający. A iluż to uczy nas rzeczy, których śladu niema w Stworzeniu!

Cóż, na przykład, bardziej uderza w naturze, jak wspałałość Boga? wszechświat cały jest pełny tej wielkości Boga. Czemże jest jednak ta wspaniałość obok tej, która widnieje we Wcieleniu? Zwracam się do dzieła stworzenia, by mię pouczyło o moim stosunku do Boga. Bóg jest wielki, mówi ono, a my jesteśmy mali. Wcielenie dalej to prowadzi. Uczy nas, że jesteśmy niczem, zupełnie niczem w oczach Boga, że nie jesteśmy nawet zdolni godnie Go uczcić, uwielbić, złożyć Mu zadowalniającego Go zadosyćuczynienia, że z Bogiem tylko Bóg stosunek mieć może.

To samo trzeba zastosować do dobroci, miłości. Byłoby bezwątpienia bluźnierstwem utrzymywać, że miłość nie przejawia się w dziele stworzenia. Spójrzmy jednak na Wcielenie i porównajmy. Dać byt, życie, rozum, wolę jest dziełem nieskończonej dobroci; ale aby się ukazała miłość, trzeba dać samego siebie, a to jest właściwa cecha Wcielenia.

Można mnożyć porównania. W Stworzeniu są przepyszne tony; wszystkie są zaćmione pięknością tonów Wcielenia, a ileż tu jest wspaniałych, o których dzieło stworzenia pojęcia nie ma. Cóż, na przykład, mówi nam Stworzenie o świętości Boga? o nienawiści Jego do złego? Ani słowa. A także ani słowa o surowej jego sprawiedliwości, o warunkach, bez których przebaczenie jest niemożliwe. Stworzenie jest wzniosłą księgą, ale nie jest księgą dla człowieka grzesznego; nie znajdzie on w niej nic o swoich obowiązkach; od upadku człowieka stała się ona niezupełna. Potrzeba było innej, która powtarzając z większą siłą to, co już tamta mówiła, i wypełniając jej braki, dała-

by nam poznać nieskończoną świętość i sprawiedliwość Boga.

Później ujrzymy bardziej szczegółowo wielkość i grozę tej sprawiedliwości. Jest taka, że wszystkie łyzy i cała krew ludzkości nie starczyłyby na jej zaspokojenie. Potrzeba było natto krwi Boga. Ale wielkie nauki Krzyża już ognistymi głoskami wypisane są na Żłobku. To ubóstwo, ta słoma, posłuszeństwo, umartwienie wskazują nam, że to droga, prowadząca na Golgotę. Wielki dramat już się rozpoczął, a dopiero co narodzone Dzieciątko już w objęciach Matki nosi dostojne znamię Ofiary.

W różnych epokach życia długie godziny spędzałem we Florencji na przypatrywaniu się jednemu z najcudniejszych obrazów Rafaela, tak zwanemu: *Madonna della sedia*; Święta Dziewica siedzi pochylona nad Synem, obejmuje Go miłośnie ramionami, tuli do serca ze skromną dumą, z pokornym uszczęśliwieniem, nie dającem się wypowiedzieć. Słyszałem barbarzyńców, utrzymujących, że *Madonna* jest trochę światowa, że spogląda na publiczność! Błuznierstwo! Zanadto jest Ona zajęta swoim Dzieciątkiem, by patrzeć na kogo bądź. Spogląda nie widząc, jak gdy się jest jakąś myślą pochłoniętym. Ale co w tym obrazie najwięcej uderza, to nie Matka, ale Dzieciątko, a w Dziecięciu najwięcej wzrusza nie Jego przedziwna piękność, ale Jego smutek, Jego słodkie, pełne współczucia, głębokie spojrzenie. To ofiara, która już w objęciu Matki czuje, że jest na Krzyż przeznaczona. W sali obok znajduje się *Madonna del Gran Duco*, obraz może jeszcze od pierwszego cudniejszy. Dziecię ma ten sam charakter: smutną powagę. To właśnie czyni Rafaela niezrównanym; jest on jak Dante głębokim teologiem, tysiąc razy przewyższając malarzy takich, jak *Andre del Sarte*, *Murillo*, *Corregio* i innych, przedstawiających śliczne, różowe dzieci, igrające i uśmiechające się słodko.

Ale dosyć o tem. Wcielenie ma zatem tę samą cechę, co Stworzenie; jest to jednak żywsza, zupełniejsza światłość. Porównajmy te wrażenia. Gdy w wieczór letni przechadzamy się w polu, oddychamy ciepłem, miłym powietrzem, patrzymy na zamykające się roślinki, na zapadający mrok: jakież tam spokój, jakie milczenie! Jakis rodzaj religijnej atmosfery nas otacza. Mimowoli oczy podnoszą się ku szafirowemu sklepieniu, zasianemu tysiącami gwiazd, a z ust wybiega westchnienie: jaki Bóg jest Wielki! jaki Bóg jest Dobry!

Wróciwszy do domu, gdy jako dobrzy chrześcijanie przed udaniem się na spoczynek zabieramy się w skupieniu do modlitwy, spoglądamy na Krzyż. Oto mój Bóg! Umarł za mnie! Czyż to możebne? Te przebite stopy, ręce rozrąbane, serce otwarte, głowa ukoronowana cierniem, wszystko to dla mnie z miłości wycierpiało! ażeby mnie uczynić czystym, niewinnym, by mnie oderwać od ziemi, uczynić godnym Boga, który mnie stworzył! Łzy wtedy cisną się do oczu; szlachetne postanowienia wzruszają serce, a usta z niewysłowioną miłością przyciskają się do stóp uwielbionych Ukrzyżowanego!

VII.

Ale nie tylko brak światła dał się uczuwać upadłemu człowiekowi i przy ziemi trzymał całe ludy, nie pozwalając dojrzeć nieba. Miłość także zginęła, a przynajmniej osłabła i poniżyła się. Dwojaka rana została jej zadana: ze strony duszy przez pychę, ze strony ciała przez zmysłowość. Pycha wysuszyła ją i uczyniła niezdolną do poświęcenia; zmysłowość pograżyła ją w sromotnych rozkoszach, które ją upodliły. Nic już nie widziano poza ciałem, a ponieważ ono szybko się zmienia i przemija, miłość więc była snem chwilowym, z którego człowiek budził się zawiedziony, oszukany, z szyderstwem na ustach i pogardą w sercu. Wszystko zginęło, nawet wiara w miłość.

A jeszcze te zwaliska ludzkiej miłości niczem były w porównaniu do zniszczonej doszczętnie miłości ku Bogu! tu już nawet ruin nie było. *Etiam periere ruinae!*

„Cóż jest potrzebniejszego jak miłować Boga? — mówi *Pascal* — a jednakowoż żadna religja nigdy tego nie uczyła.”

Żadna nie śmiała tego uczyć, gdyż czując swoją bezsilność, wiedziała, że nie będzie usłuchana.

A podczas gdy pycha i zmysłowość wysuszyły serce i zaczynały niszczyć miłość, dokonywały zupełnej ruiny, szpecąc fizjognomję ludzką. Miłość jest uczuciem, rodzącem się z piękności; a prawdziwa piękność znikła wówczas. Nawet owa cielesna, zwodnicza piękność malała z dniem każdym pod ciągle powtarzanymi uderzeniami pychy i zmysłowości. Coś niskiego, brutalnego, zmysłowego, nieczystego występowało na te fizjognomje, które Bóg tak pięk-

nemi uczynił, na te twarze o tak czystym rysunku. Przyjmy się na Kapitolu popiersiom rzymskich cesarów, a z boleścią ujrzymy, jak zaćmiewało się oblicze ludzkie. Boga wypędzono z serca, i człowiek, zostawiony samemu sobie, równie był niezdolny odczuć miłość, jak i nią natchnąć.

Jeżeli więc Bóg chciał się nad nami zlitować, musiał wskrzesić miłość, a do tego potrzeba było dwóch rzeczy. Najpierw trzeba było, by prawdziwa piękność znowu się ukazała; by zagniewane oblicze Boga i zwiędła, zeszpecona grzechem twarz człowieka zniknęły, a natomiast byśmy ujrzeli oblicze Boga z dni stwarzania i oblicza Adama i Ewy, jaśniejące ową dziewiczą pięknoscią, która sprawiała, że gdy pierwsi nasi rodzice spoglądali na siebie w raju ziemskim, miłość boska i ludzka zarazem ich wzruszała; nie mogli widzieć się, a nie kochać jedno drugiego, i nie mogli kochać siebie, a nie kochać wielkiego i dobrego Boga w nich mieszkającego. Piękny to był czas, gdy miłość Boga i miłość człowieka były tak ze sobą splecione; gdy panowała piękność zarazem boska i ludzka, budząc jedynie czyste porywy; gdy religja i miłość były siostrami; gdy kochano Boga poprzez przejrzystość kochanego serca!

I to nareszcie nastąpiło. Świat ujrzał znowu ukazującą się, jaśniejącą pięknoscią postać Boga i człowieka cudownie razem zlanych. Wrażenie było głębokie. Tłumy się poruszyły; apostołowie od jednego wejrzenia podbici zostali. Było to coś tak wzniosłego, czystego, świętego, że świat odzwyczajony od miłości nie mógł wyjść ze zdumienia.

A to, co uwielbiano w obliczu Mistrza, jaśniało wkrótce i na twarzach uczniów. Chrystus, stawszy się Ojcem ludzkości, wydawał dzieci sobie podobne. Ujrzano zjawiające się nowe typy o nieznanej dotąd piękności: twarze dzieci, młodzieniaszków, dziewic, kapłanów z czemś idealnem, z jakąś powagą, godnością, pokojem, skromnością i niebiańskim uśmiechem. Ciało wróciło do swej prawdziwej roli; było przedsionkiem duszy, a dusza wiodła do Boga. To był początek wskrzeszenia miłości.

Ale, jak mówiliśmy, nietylko piękność zniknęła, serce również było dotknięte. Pycha je wysuszyła; zmysłowość zniszczyła. Widziano jedynie ciało i uwielbiano je; a od tego uwielbianego ciała szły do wzgardzonej duszy wstrętne poruszenia i doreszty ją upadlały. Skoro więc, chcąc człowieka podnieść i zachwycić, ukazano mu na początek

idealnie piękną fizjognomję, trzeba było teraz, stosując się do jego słabości, ukazać mu stopy, które mogłyby pocałunkami okrywać, serce, na którym mogłyby oprzeć głowę, ciało tak przeniknięte bóstwem, by przyłożywszy doń usta, mógł zeń zaczerpnąć przedziwną woń pokory, czystości, poświęcenia. I to także się stało, a Ewangelja daje nam tego słynny przykład.

Magdalena była zupełnie upadłą! Inteligencja, wyobraźnia, serce, zmysły, wszystko było grzechem skażone. Tak daleko posuwała zgorszenie, że ją publicznie palcami wytykano, a jeden z faryzeuszów powiedział: „Gdyby Mistrz wiedział, kim jest ta niewiasta, nie byłby pozwolił, by się do Niego zbliżyła”.

A przecież ta zniesławiona istota stała się bardzo czystą miłośnicą Zbawiciela, przyjaciółką Niepokalanej Dziewicy! Relikwie jej znajdują się na naszych ołtarzach, a pamięć żyje równie piękna w naszych sercach, jak pamięć świętych dziewic.

Któż ten cud uczynił? Jakim sposobem podniosła się ona z błota i wstąpiła w światłość?

Przez czystość, którą tchnęło boskie Ciało Jezusa Chrystusa. Przyszła; pocałunkami okryła stopy Syna Bożego, te stopy czyste i święte, i to dotknięcie ją przeistoczyło. To, co się stało z Magdalena, dzieje się codzień. Codzień istoty najbardziej zepsute, upadłe, najbardziej pogrążone w cielesnym bezwstydzie, skoro się zbliżą i z wiarą dotkną ubóstwionego Ciała Chrystusowego, odchodzą przemienione; i widziano rozpustników, dochodzących do tak chwalebnej czystości, że same dziewice mogły im tej chwały zazdrościć.

Po jawnogrzesznicy, niewieście o skażonych zmysłach i jeszcze więcej skażonem sercu, kto inny przychodzi, aby się uświęcić przez dotknięcie Ciała Chrystusowego. Jest to młodzieniec czysty i pragnący pozostać czystym mimo złudzeń młodości i świata. Cóż czyni święty Jan? Nie klęka jak Magdalena u stóp Mistrza. Jego niewinność i miłość pozwalają mu na większą poufałość. Składa głowę na piersi Zbawiciela, na Jego najświętszem Sercu i tam czerpie siłę do ujarzmenienia zmysłów dla miłości Boga, do wzgardzenia ciałem, do przełamania go nawet i poświęcenia, gdyby zaszła tego potrzeba. I wkrótce widzimy go na Kalwarji, gdy według wymownych słów Bosueta otrzymał trzy największe nagrody, jakie Bóg może dać stworzeniu: serce, krzyż i Matkę Boga!

Te cuda zdziałane za życia Chrystusa nie ustają dotąd wcale. Opuszczając ziemię, pozostawił On nam swoje Ciało przeniknięte pokorą, czystością i miłością. Kto chce przestać być cielesnym — pożywa to Ciało. Ono uświęca, podnosi, uduchowia. Z nędznych, upadłych w zmysłowości stworzeń czyni czyste anioły. Tam, do tego Stołu, gdzie rozdają Wino, rodzące dziewice, przychodzą ofiary ludzkich namiętności, aby się podnieść, zarówno jak i młodziutkie istoty pragnące na zawsze pozostać w dziewictwie. Magdaleny i święci Janowie zasiadają do jednego stołu, i ten, który ginął przez ludzkie ciało, podnosi się i przemienia przez Ciało Chrystusa.

Z tych ostatnich słów poznać można przedziwne urządzenie Wcielenia i odczuć całą wzniosłość słów św. Jana: *Et Verbum caro factum est*. „A Słowo Ciałem się stało.” Zdawałoby się mogło, że lepiej było powiedzieć: Słowo stało się duszą ludzką, duchem ludzkim, wymawiając najpierw to, co jest konieczne, a zostawiając na boku ciało, które się jedynie znosi i o którym się nie mówi, gdyż jest zbyt nędzne. A przynajmniej można było pozostać przy potężnych słowach Kościoła: *Et homo factus est*. „I stał się człowiekiem.” Ale orzeł Ewangelistów, którego oko dopiero co zbadało wszelkie wyżyny, zstępuje śmiałym lotem do ostatecznych przepaści i wymawia słowa, które Kościół zawsze tylko na kolanach powtarza: *Et Verbum caro factum est*: „A słowo Ciałem się stało.”

Nie wziął ducha, znosząc jedynie ciało; wziął na siebie ciało takie, jakim je grzech uczynił, nędzne, wyniszczone, poniżone; i jak wielcy artyści, którzy z ruin odbudowują gmachy wspaniałe, tak i On z upadłego ciała uczynił podstawę odrodzenia ludzkości.

Przez ciało człowiek zginął; przez nie zostanie zbawiony.

VIII.

Ale idźmy dalej. Gdy rozum człowieka został przez upadek zaciemniony, a jego serce wysuszone i poniżone, jednocześnie i wola jego osłabła. Człowiek, spadłszy z wysokiego stopnia niewinności i skłonności ku dobremu, mógł wprawdzie do Boga powrócić, ale jedynie po trudnych szczeblach pokuty i wyrzeczenia się; trzeba było wzgardzić zmysłowością, w której zagrzeźnął, i rzeczami ziemskimi, które go otaczały; trzeba było je zdeptać i iść

wyżej, wciąż oczy i serce w górę podnosząc. Ale jak się wziąć do tego? a gdyby nawet człowiek jasno wiedział, jak ma postępować, czy starczy mu na to odwagi? I tu może okazuje się największe mistrzostwo Wcielenia.

Ktokolwiek studjował naturę ludzką, wie, że dla podźwignięcia duszy mniej ważą wszystkie moralne traktaty niż jeden wielki przykład. Przykład objaśnia obowiązek, ukazuje go żywcem w jakim czynie i pobudza duszę do spełnienia go. Jeżeli żołnierz waha się wobec niebezpieczeństwa, niech genialny dowódca rzuci się naprzód, wszyscy za nim pójda uniesieni, zelektryzowani przykładem. Oto, czego potrzeba było człowiekowi osłabionemu upadkiem, przerażonemu próbą. Trzeba było, by ktoś szedł przed nim, i pierwszy zapuszczając się w ciemną, ciernistą drogę pracy i cierpienia, zachęcił ludzkość swoim przykładem, by za nim poszła; trzeba było, by ktoś, obleczony w takie jak my ciało, żył po bożemu; by, uciśniony najcięższymi ludzkimi cierpieniami, zachwycił świat, ukazując mu w swojej osobie przebaczenie i miłość nieprzyjaciół, świętość i pokorę i pełną słodyczy cierpliwość wśród boleści i radosne poddanie się woli Boga. Ktoby to uczynił, zbawiłby i odrodził ludzkość. Ale gdzież mógł się znaleźć ktoś zdolny do takiego życia?

Tu więc jest jeden z cudów Wcielenia. Ojcowie Kościoła wielki zawsze na to nacisk kładą. Mówią, że przez przedziwne zrządzenie Opatrzności Chrystus przysłany został, by swoją własną Osobą pokazać religję; Chrystus przyszedł, nie ażeby nas uczyć słowami, nie ażeby w księgach prawo swoje wypisać, jak to czynią ludzie; On przyszedł, żeby żyć tem życiem pokory, pracy, oderwania od świata, życiem świętych porywów ku niebu, tem życiem poświęcenia i ekspiacji i ścisłego, już tu rozpoczętego zjednoczenia się z Bogiem; przyszedł, aby to życie stawić nam przed oczy, byśmy je mogli naśladować. Był żywym urzeczywistnieniem Religji, samą Religją w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Najpiękniejszy z napisanych kiedykolwiek traktatów duchowych nosi tytuł: *De imitatione Christi*. Potężny to widok Boga, który zstąpił na ziemię, aby się stać naszym przykładem. Tajemnica ta przygniata rozum, ale jest ona tak oczywiście boska, że i umysł i serce korzą się w uwielbieniu, a usta nie mogą powstrzymać wyrazów radości i wdzięczności! Bóg, idący przed nami przez smutki tego życia! Bóg zdradzony, opuszczony, ubogi, samotny, jak się to trafia wśród ludzi! Bóg, dźwigający krzyż, który jest naszym krzyżem. Może się to wydawać

dziwnem niektórym szczęśliwym tej ziemi, ale wbrew ich zdziwieniu ludzkość cała nigdy się tem zachwycić nie przestanie.

IX.

Tu jeszcze wyżej sięgające myśli przedstawiają się naszemu umysłowi! Wcielenie przynosi ludzkości nie tylko oczyszczenie, nie tylko boskie podniesienie, ale i pewnego rodzaju ubóstwienie. Jest to wyrażenie apostoła: *Divinae consortes naturae*. „W Jezusie staliśmy się uczestnikami boskiej natury”¹⁾.

Nie trzeba tu jednak wpadać w przesadę. Wśród wszystkich synów Adama jeden tylko był Bogiem. Natura ludzka osobowo złączona została ze Słowem tylko w osobie Jezusa, Syna Marji Dziewicy; On tylko jest Bogiem i człowiekiem zarazem. Rozciągać to miano na innych byłoby bluźnierstwem. Niemniej prawdą jest, że ciało połączone ze Słowem jest własnem ciałem ludzkości. Jak Adam, widząc Ewę wyszłą z jego boku, a raczej z jego serca, zaśpiewał w zachwycie: „To teraz kość z kości moich i ciało z ciała mego: *Hoc nunc os ex ossibus meis et caro de carne mea*”; tak samo przez wieczność całą ludzkość, wznosząc się ponad chóry anielskie patrzeć będzie na Słowo Wcielone i uniesiona zachwytem powtarzać będzie: „Ten jest prawdziwie kość z kości moich i ciało z ciała mego”.

Zbawiciel, łącząc się z naturą ludzką, chciał wzbogacić całą ludzkość na podobieństwo króla, który poślubiwszy oblubienicę z niższego stanu, otacza królewskim blaskiem jej rodzinę dotąd nieznaną. Chciał, byśmy się stali przez przybranie tem, czem on był z natury, to jest Synem Bożym.

A ponieważ byłoby Jego niegodnem, żebyśmy tylko z pozoru byli dziećmi Bożemi, nie zadowolnić się daniem nam samej nazwy, *ut filii Dei nominemur*, ale chciał, byśmy niemi zostali rzeczywiście, *ut filii Dei nominemur et simus*²⁾.

„W porządku ludzkich rzeczy, mówi biskup z Poitiers, jeżeli bezdzietni małżonkowie pragną obce dziecko jako syna do rodziny wprowadzić, musi być stosowny akt spisany wobec urzędnika, podpisany kontrakt, powzięte zo-

¹⁾ II. Petr., I, 4. — ²⁾ Joan. III, 1.

bowiązania, a nazwisko i dziedzictwo adoptujących przechodzą na adoptowanego. Ale to wszystko jest zewnętrzne. Ten, który przybiera nazwisko, nie należy przez to do ich rasy. Jeżeli ma serce szlachetne i wdzięczne, to przejmie się uczuciem, pojęciami, tradycjami przybranej rodziny; będzie jej ślubował miłość i posłuszeństwo. Ale temu synostwu sztucznie ułożonemu zawsze brakować będzie wspólności pochodzenia i głosu krwi.”

To ostatnie zdanie jest przedziwne. Dodaje następnie: „Nie tak się rzecz ma w porządku naszego nadnaturalnego synostwa. W dniu, gdy zostajemy chrześcijanami, przyjęcie to nie udziela nam jedynie nazwy, nie otwiera nam jedynie domu, nie zobowiązuje nas tylko względem doktryny Jezusa Chrystusa, ale wyciska na naszej duszy znamię podobieństwa, piętno niezatarte; udziela nam wewnętrznie „ducha synowskiego przywłaszczenia, przez które wołamy: Ojciec”¹⁾; wreszcie przez moc sakramentalną chrztu i przez inne znaki, a przede wszystkim przez dar Eucharystji wlewa w głębie naszej istoty krew Tego, w którym zostaliśmy przysposobieni. Przez to prawdziwie należymy do Jego rodu: *Ipsius enim genus sumus*. Będąc tedy narodem Bożym: *Genus ergo cum simus Dei*²⁾, skoro nasze synostwo nie jest jedynie nominalne, ale prawdziwe i rzeczywiste, stajemy się dziedzicami według prawa i ściślej sprawiedliwości; „a jeśli synami, tedyście dziedzicami Ojca, współdziedzicami z Chrystusem: *Si filii et haeredes, quidem Dei, cohaeredes autem Christi*”³⁾.

To jest ostateczne wyjaśnienie Wcielenia; tak została urzeczywistniona ta wielka idea. Słowo zstąpiło aż do nędzy naszej i podniosło nas aż do swej wysokości.

Czy nie słusznie powiedzieliśmy, że ludzie w najśmielszych swoich przewidywaniach nic równie pięknego nie wyobrażali sobie? A jednakowoż jest to tylko, jeżeli tak rzecz wolno, zewnętrzna strona onej tajemnicy. Idźmy dalej, a dochodząc aż do duszy Zbawiciela, spróbujmy przyjrzeć się wspaniałości zjednoczenia hipostatycznego.

¹⁾ Paul. ad Rom. VIII, 15. — ²⁾ Paul. ad Hebr. IX, 13. — ³⁾ Paul. ad Rom. VIII, 17.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Cuda zjednoczenia hipostatycznego.

Teraz na zakończenie tego wielkiego przedmiotu naszego rozważania musimy wzrok zatrzymać na cudach zjednoczenia hipostatycznego. Jeżeli z nieskończonej prawie liczby istot stworzonych lub mogących być stworzonymi Bóg wybrał jedną, by ją ze sobą w jedności osoby połączyć, jakież dla tej uprzywilejowanej istoty musiały wyniknąć następstwa z podobnego wyboru? Jakiemi potokami łask zalana została święta jej dusza, by mogła znieść wagę owej godności; jakie dary, jakie przywileje towarzyszyły z konieczności hipostatycznemu zjednoczeniu! A skoro tylko ta niezrównana istota doszła do pojęcia swej najwyższej godności, jakaż miłość musiała wytrysnąć z jej zdumionego serca! jaka bezgraniczna wdzięczność i jaka pokora! jaka potrzeba zatopienia się zupełnie w Tym, który ją tak nadzwyczajnie ukochał!

O, Jezu! na kolana upadam przed Tobą, próbując odmalować Twoją wewnętrzną, boską Istotę! Już raz na to się odważyłem¹⁾, ale był to zaledwie szkic wobec tego, co dzisiaj przedsięwzię.

O Marjo Panno, Matko Zbawiciela, przybądź mi z pomocą, abym w nie nazbyt bladych barwach odmalował niebiańską piękność Twojego boskiego Syna! Wyryj obraz Jego w moim sercu, a wyryj go tym nie dającym się zatrzeć rylcem, o którym wspomina Kościół: *Cordi meo valde!*

I.

Zacniemy od rozważania najświętszego umysłu Pana naszego Jezusa Chrystusa. Jest to umysł podobny do naszego, takiej samej natury. Tylko nasz jest słaby, niezu-

¹⁾ *Chryścjanizm i czasy obecne*, t. II, część trzecia.

pełny; nawet najpotężniejszy pełen jest ciemności. W czyimże umyśle znajdziemy wszystkie możliwe piękności? — Są ludzie o nadzwyczajnej przenikliwości; inni posiadają przedziwną tkliwość; tamci znowu miewają nagle przeczucia, błyski niespodziane, wzbudzające zachwyt, ale nawet u najwznioslejszych znajdują się pewne braki.

Jeden jest tylko wyjątek, o Jezu, a tym jest Twój umysł. Choć się powie, że jest on najpiękniejszy, najwznioslejszy, najpotężniejszy, najprzenikliwszy, że obejmuje wszechświat, nic się jeszcze przez to nie powiedziało. Zamilknijcie, próżne, zimne słowa, lub głoscie jedynie, że jest to umysł pod wszystkimi względami doskonały, bez cieni, bez braków, bez słabości, bez niedoskonałości, umysł posiadający wszelkie możliwe piękności i dosięgający we wszystkich kierunkach możliwej doskonałości.

Czyż tego nie wymagała niezrównana godność Słowa Przedwiecznego? czyż nie było bowiem stosowne, by Bóg, wybierając z pośród milionów milionów umysłów, które do końca wieków będą istnieć, wybrał najpiękniejszy, jaki mógł być? Dlaczego wybierać mniejszy? A stworzywszy taką jaśniejącą, ale jednakże skończoną istotę, dlaczego jej jeszcze nie powiększyć, nie dać jej całej możebnej doskonałości, tak ze względu na godność Słowa, jak i na to, by mogła znieść, nie upadając pod niemi, te potoki nieskończonego światła, które Bóg z konieczności miał na nią wylać?

Wyrażenie *przywłaszczył* użyte do ciała, jakie Bóg Ojciec przygotował swemu Synowi, *corpus aptasti mihi*¹⁾, ażeby odpowiadało ono wielkiemu posłannictwu dlań przeznaczonemu, da się z większą jeszcze słusnością zastosować do umysłu Zbawiciela. Bóg nie tylko wybrał go wśród milionów, ale w boski go sposób *przywłaszczył*. Rozszerzył jego pojętność, o ile tylko się dało, i napełnił go największym światłem.

Tym sposobem najświętszy umysł Pana naszego wiedział o Bogu wszystko, co wiedzieć można; widział Go tysiąc razy lepiej, w potężniejszej jasności niż wszyscy cherubini i serafini, gdyż byłoby niegodne, aby stworzone istoty miały większą niż On świadomość, i by od nich miał się cokolwiek dowiadywać.

Znał więc Boga doskonale, niż Go znać może jakiegokolwiek stworzenie; znał Jego przenajświętszą jedność, Tróję Osób, tajemnicze każdej z nich działanie, a znał to nie jako Słowo, ale przez wielkość światła, jakim Słowo

¹⁾ Paul. ad Hebr. V, 5.

zalało Jego ludzką duszę. Gdyby boska Istota nie była nieprzystępna dla wszelkiego umysłu ludzkiego, umysł tej uprzywilejowanej istoty byłby Ją przeniknął, a przynajmniej najbliższym byłby tego wśród wszystkich stworzeń, które były i będą¹⁾.

Jednocześnie z niezmiernem światłem, jakie Bóg wlewał do duszy Pana naszego co do Bóstwa, udzielał jej jeszcze zupełniejszego w przedmiocie stworzeń; zupełniejszego w ten znaczeniu, że nie spotykała się tu powyżej wzmiankowana przeszkoda o nieprzenikalności Bóstwa. Przez hipostatyczne zjednoczenie Pan Jezus stawał się królem stworzenia. Jako taki z konieczności otrzymał od Słowa jasne poznanie tego królowania. Wszystko, co umysł ludzki miał odkryć w ciągu wieków, te światy nieskończone, po których pomału, w wiekowych odstępach przesuwają się oko filozofa, astronoma, matematyka; owe tajemnice ukryte we wnętrzu kuli ziemskiej, które zaczynają nam wyjawiać geologowie, chemicy, fizycy; te nadzwyczajne piękności natury przeczuwane przez poetów i artystów; wszystko to nie ukrywało się przed Jego wzrokiem. Któż wypowie, ile to drugie poznanie już nie Boga samego w sobie, ale Boga, przejawiającego się przez przeczystą zasłonę stworzenia, gromadziło w Panu naszym uwielbienia, miłości, podziwu i zachwyty! Najmniejszy promyk piękności zachwyca nas; cóż to więc było, gdy wszystkie promienie naraz przenikały tę duszę najbardziej czułą wśród wszystkich dusz?

Przez zjednoczenie hipostatyczne Pan nasz Jezus Chrystus stawał się nie tylko królem stworzenia, ale także głową Kościoła, kapłanem, prorokiem i panem dusz; a jakim znów światłem musiało Słowo obdarzyć ten umysł, aby godnie spełniał wszystkie te czynności! Musiało neutralnie i koniecznie dać mu poznać wszystkie dusze, których wodzem się stawał, wszystkie te, co były, i te, co będą w ciągu wieków. Przyjrzał się każdej z nich, gdyż nie byłoby godnym, by znał swoje królestwo tak tylko jak ziemscy królowie, którym zaledwie wiadoma jest liczba poddanych, a tylko niewielu zna ją dokładniej. Jezus Chrystus musiał znać wszystkie i każdą w szczególności, ich potrzeby, pragnienia, pokusy, winy, niebezpieczeństwa, i to na całej powierzchni ziemi, aż do skończenia wieków. Jako król, kapłan, prorok, głowa Kościoła obejmowała wszystkie czasy i wszystkie miejsca, znał przeszłość, te-

¹⁾ Thom. Sum. 1 p. q. 2 a. 1.

rażniejszość i przyszłość; bezmierny dramat ludzkości przytomny był Jego wzrokowi.

Jeżeli Bóg obdarzył święte człowieczeństwo Pana Jezusa takim światłem co do stworzeń, nie mógł Mu nie udzielić jeszcze obfitszego co do Niego samego. Nigdy Pan Jezus nie mógł mieć siebie tylko za człowieka. Zawsze jasno, bez zasłony wiedział, że według cudownego zamiaru Boga, człowieczeństwo Jego pozbawione było swojej osobowości, naturalnej niezależności i że zostało złączone hipostatycznie ze Słowem. Święte człowieczeństwo znało siebie w Jezusie Chrystusie, ale nie znało siebie jako osoby i nie przypisywało sobie jako odpowiedzialnemu moralnie środowisku tego, co się w nim działo. Jednocześnie wiedząc, że jest złączone ze Słowem, wiedziało, że Bóg z niewymownego miłosierdzia uczynił ten wielki cud, aby odkupić i zbawić grzeszną ludzkość. Wszystkie poprzednie blaski błdy wobec tego i pogrążały święte człowieczeństwo w rodzaj unicestwienia, uwielbienia i miłości.

Gdyby jednak Chrystus znał wszystko przez wiedzę wrodzoną (*infuse*), gdyby nic nie był nabył osobistą pracą i ludzkimi sposobami, czyż byłby rzeczywiście człowiekiem? Byłaby tu *umysłowa zdolność*, ale nie *umysłowa działalność*; rozwinięte byłyby tu jedynie władze intuicyjne, inne pozostałyby bezczynnymi, niepotrzebnymi, nie posiadając własnej działalności.

Należało więc dla chwały Pana naszego, który chciał we wszystkim być do nas podobnym, i dla prawdziwości Jego natury, jeśli tak rzecz można, by mógł własnymi siłami, używając ludzkich sposobów, nabyć wiedzę teoretyczną i praktyczną, jaką mógł się wzbogacić. Wszyscy teologowie przypuszczają, że bezustannie nabywał ją rzeczywistością, osobistą pracą. Potrochu wnikał w świat myśli i w świat natury według zwykłych praw umysłu ludzkiego; były tu jednak pewne różnice. Najpierw, nie podlegał ułomnościom, które są następstwem grzechu pierworodnego; następnie będąc wyższym nad wszystkich ludzi, przewyższał ich także szybkością, pewnością, głębokością, z jakimi wszystkiego się uczył. Jak najpospolitszy fakt wystarczy, by obudzić myśl filozofa, unieść ją wysoko i doprowadzić do cudownych odkryć, tak i rozum Zbawiciela żywił się wszystkim i w szybkich porywach unosił się do najwyższych sfer.

Jednocześnie otwierał się przed Nim świat doświadczeń. Choć wzrok Jego był potężny i wielką intuicją, przez którą widział niedołęstwo człowieka, jego zmienność, jego

namiętności, jego nędze, okropne upadki, co innego jednak jest znać to wszystko z teorii, a co innego poznać przez bezpośrednie stykanie się z ludźmi. W ten sposób dowiadywał się o wszystkim, cierpiał nad tem, raniło Go to; a przez to bolesne doświadczenie dochodził do poznania ludzkości, jakiego poprzednio nie miał. *Didicit ex eis quae passus est*¹⁾).

Billuart kreślił starannie początki, rozwój i warunki tego umysłowego postępu. Rozpoczął się on jak u dzieci z pierwszym aktem rozumu, wzrastał z każdym rokiem z tem szczególniejszem uwarunkowaniem, że Pan Jezus posiadał zawsze w całości nabytą wiedzę w stosunku do swego wieku i że nigdy dla Niego nie było nieznane to, co według czasu i miejsca, nawet w zakresie ludzkiej tylko wiedzy powinien był wiedzieć²⁾.

Jakim sposobem w świętem człowieczeństwie Pana Jezusa współistniała nieograniczona, wrodzona (infuse) świadomość i nabyta wiedza, z każdym dniem wzrastająca? Któż to wypowie? Kto zrozumie tę harmonję? Trzeba zamilknąć i przyznać, że gdyby Bóg nie wlał w Jezusa Chrystusa tych potoków światła, nie byłby postąpił z Jego naturą tak, jak tego wymagała jej wysoka godność, a gdyby był Mu dał od razu taką wiedzę, że Chrystus już niczego nie potrzebowałby się nauczyć, nie byłby w Nim uszanował natury ludzkiej. Wyznając naszą nieświadomość, powiedzmy, że te dwa światła rzeczywiście w duszy Pana Jezusa istniały w niewymowny sposób złączone; jedno podnosiło,

¹⁾ Paul. ad Hebr. V, 8. — ²⁾ Dajemy tu w przypisku doktrynę św. Tomasza o nabytej wiedzy Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Stawia on pytanie: Czy Chrystus posiadał wiedzę nabytą? i odpowiada: Tak; gdyż nic z tego, czego Bóg udzielił naszej naturze, nie brakło ludzkiej naturze, wziętej przez Słowo Boga. I dalej: *Manifestum est autem quod in humana natura Deus plantavit non solum intellectum possibilem, sed etiam intellectum agentem. Unde necesse est dicere quod in anima Christi fuit non solum intellectus possibilis, sed etiam intellectus agens. Si autem in aliis Deus et natura nihil frustra faciunt, ut philosophus dicit, multo minus in anima Christi aliquid fuit frustra. Frustra autem est quod non habet propriam operationem, propria autem operatio intellectus agentis est facere species intelligibiles actu abstrahendo eas a phantasmatibus... Sic igitur necesse est dicere quod in Christo fuerint aliquae species intelligibiles per actionem intellectus agentis in intellectu possibili ejus receptae; quod est esse in ipso scientiam acquisitam, quam quidam experimentalem nominant. Et ideo quavis aliter alibi scripserim, dicendum est in Christo fuisse scientiam acquisitam quae proprie est scientia secundum modum humanum, non solum ex parte subjecti recipientis, sed etiam ex parte causae agentis. (III p., q. IX, a. 4.)*

wzmacniało, powiększało drugie; a to czuło się szczęśliwe, że tak było przez pierwsze powiększone i wywyższone. Któż te cuda potrafi odmalować? Jak światłość stworzona widziała siebie małą wobec światłości niestworzonej! Jak jasno rysowały się przed nią jej granice! Jak miłośnie uznawała swe ciemności! w jakiej pokornej zależności się utrzymywała! O duszo moja, kształtuj się na tym wzorze; usuń na stronę twoje światelka, twój rozum chwiejny; uniżaj wszystko, choćby i genjusz twój przed przedwieczną światłością. Nigdy nie jest się większym, jak gdy się wyznaje, że jest się niczem wobec Nieskończonego!

II.

Zastosujmy teraz do Serca Jezusowego niedawno przez nas użyte wyrażenie: *Corpus aptasti mihi*. Bóg przywłaszczył Mu serce, a uczynił to rozmyślnie, z większym jeszcze staraniem, niż gdy szło o umysł, i z większym mistrzostwem. Tu właśnie, w świętych tajnikach serca ukrywa się zjednoczenie hipostatyczne. Nie znamy jego natury; ale z jakiegokolwiek strony rozpatrujemy ten związek, widzimy, że stworzony został przez miłość. Cóż mogło złączyć Słowo z uwielbionem człowieczeństwem, z najświętszą duszą, z najczystszej ciałem Jezusa? Tylko miłość. A gdy człowieczeństwo Pana naszego obudziło się do życia przeniknione, oblane, przesycone taką miłością, jak jej odpowie-

Św. Tomasz podaje i drugi powód istnienia w Chrystusie nabytej wiedzy: *Duplex est modus acquirendi scientiam, scilicet inveniendo et addiscendo; modus qui est per inventionem est praecipuus; modus autem qui est per disciplinam est secundarius, et ideo Christo magis competeat habere scientiam acquisitam per inventionem quam per disciplinam. (Id., ibid.)*

Trochę dalej święty doktor stawia pytanie, czy w tej nabytej wiedzy mógł Chrystus czynić postępy, i odpowiada: Tak; gdyż wiedza nabyta wytworzona jest przez czynną inteligencję, która nie działa od jednego razu, ale stopniowo. *Scientia acquisita causatur ab intellectu agente qui non simul totum operatur, sed successive; et ideo secundum hanc scientiam Christus non a principio scivit omnia, sed paulatim et post aliquod tempus, scilicet in perfecta aetate. (Id. q. XII, a. 2.)*

Billuart w objaśnieniach swoich zaznacza początek, rozwój i postępek tej nabytej wiedzy. *Incoepit Christus hanc scientiam acquirere cum primum coepit uti ratione modo aliis hominibus connaturali, et semper habuit omnem scientiam, seu omnem scientiae perfectionem singulis aetatibus accommodatam, ita ut nunquam aliquid ignoraverit, etiam secundum scientiam acquisitam, eorum quae secundum tempus et locum ipsi conveniebant. (Dissert. XII, a. 2.)*

działo? któż to może wyrazić? Byłoby się skruszyło, unicestwiło pod jej ogromem, gdyby Bóg nie wsparł go cudownie i nie rozszerzył, nie pogłębił, aby było w stanie więcej jeszcze miłować. A ponieważ jakkolwiek ta miłość była wielka, jeszcze nie była wystarczająca, Bóg w to serce ludzkie wlał, jeśli tak rzec można, swoją miłość nieskończoną, tę miłość, którą w niebie miłują się trzy Osoby Trójcy Przenajświętszej. Tak więc miłość nieskończona zstępuje ze Słowa do świętego człowieczeństwa Jezusowego i wstępuje ze świętego człowieczeństwa do Słowa; jest łącznikiem, świętym węzłem, a więc i nierozrwalnym. *Któż mnie odłączy od miłości, jaką dlań mam?* oto co mówi Słowo o człowieczeństwie Pana naszego. *Któż mnie odłączy od miłości, jaką dlań mam?* powtarza święte człowieczeństwo Pana Jezusa, mówiąc o Słowie. I cała wieczność słyszeć będzie powtarzane przez Słowo i przez najświętsze człowieczeństwo Jezusowe te wyrazy: *Któż nas rozłączy!*

O Jezu, jak odmalować potoki miłości, jakimi Słowo Cię zalewa! i jak wypowiedzieć święte uniesienia, jakimi na to odpowiadasz! Jakież to usiłowania, by nie zostać poniżej takiej miłości! ale i jakie szczęście czuć się tak zupełnie niższym od tej miłości! jaka pokora pełna zachwyty! jakie oddanie się! jaki ogień! jakie święte uniesienie! jakie porywy wdzięczności i poświęcenia! Jakie pragnienie przemienienia świata! Całe życie Pana Jezusa tu się dostrzega niejako przez zasłonę, w półświatle boskiem.

Jednocześnie, gdy Bóg całą miłość, jaką siebie kocha, wlewał w Serce Jezusowe, aby Go przez to uczynić zdolnym do hipostatycznego zjednoczenia, które jest świętym węzłem miłości, wlewał też weń i całą miłość swoją ku ludziom: dlaczegoż bowiem złączył się w jedności osoby ze świętem człowieczeństwem Jezusa? Dlatego, aby stał się Chrystusem, Zbawicielem, Odkupicielem ludzi, Zbawicielem i Odkupicielem przez miłość! A i tu znowu jakże małą była zdolność miłowania w człowieku! Nie; serce człowieka nie wystarcza, by kochać Boga, jak On na to zasługuje; ale także serce człowieka nie wystarcza, by kochać ludzkość, jak ona tego potrzebuje, ta ludzkość grzeszna, upadła, chora na duszy i na ciele! Dajcie, dajcie wszystko co najlepsze, najtkliwsze, najtrwalsze, najofiarniejsze, najwspaniałomyślniejsze! Trzeba nam serca, któreby posiadało wszystką tkliwość, aby nie mogło bez bólu widzieć łyzy płynącej! Trzeba nam serca, które mając w sobie wszelką czystość, nie mogłoby jednak bez wzruszenia patrzeć na

nędznego grzesznika. Trzeba nam serca, w którym byłyby żywe uniesienia, święta niecierpliwość miłości, a które jednak umiałyby czekać i czuło się szczęśliwe, gdy po trzydziestu, czterdziestu latach oczekiwania doszło do uratowania choć jednej duszy! Trzeba nam serca, którego by nic nie powstrzymało: ani obojętność, ani bunt, ani zdrada; które przeciwnie ożywiałyby się wobec niewdzięczności i opuszczone, wzgardzone, wyszydzone przez tych, których najbardziej ukochało, czułoby jedną tylko potrzebę miłowania ich jeszcze! Trzeba nam serca, któreby rozdawszy wszystko, skarżyło się, że więcej dać nie może, pragnie przeżyć siebie miłością i znajduje niewysłowione sposoby, aby kochać zawsze, po wsze czasy, wszędzie, wszystkich ludzi, aż do końca świata!

Tego potrzebowaliśmy i to znaleźliśmy w Tobie, o mój Jezu. Słusznie było, by na tej ziemi znalazło się serce, miłujące Boga, jak na to zasługuje! Ale i bardzo było potrzeba, by się znalazło serce, kochające ludzkość tkliwie, namiętnie, jak ona tego potrzebuje!

„Ale jakto! Serce Jezusa miałoby zaznać w swej miłości ku Bogu tego okrutnego ucisku, tego bólu, tych udręczeń i nie dających się określić cierpień, które są męką serc kochających?”

„I jakto! Serce Jezusa miałoby zaznać w swej miłości ku duszom dotkliwych trosk, goryczy i lęku i łamania się z powodu zawiedzionego uczucia i tego rozdzierającego bólu serca, lękającego się, że nie jest kochane przez tych, których umiłowało, i owego bardziej jeszcze rozdzierającego bólu serca, lękającego się, że bardziej jest kochane, niż samo miłuje¹⁾?...”

Czyż wreszcie zaprzeczymy wzrostu miłości w Sercu Jezusa?... Czy nieznane Mu było piękne prawo rozwoju, które sprawia, że miłość żyć nie może bez wzrastania, i to drugie jeszcze piękniejsze prawo kresu, które żąda, by miłość w pewnej chwili, nie znajdując już nic, coby zadowolniło jej pragnienia, wyczerpawszy wszelkie dary, już tylko jedno uczynić mogła: dać siebie i w ten sposób od jednego razu, ale na zawsze wyczerpać całą możliwość poświęcenia siebie²⁾.” I czy nie to samo głosi Apostoł, gdy mówi: „Jezus, umiłowawszy swe, którzy byli na świecie, aż do końca je umiłował,” to jest nadmiernie, aż do kresu, do ostatecznych granic, *in finem dilexit eos*³⁾.”

¹⁾ *Le coeur de Jésus*, p. Mgr. Baudry. — ²⁾ Perreyve, *Une Station à la Sorbonne*. — ³⁾ Joann. XIII, 1.

O Jezusie, patrzę na Ciebie i uwielbiam Cię. Ani płomień najczystszej miłości, jakimi płoną cherubini i serafini, ani ekstazy świętych na ziemi, ani zachwyty, unoszące najwznioślejsze dusze, ani połączona w jedno tklliwość wszystkich matek dla swoich dzieci, ani głosy najczystsze-
go uczucia, wraz z najszlachetniejszymi, pełnymi poświęcenia ofiarami, ani nic na świecie nie może nam dać pojęcia, ile w tem ubłogosławionem Sercu mieści się miłości ku Bogu i ludziom. Naczynie jest z ziemi jak cała ludzkość, ale gorejący w niem płomień z nieba jest; ogień ten całemu dziełu stworzenia nadaje blask i czyni je godnym Boga!

III.

Te ostatnie słowa doprowadzają do podziwiania innego jeszcze zjawiska w zjednoczeniu hipostatycznym, a mianowicie świętości, która jaśniała w duszy Jezusowej. Był świętym, był nim z konieczności, od pierwszego dnia, świętością doskonałą, istotną, bez żadnych braków i żadnych zaciemnień. Zgodnie z danym planem Bożym można było zmienić niektóre warunki zjednoczenia hipostatycznego, zmodyfikować je. Skoro Bóg raczył łączyć się ze skończoną naturą, mógł jej dać ten lub ów dar, opóźnić udzielenie tego lub owego przywileju. Ale co do świętości, żadne ustępstwo nie było możliwe. W chwili zjednoczenia hipostatycznego i mocą tegoż zjednoczenia natura ludzka z konieczności podniesiona została do stanu doskonałej świętości¹⁾.

Przez to wyrażenie rozumiemy nietylko usunięcie z pod wszelkiego grzechu jako faktu, ale nieomyślność, absolutną niemożebność czynienia złego. Jezus miał zupełną swobodę w sferze dobra, ale niemożebnem było dla Niego zstąpić w sferę zła. Gdyby było inaczej, jakże byłby mógł pozostać złączony w jedność osoby z samem Słowem? Myśl czegoś podobnego wydaje się wstrętną, nieprawdopodobną.

Zjednoczenie hipostatyczne wymagało nietylko niemożebności grzeszenia, ale i obfitości wszystkich łask. Któż mógł je otrzymać, jeśli nie Ten, który był złączony ze Słowem i który miał być ich źródłem dla całej ludzkości? To też Bóg gromadzi i zawiera w świętem człowieczeństwie Pana Jezusa wszystkie doskonałości, jakimi ozdabiał pa-

¹⁾ S. August. *Enchir.* XL.

trjarchów, sędziów, proroków, królów Starego Testamentu, i wszystkie te, któremi miał ozdobić najznamienitsze dusze w Nowym Testamencie¹⁾. A raczej zbierzmy je wszystkie, a nie będą one nawet cieniem tego Słońca świętości, nie będą nawet drobną strugą wody wobec tego bezmiernego Oceanu. Niektórzy teologowie utrzymują, że łaska uświęcająca, przepełniająca duszę Pana Jezusa, była nieskończoną. Tak nie było, skoro naczynie, zawierające ją, było skończone; ale samo to twierdzenie świadczy, jak trudno Doktorom Kościoła przychodziło mówić o tych cudach, i jak niedołężne są słowa dla wyrażenia całej siły i wielkości łaski²⁾.

Czyż można wątpić, by do tej ogólnej łaski uświęcającej nie dodał Duch Święty dla najświętszej duszy Zbawiciela tych łask specjalnych, nazwanych darami Ducha Świętego: mądrości i pojęcia, rady i mocy, umiejętności, pobożności i bojaźni Bożej? Najmniejszy promień tych darów, jaśniejący na czole człowieka, wzrusza nas i budzi cześć dla niego. Tu, w duszy Jezusa są one wszystkie w najwyższym stopniu, przechodzącym wszelką miarę; stawiają ją w jakimś nadludzkiem, znamienicie wyższem życiu, w jakiejś ekstazie ciągle trwającej, obejmującej nie myśli i uczucia tylko, ale i istnienie.

Do tej cudownej obfitości darów Ducha Świętego należy jeszcze dołączyć nieskończony prawie ogrom łask stanu. Bo i czemuż jest Jezus, a raczej czemu On nie jest? Jest kapłanem, arcykapłanem, prorokiem, królem dusz; jest Zbawicielem, Odkupicielem. Któż wypowie, ile otrzymał łask na mocy tych różnych godności? A ponad wszystkie te godności jest jedna, przed którą korzy się myśl zdumiona; jest On złączony w jedność Osoby ze Słowem, to jest, że Słowo staje się odpowiedzialnem za wszystkie Jego czyny. Jak pokorne, ludzkie stworzenie zdoła wytrzymać podobne stanowisko, i jakie potoki łask zaleją ten umysł, serce i wolę. Ach! jak zrozumiałe jest, co o Nim mówi Apostoł: Boć nie pod miarą Bóg dawa Ducha³⁾. Jakże mógłby inaczej znieść ciężar tego stanowiska? Było Mu wszystko dane w pełnej, doskonałej, najwyższej obfitości, najpierw dla Niego samego z powodu Jego nieskończonej godności,

¹⁾ Origen. *Periarch.*, lib. II. — ²⁾ Święty Tomasz: *Gratia est quiddam creatum in anima. Sed omne creatum est finitum. Ergo gratia Christi non est infinita. Gratia est in anima Christi sicut in subjecto; anima autem Christi est creatura quaedam habens capacitatem finitam; unde esse gratiae, quod non excedat suum subjectum, non potest esse infinitum.* (Summ. III p., q. VII, a. 11.) — ³⁾ Joann. III, 34.

następnie dla nas, abyśmy z pełni Jego wszyscy wzięli, czego tylko potrzebujemy. To także skłoniło Izajasza do powiedzenia: *Duch Święty spocznie na Nim*¹⁾. Jakież rozum stworzony mógłby zgruntować znaczenie tego wyrażenia? Ginie się w tym bezmiarze, graniczącym z nieskończonością.

Trudno się zgodzić jednak z niektórymi teologami, wnioskującymi z obfitości tych łask, że nie mogły być one już powiększone. Łaski te, jakkolwiek są wielkie, są jednak skończone; a zatem czyż można zakreślać granice potędy Boga?²⁾ Jedna tylko łaska jest zupełnie, absolutnie nieskończona, to łaska zjednoczenia hipostatycznego; z niej właśnie wszystkie inne wypływają.

O, Duszo najpiękniejsza z dusz ludzkich, prawdziwie jesteś pełna łaski i to na inny sposób niż Matka Twoja, Marja, bo w znaczeniu absolutnym i boskiem. Wszystkie cnoty są w Tobie!

IV.

Ażeby ujrzeć w całym blasku uwielbioną świętość Pana Jezusa, nie wystarcza znać dary, jakie otrzymał, światła i łaski, jakimi został napełniony; trzeba zobaczyć, jaki z nich użytek zrobił, trzeba zapuścić wzrok w jedną z niezgruntowanych głębin tej świętej duszy, w przepaść jej zasług. Pan Jezus posiadał wszystko, czego potrzeba do zasługi. Mógł czynić dobrze albo lepiej, mógł zadowolnić się czynem, zawsze z konieczności dobrym, lub wznieść się do czynu heroicznego. Wola Jego posiadała żarliwość, odwagę, światło, moc, jakich nikt z nas ani ocenić, ani zmie-

¹⁾ Isai. XI, 2 i 3. — ²⁾ Faber. Kilku teologów utrzymywało, że łaska habitualna nie mogła być powiększona w duszy Jezusa, nawet przez absolutną potęgę Boga, a to z tego powodu, że została Mu udzielona w najwyższym stopniu, w jakim sama łaska istnieć może i w jakim dusza stworzona jest zdolna ją otrzymać. Ale inni są przeciwnego zdania, nie żeby mieli ujmować cośkolwiek z wielkości łask Pana Jezusa, ale z innych powodów: jedni, ponieważ nie przypuszczają, by łaska habitualna była rzeczywiście nieskończona w duszy Jezusa Chrystusa; drudzy, ponieważ nie ośmielają się zakreślać granic Boskiej wszechmocy. Co więcej, nie chcą przypuścić, by zwykle stworzenie było niezdolne otrzymać od wszechmocy Boga łaskę habitualną w tej samej mierze, co Pan nasz Jezus Chrystus. Jakkolwiek bądź rzecz się ma, niemożliwym jest dla zwykłego stworzenia, nawet przy pomocy absolutnej władzy Boga, dorównać Jezusowi w świętości; gdyż łaska przysposobienia, do nieskończoności posunięta, nie może osiągnąć niewysłowionej łaski zjednoczenia hipostatycznego.

żyć nie zdoła. Miał łaskę stanu, łaskę habitualną i łaskę czynną, zjednoczenie z Bogiem najwyższe, najściślejsze. Jakież to myśli, jakie uczucia, jakie czyny musiały z tej duszy bezustannie wypływać na podobieństwo iskier, tryskających z niegasnącego ogniska! Każdy z tych czynów był nieskończeniem miły Bogu i godny nagrody zastosowanej do jego wartości. A ponieważ uczynki zawsze są przypisywane osobie, a tu osobą była Osoba samego Syna Bożego, każdy z tych czynów posiadał oczywiście cenę nieskończoną.

A któż je zliczy? czyja wyobraźnia mogłaby przedstawić sobie nietylko ich liczbę, ale ich piękność, podniosłość, wielkość, świętość, heroizm? Od pierwszego do ostatniego tchnienia jest to ocean, toczący falę za falą; wielkie czyny następują po wielkich czynach aż do największego, najdosłojniejszego, do śmierci na krzyżu.

Wprawdzie, według niektórych teologów, a między innymi Vasqueza na przykład, wolny wybór co do odkupienia świata przez śmierć na krzyżu nie był zostawiony Jezusowi Chrystusowi. Bóg Mu wyraźnie ten sposób odkupienia nakazał. Zdanie to opierają oni na słowach św. Pawła: *Stał się posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżowej*¹⁾; i na tem wyrażeniu Pana naszego, zapisanem u św. Jana: *Nikt mi jej (duszy) nie bierze, ale ja kładę ją sam od siebie... To rozkazanie wziąłem od Ojca mego*²⁾. Można jednak mniemać, że nawet w tym wyraźnym rozkazie była pozostawiona Panu Jezusowi zupełna swoboda tak co do wyboru okoliczności nakazanej ofiary, jak i co do jej wypełnienia. Otrzymał on rozkaz cierpienia i śmierci; i to czyniło całe Jego życie bezmiernem i wspaniałem posłuszeństwem. Ale wokoło tego środkowego punktu, tej niezmiennej osi pozostawało dość przestrzeni, ażeby ujawnić się mogły wszelkie cnoty, według natchnień Jego serca spełniane.

O ileż wyżej stoi hipoteza innych teologów, a przede wszystkim O. Petau! Uczą oni, że Bóg Ojciec, zsyłając Pana naszego na odkupienie ludzkości, pozostawił Mu zupełnie wolny wybór dróg i środków do tego potrzebnych. I tu znowu św. Paweł poddaje tę piękną doktrynę, przyjętą przez mnóstwo teologów i Ojców Kościoła. *Proposito*

¹⁾ Paul. do Filip. II, 8. *Factus obediens usque ad mortem, mortem autem crucis.*

²⁾ Joan. X. 18 *Nemo tollit eam a me; sed ego pono eam a meipso... hoc mandatum accepi a Patre meo.*

sibi gaudio sustinuit crucem, confusione contempta. Dom Calmet tak to tłumaczy: „Jezus Chrystus mógł zażywać życia spokojnego i szczęśliwego, ale zamiast tego, gardząc niesławą, wybrał cierpienie na krzyżu”. Święty Jan Złotousty, św. Ambroży, Rupert, Estjusz i wielu innych komentatorów i teologów mówi, że Jezus Chrystus byłby mógł, gdyby chciał, nic nie cierpieć. Męka Jego była najzupełniej dobrowolna, nie przyjęta z posłuszeństwa jedynie, ale wybrana przez Niego. W chwili Wcielenia Bóg dał Mu wybór zbawienia ludzi, cierpiąc za nich, lub nietylko nie cierpiąc, ale używając nawet różnego rodzaju dóbr, nieoszacowanych z powodu nieskończonej godności Słowa, które byłoby je sobie przywłaszczyło i do pewnego stopnia ubóstwiło.

I cóż uczyniło święte człowieczeństwo Pana naszego, mając swobodę wyboru między temi różnymi planami? Wybrało najwyższy, najwznioślejszy. Pan Jezus postanowił cierpieć i umrzeć, aby w całej możliwej wielkości wypełnić zlecone dzieło; chciał przedewszystkiem nadać mu piętno, zdolne najbardziej poruszyć ludzi: bezinteresowność, zapomnienie siebie, zupełne, doskonałe poświęcenie się; i mogąc odkupić świat, nie wylewając jednej łzy, z własnej woli, nieprzymuszony, miłośnie wydał się nad wszelki nadmiar cierpienia.

Jest to dokładna nauka O. Petau. Suarez lęka się stawić podobnego wniosku, gdyż według niego całe zarządzenie Odkupienia zależałoby od ludzkiej woli Pana Jezusa. Ale to, co przeraża Suareza, pociąga nas raczej i zachwyca. Czyż to rzeczywiście nie jest cudownie piękne, że Słowo, złączwszy się dla odkupienia świata ze świętem człowieczeństwem Jezusa, zostawiło temuż świętemu człowieczeństwu wolność wyboru środków? A cóż bardziej wzruszającego, jak widzieć to święte człowieczeństwo, wybierające wśród tysiąca sposobów najwznioślejszy?

Któż wypowiedzieć potrafi, jak ten cudowny plan został wykonany? Pan Jezus usunął wszystkie pociechy, przyzwał do siebie wszystkie bóleści, wkładając w nie całą swą duszę, wszystkie myśli, całą świadomość jasnego umysłu, silną baczność, żywe i gorące współdziałanie; pograżał się w cierpieniu, nigdy go dosyć nie mając...

O Jezu, mimowoli się tu zatrzymać potrzeba i ugiąć kolana przed Tobą! Któż zgłębi całą piękność tego uczucia i jaką mu da nazwę? Nazwa miłości tu nie wystarcza. Bo oto, co uczyniłeś dla zbawienia ludzkości: umiłowałeś ją

aż do całopalenia, do wyniszczenia siebie, i powziawszy plan, przechodzący wszelkie najwznioślejsze marzenia, wykonałeś go w sposób jeszcze wznioślejszy.

V.

Trzebaby teraz powiedzieć słowo o najświętszym Ciele Pana Jezusa, o harmonji jego z świętą duszą, o jego majestatycznej piękności. Ale aby to uczynić, trzebaby wiedzieć, co to jest ciało bez grzechu, bez buntu pożądlivosti, bez piętna śmierci. Można tylko powiedzieć, że owo ciało doskonale było przystosowane do chwalebnej duszy, której miało służyć za narzędzie. Harmonijne we wszystkich członkach, bez rozterek i walk wewnętrznych, piękne i doskonałe nigdy nie ciążyło duszy, ani jej niepokoiło. Odpowiadało jak dźwięczna lira działaniu najpotężniejszej myśli, największego serca. Pomałało duszy, jeśli ciało może duszy pomagać. Dostarczało jej najprawdziwszych, najświatlejszych obrazów; najczystsza krew biła w jego sercu. Nigdy nic próżnego lub fałszywego go nie poruszyło; każde spojrzenie, gest każdy był doskonałym odbiciem duszy. Chociaż było ono nieskończenie delikatne, upływające lata nie byłyby mu przyniosły żadnej zmiany, żadnego uszkodzenia, żadnego zniszczenia, nic z tego, co sprawia, że się pragnie śmierci, jako przemieniającej to ciało. Przeznaczone i stworzone na wiele cierpień, otrzymało w udziale tkliwość nadzwyczajną, największą, jaką uczuć zdolna była istota ludzka. Widząc, jak jest delikatne, można było przypuszczać, że złamie się pod pierwszym uderzeniem boleści, a ono całe jej potoki zniosło tak samo, jak bez zniszczenia zniosło gwałtowne fale chwały. Wyobraźmy sobie najdoskonalszą żywotną harmonję, jaką kiedykolwiek była, organizm najdelikatniejszy a zarazem najsilniejszy, najtkliwszy i najodporniejszy; oddajmy to na usługi najsłabszej duszy, a mieć będziemy pojęcie o najświętszym ciele Pana naszego. W niemożności odmalowania go porzeczmy na tem, co św. Jan powiedział o Osobie Słowa Wcielonego: „W niem był żywot”, *in ipso vita erat*; życie, to jest piękność; „a żywot był światłością, *et vita erat lux*”; a choć zrzędzeniem Opatrzności rzucona była zasłona na to ognisko, przeświecała zeń jednak jakby świetlana atmosfera, rzucając niekiedy żywe blaski. Oblicze było nią zazwyczaj oświecone! Jedno jego spojrzenie podbijało apostoła, przemieniało człowieka; jedno słowo wprowadzało

dusze w zachwyt, wieki trwający. Ewangelja to mówi, i nie można sobie wyobrazić, by mogło być inaczej. Niewysłowiona piękność duszy Chrystusowej odbijała się na Jego Ciele. Oślaniał on swoje bóstwo, o ile trzeba było, by zbyt żywy jego blask nie raził niedołężnych, nędznych naszych oczu. *Otoś ty jest piękny, miły mój i wdzięczny¹⁾. Rozlała się wdzięczność po wargach twoich²⁾. Piękniejszy urodą nad syny człowiecze... z ślicznością twoją i z pięknnością twoją postępuj i panuj³⁾*. Bo wbrew zasłonie, która Go czyni do nas podobnym, w Nim mieszka wszystka zupełność Bóstwa cielesnie⁴⁾.

VI.

A zatem, czy się bada umysł Boskiego naszego Mistrza, czy Jego serce, Jego świętość, czy Jego uwielbione Ciało, Jego zasługi nieskończone, dary i przywileje, które były następstwem zjednoczenia hipostatycznego — zawsze niewysłowiona piękność świętego Jego człowieczeństwa usuwa się z pod wszelkiego opisu. Któż zdoła ją kiedy pojąć? Kto potrafi cień jej oddać pendzlem, piórem, dźwiękiem lub słowem? Od ośmnastu wieków genjusz sili się na to, lecz nadaremnie. „Gdy się ma mówić o Jezusie Chrystusie, choćby nawet słowami Pascala, pisze Sainte-Beuve, uczuwa się mimowolne ograniczenie. Lęk ogarnia, że się znieważy to niewysłowione Imię, skoro się je wymówi nie na kolanach, nie dla oddania Mu czci, to Imię, wobec którego głębokie nawet uszanowanie wydać się może bluźnierstwem. Powtórzmy tu przynajmniej ze szczerego serca te słowa, którym nikt i nic zaprzeczyć nie zdoła: Gdyby nie było żadnych prorocत्व o Jezusie Chrystusie, a On nie był żadnych cudów uczynił, *jest coś tak boskiego w Jego nauce i w Jego życiu, że trzeba co najmniej być tem zachwyconym; a jak niema ani prawdziwej cnoty, ani prawości serca bez miłości Jezusa Chrystusa, tak też niema wysokiej inteligencji ani delikatności uczuć bez uwielbienia Jezusa Chrystusa⁵⁾*. I jeszcze dalej te niezrównane słowa Pascala: „*Jezus Chrystus jest Bogiem, do którego zbliżamy się bez pychy i przed którym korzujemy się bez rozpacz*”. A przy końcu tego wspaniałego ustępu, gdy w stopniowa-

¹⁾ Pieśń nad pieś. I, 15. — ²⁾ Psalm XLIV, 3. — ³⁾ Psalm XLIV, 4, 5. — ⁴⁾ Św. Paweł do Koloss. II, 9. — ⁵⁾ Sainte-Beuve przypisuje te słowa ks. de Chaise.

niu wielkości cielesnych, umysłowych i świętych, mówiąc o różnych rodzajach godności i królewskości stawia Archimedes jako księcia ziemskich umysłów, ukazuje przychodzącego Jezusa Chrystusa także jako księcia swojego rodzaju, a rodzaju świętości z całym tegoż blaskiem. Przyjście to, pełne ciszy, pokory i cierpliwości, jest przez to właśnie wspaniałe i pełne chwały dla wzroku serca. „Jezus Chrystus bez dobra, bez okazywania wiedzy nazewnątrż stoi w państwie Świętości. Nie czynił żadnych wynalazków, nie królował, ale był pokorny, cierpliwy, święty, święty, święty Bogu, straszny szatanom, bez grzechu żadnego. O, jak wspaniałe i świetne było Jego przyjście dla tych, którzy oczami serca patrzą i mądrość oglądają!

„Nie było potrzeba Archimedesowi okazywać w swych geometrycznych księgach, że jest księciem tej nauki, chociaż nim był. Nie potrzeba było Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi przychodzić jako król, ażeby oznajmić swoje panowanie świętości; ale jakże jasno otaczał Go blask świętości!”

I Pascal długo w ten sposób mówi zachwycony do głębi swej istoty tym Ideałem nadnaturalnej piękności i świętości.

Po Pascalu posłuchajmy Bossueta: „Jedno spojrzenie sprawia, że serce, zachwycone pięknościami Jezusa Chrystusa, woła: Ach! jak piękny jesteś, Oblubieńcze mój, jak piękny i miły! Zachwyt ten wprowadza duszę w sferę ciszy, która każe zamilknać wszystkim rzeczom, aby zająć się pięknościami Tego, którego miłuje. Tak, że w tym błogosławionym podziwieniu dusza do niczego nie jest zdolna i co raz więcej pociągana pięknnością Jezusa Chrystusa, odpowiada na ten pociąg jedynie krzykiem zachwytu: O Jezu Chryste! o Jezu Chryste! o Jezu Chryste! Oto wszystko, co mówić można. Potrochu wszelkie inne przedmioty albo zacierają się w sercu, albo serce mówi: To jest piękne, ale to nie Jezus Chrystus¹⁾. — „Wtedy, w świętej niecierpliwości, nagli się wszystkie stworzenia, by głośno mówiły o tym Umiłowanym. Mówcie! mówcie i jeszcze mówcie; i nakazuje się milczenie wszystkiemu, co o Nim nie mówi. Potem znieść nie można, by o Nim mówiono, gdyż wszystkie stworzenia nie są zdolne mówić, jak trzeba, a dla duszy staje się nieznośnem niedołężne mówienie. Żąda więc, by one wszystkie zamilkły, i prosi Jezusa, by sam jej mówił, czem jest. A wkrótce znowu Go prosi, by nic nie mówił,

¹⁾ *Lettres de piété*, 1-szy list.

bo i cóż może powiedzieć, coby Go było godnem? Prosi Go więc, by zamilkł, a tylko wyrył się w głębi jej serca, by pociągnął do siebie wszystkie jej władze i pozwoił jej w cichości powtarzać: „O Jezu Chryste”¹⁾).

Toż samo uczucie, te same myśli żyły w dwa wieki później w sercu O. Lacordaire'a i skłoniły go do napisania kart niemniej wzruszających: „Przychodzi chwila, kiedy na skrócie ulicy, na samotnej ścieżynie zatrzymujemy się, słuchamy, a głos jakiś w głębi nas przemawia: Oto Jezus Chrystus! Chwila niebiańska, gdy dusza po tylu pięknościach, których kosztowała i które ją zawiodły, odkrywając wzrokiem pewnym piękność, która nie omyli; można ją poczytywać za marzenie, gdy jej się nie widziało; ale ci, co ją dojrżeli, nie mogą jej już zapomnieć...”²⁾. — „Och! któż nam opowie, czym jest Jezus Chrystus! ani zadowolenie duszy w dniu jej największych triumfów, ani urok świata w godzinie najbardziej ludzających rozkoszy, ani szczęście matki, otrzymującej z rąk Boga syna, ani radość małżonka, wprowadzającego małżonkę w czyste ognisko domowe, ani uniesienie poety pod pierwszym tchnieniem genjuszu, ani nic, co jest, i nic, co było, nie zawiera ni obrazu, ni nawet cienia tego, czym jest w duszy cześć dla Jezusa Chrystusa. Wszystko inne jest albo za wiele, albo za mało; albo nas przewyższa, albo nas nie wypełnia. Sam tylko Jezus Chrystus zna miarę naszej istoty. Sam z wielkości i niedoleństwa, z siły namaszczenia, z życia i śmierci przygotował napój, jakiego pożałowało nasze serce, choć go nie znało, a ci, którzy raz w wieku męskim pili z tego kielicha, wiedzą, że mówię prawdę, i że jest to upojenie, z którego otrzeźwić się nie można”³⁾).

VII.

Jeżeli mowa jest nieudolna do wyrażenia piękności Pana naszego, cóż uczynić potrafi pędzel? Trzeba oddać sprawiedliwość sztuce, że skoro tylko ujrzała tę uwielbioną postać, zaraz odczuła jej wielkość; pojęła, że jest to przedmiot jej godny. Z lękiem i na kolanach doń się zbliżała i oto od osmnastu wieków próbuje w rozmaity sposób pędzlem lub dłotem oddać tę boską fizjognomję, a nigdy dotąd się nie zadowolniła. Nie brakowało jej ani genjuszu, ani świę-

¹⁾ Ibid. 2-gi list. — ²⁾ Konferencje w Tuluzie. — ³⁾ Listy o pobożności.

tości, napróżno je nawet razem łączono. Spójrzmy na dzieła błogosławionego Fra Angelico de Fiesole. Poświęcił temu wzniosłemu dziełu cały genjusz, jakim go Bóg udarował, wszystkie ideały nagromadzone w czystym jego sercu, wszystkie światła rozniecone najżarliwszą kontemplacją. Przez czterdzieści lat skupienia, milczenia, ucieczki od ludzi uprawia się, malując aniołów, święte dziewice, Madonny, najczystsze profile, najidealniejsze oblicza; wreszcie z latami i wzrastającą miłością ośmiela się przedstawić tę uwielbioną postać. Dwadzieścia razy rozpoczyna ją malować: w kapitułach klasztoru św. Marka, pod arkadami klasztorami, w refektarzu, na korytarzach, nawet w celach, coraz to inaczej, coraz to piękniej, nigdy jednak nie jest zadowolony ze swego dzieła. Przygotowywał się doń pokutą, modlitwą, postem; często pędzel z ręki mu wypadał, łzy zalewały lica, łzy zachwyty na widok wymarzonej twarzy, łzy bóleści i żalu, że tak bardzo go pędzel zawodzi. Trzeba widzieć we Florencji, w klasztorze św. Marka, głowę umierającego Chrystusa, spoglądającego tklawie na św. Dominika, płaczącego u stóp krzyża, lub na wpół zartate *Ecce Homo*, znajdujące się w jednej z celek, a którego spojrzenie jest tak wzruszające, że nic podobnego nie widuje się tu na ziemi; albo jeszcze w Akademji orszak złożony z tych wszystkich, którzy kochali Jezusa i niosą Go do grobu, okrywając pocałunkami. I tu nawet czuje się, że sztuka zwyciężoną została i że tylko niedoskonale przedstawia piękność, której obraz ma się wyryty w sercu. Ale mimowoli zgina się kolana przed temi dziełami i rozumie się to, co współcześni opowiadali o błogosławionym, że gdy pędzel wypadał z rąk, a on zalany łzami uniesiony bywał w ekstazę, aniołowie pędzel podejmowali i kończyli malować boską postać.

W sto lat po błogosławionym Fra Angelico inny malarz przystąpił do trudnego tego dzieła. Leonardo da Vinci nie posiadał świętości błogosławionego, ale genjusz jego był jeszcze większy; był to jeden z tych wielkich, potężnych umysłów, dla których żadna umiejętność tajemnic nie posiada: metafizyk, astronom, architekt, rzeźbiarz, malarz, matematyk, a w tem wszystkim wyższy nad innych odgadł on lub dostrzegł najbardziej tajemnicze wynalazki czasów tegoczesnych; w geologii i kosmogonji miewał przeczucia zdumiewające; rzeźbił, jak Donatello, w chwilach wolnych malował tak znakomicie, że ten jego talent kazał o innych zapominać. Na nieszczęście zanadto rozpraszał swoje siły i zanadto wiele rzeczy obejmował, nie będąc jednak w ni-

czem powierzchownym. Osobliwie w malarstwie pobity pięknościami arcydzieł sztuki starożytnej, pełen rycerskiej sympatii dla ludzi wojennego rzemiosła, wykonywając z polecenia Medyceuszów mnóstwo portretów, konnych posągów, obrazów, przedstawiających bitwy, rzadko tylko dotykał malarstwa religijnego. Nadszedł jednak dzień, gdy po przedziwnych szkicach, po pierwszorzędnym obrazach postanowił poszukać tematu, w którymby mógł ujawnić cały swój genjusz, i wtedy zwrócił się do postaci Jezusa Chrystusa. Ale nie wybrał, jak błogosławiony Angelico, sceny ukrzyżowania; może w swym rozproszonym życiu nie znajdował dosyć patetycznych pierwiastków do jej przedstawienia, a może z innych powodów przedsięwziął odmalować inną kartę Ewangelji, tę, gdzie Jezus, umiłowawszy swoich, którzy byli na świecie, chcąc ich miłować do końca, ustanowił dla nich najdosłowniejszą tajemnicę świętej Eucharystji. Leonardo da Vinci długo przygotowywał się do wielkiego dzieła. Muzea w Petersburgu posiadają mnóstwo rysunków, z których widać, jak znakomity artysta studiował z zadziwiającą cierpliwością i siłą głowy apostołów, których chciał ugrupować dokoła Mistrza. Co do głównej postaci, gdy go się zapytywano, gdzie nań model znajdzie, odpowiadał, że go na ziemi nie będzie szukał. Uczeń jego, Lomezzo, ukazując nam ten wspaniały genjusz, pogrążony w kontemplacji, opowiada, że głowa Chrystusa była dla niego przedmiotem długich rozmyślań, a gdy wreszcie głęboko poruszony tem, co w duchu dostrzegł, chciał to przedstawić i zbliżył pendzel do płótna, ręka jego drżała ze wzruszenia. Nic nie dorównywa spokojowi, majestatowi, pogodzie, niewysłowionej tklivości Chrystusa na obrazie Leonarda da Vinci. Oczy zachwycającej piękności, usta miłośnicie rozchylone, ręce wyciągnięte, jakieś tkliwe pochylenie całego ciała ku stronie serca nadają tej postaci przejmujące namaszczenie. Niezliczone razy była ona sztychowana, ale ani rylec, ani fotografia, ani nawet żywe słowo nie mogą dać pojęcia o tej boskiej scenie. I teraz, choć to dzieło zostało zniszczone przez ludzi, naprawiane przez niegodne ręce, zostawione w refektarzu, zamienionym na skład siana i na stajnię, jeszcze oczy zachwyca. Jest to jedna z najwznioślejszych prób, jakie kiedykolwiek czynione były dla odmalowania boskiej i ludzkiej, uwielbionej postaci Jezusa Chrystusa.

Zdawaćby się mogło, że taka próba nie mogła już być przewyższona. A jednakowoż tak się stało. Ukazał się młodzieniec, wobec którego dzieł zbladło wszystko, co dali

dotąd światu najdoskonalsi mistrze; umarł w sile wieku i na zawsze pozostanie niedoścignionym. Łączył prostotę i majestat dawnych Rzymian z najwytworniejszym idealizmem; znajomość rysunku, wykwiint szczegółów, poprawności wykończenia z intuicją wielkich linii, z pięknnością kolorytu i zapałem najśmielszego genjuszu. Przytem pełen wiary, pobożny, czysty, wbrew wszystkiemu, co o nim mówiono, nie wymalował on ani jednej postaci, na której nie mogłoby spocząć spojrzenie dziewicy; ale wymalował zato wiele, którym przez wieki całe przyglądać się będą święci, i do których przychodzić będą żyjący nawet, w najwyższej ekstazie, by jeszcze podnieść duszę, rozżarzyć miłość. Takim był Rafael. Niebo zbliżył ku ziemi. Uchylił obłoków i ukazał nam apostołów, męczenników, aniołów takimi, jakimi być muszą wśród wspaniałości niebieskich; nie można ich sobie piękniejszymi wyobrazić. Rozjaśnił przed oczyma wiernych postać Marji Dziewicy i Jej boskiego Dzieciątka. Któż mógłby wyliczyć i kto wypowiedzieć idealną piękność i czystość jego obrazów, przedstawiających Matkę Dziewicę? Wciąż do Niej wraca, nigdy się nie powtarzając. Gdzież przebywał ten przedziwny umysł, że codzień stała przed nim coraz to cudniejsza Najświętsza Dziewica? Czasami sam siebie przerasta, i to bez wysiłku, z niebiańskim spokojem, przy cichej, spokojnej pracy, nigdy się nie wyczerpującej i nigdy nie ustającej. Mając 37 lat i już za ledwie kilka miesięcy życia przed sobą, powziął myśl obrazu, w którym nadałby postaci Chrystusa całą piękność, jaką dać czuł się zdolnym. Wybrał do tego wspaniałą scenę *Przemienienia*. Nigdy jego ręka nie była pewniejsza, nigdy umysł promienniejszy, nigdy cudowniejsze widzenia piękności nie zachwycały jego duszy. Potężnie łączy się w jedno niebo z ziemią na tym obrazie, otaczając uniesionego ekstazą Chrystusa. Pyszne, efektowne skróca pozwalają swobodnie poruszać się mnóstwu osobom na małej stosunkowo przestrzeni. Przejmujące przeciwieństwa w piękniejszym jeszcze świetle stawiają postać Boga-Człowieka. Z jakim mistrzostwem umieścił u stóp Jego dziecię, męczone od złego ducha, ale piękne w tej męce, jak Laokoon, i matkę zboląłą, przypominającą wyciągniętymi rękami Niobe Praksytelesa. W jakimże świetle, pokoju i chwale ta upadła, cierpiąca ludzkość stawia przemienioną ludzkość w Jezusie Chrystusie. Twierdzą niektórzy, że ta dostojna matka, której szaty w nieładzie okazują troskę i śmiałość boleści, jest początkiem zwrotu do sztuki pogańskiej. Błuznierstwo fanatyków, niezdolnych nic zrozumieć! Gdy wzno-

sząc się stopniowo od pierwszego planu obrazu, dochodzi się do postaci samego Zbawiciela, gdy się widzi jaśniejące jego czoło, oczy zatopione w ekstazie, usta pałające miłością, tę całość tak lekką, a jednak tak pełną siły, łączącą doskonale człowieczeństwo i bóstwo, niebo i ziemię, łączy z oczu tryskają, a serce uderza świętem uniesieniem. Było to ogólne wrażenie w Rzymie, gdy nagle rozeszła się wieść: „Mistrz jest chory! Mistrz umiera!” Zbiegano się tłumnie. Wtargnięto do pracowni, gdzie zgasty w trzydziestym siódmym roku leżał młody mistrz, a obok śmiertelnego łoża znajdowało się promienne dzieło, nad którym ostatniemi dotknięciami pendzla pracował. Niesiono je na jego pogrzebie; papież tego żądał, chcąc, by łączyły się z okrzykami podziwu, tworząc wspaniały, godny mistrza pochód, i by Kościół i świat cały, ale jeszcze więcej Kościół wiedział, jakiego potężnego, *jasnowidzącego* geniusza utracił.

Mimo to wszystko sztuka musi uznać swoją porażkę; nawet przez błogosławionego Fra Angelico, nawet przez Rafaela dać nam może jedynie cień uwielbionej piękności Pana naszego, Jezusa Chrystusa!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Odkupienie.

Dochodzimy do dogmatu Odkupienia. Widzieliśmy już, że prawdopodobnie choćby Adam nie był zgrzeszył, Wcielenie i tak byłoby nastąpiło. Słowo byłoby zeszło na ziemię, ażeby dziełu swemu nadać nieskończoną piękność. Grzech wpłynął tylko na formę Wcielenia: zamiast Wcielenia w chwale, Wcielenie w boleści.

Ale co z pewnością nie byłoby nastąpiło, to Odkupienie.

Tak w miłości, jak w potędze Odkupienie przewyższa jeszcze Wcielenie. Wyobraźmy sobie człowieka, nie wiedzącego o niczem, a ukazując mu Golgotę, dajmy mu do zrozumienia, czem musiała być śmierć Boga; będzie tem spiorunowany.

Ludzkość przeczuwała Wcielenie; ale nikt nigdy nie przeczuwał Kalwarji. Bóg, zstępujący na ziemię, by ponieść karę, należną człowiekowi grzesznemu; Bóg osądzony, skazany, ukrzyżowany przez swoje stworzenie i odradzający je męką, zadaną przez wstrętne, bezrozumne stworzenie: rozum się tu miesza i zrazu oburza.

Było to pierwsze wrażenie. *Judaeis scandalum; gentibus stultitiam*¹⁾. Jakim sposobem popłynęły następnie łzy, a pocałunki okryły krzyż? Zobaczmy to wkrótce.

Krzyż Chrystusa to ostatni wyraz chrześcijaństwa. Dońdą czczono żyjących bogów. Chrześcijaństwo jest religją Boga umierającego. W tem leży jego nadzwyczajność, jego idealna piękność i siła pod pozorem szaleństwa. Krzyż — to niewyczerpany zachwyt chrześcijaństwa; nie przestanie on do końca wieków wzruszać ludzkości.

Ale aby dobrze poznać te rzeczy, trzeba uważnie rozpatrywać ciemne i zawile zadanie, rozwiązane przez krzyż

¹⁾ I. Paul. *ad Corinth.*, I, 23.

Jezusa Chrystusa; rozliczne były w niem żywioły. Spróbujmy się w nich rozejrzeć.

I.

Grzech, jak to widzieliśmy, skrzywił naturę ludzką; i jeszcze miał drugie, gorsze następstwo: obraził i zagniewał Boga. Bóg jest nieskończoną sprawiedliwością. Sprawiedliwość — to nienawiść złego; a gdy sprawiedliwość ujmie miecz, wtedy jest kara za zło. Sprawiedliwość, widząca zło, a nie karząca go, nie jest sprawiedliwością. Ojcostwo nawet nie może zawsze przebaczać, musi karać, jeżeli chce pozostać na swoim stanowisku. Jeżeli tyle matek, szczególnie między wdowami, jest niezdolnych wychować swe dzieci, to dlatego, że zbyt słaba ich ręka nie może podnieść miecza kary, potrzebnego ojcostwu.

Skoro więc ludzkość zgrzeszyła, trzeba było, by została ukarana; chyba, gdyby rozbroiła nieskończoną sprawiedliwość przez zadosyćuczynienie, dostosowane do popełnionej winy; to jest, by ukarała sama siebie, jak na to zasługiwała. Bo grzech każdy wymaga kary.

Teologowie zadawali sobie pytanie, czy Bóg nie mógł przebaczyć zupełnie prosto grzesznemu człowiekowi. Ale przebaczywszy pierwszemu człowiekowi, musiałby przebaczać jego dzieciom, wnukom, jego potomstwu całemu. Historia stałaby się szeregiem win i przebaczeń; nie byłoby tu już ani godności ze strony Boga, ani moralności ze strony człowieka. Zresztą o Bogu nie można sądzić według naszych pojęć i przystosowywać Go do naszej małości. Posłuchajmy przedziwnych *Rozmów chrześcijańskich o Religji* Malebranche'a:

„Uważaj, Arystarchu, czy mniemasz, że Bóg jest łaskawy?

Arystarch. Tak myślę.

Teodor. A czy sądzisz, że jest sprawiedliwy?

Arystarch. Tak, bezwątpienia.

Teodor. Myślisz zatem, że niemożliwym jest, by grzech pozostał nieukarany, że Bóg nie może nie pomścić wyrządzonej Mu obrazy, i że koniecznym jest, by zaspokoił siebie, czyniąc zadość swej sprawiedliwości?

Arystarch. Nie wiem, Teodorze; bo skoro Bóg jest łaskawy, może przebaczyć, gdy zechce.

Teodor. Ale czy może chcieć tego?

Arystarch. Czy może? wszak i ludzie to mogą.

Teodor. Ludzie mogą przebaczać, gdy kto ich obrazi, i nie powinni się mścić. Mściliby się przesadnie, ponieważ siebie zanadto kochają; potępialiby się wzajemnie, ponieważ są grzesznikami, buntowaliby się, rzecz można, przeciwko dopuszczeniom Bożym, ponieważ wszystko, co ich rani, jest dopuszczane przez Boga... Gdyby jednak ludzie otrzymali byli najwyższą mądrość i najwyższą moc, by sądzić i karać, gdyby regułą ich woli był prawdziwy porządek, gdyby nie mogli działać, jak tylko według tegoż porządku: czy mogliby nie karać zbrodni, popełnianych przeciwko Bogu? Czy mogliby przebaczać nierząd, bez nadwężenia porządku? Z pewnością nie. Nadużyliby swej władzy i nadwężyliby niezmienny porządek sprawiedliwości; grzeszyliby; nie mieliby miłości ku Bogu, ani gorliwości o Jego chwałę. Czy sądzisz, że Bóg może inaczej działać? Nie, Arystarchu; Bóg nie jest łaskawy na sposób ludzki; taka łaskawość, o jakiej mówisz, byłaby przeciwna sprawiedliwości, którą winien samemu sobie, swemu istotnemu prawu. Będąc samą sprawiedliwością, musi On karać winę¹⁾.”

Oto w samej rzeczy prawo konieczne, istotne. Skoro człowiek zgrzeszył, musiał zostać ukarany, a kara ta musiała być ustosunkowana do obrazy. Ale Bóg pozostawił człowiekowi swobodę, dowodzącą, z jaką dobrocią z nim postępuje i jak waży godność ludzką. Człowiek miał swobodę nałożenia na samego siebie kary zadosyćczyniącej i odradzającej. Nakładając ją sam na siebie, oszczędzał sobie bólu i wstydu otrzymania jej od kogo innego. Miłosierdzie nieograniczone, nie mogąc rozbroić sprawiedliwości, obmyśliło to pełne miłości zarządzenie, mocą którego winowajca dobrowolnem wylaniem kilku kropel krwi uwalnia się od wylania całych jej potoków. Sprawiedliwość chciała kary dla winnego; miłość obmyśliła ekspiację.

Ale gdzie znaleźć owo zadosyćuczynienie? Czy człowiek był zdolny ukarać samego siebie? Czy umysł jego był dosyć oświecony i dostatecznie głęboki, by odczuć, na jaką karę zasłużył? a serce jego czy było dość wspaniałomyślne, by przyjąć cały ciężar kary? A zresztą grzech był podwójnie powszechny: powszechny, gdyż wszyscy zgrzeszyli w Adamie; powszechny, gdyż następnie wszyscy, poddani osobistej próbie, zgrzeszyli na swój własny rachunek. Trzeba więc było także powszechnego zadosyćuczynienia, trzeba było, by się cała ludzkość na nie zgodziła.

¹⁾ Malebranche, *Conversations chrétiennes*, V-e entretien.

Ale ludzkość to tłum; a tłum jest pospolity, nikczemny, niezdolny do bohaterstwa i do miłości. Mało jest bohaterów. W braku wszystkich, czy Bóg nie mógłby się kilkomu zadowolić? Przypomina się rozmowa Boga z Abrahamem. „Panie, Panie, lud ten jest grzeszny, ale gdyby było pięćdziesięciu sprawiedliwych? — Oszczędzę go dla pięćdziesięciu sprawiedliwych. — Ale gdyby ich było tylko czterdziestu? trzydziestu?... Gdyby ich było tylko dieście? — „*Non delebo propter decem*“¹⁾).

Panie, Panie, cała ludzkość jest grzeszna! Ale gdyby się znalazł jeden sprawiedliwy, jeden bohater, jeden czysty, który zechciałby zadosyćuczynić za wszystkich? Zresztą, wszak ludzkość zginęła przez jednego; Panie, Panie, czemuż nie miałyby się przez jednego podnieść?

Był to drugi pomysł nieograniczonej miłości; pierwszym było zadosyćuczynienie, drugim myśl zadosyćuczynienia przez jednego.

Ale gdzie znaleźć tego jednego? Gdzież mógł być ten jedyny, zdolny zaspokoić sprawiedliwość Boga i zadosyćuczynić za grzechy świata? Zauważmy bowiem, jakie warunki musiały być zachowane. Najpierw trzeba było, by ta ofiara jedyna była najzupełniej ludzka; żeby jakimś tajemniczym sposobem całą ludzkość w sobie zawierała; żeby była nie jednym z ludzi, ale *Człowiekiem*, aby ofiarnik, wymierzając jej cios, mógł zawołać: Oto Człowiek!

Po drugie, a to wydawało się zadaniem nie do rozwiązania, trzeba było, by ten człowiek był zarazem występny i niewinny: najwystępniejszy ze wszystkich, aby mógł być ukarany bez niesprawiedliwości, a jednocześnie najniewinniejszy, absolutnie niewinny, żeby kara mogła zmienić się w zadosyćuczynienie.

Po trzecie, i oto znów trudność ogromna, trzeba, by będąc osobistością, istotą różną od wszystkich, był zarazem powszechnym, by posiadał jakąś moc nieznana, pozwalającą mu rozciągać swoje działania na wszystkich ludzi, wylewać zadosyćczyniacą krew na wszystkich punktach przestrzeni i przez wszystkie czasy.

Jeszcze nie koniec na tem. I musimy znowu zwrócić się do Malebranche'a, aby nam powiedział, jaki jest najwyższy i najniedostępniejszy przymiot tej ofiary:

„Teodor. Nie wiem, Arystarchu, czy mnie rozumiesz. Co chcesz powiedzieć?

¹⁾ Gen. XVIII. 32.

Arystarch. Bóg jest nieskończenie mądry i nieskończenie potężny. Dlaczegoż nie mógłby stworzyć istoty dość szlachetnej i wywyższonej nad wszystkie stworzenia, by mogła za nie zadosyćuczynić.

Teodor. Jako, Arystarchu! stworzenie będzie jedna grzeszników z Bogiem? stworzenie ośmieli się przemawiać za grzesznikami? Dobrze; niech przemawia, niech cierpi, niech zadosyćczyni, niech ofiaruje za nas wszystko, co ma, i wszystko, czym jest; jego ofiara niegodną jeszcze będzie wobec sprawiedliwości Bożej; jego zadosyćuczynienie nie dorówna wielkości naszych win; bo wszelka obraza, wyrządzona Bogu, jest nieskończona z powodu nieskończonej godności Boskiego Majestatu.

Spróbujmy wyobrazić sobie działanie Istoty nieskończenie doskonałej według tego, czym Ona jest, i sposobem przystosowanym do Jej właściwości. Ludzie zgwałcili prawo Boga, i Bóg żąda zadosyćuczynienia. W jaki sposób je otrzyma, nie zadając kłamu swojej nieskończoności, najistotniejszemu przymiotowi Bóstwa? Jeżeli stworzy istotę miliony razy doskonalszą od najszlachetniejszego z duchów, ażeby ona zadosyćczyniła za nas, poniży się i zaprzeczy swej nieskończoności, skoro to stworzenie liczy za coś w stosunku do siebie. Gdyż coś skończonego, jakkolwiek je sobie wielkiem wyobrazimy, jest niczem w porównaniu do nieskończoności. Najsprawiedliwszym wykładnikiem tego stosunku jest zero. A zatem zadosyćuczynienie tego stworzenia jest żadne. Bóg nie może liczyć je za coś w stosunku do siebie, nie orzekając tem samem, że sam jest skończony; orzeczenie takie zaprzeczałoby Jego najgłówniejszej właściwości. Jakżeż więc to doskonałe stworzenie, nie mogące samo przez się podobać się Bogu, zdoła zaspokoić Go za grzeszników i uczynić Mu ich miłymi? Nie, Arystarchu; Bóg nie mógł być zaspokojony żadnem innem zadosyćuczynieniem, jak tylko dokonaniem przez Osobę Boską. Nic nie jest godne Boga, prócz Boga. Wszelka obraza Boga jest nieskończenie zbrodniczą, a że tylko Bóg jest nieskończony, nie może więc być zaspokojony, jeżeli sam do tego ręki swej nie przyłoży; taka jest Jego wielkość¹⁾).

Oto trzeci pomysł miłości boskiej w celu wydobycia człowieka z nędznego jego upadku, bez obrażenia przytem nieskończonej sprawiedliwości, domagającej się ukarania winowajcy. W miejsce kary, która niszczy — zadosyć-

¹⁾ Malebranche, *Conversations chrétiennes*.

uczynienie, które podnosi; w miejsce niemożliwej ekspiacji wszystkich — dobrowolna ekspiacja jednego; a ten jeden, będąc zarazem Bogiem i człowiekiem, zawierał w sobie niewymownym sposobem wszystkie czasy, wszystkie miejsca, wszystkie występki, wszystkie niewinności, i niebo i ziemię, i Bóstwo samo i ludzkość całą, ażeby wszystko w sobie połączyć, wszystko oczyścić i wszystko połączyć! Trzeba przyznać, że jeżeli Bóg mógł wprost przebaczyć grzesznemu człowiekowi, co dla wielu wydaje się ideałem, to jednak było coś piękniejszego, głębszego, godniejszego Boga, a lepiej zastosowanego do zranionej naszej natury, zdolniejszego zachwycić i wzruszyć ludzkość na wieki: i to Bóg uczynił.

II.

Jednocześnie, gdy Bóg przeznaczał Ofiarę, przygotowywał też i ołtarz, na którym miała być złożona. Śmierć się ukazała, niosąc w swym wnętrzu wszystko, co było potrzebne do zupełnej naprawy ludzkości.

1^o Gwałtowne i bolesne rozłączenie duszy z ciałem, będące następstwem i zarazem karą za oderwanie przez grzech duszy od Boga.

2^o Zniszczenie ciała, zmazanego złem; wysuszenie, usunięcie zepsutej krwi z żył człowieka, gdyż nie była godna tam pozostać.

3^o Złamanie całej istoty w upokorzeniu, boleści i posłuszeństwie. Cnoty te są wręcz przeciwne podstawowym pierwiastkom grzechu: pysze, pożądlivości, buntowi.

4^o Ogłoszenie uroczyste i jawne najwyższego panowania Boga nad wszystkimi rzeczami. Było to przywróceniem porządku i konieczną naprawą tego, co grzech zepsuł, mówiąc: „Nie będziemy posłuszni; będziemy, jako bogowie!”

Oto czym jest śmierć; jest to największy akt, przez który Bóg może okazać nienawiść swoją do zła. Bo i gdzież znaleźć zupełniejszą pomstę? Co jest poza śmiercią? Wyraża ona wstręt Boga do złego; a jeżeli trwa ciągle, jeżeli się staje wiekuistą, przybiera stopień nieskończoności.

Ale ponieważ kara w śmierci dorównywała w zupełności grzechowi, mogła przez to stać się narzędziem odrodzenia. Wszystko przywracała do ładu; i tylko dwóch rzeczy tu potrzeba było. Najpierw, by została dobrowolnie

przyjęta; następnie, by jej przyjęcie dokonane zostało w warunkach, nadających jej cechę nieskończoności, skoro taką cechę nosił grzech.

Nie sądźmy bowiem, że zadosyćuczynienie zawiera się w karze. Jest to jeden z największych tegoczesnych błędów. Kara nic nie naprawia, nic nie zaspokaja, niczego nie zmazuje. Gdy nędzny zbrodniarz siłą jest wleczony na rusztowanie, śmierć jego staje się jedną więcej hańbą, dorzuconą do jego sromotnego życia. Jedynie śmierć dobrowolna naprawia, zaspokaja, zmazuje.

Przyjąć dobrowolnie śmierć jako karę jest to wejść w myśl Boga o grzechu; to dzielić Jego nieskończoną nienawiść do złego, to wyrzucić zło ze swej duszy, o ile to jest w mocy człowieka. Przyjąć dobrowolnie śmierć raczej niż sprzeniewierzyć się obowiązki — to kochać nade wszystko dobro tak, jak je Bóg miłuje; to wznieść się na najwyższe szczyty miłości.

I oto dlatego u wszystkich narodów przez powszechną, nieprzepartą intuicję nie stawiano nigdy nic wyżej nad śmierć dobrowolną. Ona to jest chwałą żołnierza, nadającą wzruszającą cechę temu, który dobrowolnie życie oddaje za ojczyznę. Ona nawet przemienia zbrodniarza i podnosi go z hańby; niektóre rusztowania stały się ołtarzami przez jedyny fakt dobrowolnego przyjęcia.

Ale jeżeli śmierć dobrowolna zawsze jest wzniosła, bywają okoliczności, w których staje się jeszcze większą, przybierając zupełnie już nieziemskie rozmiary. W miejsce zbrodniarza wyobraźmy sobie niewinnego, wleczanego przez złoczyńców na rusztowanie, niewinnego, duszę czystą, składającą Bogu życie swoje w ofierze za tych, którzy mu je wydzierają; spróbujmy zmierzyć wielkość takiego czynu. O Ludwiku XVI można słuszniej jeszcze powtórzyć to, co de Maistre powiedział o jego siostrze Elżbiecie: „W sercu tem można było znaleźć poddanie się, zdolne zbawić świat cały!”

A nie jest to jeszcze ostatni wyraz przemienienia śmierci przez dobrowolne jej przyjęcie. Weźmy np. św. Karola Boromeusza, zstępującego boso, z powrozem na szyi, na plac publiczny w Medjolanie; walczył napróżno z zarazą, napróżno z narażeniem życia pielęgnował chorych i przykładem swoim zapalał gorliwość w niesieniu usług ubogim; teraz widząc, że nic nie pomaga, że śmierć wciąż dalej prowadzi dzieło zniszczenia, zwrócił się do Boga, wołając: „Panie, mnie uderz, ale oszczędź lud mój!” Docho-

dzimy tu do ostatecznych granic ludzkiej wielkości. Zrazą ustała, i nie mogło być inaczej.

Teraz, zamiast jednego miasta, jednego narodu, postawmy ludzkość; wyobraźmy sobie Istotę niewinniejszą, niż Ludwik XVI, bardziej wspaniałomyślną, niż św. Karol Boromeusz, zdolną w dobrowolną swoją ofiarę wlać nie tylko całą wzniosłość ludzką, ale samą, rzeczywistą, nieskończoność, a mieć będziemy tajemnicę Odkupienia ludzkości przez dobrowolną ofiarę na krzyżu.

III.

Starożytny świat przeczuwał tę ofiarę, której się domagała sprawiedliwość Boga i ludzkie grzechy, i wszędzie jej szukał. Potrzebował jej, przywoływał z coraz wzrastającym niepokojem. Historia starożytnych religijnych obrzędów jest tylko opowieścią wysiłków czasem dziwacznych, często ohydnych, zawsze bezużytecznych, przez jakie ludzkość, pragnąc niecierpliwie zaspokoić Boga i z Nim się pojednać, szukała ofiary, która mogłaby tego dokonać.

W jaki sposób myśl o podstawieniu jednej ofiary zaświtała w umyśle ludów? jakim sposobem nabrano przekonania, że w miejsce winnej ludzkości i jej krwi zepsutej, którą w hańbie i boleści wylać trzeba było, Bóg przyjmie krew inną? Poza chrześcijaństwem nic o tem nie wiemy; zostaje to zupełnie niewyjaśnione. Pitagoras protestuje; Plutarch jest zdumiony; Platon, głębszy myśliciel, odnosi to do dawnych podań, które gardzić nie należy. Wbrew rozumowi, który nie pojmuje i szydzi, fakt ten jest ciągły, powszechny, nie dający się obalić. Wszędzie, na całej kuli ziemskiej, odnajduje się go stale; wszędzie w miejsce winnego człowieka stawiają ofiarę. Wybierają ją jak najpiękniejszą, najczystsza, najdrogocenniejszą wśród wszystkich, bliską człowiekowi, służącą mu za pokarm, który przez spożycie zamieni się niejako w człowieka. Nakładają na nią ręce, obciążają grzechami ludzkości; wlewają w nią, jeśli tak rzecz można, ludzkie występki; klątwę na nią z tego powodu rzucają; potem ją zabijają wśród pieśni, modłów, padających na kolana i najuroczystszych religijnych obrzędów. Ludy we wszystkim od siebie odmienne, różniące się mową, obyczajami, zwyczajami, tu są jednogodne. Wszędzie jest to najważniejszy akt religijny.

Nigdzie jednak nie wystarcza złożenie ofiary. Wszędzie trzeba, by krew jej oblała ołtarz; w wylaniu krwi jest

skuteczność ofiary. „A bez rozlania krwi nie bywa grzechów odpuszczenie”, mówi św. Paweł¹⁾. Apostoł nie głosi tu nowej doktryny; wykłada tylko doktrynę rodzaju ludzkiego od początku świata. Słynny orientalista Bryant czyni uwagę, że było powszechnem mniemaniem, wszędzie panującym, iż grzechów odpuszczenie mogło jedynie być otrzymane przez wylaną krew²⁾. Biblia daje wyjaśnienie tego dziwnego uczucia: „Bo życie (dusza) ciała we krwi jest... abyście nią na ołtarzu oczyszczali za dusze wasze, a krew była na oczyszczenie duszy”³⁾.

Gdy więc przy starożytnych ofiarach krew popłynęła i według podań dawnych ludów zaspokoila gniew bogów, a ciosy ludziom przeznaczone zwróciła na zabita ofiarę, zbliżano się do ołtarza i krwią się skrapiano, znaczone nią czoła, drzwi domów mazano; niekiedy wykopywano dół u stóp ołtarza, aby zadosyćczynna krew połała się strumieniem na tego, który składał ofiarę; odchodził on stamtąd oczyszczony. Często przywoływane były przy tych ofiarach smutne cienie umarłych, aby tu znalazły osłode. Przychodzą one pić tę krew, a czasem, jak Homer opowiada, schodzą się w tak wielkiej liczbie, że żywym przeszkadzają i trzeba je mieczem usuwać. Bogowie tam nawet przychodzą; zaspokajają gniew swój, i wszystko wtedy od nich otrzymać można.

Te dziwne podania spotykamy nie tylko u ludów, pogrążonych w cieniach śmierci. Lud żydowski, różniący się wszystkim od pogan, jeszcze silniej niż oni ufa w moc krwi dla zbawienia. W jego prawach wszystko jest krwawe, wszystko bywa krwią oczyszczane, chronione, uświęcane: ołtarz, przybytek, święte naczynia, ręce kapłanów i lud cały. Sam arcykapłan, raz na rok wchodzący do *Świątyni* świętych, wchodzi tam pomazany krwią ofiary; ma ją na rękach, znaczy nią ołtarz, oczyszcza nią ściany przebłagałni; zbliża się do Boga pod strażą tej krwi. Oto, co zapisuje Bossuet w wyżej przytoczonym przedziwnem swem dziele, zatytułowanem: *Krwawe ofiary i krew wszędzie używana*.

Próżne to jednak były usiłowania. Pojednanie nie następowało. Mimo coraz liczniejszych ofiar Bóg pozostawał zagniewany; niebo nie zbliżało się do ziemi. Od czegoż to zależało? Druidowie głosili na krwawych swoich ołtarzach, że „jeżeli zmaza naszej grzesznej rasy nie będzie obmyta

¹⁾ Ad Hebr. IX, 22. — ²⁾ Bryant, *Mythology explained*. — ³⁾ Levit. XVII, 11.

w krwi człowieka, gniew bogów nigdy zaspokojony nie będzie¹⁾. Bo i czemu jest krew zwierząt, by mogła udobuchać zagniewane niebo? Czemu jest, by mogła zmyć zmazę z człowieka? I tu powstała straszliwa pokusa. Z wyjątkiem ludu żydowskiego cała ludzkość jej uległa, i wszędzie, nawet wśród najoświecieńszych narodów, widziano ludzi, wlokących innych ludzi na ofiarę i pragnących w ich krwi odnaleźć tę kroplę zadosyćczyniacą i oczyszczającą, której świat tak bardzo potrzebował. Tych ludzkich ofiar szukano w różnych kierunkach. Trzeba było, by ofiara była występna, okryta grzechami; rzucono się więc na zbrodniarzy, wleczono ich na ołtarze w przekonaniu, jak u Druidów, że męka winowajców jest bardzo miła bogom; tę samą uwagę robi Platon. W miejsce zbrodniarzy brano później cudzoziemców, gdyż obcy i wróg to było jedno. Rozpruwano ich żyły, gdyż krew ich była bardziej ludzka, niż krew zwierząt, bardziej grzechami przesiąknięta, a tem samem zdolniejsza do zaspokojenia gniewu Bożego. Żeby zaś spotęgować skuteczność ludzkiej ofiary, składano na jej głowę grzechy ludu całego; albo jak u Persów i Babilończyków sadzano ją na królewskim tronie, kładziono na jej głowę koronę, odziewano w królewskie szaty, następnie, obciążoną wszystkimi grzechami ludu, prowadzono wśród hymnów i modłów do ofiarnego stołu.

Ale, niestety, i przez ludzkie ofiary nie udało się nieba przybliżyć do ziemi. I druga pokusa opanowała serca ludzkie. Jakto! zbrodniarze mogliby zaspokoić gniew bogów? Spłacają oni dług własny, jakże mogą płacić za drugich? to są karani, ale nie ofiary. Czyż najpierwszym przymiotem ofiary nie powinna być piękność? piękność i miłość. Piękność, by zachwycała serce Boskie, miłość, by dobrowolnie, chętnie, szlachetnie, wspaniałomyślnie przyjęła cierpienie i śmierć. Ale gdzie znaleźć takie ofiary? chyba dzieci poświęcać. I, rzeczywiście, wszędzie zabijano dzieci. Uważając, że nie są one dość jeszcze piękne, zwrócono się ku młodzieńcom, ku dziewicom w całym rozkwicie piękności i w nich szukano owej kropli czystej krwi, zdolnej zaspokoić sprawiedliwość Boga. Jeżeli jednak w żadnej ofierze nie znaleziono zupełnej piękności, o ileż trudniej znaleźć można było miłość, heroiczne przyjęcie śmierci dla zbawienia świata?

To też starożytność mnożyła ofiary, wszystko krwią zlewała; wciąż na nowo je rozpoczynała, nigdzie nie mogąc

¹⁾ Faber, *Horae Mosaicae*.

znaleźć piękna w miłości, ani miłości w pięknie, tej właśnie jedynej ofiary, zdolnej, jak mniemała, świat odkupić.

Niech więc przyjdzie wielka Ofiara, Ofiara zarazem boska i ludzka! Niech wstąpi na krzyż i przez zadosyćuczynienie, równające się grzechowi, niech pojedna wkońcu niebo z ziemią!

IV.

I przyszła rzeczywiście; ujrzymy jej piękność i miłość; ujrzymy, jak doskonale zastosowana była do potrzeb, do pragnień, pożądań, do nadziei całej ludzkości. Przyszła, i zagadnienie, świat nekające, zostało w tej dostojnej Ofierze tak bosko i jasno rozwiązane, że odrazu wszelka trwoga zniknęła. Nie wiedziano, gdzie znaleźć ofiarę, zdolną uspokoić gniew Boga; już jej teraz szukać nie trzeba. Mnożono ofiary; ustały wszędzie w krótkim czasie. Krew nigdzie już nie płynie. Człowiek czuje, że mu przebaczone, nie lęka się już Boga, uważa Go za Ojca.

Rodzaj ludzki nie przestał wierzyć w potrzebę ofiary! Przeciwnie, silniej jeszcze, niż w starożytności, głosi konieczność krwi zadosyćczyniaczej. Ale już jej nie szuka, bo ją posiada. Zwraca się do krzyża, bo na nim umarł Jezus Chrystus, którego nazywa swoim Odkupicielem; jest obecnym wiekiestemu odnawianiu Jego ofiary; przyjmuje do ust Boską Krew i znajduje w Niej, wraz z przebaczeniem swych grzechów, zawsze tryskające źródło ku odrodzeniu i żywotowi.

Sam fakt zaprzestania ofiar od dnia Kalwarji i uspokojenia się ludzkości, tak trwożliwie szukającej dotąd godnego przedmiotu do ofiarowania, wystarczyły za dowód, że ta Ofiara już przyszła; a pokój ten, po tylu niepokojach, wykazuje, że zagadnienie zostało już rozwiązane.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Krew i Krzyż.

Zbliźmy się teraz do krzyża i przyjrzyjmy się Jezusowi Chrystusowi w świetle śmierci.

Wzruszenie i zdumienie ogarnia, gdy się odczytuje opis Męki u czterech Ewangelistów. Nigdy natura ludzka nie okazała się bardziej wstrętą, niż wtedy. Można rzec, że wszystkie namiętności zgromadziły się u stóp krzyża. Zdrada, ohydna zdrada otwiera pochód; za nią idzie mało-duszość jednych, podstęp drugich, podłość wszystkich. Judasz, który sprzedaje swego Mistrza za trzydzieści srebrników; Piłat, który Go skazuje, wiedząc, że jest niewinny i ręce sobie umywa; Herod, który z Niego szydzi; kapłani, którzy Go znieważają, i ten tłum okrutny, bezrozumny, który dopiero co pochód triumfalny Mu urządził, a dziś, nie wiedząc dlaczego, krzyczy: Ukrzyżuj Go! ukrzyżuj! O Jezus! przyniosłeś na tę ziemię wzniosłą naukę, życie idealnie czyste, serce nieźrównane, ręce pełne dobrodziejstw i giniesz pod spiskiem wszystkich podłości i wszystkich zbrodni! Możliwe wątpić o prawdzie i niechęć się do cnoty.

Ale wkrótce umysł oburzony uspokaja się. Bo i cóż oni wszyscy zdziałać mogli przeciwko tej dostojnej Ofierze? Gdy się wodę tłoczy, wytryska ona z większą siłą; ogień powściągnięty wybucha większym płomieniem. Gdy doświadczenia uciskają wielką duszę, jeszcze piękniejszą z nich wychodzi. Oto, co zdziałać mogli. Śmierć, ohydna śmierć, posłużyła jedynie do rozjaśnienia uwielbionej piękności Ukrzyżowanego.

A obok tej wzrastającej w cierpieniu piękności śmierci oświeciła też Jego boskie posłannictwo, wzniosłość ofiary i wielkość Jego miłości. Stoimy tu u stóp nowego Synaj; błyskawice zeń się wydobywają, słysząc huk piorunu; ale są to pioruny miłości. I przez nie Jezus Chrystus dokonał uzdrowienia i odkupienia świata.

O tem pragniemy pomówić. O Boże mój! nigdy umysł ludzki nie czuje się więcej bezsilnym, jak u stóp krzyża. Nawet nie powinno się próbować o tem mówić. Spójrzmy na Kalwarię; nikt tam się nie odzywał. Marja stała pod krzyżem i milczała; Magdalena w milczeniu obejmowała stopy umierającego Jezusa; św. Jan utkwiał wzrok pełen miłości w przebitą bok Zbawiciela, ale nie mówił. Tylko słyszał tam było słowa Ofiary. Niech one jedynie rozbrzmiewają w naszych duszach, niech rozświetlają przed nami tajemnicę Odkupienia!

I.

Przyjrzyjmy się najpierw Ofierze.

Nigdy ani piórem, ani słowem nie odmaluje się uwielbionej piękności Tego, o którym Jan Chrzciciel mówił: „Oto Baranek Boży, oto który gładzi grzechy świata”¹⁾. Wszystko, czego starożytność oczekiwała, czego pragnęła, co przeczuwała; wszystko, czego napróżno szukała; zjednoczenie wręcz przeciwnych przymiotów i sprzeczne wyrażenia najtrudniejszego z zagadnień: wszystko to ukazało się złączone, pojednane, związane boskim sposobem. Kiedyż doskonalsza ofiara dobrowolnie wstąpiła na rusztowanie? „*Panie, nie chciałeś ofiary i ob-jaty, aleś mi ciało sprawił... Tedy rzekł: oto idę*”²⁾. Jakż ofiara miała więcej odwagi i wielkoduszności? „*Wstańcie, pójdźmy... oto przybliżyła się godzina*”³⁾. Kiedyż z większą miłością dopełniono boleśniejszego poświęcenia? „*Chrztem mam być ochrzczone: a jakom jest ściśnion, aż się wykona*”⁴⁾. I te słowa, wyrzeczone w kilka dni później: „*Żądam wielką pożywać tego Baranka z wami*”⁵⁾. Dlaczego? gdyż „umiłowawszy swe, którzy byli na świecie”, miał im dowieść przy tej ostatniej wieczerzy, że je „aż do końca umiłował”.

Ale nie zatrzymujmy się nad temi cudami, mimo wszystko drugorzędnymi. Szukano ofiary jednocześnie występnej i niewinnej; najwystępniejszej, aby mogła być ukarana bez niesprawiedliwości, a zarazem absolutnie niewinnej, aby mogła zamienić karę w ekspiację. „Trzeba było sprawiedliwego, mówi św. Augustyn, ale sprawiedliwego, na którego spadłaby klątwa, jaką grzech za sobą pociąga,

¹⁾ Jan I, 29. — ²⁾ Paweł do Żyd. X, 5. — ³⁾ Mat. XXVI, 46. — ⁴⁾ Łuk. XII, 50. — ⁵⁾ Łuk. XXII, 15.

i kara, którą sprowadza¹⁾). Jak pogodzić rzeczy tak sprzeczne? Jeśli ofiara będzie tylko występna, Bóg ją odrzuci, wzgardzi jej śmiercią. Jeżeli będzie tylko niewinna, jakże na niej pomstę wywierać? Gdzie znaleźć ofiarę zarazem niewinną i winną? Oto jest; oto jest. „Któż z was dowiedzie na mię grzechu?”²⁾). Czy słyszycie ten głos sprawiedliwego? „Jest On święty, święty, święty u Boga, bez żadnego grzechu”, tak Pascal objaśnia słowa św. Pawła: *Sanctus, innocens, impollutus, segregatus a peccatoribus*³⁾). Jednocześnie Apostoł ukazuje nam tego Świętego, obciążonego klątwą Boga, gdyż jest okryty naszymi grzechami. Czyż to On je popełnił? Nie, nie; ale jest niemi okryty; wziął je na siebie. Jak niegdyś grzechy ludu składano na kozła ofiarnego, którego następnie wypędzano wśród złorzeczeń i wzgardy, tak Bóg na tego Świętego złożył wszystkie grzechy ludzkości. I oto ten Niewinny, ten Baranek bez zwały, stał się naraz kozłem wzgardy, obciążonym zbrodniami, bezbożnościami, bluźnierstwami wszystkich ludzi. A nie sądźmy, by On je wziął tylko pozornie, ledwie ich dotykając; wziął je na siebie tak prawdziwie, obciążył się niemi tak zupełnie, że św. Paweł już Go odróżnić nie może; nazywał Go dopiero: Świętym, świętym, świętym u Boga; teraz zmienia sposób mówienia: „Tego, który nie uznał grzechu, uczynił grzechem”. *Eum qui non noverat peccatum pro nobis peccatum fecit*⁴⁾). Nie gorszymy się siłą tego wyrażenia. Wielki Apostoł nie znalazł lepszego dla oddania prawdziwego przyjęcia grzechu przez Jezusa Chrystusa. Znaczy ono: Ten, który nie znał grzechu, stanął przed Bogiem jako grzesznik, i skutkiem tego postąpiono z Nim, jak na to grzech zasługiwał.

Ale niedosyć było, by ta dostojna Ofiara była świętą, niewinną, wolną od grzechu. Ani anioł najczystszy, ani człowiek najniewinniejszy nie mogli złożyć Bogu innej, jak tylko skończoną ofiarę, a zatem nie ustosunkowaną do nieskończonej złośliwości grzechu, a to według dwóch pewników, przyjętych przez prawo wszystkich narodów: „Wielkość zniewagi mierzy się wielkością obrazonego”, i drugi: „Wartość zadosyćuczynienia za zniewagę wypływa z wielkości tego, który je składa”. Skoro więc grzech z powodu *godności obrazonego* przybrał cechę nieskończoności, trzeba było, by zadosyćuczynienie otrzymało nieskończoną wartość przez *godność tego, który je złoży*. A zatem nie

¹⁾ Aug. *De littera et spiritu*, § 17. — ²⁾ Jan VIII, 46. — ³⁾ Paweł do Żyd. VII, 26. — ⁴⁾ II do Korynt. V, 21.

wystarczało, by był świętym, niewinnym, trzeba było, żeby był Bogiem; zarazem Bogiem i człowiekiem: człowiekiem, by cierpiał i umarł, ponieważ śmierć jest karą za grzech; Bogiem, by cierpieniem swoim i swej śmierci nadał wartość nieskończoną. O, nierozwiązalne zagadnienie, ostatnim zwycięskim rysem mające oświecić uwielbioną postać Jezusa Chrystusa!

Spójrzmy na Jezusa zawieszonego na krzyżu, a cała tajemnica Odkupienia zacznie się przed nami odsłaniać. Jest Bogiem, zrodzonym przedwiecznie, równym i współistotnym Ojcu swojemu; wziął ludzką naturę na siebie, aby móc cierpieć; ale w tym miłosnem poniżeniu nie poniżył, nie umniejszył natury Boskiej; przeciwnie, podniósł aż do niej ludzką naturę i złączył obie w jedności swojej najświętszej Osoby. A ponieważ jest zasadą, że w nas działanie, czy ciała, czy duszy, należy do osoby, więc i w Jezusie Chrystusie wszystkie uczynki czyto natury Boskiej, czy natury ludzkiej należą do Osoby Słowa. Mają więc nieskończoną wartość, skutkiem czego przez najmniejszy z nich, a tem więcej przez wszystkie, Jezus Chrystus godnością swojej osoby mógł złożyć nieskończone zadosyćuczynienie.

Będąc Bogiem, jest jednocześnie człowiekiem, aby móc cierpieć i umrzeć; a raczej jest Człowieczeństwem i to dopełniało doskonałości ofiary. Nie był to w samej rzeczy człowiek, zwykły człowiek, poświęcający się za innych ludzi: byliśmy w Nim wszyscy, gdy się za nas Bogu ofiarował, przyjęliśmy w Nim i z Nim karę, na jaką zasłużyliśmy. W jaki sposób w Nim byliśmy? Któż to powiedzieć potrafi? Trzebaby wiedzieć, jakim sposobem byliśmy w Adamie. Powiedzmy tylko, że o wiele więcej byliśmy w Jezusie Chrystusie niż w Adamie. Prawo jest tu to samo, ale rzeczywistsze, gdyż *gdzie obfitowało przestępstwo, tam łaska tem więcej obfitowała*¹⁾.

Jakże to byliśmy w Adamie? Co najwyżej jako nieżywe zarodki; jak siły uspione, mające się kiedyś obudzić; jak wszystkie dęby zawarte w pierwotnym żółedziu, jak wszystkie kuleczki żywej krwi, płynącej najpierw w żyłach samego tylko Adama. W nim, jeśli rzecz można, były tylko nasze ciała, gdy przeciwnie wszystkie dusze były w Jezusie Chrystusie. Gdy mówił: „*Całopalenia i za grzech ofiary nie upodobały się; tedym rzekł: oto idę*” widział wszystkie dusze zdolne z Nim cierpieć od chwili, gdy to rozumieją. Naprzód już łączył wszystkie ofiary, wszyst-

¹⁾ Św. Paweł do Rzym. V, 20.

kie poświęcenia, wszystkie poddania się, jednoczył je ze swoją ofiarą, a tak razem zebrane oblewając światłem swojej miłości i swojej piękności, wyrzekł w imię podniesionej i w Nim ubóstwionej ludzkości słowo, którego ona dotąd wymówić nie mogła, a od którego zależało jej zbawienie: *Panie, oto jestem!*

Bez wątpienia, wszystko w uczynkach Boga-Człowieka jest boskie, wszystko przechodzi nasze pojęcie; ale gdy się widzi ludzkość zgubioną przez winę jednego, tak się w jednym podnosząca, gdy wszystkie zarodki tkwiące w jednym człowieku i tam zmazane odnajdują się w drugim Adamie, by ożyły, wzrosły, rozwinęły się, otrzymały piękność, jakiej nigdy przed upadkiem nie byłyby miały, gdy do rusztowania wzniesionego przez pierwszego Adama zbliża się drugi Adam, niosąc w sobie całą ludzkość i udzielając jej przez to zjednoczenie siły do przyjęcia kary, na którą zasłużyła, i do tysiąc razy większej skuteczności w zadosyćuczynieniu niż było potrzeba, skoro to zadosyćuczynienie jest nie tylko ludzkim, ale i boskim, mimowoli wobec tej harmonii trzeba się zatrzymać w zdumieniu i wzruszeniu i już nie można się skarżyć na zgubną dla nas jedność w Adamie, skoro ją odnajdujemy chwalebna i obfitująca w Jezusie Chrystusie.

II.

Gotowość poświęcenia się była pierwszym żywiołem ofiary; drugim było wydanie się na zabicie. Niedosyć bowiem zgodzić się na karę, trzeba ją ponieść; trzeba, by dusza za oderwanie się od Boga została rozłączona ze swem ciałem. I tę rzecz najwznioślejszą w krzyżu uwielbiamy.

„Umrzeć, mówił pewien wielki pisarz, odsłonić szyję, położyć, klękając przed Bogiem, głowę na pieńku i czuć, jak spada na świadectwo prawdzie i sprawiedliwości, oto najwyższe przeznaczenie tu na ziemi! Nawet starożytni to uznawali, o ileż więcej my, którzy widzieliśmy umierającego Jezusa Chrystusa. To też uważajcie, iż znajdował On śmierć zbyt piękną i zbyt słodką, by ją wziąć samą. Przyobłókl ją w szatę cierpienia i hańby. I dlatego pragnąć miłej śmierci na rusztowaniu jest to mówić na sposób wielkich pogan, a nie na sposób chrześcijan. My powinniśmy pragnąć śmierci na krzyżu”.

Tak; tu jest wzniosłość poświęcenia się Jezusa Chrystusa. Śmierć sama aż nadto wystarczała dla naszego od-

kupienia; ale wydała Mu się nazbyt piękną, i oto jak ją dla siebie zgótował!

Przypomnijmy sobie, cośmy wyżej powiedzieli o stanie człowieka upadłego. Rozbieraliśmy krew jego zepsutą przez grzech i znaleźliśmy w niej potrójny występny ruch. Najpierw uderza ona do głowy i wprowadza człowieka w bezrozumne uniesienia; następnie spływa ku wnętrznościom i pogrąża go w ohydnych pożądliwościach; a w tym podwójnym ruchu napotykać przeszkodę Boga, Jego prawo, Jego świętą wolę, burzy się w strasliwym buncie.

Oto, dlaczego Bóg, chcąc przygotować odrodzenie ludzkości, wziął trzy przeciwne poruszenia: pokorę, umartwienie, posłuszeństwo, urobił je razem i z nich uczynił boleść. Potem, ażeby dać człowiekowi potężny środek zbawienia, rozszerzył je do ostatecznych granic i uczynił z nich śmierć. Jezus Chrystus, przyszedłszy, aby ludzkość odrodzić, podjął ten podwójny środek. Z całego życia swojego uczynił najpierw zbiór pokory, posłuszeństwa i ofiarności z niczem nie zrównanych, a następnie, na zakończenie tego szeregu cierpień, zachował dla siebie hańbę śmierci krzyżowej.

Jakież pierwiastki składają się na tę szubienicę?

Człowiek upadł przez pychę; to też pierwszą cechą śmierci, tej kary i następstwa grzechu, jest upokorzenie. Jezus Chrystus postanowił posunąć dla siebie tę cechę do ostatnich granic. Z jakim mistrzostwem Zbawiciel zebrał, splótł, przygotował na ostatnią godzinę swoją wszystkie możliwe upokorzenia! Zdradzony przez jednego z uczniów, zaprzany przez drugiego, opuszczony przez wszystkich, pojmany jak zbrodzień, wzgardzony, oplwany jak ostatni złoczyńca. Idźmy za Nim przed sąd, przed którym stają jedynie łotrzy, niewiasty złego życia, wyrzutki społeczeństwa. O Jezu! dosyć już! czyż za naszą pychę niedosć uczyniłeś? Nie, to dopiero początek. Oto Piłat, który Go skazuje jako uwodziciela; oto Herod, który Go odsyła odzianego szyderczą szatą i naigrawa się z Niego jak z szalonego; oto Kaifasz, oskarżający Go jako bezbożnika i bluźniercę. Wszystkie trybunały łączą się, aby Go zbezcześcić, a oto staje się jeszcze igraszką motłochu. Mówił, że jest prorokiem: zasłaniają Mu oczy, a bijąc po twarzy, żądają, by prorokował. Mówił, że jest królem: kładą Mu koronę cierniową na głowę, a w rękę dają berło trzciniowe. Mówił, że jest człowiekiem: zbiwszy Go i tak oszpeciwszy Jego twarz, że już jest niepodobna do ludzkiego oblicza, ukazują Go ludowi, przedstawiając temi szyderczemi słowy:

Oto Człowiek! Mówił, że jest Synem Bożym, a tłum podczas Jego konania obelgi nań miota, dlatego, że On Boga wzywa, a Bóg nic nie odpowiada. I tak na krzyżu umiera sam, opuszczony, nagi, wzgardzony, oplwany. Oto Jego śmierć. „O pycho, woła Bossuet, zbliż się, przepadnij tu u stóp krzyża!”

Ale pycha to dopiero pierwsza rana ludzkości. Drugą jest rozpusta, ohydne zamięłowanie rozkoszy. Używać, zawsze używać, używać choćby ze szkodą kraju swego, choćby z niesławą swojej rodziny, ze zgubą swej duszy! Już tu dostrzec możemy, jaka będzie druga cecha śmierci Jezusa Chrystusa. Patrzmy, to już nie igraszki, nie szydercze padanie przed Nim na kolana; to już nawet nie policzkowanie. Oto ogołacają Go z szat. O Boże! cóż oni czynić będą? Głowa Jego cierniem ukoronowana; nogi Jego i ręce gwoźdźmi do krzyża przybite; ciało jego pod razami biczowania jedną jest raną; serce Jego włócznie otwarte. Każdy ze zmysłów, służący nam do napawania się rozkoszą, Jemu nowe cierpienie przynosi. „Widzieliśmy Go, mówi prorok, wzgardzonego i najpodlejszego z mężów męża boleści. Od stopy nogi aż do wierzchu głowy nie masz w Nim zdrowia¹⁾. Tak jak w człowieku, w którym niestety, już także niema miejsca zdrowego. W człowieku wszystko jest skalane sromotnem zamięłowaniem rozkoszy: głowa, ręce, nogi, całe ciało, a przedewszystkiem serce; i to wszystko zostało w Bogu-Człowieku złamane, zbite, krwią złane.

Czyż trzeba jeszcze odmalować posłuszeństwo umierającego Chrystusa? Jest to ostatni z żywiołów śmierci. *Proficiscere, anima!* odzywa się Kościół u łoża śmierci. A słowa te rzeczywiście Bóg sam wypowiada, i ostatnim aktem człowieka, głębszym jeszcze niż akty pokory i boleści, jest akt posłuszeństwa. Któż wypowie, do jakiej niesłyszanej doskonałości chciał Jezus posunąć ten ostatni żywioł śmierci? On, który jest absolutnem wszechwładztwem, posłusznym staje się wobec wszystkich. „Chcą Go całować, nadstawia usta; chcą Go krępować, wyciąga ręce; chcą Go policzkować, nie cofa twarzy; bić Go kijami, podaje grzbiet i ramiona pod niehumanne biczowanie. Pozostawiają Go w rękach służalców i żołnierstwa, On jeszcze zupełnie sam siebie im oddaje. To oblicze tak niegdyś majestatyczne, wprawiające w zachwyt niebo i ziemię, teraz nieruchome

¹⁾ Izaj. LIII, 3 i I, 6.

podaje temu motłochowi na oplwanie. Wyrwają Mu włosy z głowy, z brody, nie mówi ani słowa, nie skarży się nawet¹⁾”. Jednem słowem, posuwa posłuszeństwo do ostatecznego kresu, i rzec można, nigdy człowiek nie był do tego stopnia zbuntowany przeciw Bogu, jak Bóg stał się posłuszny człowiekowi.

Wstępuje tak na Kalwarię, wyciąga członki na drzewie krzyża jakby na ołtarzu; składa Bogu ofiarę równą grzechowi. Aby naprawić czyn, w którym pycha, pożądliwość i bunt miały cechę nieskończoności, On, Nieskończony, umiera w najwyższym nadmiarze upokorzeń, cierpień i posłuszeństwa! Czegóż mogłaby jeszcze wymagać najsurowsza sprawiedliwość? Zadosyćuczynienie równe jest winie.

A nie przepomnijmy charakteru, dopełniającego tak wzniosłości poświęcenia się, jak i piękności ofiary. W owej wielkiej chwili na Kalwarji byliśmy wszyscy w Jezusie Chrystusie nie tylko dlatego, że krew tam wylewana była naszą krwią, zaczerpniętą z naszych żył i nie zmienioną przez zjednoczenie z Bóstwem; nie dlatego tylko, że Ten, który cierpiał, był naszym wodzem, głową i sercem ludzkości, a wszak, gdy głowa i serce umierają, całe ciało wraz z nimi umiera: ale z przyczyny bardziej tajemniczej, już wyżej przez nas dotkniętej, trzymającej się najgłębszych korzeni chrześcijaństwa. Św. Paweł czynił o niej wzmiankę, gdy wyciskając na swych ramionach święte piętno pokuty, mówił: *Adimpleo ea quae desunt passionum Christi*²⁾. To, czego niedostawa utrapieniom Chrystusowym, wypełniam²⁾. Ale czegoż może niedostawać Męce Chrystusowej, nieskończonej z powodu godności Jego Osoby? Niedostawa mojej krwi, mówi św. Paweł. Niedostawa mego ukamienowania, mówi św. Szczepan. Niedostawa mojej hańby, mówi św. Agnieszka. Niedostawa mego rusztu, mówi św. Wawrzyniec. Niedostawa mego upoliczkowania, mówi św. Agata. Niedostawa moich łez, mówi św. Augustyn. Niedostawa moich cierpień, mówi ludzkość; niedostawa mego konania, mojej śmierci. A raczej nie, nie brakowało jej. Z wysokości krzyża Jezus Chrystus widział wszystkie te boleści. Ze swojej i naszej śmierci uczynił jedno poświęcenie się; a stając pośrodku tego bezmiernego całopalenia, dla nadania mu nieskończonej ceny przez godność swojej Osoby, uczynił zeń jedną ofiarę zarazem niewinną i wy-

¹⁾ Bossuet, *Kazania o Męce Pana Jezusa*. — ²⁾ Św. Paweł do Koloss. I, 24.

stępną, ludzką i boską, o której mówi Apostoł, że przez nią na zawsze pojednanie dopełnione było. *Una oblatione consummavit in aeternam sanctificatos*¹⁾).

III.

Nie oddalajmy się zbyt prędko od tego widoku. Ofiara jeszcze nie dokonana. Bardzo wielką rzeczą było wstąpić na krzyż wśród najwyższego nadmiaru pokory, posłuszeństwa i boleści, pozostać na nim z wyciągniętymi rękoma, aby stać się wiekuistym zaspokojeniem nieba i wiekuistym zachwytem ziemi; ale to jeszcze nie było dosyć. Istota ofiary polegała, jak to widzieliśmy, na wylaniu krwi. *Sine sanguinis effusione non fit remissio*. Bez rozlania krwi nie bywa grzechów odpuszczenia²⁾). Dlaczego? dlatego — że grzech jest we krwi; krew jest zepsuta, zanieczyszczona, ona to w nas rozprowadza pychę, pożądliwość i bunt; a zatem musi być wylana, sromotnie wyrzucona z żył ludzkich, gdzie już nie warta jest pozostawać. I to dokonało się na Kalwarji. Ta krew, którą Jezus Chrystus wziął od ludzkości, ta krew grzeszna, występna, którą On bezwątpienia oczyścił, nim ją do swoich żył przyjął, ale która w oczach Boga była zawsze jeszcze przesycona ludzkimi zbrodniami, ta krew do ostatniej kropli wypłynęła z żył Jezusa i ziemię skropiła. Najpierw strumieniem wytrysnęła z ran nóg i rąk; potem sączyła się wolno, kropla po kropli, jakby miała świadomość ogromu swego posłannictwa. Spływała wzdłuż krzyża, a gdy płynąć przestała, święta Ofiara uniosła głowę i ostatni głos wydała:

Consummatum est.

Wykonało się! zadosyćuczynienie jest wystarczające. Już w moich żyłach niema ani jednej kropli krwi przez grzech skalanej; została stamtąd wyrzucona, jak na to zasługiwała!

A gdy ta Krew boska wypływała wśród zniewag i boleści z żył Tego, o którym przed chwilą powiedziano: „Oto człowiek”, i zaspokajała sprawiedliwość Boga, jednocześnie dokonywała drugiej tajemnicy: przenikała w nasze żyły.

„O krwi, woła Bossuet, która wypływasz czy z głowy, czy z oczu zbolątych, czy z całego rozdartego Ciała, o Krwi

¹⁾ Św. Paweł do Żyd. X, 14. — ²⁾ Ibid. IX, 22.

przenajdroższa, niech cię zbiorę! Ziemio, ziemio, nie pij tej Krwi! *Terra, ne operias sanguinem meum*. „Ziemio, nie zakrywaj mojej krwi”, mówił Hiob. Ach! co mnie obchodzi krew Joba! Ale, o ziemio, nie pij Krwi Jezusa! Ta Krew do nas należy i spaść ma na dusze nasze. Niechże się w niej obmyję, niech cały tą Krwią okryty zostanę; niech nią napełnię moje żyły; niech wszczępię w siebie czystość, moc, zasługę tej Krwi!”¹⁾

Przyjrzyjmy się w Bruges prześlicznemu obrazowi „*Uwielbienie Baranka*”. Z jakim mistrzostwem van Dyck oddał na czole tego Baranka majestat Boga samego. Stoi na ołtarzu z piersią szeroko otwartą; mało powiedzieć, że krew zeń płynie; wylewa się ona strumieniem. Skąd ta Krew wypływa, by z taką siłą spadać? Spada z wyżyn miłości; wypływa z najwznioslejszych szczytów serca. Spójrzmy na kielich, stojący u stóp Baranka; zdaje się on rozszerzać, by przyjąć Boską Krew! *Bierzcie i pijcie, to jest Krew moja*. Na freskach w starych katedrach, na pięknych średniowiecznych malowidłach kielich nigdy nie jest obojętnie przedstawiony u stóp krzyża: Kościół, ludzkość podtrzymują go z miłością i zapalem u samej rany serca! O ziemio, ziemio, nie pij tej krwi! Ona jest naszą; pozwól, niech w żyłach naszych płynie!

I rzeczywiście wnika tam ona przez Sakrament, a przede wszystkim przez świętą Eucharystję. A cóż działa ta boska krew w naszych żyłach? Płynie do mózgu i tam wznieca myśli wzniosłe, a bez pychy; wstępuje do wnętrzości i pochłania wszystkie ich zmazy. „*Panie, niech Krew, którą piłem, przylgnie do mych wnętrzości, ażeby zmaza grzechów nie została we mnie!*” woła kapłan przy ołtarzu. Następnie dostaje się ona do serca i w boski sposób przemienia jego uderzenia. Zostawia tam czystość, zapomnienie siebie, poświęcenie się. „*Prostuje wszystko, mówi św. Franciszek Salezy, oczyszcza wszystko, ożywia wszystko. I wtedy nie żyjemy już my, ale Jezus Chrystus w nas*”. Jest to zupełne odrodzenie. Któż teraz przeszkodzi, by zaspokojone Niebo uśmiechało się do oczyszczonej ziemi?

IV.

To jest więc uwielbione dzieło Krzyża! *Domine hoc opus tuum!* Panie, to Twoje dzieło, któż zdoła podobne uczynić?

¹⁾ Bossuet, *Pierwsze kazanie o Męce*.

Jakżeż niepodobny do ludzkich arcydzieł jest pomnik przez Boga wzniesiony! Jest to arcydzieło nad wszystkie arcydzieła, największe, najpotężniejsze, najużyteczniejsze, najniezbędniejsze dla rodzaju ludzkiego. Tem dziełem jest Krzyż.

Tak, tak. Spójrzmy na piramidy, od czterdziestu wieków szczydzące z piasków pustyni i z ludzi, spójrzmy na ogromny cyrk Cezarów w Rzymie, cóż się tam od razu rzuca nam w oczy? pycha, poządlwość, bunt! Czyż ludzkość potrzebuje się tego uczyć?

Spójrzmy następnie na krzyż, cóż na nim ujrzymy? Pokorę, zaparcie się siebie, posłuszeństwo. Oto, czego się ludzkość potrzebowała nauczyć.

Na pierwsze wejście na tego Umęczonego, zawieszzonego na krzyżu, zdumienie ogarnia. Jaktó! to jest ów Mesjasz zdawna obiecany? To jest Chrystus, o którym prorok mówił: *Et vocabitur nomen ejus Admirabilis, Deus fortis, Pater futuri saeculi?* To jest ten Mocny, ten Obiecany, ten Król przyszłego wieku? Tak; to On, nie wątpmy o tem. Oto, czego nam było potrzeba. Nie potrzebowaliśmy człowieka w purpurze; człowieka, opływającego w rozkoszach często spotykamy; zbuntowany przebiega ulice nasze. Nam trzeba było tego, czego się nie spotyka, a co przez wieki całe jako wzór przed nami stać miało; trzeba nam było widoku człowieka pokornego, umartwionego, posłusznego, aby uleczyć się z pychy, z poządlwości, z buntu naszego. Krzyż to wspaniała antyteza grzechu pierworodnego; to nowe drzewo życia zasadzone w porośrodku upadłego świata, aby go podnieść, uzdrowić, odrodzić.

Św. Paweł o tem mówił z wybuchem zachwyty: „*Nie miałem się za tego, żebym miał co umieć między wami, jedno Jezusa Chrystusa i tego ukrzyżowanego*”¹⁾. „*Żydowie cudów się domagają i Grekowie mądrości szukają. A my przepowiadamy Chrystusa ukrzyżowanego, Żydom wprawdzie zgorszeniem, a Grekom głupstwem, lecz samym wezwanym... mocą Bożą i mądrością Bożą*”²⁾ jest ten Chrystus ukrzyżowany.

To też wszędzie wznosi się ten krzyż uwielbiony. Wszędzie wyciąga ramiona swoje obciążone miłością; wszędzie ukazuje najświętszą ofiarę uwienioną boleścią; wszędzie woła: Posłuszeństwo, pokora, zaparcie się siebie!

¹⁾ Św. Paweł, *I. do Korynt.* II, 2. — ²⁾ *Ibid.* do Kor. 22—24.

O, przedziwny to głos! o, niezbędne dla nas przypomnienie! bez niego dawno już świat byłby zginał w nadmiarze pychy, zmysłowości i buntu.

A jak jest powszechny, tak jest niezniszczalny. Napróżno złość wścieka się na jego widok, napróżno w chwilach szału rzuca się nań i druzgocze. Świat staje się niemożliwym mieszkaniem dla ludzi, skoro tylko krzyż jest zniszczony. Wkrótce strwożone ludy szukają w pyłę jego szczątków, by go złożyć, a władze publiczne łączą się, by głosić na nowo jego potęgę.

A więc panuj, Mistrzu mój ukrzyżowany! panuj nad nami! Gdyby ludzie mogli kiedykolwiek nie uznać uwielbionej piękności Twej postaci, musieliby jednak unieżyć się przed wielkością Twojego posłannictwa, przed wzniosłą koniecznością Twojego dzieła.

V.

Ale trzeba sięgnąć wyżej, aż do najwyższego szczytu tajemnicy Krzyża. Spójrzmy na Jezusa umierającego i uczcijmy w Nim jeszcze jedną godność królewską, panowanie nad wszystkie inne: panowanie miłości.

Tak, patrzę na Krzyż, a pragnąc duszę moją wnieść na najwyższe szczyty, mówię: Ten, który tu zawieszony i kona w ostatniej męce, jest Bogiem. To jest Bóg!

Tak; On, ten wielki Bóg, który uczynił niebo i ziemię, jest tu przybity do drzewa. Cóż Go do tego stanu przywiodło? Miłość.

Tak; On na tym krzyżu umiera przez miłość, z miłości. Oto szczyt najwznioślejszy.

Pycha wysuszyła serce ludzkie; zmysłowość je zbezczeszcza. Względem stworzeń doznawało ono jeszcze niekiedy uniesień szału, namiętności, po których następowała gorycz i szyderstwo. Ale względem Boga nie było już w tem sercu ani jednego poruszenia. Trzeba je więc było obudzić; a ponieważ letarg trwał od wieków całych, potrzeba było silnego uderzenia, czegoś, co by niem wstrząsnęło, w podziw i zdumienie je wprawiło, co by z jego głębi łkanie wydobyło. Trzeba było poruszyć naraz wszystkie słabe, rozstrojone, pęknięte struny tego serca, poruszyć każdą zosobną i wszystkie razem; trzeba było targnąć niemi nawet, by wzbudzić zagasłą harmonję: a tylko miłość zdolna była to uczynić. Serce — to harfa, na której jedyn-

nie miłość grać może, a znowu miłość to jedyny artysta, który umie w sercu dźwięki rozbudzić.

Tylko tu potrzebna była nadzwyczajna, dziwna miłość. Nie wystarczyło, by Bóg pierwszy ukochał człowieka i by go kochał tkliwie; trzeba było kochać namiętnie, aż do całopalenia. Trzeba było nadmiaru uczucia; takiej miłości, która nie dozwala na żadną obojętność; można ją wielbić lub nienawidzić, mieć ją za nic, za marę, za przywidzenie; szydzić z niej jak z szaleństwa lub wyznawać wśród łkania. Taką była miłość Ukrzyżowanego. Niedosć było dla Pana naszego, by się uniżył, upokorzył, cały krwią oblać; chciał osiągnąć najwyższego szczytu, najpiękniejszego: a najpiękniejszym — to umrzeć za ukochanych. On umarł za człowieka, by go uwolnić od kary, na którą zasługiwał. Więcej jeszcze uczynił: umarł za człowieka umęczony rękami tych, których miłował, tak że ostatnie Jego tchnienie było zarazem odkupem, wybawieniem i przebaczeniem. Tak bosko splótł winy ludzkości ze swoimi własnymi boleściami, że niewiadomo, czy trzeba płakać nad grzechami, które takie cierpienia spowodowały, czy uwielbiać cierpienia, które zadosyćczyniły za takie winy. Stajemy u stóp krzyża wzruszeni, zdumieni, oniemiałi i zachwyceni; nie wiemy nawet, jakie miano dać tej miłości, której podobnego nic niema na ziemi. Jest tak wielka, że staje się jakoby zgorszeniem, o które potknęli się wszyscy heretycy. Przez całe wieki ten nadmiar miłości stawał się przeszkodą ku wierzeniu. Umysł zdziwiony buntował się; wruszano ramionami, uśmiechano się szyderczo. „Jakto! Ten Ukrzyżowany, ten Umęczony jest Bogiem?” Potem nastąpił przewrót w sercu ludzkości: „Jakto! jest Bogiem i został ubiczowany, umęczony, ukrzyżowany! Dlaczegoż nie zmiążdżył swych katów? dlaczego piorunem swoim nie zabił Piłata? dlaczego znosił policzkowanie? dlaczego poddał się tyłu i takim boleściom? Nie przez słabość; wszak jest Bogiem. A więc przez miłość. Bóg mnie ukochał aż tak dalece, aż do szaleństwa, aż do całopalenia, aż do śmierci na krzyżu!” Łzy zachwyty spłynęły, i miłość ku Bogu wskrzeszona została.

A z miłością ku Bogu zmartwychwstała i miłość ku człowiekowi. Bo i za kogoż to On umarł? za wszystkich ludzi bez wyjątku: za maluczkich, za ubogich, za wszystkich. Umarł za ojców naszych, za matki, za rodzeństwo nasze. Kolebki naszych dzieciątek, ukochane ogniska strzeżone przez czyste, święte towarzyszkki naszego życia;

wszystko to skropione jest krwią Boga naszego, oblane Jego miłością; czyż moglibyśmy ich nie kochać? Wszystkie miłości jedne po drugich zmartwychwstały; a zmartwychwstając przyobiekły odrazu wielki charakter miłości poświęcającej się.

Miłość Boga dla człowieka zrodziła miłość człowieka dla Boga i dla ludzkości.

Ten ostatni punkt widzenia jest zbyt piękny, by mu nie poświęcić dłuższego spojrzenia. Odpocząwszy chwilę, idźmy znów dalej, aby się dostać do ostatnich wyżyn, jakich dosięgnąć mamy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Ostatni dowód historycznej rzeczywistości Wcielenia i Odkupienia.

Już daliśmy kilka dowodów, stwierdzających rzeczywistość Wcielenia. Cały drugi tom tego dzieła dąży do wykazania, że Jezus Chrystus jest Bogiem; rozwijając przed naszymi oczami to życie zarazem boskie i ludzkie, czyż nie przyniósł nam pierwszego, jasnego, namacalnego dowodu, że Jezus Chrystus jest zarazem Bogiem i człowiekiem?

W tym zaś tomie czyż nie dowiedliśmy rzeczywistości Wcielenia, wykazując jego piękność, możliwość, boską harmonję i cudowne jego skutki? Najwznioślejsza i najplodniejsza idea miałażby tylko być przywidzeniem? Skoro jest możliwa, jest rzeczywistością.

Pojąć jednak można, że Bóg-Człowiek nie chciał ukazać się na świecie, nie przynosząc ze sobą najwyższego dowodu swej podwójnej, ludzkiej i boskiej natury; dowodu tak z Jego osobą złączonego, jak atmosfera świetlana złączona jest z ciałami niebieskimi, które otacza; dowodu powszechnego, wzrastającego i rozwijającego się ciągle, a posiadającego taką siłę, że nie można spojrzeć na boską osobę Jezusa Chrystusa, nie nabierając odrazu nieprzepartego przekonania, iż jest On Bogiem-Człowiekiem.

Ostatni ten rozdział poświęcimy na wykazanie tego najwyższego dowodu.

I.

A najpierw postawmy wniosek.

Jezus Chrystus jest zarazem Bogiem i człowiekiem: Bogiem doskonałym i człowiekiem doskonałym; jeden z Bogiem w niebie, jeden z ludzkością na ziemi. Oto, jak się

przedstawia. Wcielenie jest teandrycznym złożeniem dwóch zupełnych natur: natury boskiej i natury ludzkiej, połączonych w jednej osobie, która jest Panem naszym, Jezusem Chrystusem.

Skoro raz tę doktrynę przyjmujemy, jakież muszą być jej niechybne, rzecz można, konieczne następstwa?

Jeżeli Jezus Chrystus jest Bogiem prawdziwym, nieodłącznym od Ojca swojego, to czyż możnaby Go kochać, nie kochając Boga? I tak samo czy możnaby kochać Boga, nie kochając Jezusa Chrystusa? „Ja i Ojciec jedno jesteśmy”¹⁾. „Filipie, kto mnie widzi, widzi i Ojca”²⁾. A dalej też myśl prowadząc: kto widzi Ojca mego i mnie widzi; kto mnie miłuje, miłuje Ojca mego, a kto miłuje Ojca mego, mnie miłuje”. Tych dwóch miłości nie można rozłączyć.

Posuńmy dalej jeszcze to dowodzenie. Skoro Jezus Chrystus jest prawdziwym Bogiem, to jeżeli kto Go nienawidzi, czyż z konieczności nie będzie też nienawidził Boga? A jeżeli kto nienawidzi Boga, czy też nie musi nienawidzić Jezusa Chrystusa, skoro Oni są jedno? Miłość więc lub nienawiść dla Jezusa Chrystusa jest nieomylną miarą miłości lub nienawiści ku Bogu. I tak samo miłość lub nienawiść Boga będzie miarą miłości lub nienawiści ku Jezusowi Chrystusowi.

Podobnież trzeba rozumować o Jezusie Chrystusie jako o człowieku. Jest On tak samo prawdziwie człowiekiem, jak jest prawdziwie Bogiem. To nawet niedosyć. Jest On najdoskonalszym przedstawicielem, absolutnem uosobieniem ludzkości. A więc ktokolwiek miłuje Jezusa Chrystusa, z konieczności musi też miłować ludzkość, skoro Chrystus ją całą w sobie zawiera. A ktokolwiek nienawidzi Jezusa Chrystusa, logicznie dojdzie do niechybnego znienawidzenia ludzkości.

W ten to sposób ukazujesz się światu, o Jezu! Nie można Cię ani miłować, ani nienawidzić, by tych samych uczuć nie mieć względem Boga i ludzkości. Gdy Cię kocham, o Jezu, z konieczności kocham Boga, boś Ty jest Bogiem; kocham człowieka, boś Ty jest człowiekiem, i z Twojego serca czerpię tę podwójną miłość: Boga i ludzkości.

Pytają się, czy Jezus Chrystus jest prawdziwie Bogiem i prawdziwie człowiekiem. Tak, skoro od przeszło

¹⁾ Jan, X, 30. — ²⁾ Ibid. XIV, 9.

dziewiętnastu wieków złączony jest solidarnie z Bogiem i z ludzkością.

To jest wniosek. Zbadajmy teraz fakt.

II.

W drugim tomie tego dzieła widzieliśmy, że Jezus Chrystus, wchodząc na ten świat, przepowiedział, że będzie miłowany; miłowany od wszystkich, miłowany nad wszystko, aż do męczeństwa; miłowany miłością tem cudowniejszą, że rozbudzi się ona na Jego grobie i zagasi wszelkie inne miłości. Dodaliśmy, że przepowiednia się spełniła, a widząc następujące po sobie przez wieki po świecie całym pokolenia, miłujące Jezusa aż do szafu, wywnioskowaliśmy, iż jest On Bogiem.

Ale oto, co jeszcze ten cud przewyższa. Zaledwie u stóp krzyża obudziła się miłość ku Jezusowi Chrystusowi, natychmiast stworzyła obie miłości, o których dopiero co mówiliśmy. Krzyż, będący ołtarzem całopalenia Boga dla ludzkości, zrodził odrazu dwa rodzaje miłości dotąd nieznaney, pełnej poświęcenia, najpiękniejszej, najczystszej, odradzającej jedynie: miłość ku Bogu i miłość ku ludzkości, poświęcenia się dla Boga i poświęcenia się dla ludzkości.

A krzyż nie tylko stworzył te dwie miłości nagle, bez stopniowania, bez przygotowania: wczoraj nie istniały, dziś już nie są miłością, ale poświęceniem, całopaleniem, szafem; krzyż je nie tylko stworzył, ale on je podtrzymuje; on jest ogniwem, łączącym je. Z nim razem wznoszą się, zniżają, zamierają, zmartwychpowstają. Ktokolwiek kocha Jezusa Chrystusa, kocha Boga i ludzkość, i to w miarę swej miłości ku Jezusowi. Przeciwnie, ktokolwiek śmie tknąć się Jezusa Chrystusa z zamiarem umniejszenia, odrzucenia Go, ten w tej samej mierze zmniejsza, odrzuca, usuwa miłość ku Bogu i ludzkości. Przyjrzyjmy się temu bliżej: dotykamy tu oczywistości najzupełniej jasnej.

III.

A najpierw przypatrzmy się miłości człowieka ku Bogu, poświęcenia się człowieka dla Boga. Czyż można użyć tego wyrażenia, czy naprawdę miłość człowieka ku Bogu przybiera czasem na tej nędznej ziemi charakter poświę-

cenia, całopalenia? Czy naprawdę jest ona dość silna, wielka, żywa, dość gorąca, by przy niej zgasły wszelkie inne miłości?

Wiemy, że jest wiele odcieni miłości, jak jest wiele stopni geniuszu, sztuki, odwagi. Są stopnie niskie, podstawowe i są stopnie wzniosłe.

Spotykamy jakąś osobę; jej charakter, jej umysł podobają się nam; chętnie z nią rozmawiamy. Jest to pierwszy stopień, bardzo powierzchowny; dar samego siebie jest tu prawie żaden. Nazywamy ten pierwszy rodzaj w stosunkach znajomością; umysł tylko wchodzi tu w grę; serce pozostaje jeszcze nietknięte.

Drugi stopień — to przyjaźń. Przyjaciół — więcej niż znajomy. Przyjaźń — to zetknięcie się dwóch dusz zachwyconych jedną drugą i łączących w codzienną wzrastającą zaufaniu swe myśli, swe marzenia, swe cnoty, swoje szczęście i swoje cierpienia. Mogą się zawsze rozjeść, ale nigdy się nie rozchodzą. Wśród rzeczy, które Bóg uczynił, ta jest jedną z najśodszych; jest jednym z najcudowniejszych uczuć duszy. Jedną ma tylko słabą stronę: zbyt rzadko się ją spotyka.

To są dwa pierwsze stopnie uczucia; po nich następuje trzeci, ale któż go odmalować potrafi? Kto opisze płomienne poddaństwo, w jakie niekiedy oddaje się dusza? Pascal spróbował to uczynić w kilku słynnych kartach: wyłał na nich całą melancholijną tkliwość wielkiego swojego serca. Bossuet dotknął z kolei tego przedmiotu z naiwną śmiałością wielkich, niewinnych umysłów. A przed nimi w głębi klasztoru ubogi zakonnik wyśpiewał pieśń nazwaną V-tym rozdziałem III-ciej księgi *O Naśladowaniu*, tę pieśń miłości, jak ją sam nazywa: *Canticum amoris*, zaczynającą się od słów: „Miłość jest wielką rzeczą”; *magna res est amor*. A dalej są tam takie określenia: „nic niema słodsze nad miłość, nic silniejszego, nic wyższego, nic większego, nic miłszego, nic lepszego”; *nihil dulcius est amore*, *nihil fortius*, *nihil altius*, *nihil latius*, *nihil jucundius*; „miłość wzlatuje, biegnie, raduje się, nie czuje ciężaru, nie lęka się trudów”; *amor volat, currit et laetatur, onus non sentit, labores non reputat*. Kończy się zaś temi prawdziwie niebieskimi słowami: „miłujący musi być gotów znieść wszystko najgorsze i najcięższe dla miłości umiłowanego”; *oportet amantem omnia dura et aspera propter dilectum libenter amplecti*. I jeszcze: „Ten, kto nie jest gotów cierpieć i zdać się zupełnie na wolę umiłowanego, nie jest go-

dzien nazwy miłośnika". *Qui non est paratus omnia pati et ad voluntatem stare dilecti, non est dignus amator appellari.*

Wzniosłe to słowa, a jednak jeszcze niedołęzne! mdłe obrazy, które musimy się zadowolnić!

Tak; gdy miłość ogarnie duszę, nabiera dziwnego przywileju, rozjaśnia przedmiot umiłowania; wszystkiemu innemu blednąc każe. Wszystko gaśnie, wszystko się zaciera, widzi się jedynie tego, kogo się kocha. A także wszystko każe przezwyciężyć; wlewa w duszę więcej jeszcze mocy niż światła. Cierpieć, upokarzać się, umierać jest igraszką dla duszy ogarniętej taką niewolą miłosną.

Gdy dwie takie miłości się spotkają — bo niestety, często tylko jedną duszę ten płomień gorącym swem dotyka, ale gdy dwie się zejdą — wtedy następuje między nimi pewnego rodzaju identyczność. Już jest tylko jedno istnienie, jedno życie, jedna cześć, jeden los; jak to jednak rzadko się trafia! Zaledwie kiedy niekiedy spotyka się dwie dusze tak z sobą złączone, ale jednakowoż zdarza się czasem ta rzecz dziwna i wzniosła, wywołująca łyzy i uśmiechy! I ona to właśnie zrodzona została u stóp krzyża. Miłość dla Boga posunięta aż do całopalenia, do szału!

Może kto spyta: „Jak się to dzieć może?” Niestety, nie wiemy.

Może kto powie: „Ależ to jest niemożliwe; Bóg jest tak daleko, ukryty, niewidzialny! Wszystko, co Go otacza, jest nieprzeniknione. Jakże On zatem może wywołać takie uczucie? Jest to jeszcze zrozumiałe względem stworzenia; w niem jest przejrzysta dusza, dostrzegalna w obliczu, jest coś widzialnego, dotykającego, co może rozpalic uczuciową cząstkę naszej istoty. Ale Bóg! Bóg! gdzie On jest? czyż się Go widzi? A jak kochać to, czego się nie widzi?”

Jak? jak? nie wiemy. Ale są na ziemi istoty, miłujące Boga tak, jak wycie nigdy żadnego stworzenia nie kochali; mające dla Boga miłość taką, jakiej najcudniejsza istota w sercu śmiertelnika nie potrafi obudzić. I dodajmy: Oto, co się zrodziło u stóp Krzyża!

Może dla niektórych Bóg jest jedynie *znajomością*; czczą Go z daleka.

Dla niektórych znów Bóg jest *przyjacielem*.

A wśród tłumu ukazują się tu i owdzie dusze o sercu gorejącem, miłujące Boga aż do całopalenia, do szału. Niezrozumiałe to jest, ale rzeczywiste.

A oto dowody: Pozostawmy na boku apostołów, takiego św. Jana i tkliwe uniesienia jego dziewiczej duszy, takiego św. Pawła i dziwne jego unicestwienie się dla Boga. Przenieśmy się myślą do Rzymu, do Colosseum. Któż to jest ten czcigodny starzec? jaki ogień w jego oku, a jakie słowa na ustach! „Jakże czas mi się dłuży, bym został przez lwy rozszarpany! Drażnić je będę. Jestem chlebem Chrystusowym; muszę być dla Niego zmiążdżony!”¹⁾ Znały jest koniec tego pragnienia; wiemy, iż to był szal miłości.

A teraz inny widok. Cóż to za dziewczeczka piękna, idealnie czysta? Syn prefekta Rzymu prosi o jej rękę. Ale ona odmawia; wybrała innego Oblubieńca; mówi, że jest oblubienicą Chrystusową. Posłuchajmy weselnego jej hymnu: „*Quem cum amavero, casta sum; cum tetigero munda sum; cum accepero virgo sum*”²⁾. I ażeby prędzej połączyć się z niewidzialnym Oblubieńcem, daje z weselem głowę pod miecz. Wszak prawda, że jest szalona? Tak, szalona miłością!

Ale patrzymy dalej; cóż to za matka otoczona siedmiu synami? Oto porywają najstarszego i zabijają go w jej oczach; następnie drugiego, trzeciego, czwartego! Ach! tygrys broni swych małych, a ona ich katom oddaje! I tak z jej rąk przechodzą pod miecz i piąty i szósty. Zostaje już tylko najmłodszy, dziecko sześciolatek. Nareszcie matka drży cała, niepokoi się; ale o co? O, niewysłowny cudzie! ona się lęka, by jej dziecku nie zabrakło odwagi. Pada przed niem na kolana, przemawia doń z miłością, niesie je, rzecz można, na rusztowanie. Taka jest miłość dla Boga, takie poświęcenie się dla Boga! drugiej takiej niema na ziemi; to miłość posunięta do szału!

To, na co wówczas zdumiony i osłupiały Rzym spoglądał, nie ustało już nigdy. Kaci się zmęczyli, ale nie ofiary. A gdy już katów nie stało, ofiary przez to nie zniknęły. Miłość zastąpiła strudzonego topór. Miłość wznosiła stosy, na których zwolna gorzały; miłość stworzyła dobrowolne więzienia, gdzie się żywcem zagrzebywały; miłość gromadziła tortury, na które same się wydawały, i wśród których śmierć słodką im się wydawała. „Albo cierpieć, albo umrzeć”. „Cierpieć, zawsze cierpieć, nigdy nie umierać!” — „Panie, o jedno Cię błagam: niech cierpię i będę dla Ciebie wzgardzony!” — Takie są ich słowa, a co więcej, takie było ich życie.

¹⁾ Listy św. Ignacego z Antiochji. — ²⁾ Akty św. Agnieszki.

W tej nadzwyczajnej miłości, której świat starożytny nie znał, spróbujmy odróżnić, jaka jej część przypada Jezusowi Chrystusowi, a jaka Bogu. Nie zdołamy tego uczynić. Zapytajmy św. Cecylii, św. Agnieszki, św. Teresy, św. Tomasza, dla kogo cierpią, czy dla Boga, czy dla Jezusa Chrystusa. Odpowiedzą nam: Za obydwóch, bo Oni jedno są... Dwie te miłości jeden mają przedmiot nierozdzielny. „Filipie, kto mnie widzi, widzi Ojca mego, a kto widzi Ojca mego, mnie widzi”. Czyż nie czujemy, że tylko Bóg urzeczywistnić mógł takie utożsamienie się z Bogiem?

IV.

Mówią: Miłość Boga, to dobrze; ale jest też ziemia, jest człowiek, rodzina, są czyste i święte przywiązania serca; miłość ku Bogu nie powinna wszystkiego wysuszać, jak wicher pałacy.

Zupełnie podzielamy to zdanie. Drugim kwiatem, rozkwitającym u stóp krzyża, drugim słodkim owocem miłości dla Jezusa Chrystusa jest miłość dla ludzkości.

Jezus Chrystus, dając, dlatego że jest Bogiem, początek miłości ku Bogu, zrodził jednocześnie miłość ku ludziom, dlatego że jest człowiekiem. I od razu nadał jej także samą cechę: cechę miłości posuniętej aż do poświęcenia się, do szafu. Otóż sądzimy, że ta druga miłość jest jeszcze cudowniejsza niż pierwsza.

Mówią: Jak można aż do poświęcenia się kochać Boga, którego się nie widzi? Odpowiadamy: Jak można tak kochać ludzkość, którą się widzi?

Mówią: Tylko piękność może wzniecić w sercu to płomienne uczucie nazwane miłością. Bóg zaś jest ukryty, niewidzialny; jakże więc zdoła zapalić moje serce? Odpowiadamy: Czemże to ludzkość zdoła nasze serce poruszyć? ta ludzkość szpetna, nędzna, na duszy i na ciele okryta ranami i łachmanami.

Bo uważamy, że jeżeli kto wśród tej niepięknej ludzkości, tak nadzwyczajnie umiłowanej, otrzymał cząstkę królewską, to właśnie ubogi. A ubogi to zupełnie przeciwieństwo piękna; razi wzrok zamiast go pociągać. Nawet straszliwa swym powabem nagość staje się odrażającą i wstrętą w ubogim. A jednak któż wypowie, jak dalece ubogi jest umiłowany? Te rzymskie matrony, których zmysłowość i miękkość opisuje Tacyt, odrzuciwszy pychę, klękają u stóp ubogiego. Młode dziewice, dumne i wykintne

przyciskają usta swe do jego ran. Przyjdzie tam nawet Cezar, następca Witeljusów, Neronów, tych okrutników rozpustnych; ujrzymy go klęczącego przed nędzarzami. Dużo, bezwątpienia, czasu upłynie, zanim Neron przemieni się w Konstantyna, Konstantyn w Karola Wielkiego, a Karol Wielki w św. Ludwika. Ale cóż znaczy czas? Ci monarchowie, te królowe, ci rycerze, te wielkie panie, te szlachetne dziewice raziłyby nasze wyrafinowane zmysły dowodami miłości, dochodzącej aż do całowania wrzodami lub trądem okrytych ubogich. Nawet starania, jakie matka daje swemu niemowlęciu, niczem są wobec nadmiaru miłości, rzucającej bogaczy do stóp ostatniego z nędzarzy!

I jak do tego doszło? Zapytajcie ich. Spoglądają oni na Jezusa Chrystusa i widzą w Nim ludzkość; to znów patrzą na ludzkość i widzą w niej Jezusa. W ich oczach utożsamienie jest zupełne. Ciało umęczone na Kalwarji jest ciałem ludzkości; stopy przygwożdżone do krzyża są stopami ludzkości; te ręce przebite są rękami ludzkości. A raczej nie; miłość ma jeden wielki przywilej: rozjaśnia umiłowany przedmiot, wszystkiemu innemu zblednąć każe. Kocham Jezusa Chrystusa i już nic prócz Niego nie widzę. Te wstrętne, brudne stopy ubogiego są pięknymi stopami Jezusa; te szpetne ręce są Jego rękami. Te okropne rany są niejako dalszym ciągiem, powtórzeniem Chrystusowych. Miłość wnika w zewnętrzną postać i w najbrzydszem nawet człowieczeństwie widzi jedynie umiłowane Człowieczeństwo Jezusa. I dlatego pada do stóp nędzarza i nie czuje się godną mu służyć.

W ten więc sposób powstał poświęcający się miłośnicy ludzkości tak, jak i miłośnicy Boga. W starożytności nie znano ich wcale. Wśród narodów, nie znających Jezusa Chrystusa, nie spotyka ich się również; rodzą się oni jedynie u stóp krzyża. Cóż tu zatem jest takiego, czego gdzie indziej się nie znajduje? Skąd oni pochodzą? Kto ich tak upoił? Jakież wino oni pili? — Gdy raz pierwszy ukazali się światu, wzięto ich za ludzi pijanych: *Ebrii sunt*. Nie mylono się. Tak, jest święte upojenie; jest wino, wzniosłe podniecające dusze! Jest boska prasa, z której wypływa miłość upajająca ludzkość! Miłość to Twoja, o Słowo Wcielone, o Boże, który stałeś się człowiekiem, który zstąpiłeś na ziemię, aby upoić nasze serca!

I dlatego nie dotykajmy Chrystusa, nie odejmujmy Mu ani łzy jednej, ani jednej rany, i tak mimo całej swej ku nam miłości może On zaledwie podnieść biedną naszą

duszę do tych szczytów. Starzy heretycy dawnych wieków, racjonalści tegocześni, ścignęliście na Niego rękę, i cóż się stało? Oto daliście przez to jeden dowód więcej rzeczywistości Wcielenia.

V.

Jezus Chrystus nie tylko stworzył wzniosłą miłość dla Boga i dla ludzkości i złączył je swoją Osobą, ale ta miłość podwójna jest tak prawdziwie owocem Jego Wcielenia, Odkupienia, Jego dla nas miłości, że ktokolwiek w ciągu wieków ścignął rękę, by Jego postać umniejszyć, naruszyć, natychmiast w tej samej mierze widział zmniejszającą się, zanikającą miłość Boga i ludzkości.

Jeden rzut oka na historję nie pozostawi pod tym względem żadnej wątpliwości.

Przyjrzyjmy się najpierw całemu szeregowi heretyków, po sobie następujących. Arjusz, Nestorjusz, Eutychnusz, później Pelagjusz; w czasach nowszych Luter, Kalwin, Henryk VIII, do czegoż wszyscy dążyli? Może nawet bezwiednie zajęci są jedynie umniejszaniem, ograniczaniem Jezusa Chrystusa. Wszyscy znajdują, że On jest zbyt dobry, zbyt tkliwy, zbyt miłujący, zbyt się poświęcający w swej miłości dla człowieka.

Możnaby jeszcze pojąć, możnaby zrozumieć, że odezwali się oni od Kościoła, aby czcić piękniejszego czyli więcej miłującego Chrystusa! Ale nie: wszystkie odszczepieństwa dążą do umniejszenia Go.

Najpierw w pierwszych wiekach buntują się przeciw tajemnicy Wcielenia; jest w niej za wiele miłości. Arjusz, Nestorjusz, Eutychnusz myślą jedynie, jakby ją ograniczyć. „Bez wątpienia, mówi Arjusz, Jezus Chrystus jest Synem Bożym, uczynionym człowiekiem; ale ten Syn nie jest równy Ojcu, nie jest tej samej co Ojciec natury, nie jest jak On Bogiem”. Czyli innemi słowy, Bóg dla zbawienia ludzkości zesłał jakiegoś ducha wyższego, ale się dla niej sam nie wcielił.

— „Mylisz się, odpowiada Nestorjusz; Syn jest zupełnie równy Ojcu. Jakże Syn mógłby nie być równy Ojcu? Czy nie czytałeś Pism? Ale ten Syn Boży nie złączył się z ludzką naturą w jedności osoby. Złączył się z człowiekiem, jak przyjaciel z przyjacielem”. Innemi słowy: w Jezusie Chrystusie tylko człowiek cierpiał i umarł, ale nie Bóg.

— „Co za błąd! woła Eutychnusz, co za błąd twierdzić, że natura boska i natura ludzka nie zjednoczyły się hipostatycznie w Jezusie Chrystusie. Czyż bez tego zjednoczenia może być Wcielenie, Odkupienie? Zjednoczyły się one tak ściśle, że stopiły się jedna w drugiej. Rzućmy suchą gałąź do ognia, a zobaczymy, jak ją ogień ogarnia, przenika, przetrawia tak, że ona w nim znika. Tak samo gdy natura ludzka złączyła się z naturą boską, rozum ludzki zatonął w boskim rozumie, wola ludzka w boskiej woli: człowiek zniknął; sam Bóg pozostał!” Ale w takim razie cóż to za Bóg! Bóg, który wyglądał, jakoby cierpiał, ale który nie cierpiał; który miał pozory zasługi, ale nie miał prawdziwej zasługi. I tu znów, choć w inny sposób, Wcielenie jest unicestwione.

Tak przez trzy wieki rozprawiano, krytykowano teksty, gromadzono subtelności, ażeby dojść do wyniku, że Wcielenie, w którymby obie natury były ściśle złączone, prawdziwe, piękne, wzniosłe Wcielenie jest niemożliwe. Byłoby to, mówiono, zbyt wiele miłości. I to trwało przez trzysta lat; poczem ludzkość oburzona powstała, a Kościół na przedziwnych soborach orzekł, że Jezus Chrystus był zarazem Bogiem i Człowiekiem. Arjanie, nestorianie, eutychnianie usunięci zostali daleko i wegetują dotąd na Wschodzie, nie uczyniwszy nigdy nic wzniosłego ani dla Boga, ani dla ludzkości.

Walka jednak ciągnie się dalej. Umysł ludzki zmuszony do uznania Wcielenia, tego pierwszego żywiołu, stanowiącego Jezusa Chrystusa, rzuca się na drugi, na Odkupienie. Pelagjusz się ukazuje: głowa to zapalona, uparta i ciasna.

— „Dobrze, mówi on, Jezus Chrystus jest Bogiem i Człowiekiem; temu zaprzeczyć nie można. Wcielenie jest rzeczą pewną; ale poco Odkupienie? Natura ludzka jest zdrowa, nie została uszkodzona, jak to mówią, przez upadek pierwszego człowieka. Co więcej, jest ona nie tylko zdrowa, ale może sama przez się dojść do uczynków zasługujących”. To jest system Pelagjusza. Czemże się tu staje Odkupienie? czem nawet i Wcielenie? Jezus Chrystus jest prawdziwie Bogiem i człowiekiem, ale jest On Bogiem honorowym, bezużytecznym, Bogiem, którego nie potrzebowano i bez którego obejść się można.

I tak znów parę wieków przemija. Pelagianie, półpelagianie znikają pod technieniem św. Augustyna. Jest chwila odpoczynku. Wieki średnie nadchodzą; Jezus Chry-

stus panuje. Wielcy królowie są Jego rycerzami; widzieć można zdumiewające cuda miłości Boga i ludzkości.

Ale czas ten trwa krótko. Zjawiają się: Luter, Kalwin, Henryk VIII. Musiano uznać, że Jezus Chrystus jest zarazem Bogiem i Człowiekiem — to pierwsza podstawa dogmatu, musiano też uznać, że Jezus Chrystus jest Odkupicielem — to druga podstawa. „Dobrze, mówi Luter, Jezus Chrystus jest Bogiem, jest Odkupicielem; ale zniknął. Wyobrażacie sobie, że On jest jeszcze w Kościele; niema Go tam. Wyobrażacie sobie, że jest w kapłanie przebaczący, rozgrzeszający; niema Go tam. Wyobrażacie sobie, że jest zawsze obecny w świętej Eucharystji; niema Go i tam.” „Jest w Niej w chwili mszy, mówi Luter. „Nie, odpowiada Kalwin; nawet w owej chwili Go tam niema; jest tu tylko symbol, figura, proste wyobrażenie. Jezus Chrystus przyszedł na ziemię, odkupił człowieka, ale spełniwszy swoje dzieło, zniknął.”

Oto wielki ruch heretycki; przedmiotem jego jest Jezus Chrystus, a celem — umniejszenie Go.

Powtarzamy; możnaby pojąć, możnaby zrozumieć, gdyby powiedziano katolikom: Bóg jest miłością, a miłość jest śmiała, wszechmocna, nienasycona, daje bez liczby, bez miary. Wasz Chrystus niedość miłuje, niedość się oddaje. Nie zrozumieliście Go; odłączamy się od waszego Kościoła, aby przywrócić Jezusowi Jego niezrównaną postać.

Ale nie; badając przez ciąg osmnastu wieków początek oderwania się wszystkich sekt, zawsze spostrzegamy to samo; zawsze one mówią do Kościoła: Uczysz o Bogu, który zanadto miłuje! Jakto! mówi Arjusz, On miałby się stać człowiekiem! Co! woła Nestorjusz, On miałby się narodzić z łona niewiasty! Jakto! rzecze Jansenjusz, On miałby umrzeć, aby odkupić całą ludzkość! On miałby dzień i noc pozostawać przez wieki w świętej Eucharystji! woła Kalwin. Nie chcemy takiego Boga! Miłość taka jest niemożliwa, niedorzeczna, szalona!

Możnaby im odpowiedzieć, że gdyby Chrystus był takim, jak oni głoszą, to wynikałoby z tego, że katolicy wymyślili Boga lepszego, tkliwszego, bardziej miłującego, niż On jest w rzeczywistości; że przypisują Mu przymioty, jakich nie posiada; że więc religja wymyślona przez ludzi jest piękniejszą, godniejszą uwielbienia, niż Religja objawiona przez Boga.

Ale dajmy temu pokój; zostawmy na stronie dawne herezje: to już skończone, stłumione; niema potrzeby zaj-

mować się temi kraterami, ziejącami niegdyś ogniem; dziś są to tylko trzęsawiska. Zwróćmy się do żyjących jeszcze protestantów. Umniejszyliście, ścieśniliście Jezusa Chrystusa, i cóż z tego wynikło? W tej samej mierze umniejszyliście, osłabiliście miłość dla Boga i dla ludzkości. Nie zniszczyliście jej zupełnie; jest to niemożliwe, skoro jeszcze wierzycie we Wcielenie i w Odkupienie, choć niezupełne. Ale jakże moglibyście uczuć miłość poświęcającą się dla Boga? Bóg wasz nie poświęca się dla was; kocha was, ale umiarkowanie. Nie umiłował was aż do końca, *usque ad finem*; zatrzymał się w samą porę, w chwili, gdy miłość przejść miała w szal; wasz Bóg nie umiał stać się wzniosłym. Wy, protestanci, podobni doń jesteście: jesteście dobrzy, jesteście uczciwi, ale nie jesteście wzniosli; i to jest logiczne. Nie poświęćcie się ani dla Boga, ani dla człowieka. Nie dziwimy się temu, ani was o to oskarżamy. Stwierdzamy tylko, że dla Chrystusa, który nie miał odwagi iść dla was aż do końca, i wy też nie macie odwagi iść do końca. Brak wam poświęcenia tak, jak Go i jemu brakuje. Nie macie kapłaństwa czystego; nie macie wiekuistego dziewictwa. Apostolstwo, męczeństwo zniknęło wśród was. Nie dostaje wam wszystkich tych szaleństw. W sercu jest stopniowanie: przyjaźń, miłość i całopalenie. Wasz Chrystus dawał wam tylko przyjaźń i trochę miłości. Nie umiłował was aż do wyniszczenia się, i wy Go nie kochacie aż do poświęcenia się dlań zupełnego; i to także jest logiczne.

A nie kochając z poświęceniem się Jezusa Chrystusa, nie kochacie też tak ani Boga, ani ludzkości. Nie macie karmelitanki; nie macie też siostry miłosierdzia. Nie daliście życia św. Teresie; nie macie też wśród was św. Wincentego z Pauli. Wszystko to razem się trzyma i właśnie tą łącznością jest wzniosłe.

To, co nam do omówienia pozostaje, dorzuci jeszcze promień jaśniejszego światła na tę wielką kwestję.

VI.

Obok tych, którzy umniejszają i ograniczają Jezusa Chrystusa, są ci, którzy Go nienawidzą. Boże mój! czyż to możliwe! Tak jest jednakże. Całe prawie jedno stulecie we Francji ściagało Jezusa swoją nienawiścią; hasłem jego było: „Zgniećmy bezecnego”. *Ecrasons l'infâme*. I jakież było następstwo? Czy znienawidziwszy Chrystu-

sa, goręcej ukochano Boga? czy odrzuciwszy Jezusa Chrystusa, wzgardziwszy Nim, lepiej służyło ludzkości, więcej ją kochano? Jeżeli Chrystus jest kłamstwem, wymysłem, to powinno było to nastąpić. Wzgardziwszy fałszem, powinno się było tem więcej ukochać Boga i ludzkość. Ale stało się wręcz przeciwnie i na ten jawny i pewny dowód nic już odpowiedzieć nie można.

Spojrzymy na tych, którzy nie chcą Jezusa Chrystusa. Czy Bóg im pozostaje? Nie; nawet myśli o Bogu w nich niema, nie mówiąc już o miłości ofiarnej, wspaniałomyślnej. Wszystko musi się logicznie rozwijać. W miarę tego jak rękę ściągają na Boga-Człowieka, Bóg z oczu im znika, wstępuje do nieba, staje się Bogiem niewidzialnym, niedostępnym człowiekowi; wkrótce i ten mglisty obraz się rozwiewa; zapanowuje zupełny ateizm. Ale ponieważ nie śmia do tego się przyznać i czują, że ludzkość nigdy się nie zgodzi na podobny stan rzeczy, nie mając już Boga, zachowują Jego imię. I podobni są do owych ślepych, tak cudnie przez Rafaela odmalowanych, którzy poomacku w ciemnościach się chwieją; oni tak samo poomacku szukają choć cienia, choć wyobrażenia Boga, i tego cienia się chwytają.

Raz jest to Bóg-idea, który nie jest czem innem jak jedną z kategorii naszego umysłu, jedną z komórek naszego mózgu. Gdy nuda ogarnia, gdy pragnie się wymknąć z przygniatającej rzeczywistości, wtedy, według słów jednego z nich, snuje się tę myśl, jak pajak snuje nić swoją. Piękny to Bóg rzeczywiście; piękny pocieszyciel i odkupiciel!

Innym razem jest to Bóg-natura. Patrzy się na ziemię powiększoną, a że jest ona piękna, że w swym wnętrzu zamyka niewyczerpaną żywotność, więc czci się naturę.

Lub znowu jest Bóg-ludzkość. Patrzy się na człowieka; wszak on większy niż natura, skoro nią rządzi. I czci się ludzkość!

A raczej nic się już nie czci i popada się w stan, w jakim świat był przed ukazaniem się Boga-Człowieka. *Sine Deo in hoc mundo*. „Bez Boga na tym świecie”, mówił św. Paweł. Oto dokąd idziemy. Wyrzucacie Jezusa Chrystusa ze świata i to samo zjawisko się powtarza; już niema Boga. *Sine Deo in hoc mundo*¹⁾.

Bóg zniknął; zostaje ludzkość. I tu jasny i pewny dowód staje się jeszcze oczywistszym. Bo i w jakimże to wieku żyjemy? W wieku, gdy miłość ludzkości, szaf bra-

terstwa, równości, dobroczynności ogarnął wszystkie dusze; gdy podziw nad pracą, nad geniuszem ludzkim jest bezmierny; gdy koleje żelazne, gdy ułatwione środki lokomocji zlewają wszystkie rasy, grożąc zniesieniem wszystkich granic między państwami, pozostawiając samą ludzkość, nie narody. A z jakimiż to ludźmi mamy do czynienia? Z ludźmi, którzy utraciwszy Boga, w Jego miejsce postawili ludzkość i tę czczą jedynie.

Zdaje się więc, że usunawszy Jezusa Chrystusa, straciliśmy miłość dla Boga, zachowując miłość dla ludzkości. Próbuja tego, ale jak tu iść wbrew logice?

Wszak ogólnie znane są takie zdania: „W oczach filozofa ludzkość składa się z niewielu wyjątkowych osobników wolnych od pokus, od omyłek i błędów, w które tłum popada”. „Byle tylko ta mała liczba mogła swobodnie się rozwijać, mało obchodzi filozofa, w jaki sposób reszta przystosowuje Boga do swego poziomu.”

Reszta! zważmy to wyrażenie. Pogarda dla tej reszty posunięta jest tak daleko, że świat z niezliczonymi bólami staje się ciekawem, bawiącym i rozwesalającym widowiskiem. Ośmielono się napisać: „Gdyby filozof, widząc wszechświat, mógł nawet zreformować świat, znalazłby może, iż jest on ze swymi bólami tak ciekawy, że nie stałoby mu odwagi cośkolwiek w nim zmieniać!”

Swobodniej się oddycha, przeczytawszy takie słowa. Trzeba było, abyście je zapisali, a przez to własnoręcznie czoła wasze napiętnowali. Pan Jezus mówił: *Szedłszy odnieście Janowi, coście słyszeli i widzieli, iż ślepi widzą, chromi chodzą... umarli powstają, ubodzy Ewangelię przyjmują*. A ty, aby nikt wątpliwości mieć nie mógł, mówisz: „Świat tak jest zabawny ze swymi ślepych, chromych, konających, nieświadomych, że gdyby filozof mógł go zmienić, nie uczyniłby tego.” Wiedzieliśmy o tem dobrze! ale trzeba było, byś to sam powiedział, sofisto bez serca!

Zresztą mamy coś więcej niż wyznania. Skoro Jezusa Chrystusa znienawidzono, nie poprzestano na teoretycznej pogardzie Boga i ludzkości. Wiek XVIII, zaczynający się okrzykiem: „Zgńiećmy bezecnego!” zakończył się widowiskiem tak ponurem, tak straszliwie groźnem, że ludzkość o niem nieprędko zapomni.

Nadszedł dzień, gdy sofistów zastąpili kaci. Wyrzuciwszy Jezusa Chrystusa ze świata umysłowego, zapragnęli zewsząd Go usunąć. Zdruzgotano Jego krzyże, pozamykano Jego świątynie, zgwałcono Jego przybytki, mordowano Jego kapłanów; i naród, zowiący się najstarszą córą

¹⁾ Św. Paweł do Efez. II, 12.

Kościół, zdał się pijany nienawiścią ku Jezusowi Chrystusowi. I zaraz powstał ateizm; miał swe świątynie, swoje ołtarze. Jakie świątynie, wielki Boże! Pycha cześć tam składała rozpuście!

A w cóż obróciła się wtedy miłość dla ludzkości? Trybunały, skazujące na śmierć, ustawiono w każdej niemal mieścinie; całym klasom zaprzysięgano wytępienie; i tym potworom powracało na myśl krwawe życzenie Nerona, by ludzkość cała jedną głowę tylko miała, którąby oni z radości ściąć mogli.

To, co się wówczas działo, będzie się zawsze powtarzać; zawsze ręka bezbożna, spychająca z tronu Jezusa Chrystusa, wyciągać się będzie bluźnierczo ku niebu i zwróci się krwawa przeciwko ludzkości. Widzieliśmy to znowu podczas komuny. Mordowano nie tylko księży, co jeszcze dałoby się pojąć, ale zabijano też urzędników, generałów, żołnierzy, podpalano Paryż na wszystkie strony.

I oto dlaczego, święty Kościele, przechowuj Chrystusa! Emanuela! Przechowuj ten słodki węzeł, łączący niebo z ziemią, człowieka z Bogiem! Strzeż Go i przechowuj dla siebie i dla nas! Cóżby się stało z ziemią, gdyby już nie było Boga-Człowieka? Rozszerzaj wszędzie miłość dla Chrystusa, ażebyśmy wśród smutków, zawodów, cierpień, jakie znosić musimy, znajdowali w niej pociechę i siłę, ażebyśmy pozostali godnymi Boga, który nas stworzył i który dał nam w ludziach braci. Niech zawsze serca nasze przepełnione będą miłością dla Boga i miłością dla ludzkości!

EPILOG.

CHRYSTUS.

Doszliśmy oto do szczytu. Zatrzymajmy się i spójrzmy wokoło. Starajmy się z góry objąć całość wielkiego dzieła Bożego.

Cóż przede wszystkim uderza w arcydziełach ludzkiego genjuszu, jak np. w „Dyspucie o Najśw. Sakramencie”, Rafaela, lub w „Sądzie Ostatecznym”, Michała Anioła? Czy nie głęboka łączność, jednocząca rozmaite części tych obrazów? Wszystko w nich aż do najdrobniejszych szczegółów ściąga się do jednej osobistości i uwypukla ją niejako.

Być może, iż artysta nie rozpoczął swego dzieła od tej głównej postaci; może nawet odmalowanie jej pozostawił na sam koniec, niemniej pracując nad tym obrazem, ją tylko miał na myśli; wszystkie osoby zgóry grupowały się wokoło Tego, który miał być środowiskiem i chwałą arcydzieła.

Tak samo było, gdy Bóg stworzył te cudne freski nazywane wszechświatem, tę pieśń stworzenia, ten życiem drgający dramat ludzkości. Jakaż cechę mu nadał? Czy na wzór pospolitego umysłu pozwolił myśli swej rozprasać się na wszystkie strony, czy też jak genjusz powziął myśl jedyną, z której wszystkie inne się wysnuły i dookoła niej się ugrupowały?

Kościół w swem wielkiem i głębokiem pojęciu rzeczy nie pozwala tu na żadną wątpliwość. Bóg, stwarzając światy, miał tylko myśl jedną; ale jak ją wyrazić? Widział jedną tylko osobę; ale jak ją odmalować?

O Jezu! Ty jesteś Alfą i Omegą tego wielkiego dramatu: początkiem i końcem, *principium et finis*; pierwszym i ostatniem słowem wszechrzeczy. Wszystko od Ciebie pochodzi i wszystko wraca do Ciebie. Ty spajasz światy w jedno.

Wniknijmy w tę wielkość, a zapominając o ziemi i jej błędnych światłach, biorąc wiarę za jedyne poprzednika, zatrzymajmy się na tym promiennym szczycie; niebo tylko nad naszymi głowami mieć będziemy, a pod stopami wszystkie wspaniałości dzieła stworzenia.

I.

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo. To było na początku u Boga. Taki jest początek Ewangelji św. Jana. Mojżesz napisał: *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię.* Św. Jan, znając tę pierwszą kartę, wstępuje wyżej, a w locie swym przenosząc wszystkie rzeczy stworzone, wznosząc się nad niebo i ziemię, nad Aniołów i Serafinów, intonuje swoją Ewangelię słowami, które w ekstazę wprowadzały św. Augustyna, i które Bossuet zachwycony komentował: *Na początku było Słowo.* Gdy niebo i ziemia się poczynają, Ono już było. A że wyrażenie Mojżesza — niebo i ziemia — obejmuje wszystko, Słowo było przed wszystkim, na początku wszystkiego, przed wszelkim początkiem, przed czasem, przed przestrzenią, przed jutrznią wszystkiego, co miało początek. *In principio erat Verbum.* Oto pierwszy krzyk orła.

Jednym poruszeniem skrzydeł przebył wszystkie przestrzenie; jest w środku Bóstwa, w przybytku Nieskończoności. A co tam widzi? Widzi Tego, który przedwiecznie napędza nieskończoność swoją promienną wspaniałością. *Na początku było Słowo.*

A gdzie było? Było w Bogu, *apud Deum.* U Boga, według silnego wyrażenia tekstu. Tam przebywało. Dlaczego było w Bogu, u Boga? Dlatego, że było Bogiem. *Et Deus erat Verbum.* Będąc w Bogu, Słowo było Bogiem, jednym z Ojcem, a jednak różnym od Niego; Bogiem z Boga, Światłością z Światłości, nie stworzonym, nie uczynionym, ale zrodzonym istotnie przed jutrznią wszystkiego, co jest. *Et Deus erat Verbum.* Oto, co mówi św. Jan, i to jest drugi krzyk orła.

„Było, było, było, było. W dwóch wierszach, woła święty Ambroży, cztery razy powtarza się: *Było.* Gdzież więc bezbożnik znalazł, że *nie było?*”¹⁾

¹⁾ Ambros. *De Fide ad Gratian.* I, 1, 5.

Ale czym było to Słowo, będąc u Boga? Było Słowem, *λογος*; Słowem Boga, tem Słowem przedwiecznym, współistotnym, nieskończonym, przez które Bóg samemu sobie wypowiada wszystko, czym sam jest; tem harmonijnym Słowem, przez które Bóg siebie wiekuiście opiewa. Duch Święty przechodził od Ojca do Syna, jak zobopólna miłość, zobopólne pragnienie. A ta potrójna jedność, to niewysłowne zjednoczenie na początku, przed wszelkim początkiem było życiem wiekuistym Tego, który *Jest.*

Jakim sposobem stały się inne rzeczy? Jakim sposobem otworzyła się przepaść szczęśliwości i chwały? Jakim sposobem wytrysnęły z niej światy? Posłuchajmy jeszcze św. Jana: *Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało.* I oto trzeci krzyk orła.

Bezwątpienia, stworzenie jest wspólnym dziełem Trójcy Przenajświętszej. Słusznie także bezwątpienia przypisuje się je Ojcu: *Patrem omnipotentem, factorem coeli et terrae*; gdyż przedewszystkiem jest ono rozwojem wszechmocy. Tu św. Jan przypisuje je Słowu: *Omnia per ipsum facta sunt.* Dlaczego? dlatego, że stworzenie uczynione zostało, aby chwaliło Boga, aby w mowie doczesnej wypowiadało to, co Słowo opiewa w mowie przedwiecznej; stworzenie jest echem Słowa. Głos rodzi echo. Ponieważ zaś wszystkie rzeczy stworzone zostały na wyobrażenie Boga, którego nieskończonym, przedwiecznym obrazem, odbiciem Jego chwały jest Słowo, Ono więc miało rzucić w czasie i przestrzeni wszystkie skończone obrazy. Z portretu czynią kopje. Niema więc nic sprzecznego w tych różnych atrybucjach. Dzieło stworzenia powstało mocą Ojca, na obraz Syna, przez promienne działanie Ducha Świętego.

Taki jest udział Słowa w stworzeniu. Będąc nieskończonym obrazem, odbiło w czasie i przestrzeni obrazy skończone. Zaczęło od aniołów i archaniołów, i w tem niema nic dziwnego. Gdyby nas zapytano, od czego Bóg stwarzać zaczął, bez wahania odpowiedzielibyśmy: od ducha, od czystego ducha. Bóg jest duchem, a stwarza na wyobrażenie swoje: stwarza, aby być znanym, chwalo-nym, czczonym, aby uszczęśliwiać. Kogóż stworzy, jeśli nie duchy Jemu podobne, zdolne Go znać, miłować i uwielbiać?

Zdawaćby się mogło, że na tem powinno się było zakończyć dzieło stworzenia. Ale po duchach Słowo przed-

siębierze drugie dzieło. Stwarza materję. Naco? Co tu ma do czynienia zimna, bezwładna materja? Nie jest zdolna znać i kochać; jakaż więc będzie jej rola w tym cudownym koncercie? To też przyjrzyjmy się, jak ją Słowo urabia, jak kruszy przeszkody, nie pozwalające jej być odbiciem Jego przedwiecznego obrazu! jak ryje na niej wszystkie swoje cechy: wielkość, bezmiar, piękność, ruch, życie, płodność! Od robaczka, kryjącego się w trawie, od kwiatka, oddającego hołd swoją wonią, aż do gwiazdy, krążącej w przestrzeni, wszystko pod ręką boskiego Artysty łączy się, by wielbić, czcić, miłować Tego, który je uczynił.

To są dwa pierwsze dzieła Słowa. Oba są przedziwne, ale rozdziela je przepaść. Są to dwa światy, nie mające ze sobą żadnej styczności. Gdzież więc jest owa jedność, którą dopiero co opiewaliśmy, i która z konieczności musiała powstać w potężnym umyśle Boga? A zatem jest to niezupełne jeszcze dzieło, to jego początek dopiero; nadaj mu, o Słowo, całą możliwą piękność!

Cóż teraz Słowo uczyni? Widząc rozpoczęty obraz wszechświata, malowany barwami, ostro się odrzynającymi, przedstawiający przeciwne sobie ostateczności, odczuwa się instynktownie, intuicyjnie, że pośrednie cienie zostały zgóry przewidziane. Tym odcieniem, w którym świat ciał i świat duchów miał się zlać w sposób doskonały, jest człowiek. Przypatrzmy mu się: w nim złączone są dwa światy: duch z całą swą świetnością, materja z całą swą ciężką nieprzejrzystością. Powstań więc, człowiecze, w majestacie swojej podwójnej natury; nadaj dziełu stworzenia prawdziwą jedność, a stając się kapłanem i królem wszechświata, unieś w swoim ku Bogu dążeniu oba światy, których jesteś wzniosłym łącznikiem!

Ale czy nie stajemy się ofiarami złudzenia? Czyż to jest owa jedność? Można się zgodzić, że człowiek unieś ze sobą wszelkie twory niższe! one wszystkie są w nim i on jest ich panem. Ale istoty wyższe, aniołowie, czyż się z pod jego ręki nie usuną? Czyż pójdą za człowiekiem, jak posłuszni żołnierze za swoim wodzem? Nie; nie należy człowieka stawiać na takich nieprawdopodobnych wyżynach.

A gdyby nawet poszli oni za nim, to jeszcze nie byłoby w dziele stworzenia owej poszukiwanej przez nas jedności. Widzieliśmy przepaść: z jednej strony duch czysty, z drugiej strony materja; przepaść ta już zrównana. Ale oto druga o wiele głębsza otwiera się przed nami.

Całe to dzieło stworzenia znajduje się w nieskończonej odległości od Stworzyciela. Złączyłeś, Panie, ducha z materją; trzeba teraz połączyć Stwórcę ze stworzeniem. O boski Pracowniku, czyż się tu zatrzymasz, czy nie posuniesz się dalej?

Ale nie; Bóg, łącząc ducha z materją, postanowił połączyć kiedyś dwie rzeczy bardziej do siebie niedostosowane: skończoność z nieskończonością. Zadzierzgawszy pierwszy węzeł, przygotowywał się do zadzierzgnięcia drugiego, zawilszego, w którymby, ujawszy połączone już ze sobą w człowieku ducha i materję, zjednoczył je ze Słowem, aby przez to wszystko na niebie i ziemi w jedności zawrzeć! O Jezu, cześć Ci oddaję! O Boże-Człowiecze! jak dobrze Cię teraz pojmuję! Oto jest Ten, w którym wszystko naprawdę zostało zebrane i streszczone! Niech więc powstanie ten prawdziwy Kapłan i Arcykapłan całego stworzenia, który jedynie może nadać każdej rzeczy piękność nieskończoną, a całości prawdziwą jedność, i który, gromadząc w sobie wszystkie pierwiastki duchowe i materialne, wywyższa je, uduchowia, ubóstwia i wszystkie istoty unosi ze sobą w swym wzniosłym dążeniu ku Bogu.

II.

Choć ten pierwszy punkt widzenia jest wspaniały, mógłby w umyśle czytelnika obudzić myśl niedostatecznie wielką, mianowicie, że Bóg w stworzeniu świata najpierw widział stworzenia, a dopiero następnie postanowił połączyć je wszystkie w Jezusie Chrystusie. Zupełnie jest przeciwnie. W przedwiecznym zamiarze stworzenia pierwszą istotą, którą Bóg widział i postanowił, było Słowo Wcielone. Zbiór istot ukazał Mu się jako natura stworzona, połączona z Osobą Boską; a znajdując tu piękność, godną Boga, rozpoczął dzieło stworzenia. Nad przepaścią, rozdziałającą nieskończoność od skończonego, rzucony został most.

I nie tylko owo święte Człowieczeństwo pierwotne wśród wszystkich pierwszym było co do istnienia i co do piękności, ale jeszcze było przyczyną wszystkich innych, racją ich bytu, typem i wzorem wszystkich istot stworzonych, które powołane były najpierw przez swą naturę, a następnie przez własną wolę, by się stały podobnymi do

tej pierwszej, najwyższej, godnej czci Istoty, złączonej ze Stwórcą w jedności Osoby.

Posłuchajmy św. Pawła, który we wszystkich swych listach rozwija tę cudną doktrynę, wyrwywając mu słowa podziwu i zachwytu. Naprzykład w liście do Kolossan, sięgając z niezrównaną wymową aż do najdalszych przyczyn planu Bożego, ukazuje nam Boga-Człowieka, Słowo Wcielone, jako obraz Boga niewidzialnego: *qui est imago Dei invisibilis*¹⁾. A jako taki jest pierworodnym przed wszystkimi stworzeniami: *primogenitus omnis terrae*, to jest pierwszym, na którym spoczęła myśl Boga, gdy chciał stwarzać. Albowiem w Nim wszystkie rzeczy są stworzone na niebie i na ziemi: *in ipso condita sunt universa in coelis et in terra*; widzialne i niewidzialne, *visibilia et invisibilia*; choć trony, choć państwa, choć księstwa, choć zwierchności, wszystko przezeń i w nim jest stworzone; *omnia per Ipsum et in Ipso facta sunt*; a On jest przed wszystkimi: *Ipse est ante omnes*; a wszystko w Nim stoi: *et omnia in Ipso constant*. I On jest wodzem, głową i początkiem stworzenia, pierworodnym wśród umarłych. Ma pierwszeństwo przed wszystkimi, *in omnibus Ipse primatum tenens*. Bo podobało się Bogu, aby wszystka zupełność mieszkała w Nim, *quia in Ipso complacuit omnem plenitudinem habitare*; ażeby przez Niego pojednało się wszystko, z Nim uspokoiwszy przez Krew Jego tak to, co na ziemi, jako i to, co jest w niebiesiech: *pacificans per sanguinem ejus sive quae in terris, sive quae in coelis sunt*²⁾.

Jest więc pierwszym wśród stworzeń co do istnienia, co do piękności, godności, wielkości; jest przyczyną wszystkich istot. W Nim Bóg je widział: *quos praescivit, quos praedestinavit, conformes fieri imaginis Filii sui*³⁾, mówi św. Paweł. I jeszcze raz do tej myśli w liście do Efezów powraca: „Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa”. A dlaczego? Bo „nas wybrał w Nim przed założeniem świata, abyśmy byli świętymi i niepokalanymi przed oczyma Jego: *Elegit nos in Ipso ante mundi constitutionem ut essemus sancti et immaculati in conspectu ejus*“⁴⁾.

A więc przed założeniem świata, przed jego zorganizowaniem materjalnem Bóg widział dusze, dla których miał świat zbudować. A jak je widział? *In Ipso*, w Jezusie Chrystusie. Jezus Chrystus zawsze jest pierwszy.

¹⁾ Paweł do Kolos. I, 15. — ²⁾ Ibid., I, 15—20. — ³⁾ Ibid. do Rzym. VIII, 29. — ⁴⁾ Ibid. do Efez. I, 4.

Wszystko od Niego pochodzi, wszystko jest uczynione w Jego widoku.

A dawszy nam w Nim życie naturalne, rozum, wolę, poznanie, miłość, przez Niego też, *per Jesum Christum*, w Nim, *in Ipsum*, daje nam życie nadnaturalne w przypodobieniu nas za dzieci Boże; ze stanu prostych stworzeń doprowadził nas do stanu synów Bożych, *qui praedestinavit nos in adoptionem filiorum per Jesum Christum, in Ipsum*¹⁾.

A to wszystko nie działo się pomału, stopniowo; był to plan pierwotny, plan przedwieczny. Przed wszystkimi czasami Bóg zamierzył w Jezusie Chrystusie, *in Eo*, wszystko rozrządzić w zupełności czasów, aby w Chrystusie wszystko naprawił, co na niebiesiech i co na ziemi jest w Nim: *in dispensatione plenitudinis temporum, instaurare omnia in Christo quae in coelis et quae in terra sunt, in Ipso*²⁾.

In Ipso, in Eo, per Christum, in Ipsum, wyrażenia te bez przestanku powracają. A jakby nie był jeszcze swej myśli dokończył, nie troszcząc się o powtarzania, ani o pleonazmy, dodaje: „W którym też my wezwani jesteśmy do życia, do łaski, do chwały: *In quo etiam et nos sorte vocati sumus, praedestinati secundum propositum ejus*“.

To jest plan wiekuisty. Wzruszenie ogarnia tu wielkiego Apostoła: „Nie przestawam dziękować za was, wzmiankę o was czyniąc w modlitwach moich. Aby Bóg, Pana naszego Jezusa Chrystusa Ojciec chwały, dał wam ducha mądrości i objawienia, w uznaniu Jego, oświecone oczy serca waszego, *illuminatos oculos cordis*; abyście wiedzieli... która jest przewyższająca wielkość mocy Jego przeciwko nam, którzy wierzymy: według skuteczności mocy siły Jego, którą sprawił w Chrystusie, wzbudziwszy Go z martwych i posadziwszy na prawicy swojej na niebiesiech, nad wszelakie księstwa i władze i moc, panowanie i wszelkie imię, które się mianuje nietylko w tym wieku, ale też i w przyszłym³⁾. Aby na imię Jezusowe wszelkie kolano klękało niebieskich, ziemskich i podziemnych“⁴⁾.

I teraz Apostoł, poruszony temi myślami, czyni zwrot do siebie samego. Jemu to, Pawłowi, najsłabszemu, naj-

¹⁾ Paweł do Efez. I, 5. — ²⁾ Ibid. I, 10—11. — ³⁾ Ibid. I, 16—23. — ⁴⁾ Paweł do Filip. II, 10.

mniejшему ze wszystkich, *minimo omnium*, dana jest chwała, a raczej łaska, *mihi gratia haec*, aby objaśnił wszystkim, jaki jest szafunek tajemnicy, zakrytej od wieków: *quae sit dispensatio sacramenti absconditi a saeculis in Deo*: a mianowicie, iż Bóg wszystko stworzył w Jezusie Chrystusie, wszystko w Nim postanowił, ażeby we wzniósł swem do Boga dążeniu uniósł ze sobą ku Niemu wszystkie światy¹⁾.

Jak te myśli są porywające! wprowadzają w zachwyt podobny temu, jaki ogarnął Newtona w dniu, kiedy odkrył wielkie prawo ciążenia ciał niebieskich! On dostrzegł, że gwiazdy, które dotąd widziane w bezładnym, wspaniałym rozproszeniu, poruszają się, że mniejsze krążą koło większych, te znowu koło jeszcze większych, a przeniknawszy sklepienie niebieskie, doszedł, że cały system słoneczny sam także krąży koło innego, który znów z milionami gwiazd swoich krąży koło trzeciego i że tym sposobem, zamiast być we wspaniałym, bezładnym rozproszeniu, niebo całe jedność stanowi. Wydał wtedy wielki okrzyk podziwu, który odbił się na całym stuleciu.

W nauce św. Jana i św. Pawła dostrzegamy inne prawo grawitacji, o wiele wznioślejsze. Cała natura jest w człowieku, cały człowiek jest w Jezusie Chrystusie; cały Jezus Chrystus jest w Bogu. Tak; wszystkie istoty, wszystkie gwiazdy, całe niebiosy uczynione zostały dla was, dusze rozumne, i wy je ze sobą unosić w waszym dążeniu: *Omnia vestra sunt*. A wy, dusze, aniołowie, rozumy i miłości, gdziekolwiek i w jakiegokolwiek kształty obleczeni jesteście, zostaliście uczynieni dla Jezusa Chrystusa, i On to znowu unosi was ze sobą: *Vos autem Christi*. A Ty, o Panie Jezu Chryste, uczyniony zostałeś dla Boga, by Go opiewać, jak tego jest godnym, by Go kochać, jak nigdy żadne stworzenie kochać Go nie będzie, i unosisz wszystkie istoty i wszystkie światy ku Bogu: *Christus autem Dei*²⁾.

III.

Nie przestawajmy przysłuchiwać się wciąż dźwiękom dwóch najcudniejszych harf Nowego Testamentu: św. Jana, poety, św. Pawła, teologa. Pierwszy wyżej szybuje, lot jego jest śmielszy; drugi głębszy, o bardziej przenika-

¹⁾ Paweł do Efez. III, 8. — ²⁾ I do Kor. III, 23.

jącem wejrzeniu: obydwa zesłani przez Boga, by nam odsłonić boski plan i cudowne urządzenie wszechrzeczy.

Święty Jan tak dalej ciągnie: „W Nim był żywot, a żywot był światłością ludzi; *in Ipso vita erat, et vita erat lux hominum*“¹⁾. A św. Paweł odpowiada mu jak echo: „W Nim skryte są wszystkie skarby i umiejętności“. I dalej: „W Nim mieszka wszystka zupełność Bóstwa“²⁾.

Gdzież jest życie? gdzie jego źródło? Oczywiście w Bogu: „Albowiem u Ciebie jest źródło żywota: *Apud te, Domine, est fons vitae*“³⁾. Otóż Bóg to życie, które jest w Nim jako w swym źródle, wylał potokiem na Syna swego: *Sicut Pater habet vitam in semetipso, sic dedit Filio vitam habere in semetipso*⁴⁾. I dlatego to Słowo się wcieliło, ażeby w Nim stworzenia miały żywot, a żywot lepszy i obfitszy niż ten, który wynikał z ich stworzenia. *Ut vitam habeant et abundantius habeant*⁵⁾. Skoro tak jest, nikt zaści Jezusa Chrystusa nie może mieć żywota, jak tylko pod warunkiem zjednoczenia się z Jezusem Chrystusem. On jest nie tylko początkiem ich życia, ale i niezbędnym pierwiastkiem ich istnienia.

I oto dlaczego Bóg, stworzywszy aniołów, ukazał im tajemnicę Wcielenia, choć miała się ona może dokonać dopiero po miliardach lat, i jako warunek przyjęcia ich do chwały postawił żądanie, by uznali i uwielbiali Wcielenie. Św. Paweł nam to objawia: „A gdy Bóg zasię wprowadza pierworodnego na świat, tedy mówi: Niech się Mu kłaniają wszyscy aniołowie Boży“⁶⁾.

To drugie wprowadzenie, to ponowne przedstawienie uczynione przez Ojca, *cum iterum introducit*, odnosi się widocznie do Syna Jego, postanowionego w drugim, nowym stanie, a więc do Jego Syna Wcielonego. Warunkiem zbawienia dla nieba i ziemi było łączenie się przez oddawanie czci, przez posłuszeństwo, przez miłość z Synem Bożym wcielonym, „w którym ukryte są wszystkie skarby“. Innego warunku być nie mogło.

Część aniołów oburzyła się na myśl uniżenia się przed naturą od nich niższą. Gdybyż jeszcze Bóg był się złączył z aniołem, to dobrze; ale otrzymać pomnożenie światła, zasługi, powiększenie szczęścia i chwały od istoty, stojącej na niższym szczeblu stworzenia niż oni, zdało im

¹⁾ Paul. ad Coloss. II, 3. — ²⁾ Ibid. II, 9. — ³⁾ Ps. XXXV, 10. — ⁴⁾ Joan. V, 26. — ⁵⁾ Ibid. X, 10. — ⁶⁾ Paul. ad Hebr. I, 6.

się być upokorzeniem, któremu poddać się nie chcieli. Przełożyli siebie nad Słowo Wcielone, a „nie trwając w prawdzie”, zamierzali podnieść się aż do tronu Boga i pogardą swą zdruzgotać, kimkolwiekby był, Tego, który tak nisko zstąpił. Wszystko zakończone zostało okrzykiem św. Michała: *Quis ut Deus!* Któż jako Bóg! Któż podobnym jest Bogu w potęgze? Skruszy jako szkło tych, którzy zechcą Mu się opierać. Ale kto podobnym jest Bogu w dobroci? Czyż On nie może najniższych aż do siebie podnieść? Oto, co odpowiedzieli wierni aniołowie. I wielbiąc Słowo Wcielone, łącząc się z boskim życiem, jakie w Niem jest, zasłużyli, by uczestniczyć w Jego wiekuistej chwale.

Czy z objawionego w Piśmie Świętym faktu o aniołach, postawionych przed Słowem Wcielonym i powołanych pod utratą zbawienia do uznania Go, uwielbienia i umiłowania, nie można wywnioskować, że tak samo rzecz się ma ze wszystkimi stworzeniami rozumnymi, jakkolwiekby one gwiazdę zamieszkiwały? W chwili obecnej wiedza skłania się do mniemania, że wszystkie gwiazdy są zamieszkałe. Z jakiegoż powodu miałyby temu zaprzeczać teologia? Jeśli aniołowie w głębościach wieczności mogli ujrzeć tajemnicę Wcielenia, która miała się dopełnić dopiero za lat miliony, cóż przeszkadza, by jeśli są mieszkańcami innych gwiazd, i oni widzieli też ową tajemnicę i wielbili ją przez niezmierzoność przestrzeni? Czyż przestrzeń stanowi trudniejszą przeszkodę niż czas?

Święty Paweł nam mówi, że *Krew Chrystusa wszystko uspokoiła, tak to, co na ziemi, jako i to, co w niebieszech jest*¹⁾. Wiemy, że w świecie anielskim niema nic do uspokajania, do oczyszczenia, gdyż ci, co nie byli wiernymi, na zawsze zostali strąceni w otchłań. A więc gdzie indziej, w nieznane nam sfery popłynęła Krew Boska, aby zmyć winy, które nam nie są objawione.

Cóż byłoby zresztą dziwnego, gdyby te wszystkie gwiazdy, zdające się na nas patrzeć, rzeczywiście na nas spoglądały, gdyby z oczami utkwionymi w naszą małą planetę czciły Tego, który ją wybrał, aby tu mieć swój żłóbek i swój krzyż? Czyż solidarność, istniejąca między wszystkimi mieszkańcami naszej kuli, między tymi, którzy przed wiekami pomarli, i tymi, którzy za lat tysiące się narodzą, nie pozwala nam wierzyć w solidarność miesz-

¹⁾ Paul. *ad Coloss.* I, 20.

kańców wszystkich gwiazd? A może z tego powodu księga Rodzaju ukazuje nam słońce i gwiazdy uczynione jakoby dla ziemi, mimo małej tejże ważności. I jeżeli pozornie zdają się one około niej krążyć, czy to nie dlatego, że jest ona ich boskim środkiem? Czy może być brany w rachubę zarzut małej ważności ziemi? Jezus Chrystus zamiast narodzić się w Rzymie lub choćby w Jerozolimie, narodził się w Betleem, najmniejszej judzkiej miejscinie, *minima in principibus Juda*¹⁾, ażeby nas pouczyć, że inny jest materialny środek świata, a inny religijny i moralny. I czy jeszcze nie dlatego Mojżesz pod natchnieniem Ducha Świętego pisał owo tajemnicze zdanie: *In principio creavit Deus coelum et terram*²⁾. Niebo, miliony milionów gwiazd, oto pierwsze wyrażenie, *coelum*; a tuż obok stawia naszą małą ziemię, jak gdyby ona mogła równoważyć wszystko inne? I czy przedewszystkiem nie dlatego prorok mówi, że gdy nasza ziemia wyłoniła się z nicości, „chwaliły Boga współ gwiazdy zaranne i śpiewali wszyscy synowie Boży: *Cum me laudarent simul astra matutina, et jubilarent omnes filii Dei*”³⁾.

Wszystkie jakiegokolwiek bądź i na jakichkolwiek gwiazdach umieszczone istoty wyszły z jednej ręki; poczęte zostały w jednym sercu; wszystkie więc mają jeden początek życia, jedną i tę samą przyczynę: Jezusa Chrystusa. Pouczeni boskim objawieniem spoglądają przez przestrzeń na tę małą planetkę, na której się narodził, i czczą Go na krzyżu, którego nigdy nie widziały, ale który je zbawił; albo też może Chrystus do Odkupienia użył tego samego sposobu, jak do świętej Eucharystji. Tak, jak jest tutaj, na ziemi, nie na jednym tylko ołtarzu, ale ofiaruje się i poświęca na wszystkich ołtarzach świata aż do skończenia wieków, tak samo może powtórzył mistycznie po wszystkich zamieszkałych światach niewysłowione cuda żłóbka swojego i krzyża. Jakkolwiek bądź się dzieje, żadne imię na niebie i na ziemi nie zostało dane nad Imię Jezusa Chrystusa⁴⁾. Żaden inny fundament założony nie został⁵⁾. On sam tylko daje życie, sam uzdrowia i zbawia. Czytając „oświeconemi oczyma serca” kazanie po Wierzy, czuje się to zjednoczenie istot i rzeczy w Jezusie Chrystusie, tę niezmierzoność dzieła stworzenia i tę powszechną solidarność. Widzi się wtedy obszar serca,

¹⁾ Matth. II, 6. — ²⁾ Gen. I, 1. — ³⁾ Job. XXXVIII, 7. — ⁴⁾ Paul. *ad Philipp.* II, 9. — ⁵⁾ Paul. *ad Corinth.* III, 11.

beźmiar miłości, któremi Pan nasz obejmuje wszystko: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość; ziemię i niebo, ludzi i aniołów i aż te nieznane nam światy.

Jezus Chrystus, stojący między starym, oczekującym Go światem a nowym, mającym Go przyjąć, przedstawia bezwątpienia wspaniały widok, ale jeszcze zbyt ścieśniony. Rozszerzmy go; spójrzmy na Jezusa Chrystusa, stojącego wśród niezmiernego zgromadzenia duchów, które są i które będą wpośród niezliczonego mnóstwa gwiazd zapełnionych rozumnymi stworzeniami. Stoi On tam, opromieniając wszystkie światy, napędzając je życiem, miłością, światłością, łaską, nieskończonymi zasługami; jednym uczynkiem, dokonany na skrawku naszej ziemi, przenika całość stworzenia, aby ją przemienić i niejako ubóstwić. Czyż to wszystko nie jest cudowne, czyż nie zdolne unieść duszy do zachwyty i pogrążyć ją w najślabszym uczuciu czci i uwielbienia?

IV.

Zstąpmy z tych wyżyn albo raczej zostanmy tam i całą uwagę zwróćmy na człowieka.

Św. Paweł uczy, że gdy Bóg stwarzał człowieka, patrzył na Jezusa Chrystusa jak artysta, nie spuszczać oka z zachwycającego go ideału: *Adae qui est forma futuri*¹⁾. Kształtował go na wyobrażenie Słowa Wcielonego. Żadne stworzenia niższego rzędu, a nawet i aniołowie nie dostąpili tego zaszczytu; jest to wyłącznie przywilej człowieka. Jeżeli więc oni wszyscy zostali połączeni ze Słowem Wcielonym jako ze źródłem życia, o ileż więcej człowiek uczyniony na Jego obraz? Gdzież mógłby znaleźć nadnaturalną wiarę, jeżeli nie w Tym, z którego pochodził, jak pochodzi kopja z cudnego oryginału? Jest to wyraźna nauka św. Tomasza: Adam przed swoim upadkiem znał przez objawienie tajemnicę Wcielenia i miał zupełnie doskonałą wiarę w Jezusa Chrystusa: nie jako że miał być naprawicielem upadłej natury, ale jako że był jedynym sposobem dojścia do prawdziwego żywota, do błogosławionego zjednoczenia z Bogiem²⁾.

¹⁾ Paul. ad Roman. V, 14. — ²⁾ S. Thom. Summ. II, pars., qu. 2, art. 7. *Ante peccatum, Adam habuit fidem explicitam de Christi incarnatione, prout ordinabatur ad consummationem gloriae.*

A gdy Bóg postanowił dać Adamowi towarzyszkę, by z ich wzajemnej miłości zrodziła się ludzkość, to niewątpliwie, według św. Pawła, Bóg ukazał człowiekowi w poprzedzającym ów dar śnie tajemnicę związku Jezusa Chrystusa z Jego Kościołem i boski charakter tej miłości, z której narodzić się miał naród dzieci Bożych¹⁾. Objawiając mu tajemnicę Wcielenia jako jedyny środek zbawienia duszy, ukazywał mu ją teraz jako konieczną podstawę rodziny, społeczeństwa, ludzkości, jako boski wzór wszechrzeczy.

To samo okazało się i przy upadku. Bóg, stwarzając człowieka, miał wzrok utkwiony w Słowo Wcielone: tak samo na Nie patrzył, odnawiając człowieka. Słowo Wcielone ukazane będzie człowiekowi nie tylko jako źródło wszelkiej niewinności i wszelkiej szczęśliwości, ale jako początek i boski wzór wszelkiej pokuty, pokory, poświęcenia i ofiary. Bóg na nowo podejmie swoje dzieło przez grzech uszkodzone i uczyni je wspanialszym jeszcze i piękniejszym.

Tylko do tej naprawy potrzeba było wiele czasu. Gdyby odnowienie nastąpiło było natychmiast po upadku, nigdy człowiek nie byłby uwierzył w grzech pierworodny. Tak trudno mu jest dziś weń uwierzyć, mimo czterech tysięcy lat doświadczenia, w czasie których ludzkość w nędzy pogrążona czuła potrzebę Odnowiciela. Zresztą, czyż byłoby stosowne, by Słowo ukazało się nie oczekiwane, nie upragnione, bez przygotowania? Bóg lepszy plan wybrał.

Na długo przed wschodem słońca, zanim się ono wybije z cieniów nocy, horyzont się rozjaśnia, białe i różowe obłoczki unoszą się w górę; wkrótce żywe, świetne promienie zagnały wytryskujące oznajmiają nadejście słońca. Przebiega ono obszar nieba, rozpościerając wszędzie światło, a gdy znika wieczorem, pozostawia znowu na widnokręgu smugi złota i purpury, cudnie w blasku zlewające się tony. Jest się olśnionym i doprawdy niewiadomo, czy to światło nie jest równie piękne, jak promienie słoneczne w południowych godzinach.

Oto niedołączny obraz ukazania się na świecie Słowa Wcielonego. Potoki światła Je poprzedzają; potoki światła pozostają po Jego przejściu. Przed Niem oznajmiają Go patriarchowie; prorocy Go opisują; sprawiedliwi Go

¹⁾ Paul. ad Ephes. V, 32.

wyobrażają; zdobywcy Go poprzedzają, gotując Mu drogę. Po Niem męczennicy umierają za Niego, doktorowie Go objaśniają, święci naśladują, a całe narody przeistaczają się w Jego świetle. A między temi dwoma okresami stoi uwielbiona postać Pana naszego Jezusa Chrystusa!

Oczekiwany lub już dany, zawsze ożywiający świat i stawiający wszystko w przedziwnej jedności — oto plan wybrany przez Boga dla ukazania Słowa Wcielonego.

V.

Jutrzenka świta od pierwszych dni. Pierwsze światło pojawia się u stóp drzewa upadku i jakby pierwsze pociągnięcie pendzla. Wkrótce zjawia się drugie, trzecie; mnożą się, następują po sobie, powtarzając się od wieku do wieków tysiącami sposobami, i w końcu wydają poprzedzający Chrystusa obraz, doskonale piękny, uderzająco podobny. Obraz ten budzi potrochu pragnienie, wprawia w oczekiwanie, w niecierpliwość, a wkrótce nieci zapala.

Historja tego odmalowywania Jezusa Chrystusa tworzona stopniowo przez cztery tysiące lat, przez tylu natchnionych artystów jest bezwątpienia najcudowniejszym dziełem, jakie rozważać może myślący człowiek.

Przypuśćmy, że Bóg na tysiąc lat przed Jezusem Chrystusem wzbudził nagle takiego Dawida lub Izajasza, i stawiając go wobec mającego przyjść Chrystusa, dał rozkaz odmalowania tej boskiej Osoby. Jakież byłby to cud! „Byłaby w tem nieskończona potęga”, mówi Pascal. Ale Bóg inaczej jeszcze działa. Jeden jedyny malarz nie byłby dość nadzwyczajną rzeczą. I oto na znak przez Boga dany powstaje niezmierny poczet proroków, aby pracować nad tem wielkiem dziełem. Pochodzą oni z różnych stanów, żyją w różnych czasach, aby nie można podejrzewać ich o porozumienie między sobą. Adam u wrót raju, Abraham, Izaak, Jakób pod namiotami patriarchów, Mojżesz na pustyni, Dawid na tronie, Daniel na wygnaniu, Jeremiasz na zwaliskach Jerozolimy, Ezechiel, Baruch, Amos wśród ludów bałwochwalczych, Malachjasz wobec robotników odbudowujących świątynię; wszyscy mają oczy utkwione w tę samą postać. Z jaką czcią, z jaką miłością patrzą na Niego, opiewają Go, malują. Ich słowa, ich wyrażenia tak są piękne i przenikające, że żadne inne im dorównać nie mogą, nawet te, które opisywały dostoj-

na osobę Chrystusa, stojącego już wśród ludzkości zdumionej. Przez dwa tysiące lat wszyscy zgodnemi głosy wołają: Jezus Chrystus! Jezus Chrystus!

I nie tylko cały tłum artystów pracuje nad tem dziełem, ale dla większego cudu nie posługują się oni jednokowymi pendzlami. Jedni z nich, jak Abraham, Izaak, Jakób, otrzymują od Boga obietnicę i wiernie ją dzieciom swoim przekazują. Inni widzą obraz i w zachwyceniu go malują. Mieli zamiar opiewać jedynie ludzkie wydarzenia i nagle czują się uniesieni wysoko ponad ziemię. Tak np. Dawid, przyglądający się swemu synowi, nagle ujrzał stojącego przed nim Syna większego, nieskończonego, wiekuistego i padł przed Nim na kolana, zowiąc Go Bogiem swym i Panem¹⁾. Lub jak Izajasz, który widzi występującą z cienia postać skrwawioną i bierze ją z początku za robotnika z winnicy, który tłoczył wino; następnie przy świetle jaśniejszem dostrzega w Nim wielkość nieziemską i uniesiony zdumieniem i miłością wita w Nim wielką, mającą przyjść Ofiarę²⁾.

Są jeszcze dziwniejsi wśród tych malarzy. Nic nie widzą; nic nie słyszeli; nic nie mówią; ale, o tajemnico! sami przedstawiają Chrystusa; a co najdziwniejsze, przedstawiają Go, nie domyślając się tego. Nie należy do wiary, czy ta lub owa figura odnosi się do Mesjasza; ale wierzyć należy, że w Piśmie Świętem jest ich pełno: *Omnia in figuris contingebant illis*³⁾, mówi św. Paweł. A św. Augustyn pisze: *Tota Scriptura Christum sonat*.

Znak to wyższy, boski! pendzel to osobliwego rodzaju! Szatan naśladował prorocтва, cuda, nie naśladował figur. Były przepowiednie o niektórych ludziach, np. o Cyrusie, o Aleksandrze, o Janie Chrzcicielu. Żaden nie był wyobrażony przez innych. W paru postaciach słynnych bohaterów dojrzeć można cień, wyobrażający Najświętszą Marię Matkę Jezusa Chrystusa; ale jest to tylko cień i idzie tu o Marię!

Co do Chrystusa, cała historja ludu żydowskiego jest jednym ciągiem przedstawiających Go osobistości, naprzód Go ukazujących: Melchizedech, zjawiający się w oddali, bez ojca i matki, bez przodków, trzymający w ręku chleb i wino na ofiarę; Izaak, wstępujący na górę Morja, i niosący drzewo na swój stos ofiarny; Józef zdradzony przez braci i ratujący ich mimo ich niegodziwości;

¹⁾ Ps. CIX, I. — ²⁾ Izaj. LXIII, 1. — ³⁾ Paul. ad Hebr. II, 6.

waż miedziany, uzdrawiający wszystkich, co nań spoglądają; manna, symbol św. Eucharystji; Jonasz, wychodzący z drów i cały z wnętrzości wieloryba. Nie skończyłoby się wyliczać wszystkich figur Jezusa Chrystusa. Był On przedstawiany wszędzie, a obraz Jego unosił się nad wszystkimi obrzędami starego prawa. Ten ołtarz zawsze krwią zlany; ten przybytek, do którego arcykapłan wchodzi, tylko krwią ofiar skropiony; ten baranek paschalny, którego spożywano stojąc, po wielu oczyszczeniach; ten kozioł ofiarny, którego wypędzano na pustynię obciążonego grzechami całego ludu; cały ten kult pełen zadostyczynień, oczyszczeń; te mnogie ofiary: czemu było to wszystko, jeżeli nie wyobrażeniem, nie żywymi figurami wielkiej Ofiary przez świat oczekiwanej?

Ale oto coś jeszcze dziwniejszego. W tem mnóstwie malarzy, posługujących się różnemi pendzlami, każdy widzi tę samą postać, ale żaden z nich nie widzi jej w całości. Oznajmiamy wszyscy jedno wydarzenie, ale żaden nie opowiada go *w całości*. Każdy w naznaczonej godzinie przybywa, dodaje jeden rys, jedno pociągnięcie pendzla i znika, nie domysławiając się, czym jest ten rys *w całości* dzieła. Ten kreśli jedną cechę, ów drugą. Jeden opowiada, gdzie się Oczekiwany narodzi, drugi — z jakiego będzie rodu. Ten ogląda Go w chwale, ów uwielbia Go w boleściach Jego. Tu opiewają narodzenie Jego, tam opłakują Jego śmierć. Nikt nie zna całości. A jednak z tych licznych, a tak różnych pociągnięć pendzla, rzucanych od wieku do wieku, powstaje obraz tak doskonały w jedności, że w tych wielu rękach odczuwa się jedną rękę tak, jak się czuje, że jest tu jedno spojrzenie, panujące nad wszystkim i wszystko ogarniające, posiadające samo tajemnicę tego promiennego obrazu Chrystusa, który ma przyjść.

Wreszcie, gdy na czterysta lat przed Jezusem Chrystusem obraz jest ukończony, artyści znikają; duch proroctwa, rozbrzmiewający wciąż przez cztery tysiące lat, milknie. Czasu już dosyć nie było; wypadek się zbliżał, mogło się być zdawać, że maluje się fakty. Bóg, którego przewidywanie równa się Jego nieskończonej dobroci, chciał światu, Kościołowi, Synowi swojemu dać tę chwilę zawieszenia, milczenia. Malachjasz, ostatni z proroków, kończy obraz i odchodzi, wskazując tego, który po czterech stuleciach uchylił zasłony. „Oto ja posyłam Anioła mego, a nagotuje drogę... a zarazem przyjdzie Panujący...

Oto idzie!” I milczenie zapada aż do dnia, w którym ukaże się Jan Chrzciciel i, palcem wskazując, powie: „Oto Baranek Boży!”

Czyż nie powtórzyć tu za Bossuetem: „Jaka całość! jaki ciąg! jaki cud! jaki obraz!” — „Prorocstwa, mówi Nicolas, przedstawiają nam się jak obraz, na którym zamiar malarza złożony zostaje w zarodku; widać, jak się stopniowo rozwija, uwidocznia, jasno się układa, przybiera kształty, barwy; występuje niejako z płótna, rozgrzewa się, ożywia, a po otrzymaniu najbardziej znamienitych rysów życia i czynności, które miał przedstawić, czeka pod zasłoną na wielki dzień wystawy, w którym obecność samego oryginału wykaże jasno cudownie odtworzone podobieństwo”¹⁾).

I rzeczywiście osobiwsze jest to podobieństwo. Stanowi ono jeden z najsilniejszych argumentów chrześcijaństwa. Patrzymy, słuchajmy; czcimy i uwielbiamy!

VI.

Zaledwie Adam zgrzeszył, a już Zbawiciel jest mu ukazany. Narodzi się z jego rasy, a raczej, o tajemnico! zstąpi On z niewiasty; niewiasta to przez jednego ze swych potomków zgniecie głowę węza. Jest to rys jeszcze może niepewny, ale który się rozjaśni. Adam, wychodząc z raju ziemskiego, unosi ze sobą tę obietnicę, i całe jego potomstwo pociesza się myślą, że kiedyś otrzyma pochodzącego od Adama i Ewy Odkupiciela, który będzie błogosławionym owocem niewiasty.

Ale z jakiej rasy, z jakiej rodziny wyjdzie Oswobodziciel? Abraham dowiadyuje się o tem. „I rzekł Pan do Abrahama: wynijdź z ziemi twojej i od rodziny twojej i z domu ojca twojego, a idź do ziemi, którą ukazę. A uczynię cię *narodem wielkim*. I *błogosławione będą wszystkie narody w nasieniu twojem*. In te benedicentur universae cognationes terrae”²⁾ A potem do Izaaka Bóg mówił: „I będę błogosławił tobie... pełniąc przysięgę, którą przysięgałem Abrahamowi, ojcu twemu. I rozmnożę nasienie twoje, jak gwiazdy niebieskie... I *będą błogosławione w nasieniu twojem wszystkie narody ziemi*”³⁾).

¹⁾ Nicolas, *Etudes philosophiques sur le Christianisme*. —

²⁾ Gen. XXII, 18. — ³⁾ Ibid. XXIV, 3 i 4.

A zatem jeden człowiek, jedna rodzina, jeden naród postawione są osobno, by przechować i przekazywać błogosławione nasienie, z którego wyjdzie Zbawiciel. Ale Ten nie traci przez to swej dostojnej cechy. Pozostaje Zbawicielem nie jednego ludu, ale wszystkich ludów, Odkupicielem i Wybawicielem ras wszystkich: *omnes gentes terrae*.

I dalej plan jest prowadzony. Izaak ma dwóch synów: Ezawa i Jakóba; któremu z nich przypadnie szczęście stać się ojcem, dalekim przodkiem Mesjasza? Z tych dwóch Bóg wybiera Jakóba, młodszego, aby okazać, że porządek łaski nie podlega porządkowi natury. „*Jam jest Pan Bóg Abrahama ojca twego, mówi Bóg do Jakóba, i Bóg Izaaka... I będzie nasienie twe jako proch ziemi... i będą błogosławione w tobie i w nasieniu twojem wszystkie pokolenia ziemi*”¹⁾.

Jakób ma dwunastu synów, i oni staną się wodzami dwunastu pokoleń Izraela. Który z nich w swych żyłach mieć będzie ową drogocenną kroplę krwi, która kiedyś w sercu Odkupiciela bić będzie? Jakóbowi dano jest widzieć to na łożu śmierci; głosem i palcem wskazuje Judę, który także nie jest najstarszym. A wznosząc serce, wita w Judzie Tego, który się kiedyś zeń narodzi. „*Judo, ciebie chwalić będą bracia twoi... kłaniać ci się będą synowie ojca twego. Nie będzie odjęty scepter od Judy, ani wódz z bioder jego, aż przyjdzie, który ma być posłan, a on będzie Oczekiwaniem narodów*”²⁾.

A później, gdy pokolenie Judy rozproszy się jak piasek ziemi, gdy w mnóstwo rozmnoży się rodzin, z którejże to rodziny narodzi się Pożądany narodów? Z rodziny Jessego. „*I wynijdzie różdżka z Jessego, a kwiat z korzenia jego wyrośnie... Onego dnia korzeń Jesse, który stoi na znak narodów, jemu się narodowie modlić będą*”³⁾. A kto był Jesse? Był to ojciec Dawida; wszyscy zaś prorocy nazywają Mesjasza nasieniem Dawidowem, Synem Dawida⁴⁾. A on sam, ów święty król, marząc, jak to czynią ojcowie, o przyszłości syna swego Salomona, nagle uniesiony jest zachwytem; spostrzega innego Syna, większego niż Salomon, u stóp którego korzą się wszystkie zwyciężone narody, a On jednocześnie je błogosławi. Widzi Go zrodzonego z Boga przed wiekami i siedzącego po

¹⁾ Gen. XXVIII, 13, 14. — ²⁾ Gen. XLIX, 8-10. — ³⁾ Izaj. XI, 1, 2. — ⁴⁾ Izaj. XI, Jerem. XXIII, XXVIII, 5. Ezech. XXXIV, 22, 23.

prawicy Pana. Zdumiony tym widokiem zwie Go swym Panem i swym Bogiem¹⁾.

A w tej rasie Dawida jak narodzi się Zbawiciel świata? kto jest ta, która Mu da życie? O, cudzie nadspodziewany! będzie to Dziewica podwójną koroną dziewictwa i macierzyństwa uwieńczona. Widział to prorok na tysiąc lat przedtem. „*Słuchajcie, domie Dawidów... Przeto da wam Pan znamię: Oto Panna pocznie i porodzi Syna i nazwą Imię Jego Emmanuel, Bóg z nami*”²⁾.

„Lud, który chodził w ciemności, ujrzał światłość wielką; mieszkającym w krainie cienia śmierci, światłość im weszła... Albowiem *Maluczki narodził się nam... i nazwą imię Jego Przedziwny, Radny, Bóg mocny, Ojciec przyszłego wieku, Księżę pokoju. Rozmnożone będzie państwo Jego, a pokoju nie będzie końca!* na stolicy Dawidowej i na królestwie jego siedzieć będzie, aby je utwierdził i umocnił w sędzie i w sprawiedliwości odtąd i aż na wieki”³⁾.

Widzimy więc, jak z żył występnej niewiasty aż do żył najczystszej Dziewicy spływa ta kropla krwi i życia, która ma ożywić serce Mesjasza. Zstępuje ona od Adama do Noego, od Noego do Abrahama, od Abrahama do Izaaka, Jakóba, Judy; od Judy do Jessego, od Jessego do Dawida, od Dawida do Marji. Jakiż to szereg cudowny! Gdyby ewangelisci byli to tylko spisali po dokonanych fackie, jak to uczynili św. Mateusz i św. Łukasz, już byłoby to boskie; ale oto prorocy na tysiąc lat przed tem to zwiastują.

Ale nie zatrzymujmy się jeszcze. Gdzież się narodzi ten Syn Dawidów, ten Pożądany narodów? Czy w Jeruzalem, stolicy ludu Bożego? czy w Rzymie, stolicy wszystkich narodów? Nie; posłuchajmy proroka: „*A Ty Betleem, Efrata, malutkieś jest między tysiącami judzkimi: z Ciebie mi wynijdzie, który będzie Panującym w Izraelu, a wyjście Jego od początku; ode dni wieczności*”.

„Przeto da je aż do czasu, którego Rodząca porodzi... I stanie i paść będzie mocą Pańską w wysokości imienia Pana Boga swego i nawrócą się, bo teraz rozwieliż się aż do granic ziemi. *A Ten będzie Pokojem*”⁴⁾.

Uniesionym się jest od pierwszego do ostatniego słowa tego wspaniałego proroctwa. Jakto! nie tylko rasa, po-

¹⁾ Ps. CIX, 1. — ²⁾ Izaj. VII, 14. — ³⁾ Izaj. IX, 2-6. — ⁴⁾ Mich. V, 2-5.

kolenie, rodzina, ale miasto, ale nawet stajenka Betleemska jest wskazana; a tam, w tej stajence, w tem ubóstwie, w tej mieścinie najmniejszej z tysiąca — ta wielkość, ta wzniosłość, to nawrócenie wszystkich narodów, ten pokój! A przede wszystkim to Dzieciątko, którego pochodzenie jest przed wszelkim początkiem przed dniami wieczności! Wszystko to jest niewysłowione, a zestawione z Ewangelią, z historią, pogrąża duszę w zdumieniu i uwielbieniu!

Wszystkie okoliczności Jego niemowlęstwa są obecne przed umysłem proroków. Dawid widzi, jak „królowie Tarsu przyniosą dary, a królowie arabscy i Saba przywiozą upominki¹⁾. Izajasz wie, jakie są te dary, że jest w nich złoto i kadzidło²⁾. Ozeasz widzi Go jako powracające z Egiptu pacholę³⁾; jest On synem ludzkości: *Parvulus natus est nobis, et filius datus est nobis*⁴⁾. A jednocześnie jest On Bogiem: *Et nominabitur nomen ejus Deus*; Bogiem nie tylko przez przysposobienie: Oto dni pochodzą, mówi Pan, a wzbudzę Dawidowi płód sprawiedliwy... a to jest imię, którem go zwać będę *Jehovah*!⁵⁾ A więc to Imię nie udzielane nikomu, Imię, którego Bóg nikomu nie daje, Imię przez Niego zastrzeżone, które On chce nosić przez całą wieczność, to Imię On sam daje Zbawicielowi, Mesjaszowi. Będzie się zwał nie tylko Synem Najwyższego, Świętym świętych, Emmanuelem, Bogiem z nami, Zrodzonym przedwiecznie, Synem, Bogiem, ale się zwać będzie *Jehovah*!

Ale czy to już wszystko? czy się nie dowiemy czego o Jego życiu? Całe je nam pokażą; będziemy widzieć wszystkie wielkości i wszystką chwałę. Prorocy oglądali Mędrców u stóp Jego; tłumy cisnące się wokoło, narody nawrócone, Kościół ogarniający świat cały i łączący się z Jego ofiarą; panowanie Jego, które nie będzie miało końca⁶⁾.

Jest nie tylko królem; jest kapłanem⁷⁾, pasterzem⁸⁾, sędzią⁹⁾, doktorem¹⁰⁾, ofiarą¹¹⁾, Barankiem, panującym nad światem, który królować będzie w dobroci i w prawdzie¹²⁾, Świętym świętych¹³⁾. Przychodzi, by spełnić wszystkie proroctwa, zgładzić nieprawość, położyć koniec grzechowi

¹⁾ Ps. LXXI, 10. — ²⁾ Izaj. CX, 6. — ³⁾ Ose. XI, 1. — ⁴⁾ Izaj. IX, 6. — ⁵⁾ Jerem. XXIII, 5, 6; XXXIII, 15, 16. — ⁶⁾ Izaj. II, 1, 2, 3, 17, 18; VIII, 5-17; XLII, 16-25; LV, 3-5. Malach. I, 11. — ⁷⁾ Ps. CIX, 4. Zach. VI, 12-13. — ⁸⁾ Ezech. XXXIV, 23. — ⁹⁾ Izaj. XI, 1, 4. — ¹⁰⁾ Joel. II, 23. — ¹¹⁾ Ps. XXIX, 8, 9. — ¹²⁾ Izaj. XVI, 1, 5. — ¹³⁾ Izaj. LI, 5.

i zaprowadzić panowanie sprawiedliwości¹⁾. Imię Jego będzie wieczne; przed słońcem trwa imię Jego i będą błogosławione wszystkie pokolenia ziemskie; wszyscy narodowie wielbić Go będą²⁾. Oto, co widzą prorocy. Ani jedna z Jego wielkości nie uchodzi ich oka; a jednocześnie widzą także wszystkie Jego upokorzenia i boleści. Zda się, że są olśnieni cudami tego boskiego pochodzenia, a oto jak malują Jego poniżenia!

„Czemu będziesz jako gość na ziemi i jako podróżny, wstępujący na pomieszkanie? Czemu będziesz jak małżonka tułaczka³⁾. „Nie będzie wołał... ani będzie słyszany głos jego na ulicy. Trzciny nadłamanej nie skruszy, a lnu kurzącego się nie zgasi⁴⁾. „Niepoczesna będzie między ludźmi osoba Jego, a postawa Jego między synami człowieczymi⁵⁾).

Ale to dopiero początek, to dopiero życie w Betleem, w Nazarecie. „A wystąpi jako latorośl przed nim, a jako korzeń z ziemi pragnącej; nie ma krasy ani piękności; i widzieliśmy go, a nie było na co pojrzeć, i pożądaliśmy go, wzgardzonego i najpodlejszego z mężów, męża boleści, i znającego niemoc: a jakoby zasłonięta twarz jego i wzgardzona: skąd aniśmy go mieli zacząć.

„Prawdziwie choroby nasze on niósł, a boleści nasze on odnosił: a myśmy go poczytali jako trędowatego, a od Boga ubitego i uniezonego.

„Lecz on zranion jest za nieprawości nasze, start jest za złości nasze: karność pokoju naszego na nim, a sinością jego jesteśmy uzdrowieni.

„Wszyscy my jako owce pobłądziliśmy, każdy na swą drogę ustąpił: a Pan włożył nań nieprawość wszystkich nas.

„Ofiarowan jest, iż sam chciał, a nie otworzył ust swoich: jako owca na zabicie wiedzion będzie, a jako baranek przed strzygącym go zamilknie, a nie otworzy ust swoich.

„Z ucisku i z sądu wzięty jest, rodzaj jego kto wypowie? bo wycięty jest z ziemi żyjących: dla złości ludu mego ubiłem go⁶⁾).

Co za ustęp! Pod każdym z tych słów można stosowny wiersz z Ewangelji podpisać. Postawmy z jednej stro-

¹⁾ Daniel IX, 24. — ²⁾ Ps. LXXI, 17. — ³⁾ Jerem. XIV, 8, 9. — ⁴⁾ Izaj. XLII, 2. — ⁵⁾ Izaj. XLII, 14. — ⁶⁾ Izaj., cały rozdz. LIII.

ny *Ecce Homo* Izajasza, a z drugiej *Ecce Homo* św. Mateusza lub św. Marka, a oniemiejemy z podziwu. Ale prorocy nie zatrzymali się na tym szkicu, rysującym cierpienia Jezusa Chrystusa. Jak nie uszła ich wzroku żadna z Jego chwalebnych wielkości, tak samo nie przeoczyli najmniejszego szczegółu Jego cierpienia i boleści. Widzieli spiskujące ludy przeciwko Niemu¹⁾, podnieconych kapłanów²⁾, uciekających apostołów³⁾. Widzieli ucznia, który siedział u Jego stołu, jadł Jego chleb, a potem odszedłszy, zdradził Go pocałowaniem⁴⁾. Widzieli Go policzkowanego⁵⁾, znieważonego⁶⁾, wyszydanego⁷⁾, ubiczowanego⁸⁾, ciało Jego było już tylko jedną raną⁹⁾. Widzieli ręce Jego i nogi przebite¹⁰⁾, twarz Jego plwocinami okrytą¹¹⁾. Policzyli wszystkie kości Jego¹²⁾. Dostrzegli najdrobniejsze szczegóły: ujrzeni żołnierzy rzucających losy o suknię Jego¹³⁾. Widzieli Go zstępującego do grobu; ale wkrótce ujrzeni Go zmartwychwstałego¹⁴⁾, wstępującego na prawicę Ojca¹⁵⁾. Widzieli chwalebny grób Jego¹⁶⁾, Jego ofiarę stającą się powszechną¹⁷⁾, i wszystkie narody zwracające się do góry Syjon¹⁸⁾. Słyszeli dzikie okrzyki: Skruszmy Jego jarzmo! I widzieli Tego, który żyje przedwiecznie, niweczącego ich zamiary, a panowanie Chrystusa Jego rozpowszechnione na wieki!¹⁹⁾

Jakież to obraz! jakie barwy! choć tylko pobieżnie, w krótkości o tem mówimy. Otwórzmy księgi proroców i odczytajmy te szczegółowe opisy tak dokładne, jasne; przyjrzyjmy się temu portretowi tak prawdziwemu, pełnemu, żywemu, a będziemy zmuszeni zawołać: Bóg w tem jest zaprawdę; tak cudowna zgoda od Niego tylko może pochodzić.

Pozostawał już tylko ostatni rys niepotrzebny nawet, ale który dodany doprowadzić mógł ów cud do szczytu. Kiedyż przyjdzie ten Zbawiciel, ten Odkupiciel, ta dostojna Ofiara, ten Pożądany narodów? Prorocy widzą tę chwilę, jak i wszystko inne. Jakób nam mówi, że nie będzie odjęte berło z rąk Judy, ani władza najwyższa, aż przyjdzie, który ma być posłan, a On będzie oczekiwanym narodów²⁰⁾. Ozeasz jeszcze inny znak dodaje, a mia-

¹⁾ Ps. II, 1. — ²⁾ Ps. XXIX, 15. — ³⁾ Zachar. XIII, 7. — ⁴⁾ Ps. XL, 10. — ⁵⁾ Izaj. L, 6. — ⁶⁾ Izaj. LIII, 17. — ⁷⁾ Izaj. XXXIV, 16. — ⁸⁾ Ps. LXVIII, 27. — ⁹⁾ Ps. XXI, 4. — ¹⁰⁾ Ps. XXI, 17. — ¹¹⁾ Izaj. L, 6. — ¹²⁾ Ps. XXI, 7. — ¹³⁾ Ps. XXI, 19. — ¹⁴⁾ Oze. VI, 1. — ¹⁵⁾ Ps. CIX, 1. — ¹⁶⁾ Izaj. XI, 10. — ¹⁷⁾ Malach. I, 11. — ¹⁸⁾ Izaj. LXV, 18. — ¹⁹⁾ Ps. XI, 1. — ²⁰⁾ Gen. XLIX, 10.

nowicie, gdy urząd kapłański odjęty będzie rodzinie Aarona¹⁾. Aggeusz i Micheasz wskazują trzeci: gdy świątynia Salomona zburzona zostanie, a zastąpi ją druga²⁾. Ale jakby tego wszystkiego nie było dosyć, Daniel liczy szczegółowo lata, które mają upłynąć do narodzenia Mesjasza:

„Od wyjścia mowy, aby zaś było odbudowane Jeruzalem aż do Chrystusa wódza, tygodniów siedm i tygodniów sześćdziesiąt i dwa będą; a znowu będzie zbudowana ulica, i mury w ciasności czasów.

„A po tygodniów sześćdziesiąt i dwu będzie zabity Chrystus, a nie będzie ludem jego, który się go zaprze. A miasto i świątynie skazi lud z wodzem, który przyjdzie, a koniec jego spustoszenie, a po skończeniu wojny postanowione spustoszenie.

„A zmocni (Chrystus) przymierze z mnogimi tygodniami jeden, a w pół tygodnia ustanie ofiara i ofiarowanie, i będzie w kościele obrzydłość spustoszenia i aż do skończenia i końca trwać będzie spustoszenie.”

Tak żydzi jak i chrześcijanie zgadzają się, że tygodnie Daniela są tygodniami lat; wskazuje to nie tylko sposób rachowania Żydów, ale i następstwo zapowiedzianych wydarzeń. Nigdy szereg tylu wielkich faktów nie mógłby się pomieścić w 490 dniach, czyli w trochę więcej niż w roku. Wziąwszy to za zasadę, rachunek jest łatwy. Początek jest dokładnie oznaczony: nakaz odbudowania Jeruzolimy. *Ab exitu sermonis ut iterum aedificetur Jerusalem*. Nakaz ten wydany został przez Artakserksesa Długorękiego w dwudziestym roku jego panowania, to jest w 300 roku od założenia Rzymu. Dodajmy 70 tygodni lat, a będziemy mieli rok 790 od założenia Rzymu, a 37 naszej ery.

Ale dokładność proroctwa nie zatrzymuje się na tem. Rozkłada prorok na trzy części owe 70 tygodni. Najpierw siedm tygodni czyli 49 lat, w ciągu których odbudowana ma być Jeruzolima: i to ma rzeczywiście miejsce, według opowiadania Ezdraszowego. Potem 62 tygodnie czyli 434 lat, po których Chrystus wydany zostanie na śmierć, co określa datę Jego śmierci na lata między 30—34 r. ery chrześcijańskiej; wreszcie ostatni tydzień, w połowie którego koniec będzie ofiarom, a to odpowiada na 37 rok po Chrystusie. Jest się zdumionym, niemal osłupionym wobec

¹⁾ Oze. III, 4. — ²⁾ Agg. II.

takiej ścisłości chronologicznej. Naprawdę, opierając się na ciemności wschodniej chronologii, próbowano podawać w wątpliwość kilka dat. „Nic nie byłoby dziwnego, mówi Bossuet, gdyby się znalazła jakaś niepewność co do dat tych królów perskich; a te parę lat, zbywających w ogólnym rachunku czterystu dziewięćdziesięciu, nie mogą nigdy stanowić ważnego zarzutu. Ale poco dłużej nad tem rozprawiać? Bóg usunął trudność, jeżeli jaka była, i to ze stanowczością, nie pozwalającą na żadną odpowiedź. Wydarzenia jawne, oczywiste stawia nas ponad wszystkimi wymysłami chronologów, a zupełne zniszczenie Żydów z tak bliska następujące po śmierci Pana naszego Jezusa Chrystusa, najmniej przewidującym odslania dokonanie proroctw¹⁾.”

Wielkie następstwa męki i śmierci Zbawiciela najmniej jasno są oznajmione. Malachjasz widzi zawsze cystą Ofiarę składaną Bogu nie tylko w świątyni Jerozolimskiej, ale od wschodu do zachodu słońca, nie tylko przez Żydów, ale i przez inne narody²⁾. Jeremjasz widział ruinę i zdumiewające trwanie w rozsypce bogobójczych Żydów i krew, którą wylali, spadającą na ich głowy³⁾. Dawid i Izajasz opiewali nawrócenie pogan, walki i zwycięstwa apostołów, piękne pochody misjonarzy, nieśmiertelność Kościoła, powszechność tej wiary, która przyniesiona została dla wszystkich narodów aż do ostatnich kończyn świata⁴⁾.

Czegoż chcesz więcej? Jeżeli takie światło nie uderza oczu, to cóż dla nich nie będzie ciemnością? Ale jakież może wystarczyć tym, którzy uparcie oczy zamykają? Uparcie, bo czemu wytłumaczyć mogą unikanie tego widoku? Cóż oni mówią? Że Jezus Chrystus znał proroctwa, że je głęboko zbadał i że do nich zastosował swoje życie!

O, łatwowierności niedowiarków! Jak to wygodnie urządzić swoje życie i odwzorować je tak doskonale według jasnej, treściwej, szczegółowej całości proroctw!

Jak łatwo wybrać kraj swój, matkę, kolebkę, a nawet datę swego narodzenia!

Jak wygodnie pod koniec życia znaleźć Judasza, któryby cię sprzedał za 30 srebrników i któryby się następnie powiesił dlatego tylko, by uszanować proroctwa!

¹⁾ Bossuet, *Hist. univ.* — ²⁾ Malach. I, 11. — ³⁾ Jerem. XXXI, 36. — ⁴⁾ Izaj. LI, 4; LII, 8, 10, 15; LI, 3-5. Ps. XXIII, 7-18. Izajasz VIII.

Jak wygodnie mieć pod ręką skazującego Piłata, Heroda, oblekającego cię w szatę, jaką zapowiadali prorocy; a ponieważ jeden z nich przepowiedział biczowanie, oplwanie, gwoźdźmi przybicie, jak łatwo urządzić tak swoją śmierć, by nie stracić jednego w twarz uderzenia, by podjąć wszystkie zniewagi!

A gdy się już umarło, dawszy przed śmiercią znak żołnierzom, by los rzucili o suknię, jak wygodnie i łatwo jest zmartwychpowstać, gdyż tak prorocy mówili, i pozostać Bogiem wieki, ażeby nie zadać kłamu proroctwom!

O Boże! Boże światłości! Boże proroków! Ty, któryś usta Izajasza dotknął rozżarzonym węglem, dotknij naszych oczu, ażeby dojrzały próżność wszelkiej nauki przeciw Tobie powstającej, i niech z serc naszych płyną hymny uwielbienia, wdzięczności i miłości!

VII.

„Ale niedosyć było, mówi Pascal, by były proroctwa; trzeba jeszcze było, żeby te proroctwa po całym świecie się rozeszły.” I tu ukazuje się nowy rzeczy porządek, widok bardziej jeszcze zdumiewający.

Sledźmy historję ludu żydowskiego, tego kapłana i proroka rodzaju ludzkiego, według wyrażenia Filona; ludu, który był poprzednikiem Mesjasza, depozytariuszem obietnic, figur, przepowiedni, mających narodom wskazać tego Mesjasza. Zaledwie ten lud powstał, a już Bóg prowadzi go po różnych stronach świata. Najpierw wiedzie go do Egiptu, do tej starożytnej świątyni najdawniejszych podań, do ogniska, skąd wytryskają wszystkie błędy. Tam żyć będzie Abraham, ojciec wiernych; Józef, stojący na stopniach tronu, pierwszy po królu minister; Mojżesz, ów Bóg faraona, zniewalający kapłanów egipskich do uznania wszechmocy Boga, którego jest wysłannikiem i przedstawicielem. Któż może nie uznać, ile światła tacy ludzie musieli rozniecić wokoło, ilu prawdami zasilili tajemnice starożytnego Egiptu? Kapłani tamtejsi skrzętnie je zbiorą, odświeżą niemi słabnące wspomnienia, wyrzują je na swoich obeliskach! Później te błyski prawdy oświecą filozofów greckich; a za dni naszych nauka odnajdzie pod hieroglifami, które zaczęła odczytywać w chęci upokorzenia Moj-

żesza, takie żywe echa Biblii, że sama się uzna za zwyciężoną¹⁾.

Gdy światło dostatecznie rozblęśło nad Egiptem, Bóg daje znak, i lud żydowski wyrusza w pochód ku ziemi, którą dlań przygotował. Ta ziemia zgodnie z jego posłannictwem znajduje się między Wschodem a Zachodem, nad brzegami morza Śródziemnego, oblewającego wszystkie słynne wybrzeża w sąsiedztwie Tyru, Sydonu, Memfis, Aleksandrii, na drodze, którą przebiegać będą wszyscy zdobywcy: Nabuchodonozor, Cyrus, Kserkses, Aleksander, Pompejusz, August; położenie cudowne, nie przypadkowo wybrane, ale przewidziane i zgóry nakazane. Ku temu krajowi zwolna, jakby powrotnymi falami kierował się lud żydowski: od Abrahama, opuszczającego kraj swój i udającego się ku górze, którą mu Bóg ukaże, od Mojżesza i Jozuego, potrzebujących całej energii, by doń wprowadzić lud wybrany, aż do Dawida, kończącego jego podbój, i do Salomona, budującego w nim Świątynię. Osiem wieków potrzeba było na to osiedlanie; przez ośm wieków lud żydowski był jak pochodnia przenoszony wśród ludów sąsiednich. Gdy nareszcie przybył na przeznaczone sobie miejsce, zaczął je żywszym światłem oświecać. Wojska Dawida znane są od Nilu aż do Eufratu i wzbudzają poszanowanie. Okręty Salomona docierają aż do Ofiru, prawdopodobnie dzisiejszej Hiszpanji. Król ten poślubia córę faraonów; odwiedza go królowa Etopji. Król Tyru, Hiram, dostarcza mu drzewa cedrowego i przysyła pięćdziesiąt tysięcy robotników do budowy Świątyni, której poświęcenie obchodzi Salomon uroczystością przez ośm dni, gdzie codzień śpiewają: *Błogosławiony Pan, który dał odpocznienie ludowi swemu. Niechże Pan Bóg będzie z nami*²⁾. I jeszcze: Pan czyniący wszystko, tworzący światłość i tworzący ciemności... a nie masz innego. *Spuśćcie rosę niebiosu z wierzchu, a obłoki niech spuszcza z dżdżem sprawiedliwego, niech się otworzy ziemia i zrodzi Zbawiciela*³⁾.

Oto pierwszy plan Boga. Wybiera między Wschodem a Zachodem świata zakątek umieszczony przy zbiegu

¹⁾ La Bible et les découvertes modernes en Egypte et en Assyrie, przez ks. Vigouroux. — Manuel d'histoire ancienne, F. Lenormant. W tych obu dziełach znajduje się doskonały wykaz wielkich odkryć naukowych dokonywanych w obecnych czasach; odnowiły one historję dawnych ludów i cudownie potwierdzały opowiadanie Biblii. — ²⁾ III Król. VIII, 56. — ³⁾ Izaj. XLV, 8.

wszystkich narodów, na drodze, którą przebiegać będą wszyscy wielcy wojownicy, wszystkie wyprawy tak polityczne jak handlowe. Tam obok dogmatu o jednym Bogu składa też i cudowny obraz Zbawiciela i Odkupiciela świata! A więc teraz przybywajcie; przeciągajcie tędy narody ziemi! Śpieszcie zadowalniać ambitne wasze pożądanja, śpieszcie rozgrywać krwawe wasze tragedje. Przebiegajcie we wszystkich kierunkach tę ziemię; nigdzie nie do trzecie, byście nie znaleźli boskiego ogniska życia i światła, byście co krok nie spotykali potężnej wiary w jednego Boga i oczekiwania Mesjasza!

Ale to dopiero początek wielkiego zamiaru Bożego, a oto coś wyższego się zaczyna od czasu panowania Salomona.

VIII.

W historji starożytnej monarchje jedno po drugim następują, wzajemnie się wywracając, krwawe wojny jedno za drugimi się ponawiają, pozostawiając jedynie ruiny. Wśród tych silnych wstrząśnień nie można dostrzec prawdziwej historji. A jednak z temi olbrzymimi państwami tak się rzecz ma jak ze straszliwemi kataklizmami, które na kuli ziemskiej poprzedziły ukazanie się człowieka. Poprzez olbrzymie paprocie, straszliwe amfibje, potworne czworonogi dąży się do człowieka. Wszystkie te pierwotne formacje, wszystkie te dziwne twory przyczyniają się do przygotowania ziemi na przyjęcie króla. Tak samo jest i z wielkimi monarchjami, które jedno po drugim występują na scenę historji przed Jezusem Chrystusem. Każda z nich, nie wiedząc o tem, pracuje nad urządzeniem świata, którego środowiskiem ma być Bóg-Człowiek.

Ale Bóg chcąc, by świat wiedział o tem boskiem dziele, naprzód o niem głosić każe swoim prorokom. Wdzieli oni to cztery dzikie bestje, przybywające z czterech stron widnokręgu i druzgocące wszystko, aby wszystko zjednoczyć; to znów cztery straszliwe wichry. Innym razem oglądali olbrzymi posąg utworzony z czterech metali; uderzał weń mały kamyk, który stawał się nagle górą, obejmującą całą ziemię. I Bóg polecał owym świętym mężom głosić światu, że te cztery wichry, cztery bestje, cztery metale były obrazem czterech państw, mających kolejno

po sobie nastąpić i zaprowadzić jedność polityczną, będącą symbolem i przygotowaniem wielkiej jedności religijnej, której Chrystus będzie początkiem i żywotem¹⁾.

I rzeczywiście powstają kolejno cztery państwa przygotowawcze, a w miarę jak się zjawiają, Bóg za pośrednictwem ludu żydowskiego oświeca je potokami światła.

Najpierw powstaje państwo asyryjskie, najdawniejsze na ziemi. Założycielem jego był Nemrod, taką promieniący chwałą, iż jak mówi Pismo Święte, potęga jego w przypowieść przeszła. Monarchja ta, w symbolicznej mowie Proroka przedstawiona przez złoto, rozłożyła się nad brzegami Eufratu, pod cudnem, zawsze pogodnem niebem, sprzyjającą bujnej roślinności. Zawsze będzie ona zdumiewać wyobraźnię przez dziwy i zbytek miast swoich. Stolicami były tam najprzód Niniwa, a następnie Babilon²⁾. Posłannictwem tej monarchji było panowanie nad środkową Azją i zarzucenie pierwszej sieci politycznej nad temi bogatemi krainami. Zdobywcy rozszerzają zrazu państwo ku Wschodowi; z bronią w ręku nawiedzają patriarchalnie żyjące plemiona i jedne po drugich zagarniają pod jedno berło. Potem zwracają się na Zachód, i łączą wszystkie w pierwszej jedności. Kulminacyjnym punktem tej monarchji jest Nabuchodonozor. Jako triumfator przebiega Egipt, Afrykę, Hiszpanję, nawet Galję³⁾; dociera do słupów Herkulesa, wraca do Azji przez Trację i Macedonję, kończąc w ten sposób pierwszą próbę powszechnej jedności.

Państwo, mające tak szeroko sięgające posłannictwo, nie mogło nie otrzymać proroczego światła. Bóg posyła do pierwszej jego stolicy, Niniwy, proroka Jonasza, a ten świętą energią swej wymowy nawraca króla, możnych bogaczy i lud⁴⁾; a nawrócenie to było tak zupełne, że po upływie wielu wieków Chrystus o niem wspominać będzie⁵⁾. Ale ponieważ praca jednego człowieka nie jest w stanie przeniknąć wszystkich warstw tak wielkiego narodu, oto cały lud żydowski, przez Salmanazara w niewolę pojmany, rozproszony zostaje po całym państwie. Tobjasz głos podnosi, aby obwieścić ludowi żydowskiemu opatrnościowy powód tej niewoli: *Albowiem Pan was*

¹⁾ Daniel VIII. — ²⁾ W ruinach Niniwy odnaleziono niedawno bibliotekę króla Assurbanipala, złożoną z kilkudziesięciu tysięcy tomów, a raczej cegieł zapisanych znakami. Odsłania się tam świat nowy, pełen cudownego potwierdzenia biblijnej opowieści. — ³⁾ Megasth. *Apud Strab.* lib. XV. — ⁴⁾ Jon. III, 1—10. — ⁵⁾ Mat. XII, 41.

dlatego rozproszył między narody, które Go nie znają, abyście Wy opowiadali dziwy Jego i przywieźli je do wiadomości, że nie masz inszego Boga wszechmocnego oprócz Niego¹⁾. Oto prawdziwy powód tego rozproszenia, a Żydzi tak to dobrze pojmują, że zaledwie stają wśród pogan, skłonność ich do bałwochwalstwa znika i zamieniają się w apostołów Boga jedynego, w zwiastunów mającego przyjść Chrystusa. Jednakowoż Niniwa powraca do dawnych błędów, znowu się zanurza w bałwochwalstwie. Posłany jest do niej prorok Nahum, a nie mogąc nawrócić, oznajmia karę: *Brzemie Niniwy. Owo ja na cię, mówi Pan zastępów²⁾.* Upada wielkie miasto pod ciosami Nabuchodonozora. Babilon zastępuje Niniwę; jedność wszechświata o jeden krok się posunęła.

Babilon miał już liczne stosunki z ludem żydowskim. Kapłanów swych wysłał, by przynieśli wiadomość o cudownym uzdrowieniu Ezechjasza³⁾. Sto dwadzieścia tysięcy wojska babilońskiego zwyciężyła odważna Judyta. Ale to dopiero były pierwsze próby. Niniwa uprowadziła w niewolę dziesięć pokoleń izraelskich, a z niemi proroków: Jonasza, Tobjasza, Sofonjasza i Nahuma; Bóg chciał i Babilonowi podobnego światła użyć. Nabuchodonozor napada na Jerozolimę i wszyscy synowie Judy z kapłanami i prorokami rozsiani zostają po wszystkich miastach Wschodu. Izajasz i Ozeasz zostają w Jerozolimie; ale Ezechjel, Daniel, Habakuk są w Babilonie i Suzie, Jeremjasz i Boruch w Memfisie. Ten ostatni przebiega następnie Wschód cały, aby rozproszonym braciom zanieść Treń Jeremjasza. Żeby zaś słowa świętych mężów zyskiwały więcej wiary, a ich prorocтва o Mesjaszu żywiej uderzały umysły, Bóg kazał im przepowiadać kary, mające spaść na te wszystkie miasta, i głosić, że powodem ich zniszczenia jest bałwochwalstwo. Tyr, Cedar, Damaszek, Memfis, nawet Babilon słuchają tych wyroczeni i następnie, w czasie oznaczonym przez proroków, walą się w gruzy⁴⁾. Ten, który powołany jest, by szczegółowiej zwiastował tajemnicę ewangelicznego przygotowania, zostaje podniesiony nad innych, umieszczony przy boku królewskim na stopniach tronu, a to w tym celu, by głos jego dalej się rozchodził. Daniel tłumaczy Nabuchodonozorowi jego sen proroczy; odsłania oszustwo pogańskich kapła-

¹⁾ Tobjasz XIII. — ²⁾ Nahum II, 13. — ³⁾ IV Król. 20. Izaj. XXXVIII. — ⁴⁾ Amos I; Joel III, Izaj. XIII, Jeremjasz XXXVII; Ezech. XXVII; XXIX, XXXI, i t. d.

nów, wstydem okrywa bałwochwalstwo, w proch obraca wielkie bóstwo Babilończyków. Dwakroć wrzucony do lwiego dołu, cudownie uratowany, uzyskuje od Nabuchodonozora i od jego następcy Evilmerodacha dekrety, *aby po wszem państwie drżeli i lękali się Boga Danielowego, bo On jest Bóg żywy i wieczny na wieki. Ten Wybawiciel i Zbawiciel, czyniący znaki i dziwy na niebie i na ziemi*¹⁾. Jakaż to jasność nad Babilonem! Jaka pomoc dla Mędrców, by prawdę poznali! Jaki wylew światła wśród miast Wschodu! Pilnie i ciekawie badano Żydów, znano psalmy Dawidowe, podobano w nich sobie. Mówiono do jeńców: *Śpiewajcie pieśni Syjonu*.

Babilon nie korzysta z tego światła. Dzieło jego spełnione. Gniew Boży wybucha: Jeremjasz karę zwiastował²⁾. Wielka stolica upada; przychodzą Persowie, Medowie; prowadzi ich Cyrus. Cyrus przepowiedziany dwieście lat przedtem przez Izajasza i po imieniu nazwany³⁾. Nadchodzi; zajmuje niespodzianie miasto w tym samym czasie, gdy Baltazar na ścianie biesiadnej sali widzi tajemniczą rękę, piszącą nań wyrok, który mu Daniel tłumaczy. Z ust drżącego od strachu króla padają słowa, będące niejako testamentem pierwszej monarchji: „*Bóg Daniela jest jedynym Bogiem żywym i wiecznym*“⁴⁾. Babilon upada i rozpoczyna się państwo Persów.

Drugie to państwo wyobrażone jest przez srebro. Mniej jest świetne niż poprzednie; zamiast piętnastu stuleci trwa zaledwie 250 lat, ale posłannictwo jego jest wielkie. Wojownicy asyryjscy, z wyjątkiem Nabuchodonozora, przedsiębiorczego triumfalny pochód po Zachodzie, zajmowali się jedynie Wschodem. Persowie krok dalej się posuwają; gromadzą siły zbrojne Azji, śmiało zbliżają się do Zachodu. Kambizes zajmuje Egipt i posiadłości swe rozszerza po całym wybrzeżu Afryki. Darjusz i Kserkses zwracają się ku Grecji i zapuszczają się aż do morza Egejskiego. Tam to Azja po raz pierwszy potyka się z Europą. Darjusz pobity jest pod Maratonem; dziesięć tysięcy Greków zmusza sto tysięcy Persów do odwrotu. Kserkses podejmuje znowu ten sam zamiar; rzuca się na Grecję z dwoma milionami ludzi. Morskie jego wojsko zniszczone zostaje pod Salaminą przez Temistoklesa; wojsko lądowe, zatrzymane u Termopilów przez Leonidasa, pobite jest przez Arystydesa pod Plateą. Salamina, Maraton, Platea,

¹⁾ Daniel VI, 26, 27. — ²⁾ Jerem. L. — ³⁾ Izaj. XXI. — ⁴⁾ Daniel V.

Termopile! wszystkie szlachetne serca żywiej biją, słysząc wielkie nazwy. Oznajmiały one światu, że wielkiego dzieła jedności wszechświatowej dokonają inne ręce niż zniechęcających ludów Wschodu. Ale choć go one nie mają skończyć, przygotowują je; drugą sieć jedności zarzucają na Wschód i pierwsze zwracają się ku Zachodowi. To też Bóg, powołując ich i kierując nimi, nie szczędził im światła. Cyrus zastaje Daniela w Babilonie i obsypuje go zaszczytami. Każe sobie czytać święte księgi Żydów i ze zdumieniem słucha owych słów Izajasza: „*To mówi Pan pomazańcowi memu Cyrusowi, któremu ujął prawicę, abym pobił przed nim narody... Jesteś pasterz mój i wszystką wolę moją wykonasz*“¹⁾. I zaraz podpisuje nakaz odbudowania świątyni i głosi znowu wielkość Boga Hebrajczyków²⁾. Lud żydowski wraca do Judei; ale nie wszyscy opuszczają ziemię niewoli. Daniel widzi dziwną walkę między aniołem Żydów, chcącym ich do ojczyzny wszystkich powrócić, a aniołem Persów, który wkońcu otrzymuje, że pewna część zostaje, aby w dalszym ciągu oświecać te nieszczęsne narody³⁾. Trudności przy odbudowaniu świątyni często zmuszają Żydów do udawania się o pomoc do następców Cyrusa, a ci wydają nowe dekrety, których układ godny jest uwagi. Cyrus uznaje, że *to Bóg Daniela dał mu panowanie nad narodami*; Darjusz nakazuje, by czczono tego Boga, *albowiem On jest Wiekuisty*. Darjusz, syn Hystaspa, wyznacza sumę, za którą codzień mają być w świątyni Jerozolimskiej składane ofiary *za niego i za jego dzieci*⁴⁾. Wielki król Artakserkses poślubia Estere, wynosi Mardocheusza do godności pierwszego ministra i rozsyła listy po całym państwie, głoszące: „*że Żydzi są synami najwyższego, i najświętszego i zawsze żyjącego Boga, za którego dobrodziejstwem i ojcom naszym i nam królestwo jest dane i aż po dziś dzień zachowane*“⁵⁾. W tym czasie, za panowania Darjusza, syna Hystaspa, rodzi się Laotsen, reformator perskiej religji. Kolebka jego nurza się w świetle objawienia. Kogoż może dziwić podobieństwo jego nauk z podaniami Hebrajczyków? Jest ono tak wielkie, że niektórzy mniemają, iż jest on z pochodzenia Żydem. Przez niego to Zoroaster i Konfucjusz mogli dowiedzieć się o jedynym Bogu i przyjsciu Świętego, który podniesie ludzkość. Żydzi w dalszym ciągu napęłniają pałac Artakserksesa. Nehemjasz jest królewskim

¹⁾ Izaj. XLV. — ²⁾ Ezdrasz I, 1—4. — ³⁾ Daniel X, 14. — ⁴⁾ Ezdrasz V, VI, VII, X. — ⁵⁾ Estera XVI, 16.

podczaszym i przez niego król dowiaduje się o trudnościach, jakie powstają przy wykończeniu budowy świątyni¹⁾. Wreszcie jest ukończona. Aggeusz i Malachjasz opiewają jej przyszłą chwałę, wyższą niż była chwała pierwszej świątyni, gdyż oglądać ona będzie Mesjasza²⁾. I panowanie Persów kończy się po przeszło dwóchsetnem oświecaniu najwyższem światłem prorocstw.

Teraz ukazuje się Aleksander, i rozpoczyna się trzecia monarchja. Opatrzność wszystkiem udarowała Grecję, by ją uczynić zdolną do wypełnienia naznaczonego jej posłannictwa. Dwa przedewszystkiem dary otrzymała: miecz i lirę. Miecz już tak świetny w ręku Temistoklesa i Leonidasa stał się niezwyciężony w prawicy Aleksandra. Przez niego to Grecja dokonała swego posłannictwa, zwyciężyła świat wschodni, przeniosła punkt jego ciężkości na Zachód i tym sposobem znowu o krok dalej jedność posunęła. Po Niniwie, Babilonie, Ateny, Aleksandrija, Korynt, Efez. Świat postępuje, i wielkie zjednoczenie dojrzewa.

Plan, nakreślony przed dwustu laty, wykonany jest wiernie przez Aleksandra. Jest to owa bestja opisana przez proroka, o śmiałym, lekkim skoku; szybkiego pochodzu nic wstrzymać nie może: ani góry, ani przepaści³⁾. Zrywa się z Zachodu, przebywa Hellespont, staje nad Granikiem. Wszystko przed nim ucieka, a Issus, Arbelle zwiastują światu, że z Persją już wszystko skończone. Aleksander sięga przeciwnych granic Azji; podbija wszystkie ludy; ziemia milknie przed nim. I nagle ze szczytu potęgi bohater w kwiecie wieku pada na łożo śmierci, dokonawszy dzieła wojny i miecza.

Ogromne państwo Aleksandra może się teraz bezkarnie rozdzielić. Rzym tem łatwiej opanuje jego części. Zresztą dzieło trzeciej monarchji nie ginie z Aleksandrem; co rozpoczął miecz, dokończy lira. Ona to czaruje Wschód i przyprowadzi do wyższej jedności. Język grecki staje się językiem powszechnym. Filozofowie greccy pierwsi przykładają siekierę do zakorzenionych wschodnich zabobonów; poeci w tajemniczych egipskich świątyniach odnajdują czystsze pojęcia o Bogu, o duszy. Sokrates umiera za prawdę; Platona zowią boskim, a niektórzy Ojcowie Kościoła uważają go za natchnionego zwiastuna. Już trzy części świata znajdują się pod jednym berłem i mówią jednym narzeczem. Rzym może się ukazać; już tylko jed-

¹⁾ Nehem. XIII, 2. — ²⁾ Malach. III, 2. — ³⁾ Daniel VIII, 5-7.

nego rysu brakuje do całości wielkiej pracy, przygotowującej Ewangelię.

Nie trzeba pominąć obfitości światła, które Bóg wylał na państwo greckie. Lud, mający rozszerzyć krąg państw azjatyckich i śmiało przenieść środek świata wschodniego na Zachód, łącząc wszystko nietylko mieczem łatwo się kruszącym, ale językiem i cywilizacją, lud ten przeznaczony do takich celów musiał stanąć w bliższych stosunkach z depozytarjuszami Boskich tradycji. To też za ledwie się Aleksander ukazuje, a już go Bóg prowadzi do Jerozolimy. Rozszalały gniewem idzie zdobywca na to miasto, które odmówiło mu pomocy w czasie oblężenia Tyru. Arcykapłan odziany w szaty pontyfikalne, otoczony kapłanami i lewitami wychodzi na jego spotkanie. Aleksander, ujrawszy go, staje zdumiony; wszak to ta sama postać, która mu się we śnie ukazała, przepowiadając panowanie nad światem. Uspokojony wstępuje do świątyni; ale zdumienie jego nie ma granic, gdy odczytują mu szczegółowo przez Daniela opisany jego zwycięski pochód¹⁾. Obdarowywa miasto przywilejami i tysiące Żydów zaciąga do swego wojska.

Wodzowie Aleksandra dzielą się jego państwem. Dwa królestwa stają się od innych słynniejsze: państwo egipskie założone przez Ptolomeusza, syna Lagusa, i syryjskie założone przez Seleucjusza. Przypatrzmy się tu działaniu Opatrzności. Z jednej strony Ptolomeusz zajmuje Jerozolimę i uprowadza do Egiptu sto tysięcy jeńców; ale wkrótce przekonawszy się, że niema nad nich wierniejszych poddanych, czyni ich obywatelami Aleksandrii i zapełnia nimi radę swoją i wojsko²⁾. Z drugiej strony król Syrii, Seleucjusz Nikator osiedla ich w Antjochji, otwiera im wszystkie miasta Azji Mniejszej. Tym sposobem napełniają oni cały Wschód. Grecja, Syryja, Babilonja, Egipt pełne są osad żydowskich, w których Bóg jeden jest czczony; ofiary ich składane są w jednej jedynej świątyni, o której oni sami głoszą, że nim ona zostanie zburzona, przyjdzie Mesjasz, Pożądany narodów.

Wśród takich okoliczności księgi święte przetłumaczone zostają na język grecki. Wschód i Zachód mówił już tylko tym językiem, a rozproszenie Żydów nie byłoby dało dostatecznego światła, gdyby święte księgi pozostały jedynie w narzeczcu, którego już nikt nie używał.

¹⁾ Józef, Antiq. XI, 8. — ²⁾ Józef, Cont. App. lib. II, cap. II.

Tłumaczenie dokonane zostało rozgłoszenie i musiało zwrócić uwagę wszystkich. Król egipski Ptolomeusz Filadelf wysłał w tym celu poselstwo do arcykapłana Eleazara z wspaniałymi darami dla świątyni i prośbą o tłumaczy. Arcykapłan zachwycony wybrał po sześciu doktorów pisma z każdego pokolenia i wysłał ich do Aleksandrii z egzemplarzem Biblii pisanej złotymi literami. Siedmudziesięciu dwóch uczonych przez wiele miesięcy pracowało nad przekładem, mieszkając w pałacu króla; żywieni byli na jego koszt. Trzy miliony wydane zostały na to dzieło, a greckie tłumaczenie oddane królowi złożone przez niego zostało w *Bruchium* aleksandryjskiem. Czyż można mniemać, by takie wydarzenia niepostrzeżenie przemijały i nie odbijały się żywo na duszach dobrej woli?

Teraz Rzym rozpoczął wielkie swoje dzieło. Któż od pierwszych jego kroków nie pozna w nim czwartej, odmówianej przez Daniela, straszliwej bestji o kłach stalowych¹⁾ Zaledwie się narodził, a już zmiażdżył i pożarł wszystkie ludy Italji, Sycylji, Sardynji i Korsyki. Napróżno genjusz Annibala próbuje go powstrzymać; opanowuje Afrykę, w ruiny obraca Kartaginę, podbija Hiszpanję, ujarzmia Gallów. A potem ta bestja o kłach stalowych zwraca się ku Wschodowi, ku najodleglejszym częściom dawnych państw Babilonu i Niniwy, i te stają się jego hołdownikami. Po kilku wiekach Rzym jest panem świata. Scytowie i Sarmaci, znani ledwie ze słyszenia, proszą o jego przyjaźń. Królowie Indji przysyłają swoich posłów²⁾, nawet Chińczycy o przymierze z nim zabiegają³⁾. Dzieło jest skończone; to pierwsze dzieło, o którym poeta mówi: *Tu regere imperio populus, Romane, memento*.

Ale Rzym nie mieczem jedynie dokonywa olbrzymie dzieła ujarzmienia narodów. Miecz niszczy, ale nie buduje. Rzymowi potrzeba było jakiegoś twórczego narzędzia. Grecja posiadała poezję, łączącą wszystko w pieśni. Rzym miał prawo. Przez rozwój prawa cywilnego i politycznego Rzym zdziałał dwie rzeczy: nawewnątrz zrównanie dwóch ludów, walczących w jego łonie; nazewnątrz zlanie podbitych narodów najpierw przez jednostajność administracji, następnie przez stopniowe rozciągnięcie coraz dalej praw samego miasta Rzymu. Ta wzrastająca asymilacja rozmaitych ras, to zlanie się wszystkich w jednej formie uzupełnia i wykończy polityczną jedność świata.

¹⁾ Daniel II, 40. — ²⁾ Strab. lib. V; Dion. Cassius lib. LIV. —

³⁾ Florus. lib. IV.

Rzym, otwierając wnętrze swoje dla wszystkich narodów, musiał też przyjąć i Żydów; a ci korzystają z tego i wszędzie zakładają swoje synagogi. W tak wielkiej liczbie znajdują się w Rzymie, tak są tam potężni i przedsiębiorczy, że sam Cyceron się tem niepokoi. Do nadzwyczajnego rozmnażania się łączą uparte, nieznane dotąd nigdzie przywiązanie do swoich praw i swoich pism. Już teraz nie odczuwają pociągu do bałwochwalstwa; głęboko gardzą bożkami, dumni są, i zupełnie słusznie, z piękności i świętości boskich swoich ksiąg; chętnie się nimi popisuja, porównywając je ze świętymi księgami innych ludów i wykazując wyższość swoich. To potrochu czyni ich apostołami, misjonarzami. Niedosyć dać poznać ludom pogańskim piękność wiary, trzeba je nawrócić, trzeba je skłonić do obrzezania. „Nie znalazłoby się, pisze Strabon, jednego miejsca na całej ziemi, gdzieby się ten naród nie dostał i nie narzucił wielu cudzoziemcom swego sposobu życia i swoich praw.” Pan Jezus ukazuje ich biegnących skwapliwie na koniec świata dla pozyskania jednego prozelity. Przez nich to Bóg wśród państwa rzymskiego rozsiewa nadzieje nowej ery i wzbudza ogólne, potężne pragnienie Wybawiciela.

Tak po sobie następują cztery wielkie monarchje. Pomijając nawet objawienie proroków, nie można tu nie dostrzec dzieła Opatrzności, łączącej zwolna wszystkie narody dotąd różne i podzielone między sobą, gromadzącej je około jednego środka, zmieniającego się potrochu; najpierw jest nim Niniwa, później Babilon, Ateny; na ostatku w Rzymie się ustala, obejmując pod jego berło najdalsze narody Wschodu i Zachodu. A podczas gdy te państwa dokonywają tak swego dzieła, lud żydowski jest do każdego z nich zbliżony, czy jako sąsiad, sprzymierzeniec, czy nawet jako niewolnik, i ma złecone budzić i utrzymywać wśród nich nietylko pojęcie o jednym wielkim Bogu, który rządzi światem, ale i gorące pragnienie mającego przyjść obiecanego Odkupiciela!

IX.

Co podniecało owo pragnienie i posuwało je niemal do uczucia trwogi, to stan moralny świata. Podczas gdy pod okiem Boga i światłością Jego oblane następowały po sobie cztery wielkie państwa, mające przygotować ziemię

na przyjęcie Jezusa Chrystusa, w obyczajach tak prywatnych jak publicznych dokonywała się straszliwa praca zepsucia. Świat dochodził przez własne doświadczenie do ostatecznej słabości, do dna upadku, aby przez to poznać, jak koniecznie potrzebuje Zbawiciela.

Napróżno Bóg rozsypał wszystkie dary wśród ludów starożytnych: Egipt posiadał pierwotne tradycje i to, z czego się pysznił: mądrość. Grecja miała sztukę, poezję, wymowę, filozofję. Rzym otrzymał majestat, rozsądek, wielkość, potęgę. I do czegoż to wszystko posłużyło? Do pomnożenia dowodów upadku; do wykazania tysiącami sposobami nietylko rzeczywistości, ale i głębokości grzechu pierworodnego. Przyjrzyjmy się uważnie wszystkim, najświetniejszym nawet miastom starożytnym: Niniwie, Babilonowi, Koryntowi, Efezowi, Rzymowi, coż wszędzie zobaczymy? co wypisały one, co nakreśliły na ścianach swoich pałaców, szkół, teatrów, a nawet na swoich świątyniach? Jaką nazwę dać takim dziełom? Widzi się tam, ku wiekuiściej nauce ludzkości, okropny obraz *upadłej duszy*, pociągniętej przez pychę i zmysłowość w ostateczną przepaść złego; nosi on kolejno nazwę Nabuchodonozora, Neron, Heliogabala, Kaliguli i ukazuje szalę pychy i takie wyrafinowanie rozpusty, że na samo wspomnienie rumieniec wstydu nas oblewa. Tam widzi się opłakany obraz *upadłej rodziny*, gdzie małżonek staje się panem, a ojciec tyranem; gdzie niewiasta uważana tylko jako kwiat, który się rzuca, nacieszywszy się jego wonią, jako istota znieważana przez miłość i znająca jedynie hańbiące ją pieszczoty. Tam widzi się w surowych barwach jeszcze bardziej przerażający obraz *upadłego społeczeństwa*; są tam królowie każący się czcić, a pragnący by cała ludzkość miała jedną tylko głowę, którą od jednego cięcia możnaby strącić; są bogacze, którzy naśladowując szaleństwa cesarów, pod koniec biesiad sprowadzają swych niewolników, aby zebrani goście zabijając ich mogli się przekonać, czy ręka ich jest jeszcze pewna, czy więc mogą pić dalej; są niewiasty, matrony i młode dziewczęta, które dla zabawy zagłębiają szpilki w łona niewolnic, a potem idą do amfiteatrów rozerwać się widowiskiem zabijających się ludzi. Tam wreszcie ujrzymy najwstrętniejszy ze wszystkich obraz *upadłej religii*: świątynie wznoszone dla pychy; ołtarze, na których cześć składają rozpuście, cudzołóstwu; święte gaje, gdzie się je praktykuje; modły tak bezecne, że gdy słyszano nadcho-

dzącego człowieka, przerywano je, nie chcąc, by ziemia słyszała, o co się woła ku niebu!

Oto obrazy upadku, niezniszczalne pomniki poniżenia. Wszystkie ludy pracowały nad nimi przez cztery tysiące lat, a tak straszny jest w nich realizm, taka twar- dość tonów, taka potęga uwodzicielska, że nikomu nie wolno nad nimi się zatrzymywać, bo nawet siwowłose starzec, posiadający wiedzę złego i dobrego, ze drżeniem tylko do nich się zbliża. Istnieć one będą do końca wieków na świadectwo dwóch dogmatów: upadku człowieka i konieczności odkupienia.

Chcianoby je dziś zatrzeć; niektórzy na chlubę ludzkości próbowali zaprzeczyć tak przerażającemu poniżeniu. Ale jak tego dokonać? Trzebaby usunąć Tacyta, Tytusa, Liwjusza, Swetonjusza; zmusić do milczenia św. Justyna, Orygenes, Tertuljana, Klemensa Aleksandryjskiego, św. Augustyna; trzebaby zaprzepaścić Pompeję, Herkulanum, wszystkie starożytne muzea, a w szczególności tajne muzeum w Neapolu, gdzie przed ludzkim wzrokiem ukrywają bezecności ongi na jasność słoneczną wystawione.

Skoro więc musiano uznać ów ohydny stan moralny, chciano go przynajmniej przedstawić jako punkt wyjścia dla postępującej w dobrem ludzkości. Ale jest historyczną prawdą, że ludzkość w jasnym świetle się poczyną; jest tego wspomnienie w podaniach wszystkich ludów. A potem, od wieku do wieku światło przygasa, zło wzrasta. Przed przyjściem Jezusa Chrystusa historia ludzkości nie wykazuje wcale postępu w dobrem; jest to ciągle cofanie się. Rzecz tem dziwniejsza, że we wszystkim innym jest rzeczywisty postęp, tylko w kierunku moralnym i religijnym coraz większy występuje upadek, i żaden genjusz zapobiec mu nie może.

Chciano przynajmniej udowodnić, że jeśli lud popadł w obłęd bałwochwalstwa, to w klasie kapłanów utrzymywała się czysta prawda tak co do Boga jak i co do człowieka. Ale tu jeszcze wyraźniej okazuje się niemoc ludzkiego rozumu. Bo i czegoż to brakowało kapłanom starożytności, Egiptu, Persji, Indji do przechowania prawdy? Posiadali najsilniejszy pierwiastek podanie wciąż się odradzające i odmładzające w zetknięciu z ludem żydowskim. A jednak bezsilni byli w głoszeniu prawdy ludom; nawet już tego nie próbowali, nawet chlubili się, że ją ukrywali pod

zasłoną nieprzeniknionych misterjów; bezsilni także byli w przekazywaniu jej nienaruszalności niektórym wtajemniczonym pod pieczęcią przysięgi; bezsilni wreszcie w przechowywaniu jej w swych księgach, których nawet najwyższe dążenia dochodzą jedynie do panteizmu i niemoralności! Ich podania spowite są jak mumje symbolami, owinięte zasłonami, kryjącymi ich prawdziwe znaczenie; są to skarby ukryte w skarbcu, od którego zgubiono klucze.

A gdy tak kasty kapłańskie nie umiały przechować prawdy, szkoły filozoficzne jeszcze bezskuteczniej pracowały nad jej odnalezieniem. Dostrzegały one bezwątpienia szaleństwo wielobóstwa, może nawet domyślały się jedności Boga i nieśmiertelności duszy. Wielcy wśród nich genjusze próbowali lotu ku niewidzialnym rzeczom, ale nie było w tem żadnego ciągu, nic skończonego. Nie zdołali określić prawdziwego stosunku Boga i człowieka. Nie wybrnęli z dogmatu stworzenia; gubili się jedni w panteizmie, inni w dualizmie, mogli zatem dostrzec tylko bardzo niepewnie pochodzenie, naturę i cel duszy i niezdolni byli do skierowania jej ku wiecznemu jej przeznaczeniu. Najlepsi z nich czuli to, a bolejąc, że posiadają tak mało światła, i widząc, że lud nie potrafi nawet znieść tej jego odrobiny, zamilkli, ukrywając pod zagadkową formą odkryte przez siebie okruchy; zniechęceni co do intelektualnej i moralnej przyszłości świata, ogłosili go jako bezpowrotnie zgubiony, chybaby Bóg na pomoc mu zstąpił. Inni, zbrojni tylko w siłę niszczącą, szyderstwem swem zachwiali i zburzyli, co było jeszcze boskiego w wielobóstwie; a nie mogąc nic w jego miejsce postawić, pograżyli lud w strasliwym ateizmie.

Oto, gdzie się znaleziono po czterech tysiącach lat doświadczenia. To też w miarę jak zbliża się czas przyjscia Pana naszego, ogromna próżnia daje się odczuwać w umysłach; niewypowiedziany smutek ogarnia serce, panuje wszędzie rozpacz głęboka i ogólna. Wszędzie wzywano Boskiej pomocy, Boskiej nauki. Badano w Rzymie obce kulty, gdzieby tę pomoc znaleźć można; wtajemniczano się we wszystkie misterja. Wydzierano sobie słowa Sybilli, przepowiednie ze starych świątyń, głoszące nową erę.

I co do tego więc wykończyło się przygotowanie ewangeliczne. Świat wypróbował swoją słabość aż do ostatecznych granic; czuł głębiej przepaści, w jakiej był

pograżony, i niemożebność wydobyć się z niej. Czuł zatem potrzebę Zbawiciela.

X.

W samej rzeczy świat cały oczekuje Zbawiciela i wzdycha za Nim. Chrystus jest prawdziwie *Pożądanym narodów*.

Oczekiwanie Mesjasza przepełnia wszystkie serca nadzieją, nawet w państwach, otaczających się milczeniem i tajemnicą i pozostających obcemi dla reszty świata. „Mistrzu, pytał Konfucjusza jeden z jego uczniów, czy nie jesteś człowiekiem świętym? — Jakkolwiek natężam myśl, nie mogę przypomnieć sobie nikogo zasługującego na tę nazwę. — Czy trzej królowie nie byli świętymi? — Trzej królowie obdarzeni niezwykłą dobrocią, napełnieni byli światłą potęgą, niezwyciężoną siłą; ale nie wiem, Khieu, czy byli oni świętymi. — A Pięciu Panowie czy nie byli świętymi? — Pięciu Panowie działali z boską miłością i nienaruszoną sprawiedliwością; ale nie wiem, Khieu, czy byli oni świętymi. — Jeśli tak jest, to któż jest ten, którego można nazwać świętym? — *Ja słyszałem, Khieu, że w Zachodnich krajach będzie Święty, który nie rządząc, zapobiegnie zamieszkom, nie rozprawiając, natchnie wiarą. Żaden śmiertelnik nie potrafiłby Go nazwać; ale ja, Khieu, słyszałem, że to będzie prawdziwy Święty¹⁾.*” I Konfucjusz sławi Jego przyjsie sposobem, przypominającym język proroków. Są tam w szczególności dwa czy trzy ustępy uderzająco piękne, zbyt jednak długie, by je tu przytaczać.

To samo odnajduje się nietylko w Chinach, ale i w Tybecie, w Kochinchinie, w Tonkinie, Syjamie, na Cejlonie i aż w Japonji. Wszędzie oczekują Świętego świętych, istoty niebiańskiej i cudownej, która wszystko doprowadzi do ładu. On sam może tylko złożyć całopalenie godne majestatu Szanc-Ti (najwyższego Boga nieba). Ludy czekają nań, jak zwiędłe rośliny oczekują rosy, wspomina Mencjusz, uczeń Konfucjusza²⁾.

To samo widzimy w Indjach. Tam oczekiwano najwyższego, powszechnego doktora. Uczony orjentalista, Wilford, mówi, że to oczekiwanie jest często przedmiotem

¹⁾ *Nieziemienny Środek*, roz. XXXIII. — ²⁾ Schmidt, *Odkupienie rodzaju ludzkiego*.

Puranasów. Ziemia się skarży, że ją ciężar nagromadzonych nieprawości rodzaju ludzkiego spycha w przepaść. Wisznu pociesza ją, obiecując Zbawcę najświętszego, który ją wyswobodzi z pod panowania złego. Objawia jej, że ten Zbawca narodzi się w domu pasterzy: złoży *Ofiarę* i zaprowadzi wszędzie panowanie sprawiedliwości¹⁾.

Chaldea wiedziała, że ten Święty, ten Doktor, ten Ofiarnik narodzi się z Dziewicy bez zmazy, i czyto pominąć na proroctwo Balaama, czy skutkiem stosunków swych z Żydami wie, że do Jego kolebki doprowadzi ją gwiazda. To w wyraźnych słowach zapowiedział Zoroaster, i święte księgi Persów pełne są tego oczekiwania.

A więc cały Wschód, Indje, Chiny, Chaldea oczekiwały *Świętego*, Zbawiciela, Oswobodziciela; a rzecz godna uwagi, wszystkie te ludy *oczekiwały Go z Zachodu*. Wiadomo, że Judea leży na zachód tych krain.

Jeśli teraz zwrócimy się na Zachód, ujrzymy ten sam widok, to samo oczekiwanie, z tą znamieną różnicą, że w Galji, w Wielkiej Brytanji, w Italji, w Rzymie *oczy wszystkich skierowane są ku Wschodowi*. Nadzieją ową były serca starych Gallów, gromadzących się w druidycznych gajach. Czekali na Zbawiciela i możaby mniemać, że słyszeli Izajasza wołającego: *Ecce Virgo concipiet et pariet Filium*; gdyż oczekiwany przez nich Zbawca miał się narodzić z Dziewicy. Już wtedy w duchu padali do stóp tej Dziewicy, *która miała począć i porodzić*. Odnaleziono w Chartres, w Châlons-sur-Marne, Autun, w Dijon ołtarze na Jej cześć wznoszone z tym napisem:

VIRGINI PARITURAE
DRUIDES.

Ołtarz w Nogent nosi napis:

MATRI FUTURAE
DEI NASCITURI.

Podobne fakta odnajdują się w głębi Wielkiej Brytanji w okolicach, do których ani miecz rzymski, ani język grecki przedostać się nie zdołał; co wskazuje, że wiara ta z wyższych źródeł płynęła, z samych początków ludzkości.

Ale aby sądzić o całości tego ruchu, trzeba wrócić do środka, do Rzymu. Tam *oczy wszystkich utkwione były w Judeę*: „Ogólne było przekonanie, mówi Tacyt,

¹⁾ *Recherches asiatiques*.

*ugruntowane na wierze w dawne przepowiednie, że Wschód przewagę weźmie i że wkrótce ujrzy się wychodzących z Judei tych, którzy zapanują nad światem*¹⁾. Posłuchajmy Swetonjusza; tych samych używa słów na stwierdzenie tego samego faktu: „Cały Wschód pełny był odgłosu tego *starożytnego i stałego mniemania*, że przeznaczone jest, iż w tych czasach ujrzymy wychodzących z Judei tych, którzy zapanują nad światem”²⁾. Posłuchajmy jeszcze Józefa: „W starych księgach, które zowią świętymi, wyraźnie było powiedziane, że w tym czasie będzie mąż, który wyszedłszy z Judei, obejmie panowanie nad całym światem”³⁾.

Dużo byłoby do powiedzenia o tych trzech ustępach, zdających się być kopjami jeden drugiego; o tych księgach zwanych świętymi; o tym Królu, który wyjdzie z Judei; o dokładnej dacie Jego przyjścia. Voltaire, mimo swej lekkomyślności tak uczony, zauważył te wszystkie odcienia: „Od niepamiętnych czasów”, pisał on, „było pewnikiem u Indusów i u Chińczyków, że *Mędrzec* przyjdzie z Zachodu; przeciwnie Europa mówiła, że *Mędrzec* przyjdzie ze Wschodu”⁴⁾. Próbuje zaraz zmniejszyć ważność tego podwójnego oczekiwania, dodając pogardliwie: „Wszystkie narody potrzebowały mędrca.” Ale jakże ta uwaga jest nic nieznacząca, gdy widząc, jak cały Wschód zwracał się ku Zachodowi, a Zachód ku Wschodowi, gdy słysząc Tacytę i Swetonjusza, wymienających Judeę, skierujemy się do tej ostatniej, badając ją, przekonamy się, że i ona Go czeka, a czeka u siebie.

A to tak jest uderzające, że i Voltaire nie może dłużej się opierać, i uznawszy, że nie było ludu, któryby nie znał podobnego oczekiwania, dodaje, że *punkt globu*, na który zwracały się *oczy wszystkich i w którym skupiało się oczekiwanie, mógł być nazwany Biegunem nadziei wszystkich narodów*⁵⁾.

Cyceron nie myli się co do charakteru zdobywców, mających przyjść z Judei: będą to zdobywcy pełni pokoju. Zdawaćby się mogło, że przeczuwał rodzaj ich panowania, pisząc te zdumiewające słowa: „W owym czasie nie będzie już innego prawa w Rzymie, a innego prawa w Ate-

¹⁾ Hist. lib. V, cap. XIII. — ²⁾ In Vespas. Percrebuerat Oriente foto esse in fatis ut eo ipso tempore Judaea rerum potirentur. — ³⁾ Józef, *Wojna żydowska*, ks. VI, roz. XXXI. — ⁴⁾ Voltaire, *Dodatki do Historji powszechnej*. — ⁵⁾ Idem. *Badania nad powstaniem wschodniego despotyzmu*.

nach; dziś tego, jutro owego prawa, ale dla wszystkich narodów i po wszystkie czasy będzie jedno, jedyne, ciągle i wiekuiste prawo i *jeden Pan i jeden Władca, Bóg!*¹⁾)

Wirgiljusz odzywa się jeszcze jaśniej, a czysty jego genjusz, unosząc się ponad mniej lub więcej niepokojące wydarzenia jego czasów, odkrywa przed nim dalszą przyszłość. Z wyżyn, na których prześcignęli go jedynie prorocy, opiewa on ten nowy wiek złoty, ten przewrót czasów zapowiedziany przez Sybillę, to Dziecię zstępujące z wysokości nieba, ten dreszcz natury i powszechne odnowienie ziemi nie przez miecz, ale przez sprawiedliwość i pokój:

Ultima Cumaei venit jam carminis aetas.
Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo.
Jam nova progenies coelo dimittitur alto²⁾.

Wzrusza go ten widok:

Adspice venturo laetentur ut omnia saeclo!

Niegdyś Abraham radował się, oglądając w duchu ów wielki dzień, przeczuwany przez Wirgiljusza: *Exultavit Abraham ut videret diem*. Prorocy umierając witali ten odległy kres swojej nadziei: *A longe aspicientes et salutantes*. Wirgiljusz, oglądając duchem to pełne chwały panowanie Boskiego Dziecięcia, doznał podobnego uczucia. Wyraził pragnienie doczekania tej szczęśliwej chwili:

O mihi tam longae maneat pars ultima vitae!

Nie dostąpił tego szczęścia; dojrzał tylko, jak Mojżesz, ziemię obiecaną i umarł, nie wszedłszy do niej.

„Zawsze żałowałem,” pisze słynny krytyk Sainte-Beuve w studjach nad Wirgiljuszem, „że Bossuet w cudnym ustępie swej Rozprawy o historii powszechnej, w którym dochodząc do narodzenia Chrystusa, podaje jako przygotowanie doń obszerny i wspaniały obraz wszechpotęgi Augusta, nie dodał tam jeszcze jednego słowa.” „Rzym, są słowa Bossueta, wyciąga ręce do Cezara, który pod imieniem Augusta i z tytułem imperatora pozostaje jedynym panem całego państwa. Ujarmia u stóp Pireneów zbuntowanych Kantabryczyków i Asturyczyków;

¹⁾ Cicer. de Republic. lib. III. Nec erit alia lex Romae, alia Athenis; alia nunc, alia posthac: sed et omnes gentes, et omni tempore, una lex, et sempiterna, et immortalis continebit; unusque erit communis quasi magister et imperator omnium, Deus. — ²⁾ Virgil. Eglog. IV.

Etjopja prosi go o pokój! przerażeni Partowie odsyłają mu sztandary i wszystkich jeńców zabranych Krassusowi; Indowie starają się o przymierze z nim. Miecz jego na sobie czują Retowie i Gryzończycy, których nie mogą obronić nawet ich góry. Panonja uznaje go za swego władcę; Germanja drży przed nim, a nad Wezerą on prawa dyktuje. Zwycięski na lądach i morzu zamyka świątynię Janusa.

W cieniu jego potęgi cały świat pokoju używa. *Wirgiljusz śpiewał*, a Jezus Chrystus na świat przychodzi. „*Wirgiljusz śpiewał!*” To słowo mimowolnie pocichu dodaje; gdyż zdaje mi się, że decydująca epoka Augusta ma całe swe moralne znaczenie i ukazuje nam w całości swoje wspaniałe, radosne wzruszenie dopiero wtedy, gdy się usłyszy *Wirgiljusza*¹⁾.

Jakkolwiek wielkie było wzruszenie państwa rzymskiego, nie dorównywało ono uczuciom Judei. Tam, w łonie ludu Bożego oczekiwanie Mesjasza stwarza wyrażenia godne Tego, który ma przyjść; tam dają się słyszeć te przedziwne słowa jasne i pewne, oddające potęgę wszystkich pragnień całej ziemi.

„O Adonai! Najwyższy Panie i wodzu domu Izraela, któryś się ukazał Mojżeszowi w krzaku gorejącym, a na górze Synai dał prawo, przyjdź, byś nas potęgą prawicy swej odkupił.

„O Różdżko Jessego! która stoisz jako godło narodów, wobec której królowie w milczeniu trzymają usta swoje, której ludy błagalnie wyglądają; przyjdź i uwolnij nas; o przyjdź już bez odwłoki.

„O Wschodząca Zorzo przedwiecznego światła, o Słońce sprawiedliwości! przyjdź i oświeć, których ciemności i śmiertelna mgła zamroczyły!

„O Królu narodów! upragniony ludów! przyjdź i zbaw człowieka, któregoś z gliny ulepił!

„O Emmanuel! o Królu i Prawodawco nasz, oczekiwanie narodów i ich Zbawicielu! przyjdź, byś nas zbawił, Panie Boże nasz!”

Ten głos serca, to rozpaczliwe wzywanie ludów dosięgło do tronu Boga. Niebiosa roś spuszczają, Sprawiedliwy jak deszcz żyzny zstępuje; ziemia się otwiera

¹⁾ Sainte-Beuve, Studja nad Wirgiljuszem.

i w radosnem drzeniu rodzi swego Zbawiciela. Słowo staje się Ciałem i ukazuje się wpośród ludzi pełne łaski i prawdy.

XI.

Bóg i Człowiek zarazem, zrodzony przed wiekami przez Ojca, rodzi się w czasie z plemienia Adamowego, z pokolenia Judy¹⁾, z rodziny Dawida²⁾, w Betleem³⁾, w chwili gdy berło odjęte jest Judzie⁴⁾. Rodzi się z łona Dziewicy, przed którą fał pierworodnego zepsucia zatrzymują się bezsilne, a na której czole jaśniej wzniosłe macierzyństwo złączone z idealną czystością dziewictwa⁵⁾. Nawiedza On drugą świątynię zbudowaną przez Zorobabela, o której Aggeusz przepowiadał, iż zanim będzie ostatecznie zburzona, stanie w niej Mesjasz⁶⁾. Urząd swój zaczyna, gdy jeszcze kapłani z rodu Aarona obsługują przybytek, ale ofiara ich ma już być odrzucona, zastąpiona nową, czystą Ofiarą, jak to zwiastował Malachjasz⁷⁾. Ukazuje się wreszcie, gdy już poprzednik Jego głosił pokutę w duchu i mocy Eljaszowej⁸⁾, a cały Izrael wzdycha do Tego⁹⁾, który ma przyjść.

Ukazuje się, a natychmiast świat stary się kończy. Oczekiwanie ustaje, gdyż jest urzeczywistnione. Ofiary ustają, gdyż prawdziwa Ofiara wstępuje na ołtarz.

Świątynia Jerozolimska zburzona, gdyż przyszła godzina, że już ani na górze Garizim, ani w Jeruzalem nie będą chwalić Boga, ale wszędzie prawdziwi chwalcy chwalić Go będą w duchu i w prawdzie.

Sam Rzym istnieć przestanie: zniszczyje wraz ze swemi haniebnymi występami i nie ujrzy ich się już tam, gdzie zabłyśnie światło Ewangelji.

Przy narodzeniu Chrystusa powtórzyło się wznioślejszym sposobem to, co zauważyliśmy przy narodzeniu Adama. Zaledwie pierwszy człowiek się ukazał, a zaraz gwałtowne przewroty, które dotąd wstrząsały kulą ziemską, ucisza się stopniowo, jak gdyby obecność tej nale-

¹⁾ Gen. XLIX, 10; porów. Mat. I, 1. — ²⁾ Król. VII, 12; porów. Mat. I, 1. — ³⁾ Mich. V, 2; porów. Mat. II, 6. — ⁴⁾ Gen. XLIX, 10; porów. Jan XIX, 15; Mat. XXVIII, 23. — ⁵⁾ Izaj. VII, 14; porów. Mat. I, 20. — ⁶⁾ Agg. II, 6-9. — ⁷⁾ Malach. I, 10, 11; III, 3. — ⁸⁾ Malach. III, 1; porów. Mat. III, 1; Łuk. I, 16; Jan I, 29. — ⁹⁾ Mat. XVI, 14, 17, XI, 14; Marek VI, 15; VIII, 28; IX, 11; Łuk. X, 8; Jan, I, 19.

żącej do wyższego świata istoty wystarczała do uspokojenia ziemi, której on miał być królem. Przemijające tylko zaburzenia, jak wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi i jedyny innego rodzaju przewrót — potop, przypominają jeszcze kataklizmy wieków, poprzedzających stworzenie człowieka. Ziemia się uspokaja pod dotknięciem stopy swego pana, ręce jego upiększają ją i użyźniają, a jego dusza wprowadza do niej nowe życie: życie rozumu, woli i miłości.

To jest także obraz przyjścia Chrystusowego. Z jednej strony kończy On świat stary, z drugiej rozpoczyna nowy. Przez Niego wyższe życie wlane jest w żyły ludzkości; życie tego rodzaju, że mniejszy jest przedział między życiem Adama a życiem niższych, poprzedzających go stworzeń roślinnych i zwierzęcych, aniżeli między życiem zaprowadzonym przez pierwszego człowieka a tym nowym żywotem, który Chrystus ze sobą przynosi: jest to życie samego Boga.

Tak; to życie, które jest w Bogu przedwieczne, które jest własnem życiem Boga, którego absolutnie niewystożnione i niepojęte czyny pozwalają cię swój własny dojrzeć w tem, co nazywamy w człowieku rozumem i miłością; to życie, które Bóg bezustannie wlewa w Osobę Słowa przez zrodzenie Go przedwieczne, to życie przez Wcielenie wlało Słowo bez miary w ludzkość, z którą się złączyło. Chrystus jako człowiek wie, wie niewątpliwie życie ludzkie. Rodzi się, rośnie, modli się, cierpi, umiera; a niedosyć byłoby powiedzieć, że wszystko to czyni z podniosłością, siłą, czystością, wzniosłością wyższą nad wszystko, co wyobrazić sobie można. Jest to dopiero sama powłoka. Pozostając człowiekiem w rzeczywistości i całości swej ludzkiej istoty, żyje On innem, wyższem życiem. Jego natura, wywyższona ponad wszelkie pojęcie przez zjednoczenie ze Słowem, uczestniczy w samem życiu Boga. Trwa w nim przez rodzaj ciągłej ekstazy, przez pełen pokoju zachwyt umysłu i serca, którego żadne słowa wyrazić nie zdołają.

Zaledwie śmiem uczynić następujące porównanie. Jak ciało człowieka zostało ponad siebie wyniesione przez hipostatyczne z duszą połączenie i choć pozostaje materialnem, powołane jest w niewymowny sposób do życia rozumu i miłości, tak samo, ale sposobem nierównie wyższym, skoro idzie tu o istotę rozumną i miłą, natura ludzka powołana została w Chrystusie do uczestniczenia w życiu samego Boga.

I gdy tak Słowo podnosi aż do siebie naturę ludzką, jednocześnie poświęca ją, ubóstwia i czyni ją chwalebna, wlewając nieskończoną cenę w najmniejsze czyny, właściwe człowieczeństwu. Każdy z uczynków Chrystusa jest jakby sakramentem, przepełniony jest nieskończonym życiem, zdolny podnieść, oczyścić, przeistoczyć wszystkie podobne mu uczynki we wszystkich ludziach, którzy zechcą się z Nim połączyć aż do końca wieków.

Widzimy teraz tego nowego Adama, tego wtórego człowieka z nieba, jak mówi św. Paweł, *secundus homo coelestis*¹⁾, który żyjąc życiem Boskiem i wlewając je w ludzkość, rozpoczyna nowy wiek świata, wprowadza nowy, wyższy jego porządek, przewidywany przez poetę:

Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo!

Przez miljarady wieków samo jedynie fizyczne życie rozwijało się w naturze; przez pierwszego Adama, *primus Adam*, został rzucony most między ową pierwszą zewnętrzną formą istnienia a formą wyższą: istnienia duszy rozumnej, mającej wolną wolę. Czterdzieści wieków pozostawione jest tej wyższej formie dla dopełnienia jej ewolucji. I wtedy ukazuje się drugi Adam, ściślej mówiąc *ostalni, novissimus Adam*, po którym nie będzie innego, i ten dokonywa przejścia życia ludzkiego do ostatecznego życia, nad które większego być nie może, gdyż jest to samo życie Boga w łonie ludzkości.

Odtąd płomień tego życia Boskiego płonie na świecie, rozszerzając się wszędzie, gdzie tylko znajduje stosowny dla siebie żywioł, a wciąż się rozżarza w Jezusie Chrystusie. Wypływa z Niego, jak ziemskie życie wypływa z Adama: *Jeśli się kto nie odrodzi z wody i z Ducha Świętego, nie może wniknąć do królestwa Bożego*²⁾; nie będzie mieć żywota w sobie. — *Kto pożywa mego ciała, a pije moją krew, ma żywot wieczny*³⁾. Nic w tem niema dziwnego i niczemu zaprzeczyć tu nie można. Jeśli się nie narodzicie z Adama, nie będziecie mieć życia ludzkiego; jeśli się nie narodzicie z Chrystusa, nie będziecie mieć życia Boskiego. Gdzież tu jest jaka trudność do pojęcia, i jak można nie rozumieć tej harmonii?

Organa duchowe rozwijają to życie czysto duchowe. Chrzt jest dając; bierzmowanie je pomnaża; święta Eucharystja je utrzymuje i udoskonala. Siedm kanałów rozprzodza je po świecie, siedm potoków życia, światła, łaski,

¹⁾ Paul. ad Corinth. XV, 47. — ²⁾ Joan. III, 5. — ³⁾ Ibid. VI, 55.

miłości; roznoszą je do wszystkich dusz. Kto pragnie, niech przyjdzie i pije! Z Adama rodzimy się *nieszczęśni*; z Chrystusa rodzimy się *wolni*. Ale tak tu, jak tam, kto nie zaczerpnie ze źródła życiodajnego, nie żyje. Przeciwnie, kto zeń czerpie, otrzymuje życie Boga samego. Jakkolwiek byłby maluczki, staje się uczestnikiem Boskiej natury, mówi św. Piotr: *Divinae consortes naturae*¹⁾. Oto, co daje Jezus Chrystus. Jesteśmy oświeceni, ożywieni, ubłogosławieni przez samą Boską substancję. *Ab ipsa Dei substantia*, mówi św. Augustyn, *animam illuminari, vegetari, beari*²⁾. Jak piękne są te myśli! Nie potrzebuję więc czekać wieczności, by żyć Tobą, o mój Boże! Już teraz tak żyję; a jedyną różnicą między niebem a ziemią jest, że tu żyję Tobą, nie widząc Cię, o Miłości, a tam żyć będę we wspaniałości światła! Do szczęścia czucia dołączone będzie szczęście widzenia. Ale tu i tam, to co mam w sobie i co jest źródłem mojego życia, jest samą substancją Boską: *Divinae consortes naturae*.

A jakim sposobem posiadę to życie? Słuchajmy słów Pana naszego: „*Manete in me — mieszkajcież we mnie. Ego sum vitis, vos palmites*”³⁾. Jamci jest winna macica, wyście latorośle! Przyjmijcie boskie soki, złączcie się ze mną i napawajcie się, aby życie, które jest we mnie, do was w zupełności wpłynęło.

Oto jest sposób: przywiązać się do Jezusa Chrystusa, złączyć się z Nim przez chrzest, przez świętą Eucharystję, przez modlitwę, przez miłość; w Nim mieszkać; wniknąć w Niego tak, by móc z Apostołem powiedzieć: *Żyję już nie ja, ale żyję we mnie Chrystus*⁴⁾. Ponieważ Jezus Chrystus jest cały w Bogu, a jednocześnie jest cały w nas, stąd więc zaczyna się to ściśle zjednoczenie przemieniające nas i sprawiające, że żyjemy z Boga, że jesteśmy w Bogu, że uczestniczymy w życiu Boga, wcielając się w Jezusa Chrystusa, w którym to życie jest w pełni.

Słów niema dla oddania tego boskiego życia. Dość powiedzieć, że jest to rodzaj wcielania Chrystusa w nas; jakoweś przedłużenie, rozszerzenie hipostatycznego zjednoczenia Słowa z ludzką naturą. Chrystus rzeczywiście rodzi się w duszach, które w Niego wierzą⁵⁾. Wzrasta tam, rozwija się⁶⁾; tak się identyfikuje z duszą, że jej

¹⁾ II Petr. I, 4. — ²⁾ August. in Joan. XIX, Nr. 3. — ³⁾ Joan. XV, 5. — ⁴⁾ Paul. ad Galat. II, 20. — ⁵⁾ Św. Hier. Epist. ad Gal., cap. II. — ⁶⁾ Św. Paulin, Epist. XXIII, Nr. 2.

myśli, uczucia, życie są myślami, uczuciami, życiem Jezusa Chrystusa. Żyjemy w Jezusie Chrystusie, a raczej Jezus Chrystus żyje w nas; a ponieważ On żyje życiem Boga, i my z Nim i w Nim żyjemy owym wzniosłym życiem. Utożsamienie jest tak wielkie, że, jak mówi św. Augustyn, nie jesteśmy już tylko chrześcijanami, ale stajemy się drugim Chrystusem: *Non solum Christianos, sed Christum*. Podziwiajcie, radujcie się, woła święty Doktor z uniesieniem, oto staliśmy się Chrystusem. *Admiramini, gaudete, Christus facti sumus*¹⁾.

Któż teraz zdoła wypowiedzieć następstwa takiego życia? Przypuśćmy, że zwierzę stało się człowiekiem; jakże wstępnym wydawałoby mu się jego pierwsze zwierzęce życie! Przypuśćmy, że człowiek stał się drugim Chrystusem; jakżeby gardził swym ludzkim życiem, uciechami, zaszczytami, próżną chwałą, majątkiem i wszystkimi czysto ludzkimi dobrami! a jednocześnie jakaż byłaby w nim żarliwość w rozwijaniu boskiego życia, w doskonaleniu go, w podporządkowaniu mu wszystkiego! Jakie ofiary, jakie poświęcenia pełniłby dla stania się prawdziwie drugim Chrystusem! Jakby Mu się przypatrywał, aby Go lepiej zrozumieć i zupełnie w Niego się przemienić! Życie takiego człowieka będzie już tylko rodzajem ciągłej kontemplacji. Z jaką radością wyrzuci się wszelkich ludzkich światła, by przyłączyć się jedynie do światła Chrystusowego! Próżnię w sobie i dookoła siebie uczyni, aby życie Boskie zalało go potokiem i całego wypełniło.

Oto życie chrześcijan, życie świętych. Czyż badając je, nie znajdziemy tam tych wszystkich zachwycających rysów? czy są to jeszcze ludzie? czyż nie są oni wywyższeni w Chrystusie, czy w śmiertelnych ciałach nie ukazują światu już nie anielskie, ale prawdziwie Boskie życie?

Nie dziwmy się, że oni do szału miłują Jezusa Chrystusa, skoro ich życie w Nim jest jako w swoim ognisku; a ponieważ oni w niem uczestniczą o tyle tylko, o ile się łączą z Jezusem Chrystusem, i ponieważ otrzymują to życie pod warunkiem, że Jezus Chrystus, jedynie je posiadający, sam w nich żyć będzie, nie dziwmy się, że gardzą wszystkim, by tylko o Nim myśleć, że Go wszędzie szukają, o Nim zawsze mówią, że jedno tylko mają pragnienie: zatopienia się w Nim, pozwolenia, by ich ogarnął i nawskroś sobą przeniknął; że wreszcie dochodzą

¹⁾ August. in Joan. XXI, Nr. 8.

do takiego zjednoczenia, iż w zupełności w Niego przechodzą ze wszystkimi myślami, uczuciami, przywiązaniem, z całą swą zewnętrzną i wewnętrzną istotą. Cud to niezrównany; początek jego tu już jest na ziemi, ale pełna rzeczywistość istnieć dopiero będzie w chwale niebieskiej.

To jest ów boski plan streszczony przez św. Pawła w owym pięknym zdaniu, ukazującym postęp rzeczy, dążących do Boga: *Primus homo de terra, terrenus; secundus homo de coelo, coelestis*. Pierwszy człowiek z ziemi, ziemski; wtóry człowiek z nieba, niebieski."

Nie trzeba pominąć pięknego zakończenia: *Igitur, sicut portavimus imaginem terreni, portemus et imaginem coelestis*. „Przeto, jakośmy nosili wyobrażenie ziemskiego, nośmy też wyobrażenie niebieskiego."

XII.

Mówiliśmy dopiero co o pogardzie ziemi i ziemskich rzeczy. Nie trzeba z tego wnioskować, że pojawienie się boskiego życia na świecie stało się przeszkodą do rozwoju życia ludzkiego; rzecz się ma zupełnie przeciwnie. Wszystkie władze człowieka zostały natychmiast podniesione i z tego życia wyższego, rozpalającego dusze silnym ogniem, wytrysnęła światłość przemieniająca, udoskonalająca, podnosząca wszystkie czyny życia naturalnego.

Porównajmy myślicieli chrześcijańskich ze starożytnymi. W tych ostatnich ujrzymy coś nierównego, coś, co zdumiewa; obok wspaniałej intuicji — niepojęte słabości. Ogólne tło pogańskich dzieł filozoficznych jest niepewne, mgliste. Jest to szare niebo przerywane wspaniałymi błyskawicami; ale te błyskawice wyraźniej tylko ukazują straszliwe przepaści, otwierające się pod stopami. Nigdzie nie widać jasnego dnia, światła, równego, pogodnego, radującego oczy bez umęczenia. A i u wielu to mędrców można zauważyć te piękne intuicje, te wspaniałe błyski? Wszystkich się wymieni, wspominając Platona, Arystotelesa, mistrza ich Sokratesa, Cyserona, który ich naśladował, Senekę oblanego już napół ewangeliczną jasnością. Zato po Jezusie Chrystusie filozofowie, teologowie, myśliciele następują po sobie bez przerwy, cisną się jedni za drugimi, tworząc promienny łańcuch, w którym każde ogniwo oświecone jest przez poprzedzające i samo znów rozpalą następne. A jakaż w nich całość! Tam także są błyskawice, ale na tle świetlistem i nigdzie nie widać sła-

bości. Jeśli chcemy ujrzyć w całym blasku wywyższenie umysłu ludzkiego, to przyjrzyjmy się szeregowi myślicieli, ciągnącemu się przez dziewiętnaście stuleci. Od Orygenesa do św. Augustyna, od św. Jana Złotoustego do św. Tomasza, od św. Anzelma i św. Bernarda do Bossueta podziwiać możemy ten nowy, przedziwny charakter intelektualny, to silne oparcie się na prawdzie, ten pokój niewzruszony, ten zdrowy umysł, śmiały a pokorny, czysty i jasnowidzący, wolny od złudzeń i od pychy, jednym słowem wszystkie te rysy genjuszu, trwającego w prawdzie i przez nią podniesionego.

A zwróćmy uwagę, że nie chodzi tu o genjusz. Pod tym względem trudno byłoby nam postawić nawet św. Tomasza ponad Arystotelesa; co zaś do Platona i św. Augustyna, są to dwaj bracia o jednakowej umysłowej potędze. Tylko św. Augustyn pisał w pełnym świetle prawdy, podczas gdy Platon żył w głębi jaskini doskonale przez niego samego opisanej, do której zaledwie odrobina dziennej jasności się przekradała, pozwalając dojrzeć tylko mdłe cienie rzeczywistości. Platon i św. Augustyn to dwaj najwięksi przedstawiciele umysłu ludzkiego. I wybór pełen podziwu wahałby się między nimi, gdyby byli żyli w blasku jednego i tego samego słońca. Ale rozrzedzone i niezdrowe powietrze, w którym Platon próbował skrzydła swe rozwinąć, przeszkadzało jego śmiałości wzlotowi. Upadał więc często i ciężko, zachowując wszakże i zasługując mimo upadków na przydomek boskiego, podobnie jak Arystoteles na nazwę Mistrza, którą zachował nawet pod panowaniem chrześcijaństwa.

Dodać trzeba, że Platon i Arystoteles żyli w owej wybranej chwili, gdy sztuka, poezja, język, smak wykwintny przychodziły z pomocą umysłowi ludzkiemu, podczas gdy wiek św. Augustyna i wszystkich Ojców Kościoła, wiek św. Tomasza i wszystkich wielkich teologów były wiekami dekadencji. A jednak, co za różnica! Cała wyższość formy u pierwszych służy jedynie do silniejszego wykazania wyższości doktryny u drugich.

To podniesienie zdolności ludzkich, tak potężne w naukach filozoficznych, o wiele jest większe w badaniach wiedzy. Cóż starożytność odkryła przez cztery tysiące lat w zakresie astronomji, fizyki, chemji, geologii? Po Archimedesie, Euklidesie, Pitagorasie, Arystotelesie, Hipokratesie, Galenie, po tych wielkich mędrkach kształt naszej ziemskiej kuli nawet nie był znany. Nie domyślano się cudownej mechaniki nieba. Całe wnętrze ciała ludzkiego,

którego dziś znamy najdrobniejsze tkanki, było wówczas zakryte. Kto znał cuda światła? elektryczności? kto myślał o badaniu wnętrza ziemi? Dopiero genjusz chrześcijański, potężny umysł chrześcijan stworzył całą tę wiedzę. Kopernik, Kepler, Newton zgłębili astronomję; Descartes, Leibniz, stosując algebrę do geometrii, wynajdując rachunek różniczkowy, uczynili z matematyki potężną dźwignię; Cuvier, Ampère, Eligjusz de Beaumont stworzyli geologję; możnaby bez końca przedłużać spis uczonych chrześcijan. Z tego wynika, że między genjuszem starożytnym a genjuszem chrześcijańskim pod względem wiedzy nie może być żadnego porównania. Widoczne tu jest podniesienie umysłu ludzkiego.

Nawet w rzeczach lżejszych, w tych, które nakształt świętych haftów odrzynają się na poważnym tle nauk, w tym zakresie intelektualnym, tak szczerze przez Boga udzielonym starożytności — w literaturze, w sztuce, malarstwie, muzyce, czyż nowe światło nie oblało umysłu ludzkiego? Brak nam niewątpliwie Homera, a nawet Wirgiljusza; ale mamy Dantego, Tassa, Milona. A jeśli na tem polu jesteśmy pobici, o ileż większe na innych odosimy zwycięstwa! Chateaubriand w trzeciej części, najbardziej oryginalnej i prawdziwie nowej swego dzieła „Genjusz chrześcijaństwa” po mistrzowsku przeprowadził szereg wspaniałych porównań między typami stworzonymi przez starożytność a temi samymi typami podjętymi przez genjusz chrześcijański. I bez naciągania struny w przedmiocie, tak mało tyczącym się religji, staje się jasnym dla każdego, że chrześcijaństwo podniósł, oczyścił, rozszerzył świat moralny, a poezji dał nowy wzlot, nowe skrzydła.

Taki sam wynik znajdujemy, gdzie idzie o malarstwo. Nawet wobec cudnych odkryć, poczynionych od kilkudziesięciu lat w Ostji i w Pompei, coż starożytne malarstwo może przeciwstawić malarstwu chrześcijańskiemu, tej plejadzie twórczych genjuszów, na których czele stoją Fra Angelico, Perugino, Leonardo da Vinci, Rubens, Rembrandt, a przed wszystkimi innymi Rafael? Oni z Włoch, Hiszpanji, Niderlandów uczynili bezmierne muzea, niewyczerpany przedmiot zachwyty dla wszystkich umiających patrzeć. Chrześcijaństwo doprowadziło malarstwo do wyżyn, o których starożytność pojęcia nawet nie miała, a to przez piękne i głębokie horyzonty, jakie otworzył tak w świecie widzialnym jak niewidzialnym coraz większym przenikaniem duszy dostrzegalnej przez ciało, skąd zrodził się wyraz i uczucie, tak mało znane starożytnym,

a będące prawdziwym czarem malarstwa. Przez te postacie dziewic, męczenników idealnych i przemienionych, a przede wszystkim przez uwielbioną, niewystawioną postać Chrystusa, którą od ośmnastu wieków genjusz chrześcijański napróżno stara się przedstawić, nigdy nie mogąc się zadowolić, wznosi się on coraz wyżej do niebotycznych szczytów nieprzeczuwanych nawet w świecie pogańskim. Na pociechę starożytnym zostawmy rzeźbę i wyznajmy szczerze, że nawet mimo Michała Anioła i Thorwaldsena zostaliśmy zwyciężeni już nie tylko przez Fidjasa i Praksytelesa, ale i przez najmniejsze pomniki wyszłe z pod dłota potężnego genjuszu greckich rzeźbiarzy.

Ale zato zwyciężamy znowu na polu muzyki. Jakże chrześcijaństwo mogłoby nie przeistoczyć tej sztuki tak istotnie duchowej i religijnej, tem piękniejszej, im więcej się w nią duszy wlewa, a która silniej niż każda inna budzi poczucie nieskończoności? Religja i muzyka to dwie siostry, z nieba pochodzące i nie mogące się rozstać ze sobą. Czem byłaby Religja, gdyby nie miała muzyki dla oddania wzruszeń, bólów, radości, zachwytów? A co by się stało z muzyką, gdyby jej odebrano Boga, duszę, modlitwę, miłość, nieskończoność? Przyjdzie dzień, gdy wszystko minie, nawet wiara, nawet nadzieja, pozostanie tylko miłość, a miłość jedną tylko znać będzie mowę: muzykę. Szczęśliwy, kto już zakosztował niejako boskiego przedsmaku w cudownych harmonjach Mozarta, Beethovena, Paganiniego, Szopena! Szczęśliwy, kto w Rzymie, w Watykanie mógł w dniach uroczystości katolickich słuchać wzniosłych melodyj Durantego, Pergoleza i innych! Szczęśliwy, gdyż dosłyszał cośkolwiek z koncertów anielskich!

XIII.

Dopiero jednak schodząc w zawsze burzliwe głębinę świata moralnego i społecznego, widzi się najlepiej, jak pojawienie się życia boskiego podniosło, oczyściło, rozszerzyło życie ludzkie. Tu już żadne zaprzeczenie nastąpić nie może. Zaledwie Jezus Chrystus się ukazał, a zaraz wszystkie naturalne cnoty wzmacniają się, obyczaje łagodnieją, prawa się przeistaczają i wszędzie kiełkuje nasienie powolnego, spokojnego, ale wielkiego i powszechnego odrodzenia, opierającego się działaniu czasu i ludzkim namiętnościom. Tomy możnaby pisać o tym wspaniałym i pracowitym rozwoju cywilizacji, przypomnijmy tu

przynajmniej główne rysy. Któż nie zdumiewał się nad tem cudownym odbudowaniem ludzkości przez sprawiedliwość; nad tą wielką pracą Kościoła, podejmującego z błota niewolnika bez nazwiska, bez prawa, bez woli, niemal bez duszy, przynajmniej w oczach jego pana i jego własnych, aby uczynić zeń najpierw chrześcijanina, następnie człowieka; potem ze stanu niewolnika podnosi go do poddaństwa, od poddaństwa do stanu wolnego, czyni go członkiem gminy, a wreszcie do daru wolności dodając równość, czyni go zdolnym do pełnienia wszelkich społecznych funkcji. A to wszystko z taką obfitością dobrodziejstw, że nieszczęścia nasze wypływają poczęści z tej nieustannej szczodrości; nie z winy chrześcijaństwa, ale z winy tych, którzy sobie wyobrażają, że można ścinać drzewo, a zachować mimo to jego owoce.

W tem odbudowaniu ludzkości przez sprawiedliwość jak zapomnieć o tkliwej, wytrwałej, pełnej czci miłości dla tych, którzy wbrew wszystkim prawom i wszelkim instytucjom pozostaną maluczkimi, ubogimi, opuszczonymi, cierpiącymi? Jak zapomnieć niespodziewanej, przedziwnej nauki „o wysokiej godności ubogich”, która ich uczyniła tak czcigodnymi, wielkimi w oczach wiary, że całe legjony dziewic opuszczają wszystko, by im służyć, a królowie, bogacze, możni mają sobie za zaszczyt śpieszyć im z pomocą?

A co powiedzieć o odbudowaniu rodziny w jedności, nierozzerwalności, świętości, godności, miłości? Tam to okazał się ten cud, widoczne źródło wyższości tegoczesnych ras nad starożytnymi; chcemy mówić o małżonce i matce chrześcijance. Małżonka, dostojny typ szlachetnej cnoty, godziwej dumy, przedziwnej tliwości, dobrowolnej czystości, niewyczerpanego poświęcenia — to najwyższe błogosławieństwo, na które może zasłużyć i otrzymać człowiek Bogu służący! Cóż o matce powiedzieć? Jej to, matce chrześcijance, posianej jak sól na powierzchni świata, zawdzięcza Europa swe dzieci lepsze, piękniejsze, szlachetniejsze, czystsze, większe niż je kiedykolwiek starożytność znała. A to bez ujemy dla dziewictwa, które obok macierzyństwa zakwita niby pole liljowe, napełniając swą wonią świat cały.

A w końcu cóż rzec o cywilizacji chrześcijańskiej, górującej nad społeczeństwem, nad rodziną? W niemożności odmalowania jej w rozmiarach należnych podobnemu przedmiotowi zadowolnijmy się wspaniałym obrazem, jaki o głównych jej rysach kreśli słynny pisarz: „Przedziwne

publiczne sumienie, wzbogacone wzniosłymi maksymami, sprawiedliwymi i słusznymi prawidłami, uczuciami pełnymi godności; sumienie, które trwa po upadku prywatnej moralności i nie pozwala, by bezczelność zepsucia doszła do rozmiarów, jakie oglądała starożytność; pewna ogólna łagodność obyczajów, która z wojen usuwa wielkie klęski, a wśród pokoju umila życie; głębokie poszanowanie człowieka i jego własności, co sprawia, że rzadkimi się stają gwałty jednostek, i co służy jako wędzidło dla powściągnięcia nadużyć wszelkiego rodzaju rządów; gorące pragnienie doskonalenia się we wszelkich kierunkach; nieprzeparty pociąg czasem źle kierowany, ale zawsze żywy ku polepszeniu losu klas nieszczęśliwych; tajemniczy odruch, skłaniający do opiekowania się słabością, do wspomagania niedoli, odruch, który musi mieć swobodny bieg, bo gdy jest zahamowany, tłumiony, to wywołuje w społeczeństwie stan niepokoju i niezadowolenia, podobny do wyrzutów sumienia; duch propagandy; niewyczerpane źródło środków ku odrodzeniu się bez wielkich przewrotów, bez niebezpieczeństw; szlachetna niecierpliwość, pragnąca wyprzedzić przyszłość, a stąd wypływający ciągły ruch, ciągłe wrzenie, powodujące nieraz klęski, ale częściej przynoszące wielkie dobrodziejstwa i będące oznaką potężnej żywotności: oto są wielkie cechy, wyróżniające cywilizację europejską, oto rysy, stawiające ją wysoko ponad wszystkie inne cywilizacje tak starożytne jak i tegoczesne¹⁾.

Skąd jednak cywilizacja europejska zdobyła tę znakomitą wyższość? kto ją uczynił tak szlachetnie dumną, bogatą, płodną i urozmaiconą? kto jej nadał owo piętno szlachetności, godności i podniosłości bez kast, bez niewolnictwa, bez eunuchów, bez żadnej z owych nędz, dręczących ludy starożytne? Jedna jest tylko na to odpowiedź: Jezus Chrystus!

XIV.

Śpieszmy dodać, że jakkolwiek wszystkie te rzeczy są piękne i nieoszacowane, nie dla nich to Jezus Chrystus zstąpił na ziemię. Są one jedynie następstwami życia wyższego, które On ze sobą przyniósł, jest to niby ów wonny olejek wylany na głowę Aarona, spływający na

¹⁾ Balmès, O protestantyzmie w porównaniu do katolicyzmu.

brodę jego i aż na kraj jego szaty¹⁾. Jezus Chrystus przyszedł przede wszystkim poto, aby dać światu życie boskie. Szuka dusz, tylko dusz, któreby się z Nim łączyły, i któreby On podniósł do godności życia na ziemi samym żywotem Boga, jakim i On żył na świecie; szuka tych dusz, gromadzi je, oczyszcza, przeistacza; nie widzi nic poza niemi. On je wyswobadza i niszczy wszelkie przeszkody, sprzeciwiające się ich zbawieniu. „Taką Bóg cenę nakłada na dusze. Niebo i ziemię porusza, by zrodzić wybranych, a ponieważ nic dla Niego niema droższego nad te dzieci wiekuistej miłości, nad te nierozłączne członki najmilszego Jego Syna, na nic nie zważa, byle je zbawić”²⁾.

Ludy wyobrażają sobie, że mają rozmaite przeznaczenia; jedno mają tylko przeznaczenie: dawanie Bogu świętych. Tak długo trwają, dopóki Bóg wybranych ma z ich łona. *Constituit terminos populorum, juxta numerum filiorum Israel*: „Zakreślił granice narodom według liczby synów Izraela”³⁾. Gdy już jaki naród nie dostarcza wybranych, do czegoż służyć może?

Rzućmy okiem na świat rzymski. Ileż pięknych dusz, dziewic, apostołów, męczenników zeń wyszło! Potem, gdy świętość tam zamarała, zniknęła, Bóg oddał Rzym pod stopy barbarzyńcom!

Spójrzmy na chrześcijańską Afrykę z czasów Orygenesa i św. Augustyna. Jak piękna była w owej chwili i jak płodna! Jezus Chrystus wydobywał z niej skarby cnoty i światłości. A gdy się one wyczerpały, pozwolił, by piaski pustyni zasnuły ją swoim całunem. I oto zaledwie miejsce odnaleźć można, gdzie niegdyś tyle chwały błyszczało!

Oto, jak znikają ludy, gdy już Bogu świętych nie dają. Oto, jak zginie świat, jak gwiazdy pogasną. Już gasną; Bóg je gasi, gdy tylko tam niema Jezusa Chrystusa.

Chcecie wyrzucić Jezusa Chrystusa ze świata i wyobrażacie sobie, że świat dalej iść będzie! Chcecie zburzyć Jego przybytki, a sądźcie, że wasze mieszkania się ostoja! Jakto! Ten, który uczynił niebo i ziemię, nie miałby świątyni, ołtarza, a wy mielibyście domy! Koszary, więzienia, domy rozpusty, to może! ale nie domy, nie święte ogniska, przy których człowiek po pracy odpoczynek znajduje, gdzie stoi kolebka jego dzieci, gdzie mu się

¹⁾ Ps. CLII, 2. — ²⁾ Bossuet, Oraison de Madame Henriette. —

³⁾ Deuteronom. XXII, 8.

szczęście uśmiecha! Nie, nie, nigdy! I te wasze pyszne domy rozpusty i one pochłonie ogień Boskiego gniewu!

I nic na to nie poradzicie. Jezus Chrystus jest cudownym robotnikiem; tak samo pracuje w głębi ukrytych katakumb i więzień, jak wśród wspaniałych świątyń i na wolnych placach publicznych. A któż wie, czy burze i katastrofy nie przyczyniają się do wzrostu Jego dzieła?

O przewroty! nieświadom jestem, ja najlichszy z ludzi, co Bóg wypracowuje w burzliwych waszych oddechach... Kto zna Bożą działalność? Kto wie, czy drżące fale, czy huk bałwanów w morskich przepaściach, czy błyskawice i gromy piorunów nie są potrzebne, o Panie, dla perły, co w morzu się rodzi?...

XV.

A gdy już wszystkie perły będą zebrane, wszystkie dusze uświęcone, a ciało mistyczne Jezusa Chrystusa uzupełnione zostanie, wtedy świat się skończy. Dzieło stworzenia, oczyszczone przez próbę, wróci do wieczności, z której wyszło. I wtedy rozpocznie się świat nowy, ostatni, nie mający końca: świat chwały.

Jak Jezus Chrystus, zwyciężywszy śmierć, wstąpił uwielbiony do nieba, tak i dusze tam wstąpią. Widzimy je już wstępujące. Odlatują ze świata o każdej porze dnia i nocy. Milczące wznoszą się ze wszystkich miejsc naszej ziemi. *Vidi turbam magnam, quam dinumerare nemo poterat, ex omnibus tribubus, populis et linguis*¹⁾. „Potemem widział rzeszę wielką, której nikt nie mógł przeliczyć, ze wszech narodów i pokolenia, i ludów, i języków.” To jest zgromadzenie dusz, które na ziemi żyły życiem Boskiem. Jezus Chrystus będzie ich środkiem. Tam napawać je będzie miłością, której tu przedświt tylko znały. Tam wśród nich jaśnieć będzie jak słońce, pociągające do siebie, a nie oslepiające wszystkich oczu, jak żywe ognisko, stapiające wszystkie serca. Przez czyste promienie tego słońca patrzeć będziemy na Przenajświętszą Tróję. Żadne oko stworzone nie może oglądać nieskończonego bytu Boga Ojca, ani przedwiecznego Zrodzenia Syna, ani Pochodzenia Ducha Świętego. Będzie się je widziało przez chwalebnie jaśniejące Człowieczeństwo Zbawiciela. O błogosławione widzenie, którym się nigdy nasycić nie

¹⁾ Joan. Apoc. VII, 9.

będzie można! Czasu już wtedy nie będzie, tego czasu, tak szybko w szczęściu mijającego. Śmierci tam nie będzie, tej ohydnej śmierci, gotowej zawsze pochłonać nasze radości i szczęście. Będzie tylko wiekuiste Alleluja, zachwyty tak czyste, tak głębokie; tak przewyższający wszelkie nasze marzenia, że wieczności nie starczy, byśmy się z tego zdumienia ocknęli. Miłujmy więc na ziemi, my, którzyśmy przeznaczeni do takiej miłości; uczmy się miłości. O Jezu, przyjdź do mego serca! tam wznieć płomień Twojej miłości!

Ostatnie to słowa natchnionej księgi:

„A duch i oblubienica mówią: Przyjdź. *Spiritus et sponsa dicunt: Veni*¹⁾. A Jezus Chrystus odpowiada: „Zaiste, przyjdę rychło. *Etiam venio cito*.” A dusza znowu woła w uniesieniu radości: *Amen*. Przyjdź, Panie Jezu! *Veni, Domine Jesu!* Przyjdź i rozpocznij tu na tej ciemnej ziemi to wiekuiste obcowanie, którego używać będziemy z Tobą w niebie. *Amen. Alleluja*.

¹⁾ Joan. Apoc. XXII, 17—20.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



115158

3

SPIS RZECZY.

Wstęp	Str. V
-----------------	--------

CZEŚĆ PIERWSZA.

CREDO.

ROZDZIAŁ I.

O początkach i głównych cechach Credo.

I Historyczne pochodzenie *Credo*. — II Śmiałość każdego z dwunastu artykułów *Credo*. — III Ich tajemniczy związek z duszą ludzką. — IV Granitowa niezmiennność *Credo*, wśród umysłowej walki, trwającej przeszło ośmnaście wieków. — V Inny jeszcze charakter boskości *Credo*; boski jego rozwój. — VI Złączenie niezmienności z rozwojem tworzą prawdziwą piękność Kościoła

3

ROZDZIAŁ II.

Credo w katakumbach.

I Długo zapoznana piękność katakumb z punktu widzenia artystycznego i większa jeszcze ich teologiczna ważność. — *Credo* odmalowane w najdrobniejszych szczegółach na ścianach katakumb. — II Trójca Przenajśw. Stworzenie. Upadek. — III Wcielenie. Mnogość i zachwycająca piękność wyobrażeń Pana Jezusa. — IV Najświętsza Dziewica. Nieoceniona wartość dotyczących Ją malowideł z punktu widzenia dogmatycznego i artystycznego. — V Święty Kościół katolicki; pierwszeństwo św. Piotra. — VI Wezwania świętych i modlitwy za umarłych. — VII Sakramenta. Cudowne uszeregowanie malowideł na cmentarzu św. Kaliksta. — VIII Spowiedź. Święta Eucharystja. Ważność dogmatyczna i piękność artystyczna fresków, przedstawiających te dwa Sakramenta. — IX Ciało zmartwychwstanie. Żywot wieczny

19

CZĘŚĆ DRUGA.

DOGMATY CREDO.

ROZDZIAŁ I.

Trójca Przenajświętsza.

I Natura Boga dostrzegana w Starym Testamencie, a w pełni objawiona w Nowym. — II Autentyczna formuła dogmatu Trójcy Przenajświętszej ułożona przez św. Atanazego. — III Postęp genjuszu katolickiego w rozpatrywaniu czcigodnej tajemnicy Trójcy Świętej. — IV Różne porównania, dopomagające studjowania tej tajemnicy. — V Błyski genjuszu czy szczątki podania w księgach starożytnych. — VI Odbicie tajemnicy Trójcy Przenajśw. w naturze. — VII Umysł i serce innemi drogami dochodzą do zrozumienia tej tajemnicy. — VIII Piękne słowa O. de Ravignan 53

ROZDZIAŁ II.

Stworzenie świata. — Ogólne pochodzenie światów.

I Że świat z pewnością stworzony został przez Boga. — II Że został stworzony przez miłość. — III Wiedza ukazuje charakter Stworzenia zgodnie z tem wzniosłem pochodzeniem. — IV Nieskończoność świata co do trwania i co do przestrzeni. — V Wszystkie gwiazdy są prawdopodobnie zamieszkałe. — VI Inna cecha Stworzenia, wykazująca, że jest ono dziełem miłości. — VII Ostateczny cel Stworzenia 72

ROZDZIAŁ III.

O powstaniu naszej ziemi. — Dzieło dni sześciu.

I W jakiej epoce według Mojżesza i według nauki nastąpił pierwszy akt twórczy. — II Dzieło pierwszego dnia: chemiczne przygotowanie kuli ziemskiej. — III Światło. — IV Dzieło drugiego dnia: przygotowanie atmosferyczne. — V Dzieło trzeciego dnia: ukazanie się lądów i cofnięcie się wód. Łądy pokrywają się wspaniałą, bujną roślinnością. — VI Dzień czwarty: ukazanie się słońca. Mojżesz miał co do tego albo cudowne objawienie, albo cudowną intuicją odgadł prawdę. — VII Dzień piąty: ukazanie się życia na ziemi. Ryby i ptaki. — VIII Dzień szósty: Zwierzęta czworonożne. — IX Cudowna zgoda Biblii i wiedzy w wielkich rysach ogólnej organizacji kuli ziemskiej. — X Ukazanie się człowieka. Niezrównana piękność ziemi przygotowanej dla niego na mieszkanie 89

Str.

ROZDZIAŁ IV.

Stworzenie człowieka.

I Jaka jest według Biblii i według nauki dokładna chwila ukazania się człowieka na ziemi. — II Niestosowne zarzuty niektórych geologów. — III Chwalebne osobliwości stworzenia człowieka. — IV Obraz Boga wyrity na jego duszy. — V Jedność rasy ludzkiej według Biblii. Nauka po długim oporze skłania się do uznania prawdziwości tej doktryny. — VI Stan nadnaturalny człowieka w chwili jego stworzenia 121

ROZDZIAŁ V.

Ostatni rys piękności świata.

I Tylko Wcielenie wyjaśnia dzieło Stworzenia; Ono też kończy jego piękność, jedność, doskonałość. — II Piękna nauka niektórych teologów co do tego. — III Łatwy do sprostowania błąd, w który popadł Malebranche 144

ROZDZIAŁ VI.

Grzech pierworodny. — Fakt.

I Krew człowieka jest zepsuta. — II Trzy główne poruszenia tej zepsutej krwi. — III W naturze ludzkiej dziwna jest dysharmonja. Wszyscy, nawet pogańscy myśliciele to zauważyli. — IV Jaki jest prawdziwy powód takiego stanu. — V Fałszywy dogmat z 1789 r., głoszący pierwotną wrodzoną doskonałość, jest źródłem wszystkich klęsk. — VI Wszystkie ludy i wszystkie podania stwierdzają fakt wrodzonego zepsucia . . . 155

ROZDZIAŁ VII.

Grzech pierworodny jako dogmat.

I Trzeba wyjść z zasady, że człowiek musiał być poddany próbie, zanim miał być wprowadzony do nieba. — II Co stanowiło tę próbę. — III Wielkie cechy upadku. — IV Jak grzech Adama mógł przejść na jego dzieci. Aby rozwiązać tę kwestję, trzeba badać plan stworzenia człowieka. — V Trzeba także poznać prawdziwą naturę grzechu Adama. — VI i VII Dwa główne systemy teologiczne o grzechu pierworodnym 174

Str.

ROZDZIAŁ VIII.

Str.

Następstwa grzechu pierworodnego, nowy plan upadłego świata.

I Aby zmniejszyć skutki upadku, Bóg stworzył nowy świat próby osobistej, powtarzającej się i rozlicznej. — II Trzy zmiany pierwotnego planu, wpływające koniecznie z pojawienia się grzechu: najpierw praca. — III Następnie boleść. — IV W końcu śmierć. — V Jak Bóg przemienił te wielkie prawa upadłego świata, wcielając się w pracę, w boleść i w śmierć . 195

ROZDZIAŁ IX.

Idea Wcielenia.

I Ludzkość tak bardzo pragnęła Wcielenia, że gdyby była mogła, byłaby je stworzyła. — II Bóg jeszcze więcej Go pragnął. — III Bóg-Człowiek powstał więc z podwójnej miłości: miłości Boga dla człowieka i miłości człowieka ku Bogu. IV Niewymowna wzniosłość tej myśli Wcielenia 206

ROZDZIAŁ X.

O możliwości i rzeczywistości Wcielenia.

I Czy nieskończoność może się łączyć ze skończonym? — II Czy to zjednoczenie może dojść aż do jedności osoby między Bogiem a człowiekiem? — III Zjednoczenie duszy i ciała w osobie ludzkiej pozwala dostrzec zjednoczenie natury Boskiej i natury ludzkiej w Osobie Jezusa Chrystusa. — IV Jedność Osoby a dwójaka natura Jezusa Chrystusa. — V Przedziwna analogja między filozoficznymi systemami o wcieleniu ludzkim a teologicznymi systemami o Wcieleniu Boskiem 219

ROZDZIAŁ XI.

Piękność Wcielenia.

I Nie było stosowniejszego sposobu do odkupienia upadłej ludzkości jak Wcielenie. — II Bóg dobrze uczynił, biorąc na siebie naturę ludzką biedną, nędzną, cierpiącą, taką, jak ją grzech uczynił. — III Cud narodzenia Boga, podobnie jak my, z córki Ewy i ukazania się światu jako niemowlę. — IV Wzniosłość śmierci na krzyżu. — V Bóg, zstąpiwszy do naszej nędzy, posługuje się naszym upadłym ciałem, aby nas podnieść aż do siebie. — VI Ciało jest ciężkie i ciemne, Bóg niem się posługuje, by nam światło przywrócić. — VII Ciało jest zepsute i psujące, Bóg czyni zeń źródło pokory i miłości niebiańskiej. — VIII Ciało osłabia wolę, Bóg niem się posługuje, aby wolę wzmocnić i podnieść. — IX Ciało poniza i upadla, Bóg się niem posługuje, by nas ubóstwić 235

ROZDZIAŁ XII.

Str.

Cuda zjednoczenia hipostatycznego.

I Piękność najświętszego umysłu Pana naszego. — II Piękność jeszcze większa Jego Serca. — III Jego absolutna świętość. Wszystkie strumienie łask zlewają się na Niego. — IV Przepaść Jego zasług. — V Piękność Pana naszego przechodzi wszelkie słowa. Cytaty św. Teresy, Bossueta, O. Lacordaire. — VI Sztuka równie jest bezsilna jak słowa do oddania tej piękności. Wspaniałe próby Fra Angelico, Leonarda da Vinci i Rafaela 252

ROZDZIAŁ XIII.

Odkupienie.

I Bóg postanowił zadosyćuczynienie w miejsce kary po grzechu. — II Bóg jednocześnie przeznaczał Ofiarę i przygotował dla niej ołtarz. — III Rozpaczliwe poszukiwania ludzkości w celu znalezienia ofiary wymaganej przez sprawiedliwość Boga. — IV Ofiara prawdziwa się ukazuje 273

ROZDZIAŁ XIV.

Krew i Krzyż.

I Jezus Chrystus jako Ofiara. — II Jego poświęcenie się. Cudowna harmonja tego poświęcenia z naturą upadłego człowieka. — III Wylanie najdroższej krwi Boskiej. — IV Wzniosłość uwielbionego dzieła Krzyża. — V Wzniosłość jaśniejącej tam miłości 284

ROZDZIAŁ XV.

Ostatni dowód historycznej rzeczywistości Wcielenia i Odkupienia.

I Jeżeli Jezus Chrystus jest zarazem Bogiem i człowiekiem, nie będzie można kochać Go lub nienawidzić, nie kochając zarazem lub nienawidząc Boga i ludzkości. — II Skoro tylko ukazała się miłość dla Jezusa Chrystusa, zaraz stworzyła miłość ku Bogu i ku ludzkości. — III A najpierw miłość ku Bogu wzniosłą, przewyższającą pojęcie. — IV Następnie jeszcze może dziwniejszą miłość ludzkości. — V W tych, którzy zmniejszają, ograniczają Jezusa Chrystusa, zmniejsza się w tej samej mierze miłość Boga i miłość ludzkości. — VI W tych, którzy Go nienawidzą, taka sama nienawiść ku Bogu i ku ludzkości się budzi 298

EPILOG.

Chrystus.

I Na początku było Słowo. Wszystko w Niem było stworzone. — II To niedosyć, wszystkie rzeczy były z Jego powodu stworzone. — III Jest nie tylko przyczyną istnienia wszystkich stworzeń, ale jest źródłem ich życia. — IV Jest idealnym wzorem dla człowieka, źródłem życia naturalnego i nadnaturalnego. V Piękność zstąpienia na świat Słowa Wcielonego. — VI Cudowny obraz Jezusa Chrystusa tworzony przez cztery tysiące lat przez proroków, aby przygotować świat na Jego przyjęcie. — VII Powołanie ludu żydowskiego. Cudowne geograficzne położenie Judei. — VIII Cztery potężne monarchie powołane do przygotowania ziemi na przyjęcie Jezusa Chrystusa; lud żydowski rozproszony wśród nich. — IX Jednocześnie świat dochodzi do poznania swej słabości, swego głębokiego upadku, do odczucia, jak bardzo potrzebuje Odkupiciela. — X Ogólne, pełne trwogi oczekiwania. — XI Ukazanie się Mesjasza. Wnosi On w łono ludzkości życie wyższe, życie Boskie. — XII To życie wyższe podnosi władze ludzkie: filozofja, wiedza, poezja, malarstwo, muzyka. — XIII O wiele więcej uderzające podniesienie człowieka w świecie moralnym i społecznym. — XIV Jezus Chrystus przyszedł tylko, aby dusze pociągać i zbawiać. — XV Gdy wszystkie dusze będą zgromadzone, świat próby się skończy, a zacznie się świat chwały, którego środkiem i Królem będzie Jezus Chrystus 313
